

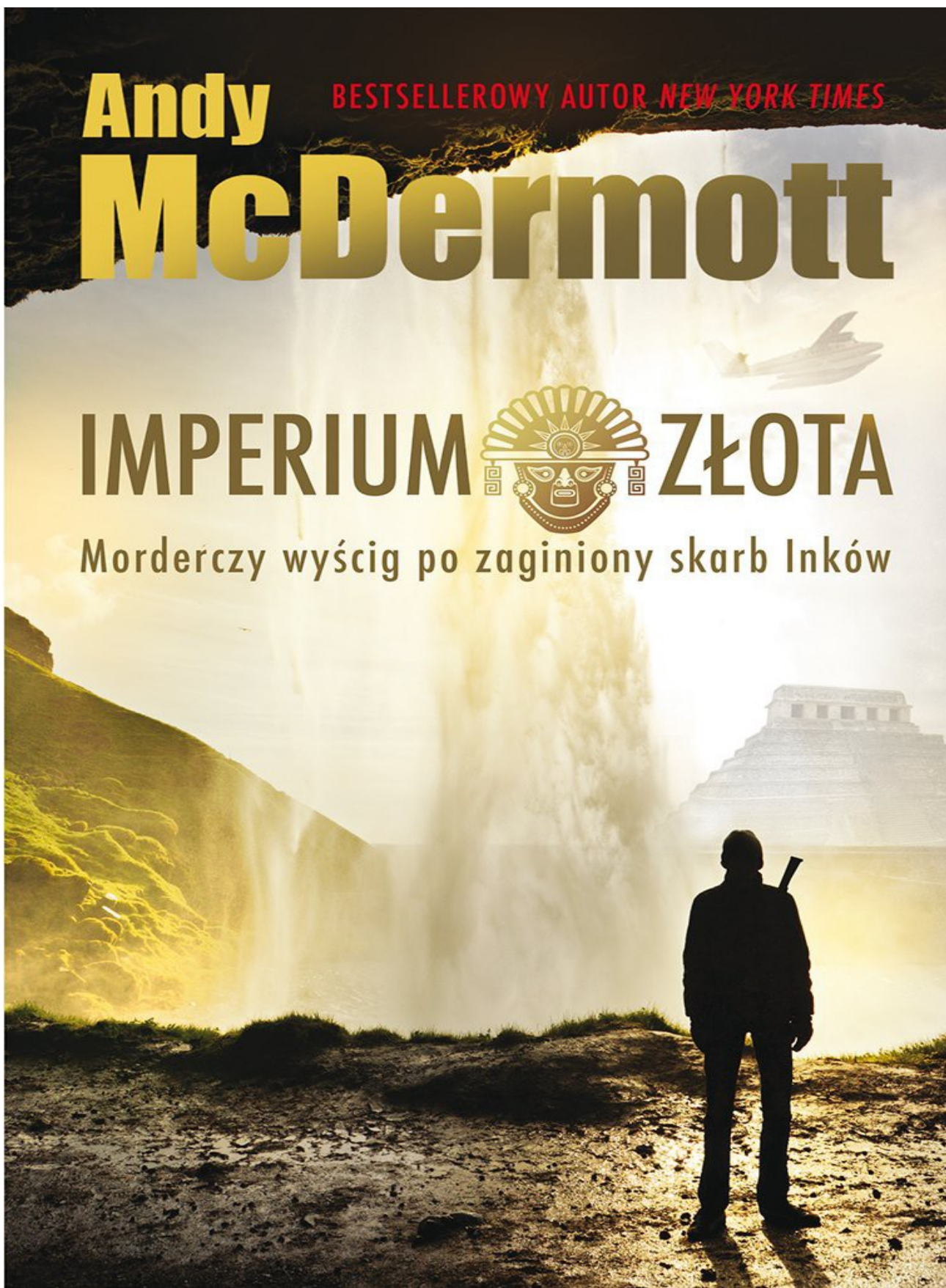
**Andy**

BESTSELLEROWY AUTOR *NEW YORK TIMES*

**McDermott**

**IMPERIUM  ZŁOTA**

Morderczy wyścig po zaginiony skarb Inków



Andy McDermott

**Imperium złota**

Z angielskiego przełożyła Marta Komorowska

Tytuł oryginału: *Empire of Gold*

*Dla mojej rodziny i przyjaciół*

## Prolog

### *Afganistan*

Jałowy krajobraz wydawał się Eddiemu Chase'owi obcy, a zarazem dziwnie znajomy. Anglik dorastał wśród urwistych wzgórz hrabstwa Yorkshire, którego ukształtowanie powierzchni przypominało pofalowany teren, nad którym teraz przelatywał helikopter. Jednak nawet w nocy różnica była oczywista. Wzgórza i wrzosowiska wokół jego rodzinnego miasta były zielone i pełne życia. Krajobraz rozciągający się teraz pod nim był spękany i brudnobrązowy. Była to martwa ziemia.

Tej nocy miała spłynąć krwią.

Chase odwrócił wzrok od okna w kierunku siedmiu mężczyzn siedzących w słabo oświetlonej kabinie helikoptera. Wszyscy, podobnie jak on, byli żołnierzami Sił Specjalnych, a ich pomalowane na czarno twarze nie zdradzały żadnych emocji. Uczestnicy misji wyjątkowo nie pochodzili z tej samej jednostki, a nawet z tego samego kraju. Pięciu należało do 22. pułku SAS – jednej z najbardziej elitarnych brytyjskich jednostek, która budziła równie wiele podziwu, co grozy. Pozostali trzej byli innej narodowości – Koalicja stworzyła drużynę do przeprowadzenia tej operacji w dużym pośpiechu.

Chase nie spodziewał się jednak problemów podczas współpracy. Dwóch z tych ludzi już znał – z Bobem „Blueyem” Jacksonem z australijskiego SAS nie miał wprawdzie zbyt wiele do czynienia, ale z Jasonem Starkmanem z Sił Specjalnych Armii Stanów Zjednoczonych – Zielonych Beretów – przyjaźnił się od lat.

Trzeci obcokrajowiec był, przynajmniej dla niego, wielką niewiadomą. Za mężczyznę poręczył dowódca drużyny, major Jim „Mac” McCrimmon – a dla Chase'a była to jedna z najlepszych możliwych rekomendacji. Mimo to chciał bliżej poznać Belga o orlim nosie, zanim znajdą się na ziemi, więc usiadł koło Hugona Castille'a z Grupy Sił Specjalnych, aby wyciągnąć z niego więcej informacji.

Manewr okazał się zupełnie niepotrzebny, bo gadatliwy Castille mówił tyle, że nawet specjaliście od przesłuchań trudno byłoby za nim nadążyć.

– No więc znaleźliśmy mały bar przy Las Ramblas – opowiadał z przejęciem – i poznałem tam prześliczną Hiszpankę. Byłeś kiedyś w Barcelonie? – Chase pokręcił głową, zastanawiając się, jakim cudem temat rozmowy (a właściwie monologu), w ciągu kilku sekund, podczas których wyglądał przez okno, przeskoczył z operacji wojskowej w Bośni na podrywanie Hiszpanek. – Tamtejsze zabytki są równie piękne, jak kobiety. Ale jeśli chodzi o wydarzenia tamtej nocy, jestem dżentelmenem, więc nic na ten temat nie powiem – oświadczył z szerokim uśmiechem.

Chase też wyszczerzył zęby.

– Czyli to jednak możliwe, żebyś przestał gadać?

– Oczywiście! To... – Castille zamilkł, zauważając przytyk. Prychnął, wyjął z kieszeni jabłko o lśniącej czerwonej skórce i wgryzł się w owoc.

– Eddie, a ty to niby milczek jesteś? – odezwał się głos ze szkockim akcentem. Komentarz rozśmieszył większość mężczyzn.

– Wal się, Mac. – Chase odgryzł się dowódcy. Relacje międzyludzkie w Siłach Specjalnych, bardzo bliskie i powstające pod dużą presją, umożliwiały swobodę niespotykaną w zwykłych oddziałach wojskowych – przynajmniej do pewnego stopnia. – Ja przynajmniej gadam o bardziej interesujących rzeczach niż cholerny krykiet i snooker.

Mężczyzna, siedzący obok Maca, wtrącił z powagą w głosie:

– Sierzancie, interesuje pana zupełnie co innego niż pozostałych. – Kapitan Aleksander Stikes, tak jak Chase, dobiegał trzydziestki, ale na tym podobieństwa się kończyły. Chase był przysadzisty, a jego kwadratową, krzywonosą twarz można było określić najwyżej jako „wyrazistą”, tym-

czasem drugi z oficerów, dwumetrowy blondyn z wysokim czołem i kształtnym nosem, wyglądał jak pruski szlachcic. – Myślę, że wszyscy wolelibyśmy trochę posiedzieć w ciszy.

– O ciszy to możesz tu zapomnieć – rzucił Mac. Kpiny w jego głosie nie zagłuszył nawet ryk silników helikoptera.

Chase ponownie zwrócił się do Castille’a.

– To już trzeci owoc, który wcinasz od wylotu z bazy. Ja ostatnio jadłem tylko banana, w dodatku lekko popsutego.

Castille odgryzł kolejny kęs.

– Zawsze zabieram na misje mnóstwo owoców. To dużo lepsze niż suchy prowiant, nie? I mam swoje sposoby, żeby się nie obijały. Ojciec mnie nauczył.

– Jest jakimś specjalistą od opieki nad owocami?

Belg się uśmiechnął.

– Nie. Ma warzywniak, a obitych owoców nikt nie chce kupować. A twój?

Pytanie zbiło Chase’a z tropu.

– Mój ojciec?

– Tak. Co robi?

– Pracuje w firmie logistycznej. Zajmuje się transportem – wyjaśnił, widząc niepewność Castille’a. – Przewozi towary po całym świecie, pilnuje ich odpraw na granicy. Aha, i jest potwornym dupkiem.

– Jaki ojciec, taki syn, co nie, Yorkus? – spytał inny z żołnierzy SAS, Kevin Baine. W przeciwieństwie do wcześniejszej uwagi Maca, w komentarzu wygłoszonym z londyńskim akcentem nie było cienia wesołości.

– Spieprzaj. – Chase nie pozostał mu dłużny. Płaska twarz Baine’a wykrzywiła się w drwiącym grymasie.

– Duu-pek – powtórzył Castille. Słowo wypowiedziane z belgijskim akcentem zabrzmiało komicznie. – Nie lubisz go, co?

– Nie rozmawiałem z nim od chwili, kiedy dziesięć lat temu wyprowadziłem się z domu. Nie żebyśmy często się widywali przedtem. Cały czas gdzieś jeździł. I romansował za plecami mamy. – Sam się zdziwił tym wyznaniem. Przyjacielski ton Castille’a sprawił, że powiedział więcej, niż zamierzał. Posłał kolegom z SAS groźne spojrzenie, sprawdzając, czy któryś ośmielił się zażartować. Mina Stikesa wskazywała, że zanotował sobie ten fakt w pamięci, ale nikt się nie odezwał.

– Oj, sorry – powiedział Castille.

– Nie ma sprawy – rzucił Chase, wzruszając ramionami.

Trochę przesadził – tak naprawdę wiedział tylko o jednym romansie. Ale to wystarczyło. Castille chciał coś dodać, ale przerwał mu głos pilota skrzeczący z głośnika:

– Dziesięć minut!

Nastrój natychmiast się zmienił. Ośmiu mężczyzn gwałtownie wyprostowało się na siedzeniach. Czerwone lampy w kabinie zgasły, pozostał jedynie upiorny zielony blask bijący od urządzeń w kokpicie.

– Dobra – stwierdził Mac, tym razem całkiem poważnie. – Nie mieliśmy za wiele czasu na omówienie sytuacji, więc zróbmy to teraz jeszcze raz. Aleksandrze?

Stikes wychylił się do przodu i zaczął mówić.

– Jak wiecie, mamy jedenastu pracowników pomocniczych ONZ plus jednego działającego pod przykrywką oficera MI6 – których talibowie wzięli jako zakładników. I dwanaście wolnych miejsc w helikopterach. – Zerknął za okno. Obok Black Hawka armii amerykańskiej leciała mniejsza maszyna, MH-6 Little Bird. – Chcę, żeby w drodze powrotnej wszystkie te siedzenia były zajęte. A tutaj – wskazał na jeden z foteli – ma siedzieć nasz kolega szpieg. Cały i zdrowy. Ma informacje o Al-Kaidzie, których potrzebujemy. Może nawet wie, gdzie ukrywa się Osama.

– Ciekawe, czy wystaliby nas na misję ratunkową, gdyby jeden z porwanych nie był tajnikiem – zastanawiał się Bluey.

– Ja tam nie jestem ciekaw – ponuro zażartował Chase, odpowiadając łysemu Australijczy-

kowi.

Stikesa to nie rozbawiło.

– Cisza, Chase. Lokalizatory GPS na ciężarówkach ONZ pokazują, że zostali zabrani na opuszczoną farmę i pół godziny temu wciąż tam byli. Na zdjęciach satelitarnych zrobionych dzisiaj wcześniej rano było widać jeden inny pojazd i kilka koni, więc szacujemy, że na miejscu jest nie więcej niż dziesięciu – dwunastu talibów. Wchodzimy, zmniejszamy ich liczbę do zera i odbijamy zakładników.

– Tak dla ścisłości – powiedział Starkman z teksańskim akcentem – mamy nie tylko uratować tych dobrych, ale też zlikwidować tych złych, zgadza się?

Zimny uśmiech Stikesa było wyraźnie widać nawet w zielonym poblasku wydobywającym się z kokpitu.

– Wszyscy poza zakładnikami są uznani za wrogów. Wiecie, co robi się z wrogami. – Drużyna zaśmiała się ponuro.

– Coś więcej na temat wsparcia z powietrza, sir? – spytał trzeci żołnierz SAS, potężny Walijszczyk nazwiskiem Will Green.

– Nic jeszcze nie potwierdzili – odpowiedział Stikes. – Wszystkie nasze maszyny w tym regionie uczestniczą teraz w innej operacji. W każdym razie te, które nie są zepsute. Jeśli coś się zwolni, prawie na pewno będzie to amerykański sprzęt.

– Cudownie, kurwa – mruknął Baine. – Ma ktoś zapasową kamizelkę kuloodporną? Nie ma to jak uciekać przed bratobójczym ogniem.

– Dosyć – przerwał mu ostro Mac. – Gdyby nie nasi amerykańscy przyjaciele, nie mielibyśmy nawet tych helikopterów. Cieszcie się, że nie jedziemy na miejsce w naszych Różowych Pantach. – Tak nazywano land rovery SAS pokryte różowawym kamuflażem pustynnym.

– Przepraszam, sir. – Baine z nie do końca szczerą skruczą skinął głową Starkmanowi.

– Jakież pytania? – spytał Stikes. Wśród żołnierzy zapadła cisza.

– Ostatnia sprawa – dodał McCrimmon. Spojrzał po swoich ludziach, najdłużej skupiając wzrok na Chasie. – Wszyscy braliście już udział w starciach, ale dzisiejsze może się różnić od waszych poprzednich doświadczeń. Cokolwiek będzie się działo, zachowajcie spokój, bądźcie skupieni i pamiętajcie, czego nauczyliście się na szkoleniu. Wiem, że uratujecie tych ludzi. Trzymajcie się razem i walczycie do końca.

– Do końca – powtórzył Chase, wraz z Greenem i Castille'em.

Przez kolejnych kilka minut słychać było wyłącznie silnik helikoptera. W końcu pilot odezwał się ponownie:

– Jedna minuta!

Chase zerknął za okno. Jego wzrok przywykł już do ciemności, więc zauważył, że teren wznosi się w stronę poszarpanych gór leżących na północy. Wciąż zdarzały się połacie pustynnej równiny, ale teraz były upstrzone stromymi, falującymi wzgórzami. Trudny teren.

Mieli po nim przejść dziesięć kilometrów.

Zmieniło się brzmienie silników Black Hawka. Helikopter gwałtownie szarpnął do tyłu, hamując przed lądowaniem. Chase cały się naprężył. Jeszcze tylko chwila...

Rozległ się odgłos uderzenia. Green odsunął drzwi kabiny po jednej stronie, Bluey po drugiej i żołnierze wybiegli na zewnątrz. Chase, trzymając przygotowaną broń – diemaco C8SFW, kanadyjską wersję amerykańskiego karabinu szturmowego M4 – wybiegł z kręgu wirującego pyłu i rzucił się płasko na ziemię. Wokół niego inni członkowie oddziału zrobili to samo.

Śmigłowiec wzbiał się w górę. Chase poczuł uderzenie żwiru porwanego podmuchem powietrza, kiedy maszyna odlatywała. Little Bird podążył za nią. Odgłosy śmigieł obu helikopterów uciły zaskakująco szybko.

Pył opadł. Chase, wciąż leżąc na ziemi, rozglądał się po okolicy, szukając jakichkolwiek oznak, że nie są tu sami.

Niczego nie zobaczył. Teren był czysty.

Usłyszał cichy gwizd, rozejrzał się i zauważył ciemną sylwetkę wstającego Maca. Pozostali poszli w ślady dowódcy. Zachowując ostrożność, zebrali się przed brodatym Szkotem, który włą-

czył czerwoną latarkę i sprawdził w jej świetle najpierw mapę, później kompas.

– Tędy – rzucił, wskazując w stronę gór.

Chase spojrział na czarny masyw wznoszący się na tle rozgwieżdżonego nieba i westchnął z niezadowoleniem.

– Co za syf. Mogłem się domyślić, że wybierzemy najbardziej stromą trasę.

– Stul pysk – warknął Stikes. – Chase, ty i Green idziecie pierwsi. Dobra, ruszać się!

Dla większości ludzi przebycie dziesięciu kilometrów w pagórkowatym, skalistym terenie – i to po ciemku – stanowiłoby drogę przez mękę. Dla oddziału Sił Specjalnych była to jednak tylko drobna niedogodność. Mieli noktowizory, ale nikt ich nie używał – gwiazdy i księżyc, świecące jasno na niezadymionym niebie, wystarczały do oświetlenia drogi. Po pokonaniu ośmiu kilometrów w niewiele ponad godzinę i czterdzieści minut Chase czuł tylko, że zrobił mu się odcisk na jednym palcu. Nawet Mac, starszy od reszty grupy o ponad piętnaście lat, był wciąż w na tyle dobrej formie, że nawet porządnie się nie zadyszał.

Chase i tak nie zamierzał mu odpuścić. Odłączył się od Greena i został nieco z tyłu, żeby pomówić z dowódcą podczas wejścia na wzgórze.

– Wszystko w porządku, stary? – spytał złośliwie. – Zdaje się, że trochę rżęzisz. Potrzebujesz tlenu?

– Bezczelny gówniarz – odpowiedział Mac. – Wiesz, kiedy przyjmowali mnie do pułku, kołom kazali ćwiczyć dużo ciężiej niż teraz. Taki palacz jak ty od razu by wymiękł.

– Na służbie nie pałę. I nie wiedziałem, że SAS istniało w dziewiętnastym wieku!

– Gęba na kłódkę, Chase – warknął idący za nimi Stikes. – Jak będziesz tak się darł, usłyszysz cię z odległości kilometra.

Chase, który już przedtem mówił niewiele głośniej niż podczas zwykłej rozmowy, ściszył głos i zamruczał:

– Zobaczymy, czy to usłyszysz, pieprzony fiucie.

– Co to było, sierżancie?

– Nic, Aleksandrze – odpowiedział Stikesowi Mac, tłumiąc śmiech. – Eddie, zamknij się.

Dogoń Willa, zanim dotrze do szczytu wzgórza. Już niedaleko.

– Robi się, sir – rzucił Chase, wyszczerzył się do Maca i szybszym krokiem poszedł w górę. Zanim zrównał się z Greenem, spowaźniał, by skupić się na akcji. Obaj mężczyźni padli na ziemię i przeczolągali się przez ostatnich kilka metrów, aby rozejrzeć się ze szczytu.

Przed nimi rozciągała się nierówna dolina o średnicy około ośmiuset metrów, zakończona stromo wznoszącym się zboczem piaszkowca. Od gór oddzielała ją wąska przełęcz. Niedaleko niej znajdowała się duża skała wznosząca się pionowo jak grot włócznie. Droga do odciętej od świata farmy w oczywisty sposób prowadziła przez przełęcz.

Tak oczywisty, że musiała to być pułapka – chyba że talibowie byli kompletnymi idiotami. Chase nie miał o nich najlepszego zdania, ale o taką głupotę ich nie podejrzewał. Drugiego końca jaru prawie na pewno pilnowali strażnicy. Było to naturalne wąskie gardło; do jego obrony wystarczyło kilka osób, ale nie sposób go było przebyć bez zaalarmowania wartowników. Gdyby jednak ktoś ich zauważył, byłoby po zakładnikach. Jeden wystrzał, a nawet jeden krzyk wystarczyłby do rozpętania piekła.

Strażników trzeba więc było unieszkodliwić, ale najpierw należało ich znaleźć.

Chase zrzucił plecak i wyjął z niego noktowizor. Włączył, poczekał, aż początkowy rozbłysk urządzenia przygaśnie, a potem założył. Widok stał się kilka razy jaśniejszy i zabarwiony na upiorne odcienie zieleni. Mężczyzna wypatrywał jakichkolwiek oznak ruchu. Bezskutecznie.

– Widzisz coś, Eddie? – cicho spytał Green.

– Na ziemi nic... teraz sprawdzę grań. – Chase uniósł głowę. Najwyższy punkt wzniesienia stanowił dogodny punkt obserwacyjny dający widok na całą równinę, ale dostanie się tam wymagało wiele wysiłku.

Najwyraźniej zbyt wiele – nikogo tam nie było. Eddie zamknął oczy, aby wzrok łatwiej się przyzwyczaił do ciemności, zdjął noktowizor i zamachał do czekających żołnierzy. Zanim dołączył do niego Mac, widział już prawie normalnie.

– Znalazłeś coś? – spytał dowódca.

– Nie. Myślałem, że wystawią kogoś na górze, ale jest pusto.

Mac rozejrzył się i wyjął mapę.

– Przejdziemy granią, w razie gdyby ktoś pilnował przełęczy od południowego wschodu. To zamknięty kanion. Nie będą się spodziewać ataku z tej strony.

Starkman popatrzył na ciasno upakowane poziomicę na mapie.

– Stromo tam.

Bluey smętnie spojrział na swój potężny karabin maszynowy Minimi i skrzynkę na amunicję mieszczącą dwieście nabojów.

– Wspaniale. Z takim obciążeniem na pewno będę skakać jak kozica.

– Starkman, Chase, Castille – wyliczał zniecierpliwiony Stikes – włączcie na szczyt i sprawdźcie, czy uda wam się ich zdjąć. Jeśli nie, zejdźcie na drugą stronę i załatwcie ich w kanionie. My będziemy czekać na wasz sygnał przy tamtej skale. – Zerknął na Maca, czekając na potwierdzenie. Szkot skinął głową. – Dobra, ruszać się.

Wyznaczona trójka sprawdziła radia i ruszyła przez równinę. Chase spojrział w górę, na teren oświetlony blaskiem księżyca.

– Tędy chyba damy radę bez lin – powiedział, wskazując ścieżkę. – Możemy... Co ty wyprawiasz, do cholery?

Castille obrał banana i zdążył już jednym ogromnym kęsem pochłonąć połowę.

– Dzięki temu dostanę kopa energetycznego – wymamrotał, przeżuając. – Przed nami długa wspinaczka.

Chase pokręcił głową.

– Dziwny jesteś, Hugo.

– Małpiego rozumu dostajesz od tych bananów – dodał Starkman. On i Chase wybuchnęli śmiechem, Castille prychnął, dokończył jedzenie owocu, zwinął skórkę i schował ją do kieszeni.

– To jak, wszyscy gotowi? – spytał Eddie. – A może masz tam jeszcze coś, na przykład kiść winogron?

– Możesz się śmiać – stwierdził Castille, ruszając w górę zbocza – ale prawda jest taka, że wy, Brytyjczycy, jecie za mało owoców. Dlatego jesteście tacy bladzi!

Chase wyszczerzył zęby w uśmiechu i poszedł za nim. Starkman zamykał pochód. Podejście okazało się nieco trudniejsze, niż wydawało się na początku, i trzech mężczyźni musieli pomagać sobie w przebyciu szczególnie stromych odcinków, ale szybko pokonali wzniesienie.

Idąc grzbietem grani, znów byli poważni i skupieni. Około dwustu metrów przed przełęczą Castille syknął. Wszyscy trzech natychmiast padli na ziemię z bronią w pogotowiu.

– Co się stało? – wyszeptał Chase.

– Widzę coś – wskazał Belg.

Chase zmrużył oczy i zauważył strużkę dymu unoszącą się w nocne niebo. Jej źródło znajdowało się na drugim końcu przełęczy.

Nie musieli się naradzać – wiedzieli, co robić. Po cichu skierowali się w dół grani. Poniżej znajdował się zamknięty kanion, a u jego wejścia pośród ciemności jaśniała niewielka pomarańczowa plamka. Ognisko.

Chase uniósł swój C8 i spojrział przez celownik. Tak jak się spodziewał, talibowie zostawili strażników pilnujących przełęczy, osłoniętych poszczerbionymi głazami. Dwaj mężczyźni w zakurzonych szatach i turbanach siedzieli przy ognisku. Jeden z nich miał AK-47 oparty o skałę, obok której siedział. Kolejny karabin leżał nieopodal na płaskiej skale. Bardziej niepokojąca była jednak inna broń – RPG-7, rosyjski granatnik. Na końcu jego długiej lufy widać było spiczastą głowicę bojową.

Eddie opuścił broń i ocenił odległość. Tuż poniżej dwustu metrów: jak najbardziej w zasięgu jego diemaco, nawet osłabionego potężnym tłumikiem zamontowanym na końcu lufy. Bułka z masłem.

Starkman doszedł do tego samego wniosku.

– Załatwmy ich – rzucił. – Ty zdejmujesz tego z lewej.



Chase skinął głową i ustawił się do strzału. Talib ponownie pojawił się w celowniku. Eddie skierował broń nieco bardziej do góry, tak by czerwona kropka widniejąca pośrodku znalazła się tuż nad głową mężczyzny. Kula obniży tor lotu i uderzy w skroń mężczyzny...

Nagle rozproszyły go własne myśli. „Nikogo jeszcze nie zabiłeś”. A przynajmniej nic o tym nie wiedział. Był już na akcji, strzelał do ludzi, którzy celowali do niego... ale teraz pierwszy raz szykował się do zabicia kogoś w ten sposób.

Szybko pozbył się wątpliwości. Trwała wojna, talibowie byli wrogami, a człowiek, którego widział w celowniku, zabiłby jego przyjaciół i towarzyszy, gdyby tylko miał taką możliwość. – Na trzy – wyszeptał Starkman. – Gotowy?

– Gotowy.

– Dobra. Raz, dwa...

– Wstrzymać ogień, wstrzymać ogień! – syknął Chase. Jego cel właśnie zerwał się na równe nogi. Eddie wodził za nim wzrokiem. – Czekaj, czekaj... cholera!

Talib zniknął za głazem. Chase szybko się przesunął w nadziei, że ponownie zobaczy cel po drugiej stronie, ale po kilku sekundach stało się jasne, że mężczyzna nie zamierza się pokazać.

– Kurwa! Zgubiłem go.

Castille spojrzał przez swój celownik.

– Zdaje się, że uciekł. Ten drugi cały czas do niego mówi.

– Musimy dorwać obu skurwieli jednocześnie – mruknął Starkman. – Jeśli jeden z nich się wymknie...

– Będziemy musieli zdjąć ich z dołu – stwierdził Chase. Popatrzył na dużą skałę niedaleko krawędzi grani. – Obwiąż ją liną. Ja zejść pierwszy.

Szybko zamocowali linę do skały. Chase spojrzał w dół. Ta ściana grani miała około dwudziestu metrów wysokości i bardziej przypominała klif niż zbocze wzgórza. Eddie zarzucił karabin na ramię i chwycił za linę.

– Dobra. Jeśli ci goście przy ognisku się ruszą, pociągnijcie za linę dwa razy. – Castille uniósł kciuk, Starkman skinął głową, a potem skierował karabin z powrotem na cel.

Chase zaczął schodzić. Choć od talibów dzieliło go dwieście metrów, poruszał się ostrożnie, jak cień na stromym klifie. Pokonał już trzy metry, sześć... Przy każdym kroku piaskowiec kruszył się pod jego butami. Dziesięć metrów, połowa drogi. Ognisko zniknęło za skałami, ale jego blask nadal był wyraźnie widoczny. Dwanaście. Spojrzał na podnóże klifu. Będzie musiał ominąć niewielki nawis, ale za kilka metrów powinien już dać radę bezpiecznie zeskoczyć...

Pod jedną podeszwą rozległ się trzask, potem głuchy odgłos i szmer opadającego żwiru, kiedy obluźowany kamień runął w dół i spadł na ziemię z głośnym łupnięciem.

A potem z dołu dobiegł głos. Zdziwione „Aa?”

Chase zamarł. Kolejny talib! Nawis okazał się większy, niż mu się zdawało, wystarczająco duży, by mógł się pod nim ukryć człowiek. Z dołu popłynęły słowa po pasztuńsku. Chase nie znał tego języka, ale z tonu głosu domyślił się, że ukryty mężczyzna pyta „Kto idzie?”. Rozległ się trzask włączanej latarki i na piasku pojawił się krąg słabego żółtego światła.

Mężczyzna dalej mówił po pasztuńsku, ale w jego głosie było słycać irytację, a nie zaniepokojenie. To już coś – talib nie spodziewał się w pobliżu nikogo poza swoimi towarzyszami. Gdyby jednak miał podejrzenia i postanowił je sprawdzić, wystarczyło, żeby spojrzał w górę...

C8 wisiało na pasku na plecach Chase’a. Eddie chwycił linę lewą dłonią, a prawą sięgnął w tył, starając się dosięgnąć karabin... ale kiedy przerzucił ciężar ciała, broń zakotłosała się, niemal pocierając tłumikiem o klif. Mężczyzna zacisnął zęby z wściekłości. Nawet gdyby udało mu się dosięgnąć diemaco, musiałby jeszcze jakimś cudem jedną ręką ustawić karabin w pozycji do strzału. Było to niewygodne i niemal na pewno narobiłby przy okazji hałasu.

Miał pistolet sig P228 w kaburze na klatce piersiowej, ale ta broń nie miała tłumika. Odgłos strzału byłoby słycać w promieniu wielu kilometrów.

W tej sytuacji pozostawał mu nóż bojowy, który miał przy pasie. Powoli sięgnął ręką w dół, odpiął pasek przytrzymujący broń i wyciągnął dwudziestocentymetrowe ostrze z pochwy.

Żółty krąg zatańczył na ziemi, kiedy spod nawisu wyszedł mężczyzna. Spojrzał w stronę

ogniska, później rozejrzał się wokół. Chase wiedział, co myśli wartownik: żadnego z jego towarzyszy nie było w pobliżu, więc hałasu musiał narobić kto inny.

Wciąż wisząc na linie, Eddie przesunął się w bok po klifie, aby zbliżyć się do celu.

Celu. Człowieka, nieważne, że wrogo nastawionego. „Nigdy wcześniej nikogo nie zabiłeś, nie z tak bliska, żeby móc mu spojrzeć w oczy...”

Talib się odwrócił. Promień latarki trafił na strącony kamień, poszczerbiony kawałek skały wielkości grejpfruta. Wartownik przyjrzał mu się, zaczął się odwracać... i nagle spojrzął w górę.

Chase skoczył na niego, i jedną ręką wbił mu nóż głęboko w gardło, a drugą zasłonił usta. Z rany trysnęła krew tętnicza, obryzgując mu policzek i szyję. Talib rzucał się i kopał. Leżąca na ziemi latarka oświetlała jedną stronę jego twarzy. Widoczne w świetle oko było szeroko otwarte, pełne bólu i przerażenia. Wartownik wlepił wzrok w zaczernioną kamuflażem twarz żołnierza, napotkał jego spojrzenie... i znieruchomiał, pustym wzrokiem gapiąc się w gwiazdy.

Chase przez chwilę, która wydawała mu się wiecznością, patrzył na ciało, potem wyrwał z niego nóż i usiadł obok.

– Jezu – wyszeptał. Poczł w ustach gorzki smak. Wytarł nóż, wsunął go z powrotem do pochwy i wyciągnął latarkę. Na kilka sekund przestał widzieć, później jego wzrok przywykł do ciemności.

Ciało wciąż leżało na ziemi jak wyrzut sumienia, z połyskującą raną na szyi.

Chase odwrócił wzrok, odpiął karabin i wycelował w stronę widocznego w oddali ogniska. Jeśli pozostali talibowie usłyszeli odgłosy walki, za chwilę tu będą.

Nie dostrzegł żadnego ruchu. Miał szczęście.

Podszedł do liny i pociągnął za nią trzy razy, dając sygnał, że droga wolna, potem obejrzał zagłębienie pod nawisem, żeby sprawdzić, co robił Afgańczyk. Dobiegający stamtąd zapach nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Chase przerwał wartownikowi wizytę w wychodku.

Starkman zeskokczył na ziemię obok przyjaciela, wzbijając przy tym chmurę piasku.

– Co się stało?

– Coś mu wypadło – odpowiedział Chase. Ponury żart wyrwał mu się, zanim zdążył go przemyśleć.

Starkman wyszczerzył zęby w uśmiechu, a potem cofnął się, żeby zrobić miejsce dla schodzącego Castille’a.

– Wszystko w porządku? – spytał Belg.

Chase nie chciał więcej o tym mówić.

– Tak – rzucił i wskazał karabinem w stronę ogniska. – Ale oni niedługo zauważą, że ich kolega podejrzanie długo nie wraca.

Pochylając się nisko nad ziemią, ruszyli naprzód. Zatrzymali się za skałą odległą od ogniska o około sześćdziesiąt metrów. Mężczyzna, który miał być celem Chase’a, siedział oparty plecami o duży głaz, ogryzając mięso z kości. Drugi talib przysunął się bliżej ogniska. W zasięgu ręki miał RPG.

Eddie już miał wycelować, kiedy Castille dotknął jego ramienia i zaproponował:

– Jeśli chcesz, ja to zrobię.

Chase pokręcił głową.

– Nie trzeba. – Po chwili dodał łagodniej: – Ale dzięki.

– Nie ma sprawy.

Przez chwilę spoglądali na siebie, potem Chase znów skoncentrował się na obrazie w celowniku.

Czerwona kropka znalazła się na czole taliba.

– Gotowy? – szepnął do Starkmana.

– Tak. Raz, dwa... trzy.

Tym razem nic nie zakłóciło wystrzału. Każdy z karabinów podskoczył raz, tłumiki wyciszyły odgłos wystrzałów. Chase mimowolnie mrugnął, a kiedy otworzył oczy, zobaczył, jak na skałę za głową jego celu pojawia się duży ciemnoczerwony rozbryzg.

– Cel zdjęty – stwierdził Starkman.

– Cel zdjęty – powtórzył Chase. Ciało jego ofiary powoli odchyliło się w bok, pozostawiając na skale czerwoną smugę. – Dobra, wzywamy chłopaków – dodał, sięgając po radio.

Pozostali członkowie drużyny, prowadzeni przez Maca, dotarli na miejsce trzy minuty później.

– Dobra robota – stwierdził dowódca, przyglądając się ciałom. – Byli tylko ci dwaj?

– I jeszcze jeden, o tam – wyjaśnił Starkman. – Eddie go załatwił. Wbił mu nóż w szyję.

Mac spojrział na Chase'a i uniosł brwi, kiedy zobaczył jego wyjątkowo pozbawioną wyrazu minę.

– Twój pierwszy zabity?

– Tak – odpowiedział Eddie beznamiętnym głosem.

– Cóż, dobrze wiedzieć, że potrafisz nie tylko gadać, Chase – z przekąsem zauważył Stikes, sprawdzając jedno z ciał. Nie doczekał się odpowiedzi, więc mówił dalej:

– Co to, żadnych przemądrzałych komentarzy? Chyba się tu nie rozkleisz, co?

Mac skrzywił się z irytacją.

– Aleksandrze, weź Willa i Blueya i sprawdźcie, czy teren jest czysty – rozkazał, wskazując na pokryte pyłem zbocze na północy. Kiedy Stikes spojrział na niego zdziwiony, Szkot warknął: – No jazda!

Stikes, którego irytacji nie zdołał ukryć nawet kamuflaż, przywołał pozostałych i ruszył w górę wzniesienia. Starkman zrozumiał zamiary dowódcy. Trącił łokciem Castille'a, dając mu sygnał, żeby na chwilę zostawił Maca i Chase'a samych.

– Jak się czujesz? – spytał Mac.

– Nie wiem – szczerze odpowiedział Eddie. – Ale chyba chujowo.

– Chce ci się rzygać?

– Tak – przyznał Eddie.

– To dobrze. – Mac pokrzepiająco położył rękę na ramieniu żołnierza. – Martwiłbym się, gdybyś czuł się inaczej.

– Jak to? – spytał zaskoczony mężczyzna. – Myślałem, że po całym tym szkoleniu będę mógł to zrobić, nie myśląc o tym. Bez emocji, na zimno.

– Szkolenie to nie wszystko, chłopie. Pierwszy raz, kiedy naprawdę musisz kogoś zabić... to całkiem co innego. Niektórzy w ogóle nie są w stanie tego zrobić. Inni to robią... i świetnie się przy tym bawią. Cieszę się, że ty należysz do trzeciej grupy. – Mac ścisnął ramię podwładnego. – Zrobiłeś to, co należało – ochroniłeś drużynę, misję i życie zakładników. Dobrze się spisałeś, Eddie. Zawsze w ciebie wierzyłem.

Na twarzy Chase'a pojawił się blady uśmiech.

– Dzięki, Mac.

– A teraz wracajmy do roboty. – Machnięciem ręki nakazał pozostałym członkom drużyny ruszać naprzód. W tej samej chwili odezwało się jego radio. – Tak?

Stikes wydawał się zaniepokojony, co było słychać nawet przez słuchawki.

– Majorze, mamy problem.

– Nie żartował, kurwa – warknął Chase.

Oddział ukrył się między wysuszonymi krzewami na szczycie wzniesienia. Przed nimi znajdował się płaski obszar otoczony górami, a w odległości mniej więcej trzystu metrów stało kilka walących się budynków: opuszczona farma, na którą talibowie zabrali więźniów.

Opis tego miejsca podany podczas odprawy przed misją okazał się dokładny. Szacunki dotyczące zgromadzonych tam sił nieprzyjaciela – już nie.

– Skąd oni się wzięli, do kurwy nędzy? – spytał Baine. Spodziewali się najwyżej kilkunastu talibów, ale co najmniej tylu widać było przy parterowych zabudowaniach farmy, a liczba rozbitych nieopodal namiotów wskazywała, że Afgańczyków jest znacznie więcej. Do trzech pomalowanych na biało pojazdów ONZ – dwóch średniej wielkości ciężarówek i toyoty land cruiser – oraz pikapa sfotografowanego przez satelitę dołączyły kolejne trzy zdezelowane terenówki, a „kilka” koni rozmnożyło się do co najmniej dziesięciu. Stało tam nawet kilka motocykli.

– To chyba nie ma wielkiego znaczenia – stwierdził Starkman. – Trzeba się tylko zastano-

wić, co z nimi robimy.

Mac spojrział przez noktowizor.

– Gdyby to była misja typu „znajdź i zniszcz”, nic by się nie zmieniło – nadal dysponujemy elementem zaskoczenia i większą siłą ognia. Ale musimy zadbać o zakładników... – Skupił wzrok na stodole oddalonej o sto metrów od głównego budynku. – Stodoły pilnuje dwóch ludzi, ale w środku jest ciemno. Pewnie tam ich trzymają.

Grupa talibów stojąca obok domu rozdzieliła się – część z nich, rozmawiając głośno, weszła do środka, inni skierowali się do namiotów. Kilku mężczyzn zostało na zewnątrz.

– Dobrze się składa – stwierdził Stikes. – Jeśli będą siedzieć w domu, możemy zwalić go im na głowy. – Wskazał na granatniki Heckler & Koch AG-C 40 mm zamontowane na karabinach Gre-na i Baine’a. – Uziemy paru skurwieli za jednym zamachem.

– Ale kilkunastu jeszcze zostanie – odpowiedział Mac, po czym dodał, wskazując na ciągnący się nieopodal płytki rów irygacyjny: – Eddie, Hugo, sprawdźcie, czy zakładnicy są w stodole i czy za domem nie ma więcej namiotów.

Żołnierze zdjęli plecaki i z bronią w rękę poczołgali się po pokrytej pyłem ziemi w stronę rowu. Poruszali się w żółwym tempie, żeby nie zwrócić na siebie uwagi strażników, więc dotarcie do stodoły zajęło im prawie dziesięć minut. Kanał przechodził w odległości około dwunastu metrów od zrujnowanego budynku. Kiedy znaleźli się poza polem widzenia strażników, Chase ostrożnie wychylił głowę z rowu. Nieopodal znajdowała się sterta śmieci, za którą mogli się ukryć po drodze do stodoły. Schował głowę, dał Castille’owi znak, by szedł za nim, i poczołgał się naprzód, bliżej śmietniska.

Znow spojrział w górę i zamarł w bezruchu, kiedy zobaczył wartownika z kałasznikowem zwisającym z ramienia. Mężczyzna przeszedł wzdłuż ściany stodoły i minął stertę śmieci.

Chase spodziewał się, że Afgańczyk skręci i obejdzie budynek od tyłu, jednak on poszedł prosto przez otwarty teren do niewielkiej szopy, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Nocne powietrze rozdarł przeraźliwy kobiecy krzyk. Chase wyciągnął pistolet. To nie mógł być żaden z zakładników – ONZ, świadome represyjnego nastawienia Afgańczyków, wysyłało tam na misję wyłącznie mężczyzn. Talibowie najwyraźniej mieli innego więźnia.

Więźniów. Kolejna kobieta zaczęła o coś błagać, zawodząc. Nagle przerwała, rozległ się odgłos kopnięcia i pełen bólu jęk. Mężczyzna krzyknął z obrzydzeniem, wyszedł z szopy, trzaskając drzwiami, zasunął zasuwę i odszedł.

Chase poczekał, aż wartownik zniknie mu z oczu, wyczołgał się z rowu i schował za stertą śmieci. Castille poszedł w jego ślady.

– Co to było? – wyszeptał Belg.

– Nie sądzę, żeby te fundamentalistyczne pojeby prowadziły tu przytułek dla kobiet – warknął Chase. – Chodź, zabierzemy je stąd.

– Czekaj, czekaj! Najpierw musimy znaleźć zakładników.

Chase skrzywił się, ale wiedział, że Castille ma rację.

– Dobra. Uważaj na... – Nagle przerwał i zaczął pociągać nosem. Smród śmieci był nieprzyjemny sam w sobie, ale mieszał się z nim inny, bardziej niepokojący zapach. – Czujesz to?

Szerokie nozdrza Castille’a zadrgały i mina mu zrzędała.

– Tak. Myślisz, że...

– Tak. Dokładnie tak. – Chase odchylił kawałek spleśniałego worka i odsłonił to, czego się obawiał – ciało. Miało białą skórę, nie oliwkową ani brązową. Jeden z zakładników. – Cholera!

– Tam jest następny – zauważył ponuro Castille. – Nie, dwóch następnych. Mają poderżnięte gardła.

– Oszczędzają na kulach – gorzko zauważył Chase, odsłaniając czwarte zwłoki ukryte pod pierwszymi. Nawet w świetle księżycy rozpoznał twarz, którą widział podczas odprawy przed misją. – Mam tu naszego agenta. Kurwa mać! – Wściekły Eddie przykucnął. – Znalazłeś jeszcze kogoś?

– Nie. Wychodzi, że zabili czterech.

– Czyli zostaje jeszcze ośmiu. – Chase spojrział na stodołę i na stojący przy niej przedmiot –

dużą staromodną lodówkę bez drzwi, przewróconą na bok. Ślady na ziemi wskazywały, że została wyciągnięta ze śmietnika i dosunięta do ściany. – Miej tu oko na wszystko, ja sprawdzę stodołę.

Chase, osłaniany przez Castille'a, poczołgał się naprzód. Tak jak podejrzewał, lodówka została przytargana w to miejsce, aby służyć jako barykada zasłaniająca otwór. Zajrzał przez szparę pomiędzy deskami stodoły.

Przez dziurawy dach wpadało do środka tyle światła, że udało mu się zobaczyć ciemną sylwetkę. Mężczyzna ciężko oddychał. Był związany, a jego twarz pociemniała od sińców i krwi.

Obok widać było związane nogi innego mężczyzny, w cieniu kryły się kolejne kształty.

Misja nie była zatem zakończona. Eddie doczołgał się do rogu stodoły i wyjrzał zza niego. Za domem zobaczył kolejnych sześć dużych namiotów i następne uwiązane konie. Wrócił do Castille'a i wczołgali się z powrotem do rowu. Następnie dotarli do krzaków, w których czekała reszta oddziału.

– Zabili czterech zakładników – poinformował pozostałych Chase. – W tym gościa z MI6.

Odpowiedziały mu rzucane półgłosem przekleństwa.

– No to misja poszła się jebać – stwierdził Stikes.

– Wciąż są tam pozostali zakładnicy – przypomniał mu Mac. – Widziałeś ich?

– Tak – potwierdził Chase. – Są w stodole, związani. Ale za domem stoi jeszcze sześć namiotów i kolejne konie. Myślę, że w sumie jest tu co najmniej ze czterdziestu Arabusów.

– Hmm – mruknął zamyślony Mac. – Jason, odpal radio i sprawdź, czy moglibyśmy liczyć na dodatkowe wsparcie. To mało prawdopodobne, ale trzeba spróbować.

– Myślisz, że nie damy rady ich załatwić? – spytał Baine.

– Nie wszystkich, nie podczas ucieczki z zakładnikami. Chciałbym mieć jak najlepszą osłonę.

– To nie wszystko – dodał Chase, kiedy Starkman nawiązywał połączenie. – Za stodołą jest szopa, w której trzymają kolejnych więźniów. A raczej więźniarki.

– I co proponujesz? – drwiąco spytał Stikes. – To nie nasz problem, my mamy tylko uratować naszych zakładników.

Chase spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Żartujesz sobie, kurwa? Te talibskie dupki nienawidzą kobiet!

– Proszę grzeczniej, sierżancie – syknął Stikes. – Rozumiem, że chcesz się pobawić w ryceza na białym koniu, ale nie możemy ich ze sobą zabrać. Nie zmieszczą się w helikopterach.

– Czterech zakładników nie żyje – przypomniał Chase – więc mamy wolne miejsca. A jeśli będzie ich więcej, część z nas mogłaby polecieć na płozach.

Baine prychnął.

– Nie zamierzam zwisać z pieprzonego helikoptera, żeby jakaś głupia suka w burce mogła się załapać na darmową przejażdżkę. Nigdy, kurwa, w życiu.

Chase, wściekły, zbliżył się do niego, ale Mac uniósł rękę.

– Eddie, przykro mi, ale Aleksander ma rację. Naszym priorytetem są zakładnicy. Kobiety będą... – Z przygnębieniem pokręcił głową. – Będą musiały poradzić sobie same.

– Czy mogę chociaż wypuścić je z szopy?

Mac przez chwilę się zastanawiał.

– Jeśli sytuacja na to pozwoli.

Chase skinął głową. Wszyscy odwrócili się w stronę Starkmana, który zakończył połączenie.

– Mam dwie wiadomości: dobrą i złą.

– A to niespodzianka – zareagował nerwowo Bluey.

– Dobra wiadomość jest taka, że w powietrzu jest Spooky, kryptonim Hammer Four-One. Zła jest taka, że w tej chwili bierze udział w innej operacji i nie potrafili mi powiedzieć, kiedy ani czy w ogóle do nas dotrze.

– Czyli na śmigłowce nie ma co liczyć? – spytał Mac. Starkman pokręcił głową. – No to wszystko jasne. Nie możemy czekać na wsparcie – ktoś tu się w końcu zorientuje, że wartownicy zniknęli. Ruszamy.

Dziesięć minut później Chase znalazł się ponownie pod stodołą. Tym razem towarzyszył mu Stikes, nie Castille. Kapitan czał się przy stercie śmieci i ciał, a Chase kucał w ciemnościach, opierając się o zardzewiałą lodówkę.

Mijały kolejne minuty. Chase'a zaczęły boleć łydki, ale zignorował to, koncentrując się wyłącznie na zadaniu. Tym razem wiedział doskonale, co robić. Świadomość tego, co zrobili talibowie czterem zakładnikom i jak mogli postąpić z innymi więźniami, pozbawiła go wszelkich wątpliwości co do słuszności podejmowanych działań. Napiął mięśnie, aby opanować sztywnienie nóg. Nie mógł pozwolić sobie teraz nawet na najdrobniejszy błąd...

– Psst! – syknął Stikes, sygnalizując, że wartownik zaczyna kolejny patrol wokół stodoły. Chase, nieruchomy, wsłuchiwał się w odgłos kroków taliba i szelest luźnego ubrania, kiedy mężczyzna zbliżał się do niego...

Eddie skoczył naprzód i lewą ręką zatkał usta brodatemu Afgańczykowi. Wyciągnął nóż. Tym razem jednak nie wbił ostrza głęboko w mięśnie, a przycisnął je płasko do gardła mężczyzny, przyduszając go. Stikes błyskawicznie podbiegł do nich, podwinął szatę Afgańczyka i skierował swój nóż między jego nogi, sycząc po pasztuńsku:

– Jedno słowo i obetnę ci jaja.

Chase poczuł, jak talib sztywnieje z przerażenia.

– Myślę, że załapał – wyszeptał.

Wciąż trzymając nóż przy kroczu mężczyzny, Stikes wyprostował się i zamachał w kierunku rowu. Wyłoniły się z niego dwie sylwetki: Castille i Starkman. Kapitan znów zaczął mówić po pasztuńsku, jego niebieskie oczy, skupione na więźniu, błyszczały w świetle księżyca.

– Jeśli nie zrobisz dokładnie tego, co ci powiem, wypatroszę cię jak świnię. Kiwnij głową, jeśli zrozumiałeś. – Mężczyzna zrobił, co mu kazano. Starkman i Castille przywarli do ściany tuż przy przednim rogu stodoły. – Dobrze. Teraz zawołaj tu drugiego strażnika, nie za głośno. Dobrze?

Afgańczyk znów słabo skinął głową. Stikes dał znak Chase'owi, by zdjął rękę z ust mężczyzny. Nadal jednak przyciskał czubek noża do jego tchawicy. Talib wziął kilka długich, chrapliwych oddechów, później drżącym głosem odezwał się po pasztuńsku. Stikes mocniej przycisnął nóż do genitaliów mężczyzny.

– Jeszcze raz. Pewniej.

Afgańczyk powtórzył nieco mocniejszym głosem.

Drugi z wartowników, stojący poza zasięgiem wzroku, przed stodołą, odburknął coś lekceważąco. Jedno spojrzenie Stikesa wystarczyło, by więzień bardziej się postarał. Drugi strażnik, narzekając, wyszedł zza rogu – i zamiast jednej postaci, której się spodziewał, zobaczył w świetle księżyca aż pięć. Chwycił swój AK, otworzył usta, by ostrzec innych...

Kule z wytłumionych C8 Greena i Baine'a, dwóch komandosów SAS wciąż ukrytych w krzakach trzysta metrów dalej, wytrysnęły z tyłu jego czaszki, wraz z kawałkami tkanki i odłamków kości. Jego ciało opadło do przodu bezwładnie – chwycił je Castille, a Starkman złapał kałaszniczkę, zanim karabin zdążył upaść na ziemię.

Stikes cofnął nóż trzymany przy kroczu jeńca. W oczach taliba na chwilę pojawiła się nadzieja. Znikła, kiedy Stikes przyłożył ostrze nad sercem mężczyzny. Kapitan znów przemówił, tym razem po angielsku:

– Pozdrów ode mnie siedemdziesiąt dwie dziewice.

Mężczyzna wpatrzył się w niego ze strachem i niezrozumieniem – a ostrze zatopiło się w jego klatce piersiowej. Stikes, lekko się uśmiechając, przekręcił nóż, a potem wyszarpnął go z rany. Szaty mężczyzny pociemniały od wylewającej się krwi. Chase ponownie zakrył ręką usta rzucającego się Afgańczyka, tłumiąc zwierzęce wrzaski wydawane przez umierającego... do chwili, gdy wszelkie ruchy i odgłosy ustały.

Eddie, zaciskając zęby, puścił mężczyznę. Ciało opadło na piasek. Z rowu wyszli Mac i Bluey.

– Bluey, miej oko na przód stodoły. Stikes, osłaniaj tył – rozkazał dowódca, po czym wskazał na lodówkę. – Cała reszta, odsunąć tego grata. Wydostaliśmy ich stąd.

Przesunięcie zardzewiałej lodówki zajęło czterem mężczyznom zaledwie chwilę. Chase zaj-

rzał do stodoły. Starcie z wartownikami zwróciło uwagę zakładników, a związany mężczyzna, którego widział wcześniej, spojrzął na niego z przerażeniem.

– Wszystko w porządku – cicho powiedział Eddie. – Przyjechaliśmy zabrać was do domu. – Precisnął się przez szparę, za nim weszli Mac, Starkman i Castille. Szybko przecięli więzy krępujące zakładników.

– Mac! – Na zewnątrz rozległ się nerwowy szept. – Z domu idzie tu dwóch gości.

Nieobecność strażników została zauważona.

– Hugo, zabierz ich do rowu, potem wróć do Blueya – rozkazał Mac. – Eddie, idź z Aleksandrem. Jason?

– Już się robi – rzucił Starkman, wyjmując z plecaka dwie miny Claymore. Umieścił je na drzwiach stodoły i połączył zapalnikiem.

Zakładnicy byli w marnym stanie. Chase, który wyszedł za nimi ze stodoły, uświadomił to sobie, patrząc, jak ledwo idą za Castille'em. To spowolni ich ucieczkę – kiepska sprawa, biorąc pod uwagę, że mieli na karku czterdziestu wkurzonych talibów.

Będą musieli się ich pozbyć.

Eddie dołączył do Stikesa przy tylnym rogu stodoły. Kilku brodatych mężczyzn z kałasznikowami stało teraz przy koniach, inni przechadzali się pomiędzy namiotami. Z tyłu Chase słyszał, jak Mac wzywa przez radio helikoptery do natychmiastowej ewakuacji, prawdopodobnie pod ostrzałem.

Zakładnicy ukryli się w rowie. Castille pobiegł do Blueya. Starkman wyszedł ze stodoły, przygotowując broń. Chase czuł, jak wali mu serce.

Ktoś stojący przed stodołą krzyknął po pasztuńsku, potem rozległo się skrzypienie otwieranych drewnianych drzwi...

Obie miny eksplodowały. W każdej znajdowało się półtora funta C-4. Materiał wybuchowy wyrzucił do przodu siedemset stalowych kulek, tworząc niszczycielski rój poruszający się z prędkością ponaddwukrotną. Drzwi przestały istnieć, a dwaj stojący za nimi talibowie zmienili się w rozbrzyg skrawków mięsa i kości.

Zanim ucichł odgłos podwójnego wybuchu, Chase i Stikes wyszli na otwarty teren i otworzyli ogień. Dwaj talibowie stojący przy koniach padli od kul Chase'a, Stikes zdjął jeszcze jednego mężczyznę, a później zaczął strzelać do najbliższych położonych namiotów. W brudnym płótnie namiotowym pojawiły się otwory po kulach. Ze środka dobiegły krzyki.

Kolejne wystrzały odezwały się przed stodołą. Odgłosy wyposażonego w tłumik C8 Castille'a były niemal niesłyszalne przy szczekaniu i ryku karabinu maszynowego Blueya. Mężczyźni celowali w Afgańczyków stojących przed głównym budynkiem farmy. Rozległy się kolejne wrzaski, a talibowie znajdujący się w środku zdali sobie sprawę, że są pod ostrzałem i z krzykiem rzucili się do wyjścia...

Przednia ściana domu się rozpadła, a dach runął do wewnątrz. Budynek został trafiony serią granatów z silnymi ładunkami wybuchowymi, wystrzelonych przez Baine'a i Greena. Nad ruinami wzbila się olbrzymia chmura pyłu, która zasłoniła namioty i ogarnięte paniką konie.

Mężczyzna uzbrojony w kałasznikowa wybiegł z namiotu i padł martwy od strzału Chase'a. Stikes szył z karabinu do kolejnych namiotów, aby zlikwidować ich mieszkańców, zanim ci zdążą się ruszyć. Ryk Minimi ucichł, a drużyna usłyszała wściekłe wrzaski pozostałych przy życiu talibów, którzy usiłowali się przegrupować. Po chwili znów zostały zagłuszone, kiedy Bluey wznowił ogień.

Chase zerknął za siebie i zobaczył, że Mac i Starkman prowadzą zakładników wzdłuż rowu irygacyjnego. Castille i Bluey wycofali się, aby ich osłaniać. Wiedział, że powinien do nich dołączyć, ale miał coś jeszcze do zrobienia.

Wciąż rosnąca chmura pyłu spowiła namioty za zniszczonym domem. To była jego szansa. Oderwał się od Stikesa i pobiegł do szopy.

– Chase! – ryknął Stikes. – Wracaj tu!

Eddie zignorował go, odsunął zasuwę i szeroko otworzył drzwi. Z ciemnej szopy dobiegł przestraszony krzyk. Chase zapalił latarkę i szybko przesunął jej światłem po wnętrzu. Zobaczył

pięć niemal bezkształtnych sylwetek. Nawet oczy kobiet były ledwie widoczne przez pokryte siatką otwory w okrywających je czadorach. Miały ręce związane za plecami i spętane stopy, skryte pod ciężkimi szatami.

– Nie bójcie się – powiedział Chase. – Jestem tutaj, żeby wam pomóc. Jestem Brytyjczykiem, nie talibem. – Mimo siatki, widział, że kobiety mają opuchnięte, podbite oczy. – Dranie – wymamrotał, wyciągając nóż. Jedna z kobiet przenikliwie krzyknęła ze strachu i próbowała odczołgać się od niego. Eddie odłożył diemaco. – Pomogę, okej? – Kobieta zrozumiała i odwróciła się tak, by mógł przeciąć jej więzy. Z zewnątrz dobiegła kolejna eksplozja granatu, a po niej huk wybuchającego zbiornika paliwa: Green i Baine zniszczyli jedną z ciężarówek.

– Chase! – W drzwiach stanął Stikes z bronią w ręku. – Co ty robisz, do cholery?

– To, co zapowiadałem. – Eddie zaczął przecinać linę.

– Zostaw je, to rozkaz. Wynosimy się. Już!

– Możemy zabrać je ze sobą.

– Zostaw je!

– Nie. W śmigłowcach wystarczy miejsc. Tylko...

Stikes otworzył ogień. Mimo tłumika, huk wystrzałów jego automatycznego karabinu był boleśnie głośny w zamkniętej przestrzeni. Strumień kul ściał pięć kobiet, obryzując Chase'a krwią.

– Jezus Maria! – ryknął Chase, odskakując z linii ognia. Wyciągnął swoje C8, i zobaczył, że kapitan mierzy w niego z dymiącej lufy. – Co ty, kurwa, wyprawiasz?

– Podawałem zasady misji – zimno odpowiedział Stikes. – Wszyscy, poza naszymi zakładnikami, uznawani są za wrogów. – Uśmiechnął się jadowniczo. – Mówiłem też, co robimy z wrogami. Opuść broń.

– Ty skurwielu – warknął Chase. Czarny walec tłumika wciąż był wymierzony w jego głowę. Powoli, z ociąganiem, Eddie opuścił broń.

– Dobrze. A teraz idziemy – stwierdził Stikes. Nie opuszczając diemaco, wyszedł z szopy, odwrócił się i pobiegł w kierunku stodoły.

Chase wyskoczył z budynku, czując ogarniającą go wściekłość. Powinien strzelić śmieciowi w plecy...

Nie. Nie powinien. Mieli misję do wykonania. Podszedł do drzwi, zatrzymał się na chwilę, by ponownie spojrzeć na rozrzucone bezwładnie ciała, i ze wściekłym rykiem pobiegł za Stikesem.

Castille i Bluey wciąż strzelali, posuwając się wzdłuż rowu za uciekającymi zakładnikami. Stikes przebiegł obok nich, a Chase do nich dołączył. Jedna ciężarówka ONZ stała w płomieniach, wszystkie pozostałe pojazdy były uszkodzone. Sądząc z rozbłysków wystrzałów za zawalonym domem, przy życiu pozostało co najmniej piętnastu talibów. Strzelali głównie na oślep, ich kule wbijały się w ziemię przed rowem, nie robiąc nikomu krzywdy. Chase przeszedł tor lotu kul trafiających najbliżej, aby określić położenie najlepszego strzelca, i powalił go jednym strzałem w głowę.

– Nieźle – stwierdził Castille. – Co tam robiliście ze Stikesem?

– Powiem ci później – ponuro odpowiedział Chase. Spojrzał wzdłuż rowu. Stikes zrównał się z Makiem, zamykającym bezładny pochód zakładników. Prowadzący ich Starkman był już prawie przy zaroślach. – Czas się zbierać.

– Co racja, to racja – stwierdził Bluey, wypuszczając długą serię i na czworakach ruszając przed siebie. Chase i Castille poszli za nim. Z krzaków dobiegł głuchy odgłos, a chwilę później jedna z terenówek przetoczyła się na dach, wybuchając ogromną kulą ognia. Kolejny strzał z AG-C trafił w cel. Mężczyzna z płonąca brodą i w dymiącej szacie z krzykiem pobiegł w noc. – Teraz raczej już za nami nie pojadą!

– Nadal mają motocykle – przypomniał mu Chase. – I konie.

– Czyż nie dobija się koni? – Bluey zarechotał, strzelił jeszcze raz, aby zmusić talibów do ukrycia się, i pobiegł za Stikesem.

Chase skrzywił się na ten żart i ruszył za nim, zamykając kolumnę. Ogień z kałasznikowów był teraz rzadszy, ale dokładniejszy. Niedobitki otrząsnęły się z szoku.

Zakładnicy wyszli już za zarośla, Mac prowadził ich w dół zbocza. Z krzaków wystrzelił niewielki, syjący iskrami przedmiot – granat dymny. Wypłynęła z niego gęsta szara chmura. Po



chwili pojawił się drugi granat, między żołnierzami a talibami wyrosła zasłona dymna.

– Hugo, Eddie, ruchy! – krzyknął Mac, kiedy Green i Baine wyskoczyli z kryjówki. – Śmigłowce są już w drodze. Szybciej!

Nie musiał powtarzać dwa razy. Chase dogonił dowódcę na zboczu.

– Mac, te kobiety... Wszystkie zginęły!

– Co? Jakim cudem Arabusom w ogóle udało się do nich zbliżyć?

– To nie oni. To Stikes – ten skurwiel je zastrzelił.

Po minie Maca było widać, że jest w szoku, ale zanim zdążył odpowiedzieć, przerwał mu krzyk Starkmana.

– Mac! Leci tu Hammer Four-One, ma trzy minuty drogi. Chcą wiedzieć, czy potrzebne nam wsparcie.

Z tyłu dobiegł ich trzask ognia z kałasznikowów. Talibowie przebili się przez zasłonę dymną.

– Można chyba przyjąć, że tak! – odkrzyknął Mac, kiedy żołnierze odpowiedzieli ogniem, po czym głośniejszym rozkazał:

– Włączyć stroboskopy! Włączyć stroboskopy! Zbliża się śmigłowiec bojowy!

Chase włączył lampę przymocowaną do plecaka. Pulsujące światło było niewidoczne gołym okiem – ale rozbłyskało jaskrawo na radarach nadlatujących śmigłowców, pokazując strzelcom położenie sojusznicznych oddziałów.

Teoretycznie.

– Aleksander! – krzyknął Mac, kiedy Starkman łączył się przez radio. – Zabierz cywilów do strefy lądowania, weź Willa i Keva. My będziemy was osłaniać. Ruszaj!

Stikes uniósł w górę kciuki i ruszył, prowadząc pochód. Chase zauważył, że mimo niebezpieczeństwa wyczerpani torturami i zagłodzeni zakładnicy zwalniają, a do lądowiska mieli jeszcze ponad osiemset metrów.

Co gorsza, talibowie byli coraz bliżej. Ostrożnie posuwali się w dół zbocza, kryjąc się za skałami, mieli jednak przewagę taktyczną – znajdowali się wyżej i posuwali się naprzód, a drużyna zmuszona była się cofać, strzelając pod górę.

– Zatrzymać ich tutaj? – krzyknął Chase do Maca, kiedy kulili się za przylegającymi do siebie głazami.

Szkot ocenił teren okiem eksperta.

– Kawałek dalej, bliżej wejścia na przełęcz. Jeśli tam ich zatrzymamy, zakładnicy będą mieli czas dotrzeć do śmigłowców. – Wskazał na dużą skałę. – Tam. Możemy...

– RPG! – wrzasnął Starkman. Chase natychmiast się skulił, zasłaniając twarz i uszy. Granat z wyrzutni raketowej potoczył się w dół zbocza i wybuchł mniej niż trzydzieści stóp od niego. Skała ochroniła go przed bezpośrednimi skutkami eksplozji, ale jej huk słyszany z tak bliska był boleśnie głośny. Eddiego pokryła warstwa kamieni i pyłu. Głowica bojowa zawierała silny ładunek wybuchowy, nie przeciwpiechotny szrapnel, ale przy tak bliskiej odległości wcale nie była przez to mniej niebezpieczna.

Bluey, choć znajdował się dalej, nie miał osłony i po ostrzeżeniu Starkmana zdołał jedynie rzucić się płasko na ziemię. Chase zauważył, że Australijczyk trzyma się za głowę.

– Bluey, wszystko w porządku?

– Cholerne małe brudasy! – odwrzasnął Bluey. – Przez nich dostałem w łeb pieprzonym kamieniem! – Nadal leżąc na brzuchu, przesunął się, puścił w górę zbocza serię z karabinu maszynowego i wczołgał się za wyszczerbioną skałę.

Bluey nie był jedyną ofiarą wybuchu. Zakładnicy wciąż znajdowali się sto metrów od przełęcz. Jeden z nich wpadł w panikę, odłączył się od grupy i pobiegł w stronę zamkniętego kanionu.

– Green! – krzyknął Stikes – Sprowadź tu tego idiotę!

Żołnierz pobiegł za uciekinierem, ale talibowie już zdążyli go zauważyć. Zawarczały kałasznikowy, wzbijając żwir i pył z ziemi wokół mężczyzny. Walijczyk rzucił się naprzód, by powalić biegnącego na ziemię...

Za późno. Zakładnik został trafiony. Obrócił się, a potem padł na ziemię jak porzucona

szmaciana lalka. Green, który znajdował się tuż za nim, też oberwał – kula z karabinu wbiła mu się w bok klatki piersiowej. Upadł ze zduszonym krzykiem i usiłował wpełznąć za ciało, żeby zapewnić sobie jakąkolwiek osłonę.

– Mamy rannego! – krzyknął Mac. Chase zaklął. Green znajdował się na otwartym terenie, ponad dwadzieścia metrów od jakiegokolwiek osłony. Talibowie nie przerywali ognia. Jeśli mieli jeszcze rakiety, nie zawahają się ich użyć.

Eddie wiedział, co zrobi Mac, jeszcze zanim tamten się odezwał.

– Stikes, weź cywilów do helikopterów! – ryknął Szkot. – Kev, Jason, po Greena. Reszta – osłaniać ich!

Chase wyskoczył zza skały, za którą się krył, i otworzył ogień, przestawiając C8 w tryb automatyczny. Nie myślał o oszczędzaniu amunicji – teraz ważne było tylko, by wraz z Makiem, Castille'em i Blueyem udało im się zmusić talibów do ukrycia, aż Starkman i Baine zabiorą rannego.

Wypatrzył rozbłysk z lufy AK i strzelał w jego stronę, dopóki kałasznikow nie umilkł, potem poszukał kolejnego. Skończył mu się magazynek. Przykucnął, odrzucił pusty magazynek, wyciągnął z ekwipunku zapasowy, wpiął go na miejsce precyzyjnym, wyćwiczonym ruchem i przeładował. Wszystko zajęło mu zaledwie trzy sekundy. Potem wstał i znów otworzył ogień.

Mac i Castille byli równie skuteczni. Terkot ich karabinów stawał się coraz głośniejszy w miarę, jak tłumiki przepalały się od nieprzerwanego ognia. Na zboczu rozległ się wrzask. Kolejny talib został zlikwidowany. Eddie nie wiedział, ilu jeszcze pozostało – ale wciąż było ich zbyt wielu.

Kanonada osiągnęła jednak swój cel – ogień z karabinów niemal ustał. Chase zerknął w stronę Greena i zobaczył, jak Starkman podnosi go do pozycji pionowej, a Baine biegnie im pomóc. Do przeniesienia rannego żołnierza do strefy lądowania było potrzebnych dwóch ludzi, a podczas transportu nie mieli oni możliwości otwarcia ognia. Drużyna zmniejszyła się do pięciu mężczyzn w gotowości bojowej.

Za chwilę miało ich zostać czterech. Strumień ołowiu, którym pluł karabin Blueya, zmienił się w pojedyncze wystrzały. Kończyła się amunicja do Minimi. Australijczyk zabrał tylko jedną skrzynkę – dwieście naboje zwykle wystarczało.

Baine i Starkman, podtrzymując Greena, kierowali się w stronę przełęczy.

– Nie przerywać ognia! – rozkazał Mac, kiedy kałasznikowy odezwały się ponownie. Chase zasypał gradem kul kolejną rozbłyskującą lufę. Trafił. Rzucony bezwładnie karabin przez chwilę strzelał w niebo, potem umilkł. Eddie znów wymienił magazynek. Teraz naprawdę musiał zacząć oszczędzać naboje – został mu już tylko jeden zapasowy.

Stikes i zakładnicy zniknęli z zasięgu wzroku. Baine, Starkman i Green zbliżali się do przełęczy. Chase usłyszał w oddali warkot śmigieł.

– Hugo, Bluey, wycofać się! – krzyknął Mac. – Eddie, osłaniaj ich! – Miał dodać coś jeszcze, kiedy odezwało się jego radio. Skulił się, by dosłyszeć wiadomość przez łoskot karabinu maszynowego Blueya, kiedy Australijczyk i Castille wycofywali się w stronę doliny.

Chase przestawił diemaco z powrotem na pojedyncze strzały i próbował zdjąć napastników, strzelając w górę zbocza. Kule wyszczerbiły osłaniającą go skałę; drgnął i osłonił oczy przed odpryskami kamienia, potem skierował celownik na źródło ognia i pociągnął za spust. Ciemny kształt kryjący się za głazem padł na ziemię.

Green i jego towarzysze byli już na przełęczy, Bluey i Castille – niedaleko za nimi.

– Eddie! – wrzasnął Mac. – Chodź! Śmigłowiec szturmowy...

Coraz głośniejszy wysoki pisk słyszalny z góry zagłuszył jego słowa...

Wybuch wyrwał krater w zboczu dwadzieścia metrów przed Chasem. Fala uderzeniowa povaliła go na ziemię. Poczul się, jakby mocno dostał pięścią w głowę, a dzwonienie w uszach niemal zagłuszyło wszystkie inne dźwięki. Jakimś cudem zdołał usłyszeć kolejny świst i zakrył uszy dłońmi. Druga eksplozja zatrzęsa ziemią.

Przybyło wsparcie powietrzne.

Wokół strefy walk krążył amerykański śmigłowiec szturmowy AC-130U Spooky II – niepozorny transportowiec Hercules zmieniony w anioła śmierci. Zamiast ładunku miał na pokładzie trzy

działa, od gatlinga kalibru .25 do 105-milimetrowej haubicy, zamontowanej na lewym boku śmigłowca w taki sposób, aby dało się ją skierować na cel z krążącej maszyny. Wystrzały, które prze-wróciły Chase'a, oddano z boforsa kalibru .40, działa artyleryjskiego, które według pierwotnego za-mysłu miało służyć do ostrzału samolotów, nie z samolotów. Dzięki zamontowanej w dziale baterii czujników Spooky mógł zlokalizować i zniszczyć wojska lądowe z odległości kilku kilometrów.

Aktualnie miał na celowniku Chase'a.

– Jestem po waszej stronie, cholerni idioci! – wrzasnął Eddie.

Rozległ się kolejny wybuch, za nim jeszcze jeden – tym razem wyżej na zboczu. Chase miał nadzieję, że oznacza to, że artylerzysta obsługujący boforsa w końcu zauważył jego stroboskop. Rozejrzał się. Mac był już na przełęczy i rozpaczliwymi gestami wzywał go do siebie.

Strząsnął ziemię i żwir, którymi obsypały go dwa wystrzały z 40-milimetrowego działa, za-uważał, że zgubił słuchawki od radia, i wstał. Znów słyszał normalnie, odległemu *pom, pom, pom* boforsa towarzyszył huk spadających pocisków. Zobaczył kolejne wybuchy na zboczu i pobiegł w stronę przełęczy. Mac zamachał do niego ostatni raz i pobiegł za resztą żołnierzy. Spooky mógł zatrzymać talibów w miejscu, dając chłopakom tyle czasu, ile potrzebowali na dotarcie do czekają-cych helikopterów...

Bofors nagle zamilkł. Rozległ się ostatni wybuch i na polu bitwy zapanowała cisza. Albo ta-libowie zostali wystrzelani, albo...

Chase spojrział w niebo i zdał sobie sprawę, że bitwa jeszcze się nie skończyła. Śmigłowiec szturmowy musiał wlecieć za górę, między działami a ich celem pojawiła się skalna tarcza. Spooky już wzbijał się wyżej, by temu zaradzić, ale na razie niedobitki Afgańczyków mogły kontynuować pościg.

Eddie dotarł do przełęczy. Mac był ponad sto metrów przed nim. Z tyłu nikt nie otworzył ognia...

Pojawił się za to nowy dźwięk – ryk silników. Nie wydawał go śmigłowiec AC-130 wylatu-jący zza gór, a motocykle.

Talibowie pojechali za nim.

Na zboczu było widać tylko dwa posuwające się w dół światła. Motory i ich kierowcy kryli się w mroku, ale jeśli Afgańczycy mieli jeszcze zapas rakiet, jeden z nich z pewnością był uzbrojo-ny w RPG-7.

To oznaczało zagrożenie dla całej misji. Strzał z granatnika mógł z łatwością zestrzelić heli-kopter.

Wąwóz rozszerzył się w dolinę. Mac już w niej był, biegnąc w stronę czerwonej racy ozna-czającej punkt zbiórki. Śmigłowce jeszcze nie wylądowały. Black Hawk zbliżał się do ziemi, Little Bird krążył powyżej. Stikes połączył się przez radio z pilotami i poinformował ich, że do zabrania jest tylko piętnaście osób zamiast planowanych dwudziestu; będzie im ciasno, ale wszyscy zmiesz-czą się w Black Hawku. W ten sposób MH-6 nie będzie musiał lądować.

Taka decyzja oznaczała, że łatwiej będzie dorwać wszystkich naraz – ale podejmowali ją, nie wiedząc o motocyklach.

Chase jeszcze raz zerknął za siebie i uświadomił sobie, że talibowie go dogonią, zanim zdą-ży dotrzeć do strefy lądowania. Zamiast na lądowisko pobiegł więc do ogromnej skały sterczącej z piasku.

Black Hawk znajdował się około piętnastu metrów nad ziemią, jego wirnik wzbijał koliste tumany kurzu. Mężczyźni stojący w strefie lądowania osłonili twarze. Mac jeszcze do nich nie dołą-czył, rozglądał się za Chasem – i zobaczył światła motocykli. Próbował krzyknąć, aby ostrzec pozos-tałych, ale zagłuszył go huk helikoptera.

Pierwszy motocykl wiozący dwóch mężczyzn wyskoczył z przełęczy. Skręcił, by pojechać za Chasem, ale jego kierowca zauważył bardziej interesujące cele na równinie. Zawrócił, a Afgań-czyk siedzący za nim uniósł broń.

RPG-7. Uzbrojony i gotów do strzału.

Drugi motor pognał za upatrzoną ofiarą. Pasażer otworzył ogień z AK-47, a Chase schował się za skałę. Kule rozwaliły kamień leżący obok niego, jednak żołnierz nie odpowiedział ogniem –

skupił uwagę na innym celu.

Talib z granatnikiem wycelował RPG-7 w Black Hawka unoszącego się na wysokości kilku metrów nad ziemią. Helikopter znajdował się w odległości dwustu metrów od niego, był duży i poruszał się bardzo powoli – był łatwym celem.

Żołnierze w końcu usłyszeli ostrzeżenia Maca i padli na ziemię, ciągnąc za sobą zakładników.

Chase otworzył ogień z C8 w trybie automatycznym i wystrzelił cały magazynek w motocyklistów. Stary radziecki motocykl gwałtownie skręcił...

Ale spust został już naciśnięty.

Granat o napędzie raketowym wystrzelił z RPG-7, kiedy motocykl padał na ziemię, przeleciał obok Maca i z sykiem przemknął ponad mężczyznami leżącymi na ziemi, kierując się w stronę Black Hawka...

Stożkowata głowica bojowa chybiła celu – musnęła tylko osłonę kokpitu, a potem, zataczając kręgi, poleciała dalej i eksplodowała pięćdziesiąt metrów za helikopterem, nie robiąc nikomu krzywdy.

Niebezpieczeństwo jednak jeszcze nie minęło. Po uderzeniu zaskoczony pilot drgnął, Black Hawk odchylił się na bok, a śmigła skierowały się ku ziemi, przecinając powietrze jak gigantyczna piła tarczowa...

Prosto w stronę Castille'a.

Belg zamarł w bezruchu, kiedy zobaczył zbliżający się helikopter. Śmigła zamigały mu przed twarzą...

Pilot szarpnął za manetkę i otworzył przepustnicę. Black Hawk poderwał się w górę z rykiem silników – śmigła przeszły dwadzieścia centymetrów nad głową Castille'a, a podmuch powietrza powalił go na ziemię.

– *Merde!* – zaklął Belg i pospiesznie poklepał się po czaszce, żeby sprawdzić, czy nadal jest cała.

Strzelec na drugim motocyklu nie przerywał ostrzału. Kule odłupywały kolejne odłamki głazu. Chase po omacku posuwał się do tyłu, ale już za chwilę miał się znaleźć na linii ognia.

I nie miał już amunicji.

Przeładowanie broni zajęłoby trzy sekundy, ale nie miał tyle czasu...

Rzucił więc z całej siły pustym karabinem, który zakreślił łuk w powietrzu i z impetem uderzył w twarz kierowcę motocykla okrążającego skałę. Motor przewrócił się na bok, zrzucając dwóch talibów na piasek.

Strzelec jęknął, a potem przypomniał sobie, że wciąż ma kałasznikowa. Zobaczył w świetle księżycy sylwetkę i uniósł broń...

Chase strzelił pierwszy. Cztery kule z sigą P228, którego Eddie wyrwał z kabury na piersi, wbiły się w tułów mężczyzny. Afgańczyk bezwładnie opadł na ziemię. Kierowca próbował wstać, ale po dwóch strzałach w głowę opadł obok towarzysza.

Oddychając ciężko, Chase opuścił sigę trzymanego w trzęsącej się od nagłego przyływu adrenaliny ręce, i rozejrzał się po równinie. Black Hawk w końcu wylądował, a drużyna pakowała zakładników do kabiny.

Usłyszał jednak kolejny dźwięk dobiegający z przełęczą. Tym razem nie był to ryk silników, a tętent kopyt.

– No, kurwa, i co jeszcze? – westchnął. Silnik motocykla wciąż pracował, ale przednie koło było wygięte. Jazda nie wchodziła w grę.

Miał dwa wyjścia. Mógł pobiec w kierunku Black Hawka i zginąć zastrzelony lub stratowany, zanim do niego dotrze, albo... upewnić się, że helikopter wystartuje bezpiecznie i zanieśe zakładników i jego towarzyszy do domu.

Bez wahania podniósł karabin i załadował ostatni magazynek. Do Black Hawka wsiadali ostatni członkowie grupy. Nawet z takiej odległości widział siwe włosy Maca, swego dowódcy, mentora i przyjaciela, gestami wzywającego go do śmigłowca. Zamiast do niego pobiec, Eddie przykucnął i wycelował.

Z przełęczы wyjechał pierwszy jeździec, skulony na galopującym koniu, z kałasznikowem w uniesionej ręce.

Chase wymierzył w niego i strzelił dwa razy. Trafił i talib spadł z konia, ale tłumik na karabinie był już całkiem przepalony i odgłosy strzałów zdradziły jego pozycję. Dwaj następni jeźdźcy pojechali wprost na niego.

Rozległ się mechaniczny ryk: Black Hawk startował. Z wąwozu wypadło kolejnych trzech jeźdźców i ruszyło za wzbijającym się w powietrze helikopterem. Zaterkotały kałasznikowy, pociski smugowe poleciały w ślad za startującą maszyną. Światło księżycy odbiło się od kolejnego RPG-7, kiedy jeden z talibów zatrzymał konia i wymierzył broń. Wystrzał z C8 Chase'a ściał mężczyznę, zanim ten zdążył wystrzelić. Helikopter był bezpieczny, ale pierwsi jeźdźcy zblizali się już do Eddiego...

Z góry rozległ się zgrzyt przypominający odgłos piły mechanicznej – i jeźdźców wraz z końmi rozdarł strumień pomarańczowego ognia, wyglądający jak promień lasera.

Little Bird zapikował, dwa sześciolufowe karabiny Minigun rozbłysły ogniem, ostrzeliwując talibów z prędkością ponad sześćdziesięciu pocisków na sekundę. Po chwili helikopter gwałtownie się poderwał, skręcił, kierując się w stronę talibów na koniach i znów otworzył ogień. Wokół Chase'a spadały puste łuski. Jedna odbiła się od jego głowy i zadrapała mu skórę.

– Pięknie, kurwa, teraz będę miał łysy placek – mruknął Eddie, celując w ostatniego z jeźdźców. Trafił, ale było to bez znaczenia – siła ognia MH-6 rozerwała Afgańczyka na strzępy.

Kiedy karabiny umilkły, Chase usłyszał kolejne galopujące konie. Z wściekłością spojrział na Little Birda szybko schodzącego w dół.

Wiedział, że śmigłowiec nie będzie miał czasu na lądowanie. Będzie musiał wsiąść w locie – i będzie miał na to tylko jedną szansę.

Zobaczył pilota oświetlonego zielonym poblaskiem instrumentów pokładowych. Mężczyzna miał na twarzy noktowizor, w którym wyglądał jak cyborg. Little Bird schodził prosto na Eddiego. Maszyna zwolniła, ale nadal poruszała się z prędkością trzydziestu mil na godzinę.

Chase skoczył.

Uderzył klatką piersiową w płożę, objął rękami przednią rozpórkę i chwycił się jej z całych sił, kiedy MH-6 zwiększył moc. Helikopter wzbił się do góry, Eddie powiewał pod nim jak chorągiewka.

Mężczyzna odwrócił twarz od podmuchów powietrza wytwarzanych przez wirnik i zobaczył pod sobą wirującą dolinę i wystrzeliwane w swoim kierunku pociski smugowe. Z przełęczы wyłonił się kolejni talibowie... By po chwili zniknąć w ogromnym wybuchu.

Spooky ponownie pojawił się na horyzoncie, a po ewakuacji wszystkich chłopaków z pola walki mógł użyć najcięższej broni. Od wystrzału z działa kalibru .105 zawałiła się część wąwozu, grzebiąc talibów pod tonami gruzów. Na całej długości przełęczы rozbłysły kolejne wybuchy – artylerzysta obsługujący boforsa zdejmował niedobitków.

Little Bird wyrównał lot i skierował się za Black Hawkem. Chase usłyszał czyjś głos. Kiedy spojrział w górę, zobaczył, że pilot krzyczy do niego z pozbawionego drzwi kokpitu:

– Wszystko w porządku, stary?

Chase, mimo że zwisał z pędzącego helikoptera trzysta metrów nad terytorium wroga, zdołał wyszczerzyć zęby w triumfującym uśmiechu.

– Nigdy nie czułem się lepiej, chłopie. Jaki film puścisz w czasie lotu?

Black Hawk wylądował w bazie koalicji, Little Bird dotarł do celu niedługo po nim. MH-6 zrobił krótki przystanek, kiedy oba śmigłowce znalazły się na oficjalnie przyjaznym terytorium, żeby zabrać Chase'a na pokład. Teraz Eddie wyskoczył z kabiny i pobiegł do większego helikoptera. Czekają przed nim trzech ludzi z korpusu medycznego armii brytyjskiej – dwóch trzymało nosze, jeden czekał, by zająć się Greenem. Zabrali rannego tuż po tym, jak Starkman i Baine wynieśli go z Black Hawka.

Potem ze śmigłowca wyszli zakładnicy, których odprowadzono do tymczasowych kwater znajdujących się nieopodal. Na koniec wyłonili się pozostali żołnierze. Mac z przygnębioną miną rozglądał się za Greenem. Inni wyglądali na zadowolonych, że udało im się wrócić w jednym ka-

walku.

– Jezu – stwierdził Bluey, pocierając wygoloną czaszkę – ale była zadyma.

Starkman zauważył Chase'a.

– Kurwa, już się bałem, że cię straciliśmy – powiedział Teksańczyk. – Wszystko okej?

Chase nie odpowiedział. Wpatrywał się w Stikesa. Kapitan po wyjściu z helikoptera założył beret dokładnie pod regulaminowym kątem.

– Siedmiu zakładników uratowanych, byłoby ośmiu, gdyby tamten idiota nie spanikował.

Nie jest źle. – Zauważył Chase'a idącego w jego stronę. – Chase, a więc...

Eddie z całej siły wbił mu pięść w twarz. Kształny nos Stikesa złamał się z trzaskiem, a siła ciosu odrzuciła kapitana w tył, na kadłub śmigłowca.

– Ty skurwysynu! – wrzasnął Chase.

Baine rzucił się w stronę Chase'a, ale Mac powstrzymał go i sam odciągnął podwładnego od leżącego oficera.

– Eddie, na litość boską!

Stikes wstał, przyciskając dłoń do krwawiącego nosa. Pozostali członkowie oddziału przyglądali mu się zdezorientowani.

– Za uderzenie wyższego stopniem oficera idzie się pod sąd wojenny, Chase! – krzyknął. – Dostaniesz pięć lat za niesprowokowany atak! Wszyscy widzieliście!

– Niesprowokowany? Gówno prawda! – odpowiedział wściekły Chase. – Celowałeś mi w głowę z pieprzonego karabinu!

– Eddie! – warknął Mac. – Sierzancie! – Chase, wciąż zaciskając wargi z wściekłości, stanął na baczność. – Co tu się dzieje, do cholery?

– Ten skurwiel zamordował pięcioro cywilów – pięć kobiet, sir – wyjaśnił Chase przez zaciśnięte zęby. – Były nieuzbrojone i związane, w niewoli u talibów, a on je zastrzelił, a potem wymierzył broń we mnie.

– To wierutne kłamstwo, majorze – odpowiedział Stikes. – Nic takiego nie zrobiłem.

Mac zmarszczył brwi.

– Talibowie faktycznie więzili jakieś kobiety. Widziałeś je?

Stikes odpowiedział bez namysłu:

– Nie, sir, nie widziałem.

– Przestań pierdolić – syknął Chase.

– Jedyne osoby poza naszymi zakładnikami, jakie widziałem, zostały uznane za wrogów w wytycznych do misji. – Stikes oderwał dłoń od nosa. Krew pociekła mu na wargi. – Cholera! Sir, jeśli pan pozwoli, chciałbym się tym zająć. A potem – dodał, rzucając jadowite spojrzenie Chase'owi – złożę pełny pisemny raport dotyczący tego zajścia.

Mac skinął głową, Stikes odszedł wolnym krokiem. Szkot poszedł z Chase'em na bok, by pozostali nie mogli ich usłyszeć.

– Eddie, jeśli masz zastrzeżenia do przełożonego, możesz je zgłosić, używając określonych procedur. To nie była jedna z nich!

Chase próbował opanować gniew.

– Przykro mi, sir. To znaczy przykro mi, że narobiłem panu kłopotów, nie dlatego, że dałem w ryj Stikesowi. Należało mu się przynajmniej tyle. Zamordował te kobiety z zimną krwią.

– Nikt inny tego nie widział. Mamy twoje słowo przeciwko jego.

– Mac, znasz mnie. Znasz Stikesa. – Eddie niemal błagalnie spojrzał na dowódcę. – Komu wierzysz?

Mężczyzna milczał przez dłuższą chwilę.

– Eddie – powiedział w końcu – niezależnie od tego, jak potoczy się ta sprawa, odbije się ona na twojej karierze. Uderzyłeś w twarz oficera na oczach świadków.

– Jestem gotów ponieść wszelkie konsekwencje.

– Niczego innego bym się po tobie nie spodziewał. Ale... tak jak mówiłeś, znam cię. I znam Stikesa. Więc kiedy postawią cię przed sądem wojennym – a Stikes ma takie kontakty, że na pewno do tego dojdzie – zrobię wszystko, co będę mógł, żeby ci pomóc.

– Dziękuję, sir.

– Poza tym – dodał Szkot z lekkim uśmiechem – nie byłbym dobrym dowódcą, gdybym nie przypomniał ci, że sam też powinieneś złożyć pełny pisemny raport, opisujący wszystko, co widziałeś podczas misji. Określone procedury mają służyć wszystkim, nie tylko oficerom. Jeśli zostanie dzięki temu wszczęte dochodzenie... w tym przypadku również możesz liczyć na moje poparcie.

Chase spojrział na starszego mężczyznę z uznaniem.

– Dziękuję, sir!

– Sierżancie, radziłbym zabrać się do pracy. Ja tymczasem pójdę sprawdzić, czy w tej dziurze da się znaleźć prysznic. – Mac ruszył przed siebie, ale po chwili zatrzymał się i odwrócił. – Tak przy okazji, Eddie, świetnie się dzisiaj spisaleś. Dobra robota.

Chase zasalutował, a Mac ruszył w swoją stronę. Eddie przez chwilę stał bez ruchu, potem zapalił długo wyczekiwanego papierosa.

*Nowy Jork. Jedenaście lat później*

Eddie Chase wszedł do biura z tajemniczym uśmiechem na twarzy.

– Cześć, kochanie.

Nina Wilde, jego żona, podniosła głowę znad laptopa, lekko marszcząc brwi.

– Gdzie byłeś? – spytała, odgarniając z twarzy kosmyk rudych włosów. – Spóźnimy się.

– Mamy jeszcze dziesięć minut. Swoją drogą, myślałem, że w ogóle nie zauważysz mojej nieobecności. Nie ruszyłaś się stąd przez cały ranek – stwierdził Eddie, zerkając na stosy papierów piętrzące się na biurku.

– Nie bądź taki mądry – odpowiedziała kobieta. Kiedy uważniej przyjrzała się mężowi, zobaczyła jego wyczekujący uśmieszek. – Co tam masz za plecami?

Eddie zrobił krok do przodu. – Ach, nic takiego. To tylko... – Teatralnym gestem rzucił dużą papierową torebkę obok komputera żony. – Lunch.

Nina zareagowała, dopiero kiedy rozpoznała widniejące na torebce logo.

– Delikatesy Aldo? – Kobieta była miło zaskoczona. – Naprawdę pojechałeś tam tylko po to, żeby kupić mi kanapkę?

Eddie wzruszył ramionami, spoglądając na panoramę Manhattanu widoczną za oknami budynku ONZ.

– To tylko w East Village. Nie aż tak daleko.

Nina otworzyła torebkę i uśmiechnęła się szeroko.

– No nie.

– No tak. Twoja ulubiona. Superostre pastrami na żytnim pieczywie, z sałatą, pomidorami, cebulą – marynowaną, nie zwykłą – i specjalnym sosem chili, specjalnością Aldo. Właśnie takie kupowałaś, kiedy tam mieszkaliśmy.

Nina odpakowała jedzenie z niemal nabożnym szacunkiem.

– To było ponad cztery lata temu. Nie mogę uwierzyć, że o tym pamiętałeś. – Już miała wgryźć się w kanapkę, kiedy dodała jeszcze: – A dlaczego właściwie to zrobiłeś?

– A co, mąż nie może od czasu do czasu zrobić czegoś miłego dla własnej żony?

– Nie, jeśli żona zna go tak dobrze, jak ja ciebie – oświadczyła Nina, uśmiechając się chytrze. – Czy to przypadkiem nie ma być prezent na pojednanie?

– Ech, nie bądź śmieszna. Za co miałbym przepraszać? Mam rację.

Zielone oczy kobiety zwęziły się, uśmiech zniknął jej z twarzy.

– Nawet nie zaczynaj. – Dyskusja o głównym temacie wiadomości z minionego tygodnia, którą odbyli poprzedniego wieczoru, jakimś cudem zmieniła się w zażartą kłótnię, a przy śniadaniu atmosfera wciąż była lodowata. Nowojorczyk nazwiskiem Jerry Rosenthal stanął przed sądem za zabicie człowieka oskarżonego o gwałt na jego córce. Nie mógł pogodzić się z faktem, że gwałciiciel został wypuszczony na wolność przez błędy proceduralne. Dla Niny czyn Rosenthala był ewidentnym przykładem mściwości i lekceważenia prawa, ale Eddie miał na ten temat całkiem inne zdanie.

I nie zamierzał go zmieniać.

– Chcesz powiedzieć, że gdyby to była twoja córka, nie miałabyś nic przeciwko temu, żeby wypuścili drania na ulicę przez błędy w ekspertyzie sądowej? Wiadomo, że to zrobił, wywinął się dzięki jakimś pieprzonym lukom w ekspertyzie sądowej.

– Nie wiadomo, czy to zrobił – odpowiedziała Nina z irytacją. – Nie było cię tam, nie wiedziałeś, co się stało.

– Ty też nie.

– Dlatego właśnie mamy sądy, które rozstrzygają o winie. I które wydają wyrok. Nie może



być tak, że ktoś powołuje siebie samego na sędziego, ławę przysięgłych i kata w jednym. To nie jest sprawiedliwość.

– Dla mnie jest. Znasz kogoś, kto zrobił coś złego i myśli, że ujdzie mu to na sucho? Bum. Zabij skurwiela.

Nina westchnęła ciężko.

– Eddie, naprawdę nie chcę już do tego wracać. Po prostu zjem sobie kanapkę – tak przy okazji, dzięki za nią. Ale – dodała – nie myśl sobie, że ostatnie słowo będzie należało do ciebie tylko dlatego, że będę miała pełne usta.

– Jakże bym śmiał – odpowiedział Eddie, który trochę na to liczył.

Nina właśnie miała ugryźć pierwszy kęs, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Zanim zdążyła spytać, kto to, weszła Macy Sharif.

– Cześć, Nina. Cześć, Eddie. – Studentka archeologii, która rok wcześniej pomogła im odkryć piramidę Ozyrysa pod egipską pustynią, przyjęła zaproszenie Niny na letni staż w Międzynarodowej Agencji Dziedzictwa Światowego. – Przysłał mnie po was doktor Bellfriar.

– Założę się, że wiem, co powie – stwierdził Chase z kpiącym uśmiechem. – Osiem miesięcy gapił się na te artefakty i doszedł do wniosku, że... są wykonane z kamienia. Dziękuję, należy się pięćdziesiąt kawalków plus zwrot kosztów.

– O nie, ma do powiedzenia znacznie więcej – odparła Macy, nie dostrzegając ironii Anglika. – Wiem coś o tym. Musiałam mu zrobić całą prezentację w PowerPoincie.

– Nie podoba ci się taka praca? – spytała Nina zaczepnie.

– Nie, nie, jest świetna – skwitowała szybko Macy, żeby nie wyjść na niewdzięczną. – Miałam tylko nadzieję, że uda mi się więcej popracować w terenie. Z wami.

Nina poklepała jeden ze stosów dokumentów. – Cóż za zbieg okoliczności. Też chciałam popracować w terenie! Ale potem jakiś idiota chciał zabić paru światowych przywódców, dokonaliśmy odkrycia, które zmieniło oblicze archeologii, i teraz wysoko postawieni ludzie żądają informacji na ten temat. W trzech egzemplarzach.

– Może Bellfriar znalazł coś, czego będziesz mogła użyć jako wymówki – zagadnął Eddie.

Nina z nadzieją spojrzała na studentkę, która usiłowała ukryć skruszoną minę.

– Tak czy inaczej – powiedziała młoda kobieta – przekonacie się sami. Czekają z panem Penrosem i resztą w sali konferencyjnej.

Nina szybko odgryzła kawalek kanapki, zanim wstała z za biurka.

– No co? – spytała Eddiego, mówiąc z pełnymi ustami. – Nie jadłam jeszcze lunchu. Jestem głodna. Chodź.

– Muszę?

– Jeśli ja muszę, to ty też – oznajmiła, wyganiając go z biura.

Poszli za Macy do sali konferencyjnej. Poza doktorem Donaldem Bellfriarem było w niej także kilku urzędników ONZ pod wodzą Sebastiana Penrose'a, który pełnił rolę łącznika pomiędzy samym ONZ a jego częściowo niezależną Agencją Ochrony Dóbr Kultury.

– Ach, witaj, Nino – powiedział z angielskim akcentem uprzejmy okularnik.

– Sebastianie – odpowiedziała Nina – nie spodziewałam się tu tylu osób.

– Wszyscy uwielbiają zagadki – wyjaśnił Penrose. – Liczą chyba, że doktor Bellfriar poda rozwiązanie.

Nina rzuciła Macy porozumiewawcze spojrzenie.

– Zaraz się okaże.

Zajęli miejsca. Macy obsługiwała laptop i rzutnik, a geolog z Oregonu starannie przyglądał grzywę siwych włosów, zanim zwrócił się do zgromadzonych.

– Dzień dobry wszystkim. Zanim zacznę, chciałbym podkreślić, jak wielką przyjemnością była dla mnie wspólna praca z Agencją nad tą sprawą. Wygląda na to, że gdzie archeolog nie może, tam geologa pośle! – Nieskromnie zaśmiał się z własnego żartu. Pozostali obecni na sali przyjęli go z kamiennymi twarzami. – Geologa pośle... Wiecie państwo, o co chodzi? Tak czy inaczej, dziękuję pani, doktor Wilde, i dziękuję pani, panno Sharif, za wszelką pomoc i miłe towarzystwo. – Macy się rozpromieniła.

– Założę się, że więcej się na nią gapił, niż z nią rozmawiał – szepnął Eddie do Niny.

– Ćśś – odpowiedziała, chociaż wiedziała, że jej mąż ma rację.

Co prawda Macy podczas stażu nosiła się skromnie jak na swoje możliwości, ale na tle formalnie ubranych pracowników ONZ piękna mieszkanka Miami, lubiąca się w obcisłych markowych strojach, wyróżniała się jak modelka w bikini w arabskim meczecie.

Bellfriar zaczął właściwą prezentację, otwierając teczkę i prezentując przedmiot badań: dwie małe statuetki, topornie wykonane ludzkie sylwetki wyrzeźbione w dziwnym fioletowym kamieniu. Pierwszą z nich Nina, Eddie i Macy znaleźli wewnątrz piramidy Ozyrysa, drugą odkryto w dawnym bunkrze pod lodami Grenlandii. Geolog pokrótce przypomniał okoliczności towarzyszące każdemu ze znalezisk, a potem mówił dalej:

– Mimo że Interpol dokłada wszelkich starań, do tej pory nie udało im się ustalić, skąd została skradziona druga figurka, a ponieważ statuetki nie wyglądają na wytwór żadnej ze znanych starożytnych kultur, wydawało się, że poszukiwania odpowiedzi utknęły w martwym punkcie. Na szczęście inne gałęzie nauki pozwalają spojrzeć na sprawę z innej perspektywy. Panno Sharif?

Macy zastukała w klawiaturę laptopa i na ekranie w sali konferencyjnej pojawił się pierwszy slajd. Pokazywał figurki ustawione obok siebie.

– Jak państwo widzą – ciągnął dalej Bellfriar – posążki najwyraźniej są częścią większej całości i mają do siebie pasować. Proszę zwrócić uwagę na ułożenie ramion, dzięki któremu mogą się objąć. Jednak jak widać tutaj – skinął głową, a Macy przełączyła na kolejny slajd – zestaw jest w oczywisty sposób niekompletny.

Kolejne zdjęcie pokazywało figurki widziane z góry. Zostały ustawione w taki sposób, że zwrócone na zewnątrz i zetknięte jednym ramieniem, tworzyły dwa boki trójkąta. Jak zauważył Bellfriar, rzucano się w oczy, że trzeci posążek idealnie uzupełniałby całość.

– Dzięki zastosowaniu symulacji komputerowej – dodał z dumą geolog – mogę pokazać państwu, jak wyglądałaby brakująca statuetka. – Na kolejnym slajdzie było widać dwie figurki i wygenerowany komputerowo obraz trzeciej. Wszystkie były dość podobne, jedyną zauważalną różnicą było inne ułożenie ramion. – A oto, jak wyglądają po dopasowaniu...

Zdjęcia statuetek zastąpiła animacja komputerowa pokazująca, jak figurki obracają się wokół siebie, a na koniec splatają ramionami, tworząc tryptyk. Obserwatorzy z ONZ byli pod wrażeniem, Nina szczególnie – symulację komputerową brakującej figurki wykonaną przez Agencję widziała ponad siedem miesięcy wcześniej.

– To jedna z pierwszych rzeczy, jakie uświadomiliśmy sobie po otrzymaniu drugiej statuetki – oświadczyła. – Istniała i, miejmy nadzieję, że wciąż istnieje jeszcze jedna. Pytanie tylko, gdzie się znajduje?

– Zanim będziemy pytać „gdzie” – uprzejmie odpowiedział Bellfriar – najpierw musimy spytać „co”, a raczej „z czego” wykonane są posążki. – Wskazał na dwie figurki leżące w walizce. – Jak państwo widzą, mają one nietypowy jaskrawofioletowy kolor i szklisty połysk. Najpierw myślałem, że wyrzeźbiono je w jakiejś odmianie bornitu, ale zawartość miedzi w pobranej przeze mnie próbce była zbyt niska, w istocie niemal zerowa. Z drugiej jednak strony, gęstość skały okazała się zaskakująco wysoka, musiała ona zatem zawierać znaczną ilość jakiegoś metalu...

Bellfriar rozpoczął szczegółowe opowiadanie o testach mineralogicznych. Nina zerknęła na Eddiego, który już miał zamglony wzrok. Postukała go butem w stopę.

– Wybacz – mruknął. – Geologia jest jeszcze nudniejsza niż archeologia.

Już miała go nadepnąć ponownie, tym razem obcasem, nie czubkiem buta, kiedy słowa Bellfriara przykuły jej uwagę:

– ...stąd mój wniosek: skała, z której zostały wyrzeźbione statuetki, to prawdopodobnie mezosydyt.

Chwilę trwało, zanim Nina zdołała przypomnieć sobie znaczenie tego pojęcia.

– Meteoryt?

Bellfriar był pod wrażeniem.

– Zna się pani na meteorytach, doktor Wilde?

– Wiem o nich trochę z perspektywy archeologicznej. Sztylet wykonany z meteorytowego

żelaza znaleziono w grobowcu Tutenchamona, niektóre plemiona Eskimosów i Indian amerykańskich również wytwarzały z tego materiału broń ceremonialną, a jeden z ludów wschodnioafrykańskich czcił meteoryt. Poza tym moja wiedza ogranicza się do tego, co pamiętam z zajęć z astronomii na pierwszym roku studiów.

– Mogę nieco odświeżyć pani pamięć – zaproponował Bellfriar i znów się zaśmiał. – Mezosyderyty to meteoryty kamienno-żelazne, jak sama nazwa wskazuje składające się z połączenia skały i metalu. Są bardzo rzadkie. Jeśli się nie mylę, istnieje mniej niż sto pięćdziesiąt zbadanych przypadków.

– Powiedział pan, że to prawdopodobnie... mezosyderyt – zaczął Penrose, z trudem wymawiając ostatnie słowo. – Czy nie może pan tego stwierdzić ponad wszelką wątpliwość?

– Wymagałoby to przecięcia jednej ze statuetek na pół i zrobienia z niej preparatu mikroskopowego, a wątpię, żeby doktor Wilde i egipskie władze zechcieli się na to zgodzić. Testy, które przeprowadziłem, dały dość jednoznaczne wyniki. Muszę jednak przyznać, że gdybym mógł otrzymać większą próbkę, bardzo chętnie przeprowadziłbym dalsze badania. Skała wykazuje pewne niezwykle właściwości.

– Jakie? – spytała Nina.

– Na przykład gęstość. Albo zawartość żelaza jest znacznie wyższa, niż można by się spodziewać, albo w skale występują również inne metale. Znalazłem także śladowe ilości pierwiastków organicznych.

Eddie przyjrzał się podejrzliwie figurkom.

– Chce pan powiedzieć, że w meteorycie było coś żywego? Jakaś kosmiczna plazma czy coś w tym rodzaju?

Bellfriar się roześmiał.

– Nie, nie. Z chemicznego punktu widzenia pierwiastek „organiczny” to po prostu taki, który zawiera węgiel. Niewykluczone jednak, że to meteoryty przyniosły na Ziemię życie. Odkryty w Australii słynny meteoryt Murchison zawierał aminokwasy. Nie wiem, czy występują one również w naszych skałach, ale zauważyłem inną ciekawą rzecz. – Odwrócił się do Macy. – Panno Sharif, czy mogłaby pani przejść do slajdu... siedemnastego, zdaje się?

Macy zastukała w klawiaturę, szybko przerzuciła kilka slajdów i zatrzymała się na zdjęciu ukazującym powierzchnię jednej z figurek widzianą pod mikroskopem. W ogromnym powiększeniu wyglądała ona jak skalisty krajobraz, poorany przecinającymi się liniami, wyglądającymi na wyżłobione przez człowieka.

– Wygląda, jakby deweloper szykował grunt pod nowe osiedle – zauważyła Nina.

– Prawda? – odpowiedział Bellfriar. – Ale osobiście nie chciałbym tam mieszkać – byłoby trochę ciasno. Linie przebiegają w odległości mniej więcej pięćdziesięciu mikrometrów od siebie. To mniej niż grubość ludzkiego włosa.

– Co to takiego? – spytał Eddie.

– Jakiś rodzaj węglowej skały macierzystej wtopionej w meteorytowe żelazo. Linie powstały, rzecz jasna, w sposób naturalny. Wyglądają na sztucznie stworzone, ale wiele rzeczy tak wygląda w dużym powiększeniu. Interesujący jest jednak fakt, że siatka znacznie zwiększyła twardość skały – zadziałała jak węglowe nanorurki. Skała tego rodzaju zwykle miała pięć lub sześć punktów w skali Mohsa. To dziesięciopunktowa skała, dziesięć punktów ma diament – dodał na użytek laików. – Statuetki są twardsze niż porcelanowa płytka, której początkowo używałem podczas testów, czyli mają co najmniej siedem punktów w skali Mohsa. Są twardsze niż kwarc.

Jego opis sprawił, że Nina znów coś sobie przypomniała. Tym razem było to jej osobiste przeżycie.

– Czy ta skała – zaczęła, a jej ostrożny ton natychmiast zwrócił uwagę Eddiego – ma może inne niezwykle właściwości? Na przykład... wyjątkowo dobre przewodnictwo elektryczne?

– Owszem – odpowiedział zaskoczony Bellfriar. – Oczywiście, jest to związane z wysoką zawartością żelaza, ale skała przewodzi prąd znacznie lepiej, niż się spodziewałem. Skąd pani wiedziała?

– Skojarzyło mi się to z czymś, co kiedyś widziałam – odpowiedziała Nina, starając się, by

zabrzmiało to jak coś mało ważnego. – Ale to nieistotne. Co jeszcze pan odkrył?

Bellfriar wrócił do prezentacji, ale Nina już go nie słuchała – analizowała własne teorie. Kiedy skończył dwadzieścia minut później, podziękowała mu za pracę i odczekała, aż urzędnicy z ONZ skończą opowiadać idiotyczne żarciki. Starła się nie okazywać zniecierpliwienia, nie mogąc się doczekać, aż wszyscy wyjdą.

– O co chodzi? – szepnął Eddie.

– Powiem ci na osobności – odpowiedziała cicho, a potem krzyknęła na całą salę: – Macy? Studentka zamykała laptopa.

– Tak?

– Czy możesz, proszę, przynieść figurki do mojego biura?

– Tak szybko chce mi je pani odebrać, doktor Wilde? – spytał Bellfriar, udając urażonego. – Mam nadzieję, że nie rozczarowałam pani, nie wskazując dokładnie miejsca ich pochodzenia?

– Bynajmniej – odpowiedziała Nina, kiedy zaskoczona Macy zamykała gablotkę z posążkami. – Dał mi pan do myślenia. Aha, Sebastianie – zwróciła się do wychodzącego Penrose'a. – Mogę cię prosić na słówko? Musimy skończyć omawiać, te, no... wykopaliska na Atlantydzie.

Penrose ukrył zdziwienie – prowadzone przez Agencję podwodne prace archeologiczne w ruinach Atlantydy już trwały – skinął głową i wyszedł. Macy, niosąc walizkę, podążyła za nim. Nina i Eddie zamykali pochód. Wszyscy czworo zebrali się po chwili w biurze Niny.

– No dobra – zaczął Eddie. – O co tu chodzi, do cholery?

– Dobrze pytanie – dodał Penrose. – Rozumiem, że coś ci przyszło do głowy, Nino.

– Tak myślę – odpowiedziała, odsuwając papiery i kanapkę, żeby zrobić miejsce na biurku.

– Macy, połóż tu walizkę.

Macy spełniła jej prośbę. Nina otworzyła walizkę i spojrzała na posążki.

– Kiedy Bellfriar wspomniał o nanorurkach węglowych, przypomniało mi się coś, na co natknęłam się wcześniej. Excalibur.

– Excalibur?! – wykrzyknęła Macy. – Ten Excalibur? Z legendy o królu Arturze?

– Dokładnie ten sam – potwierdził Eddie.

– Ale numer! Słyszałam, że znaleźliście grobowiec króla Artura, ale nie wiedziałam, że udało wam się odnaleźć także Excalibur.

– Znaleźliśmy go, ale potem... znowu go zgubiliśmy – wyjaśniła Nina. Nie była to do końca prawda. Dokładnie wiedziała, gdzie znajduje się miecz, ale wraz z Eddiem postanowili ponownie go ukryć, aby nie wpadł w niepowołane ręce. – Wiem jednak, że miał pewne niezwykle właściwości... bardzo podobne do tych, jakie przed chwilą opisał Bellfriar. Eddie, możesz opuścić rolety? Chciałabym jak najbardziej zaciemnić pokój.

Eddie spełnił jej prośbę.

– Jesteśmy małżeństwem od półtora roku. Nie musimy już robić tego przy zgaszonym świetle.

– Ha, ha – rzuciła Nina bez śladu rozbawienia, po czym widząc, że Macy, młodsza i posiadająca znacznie mniej zahamowań od niej, szykuje się do zadania bardzo osobistego pytania, dodała szybko: – Nie zwracaj na niego uwagi, on żartuje. Ale Excalibur wyróżniał się między innymi tym, że wykuto go z metalu, który bardzo dobrze przewodził nie tylko elektryczność.

Rolety zostały zasłonięte i biuro pogrążyło się w ponurym półmroku. Nina sięgnęła po jedną z figurek.

– No dobrze, zobaczymy, czy mam rację...

Podniosła posążek, który na chwilę rozbłysnął słabym światłem.

Penrose wytrzeszczył oczy, a Macy gwałtownie nabrała powietrza.

– Co to było? – spytała stażystka.

– Energia Ziemi – wyjaśniła Nina. – Całą planetę obejmuje sieć linii przewodzących naturalną energię i zbiegających się w pewnych miejscach. Jeśli znajdujesz się blisko takiego miejsca i energia Ziemi jest wystarczająco silna, możesz ją zaczerpnąć i wykorzystać, jeśli dysponujesz odpowiednim przewodnikiem.

– Czy panna Sharif powinna to oglądać? – spytał Penrose surowym tonem, z którego jasno

wynikało, jakie on ma zdanie na ten temat.

– Ręczę za nią – odpowiedziała Nina, rzucając Macy porozumiewawcze spojrzenie. – Poza tym to ona odkryła posązek i na moją prośbę szukała o nim informacji. Myślę, że to się liczy. I na pewno było to ważniejsze niż robienie slajdów w PowerPointcie.

– Swoją drogą, fajna prezentacja – pochwalił Eddie, szczerząc zęby w uśmiechu. – Prawie bez błędów ortograficznych!

Macy wydeła wargi, a Nina włożyła figurkę z powrotem do walizki i wyjęła z niej drugą. I tym razem powierzchnia statuetki krótko zaślniła i zgasła. Nina już miała odłożyć ją z powrotem, kiedy zmieniła zdanie i ponownie wzięła do ręki pierwszy posązek. Tym razem nic się nie stało – do chwili, gdy zetknęła ze sobą statuetki, splatając je ramionami jak na zdjęciu w prezentacji Bellfriara. Obie zaślniły. Tym razem światło było nieco mocniejsze niż poprzednio i świeciło dłużej.

Macy niepewnie dotknęła posązków, ale nic się nie stało.

– Dlaczego zaczęły świecić? I jakim cudem to nie stało się wcześniej? Doktor Bellfriar zajmował się figurkami przez kilka miesięcy, a nigdy nie zaobserwował takiego zjawiska.

– Nie doszło do tego wcześniej, bo tylko niektórzy ludzie mogą wywołać taki efekt – wyjaśniła Nina. – Ludzie... tacy jak ja. Nie wiem, skąd się to wzięło ani dlaczego – najbardziej przemawia do mnie teoria, że jest to uwarunkowane genetycznie – ale pole bioelektryczne wytwarzane przez moje ciało pozwala mi przekazywać energię Ziemi do przewodników. – Postanowiła na razie nie wyjaśniać dziewczynie, że geny, o których mówiła, wywodziły się z zaginionej cywilizacji Atlantydy, która uległa zniszczeniu jedenaście tysięcy lat wcześniej, ani o tym, że inni potomkowie Atlantów omal nie doprowadzili do wymazania ludzkości z powierzchni Ziemi. – Odkryliśmy to, kiedy znaleźliśmy Excalibur.

– Ale brałaś już przedtem figurki do rąk – powiedział Eddie. – Mnóstwo razy. I nigdy się tak nie rozświeślały.

– Może po prostu tego nie zauważyliśmy. Odsłoń okna. – Nina odłożyła figurki, kiedy Eddie podniósł rolety i światło słoneczne znów wpadło do pokoju. Kobieta ponownie wzięła rzeźby do ręki. Jeśli tym razem także rozbłysły, nie dało się tego zauważyć – słabe światło było niewidoczne nawet w dochodzących z zewnątrz promieniach słońca.

– W takim razie co robimy? – spytał Penrose. – Wygląda na to, że figurki mają jakiś związek z energią Ziemi, a to dla Agencji kwestia bezpieczeństwa. Wiemy, jak niebezpieczna może być ta energia w rękach niewłaściwych ludzi.

Nina spojrzała na wyrzeźbioną twarz jednej z figurek. Rysy przypominały trójwymiarowy dziecięcy rysunek, z górką w miejscu nosa i drobnymi wgłębieniami zamiast oczu i ust.

– Mamy dwie takie statuetki. Być może gdzieś znajduje się trzecia. Jeśli tak jest, musimy ją znaleźć. Ale najpierw musimy się dowiedzieć, z czym mamy do czynienia... I co one potrafią.

Macy wyglądała na zaskoczoną.

– To tylko figurki. Co one mogą potrafić?

– Excalibur nie był zwyczajnym mieczem. Po naładowaniu energią Ziemi był w stanie przeciąć dosłownie wszystko. Wiemy, że statuetka z Egiptu była otoczona wielkim szacunkiem – została uznana za tak ważną, że zapieczętowano ją w grobowcu boga, wraz z jego najcenniejszymi skarbami. Może Ozyrys potrafił kierować jej energią, może dlatego był uznawany za boga. Dlatego... – przerwała, kiedy zadzwonił telefon na jej biurku, i odłożyła posązek, żeby podnieść słuchawkę. – Halo?

Dzwoniła Lola Gianetti, asystentka Niny, aktualnie będąca w czwartym miesiącu ciąży.

– Cześć, Nina. Jest tam Eddie? Jest do niego telefon.

– Czy to nie może poczekać? Mamy tu zebranie.

– Mówili, że to bardzo ważne.

– Dobrze, już go daję. Poczekaj.

Podąła słuchawkę mężowi.

– Tak. Halo? – powiedział Eddie, unosząc brwi, kiedy rozpoznał głos siostry. – Cześć, Lizzie. Dawno się nie słyszeliśmy. Jak leci?

Odszedł na bok, aby móc spokojnie rozmawiać. Nina, Penrose i Macy nadal patrzyli na fi-

gurki.

– Co masz na myśli? – spytał Penrose.

– Musimy sprawdzić, jak dokładnie działa w tym przypadku energia Ziemi – wyjaśniła

Nina. – Co oznacza, że powinniśmy zabrać statuetki do miejsca, gdzie zbiegają się linie. – Przygryzła wargę w zamyśleniu. – Są cztery miejsca, w których według mojej wiedzy na pewno występuje energia Ziemi. Problem w tym, że jedno znajduje się w rosyjskiej bazie wojskowej, drugie pośrodku Oceanu Arktycznego, a trzecie jest zagrzebane pod tysiącami ton skały w kraju, w którym nie jestem zbyt mile widziana.

– Rety – wtrąciła Macy. – A czwarte? Wewnątrz wulkanu?

– Na szczęście nie – odpowiedziała Nina z uśmiechem. – W nieco łatwiej dostępnym miejscu. I zdecydowanie chłodniejszym. W Anglii, a konkretnie w grobowcu króla Artura w Glastonbury. – Zerknęła na Eddiego, żeby sprawdzić, czy wzmianka o ojczyźnie wzbudziła jego zainteresowanie, ale mąż stał odwrócony do niej plecami, przyciszonym głosem prowadząc rozmowę.

– I chcesz tam zabrać figurki? – spytał Penrose.

– Tak. Myślę, że blask, który widzieliśmy przed chwilą, to tylko efekt resztkowy. Jeśli jakieś linie energii Ziemi przebiegają w pobliżu Nowego Jorku, są zbyt słabe albo zbyt odległe, żeby wytworzyć większą ilość energii. Jeśli zabiorę statuetki do Glastonbury, przy odrobinie szczęścia uda mi się zobaczyć, co się stanie, kiedy będą w pełni naładowane.

Penrose pokręcił głową.

– Nie jestem pewien, czy Egipcjanie zgodzą się na wywiezienie swojej figurki w miejsce pozbawione ochrony Agencji. To samo mogę powiedzieć o Interpolu.

– Coś wymyślimy. Ale musimy działać szybko. Sam powiedziałeś, że to kwestia bezpieczeństwa.

Penrose przez chwilę myślał, potem skinął głową.

– Porozmawiam z doktorem Assadem w Egipcie i ze specjalistą do spraw ryzyka w Interpolu i zobaczę, czy uda mi się ich namówić. Myślę, że masz rację. Musimy się tym zająć, a jeśli gdzieś jest trzecia statuetka, musimy ją znaleźć. Kiedy chciałabyś zacząć?

– Jakieś dziesięć minut temu – odpowiedziała Nina.

Penrose spojrział ponuro na stos papierów na jej biurku.

– A zaległości w sprawie skarbca Śiwy? A spotkanie z dyrektorami niższego szczebla? Pan Glas szczególnie nalegał na spotkanie z tobą.

– To właśnie lubię w kierowniczym stanowisku – odpowiedziała Nina z szerokim uśmiechem. – Możliwość delegowania obowiązków!

– Bill i Simone z pewnością będą zachwyceni – zauważył Penrose, odwzajemniając jej uśmiech. – W porządku, zadzwonię, gdzie trzeba. Informuj mnie na bieżąco. – Skinął głową na pożegnanie i wyszedł z biura.

– To znaczy, że jedziecie do Anglii? – spytała podekscytowana Macy. – Mogę się z wami zabrać?

– Co takiego? – spytała zamyślona Nina.

– No wiesz, sama kazałaś mi się dowiedzieć więcej o tych maluchach – wyjaśniła stażystka, wskazując statuetki. Kiedy Nina przez dłuższą chwilę nie odpowiadała, dodała błagalnie: – Proszę, Nina. Nie będzie to kosztować Agencji ani grosza, mogę sama za siebie zapłacić.

– Chciałaś powiedzieć, że mogą za ciebie zapłacić rodzice.

– Po to ma się dzieci, prawda? No i w terenie nauczę się od was sto razy więcej niż w biurze.

Nina, chcąc nie chcąc, musiała się zgodzić. Macy była na bezpłatnym stażu, nie należała do pracowników Agencji, więc nie mogła zabronić jej po prostu kupić bilet na samolot i ruszyć za nimi.

– No dobrze.

– Świetnie! – Macy klasnęła w dłonie. – Nigdy wcześniej nie byłam w Anglii. Będą mi potrzebne nowe ubrania. Co się tam nosi?

Zanim Nina zdążyła rzucić jakąś żartobliwą uwagę, Eddie odłożył słuchawkę.

- Elizabeth dzwoniła z Anglii? – spytała męża.
- Tak – powiedział Eddie dziwnie beznamiętnym głosem.
- To się dobrze składa. Myślę, że najlepszym miejscem, żeby dowiedzieć się więcej o statuetkach, będzie Glastonbury, więc kiedy tam pojedziemy, możemy przy okazji odwiedzić twoją rodzinę.
- Pojechałbym tam nawet, gdybyśmy mieli w planach lecieć jutro do Timbaktu – odpowiedział Chase z posępną miną. – Babcia jest w szpitalu.

*Anglia*

Royal Hospital w Bornemouth, znajdujący się na wschodnich obrzeżach tego nadmorskiego kurortu, był pierwszym przystankiem Eddiego i Niny po wyruszeniu z lotniska Heathrow. Eddie w pośpiechu zaparkował wypożyczonego forda mondeo i wyskoczył z niego jak oparzony. Nina, zdziwiona, że mąż zostawił ją z tyłu, pobiegła za nim. Dogoniła go w szpitalnej recepcji. Kobieta siedząca za biurkiem nie była zachwycona jego manierami, ale podała mu potrzebne informacje. Eddie ruszył szpitalnymi korytarzami, a Nina znów musiała go gonić.

Dołączyła do niego przed salą na pierwszym piętrze. Zobaczyła tam znajome twarze: Elizabeth Chase, swoją szwagierkę, i jej córkę Holly. Obie wyglądały na zmęczone. Bardzo się ucieszyły na widok kolejnych gości odwiedzających babcię.

– Wujek! – krzyknęła Holly, ściskając mężczyznę. – I Nina! Cześć!

– Jak ona się czuje? – spytał Eddie, kiedy już się przywitani.

– Znacznie lepiej, niż kiedy wczoraj do ciebie dzwoniłam – odpowiedziała Elizabeth. – Na szczęście byłam z nią, kiedy upadła. Karetka przyjechała bardzo szybko, a leczenie przyniosło efekty. Wygląda na to, że wypiszą ją do domu dziś po południu. Chcą zrobić jeszcze tylko kilka badań.

– Dzięki Bogu. Można się z nią zobaczyć?

– Oczywiście. Chodź. – Nina zauważyła, że Elizabeth zerknęła na zegarek, zanim otworzyła drzwi, ale nie zastanawiając się nad tym, weszła do sali.

Już sam panujący tam zapach środków dezynfekujących działał Eddiemu na nerwy. Jak większość ludzi Chase nie lubił szpitali. Zbyt wielu jego przyjaciół pożegnało się z życiem na szpitalnych łózkach. Poczul się jeszcze bardziej nieswojo, kiedy zobaczył znajomą drobną sylwetkę w białej piżamie.

– Cześć, babciu – powiedział ciszej, niż zamierzał.

– Edward! – odpowiedziała staruszka z radością widoczną nawet przez maskę tlenową zasłaniającą jej usta i nos. – Mój mały pulpeciku, chodź no tu! Daj buziaka biednej starej babce!

Eddie podszedł do łóżka i pocałował kobietę w policzek, pozwalając jej przytulić się najmocniej, na ile starczyło jej sił.

– Jak się czujesz?

Wypuściła go z objęć i zakasłała krótko, ale donośnie.

– Bywało lepiej. Ale twój widok od razu poprawił mi samopoczucie. No i Nina! Wspaniale znów widzieć was oboje.

– Przyjechaliśmy tak szybko, jak się dało – wyjaśnił Eddie. – Leczą cię tlenem?

– Powiedziano nam, że to najlepsza terapia w przypadku rozedmy ze skutkiem ubocznym w postaci nadciśnienia płucnego – wyjaśniła Elizabeth. – Do której prawdopodobnie by nie doszło, gdybyś rzuciła palenie.

Babcia roześmiała się cicho i znów zakasłała.

– To jedna z ostatnich przyjemności, jakie pozostały mi na starość. Oprócz, oczywiście, spotkań z rodziną. Tak się cieszę, że przyjechałeś, Edwardzie. Martwię się, że coś ci się stanie tam w Ameryce.

– Jak to? – spytał Eddie.

– Co będzie, jak zachorujesz albo będziesz miał wypadek? Słyszałam straszne rzeczy o amerykańskich szpitalach, o tym, jak wyrzucają pacjentów na ulicę, jeśli ci nie mają dość pieniędzy na leczenie, jak liczą sobie setki dolarów za aspirynę...

– Nie jest aż tak źle – stwierdziła Nina z rozbawieniem.

– Podobno mają cię wypuścić do domu dziś po południu? – spytał Chase.



Babcia skinęła głową.

– Elizabeth chce, żebym pojechała do niej, ale wolałabym wrócić do własnego domu.

– Nie, zatrzymasz się u nas – nalegała Elizabeth, wskazując stojący przy łóżku koncentrator tlenu. – Musisz nosić maskę, dopóki lekarze nie uznają, że twój stan się poprawił, a na pewno nie dasz rady sama nosić tego po schodach.

Babcia nie wydawała się zachwycona faktem, że wnuczka mówi jej, co ma robić, ale ustąpiła.

– Nie martw się, babciu – powiedział Eddie. – Pomogę ci z tym.

– Ależ dziękuję. Na jak długo przyjechaliście? Wiem, że oboje jesteście bardzo zajęci.

– Jeszcze nie wiemy. Nina musi trochę popracować, ale prawdopodobnie spędzimy tu kilka dni.

– Dobrze. Byłoby wspaniale, gdybyś w trakcie pobytu zabrał mnie na spacer.

– Ekhem – wtrąciła Holly, wskazując na wózek inwalidzki.

Babcia zmarszczyła brwi.

– W porządku. Byłoby wspaniale, gdybyś zabrał mnie na przejażdżkę!

– Nie ma sprawy, babciu – odpowiedział Eddie. Obejrzał się za siebie, kiedy otworzyły się drzwi sali, spodziewając się, że zobaczy w nich lekarza. – Może jutro... – urwał na widok mężczyzny, który wszedł do środka.

Nina nie miała pojęcia, kim może być nieznajomy, ale nagle zdała sobie sprawę, że ma oczy identyczne jak Eddie i Elizabeth. Musiał być ich krewnym. Z wyglądu bardziej przypominał szwagierkę niż jej męża – był co najmniej dziesięć centymetrów wyższy od Eddiego, miał szczupłą trójkątną twarz, był gibki mimo mocno dojrzałego wieku – dawała mu mniej więcej sześćdziesiąt lat. Najwyraźniej wciąż był bardzo aktywny, szedł pewnie i dobrze czuł się w swoim drogim, niezobowiązująco eleganckim stroju.

– Proszę, proszę – powiedział, widząc Eddiego. – Co za niespodzianka! – Po czym mrugnął do Elizabeth, dając do zrozumienia, że wcale nie jest zaskoczony.

– Taaa – odpowiedział mąż Niny, wbijając wzrok w siostrę.

– Kopę lat, Edwardzie – dodał mężczyzna.

Eddie powstrzymał się od ciętej riposty ze względu na obecność babci i siostrzenicy. Powiedział tylko:

– Tak, dwadzieścia dwa lata to kawał czasu.

Niezręczną ciszę, jaka nastąpiła po tych słowach, zakończyła Holly, przebiegając przez pokój, by uściskać nowego gościa.

– Cześć, dziadku!

– Czołem! – odpowiedział mężczyzna. – Jak się miewa moja ulubiona wnuczka?

– Twoja jedyna wnuczka – przypomniała mu Holly.

– Dzięki temu jesteś dla mnie jeszcze cenniejsza, wiesz? – Pocałował dziewczynkę w policzek i spojrzał na Ninę.

– Holly wiele mi o pani opowiadała. Pani Nina, prawda?

– Zgadza się – potwierdziła kobieta. – A pan musi być... – Wiedziała, kim jest nieznajomy, ale trąciła Eddiego łokciem, żeby przedstawił go, jak należy.

Eddie nie próbował ukryć pogardy.

– To mój... ojciec.

Nina zdawała sobie sprawę, że krótka pauza miała zamaskować odruch, który Eddie w sobie wyrobił. W rzadkich chwilach, kiedy wspominał o ojcu, młodszy Chase niemal zawsze poprzedzał taką wzmiankę obraźliwym epitetem.

– Larry Chase – przedstawił się mężczyzna, wyciągając dłoń do Niny. – To zaszczyt spotkać kogoś tak sławnego.

– Nie myślę o sobie w ten sposób – odpowiedziała, wrywając dłoń z jego mocnego uścisku.

– Ale niewątpliwie jest pani sławna. Myślę, że kojarzą panią wszyscy, którzy w zeszłym roku oglądali w telewizji relację z otwarcia Sfinksa.

Nina zarumieniła się na wspomnienie nieplanowanego występu w stacjach telewizyjnych na całym świecie.

– To niefortunny efekt uboczny tej pracy.

Larry się uśmiechnął.

– Jest pani zbyt skromna. A jak ty się czujesz, Catherine? – zwrócił się do babci.

Kiedy ojciec rozmawiał ze staruszką, Eddie bezceremonialnie zaciągnął Elizabeth w kąt sali.

– Do jasnej cholery, Lizzie! – syknął. – Dlaczego nie powiedziałaś mi, że on tu będzie?

– Bo gdybym cię uprzedziła, znalazłbyś jakąś wymówkę, żeby się z nim nie zobaczyć – szepnęła lodowatym tonem.

– Tak, bo nie chcę mieć z nim nic wspólnego!

– Kiedy w zeszłym roku byłam w Nowym Jorku, mówiłam ci, że czas odbudować spalone mosty. A kiedy poprosiłeś o jego numer telefonu, myślałam, że faktycznie zamierzasz to zrobić. Ale minęło osiem miesięcy i nic się nie zmieniło, więc postanowiłam przyspieszyć bieg wydarzeń.

Eddie faktycznie poprosił o numer telefonu po tym, jak był świadkiem pojednania innego skłóconego ojca z synem, ale, koniec końców, głęboko zakorzeniona uraza powstrzymała go przed wykręceniem numeru.

– Nie powinnaś, kurwa, wsadzać nosa w nie swoje sprawy.

– A ty powinieneś dorosnąć – warknęła. – Sam powiedziałeś, że minęło ponad dwadzieścia lat od waszego ostatniego spotkania. Tata się zmienił. Ty też byś mógł.

– Zmieniło się w nim tylko tyle, że ma mniej włosów i większy brzuch.

– O tobie można powiedzieć to samo. Na litość boską, Eddie, mógłbyś przynajmniej postarać się być uprzejmy. Chociaż ze względu na babcię.

Z tym Chase nie mógł się spierać. Wściekły odsunął się od siostry i zobaczył, że Larry znów rozmawia z Niną. Szybko się do nich przyłączył i stanął między nimi, żeby pokazać ojcu, że nie chce mieć z nim nic wspólnego.

Było już jednak za późno.

– Larry zaprosił nas na kolację dziś wieczorem – powiedziała Nina, mrużąc oczy z dezaprobatą po tym, jak jej mąż zastosował niezbyt subtelny manewr blokujący.

– Tak? Szkoda, że nie damy rady wpaść.

– Przyjęłam zaproszenie.

Eddie się zachmurzył.

– Ach tak?

– Owszem. W imieniu nas obojga. – Nina wychyliła się zza męża i zwróciła się do Larry'ego. – Przyjdziemy z przyjemnością.

Starszy Chase się uśmiechnął.

– Poproszę żonę, żeby przygotowała coś specjalnego. Nie mogę się doczekać spotkania z wami. Obojgiem. – Pożegnał się z pozostałymi członkami rodziny, przeprosił, że musi wracać do pracy, pomachał, brzękając drogim złotym zegarkiem, i wyszedł.

– Cóż za niespodziewana przyjemność – zauważyła babcia. – Prawda, Edwardzie?

– O tak, niespodziewana – odpowiedział wnuk przez zęby.

Do sali wszedł lekarz i stanął przy łóżku babci. Wyjaśnił, że jej stan poprawił się na tyle, by mogła zostać wypisana do domu; miała kontynuować tlenoterapię jeszcze przez kilka dni, ale poważne problemy z oddychaniem, które doprowadziły do jej hospitalizacji, ustały, a ciśnienie zostało obniżone. Eddie zaoferował pomoc, ale Elizabeth uparcie twierdziła, że ona i Holly ze wszystkim sobie poradzą, a on z Niną powinni zameldować się w hotelu, a potem spotkać się z nimi u Elizabeth.

– W ten sposób – dodała – będziecie mieć dużo czasu na przygotowania przed dzisiejszą kolacją u taty.

– Nie mogę się doczekać – warknął Eddie.

Kilka minut później wykazał znacznie mniej opanowania.

– Kurwa mać, Nina! – wrzasnął, kiedy znaleźli się za drzwiami szpitala. – Dlaczego zgodzi-

łaś się na tę kolację? Nie dziwi mnie, że cholerna Liz się wtrąca, ale ty? Jesteś moją żoną, powinnaś być po mojej stronie!

– Tak, jestem twoją żoną – odparowała Nina. – I wiesz, co to oznacza? Że Larry jest moim teściem! Kiedy zaprasza mnie na kolację, nie mogę tak po prostu odmówić. To ty masz z nim problem, nie ja. Ja dopiero go poznałam. Nie zamierzam być dla niego niemila bez powodu, a już na pewno nie przy babci i Holly.

– Podaliśmy ci wiele pieprzonych powodów.

– Trudno cię uznać za obiektywne źródło informacji. A to wszystko stało się tak dawno temu...

– Ale się stało, do cholery.

– Że może czas, żebyś zostawił to za sobą! – krzyknęła. – Po tym, jak Girilal i Shankarpa pogodzili się w Indiach, myślałeś o tym, żeby się z nim skontaktować. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Zmieniłem zdanie.

– Dlaczego?

– Bo tak.

– To nie jest odpowiedź!

– I co z tego, do cholery! Nie lubię, kiedy ludziom wydaje się, że wiedzą, co jest dla mnie dobre. Uznałem, że nie chcę go widzieć. To powinno wystarczyć. Ale nie, Lizzie musiała wtrącić swoje trzy grosze, a ty ją poparłaś!

– On nadal jest twoim ojcem, Eddie. Co byś zrobił, gdyby to on tu leżał, a nie babcia?

Dotarli do samochodu.

– Nie przyjechałbym.

Nina była zszokowana reakcją męża.

– Co takiego?

– Słuchaj, on sobie romansował, kiedy moja mama umierała na raka! – warknął Eddie. – Są takie rzeczy, których się nie wybacza. Których ja nie wybaczam. Szczerze mówiąc, nie przejąłbym się, gdybym miał go nigdy więcej nie zobaczyć. – Wsiadł do mondeo i zatrzasnął za sobą drzwi.

Nina wsiadła z drugiej strony. Przez chwilę siedziała w milczeniu, po chwili odwróciła się do męża.

– Nigdy ci o tym nie opowiadałam – powiedziała cicho. – Kiedyś potwornie się pokłóciłam z rodzicami. Jechali na ekspedycję do Tybetu, kiedy ja byłam w samym środku sesji, i stanowczo nie zgodzili się zabrać mnie ze sobą. Twierdzili, że moje egzaminy są ważniejsze. Byłam na nich taka wściekła... Nagadałam im najróżniejszych rzeczy, których potem żałowałam. Ale oni i tak pojechali beze mnie i... to właśnie wtedy zginęli. – Opuściła głowę. – To był jednorazowy wybryk, głupia kłótnia. Kochałam ich. Ale... – Spojrzała na Eddiego. Łzy lśniły jej w kącikach oczu. – Nie mogę zmienić przeszłości, nie mogę przywrócić ich do życia. Ale oddałabym wszystko, żeby móc ich przeprosić, zanim wyjechali. Nie twierdzą, że ty masz za co przeproszać, ale jeśli masz szansę się pogodzić, skorzystaj z niej. Jeśli to naprawdę miałyby być wasze ostatnie spotkanie w życiu, czy naprawdę chciałbyś, żeby właśnie tak wyglądało?

Po długim milczeniu Eddie westchnął z irytacją.

– Dobrze. Pojedziemy na tę kolację – powiedział z wyraźną niechęcią. – Ale robię to tylko dla ciebie, jasne? Nie dla Lizzie, a już na pewno nie dla niego.

Nina otarła oczy i się uśmiechnęła.

– Dziękuję. Myślę, że robisz to nie tylko dla mnie, ale też dla siebie.

Uściskał jej rękę, a potem odpalił silnik.

– Nieważne już, dla kogo. Miejmy nadzieję, że nie okaże się to jedną wielką cholerną pomyłką.

Larry Chase mieszkał na wybrzeżu, około piętnastu kilometrów od dużego portu w Southampton.

– No, no – powiedziała Nina, kiedy mondeo zatrzymało się na podjeździe. – Niezła chata. – Był to stary budynek farmy z czerwonej cegły, po całkowitej renowacji, otoczony kilkoma akrami zielonej posiadłości. Przed domem stał nowiutki srebrny jaguar XKR sport coupé, a w otwartym podwójnym garażu widać było czarnego range rovera i krwistoczerwoną sportową mazdę MX-5. – Twojemu tacie musi się powodzić.

– Zarabianie pieniędzy zawsze przychodziło mu z łatwością – stwierdził Eddie. – To, jak je zarabia... to już całkiem inna historia. – Wysiadł z samochodu, zanim żona zdążyła poprosić, by wyjaśnił, co ma na myśli.

Nina, która starannie dobrała strój na wyjście, miała na sobie spódnicę i buty na wysokim obcasie. Eddie ubrał się, jak zawsze, w dżinsy, T-shirt i czarną skórzaną kurtkę. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby się ogolić. Powłókł się do frontowych drzwi i zadzwonił. Żona stanęła obok niego.

Drzwi otworzył Larry.

– Witajcie! – powiedział uroczyście. – Wchodźcie. Proszę, ja to wezmę. – Pomógł Ninie zdjąć kurtkę i powiesił ją w niewielkiej garderobie, potem odwrócił się do syna, ale Eddie zdążył już się rozebrać i bezceremonialnie powiesił swoją kurtkę na okryciu Niny. – Cieszę się, że tu dotarliście. Elizabeth od dawna powtarzała, że powinienem się z wami skontaktować. Szkoda tylko, że twoja babcia musiała napędzić nam takiego stracha, żeby to się stało – dodał poważniejszym tonem.

– Owszem – rzucił Eddie beznamiętnie.

– Ale – mówił dalej Larry, odzyskując wesołość – mam nadzieję, że uda nam się przy tej okazji zakopać topór wojenny. Dwadzieścia dwa lata to długo. Za długo, nie sądzisz?

– Zdecydowanie – odpowiedziała Nina, widząc, że Eddie nie zamierza się odezwać.

– Ja też tak uważam. Chodźcie, poznacie moją żonę. Julie! Już są!

Do przedpokoju weszła ładna blondynka, stukając obcasami czarnych skórzanych butów. – Cześć, jak się macie? – powiedziała z entuzjazmem i pocałowała w policzek najpierw Ninę, potem wyraźnie zbitego z tropu Eddiego.

– To moja żona, Julie – dodał Larry, obejmując kobietę ramieniem. – Julie, to mój syn, Eddie, i jego żona, Nina.

– Kiedy ponownie się ożeniłeś? – spytał ojca Eddie. W jego słowach słychać było oskarżenie, nie zainteresowanie.

– Dwa lata temu – odpowiedziała Julie.

– Dziwne, że Elizabeth ci nie powiedziała – zastanowił się Larry.

– Nie pytałem jej – odpowiedział Eddie z zimnym uśmiechem, przyglądając się blondynce. Kobieta miała na sobie obcisłą, wydekoltowaną jaskrawoniebieską satynową sukienkę i była obwieszona złotą biżuterią. – Julie, ile masz lat?

– Daj spokój, Eddie. Wiesz, że damy nie powinno się pytać o wiek – przerwała mu Nina, próbując uratować sytuację. Sama jednak była ciekawa. Julie wyglądała na sporo młodszą od swojego męża.

Blondynka machnęła ręką, pobrzękując bransoletkami.

– Nie ma sprawy. Mam trzydzieści sześć lat.

– Trzydzieści sześć?! – wykrzyknął Eddie.

– Wiem, to spora różnica wieku. Ale to nie ma znaczenia, bo naprawdę się kochamy – dodała, opierając głowę na ramieniu Larry'ego.

Eddie nadal był skonsternowany.

– Jesteś młodsza ode mnie!

– Tak, wiem. Kiedy Larry mi o tobie opowiadał, pomyślałam, że to trochę dziwne, że będę

twoją macochą. Ale jeśli chcesz, możesz traktować mnie jak przyrodnią siostrę!

Eddie milczał z kamiennym wyrazem twarzy.

– Julie, zrób nam, proszę, coś do picia, a ja pokażę dom – odezwał się Larry po dłuższej chwili. Kobieta nieśmiało uśmiechnęła się do gości i, stukając obcasami, zniknęła w głębi korytarza.

Mężczyzna podszedł do schodów.

– Chodźcie, najpierw obejrzymy górę – zaproponował, wchodząc na pierwszy stopień.

– Połowa jego wieku plus siedem lat – mruknął Eddie do Niny, kiedy poszli za gospodarzem.

– Co?

– Pamiętasz taką zasadę? Ile lat musi mieć kobieta, żeby facet nie wyszedł na starego zbrojczyka?

– No i?

– On ma sześćdziesiąt lat. To ty tu jesteś geniuszem matematycznym. Przelicz to sobie.

Nina westchnęła. Przestała już wierzyć w udany wieczór. Miała tylko nadzieję, że nie zakończy się mordobiciem.

Wystrój domu był imponujący, drogi... i zdecydowanie w męskim stylu. Jeśli w jakichś pomieszczeniach widoczna była kobieca ręka Julie, Larry nie pokazał ich gościom. Pochwalił się za to tymi miejscami, które uważał za najważniejsze: dobrze wyposażoną siłownią, sauną, salą kinową z potężnym systemem dźwiękowym i całą ścianą płyt DVD i Blu-ray. Jego notowania u Niny nieco wzrosły, kiedy zauważyła, że w kolekcji znajdują się wszystkie filmy Monty Pythona. Zaskoczyło ją za to, że duży strych w całości zajmuje torowisko z modelami kolejek. Nie spodziewała się po teściu takiego hobby. Larry szybko wyjaśnił:

– Zbieram takie modele od dzieciństwa. W ten sposób mogę mieć pewność, że przynajmniej w jednym miejscu pociągi będą jeździć zgodnie z rozkładem.

– Taa, zawsze lubiłeś mieć kontrolę – stwierdził Eddie. Przekręcił pokrętko i jeden z pociągów ruszył.

– Mógłbyś tego nie robić? – warknął Larry.

– Bo co? Przecież go nie zepsuję.

– Nie byłby to pierwszy raz. – Starszy Chase przesunął główny włącznik, odcinając zasilanie.

Eddie pokręcił głową.

– Jezu, jako dziecko raz popsulem zabawkowy pociąg i mam zakaz ich dotykania na resztę życia?

– To nie są zabawki – oświadczył ojciec z irytacją.

– To naprawdę niesamowite – przerwała im Nina, usiłując zapobiec kłótni. Przyjrzała się jednemu z małych budynków, replice wiejskiego angielskiego pubu. – Jaka to szczegółowa replika!

– Diabeł tkwi w szczegółach – wyjaśnił gospodarz. – Jeśli chcesz osiągnąć sukces, musisz pamiętać o szczegółach, niezależnie od tego, czy wykonujesz jakąś pracę sam, czy ją zlecasz. Tak jak w tym przypadku. – Wskazał na makietę. – Nie mam czasu sam robić wszystkiego, ale kiedy ktoś pracuje nad tym na moje zlecenie, dokładnie wie, czego od niego oczekuję.

– Płacisz komuś za wykonanie makiet? – spytał Eddie z przekąsem. – Gdzie tu zabawa? Mógłbyś równie dobrze zatrudnić kogoś, żeby stanął tu i kierował pociągami.

Wiszącą w powietrzu awanturę przerwał głos Julie wołający, że kolacja jest prawie gotowa. Podano drinki, potem zaczął się posiłek. Kiedy do towarzystwa znów dołączyła radosna pani domu, ton rozmów stał się lżejszy, jednak w połowie głównego dania – carpaccio z wołowiny z sałatką z marynowanych warzyw – Nina uświadomiła sobie, że to ona będzie musiała prowadzić w drodze powrotnej. Eddie w picciu dotrzymywał kroku ojcu i nalewał sobie już trzeci kieliszek wina. Nina, która nie skończyła jeszcze nawet pierwszego kieliszka, przerzuciła się na wodę.

– Nie jestem ekspertem, jeśli chodzi o brytyjską wymowę – powiedziała do Larry'ego – ale zauważyłam, że mówisz z innym akcentem niż Eddie. Nie pochodzisz z Yorkshire?

– Istotnie – odpowiedział gospodarz. – Jestem z Bucks. Buckinghamshire, w Home Counties.

Zamożne okolice Londynu – wyjaśnił, widząc zdziwione spojrzenie Niny. – Spędzałem dawniej mnóstwo czasu, podróżując służbowo pomiędzy portami w Liverpoolu i Hull, a M62, łącząca je autostrada, była akurat na ukończeniu. Osiedliłem się więc w miejscu leżącym dokładnie pośrodku. W gruncie rzeczy z tego samego powodu sprowadziłem się tutaj. Sporo interesów robię w Southampton, więc pomyślałem, że lepiej będzie zamieszkać blisko portu. W obu przypadkach dobrze na tym wyszedłem. Tutaj poznałem Julie – była moją sekretarką – a w Yorkshire swoją pierwszą żonę.

– Mamę – burknął Eddie.

– Czym się zajmujesz? – pospieszenie spytała Nina. – Eddie mówił, że ma to coś wspólnego z transportem. – Jej mąż powiedział dokładnie „transportem czy tym podobnymi pierdołami”, ale postanowiła zachować to dla siebie.

Larry wskazał na półkę.

– Julie, leżą tam moje wizytówki. Dasz jedną Ninie?

Żona spełniła jego prośbę.

– Dziękuję – odpowiedziała Nina. Na górze wizytówki widniało surowe, nowoczesne logo w kolorze granatowym i nazwa firmy. – Chase International Logistics?

– Zgadza się – odpowiedział Larry z uśmiechem zadowolenia. – Odszedłem z poprzedniej firmy dziesięć lat temu i rozkręciłem własny biznes. Firma prosperuje całkiem nieźle.

– Czym zajmuje się logistyka międzynarodowa? – spytała Nina i włożyła wizytówkę do kieszeni bluzki, żeby nie wydać się niegrzeczna.

– Przewożeniem rzeczy z miejsca, gdzie się znajdują, do miejsca, gdzie mają dotrzeć, najszybciej jak się da, bez niepotrzebnych trudności. Także tych robionych przez urzędników. Podróżuję po całym świecie, aby nawiązać odpowiednie kontakty. Czasami wystarczy szepnąć komuś słówko, żeby przesyłka, która normalnie utknęłaby gdzieś na tydzień, przeszła odprawę celną w ciągu godziny.

Eddie pociągnął kolejny łyk wina.

– I to wszystko jest całkowicie legalne, rzecz jasna. – W jego głosie słychać było ironię.

– Nie wiem, co chciałeś zasugerować, ale wszystko odbywa się jawnie – odpowiedział Larry, marszcząc brwi.

– Tiaaa. Po tym, jak administracja celna przeprowadziła dochodzenie w twojej sprawie, nic dziwnego, że starasz się mieć papiery w porządku.

Nina i Julie wymieniły zakłopotane spojrzenia, a Larry wbił widelec w ostatni kawałek wołowiny.

– To była wyrywkowa kontrola. Przeprowadzają setki takich co roku. – Włożył mięso do ust i zaczął je przeżuwać ze złością.

– Ale zazwyczaj nie wchodzi ludziom do domów i nie zabezpieczają wszystkich dokumentów, prawda? – Teraz to Eddie wyglądał na zadowolonego z siebie.

Ojciec miał pełne usta i nie mógł odpowiedzieć, ale grymas na jego twarzy wskazywał, że szykuje ciętą ripostę.

– Wszyscy już zjedli? – pospieszenie spytała Julie. – Larry, skarbie, możesz mi pomóc wstać talerze do zmywarki?

Po wyjściu gospodarzy Nina ukryła twarz w dłoniach.

– Jezu, Eddie.

– No co? – Mąż wzruszył ramionami z miną niewiniątka. – Po prostu wpadłem w nostalgiczny nastrój.

– Czy twoja nostalgia mogłaby być mniej agresywna? Proszę!

Podano deser – pieczone brzoskwinie, faszerowane serem mascarpone i migdałami. Zarówno Eddie, jak i Larry zapili go kolejnymi kieliszkami wina. Nina była wdzięczna Julie za skierowanie rozmowy na temat, który nie groził kolejną utarczką między ojcem i synem.

– Zdaje się, że prowadzisz niezwykle życie – powiedziała gospodyni do archeolożki. – To jedna wielka przygoda!

– Moje życie nie składa się z samych przygód – zapewniła ją Nina. – Spędzam w biurze

więcej czasu, niż bym chciała. Ale jutro będziemy pracować w terenie – w Glastonbury, w grobowcu króla Artura.

– Coś podobnego. Czy poznałaś Eddiego, pracując jako archeolog?

– Tak. Został zatrudniony jako mój ochroniarz i od tego czasu broni mnie przed złymi ludźmi. – Nina uśmiechnęła się i położyła dłoń na ramieniu męża.

– Jakie to romantyczne – westchnęła Julie, ignorując ciche, ale wyraźnie lekceważące prychnięcie Larry'ego. – I ekscytujące. Eddie, z iloma bandytami musiałeś się rozprawić?

– Paru ich było – odpowiedział, pierwszy raz tego wieczoru bez złośliwych podtekstów. – Ale służyłem kiedyś w SAS, więc umiem sobie z nimi radzić. – Jego słowa zrobiły ogromne wrażenie na Julie, przez co Larry zirytował się jeszcze bardziej. – Zwykle wystarczy dać im po pysku.

– Tylko w tym byłeś dobry jako dziecko – głośno stwierdził starszy Chase, dolewając sobie alkoholu. – W biciu ludzi. Jak się nazywał ten chłopiec, którego dręczyłeś? Peter... Już wiem – Peter Clackett. Pamiętam, jak jego rodzice przyszedli się poskarżyć, że się nad nim znęcał.

– Larry... – wtrąciła Julie błagalnie, ale jej mąż nie zamierzał przestać.

– A kiedy podrosłeś, zamiast rodziców przyjeżdżała policja. Mimo wszystko – mówił dalej, zwracając się do Niny – cieszę się, że w końcu zaczął wykorzystywać swój, hmm, talent w konstruktywny sposób.

– Szczerze mówiąc, Larry – próbowała bronić męża Nina – uważam, że Eddie jest fantastycznym człowiekiem i niczego bym w nim nie zmieniła. – Nie była to do końca prawda, ale miała nadzieję, że uda jej się w ten sposób skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory. Była jednak zszokowana informacją, że jej mąż w dzieciństwie znęcał się nad innymi, a Eddie nawet nie próbował temu zaprzeczyć.

– Dzięki, skarbie – odpowiedział młodszy Chase. Z ulgą zauważyła, że w jego głosie po-brzmiewa wesołość, nie złość. Zjadł kawałek brzoskwini, popił kolejną porcją wina i wyznał: – Myślę, że sprawowałbym się lepiej jako dziecko, gdybym miał odpowiedni wzór do naśladowania. Nie kogoś, kogo nigdy nie było w domu, bo był zajęty dawaniem w łapę nieuczciwym celnikom i zabawianiem się z innymi kobietami za plecami żony.

Larry z brzękiem odłożył łyżeczkę.

– O Boże – jęknęła cicho Nina.

– Ale po tym, jak wyprowadziłem się z domu, w wojsku wleli mi trochę oleju do głowy, więc ostatecznie wyszedłem na ludzi. Wiesz, służyłem ojczyźnie, ratowałem ludzkie życie...

– Ożeniłem się z terrorystką – przerwał mu Larry, po czym zwrócił się do Julie. – Wiesz, że jego pierwszą żoną była Sophia Blackwood, kobieta, która próbowała wysadzić w powietrze Nowy Jork?

Skonsternowana Julie nie odpowiedziała.

– Przynajmniej jej nie zdradzałem – warknął Eddie i dodał z sarkastycznym uśmiechem: – A co ty zrobiłaś dla ludzkości przez ostatnie dwadzieścia lat? Zajmowałaś się wszystkim po trochu, ubiłaś parę interesów... i bawiłaś się pociągami.

– Może faktycznie za rzadko bywałem w domu – przyznał Larry. – Inaczej wbiłbym ci do głowy więcej szacunku.

– O tak, to na pewno – rzucił Eddie zaczepnie. – Chętnie tłukłbyś własne dziecko, co?

– Na pewno nie puszczałbym cię samopas, jak matka.

Eddie zerwał się na nogi, potrącając stół i przewracając swój kieliszek, a potem wymierzył palec w ojca.

– Nawet się, kurwa, nie waż krytykować mamy! Nie po tym, co jej zrobiłaś!

Starszy Chase też poderwał się z miejsca.

– Bądź łaskaw nie przeklinać w moim domu!

– Bo co zrobisz? Dasz mi klapsa? A może postarasz się wbić mi do głowy trochę szacunku?

Chodź tu i spróbuj!

Obie kobiety też wstały i próbowały uspokoić mężów.

– Eddie, Eddie, chodź – powiedziała Nina. – Chyba powinniśmy się już zbierać, robi się późno.

– Niech ci będzie – stwierdził Chase. – Dzięki za kolację, Julie. Sami trafimy do wyjścia. – Szybko wyszedł z pokoju.

Nina spojrzała z niesmakiem na Larry'ego, a potem zwróciła się do jego żony.

– Przepraszam, Julie.

– Ja też – odpowiedziała gospodyni równie skruszonym tonem. – Mam nadzieję, że reszta waszego pobytu będzie... bardziej udana.

– Hm, do widzenia – odpowiedziała Nina i z westchnieniem poszła za Eddiem, który zdążył już włożyć kurtkę i stanąć przy drzwiach. – Co to było, do cholery? – syknęła, zdejmując z wieszaka swoje okrycie. – Nie mogłeś zachowywać się przyzwoicie przez dwie godziny?

Eddie wyszedł na zewnątrz.

– Co takiego? Przecież to on zaczął.

– Jesteście siebie warci – stwierdziła Nina, doganiając męża. – Owszem, zachował się jak palant, ale to nie znaczy, że masz brać z niego przykład.

– Ja tu, kurwa, w ogóle nie chciałem przyjeżdżać, pamiętasz? To wszystko twoja wina, bo mnie tu przyciągnęłaś.

– Jasne, zrzuć odpowiedzialność na mnie. To cholernie dojrzałe, Eddie. – Dotarli do samochodu. Mężczyzna skierował się ku drzwiom po stronie kierowcy.

– Co ty wyprawiasz?

– A jak myślisz? Wsiadam do samochodu.

– Nie możesz prowadzić. Za dużo wypiełeś.

Eddie rzucił kluczyki na dach auta.

– Jak sobie chcesz. Ja tam mogę wrócić piechotą.

– Nie kuś mnie – ostrzegła Nina, zaciskając usta. Wzięła kluczyki i otworzyła samochód.

Chase ciężko opadł na siedzenie pasażera i zatrzasnął za sobą drzwi.

– Jeśli tak cholernie się mnie wstydzisz w towarzystwie, oszczędzę ci upokorzenia i nie pojedę jutro z tobą do Glastonbury. Znasz drogę. Ja spędzę dzień z babcią, tak jak obiecałem. To jedyny członek rodziny, który naprawdę mnie ceni.

– Rób, co chcesz. – Zaciskając zęby, Nina uruchomiła silnik, dodała więcej gazu, niż było potrzeba, i z piskiem opon ruszyła z podjazdu.



Następnego ranka Eddie wyszedł z hotelu bez śniadania. Nina nie zdążyła z nim porozmawiać, więc była w złym nastroju. Wciąż czuła wściekłość na niego – i Larry’ego – za ich dziecinne zachowanie.

Ubrania, które miała na sobie poprzedniego wieczoru, leżały na krześle. Kiedy składała spódnicę i bluzkę, żeby włożyć je z powrotem do walizki, na podłogę wypadła pognieciona wizytówka. Nina przyjrzała się jej, a potem włożyła do portfela. Na wizytówce był między innymi telefon domowy Larry’ego. Nie miała wprawdzie ochoty rozmawiać ze starszym Chasem, ale nie wykluczała, że może skontaktuje się z Julie, chociażby po to, żeby jeszcze raz ją przeprosić.

Na razie jednak musiała popracować. Rozmawiała wprawdzie z kuratorami Wzgórza Glastonbury jeszcze z Nowego Jorku, ale umawiała się z nimi tak pośpiesznie, że chciała sprawdzić, czy wszystko się zgadza, zanim pojedzie na miejsce. Zaczęła dzwonić.

Udało jej się potwierdzić wszystkie ustalenia w ciągu pół godziny. Związała włosy i już zbierała się do wyjścia, kiedy zadzwoniła jej komórka. Eddie? Nie, Macy.

– Halo?

– Cześć, Nina! – Sądząc z hałasu w tle, Macy właśnie jechała samochodem.

– Hej, Macy. Gdzie jesteś?

– Na autostradzie. Zdaje się, że nazywa się M3. Jadę do ciebie.

– Udało ci się przywieźć którąś figurkę?

– Mam obie! Pan Penrose przekonał doktora Assada, żeby pozwolił egipskiej statuetce pojechać na wakacje, a twój przyjaciel z Interpolu – jak on się nazywa? Jindal? – od razu się zgodził, żeby zabrała drugą. Dalej jesteś w Bournemouth?

– Tak, w hotelu – wyjaśniła Nina i podała jej kod pocztowy.

– W porządku – powiedziała Macy po wstukaniu go w GPS. – Według tego urządzenia mam do ciebie sto dwadzieścia kilometrów, a pokonanie tej odległości zajmie mi godzinę i dwadzieścia pięć minut. Też coś! Na pewno dam radę szybciej. – Ryk silnika stał się głośniejszy.

– Nie spiesz się, Macy – poprosiła Nina. – I tak spodziewają się nas dopiero na lunch.

– Nie ma sprawy. Możecie najpierw pokazać mi z Eddiem trochę Anglii.

– Eddie nie jedzie dzisiaj z nami.

– Nie? Aha. A dlaczego?

– Z przyczyn osobistych. – Nina nie miała ochoty na zwierzenia. – Do zobaczenia wkrótce.

– A co dzisiaj porabia Nina? – spytała babcia.

Spacerowali z Eddiem nadmorską drogą. Na zachodzie widać było przystań w Bournemouth wcinającą się w głąb kanału La Manche. Wnuk pchał wózek inwalidzki, na którym siedziała starszuszka. Kobieta źle się czuła, zależna od innych, ale na razie pogodziła się z sytuacją.

– Pojechała do Glastonbury – wyjaśnił Eddie. – Prowadzą tam jakieś prace archeologiczne.

– Rozumiem. A dlaczego ty z nią nie pojechałeś?

Chase wciąż był wściekły po wczorajszym wieczorze, ale postanowił zachować to dla siebie i odpowiedział po prostu:

– Chciałaś, żebym zabrał cię na spacer, więc zabrałem.

– A jeśli coś jej się przytrafi?

– Co na przykład?

– Nie wiem, ale wam dwojgu bez przerwy się coś przytrafia. Ostatnim razem, kiedy tu byliście, kino wyleciało w powietrze! – Starszuszka wskazała palcem dźwig na wybrzeżu – miejsce, w którym grupę rosyjskich najemników spotkał „wybuchowy koniec”. – Musieli potem zrównać je z ziemią. Dobrze się stało, bo budynek był ohydny. Ale martwię się o was.

– W tej chwili nie masz o co. Z tego, co wiem, nie obraziliśmy członków żadnego kultu, nie szukamy starożytnych cywilizacji, których istnienie ktoś wolałby zachować w tajemnicy, i nikt nie

próbuję nas zabić.

– Może i nie, ale i tak jestem niespokojna. A Nina na pewno czułaby się lepiej, gdybyś był przy niej. – Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu. Po chwili kobieta zaczęła mówić dalej. – Co będziesz dzisiaj robił, skoro jej nie ma?

– To zabrzmiało, jakbym nie mógł się niczym zająć bez jej zgody.

– Wiesz, o co mi chodzi. Jesteście parą i zazwyczaj pracujecie razem.

Eddie w gruncie rzeczy nie miał żadnych planów.

– Nie wiem. Może spędzę popołudnie z tobą, Holly i Lizzie?

– Holly umówiła się z przyjaciółmi – oznajmiła starszka, a potem spojrzała na wnuka z porozumiewawczym uśmiechem. – Ale jestem pewna, że z Elizabeth macie o czym porozmawiać.

– Taaa. – Relacje Eddiego ze starszą siostrą nawet w najlepszych momentach bywały napięte. W dodatku na pewno zadzwoniła do ojca, żeby zapytać go o wczorajszy wieczór, więc był pewien, że będzie mu miała wiele do powiedzenia. – Ale nie chcę cię tak zostawiać.

– Nie bądź śmieszny! Nie musisz przez cały dzień skakać obok takiej starej kwoki, jak ja. Na pewno jest tu jeszcze ktoś, z kim mógłbyś się spotkać. Na przykład twój przyjaciel, ten szkocki dżentelmen.

– Mac? – Babcia spotkała go kilkakrotnie, ostatnim razem podczas przyjęcia z okazji pierwszej rocznicy ślubu Eddiego i Niny.

– O właśnie. Był przeuroczy. Gdzie on mieszka?

– W Londynie.

– To mniej niż dwie godziny drogi pociągiem. Powinieneś do niego zadzwonić.

Eddie się zastanowił.

– Wiesz, co? Chyba to zrobię.

– Widzisz? Babunia wie najlepiej. Zawsze warto znaleźć czas na spotkanie z przyjaciółmi.

Nigdy nie wiadomo, kiedy znów ich zobaczysz. – Wskazała palcem kolejne miejsce, tym razem ładnie położony punkt widokowy. – Edwardzie, mógłbyś mnie tam zawieźć? To jedno z moich ulubionych miejsc.

Był środek letniego sezonu i szczyt klifu roił się od turystów. Byli jednak na tyle uprzejmi, że zrobili miejsce dla starszej pani na wózku.

– Pomożesz mi wstać? – poprosiła Eddiego.

– Miałaś nie wstawać z wózka, babciu.

– Edwardzie, nie jestem kaleką. No, daj rękę. – Odepchnęła się od siedzenia.

Eddie z ociąganiem pomógł jej stanąć. Sprawiała wrażenie lekkiej i kruchej – całkiem innej niż krzepka, energiczna postać, którą zapamiętał z dzieciństwa. Dla babci musiał to być spory wysiłek – kilka razy ciężko odetchnęła i stłumiła atak kaszlu – ale udało jej się wstać i oprzeć o barierkę.

– Dziękuję. Spójrz tylko! Jak tu pięknie!

Widok rzeczywiście był wspaniały. W przejrzystym powietrzu z punktu widokowego widać było panoramę całego wybrzeża, aż do portu Poole Harbour, a nawet dalej. Morze lśniło w południowym słońcu, a na piasku wylegiwały się setki plażowiczów. Widoczne na tle nieba mewy leniwie szybowały na ciepłych prądach powietrznych.

– To prawda – zgodził się wnuk. Ten widok poprawił mu nastrój.

Starszka przez chwilę w milczeniu podziwiała panoramę, wygrzewając twarz w słońcu, a potem z pomocą Eddiego usiadła z powrotem na wózku. Znów zakasłała, tym razem mocniej, i odchrząknęła.

– Cieszę się, że udało mi się znów zobaczyć to miejsce, a jeszcze bardziej, że byłam tu z tobą. Uwielbiam morze. Wiesz, powiedziałam Elizabeth, że chcę, żeby właśnie tutaj rozsypano moje prochy, kiedy odejdę.

Eddiemu nie podobało się, że rozmowa zeszała na taki temat.

– Babciu, możesz tu przyjechać, kiedy tylko chcesz. A ja niedługo znów wpadnę, żeby przyjść tu z tobą. Nie przejmuj się niczym.

– Nie martwię się o siebie, Edwardzie. Miałam dobre życie. Ale twoja stara babcia... zaczyna się psuć. – Postukała w maskę tlenową. – Nie chcę dłużej tu być, jeśli mam leżeć podłączona do

jakichś rurek w szpitalnej sali. Wołałabym zasnąć i więcej się nie obudzić.

Chase słyszał już, jak babcia mówiła podobne rzeczy, jednak wcześniej zawsze robiła to żartobliwie. Tym razem w jej głosie słyhać było rezygnację.

– Nie mów tak, babciu. Jeszcze długie życie przed tobą.

Starsza pani uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję, Edwardzie. Dobry z ciebie chłopak. Jestem spełnionym człowiekiem. Mam wnuki i prawnuki. Tak naprawdę jedyne, czego bym jeszcze chciała, to żebyście z Niną dali mi kolejnego prawnuka.

– Nie jestem pewien, kiedy do tego dojdzie – odpowiedział Eddie. – Ale jeśli dzięki temu przestaniesz się gdzieś wybierać, zobaczę, co da się zrobić.

Babcia znów się uśmiechnęła.

– To miłe. Ale świat należy teraz do was. Nikt nie powinien zasiedzieć się tu zbyt długo.

Po tych słowach Eddie poczuł, jak coś ściska mu gardło. Odwrócił wzrok i spojrział w kierunku, w którym patrzyła staruszka – na spokojne morze.

Nina nie potrzebowała systemu GPS w wypożyczonym przez Macy range roverze evoque, żeby powiedzieć jej, jak daleko są od celu. Tarasowe zbocza wzgórza Glastonbury i ruiny wieży średniowiecznego kościoła stojące na jego szczycie było widać z daleka wśród otaczającej je uprawnej równiny.

– Oto i ono.

– Całe szczęście – odpowiedziała Macy. – Nie wiedziałam, że jazda po Anglii będzie taka stresująca. – Po tym, jak przez kilka kilometrów wlokła się za wozem konnym, w końcu nie wytrzymała i wyprzedziła go tuż przed ostrym zakrętem. Przerażona Nina kurczowo chwyciła się podłokietnika.

– Wszystko przez to, że jeżdżą po złej stronie.

– Tak. A do tego te drogi. – Macy wskazała wypielęgnowanym paznokciem wijącą się przed nimi szosę. – Węższe od taśmy klejącej. I o co chodzi z tymi wszystkimi zakrętami? Czy po odejściu Rzymian Brytyjczycy nie byli w stanie wytyczyć linii prostej?

Nina się uśmiechnęła.

– Już niedaleko. I myślę, że w Glastonbury się odprężysz. Na mnie to miejsce działa kojąco.

– Czy to nie tam cię ścigali i strzelali do ciebie?

– Nie to miałam na myśli!

Po krótkim czasie dotarli do wzgórza. Wiele się tam zmieniło od ostatniej wizyty Niny. Po odkryciu przez nią znajdującego się pod wzgórzem grobowca króla Artura, znaczną część południowo-wschodniego zbocza odgrodzono. Stojące obok kontenery służyły jako biura i laboratoria archeologiczne.

Powitał ich szef ekipy, doktor William Barley, starszy mężczyzna w grubych okrągłych okularach, z fajką między zębami.

– Witam, doktor Wilde. To wielki zaszczyt móc tu panią gościć.

– Dziękuję – odpowiedziała Nina. – To moja asystentka, Macy Sharif.

– Bardzo mi miło panią poznać – przywitał się Barley. – Doktor Wilde, mówiła pani, że ta wizyta związana jest z potencjalnym zagrożeniem bezpieczeństwa.

– Zgadza się – odpowiedziała Nina. Wyjęła z samochodu walizkę z dwiema figurkami i drugą, większą, którą podała Macy. Dziewczyna przez chwilę, zdziwiona, patrzyła na walizkę, po czym uświadomiła sobie, że ma ją nieść, i niechętnie wzięła ją do ręki.

– Agencja znalazła się w posiadaniu artefaktów, które mogą być powiązane z Glastonbury. Barley zacmokał, nie wyjmując z ust fajki.

– Nie do końca wiem, czemu Agencja zachowuje się tak tajemniczo. Rozumiem, że chcecie uniknąć rozgłosu, żeby nie kusić łowców skarbów, ale nie potrafię sobie wyobrazić, jak cokolwiek znalezione podczas wykopalisk mogłoby zagrozić bezpieczeństwu na świecie.

– Zdziwiłby się pan – skwitowała Nina. – Czy możemy obejrzeć grobowiec?

– Oczywiście. Proszę tędy. – Naukowiec poczłapał do wejścia. Było ono teraz osłonięte dobudówką z drewna i cegieł, strzeżoną przez kamery monitoringu. Mężczyzna otworzył drzwi do

wąskiego tunelu, prowadzącego wprost do serca wzgórza. Pojawiło się tam elektryczne oświetlenie, poza tym jednak wszystko wyglądało tak, jak dwa lata wcześniej, kiedy Nina odkryła to miejsce. Rzymskie cyfry wyryte na jednym z kamiennych filarów określały datę budowy: 1191 rok naszej ery. Mnisi z opactwa Glastonbury potajemnie odkopali grobowiec i przenieśli prochy Artura i Ginewry – oraz legendarny miecz króla, Excalibur – do nowego miejsca pochówku, aby najcenniejsze skarby opactwa nie padły łupem złodziei.

Nina przypomniała sobie też o innych rzeczach, jakie odkryła w środku.

– Mam nadzieję, że znaleźliście wszystkie pułapki?

Barley zaśmiał się cicho.

– Nie ma się czego obawiać, doktor Wilde. Wszystko zostało zabezpieczone.

– Bardzo dobrze! Pójdzie pan przodem?

Mężczyzna wytrząsnął popiół z fajki i ruszył w dół stromo opadającym tunelem. Nina i Macy poszły za nim. Na końcu pochyłości zaczynał się prawdziwy labirynt, jedno z zabezpieczeń grobowca, ale Barley szybko przeprowadził kobiety obok posągu Pani Jeziora, przez coś, co podczas pierwszej wizyty Niny było podwodnym labiryntem, potem przez cuchnące pomieszczenie, gdzie pod wielką płaskorzeźbą, przedstawiającą uśmiechniętego Merlina, na nieostrożnych odkrywców czekał niegdyś wybuchowy koniec, i wreszcie do komnaty ze sklepionym sufitem, w której znajdował się grobowiec. Boczna sala, mieszcząca czarne kamienne trumny Artura i jego królowej, była otwarta.

Macy rozglądała się wokół z nabożną czcią.

– Rety, to niewiarygodne! Widziałam to miejsce tylko na zdjęciach. Nie myślałam, że kiedykolwiek uda mi się tu wejść.

– Praca dla Agencji ma jednak swoje plusy – żartobliwie stwierdziła Nina, po czym już ze znacznie większą powagą spojrzała na przedmiot znajdujący się pomiędzy trumnami: granitowy sześcian o boku długości mniej więcej metra, z wąskim otworem w górnej ścianie, w który niegdyś wbity był Excalibur. Brakowało mu kawałka jednego rogu. Nina odcięła go, odkrywając niespodziewanie, że we właściwych rękach broń Artura może znacznie więcej niż zwykły miecz.

– Co to za artefakty? – spytał Barley. Nina otworzyła walizkę. Brytyjski naukowiec nie wydawał się szczególnie zachwycony znajdującymi się wewnątrz figurkami. – Nie rozpoznaję ich.

– My też nie, w tym cały problem. Mam nadzieję, że wizyta tutaj nieco nas... oświeci.

Nina nie zamierzała żartować z tej gry słów, ale nie mogła się powstrzymać. Dotknęła jednej ze statuetek. Tak jak sądziła, w grobowcu nadal zbiegały się linie energii Ziemi, i te same zdolności, dzięki którym przedtem bez trudu przecięła Excaliburem litą skałę, teraz spowodowały, że posążek rozświetlił się niesamowitym niebieskim blaskiem.

– Dobry Boże! – wykrzyknął Barley.

Macy zareagowała podobnie.

– Jejku! – pisnęła i odskoczyła w tył. – To nie jest przypadkiem radioaktywne?

Nina oderwała rękę od figurki i blask zniknął.

– Otwórz walizkę, to się dowiemy.

Macy zamierzała postawić walizkę na trumnie Artura, ale Barley gwałtownie zaprotestował, więc w końcu użyła jako podkładki granitowego bloku. Otworzyła walizkę, a Nina wyjęła z niej jakiś urządzenie.

– To licznik Geigera – wyjaśniła. – Macy, potrzyj go, a ja znów dotknę rzeźby.

Macy trzymała licznik w wyciągniętej ręce. Zadrżała, kiedy figurka ponownie się rozświetliła, urządzenie nie wskazało jednak nic poza naturalnym promieniowaniem.

– Mogłaś to sprawdzić wcześniej, zamiast ryzykować nafaszerowanie nas promieniami gamma – poskarżyła się stażystka.

– Co wywołuje ten poblask? – spytał Barley, przysuwając się bliżej.

– To zjawisko zwane energią Ziemi – wyjaśniła Nina. – Ale nie potrafię dokładnie opisać, jak to działa. Nie dlatego, że to tajne dane, chociaż faktycznie zostały utajnione, ale dlatego, że sama naprawdę tego nie rozumiem. Nie jestem fizykiem. Znam tylko efekty jego działania.

– Czyli...?

– To tajne dane.

Barley westchnął.

– Tego się spodziewałem.

Kobieta postawiła pierwszą figurkę na bloku, potem wyjęła z walizki drugą. Statuetka zareagowała na jej dotyk w ten sam sposób, rozświetlając komnatę niesamowitym blaskiem. Jednak kiedy żona Eddiego postawiła posążki obok siebie, zauważyła, że natężenie światła nie jest jednolite.

Macy także to dostrzegła.

– Świeci jaśniej po tej stronie, po której znajduje się druga figurka, jakby na nią reagowała.

Nina ponownie podniosła drugą statuetkę i powoli zatoczyła nią krąg wokół pierwszej. Istotnie, z jednej strony figurki widać było podłużną plamę jaśniejszego światła, która zmieniała położenie po przesunięciu posążka, zawsze kierując się w stronę jego bliźniaka.

– Jak igła kompasu, przy której ktoś trzyma magnes – zauważył naukowiec.

– Mam kompas w walizce – powiedziała Nina. – Macy, wyjmij go, zobaczymy, czy to jakieś zjawisko magnetyczne.

Okazało się, że nie. Igła nawet nie drgnęła. Nina uniosła obie statuetki, żeby sprawdzić, czy po rozświetleniu na obu pojawi się jaśniejsze miejsce. Tak właśnie się stało – każda z figurek świeciła jaśniej po stronie, po której znajdowała się druga – niezależnie od tego, w jakiej pozycji względem siebie zostały ustawione. Twórca posążków znalazł dla energii Ziemi praktyczne zastosowanie: jeśli ktoś, kto potrafił nią kierować, znalazł się w posiadaniu jednego z posążków, mógł wykorzystać go do odnalezienia kolejnego.

Okazało się jednak, że to nie wszystko – na obu statuetkach znajdowało się drugie, ledwie widoczne jaśniejsze pasmo, skierowane w stronę jakiegoś nieruchomego celu. Nie wypuszczając z rąk figurek, Nina przeszła po całej sali w nadziei, że znajdzie źródło tego zjawiska. Nie udało jej się jednak – musiało się ono znajdować w pewnej odległości.

– A co z trzecią? – spytała Macy.

– Jest jeszcze jedna? – spytał Barley.

– Tak, tworzą całość. – Nina podeszła z powrotem do bloku i ustawiła posążki obok siebie, splecając je ramionami. Tym razem coś się zmieniło: dwie linie połączyły się w jedną, znacznie jaśniejszą, skierowaną w tę samą stronę, co bledsze smugi światła widoczne chwilę wcześniej.

Obróciła połączone figurki. Kierunek, w jakim padało światło, się nie zmienił – w miarę obracania promień rozświetlał od wewnątrz kolejne fragmenty topornych kamiennych postaci. Figurki wskazywały położenie brakującej części tryptyku.

Kto jednak je stworzył i w jakim celu?

Nina wypuściła posążki z rąk, a blask natychmiast zniknął. Macy postukała w nie, ale nic się nie stało. Barley ostrożnie zrobił to samo, również bez efektu.

– Tylko pani się to udaje, doktor Wilde.

– To pewnie przez moją elektryzującą osobowość – odpowiedziała Nina. Zapadła cisza. – Oj, dajcie spokój, to było zabawne.

– Mhm – rzuciła stażystka bez entuzjazmu. – Dotknij ich jeszcze raz, chciałabym coś sprawdzić. Nina ponownie położyła rękę na figurkach, które znów rozświetliły się niesamowitym blaskiem. Macy ustawiła kompas nad świecącymi posążkami, sprawdzając kierunek. – Wskazują... niemal dokładnie na południowy zachód. Jeśli faktycznie istnieje trzeci posążek, musi się znajdować właśnie tam.

– Południowy zachód... – powtórzyła Nina, po czym zwróciła się do Barleya. – Ma pan może globus?

Zespół archeologów arturiańskich pracujący na wzgórzu nie dysponował globusem, posiadał za to jego wirtualny odpowiednik na komputerze Barleya.

– Jest pani pewna, że chce pani wykluczyć potencjalne lokalizacje w Wielkiej Brytanii? – spytał naukowiec, kiedy doktor Wilde poprosiła, by zwiększył skalę. – Tylko w Dartmoor, na południowy zachód stąd, znajduje się ponad osiemset zabytków z neolitu i epoki brązu.

– Mam przeczucie, że to, czego szukamy, znajduje się dalej – wyjaśniła Nina. – Pierwsza fi-

gurka została znaleziona na innym kontynencie – w komnacie zapieczętowanej setki lat przed rozpoczęciem się epoki brązu w Europie.

Obraz widoczny na ekranie stawał się coraz bardziej oddalony, aż do chwili, kiedy przy krawędziach ekranu pojawiła się krzywizna Ziemi. Nina poprowadziła linię po skosie, w dół i w lewo od Glastonbury znajdującego się pośrodku mapy. Linia przecięła Atlantyk w pobliżu Azorów, jednak dotknęła lądu dopiero po dotarciu do Ameryki Południowej, z której było widać jedynie cienki skrawek.

– Czy może pan przełączyć na widok kartograficzny?

Barley zmienił coś w ustawieniach i obraz się zmienił – kontynenty na chwilę się zniekształciły, a potem ich obraz zmienił się z trójwymiarowego w płaski. Teraz było widać, że linia wkracza na ląd w pobliżu delty Orinoko, na północnym wybrzeżu kontynentu.

– Wenezuela? – spytała Macy.

– I Kolumbia. I Brazylia. I jeszcze Peru – dodała Nina, prowadząc linię na południowy zachód przez kolejne kraje, aż do Pacyfiku.

– To dość rozległy obszar badań – stwierdził Barley. – I znacznie trudniej tam dotrzeć niż do Dartmoor!

– Najciekawsze rzeczy zawsze znajduje się w najtrudniej dostępnych miejscach... – Nina obejrzała mapę. Ameryka Południowa była kolebką wielu starożytnych cywilizacji. Czy to możliwe, żeby jedna z nich była w posiadaniu trzeciej statuetki? Owszem. Ale która, i dlaczego?

Podziękowała Barleyowi, delikatnie poprosiła go o zachowanie dyskrecji i razem z Macy wróciła do range rovera.

– I co dalej? – spytała Macy.

– Nie wiem. Jak powiedział doktor Barley, to rozległy obszar. A nie znamy odległości – jedynie kierunek.

Była pewna tylko jednego. Starożytne artefakty, obdarzone zdolnością przewodzenia energii Ziemi, zdecydowanie wchodziły w zakres działań Agencji. Jeśli gdzieś w Ameryce Południowej znajduje się trzecia statuetka, to ona musi ją znaleźć.

Zanim zrobi to ktoś inny.

Eddie postawił na stoliku kufel piwa i szklankę whisky.

– Proszę bardzo.

– Dzięki – odpowiedział Mac, pochylając się do przodu, aby sięgnąć po drinka. Jego lewa noga cicho zaskrzypiała. Nosił protezę od czasu, gdy w Afganistanie stracił nogę od kolana w dół. Szkot pociągnął łyk whisky i rozejrzał się po rozświetlonym słońcem ogródku piwnym. – Ładne popołudnie, w sam raz na wycieczkę nad morze. Cieszę się, że zadzwoniłeś. Dzień zapowiadał się nudno.

– Każda wymówka jest dobra, żeby urwać się z roboty, co? – spytał Eddie, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Ech, chciałbym, żeby tak było. Ale ze zleceniami z Vauxhall Cross ostatnio krucho.

Przy Vauxhall Cross w Londynie mieściła się kwatera główna brytyjskiego wywiadu wojskowego, bardziej znanego jako MI6. Po przejściu w stan spoczynku Mac współpracował z agencją jako, jak to łagodnie określano, „konsultant”, choć niektóre jego działania miały bardzo praktyczny charakter.

– Naprawdę? – zdziwił się Eddie. – Alderley cię nie docenia, co? Żałosny dupek. Po tym, co dla niego zrobiłeś...

Mac pokręcił głową.

– Nie chodzi o Petera. Raczej o to, że wszystko, co mam do zaoferowania – kontakty, znajomość lokalnej sytuacji, informacje wywiadowcze... – staje się przestarzałe. Eddie, cały świat idzie naprzód, a jeśli nie jesteś w centrum wydarzeń, to niestety zostajesz w tyle. – Szkot westchnął cicho i zrobił zaciekawioną minę. – Skoro mowa o zostawianiu, wygląda na to, że twoja druga połówka cię porzuciła. Gdzie jest dzisiaj Nina?

– W Glastonbury. Robi tam coś służbowo.

– Nie pojechałeś z nią? – Brak natychmiastowej odpowiedzi Eddiego nasunął jego przyja-

cielowi kolejne pytanie. – Między wami wszystko w porządku?

– Mamy ostatnio trudny okres – przyznał Chase. – Wiesz, jak to jest. Wydaje się, że wszystko kończy się sprzeczką. A wczoraj wieczorem porządnie się pokłóciliśmy.

– O co poszło?

– O mojego ojca. Jedliśmy wspólnie kolację i... powiedzmy, że mogło to wypaść lepiej.

– Spotkałeś się z nim? – Mac był zaskoczony. – To chyba pierwszy raz od bardzo dawna.

– Tak. Od ponad dwudziestu lat. Lizzie zmusiła mnie do tego podstępem. Kazałbym mu spadać, kiedy nas zaprosił, ale Nina uparła się, żebyśmy poszli. I wyszło po prostu zajebiście. Nic a nic się nie zmienił – dalej jest dupkiem.

– Hmm.

Eddie uważnie przyjrzał się starszemu koledze.

– Co „hmm”?

– Nic.

– Akurat. To nie było mruknięcie w stylu „to interesujące” czy „muszę to przemyśleć”, tylko „jesteś idiotą, ale to nie moja sprawa”. O co chodzi?

– Skoro zapytałeś – powiedział Mac z uśmiechem, prostując się na krześle – nie uważam, żebyś był idiotą...

– Fajnie. Dobrze wiedzieć.

– ...ale znam cię na tyle dobrze, żeby podejrzewać, że... no cóż, może nie tylko twój ojciec się nie zmienił.

– Twierdzisz, że to ja jestem dupkiem?

Przyjaciel znów się uśmiechnął.

– W życiu bym tak nie pomyślał – oświadczył Mac, a potem spowaźniał. – Ale to on zrobił pierwszy krok, to on wyciągnął rękę.

– No i?

– No i chciał się pogodzić. Najwyraźniej nie wyszło to najlepiej, ale przynajmniej próbował.

– I co, miałem się do niego łączyć z wdzięczności?

– Tego nie powiedziałem. Wiem, że poszło wam o coś poważnego. Ale może warto byłoby się w końcu dogadać, póki macie szansę.

Z tonu przyjaciela Eddie wywnioskował, że Mac nie powiedział wszystkiego, co miał na myśli.

– Zastanawiałeś się nad takimi rzeczami?

Po chwili milczenia mężczyzna przyznał:

– Tak. Ostatnio odnowiłem kontakt z Angelą.

– Po tak długim czasie? Jesteście rozwiedzeni już chyba z siedem lat?

– Osiem. Ale spotkaliśmy się parę miesięcy temu. W gruncie rzeczy było całkiem miło.

– Chcecie do siebie wrócić? – spytał zaskoczony Eddie.

– Nie, nic z tych rzeczy. Minęło za dużo czasu. Ale było... miło. Przypomniałem sobie, jak wiele mieliśmy wspólnego. I, szczerze mówiąc, im jestem starszy, tym bardziej sobie uświadamiam, jak łatwo jest stracić kontakt z ludźmi. Nie możesz liczyć na to, że zawsze będziesz ich miał przy sobie – musisz się o to postarać. To może być trudne, ale czasami warto.

– I myślisz, że powinienem pogodzić się z ojcem?

Mac wypił kolejny łyk whisky.

– Tak tylko gadam.

– To by mogło udobruchać Ninę. – Odezwwał się telefon Eddiego. Chase rozpoznał dzwonek.

– O wilku mowa... – Odebrał. – Cześć, skarbie. Gdzie jesteś?

– Właśnie wyjeżdżamy z Macy z Glastonbury – odpowiedziała Nina. – Wracamy do Bournemouth.

– Odkryłyście coś ciekawego?

– Na to wygląda. – W głosie kobiety było słycać entuzjazm. – Musimy wracać do Nowego Jorku. Szykuje nam się mnóstwo roboty.

*Nowy Jork*

Wiesz, jeśli one reagują na energię Ziemi – powiedział Eddie, przyglądając się statuetkom leżącym w walizce w biurze Niny – może powinniśmy spytać DARPA, gdzie mamy szukać. W końcu kto jak kto, ale oni potrafią znajdować takie rzeczy.

– Nie sądzę, żeby chcieli z nami rozmawiać po tym, jak wysadziliśmy w powietrze ich supertajny statek za miliard dolarów – oświadczyła z przekąsem Nina, odrywając wzrok od laptopa.

– Wyluzuj, to była tylko propozycja – odciął się Chase. Emocje po katastrofalnej kolacji opadły, ale sytuacja między małżonkami wciąż była napięta. – W takim razie może prezydent Cole? Jest nam winien przysługę, w końcu uratowaliśmy mu życie. Jemu i wielu innym przywódcom z całego świata. W dodatku jednym z nich był prezydent Rosji. Można go poprosić o zgodę na ponowny wyjazd do Grozevnego i przeprowadzić tam triangulację.

– Świetny pomysł. Pamiętasz tę łódź podwodną, która tam zatonała? Rosjanie nadal nie mogą tego przeboleć.

– Ej, to nie była nasza wina. W każdym razie nie tylko nasza...

– Poza tym – dodała Nina, podchodząc do mapy świata wiszącej na jednej ze ścian – nawet gdybyśmy dokonali pomiarów w Grozevnym, niewiele by to pomogło. – Mapę przecinała czerwona nitka, przeciągnięta od pinezki umieszczonej nad Glastonbury do Ameryki Południowej. – Określiłyśmy kierunek najdokładniej, jak się dało, ale to wciąż tylko przybliżenie. A Grozevny – zastukała w mapę na północnym wybrzeżu Rosji – też leży mniej więcej z tej samej strony. Nawet gdybyśmy wykonali stamtąd triangulację, wyniki i tak nie byłyby wystarczająco dokładne. Obszar poszukiwań obejmowałby setki kilometrów kwadratowych.

– Lepsze to niż połowa kontynentu.

– Wiem, ale... – Nina westchnęła. – Potrzebujemy przełomu, jakichś dodatkowych informacji.

Zadzwonił telefon. Nina przełączyła na głośnik. Odezwała się Lola.

– Ankit Jindal z Interpolu chce się z wami zobaczyć. Mówi, że chodzi o figurki.

Eddie uniósł brwi.

– Szybko poszło.

– Wprowadź go! – poprosiła Nina.

– Potrzebujemy miliona dolarów i jeszcze paru innych rzeczy – stwierdził Eddie, patrząc z nadzieją na telefon. Nic się nie wydarzyło. – No nic, nie zaszkodzi spróbować.

Rozległo się pukanie i do biura wszedł Ankit Jindal. Przystojny Hindus miał jeszcze bardziej imponującą grzywę włosów, niż podczas ostatniego spotkania.

– Witajcie – powiedział z szerokim uśmiechem i uścisnął dłonie gospodarzom.

– To miła niespodzianka, Kit – zauważyła Nina. – Dlaczego nas nie uprzedziłeś, że będziesz w Nowym Jorku?

– Mogłem to zrobić, ale to by zepsuło niespodziankę. Poza tym, biorąc pod uwagę powód mojej wizyty, pomyślałem, że lepiej będzie omówić sprawę osobiście.

– Jaki to powód? – spytał Eddie.

Kit wskazał walizeczkę.

– Wasi mali fioleci przyjaciele. Pan Penrose przesłał mi kopię raportu o waszych angielskich odkryciach.

– Ach tak? – Nina była trochę zaskoczona. Faktycznie, do zadań Penrose'a należało informowanie na bieżąco innych podmiotów, takich jak Interpol, o działalności ONZ, ale zwykle nie robił tego aż tak sprawnie.

Kit otworzył swoją aktówkę i wyjął z niej kilka teczek.



– Po zakończeniu sprawy Khoilów Wydział ds. Przepięstw Przeciwko Dobrom Kultury próbował namierzyć właścicieli niezidentyfikowanych przedmiotów znalezionych w ich skarbcu. Kilku osób nie byliśmy w stanie znaleźć. – Otworzył teczkę. – Przełamaliśmy jednak impas. Większość zapisów na komputerze Khoilów została usunięta lub zaszyfrowana, ale naszym ekspertem udało się odzyskać pewien list przewozowy.

Wręczył Ninie kopię dokumentu. Duża część treści, komputerowe wydruki opisujące drogę przesyłki z portu do portu, nic jej nie mówiła, ale cel podróży – Nuuk w Grenlandii, kraju, gdzie hinduscy miliarderzy zamierzali przeczekać upadek światowej cywilizacji – owszem.

– Nie została tu wymieniona zawartość przesyłki, ale to nic dziwnego, skoro kontener wypełniony był skradzionymi dziełami sztuki. Agent spedycyjny ma siedzibę w Singapurze.

Nina odnalazła jego nazwisko w nagłówku dokumentu.

– Stamford West?

– Brzmi jak nazwa stacji metra – stwierdził Eddie.

– Interpol obserwuje pana Westa już od jakiegoś czasu – wyjaśnił Kit. – Był zamieszany w przemyt dzieł sztuki i antyków z kilku krajów, ale nigdy nie udało się zebrać dość dowodów, aby postawić go przed sądem.

– Jesteś pewien, że współpracował z Khoilami? – spytała Nina. Kit skinął głową. – To może oznaczać, że wie, skąd pochodzi druga figurka.

– Może. Ale to niejedyny powód mojej wizyty. – Hindus otworzył drugą teczkę. – Istnieją także dowody – niestety, jedynie poszlakowe – łączące go z inną czarnorynkową operacją. Popatrzcie. – Położył na biurku kilka zdjęć.

Nina wzięła jedno z nich do ręki.

– Rety, jakie to piękne – rzuciła zafascynowana. Fotografia przedstawiała niewielką figurkę mężczyzny o kwadratowej twarzy, siedzącego po turecku z zamkniętymi oczami, jakby medytował. Figurka lśniła w świetle lamp fotograficznych. Była wykonana z czystego złota. – Inkaskie?

– Tak. – Kit wskazał pozostałe zdjęcia, na których widniały równie spektakularne przedmioty. – Nasi eksperci potwierdzili ich autentyczność, pochodzą nie później niż z szesnastego wieku.

– I zostały znalezione na czarnym rynku?

– Nie. Podczas nalotu na posiadłość meksykańskiego barona narkotykowego, kilka tygodni temu. Facet gustował w sztuce starożytnej. A dzięki jego dokumentom udało się zlokalizować nielegalne źródło tych antyków.

– Peru?

Kit zaprzeczył.

– Wenezuela.

– Co takiego? – Tym razem to Nina pokręciła głową. – To nie ma sensu. Imperium Inków nigdy nie sięgało aż tak daleko od Andów. Jesteś pewien, że nie zostały po prostu przemycone przez terytorium Wenezueli?

– Po odzyskaniu tych przedmiotów sprawdziliśmy u naszych informatorów, czy na czarnym rynku nie pojawiły się jeszcze jakieś inkaskie artefakty. Okazało się, że owszem i że niektóre z nich zostały sprzedane za olbrzymie sumy, dziesiątki milionów dolarów. Nie udało nam się ustalić, kto je sprzedawał ani skąd dokładnie pochodziły, ale jesteśmy pewni dwóch rzeczy.

– Jakich? – spytał Eddie.

– Na pewno pochodzą z Wenezueli, prawdopodobnie z południa kraju. I wszystkie są całkowicie nieznanne. Nikt ich wcześniej nie widział.

Nina zrozumiała, co miał na myśli. Była zszokowana.

– Nieznane? – powtórzyła. – Ale jeśli wszystkie te przedmioty to autentyczne inkaskie artefakty, oznaczałoby to... że gdzieś w Wenezueli znajduje się nieodkryte inkaskie miasto!

– Zdaje się, że ktoś już je odkrył – zauważył Eddie, skinieniem głowy wskazując zdjęcia.

Nina go nie słuchała.

– To zupełnie się nie zgadza z naszą dotychczasową wiedzą o imperium Inków. Zapuszczali się do dżungli amazońskiej, ale nie osiedlali się tam – byli ludem górskim. – Podeszła do mapy, przez chwilę trzymała kciuk i palec wskazujący nad podziątką skali, a potem odmierzyła ręką odle-

głość. – Wenezuela jest oddalona o prawie tysiąc pięćset kilometrów od krańców imperium. Inka-  
skie osiedla wysunięte tak daleko istniały tylko... – otworzyła szerzej oczy – w legendach. Nie, to  
niemożliwe!

– Co niemożliwe? – Eddie domagał się wyjaśnień.

– Hiszpanie podbili Peru w latach 30. XVI wieku – wyjaśniła ożywiona Nina. – Francisco  
Pizarro, dowódca konkwistadorów, schwycił cesarza Inków Atahualpę. Ten próbował ubić z nim in-  
teres – w zamian za zwrócenie wolności miał mu ofiarować tyle złota, że wypełniłoby ono jego celę  
od podłogi po sufit. Pizarro zgodził się, ale zażądał również drugie tyle srebra. Atahualpa powie-  
dział, że zebranie kruszców z całego imperium potrwa dwa miesiące. Pizarro wyprawił posłańców,  
aby przedstawili jego żądania, a cesarza zatrzymał jako zakładnika.

– Jakiej wielkości była cela? – spytał Kit.

– Nie pamiętam dokładnie, ale była dość duża. Wypełniająca ją złoto byłoby dziś warte mi-  
liony, może nawet miliardy dolarów.

Eddie gwizdnął z uznaniem.

– Czy ten cały Pizarro dostał swoje złoto?

– Nie wiem, czy rzeczywiście próbowano wypełnić celę skarbami, ale Pizarro na pewno  
bardzo się wzbogacił. Nie powstrzymało go to jednak od postawienia Atahualpy przed sądem kap-  
turowym, ochrzczenia go siłą i doprowadzenia do jego egzekucji.

– Niewdzięczny dupek!

– Cóż, konkwistadorzy nie byli wzorem cnót. Ale chodzi mi o coś innego. Kiedy Pizarro  
podbił Cuzco, inkaską stolicę, Hiszpanie znaleźli tam znacznie mniej złota, niż się spodziewali po  
poprzednich ekspedycjach. Przetopili wszystko, co im wpadło w ręce, dziesiątki ton kruszcu – ale  
spodziewali się setek ton. I szybko doszli do wniosku, że Atahualpa kazał posłańcom nie tylko zbie-  
rać złoto na swój okup, ale także ostrzec swój lud, by ukrył przed Hiszpanami tyle skarbów, ile zdo-  
ła.

– Czy to możliwe, że zostały ukryte w Wenezueli? – spytał Kit. Nina ponownie przyjrzała  
się mapie.

– Nie wiadomo. Istnieje jednak legenda o ukrytym mieście, w którym Inkowie przechowy-  
wali największe skarby, zwanym...

– El Dorado! – przerwał jej Eddie.

– Nie. Zrobiłeś ten sam błąd, co Hiszpanie – wyjaśniła Nina. To naprawdę jest mit, a raczej  
błędna interpretacja. Kolumbijscy Indianie Chibcha odprawiali rytuał, podczas którego ich król był  
pokrywany złotym pyłem, a później wchodził do świętego jeziora, żeby się obmyć. Hiszpanie, któ-  
rzy słyszeli tylko pogłoski na ten temat, myśleli, że El Dorado oznacza złote miasto, nie złotego  
mężczyznę.

– Ech, a już myślałem, że nauczyłem się czegoś, oglądając w dzieciństwie „Tajemnicze zło-  
te miasta”.

– Też uwielbiałam tę kreskówkę – była jedną z niewielu, które rodzice pozwalali mi oglą-  
dać, bo lubili wytykać wszystkie występujące w niej nieścisłości historyczne... W każdym razie to  
prawdziwe legendarne miasto, jeśli można tak powiedzieć, nazywało się Paititi. Według podań znaj-  
dowało się gdzieś w dżungli, ale ponieważ chodzi tu o Amazonię, takie stwierdzenie niespecjalnie  
zawęża obszar poszukiwań.

Eddie wzruszył ramionami.

– Czyli to by było na tyle.

– Nie – powiedziała Nina, uśmiechając się porozumiewawczo. – To jeszcze nie wszystko.

Mniej więcej sześćdziesiąt lat po śmierci Atahualpy Sir Walter Raleigh wyruszył do Ameryki Połu-  
dniowej w poszukiwaniu El Dorado. Spodziewał się znaleźć miasto gdzieś nad Orinoko. – Wskaza-  
ła rzekę na mapie. Czerwona nitka przecinała rzekę w głąb lądu od jej potężnej delty, a potem po-  
nownie, znacznie dalej na południowy zachód, wzdłuż granicy wenezuelsko-kolumbijskiej. – Posta-  
nowił szukać właśnie tam ze względu na opowieść pewnego hiszpańskiego żeglarza, którego pozo-  
stali członkowie załogi wyrzucili ze statku i puścili z prądem rzeki. Mężczyzna twierdził, że urato-  
wali go Indianie Manoan i zabrali go do miasta w głębi dżungli. Tam spotkał człowieka, który po-

dawał się za ostatniego dziedzica cesarstwa Inków.

– Czy Raleigh znalazł miasto? – spytał Kit.

– Nie. Spotkał za to Indian Manoan. Byli kupcami, podróżowali rzekami na odległość setek kilometrów i jest bardzo możliwe, że utrzymywali kontakty z Inkami.

– Czyli mogli podpowiedzieć im miejsce ukrycia złota, a nawet pomóc je przewieźć? – zastanawiał się Eddie.

– To możliwe. Niewykluczone też, że miastem, którego szukał Raleigh, było właśnie Paititi. Chronologicznie to by się zgadzało. – Zamyślona Nina zwróciła się do Kita. – A zatem istnieje możliwe powiązanie pomiędzy figurką Khoilów a inkaskimi artefaktami na czarnym rynku – ten cały West.

– Zgadza się – stwierdził Hindus. – Przyjechałem, ponieważ w swoim raporcie stwierdziłaś, że trzecia statuetka może znajdować się gdzieś w Ameryce Południowej. Być może druga też stamtąd pochodzi. Stamford West mógł przemycić ją stamtąd, unikając odprawy celnej.

Nina przygryzła wargi.

– Nie jestem pewna. Nie mamy nic na poparcie teorii, że drugi posążek pochodzi właśnie stamtąd.

– Cóż, to tylko teoria – stwierdził Kit, wzruszając ramionami. – Ale trzecia figurka może znajdować się na południu Wenezueli, a te inkaskie skarby znaleziono właśnie tam, możliwe że w tym samym miejscu. Uważam – Interpol uważa – że warto to zbadać. Pan West może znać odpowiedzi na niektóre z naszych pytań.

– Mówiłeś, że jest w Singapurze, tak? – spytał Eddie. – Mam znajomą w singapurskiej policji. Pomoże nam, kiedy pojedziemy z nim pogadać.

– Jacy „my”? – odezwała się Nina. – My nigdzie się nie wybieramy – mamy za dużo do roboty tutaj.

Eddie lekceważąco machnął ręką w stronę stosów książek i papierów leżących na jej biurku.

– To nie moja działka. Jeśli pojedę z Kitem do Singapuru, przynajmniej zajmę się czymś, w czym jestem dobry.

Kit spojrzał na nich oboje i zauważył, jakim wzrokiem Nina patrzy na męża.

– Kontakty w singapurskiej policji mogłyby się bardzo przydać. – Mordercze spojrzenie skupiło się na nim. – Ale hmm... pozwolę wam obojgu zdecydować, co robić. Będę w Nowym Jorku do jutra, odezwijcie się. Miło było znów was widzieć – podsumował, pobierał teczkę i wyszedł z biura.

Nina od razu naskoczyła na Eddiego.

– Czyli jedziesz do Singapuru, tak?

– Rozumiem, że tobie wolno jeździć po świecie, kiedy czujesz, że potrzebujesz chwili przerwy, a mnie nie?

– Potrzebujesz przerwy?

– Mówię o przerwie, nie o zerwaniu – stwierdził zirytowany Eddie. – Słyszałaś, co mówił Kit. Mogę mu się przydać.

– Tu nie chodzi o żadną przerwę, tylko o to, że wolisz uciec na drugi koniec świata, niż stawić czoło swoim problemom.

– Jakim problemom, do cholery? – zaprotestował Eddie. – Najadłaś się trochę wstydu przed dwojgiem ludzi, których w życiu więcej nie zobaczysz...

– Bo ty tak zdecydowałaś?

– A co, chciałybyś jeszcze się z nimi spotkać?

– Należą teraz do mojej rodziny, więc to możliwe.

– Ach tak? Możliwe? Tylko nie licz, że pojedę z tobą. A tak naprawdę jedyny problem polega na tym, że niepotrzebnie wszystko wyolbrzymałaś.

– Ech, do... – Nina ciężko opadła na krzesło. – Czasami się zastanawiam, dlaczego właściwie za ciebie wysłałam. Dobrze, proszę bardzo, jedź do Singapuru. Uważaj, żeby cię nie aresztowali za żucie gumy.

Eddie rzucił jej sarkastyczne spojrzenie.

– Idę się spakować.

Wyszedł. Zirytowana Nina ukryła twarz w dłoniach.

Po wyjściu z budynku ONZ Kit wykonał telefon.

– Tu Jindal. Właśnie wyszedłem z Agencji.

– I jak? – sucho spytał męski głos.

– Nie było łatwo przekonać doktor Wilde, że informacje z Wenezueli to najlepszy trop, jakim dysponujemy w sprawie trzeciej figurki, ale chyba w końcu się udało. A Eddie zaproponował, że pomoże mi z Westem.

– Eddie?

– Pan Chase.

– Nie angażuj się za bardzo w kontakty z tymi ludźmi, Jindal – odpowiedział głos z dezaprobatą. – Kiedy Grupa znajdzie się w posiadaniu wszystkich trzech statuetek, doktor Wilde wciąż będzie nam potrzebna, ale Chase stanie się zbędny. Zadbaj tylko o to, żeby utrzymać przykrywkę w Interpolu, dopóki nie zdobędziemy figurek.

– Tak jest, sir. Złożę kolejny raport, kiedy dowiem się, czy West posiada potrzebne nam informacje.

Z drugiej strony linii dobiegło lakoniczne potwierdzenie, a potem trzask odkładanej słuchawki. Kit nie spodziewał się zresztą niczego więcej. Włożył telefon do kieszeni i ruszył ulicami Nowego Jorku.

*Singapur*

Singapur należał do najbardziej ruchliwych portów na świecie. Rozległe doki zajmowały kilka kilometrów kwadratowych na niewielkiej powierzchni państwa. Dziesiątki tysięcy kontenerów leżały na rozległej, wylanej betonem powierzchni. Olbrzymie suwnice bramowe przesuwały się tam i z powrotem, między olbrzymimi statkami w skomplikowanym, sterowanym komputerowo tańcu, chwytając ciężnikami stalowe skrzynie.

Na obrzeżach portu, za wieżami kontenerów, stały magazyny i biura. Jednemu z nich przyglądał się Eddie wraz z Kitem i kilkoma oficerami singapurskiej policji i służb celnych. Wszyscy na coś czekali, chroniąc się przed deszczem pod markizą. Naprzeciwko, po drugiej stronie szerokiej drogi prowadzącej w głąb stalowego labiryntu, znajdował się dwupiętrowy budynek z szyldem „S Q West Import-Export”. W oknach na górnym piętrze, za weneckimi żaluzjami, paliło się światło.

– Pracuje do późna – zauważył Eddie, spoglądając na zegarek. Było po dziewiątej wieczorem.

– Pan West często wychodzi dopiero koło północy. A czasami zostaje tu do rana – wyjaśniła Go Ayu. Pani sierżant sztabowy singapurskiej policji miała niewiele ponad trzydzieści lat i była japońsko-tajskiego pochodzenia. Mimo padającego deszczu wyglądała schludnie i oficjalnie w granatowym mundurze.

– W takim razie nie prowadzi chyba zbyt bujnego życia towarzyskiego.

– Starcza mu czasu, by przyjaźnić się z jednymi z najważniejszych ludzi w Singapurze. Ma rozległą sieć kontaktów.

– Wystarczająco rozległą, żeby wyciągać go z kłopotów? – spytał Kit.

– Tak – odpowiedział Rosman Jefri, jeden z celników. – Trzy lata temu pan West był podejrzewany o współudział w przemyśle. Przeszukano jego dom i biuro, ale nic nie znaleziono, a on wytoczył proces władzom. Wygrał, a oficer prowadzący śledztwo został zdegradowany.

– Teraz, kiedy w sprawę zaangażowany jest Interpol, Westowi będzie trudniej wykorzystać wpływy przyjaciół – stwierdziła Ayu. – Mamy też przewagę w jeszcze jednej kwestii. Chcieliśmy zwabić go w pułapkę, zlecając mu transport nielegalnego ładunku, ale jest za sprytny. Rozpozna agentów działających pod przykrywką.

Zaskoczony Eddie przechylił głowę.

– Czy sąd uznałby taki dowód?

– Takie działanie jest tutaj legalne – wyjaśnił Kit. – Więc gdyby obca osoba zaproponowała ci zakup narkotyków... to się nie zgadzaj.

– Na szczęście zapomniałem z domu fifki do cracku. Uważacie, że jeśli podstawimy kogoś spoza Singapuru, będzie bardziej prawdopodobne, że popełni błąd?

Rosman skinął głową.

– Jeśli zgodzi się na nielegalne działanie, będziemy mieli podstawę, żeby go aresztować i zabezpieczyć jego dokumenty.

– Mam nadzieję, że nie zdąży ich wcześniej zniszczyć – dodała Ayu.

– Myślę, że uda nam się temu zapobiec – zauważył Chase.

– Eddie, wciąż powtarzasz „my” – zaoponował Kit. – Z Westem spotkam się tylko ja. Doceniam pracę, jaką wykonaliście z sierżant Go, żeby mi to umożliwić, ale jesteś cywilem, nie pracujesz w policji. Teraz ja wkraczam do akcji.

– Z tą historyjką, którą sobie wymyśliłeś? Jest zbyt oczywista. Od razu zacznie coś podejrzewać. – Eddie potarł klapę podniszczonej, błękitnej marynarki Kita. – Wybacz, ale jesteś ubrany jak gliniarz.

Kit wyglądał na urażonego.

– W takim razie pożycz mi kurtkę. Żaden policjant, jakiego znam, nie założyłby czegoś takiego.

– Znacząca mody się znalazł! – odgryzł się Eddie, udając oburzenie. – No dobra, dawaj. – Zdjął skózaną kurtkę i zamienił ją na marynarkę Kita. – Ale i tak myślę, że to zły pomysł, żebyś szedł tam sam. – Zwrócił się do Ayu. – Czy West był notowany za użycie przemocy?

– Sam West nie – odpowiedziała. – Ale zatrudnia ochroniarzy... i wiadomo, że niektórzy z nich mieli problemy z prawem.

Eddie spojrzał na okna budynku. Za roletami widać było poruszające się sylwetki. West miał towarzystwo.

– Kit, mam rozumieć, że zamierzasz wejść sam do biura tego szemranego typa i jego ochroniarzy spod ciemnej gwiazdy, żeby złapać go w pułapkę? Faktycznie, brzmi to bardzo rozsądnie.

– Będziemy tuż obok – zauważył Rosman.

– Ale zbyt daleko, żeby zareagować, jeśli nagle coś pójdzie nie tak, a przez te rolety niewiele widać. Ayu, wiesz, że potrzebne mu wsparcie. Pozwólcie mi z nim iść. Skoro on ma udawać klienta, mogę być jego ochroniarzem.

– Eddie, nigdzie nie idziesz – nalegał Kit.

Chase go zignorował.

– Ayu, proszę. To twój teren, nie Interpolu. Przysługa za przysługę – dodał znacząco.

Kobieta miała problem z podjęciem decyzji. Przeskakiwała wzrokiem między Eddie'm a Kit'em.

– Byłoby... wskazane, żeby pan Jindal miał wsparcie – powiedziała w końcu. – A ponieważ pan West rozpoznałby naszych ludzi...

– No to ruszamy – stwierdził Eddie, szczerząc się do Kita. – Będę zabezpieczał tyły.

Hindus nie był zachwycony, ale w końcu z ociąganiem pokiwał głową.

– Zgoda. Ale pamiętaj, Eddie, ja będę mówił. Ty masz tylko stać za mną i wyglądać groźnie.

Chase znów się wyszczerzył.

– Chyba dam radę.

Pięć minut później, po przetestowaniu małego mikrofonu ukrytego w ubraniu Kita, dwaj mężczyźni ruszyli w kierunku budynku, chroniąc się przed deszczem pod parasolami.

– Nadal uważam, że to błąd – mruknął Kit. – Jak skłoniłeś Ayu, żeby się zgodziła? Jaką przysługę była ci winna?

– Jakieś sześć lat temu wyciągnąłem ją z tarapatów – wyjaśnił Eddie. – Ściagała jakichś dealerów, nie mając wsparcia. To nie był dobry pomysł.

– Na pewno nie. Musieli być zdesperowani. W Singapurze za przemyt narkotyków grozi kara śmierci.

– Tym gościom nie zrobiło to różnicy po tym, jak z nimi skończyłem. – Przeszli przez ulicę.

– Nadal mam wątpliwości co do twojej historyjki. Wszystko zbyt dobrze się składa. Ten wasz niby wspólny znajomy akurat jest niedostępny, bo został aresztowany.

– Nie mamy nic lepszego. A na razie musisz trochę posiedzieć cicho. Jestem pewien, że nawet ty jesteś w stanie milczeć przez pięć minut.

– Złośliwiec – rzucił Eddie, kiedy Kit naciskał dzwonek przy drzwiach.

Na dole zapaliło się światło, po chwili otworzyły się drzwi wejściowe i stanął w nich Malaj o potężnym karku. Spojrzał na przybyszów podejrzliwie.

– Taa? Czego?

Kit otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale Eddie go ubiegł.

– Dobry wieczór! – odpowiedział, przekonująco naśladując Rogera Moore'a. – Ja do pana Westa. – Mężczyzna gapił się na niego, a on mówił dalej, zirytowany. – Człowieku, na dworze szaleje monsun. Wpuść nas!

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– A wy to kto?

– Nazywam się Smythe, James St John Smythe. A teraz szybciej. Przyjechałem z daleka,

a w grę wchodzi duża suma pieniędzy. Nie każ mi czekać.

Wzmianka o pieniądzech przyniosła skutek – strażnik wpuścił ich do środka.

– Jeszcze raz, jak się pan nazywa? Smith?

– Smythe – powiedział Eddie z namaszczeniem. – Przez „y” i „e”. No to gdzie on jest? –

Spojrzał na schody prowadzące na wyższe piętro. – Tam? Znakomicie. Prowadź, chłopcze.

Mężczyzna poszedł w górę po schodach, gestem nakazując gościom iść za sobą.

– Co ty wyprawiasz? – wysyczał Kit przez zęby.

– Mówiłem ci, za bardzo wyglądasz na glińiarza – skwitował Eddie. – Ale Anglik z wyższych sfer nie wzbudzi podejrzeń.

– To miał być akcent z wyższych sfer? – spytał Kit z niedowierzaniem.

– A niby jak to brzmiało, twoim zdaniem?

– Jakbyś wetknął sobie coś do nosa!

Docierali właśnie do szczytu schodów. Eddie prychnął.

– Co ty tam wiesz. No dobra, jesteśmy. – Mężczyzna otworzył im drzwi. – Dziękuję – powiedział, znów mówiąc z afektowanym akcentem i starając się, by tym razem nie brzmiał on zbyt nosowo.

Kiedy weszli do biura, do ich uszu doleciał kiepski jazz płynący z odtwarzacza CD. Całą tylną ścianę zajmowały regały z setkami segregatorów. Kolejny Malaj, jeszcze potężniejszy niż pierwszy, siedział przy biurku zawalonym dokumentami. Podniósł głowę i podejrzliwie przyjrzał się przybyszom.

Część pokoju wyglądała absurdalnie przytulnie. Olbrzymie antyczne biurko z lakierowanego teku ustawione było niemal jak barykada, odcinając siedzącą przy nim osobę od pozostałej części pomieszczenia. Na blacie stały dwa telefony i kilka tacek z papierami, a także dwa komputery: nowoczesny, czarno-chromowany laptop i znacznie mniej imponujący, bardzo przestarzały komputer stacjonarny z beżową obudową, poźółkłą od nikotyny. Na ścianie wisiał wyblakły obraz przedstawiający, jak domyślał się Eddie, Singapur kilkadziesiąt lat wcześniej, a dalej, obok kolejnych drzwi, niemal równie stary portret królowej angielskiej.

Mężczyzna siedzący za biurkiem był otyły, miał opaloną na czerwono twarz i potrójny podbródek. Mimo warkoczącego wentylatora stojącego na biurku, rozwiewającego mu fryzurę „na pożyczkę”, był zlany potem. Z pewnością częściowo wynikało to z faktu, że miał na sobie trzyczęściowy tweedowy garnitur i fular. Eddie zauważył, że mężczyzna jest tuż po sześćdziesiątce. Wysłuchał raportu złożonego po malajsku przez swojego podwładnego, odpowiedział mu w tym samym języku, a później po angielsku zwrócił się do przybyszów.

– Co mogę dla panów zrobić? – Także miał afektowany akcent, ale w przeciwieństwie do Eddiego, brzmiał autentycznie. – Rzadko zgadzam się na spotkania po godzinach pracy, ale pogoda jest tak paskudna, że niegrzecznie byłoby odprawić panów z kwitkiem.

– Miło mi to słyszeć – odpowiedział Eddie. – Nazywam się Smythe, James St John Smythe. To mój wspólnik, pan Jindal.

– Stamford West. Proszę, usiądźcie panowie.

– Dziękuję. – Eddie zajął miejsce na składanym krześle stojącym przed biurkiem, Kit usiadł obok. Chase zauważył kątem oka, że mężczyzna, który wpuścił ich do środka, został w biurze i stał z jedną dłonią wsuniętą za połą kurtki, tak by mieć łatwy dostęp do ukrytej tam broni. – Zdaję sobie sprawę, że okoliczności spotkania są nietypowe, ale chciałbym skorzystać z pańskich usług.

– Rozumiem. – West miał małe oczka, ale jego spojrzenie zdradzało inteligencję połączoną z podejrzliwością. – A jak się pan o mnie dowiedział?

– Mamy wspólnego znajomego, Kazima bin Shukri.

– Ach tak. A jak się miewa stary Kazim?

– Biedaczysko, ma problemy z celnikami w RPA.

– Jakże niedogodnie – powiedział West, wymawiając ostatnie słowo tak, że jego pierwsza sylaba była prawie niesłyszalna. Eddie nie chwycił przynęty i udał, że nie zauważa ukrytego oskarżenia.

– Dla mnie na pewno. Był mi winien dziesięć tysięcy dolarów, które przegrał ze mną w tryk-

traka.

– Ach, a więc pan także gra? – spytał West. – Sam lubię zagrać partyjkę, chociaż Kazim jest dla mnie zbyt mocnym przeciwnikiem. Gdzie graliście?

Kit omawiał miejsce, gdzie Bin Shukri regularnie oddawał się hazardowi, podczas odprawy... ale Eddie zapomniał jego nazwy. – W tym małym klubie w Makau – powiedział, przypominając sobie jeden szczegół i rozpaczliwie starając się przywołać resztę. Wiedział, że Kit bardzo chce mu pomóc, ale West uważnie przyglądał się im obu, więc natychmiast zauważyłby każdą podpowiedź. – Nazywa się jak jakiś kwiat... Aha, już wiem, Czerwony Lotos. Miłe miejsce. Mają dobre martini.

Nie miał pojęcia, czy w Czerwonym Lotosie w ogóle znajduje się bar, ale West wydawał się usatysfakcjonowany, przynajmniej na razie.

– Miał pan więcej szczęścia niż ja, kiedy z nim tam grałem, panie Smythe. Jaką ma pan sprawę?

Na to pytanie Kit także wymyślił odpowiedź, ale, zdaniem Eddiego, była ona zbyt naciągana, żeby przekonać Westa, posłużył się więc własną historyjką. Zaczął od faktów, o których słyszał od Niny, i dodał nieco od siebie.

– Na pewno słyszał pan o wykopaliskach archeologicznych, które prowadzą Chińczycy w grobowcu pierwszego cesarza, w Xi'an.

– Trudno o nich nie słyszeć, mieszkając w tej części świata – odpowiedział West z cichym rechotem, od którego zatrzęsły mu się podbródki.

– Fakt. Już od jakiegoś czasu grzebią w grobowcu, otwierając zewnętrzne komory – nie chcą się zapaść zbyt głęboko, bo boją się, że nad tym miejscem ciąży klątwa. Wydobyli stamtąd różne artefakty, rzecz jasna wszystkie mają ogromną wartość. A ja, jakby to ująć, wszedłem w posiadanie jednego z nich.

Korpulentny mężczyzna wyglądał na zaskoczonego.

– Nie wiedziałem, że chińskie władze je sprzedają.

Eddie się uśmiechnął.

– Bo nie sprzedają. Ale jeden z archeologów narobił sobie w Makau długów hazardowych na ogromną kwotę.

– To interesujące. O jaki artefakt chodzi?

– To nefrytowa pagoda. – Ustawił jedną rękę nad drugą, w odległości mniej więcej pół metra. – O, takiej wysokości. Jest bardzo piękna. Problem w tym, że muszę wywieźć ją z Chin. Władze bardzo chcą ją odzyskać.

– Nie dziwię się. – West odchylił się na krześle. – I sądzi pan, że ja mógłbym pomóc?

– Polecono mi pana jako człowieka, który może przewieźć ładunek... z pominięciem oficjalnych kontroli.

– Muszę panu przypomnieć, że przemyt jest nielegalny.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Mimo to chciałbym pana prosić o pomoc.

Nastąpiła długa cisza. Kit wiercił się na siedzeniu, wpatrując się w Westa, jak policjant w podejrzanego podczas przesłuchania. Eddie udał, że się przeciąga, i trącił Hindusa, aby przywołać go do porządku.

– Absolutnie nie mogę wziąć udziału w nielegalnej działalności – powiedział w końcu West.

– Bardzo możliwe zresztą, że pracują panowie dla singapurskiej policji i starają się mnie wrobić.

Kit znów się napiął, ale Eddie wyciągnął ramiona przed siebie w geście oburzenia.

– No wie pan co? Czy ja naprawdę brzmię na singapurczyka?

– Nie jestem pewien, na kogo pan brzmi, panie Smythe. – Tym razem to Eddie poczuł się niepewnie. Czyżby West przejrzał jego podstęp? A może od początku znał ich zamiary i bawił się z nimi w kotka i myszkę? – Muszę jednak przyznać... pańska historia jest tak nieprawdopodobna, że może być prawdziwa. W życiu nie spotkałem policjanta, który byłby obdarzony tak bogatą wyobraźnią.

– To banda tępaków, prawda? – spytał Eddie. Kit zaśmiał się bez przekonania.

West pochylił się do przodu i zaczął stukać w klawiaturę laptopa.



– Gdzie znajduje się obecnie pański artefakt?

– W Hongkongu.

– A dokąd planuje pan go przewieźć? – Eddie zauważył, że mężczyzna wciąż rozmawia z nim wymijająco. Nie powiedział nic, co mogłoby zostać uznane za zgodę na uczestnictwo w akcji.

– Do Anglii.

– To dość ogólne stwierdzenie. Dokąd dokładnie?

– Niedaleko Tenterden w hrabstwie Kent. Do mojej posiadłości, Blackwood Hall. – W zasadzie była to posiadłość ojca Sophii, gdzie Eddie został przyjęty lodowato za pierwszym i jedynym razem, kiedy towarzyszył podczas wizyty swojej pierwszej żonie.

West był pod wrażeniem.

– Doprawdy? Znał pan Lorda Blackwooda? – spytał, nie przerywając stukania w klawiaturę.

– Przelotnie. Posiadłość kupiłem po jego śmierci, od jego spadkobierców. Tanio mnie to wyniosło – nie wiem, czy pan wie, ale zostawił po sobie ogromne długi.

– Tak, słyszałem. Zakładam, że chciałby pan przetransportować ładunek możliwie szybko.

– Im szybciej, tym lepiej.

West skinął głową i obrócił swe masywne cielsko, siadając przodem do drugiego, starszego komputera. Wcisnął przycisk i urządzenie uruchomiło się z piknięciem i warkotem wentylatorów. Eddie ze swojego miejsca widział fragment monitora – widniał na nim zielony tekst na czarnym tle. Chase zauważył też, że do jednego z portów z tyłu obudowy podłączono czarną skrzynkę zawierającą nowoczesny czytnik kart pamięci.

– To dość stary sprzęt – stwierdził, a potem dodał, skinieniem głowy wskazując laptopa. – Dlaczego nie używa pan tego?

– Ze względów bezpieczeństwa. Starsze urządzenia mają swoje zalety – wyjaśnił West.

Schylił się z chrząknięciem, aby podnieść coś zza biurka. – Po pierwsze, ten komputer nie ma połączenia internetowego, więc jest odporny na wirusy i programy szpiegujące. Po drugie, dysk twardy nie działa jako pamięć cache.

Eddie posłał Kitowi rozpaczliwe spojrzenie.

– To znaczy, że nie tworzy kopii otwartych plików w pamięci wirtualnej – wyjaśnił Hindus.

– Dokładnie – odpowiedział West, podciągając się do pozycji wyprostowanej. W jednej ręce trzymał niewielkie przezroczyste pudełko, które otworzył i wyjął z niego kartę pamięci MicroSD, kawałek plastiku wielkości paznokcia. – Nie wiem, czy zdaje pan sobie z tego sprawę, ale własny komputer może pana zdradzić. Dysk twardy jest pełen niewidzialnych kopii plików, które potrafi odzyskać pierwszy lepszy technik. – Włożył małą kartę do czytnika i wpisał ciąg komend. Po ekranie zaczęły przesuwac się kolumny zielonego tekstu. – Ten sprzęt jest powolny i przestarzały, ale z arkuszami kalkulacyjnymi jeszcze sobie radzi.

Eddie i Kit wymienili spojrzenia. West najwyraźniej trzymał wszystkie informacje dotyczące swej nielegalnej działalności na karcie pamięci. Gdyby zdołali mu ją odebrać, być może znaleźli by informacje, na których im zależało.

Jednak grubas z pewnością nie poddałby się bez walki, chociaż to nie on wymierzałby ciosy. Goryl, który wpuścił ich do środka, zwiększył czujność, a drugi mężczyzna wyszedł zza biurka i stanął za gośćmi. Policyjne wsparcie nie zdążyłoby wejść do biura na czas, aby uchronić kartę przed ukryciem czy nawet zniszczeniem.

Wyraz twarzy Westa się zmienił. Nie wyrażał otwartej podejrzliwości, ale ostrożność – poczucie, że musi przeprowadzić jeszcze jeden test, zanim będzie całkowicie spokojny.

– Wygrana z tak dobrym graczem jak Kazim musiała dać panu ogromną satysfakcję – stwierdził. – Szczególnie o tak dużą kwotę. Ile razy podwajali panowie stawkę?

Eddie nie miał pojęcia, o czym mówi West. Cała jego wiedza na temat tej gry opierała się na jednej scenie z „Ośmiorniczki”, filmu z Jamesem Bondem, a ponieważ obaj gracze wówczas oszukiwali, nie na wiele mogła mu się przydać. Zakładał, że chodziło o jakiś rodzaj zwiększenia puli, jak w pokerze, ale jak mogła brzmieć wiarygodna odpowiedź na takie pytanie?

A co, jeśli pytanie było podchwytliwe? Może podwajanie stawki, cokolwiek oznaczało, było zakazane w Czerwonym Lotosie...

Tak czy inaczej, West oczekiwał odpowiedzi – podobnie jak jego dwaj Malaje, coraz bardziej napięci w miarę, jak cisza się przedłużała.

Będzie musiał blefować.

– W zasadzie nie wiem. Cały tamten wieczór pamiętam jak przez mgłę.

Otyły mężczyzna spojrział na niego... a potem na swoich ludzi, dając im wyraźny sygnał.

Cholera! Chase oblał test. Niezależnie od tego, czy dobrze pamiętał tamtą partię, powinien był wiedzieć, czy w Czerwonym Lotosie dozwolone było podwajanie stawki – teraz stało się jasne, że nie.

West wyciągnął kartę z czytnika i znów odchylił się na krześle.

– Panie Smythe, zdaje się, że jednak nie będę mógł panu pomóc w transporcie tego ładunku. Nie chcę uczestniczyć w żadnych nielegalnych działaniach. Bardzo mi przykro. Robi się już późno, moi pracownicy odprowadzą panów na zewnątrz.

Eddie i Kit wstali z ociąganiem. Agent Interpolu rzucił Anglikowi wściekłe spojrzenie. Chase nie mógł go za to winić. West nie chwycił przynęty, a bez tego podsłuchująca ich singapurska policja nie miała pretekstu, by wkroczyć do biura.

Chyba że zrobiłaby to w reakcji na inny incydent...

Dwaj Malaje poprowadzili Kita i Eddiego do drzwi. Chase spojrział za siebie. West wkładał kartę pamięci z powrotem do pudełka, starając się utrzymać w grubych paluchach małej kawałek plastiku. Przechodzili właśnie obok okna...

– Ej, ty! – wrzasnął nagle Eddie, pozbywając się fałszywego akcentu i odwracając na pięcie, by stanąć twarzą w twarz z jednym z ochroniarzy. – Zabieraj ode mnie te cholerne łapska!

Zaskoczony mężczyzna stanął jak wryty...

A Eddie wypchnął go przez okno.

Malaj z krzykiem spadł na beton wśród odłamków szkła i kawałków drewnianych żaluzji. Wylądował z głośnym plaśnięciem, posiniaczony, ale żywy.

Eddie obrócił się do drugiego ochroniarza i otrzymał potężny cios, po którym upadł na biurko, rozrzucając papiery. Kit uderzył goryla w szczękę, odrzucając go w tył, ale barczysty Malaj natychmiast wyprostował się i rzucił na niego.

Wstając, Chase zauważył, że West chwycił jakiś czarny przedmiot. Przez chwilę poczuł strach – pistolet! – ale była to tylko krótkofalówka. Grubas z gracją morsa powlókł się w kierunku drugich drzwi.

Malaj chwycił Kita i pchnął go na Eddiego, który właśnie ruszał za Westem. Obaj mężczyźni padli na ziemię. Ochroniarz próbował kopnąć Kita w głowę, ale Hindus zdołał się uchylić i został tylko lekko trafiony z jednej strony twarzy.

Eddie wstał, przytrzymując się krzesła, potem podniósł je i uderzył goryla w głowę. Mężczyzna wrzasnął i się zachwiał. Chase próbował zamachnąć się jeszcze raz, ale tani mebel biurowy rozpadł się na kawałki i w rękach zostało mu tylko oparcie. Rzucił nim w twarz przeciwnika, potem kopnął go w krocze.

Malaj zatoczył się do tyłu na regały, które runęły, powalając go na podłogę, i zasypując Kita dziesiątkami ciężkich segregatorów. Hindusowi udało się osłonić twarz, ale kilka razy boleśnie oberwał.

West zniknął za drugimi drzwiami, zatrzaszkując je za sobą. Eddie próbował wyciągnąć Kita spod przewróconych półek.

– Nie, biegnij za nim! – jęknął Jindal. – Zabierz mu kartę!

Chase z ociąganiem zostawił go i pobiegł do drzwi. Tak jak się spodziewał, były zamknięte, ale otworzył je kilkoma kopniakami. Za nimi znajdował się niewielki magazyn z otwartymi drzwiami przeciwpożarowymi. Eddie podbiegł do nich i wyjrzał na zewnątrz. Padał deszcz. Metalowe schody prowadziły na ziemię.

Westa nigdzie nie było widać, ale biorąc pod uwagę jego masę, nie mógł uciec daleko. Eddie z głośnym łomotem zbiegł po schodach. Gdyby West skręcił za róg, przed budynek, zobaczyliby go policjanci. Musiał zatem pobiec w głąb portu. Ale którędy? Labirynt spiętrzonych kontenerów, ustawionych nawet po pięć jeden na drugim, wznosił się w odległości zaledwie kilku metrów. Chase przez chwilę nasłuchiwał odgłosu kroków, ale bez rezultatu. Musiał zresztą przyznać, że miał niewielkie szanse przy szumie padającego deszczu i hurgocie pracujących w porcie maszyn. Lata pracy przy odgłosach wystrzałów i innych głośnych hałasach trwale uszkodziły mu słuch.

Podbiegł do jednego z kontenerów, skoczył, chwytając jego górną krawędź, i podciągnął się w górę. Kontenery po bokach były ustawione po dwa, jeden na drugim. Skoczył ponownie i podciągnął się na kolejny, potem przebiegł wzdłuż całej jego długości i wskoczył jeszcze wyżej. Znajdował się teraz mniej więcej osiem metrów nad ziemią. Miał nadzieję, że dzięki temu łatwiej zauważy Westa.

Kontenery były ustawione w długie bloki o szerokości prawie dwóch metrów każdy, zaś w przerwach pomiędzy nimi biegingy tory dla wysokich dźwigów. Najbliższa przerwa znajdowała się po lewej stronie. Eddie zajrzał w głąb, ale nikogo nie zobaczył. Pobiegł w prawo, okrążając wyrwę w miejscu, gdzie ze stosu zostało wyciągniętych kilka kontenerów. Druga przerwa była zdecydowanie szersza, aby zapewnić miejsce do przenoszenia skrzyń na naczepy. Wielki żółty dźwig obsługujący stos, po którym biegł Eddie, opuszczał właśnie kontener na czekającą ciężarówkę.

Chase nie zwrócił jednak uwagi na ogromną maszynę, a na zwalistą sylwetkę sto metrów przed sobą krzyczącą coś w biegu do krótkofalówki.

Spojrzał przed siebie i zobaczył, dokąd biegnie ścigany mężczyzna. Nad kontenerami wznosiły się rzęście oświetlone burty statków towarowych. Zbliżali się do nabrzeża.

West nie zamierzał jednak wsiąść na statek. Chciał pozbyć się karty pamięci. Na ziemi, nawet w tak rozległym doku, singapurskie władze mogłyby wykorzystać zapis z kamer monitoringu i psy, aby prześledzić jego trasę i znaleźć kartę. W wodzie, pomiędzy prądami, przepływającymi statkami i dryfującymi śmieciami, małeńki kawałek plastiku zginąłby na zawsze.

– Co to, to nie, kurwa – mruknął Eddie i rzucił się do biegu. Z łatwością dogoniłby Westa po zejściu na ziemię – ale najpierw musiał się na niej znaleźć.

Był zbyt wysoko, aby ryzykować skok na beton. Wracając po śladach i schodząc tą samą drogą, którą wszedł, straciłby zbyt wiele czasu. Potrzebował czegoś pośrodku...

Dźwigu.

Pobiegł w stronę maszyny. Operator siedzący w wysoko umieszczonej kabinie zdziwił się na jego widok, a potem pospiesznie wcisnął hamulec awaryjny. Kontener gwałtownie zatrzymał się nad przyczepą...

Eddie skoczył z rozbiegu, przeskakując przez przerwę i lądując z hukiem na dachu kontenera, dwa i pół metra niżej. Pobiegł wzdłuż kontenera, wskoczył na ciągnik, usiadł na nim i zjechał ostatnie trzy metry dzielące go od ziemi.

Od impetu uderzenia zabolowały go stawy. Przetoczył się z jękiem i skoczył na równe nogi. Zaskoczony kierowca ciężarówki otworzył drzwi kabiny i wrzasnął coś po chińsku, ale Eddie już biegł za Westem.

Grubas zniknął za rogiem. Eddie przyspieszył i dotarł do rogu w samą porę, by zobaczyć, jak West skręca ponownie jakieś pięćdziesiąt metrów przed nim, nadal kierując się w stronę nabrzeża. Eddie pobiegł za nim, rozchlapując kałuże. Zauważył, że udało mu się jeszcze bardziej zmniejszyć dystans. West był zaledwie czterdzieści metrów przed nim. Powinien powalić go na ziemię daleko przed nabrzeżem...

Za plecami Chase'a pojawiły się światła. Jego biegnący cień rozciągnął się na mokrej ziemi.

Obejrzał się za siebie i zobaczył jadący w swoją stronę wózek widłowy.

Odskoczył w bok. Wózek skręcił za nim. West wezwał pomoc przez radio – na odsiecz przybył robotnik portowy.

Kontenery były spiętrzone zbyt wysoko, żeby Chase zdołał się na nie wspiąć. Maszyna zaszarżowała na niego jak byk, opuszczając widły jak olbrzymie rogi, aby wbić mu je w klatkę piersiową. Eddie cofnął się, przywierając plecami do kontenera. Widział pomiędzy reflektorami twarz mężczyzny, zastygłą w złośliwym, wyczekującym grymasie...

– Ole! – krzyknął, obrócił się i padł płasko na ziemię. Widły przesunęły się nad nim i przebiły metalową ścianę.

Eddie założył, że kontener będzie pełny – i był. Pojazd zatrzymał się gwałtownie tuż przed nim, kiedy widły wbiły się w ładunek. Przebity bok skrzyni rozdarł się ze skrzypieniem... a z otworu wysypały się dziesiątki puszek, odbijając się od Chase'a, który wyczołgiwał się spod zakleszczonych widel. Poczł mdły zapach karmy dla psów.

Wózek widłowy wył i drgał, próbując się uwolnić. Eddie chwycił puszkę i rzucił nią w głowę kierowcy. Rozległ się odgłos uderzenia metalu o kości, mężczyzna krzyknął z bólu i bezwładnie wypadł z otwartej kabiny.

Eddie spojrział w stronę nabrzeża. West znów zniknął mu z oczu za kolejnym zakrętem. Czy grubas pobiegł w lewo czy w prawo? Jeśli wybierze niewłaściwą drogę, straci szansę, żeby go dogonić.

Pobiegł do rozwidlenia. W prawo czy w lewo? Miał tylko chwilę na podjęcie decyzji...

I podjął ją – pobiegł prosto przed siebie.

Niezależnie od tego, którą drogę wybrał West, wciąż kierował się w stronę morza. Rozległy betonowy plac mokry od deszczu lśnił w świetle latarni pomiędzy stosami kontenerów a czekającym statkiem.

Chase wypadł na otwartą przestrzeń. Po lewej nie zobaczył nikogo, po prawej dojrzał Westa, jakieś trzydzieści metrów przed sobą, dwadzieścia metrów od tłustej wody za rufą statku.

Eddie skoczył za nim. Z każdym krokiem był coraz bliżej, ale West zauważył go i, przestraszony, przyspieszył. Dziewięć metrów, osiem, siedem... ale grubas był już prawie u celu i szykował

się, by wrzucić kartę pamięci do morza. Metry skurczyły się do centymetrów, już prawie miał w zasięgu ręki tweedowy garnitur...

West wyrzucił ramię do przodu dokładnie w chwili, gdy Eddie skoczył na niego i chwycił jego dłoń. Impet uderzenia zepchnął obu z nabrzeża.

Wpadli do wody z głośnym pluskiem. Eddiego natychmiast zapiekły oczy i nos. Morska woda była zanieczyszczona olejem, środkami przeciwporostowymi i ściekami z setek statków, które przepływały tamtędy każdego tygodnia. West zaczął się rzucać; Eddie mocno trzymał go za rękę, czując, jak ostry brzeg karty wbija mu się w dłoń.

Karta była jednak coraz dalej – grubas, mimo paniki, desperacko próbował pozbyć się kompromitujących danych. Gdyby otworzył dłoń, byłoby po wszystkim...

Eddie przyciągnął rękę Westa do twarzy i ugryzł ją.

Rozległ się zduszony bulgot, pełen bólu, i West wypuścił kartę, a Eddie wessał ją wraz z łykiem brudnej wody. Ohydny smak wywołał odruch wymiotny, ale Chase zwalczył go i przełknął. Puścił rękę Westa i odepchnął go, potem zaczął wierzgać nogami, wybijając się w górę, aż jego głowa znalazła się nad wodą. Łapczywie chwytając oddech, otarł wodę z oczu, podpłynął do brzegu i chwycił betonowy filar.

West wynurzył się na powierzchnię, plując wodą i wrzeszcząc:

– Ratunku! Na pomoc! Nie umiem pływać!

– Na litość boską! – warknął Eddie, niechętnie odepchnął się od brzegu, chwycił Westa za kołnierz i dociągnął go do nabrzeża.

Na brzegu rozległy się kroki.

– Eddie! – krzyknął Kit. – Eddie, gdzie jesteś?

– Zgaduj, kurwa! Masz trzy szanse! – odkrzyknął Chase.

Zza krawędzi nabrzeża wychyliła się głowa.

– Tutaj! – krzyknął Kit, wskazując na nich. Pojawiły się kolejne twarze, między innymi Ayu.

– Zaraz was wyciągniemy.

Rzucono im pas ratunkowy, którego West kurczowo się chwycił, a potem drabinkę sznurową. Po chwili obaj mężczyźni stali na brzegu, ociekając wodą.

– Zdaje się, że będę musiał sprawić sobie nowy garnitur – zauważył ponuro Kit, przyglądając się poplamionej olejem marynarce.

– Stać cię na to, właśnie dostałeś awans – odpowiedział Eddie i splunął, żeby pozbyć się z ust obrzydliwego zapachu. – Jezu, co za smród.

West od razu zaczął się bronić.

– Nie miałem pojęcia, że to akcja policyjna – zaprotestował, widząc umundurowanych funkcjonariuszy. – Myślałem, że chcą mnie okraść. Uciekałem, by ocalić życie!

Ayu z trudem wykręciła mu grube ręce za plecy, żeby skuć go kajdankami.

– Panie West, jest pan zamieszany w przemyt. Jest pan aresztowany.

– Przemyt? – wykrzyknął West. – Jestem pewien, że nagrywaliście spotkanie. Sprawdźcie taśmy. Powiedziałem im, że w żadnym wypadku nie zamierzam brać udziału w nielegalnych działaniach. Gdzie wasze dowody?

Kit spojrzął na Eddiego.

– Właśnie, Eddie, gdzie nasze dowody? Co się stało z kartą pamięci?

Chase poklepał się po brzuchu i wskazał na brudną wodę.

– Połknąłem tyle tego świństwa, że powinny szybko zostać ujawnione. Z jednego lub z drugiego końca.

Celnicy portowi dysponowali najróżniejszymi metodami odzyskiwania ciał obcych z ludzkiego organizmu – z jednego lub z drugiego końca. Ku uldze Eddiego – jeśli można to tak nazwać – szklanka czystej, ale bardzo słonej wody wystarczyła, by wymiotował zawartość żołądka do miski, nie musiał więc poganiać natury za pomocą środków przeczyszczających. Karta pamięci została odzyskana i oczyszczona. Krótki pobyt w morskiej wodzie i kwasie żołądkowym nie zdążyły jej zaszkodzić.

Właśnie rozpakowywano zawarte na niej dane.

– Ten cały West naprawdę przewoził różne rzeczy dla Khoilów – stwierdził Eddie podczas rozmowy telefonicznej z Niną, prowadzonej z biura Interpolu w Singapurze. – Statuetkę ze skarbca Khoilów przemycił z Japonii.

– Z Japonii? Wiadomo, do kogo przedtem należała? – spytała Nina.

– Nie, znaleźliśmy tylko informacje o portach, przez które była przewożona, ale West zostanie przesłuchany w tej sprawie. Kit powiedział, że być może zaoferują mu ugodę. Aha, i Kit miał rację w sprawie tego wenezuelskiego tropu. To West wywiózł stamtąd wszystkie te inkaskie skarby.

– Ale czy one pochodziły z Wenezueli, czy był to tylko punkt przezutowy w drodze z Peru?

– Kit to sprawdzał... Poczekaj, właśnie wszedł. Możesz sama go zapytać. – Kit wkroczył do biura z plikiem papierów pod pachą i zadowoloną miną. Eddie przełączył telefon w tryb głośnomówiący. – To Nina.

– Cześć, Kit – powiedziała kobieta. – Znalazłeś coś?

– Na to wygląda – odpowiedział Hindus, przerzucając strony. – Poza plikami z karty pamięci Westa, zabezpieczyliśmy także billingi z jego telefonów. Jak można się spodziewać, wykonywał wiele połączeń międzynarodowych – w tym sporo do Wenezueli. Zwykle dzwonił na numery komórkowe, ale znaleźliśmy też połączenia z telefonem stacjonarnym w mieście na południu kraju. To miejsce nazywa się Valverde.

– Valverde?

– Już sprawdziłem – leży niedaleko Orinoko, mniej więcej dwadzieścia pięć kilometrów od granicy z Kolumbią. Dokładnie na linii, którą wytyczyłaś na mapie w swoim biurze.

– A co z przemycanymi artefaktami? – spytała coraz bardziej podekscytowana Nina. – Czy faktycznie pochodziły z Wenezueli?

– Na to wygląda. West kontaktował się bezpośrednio ze sprzedającym. Myślę, że trzeba zbadać tę sprawę podczas kolejnej wspólnej misji Interpolu i Agencji. – Teraz to w głosie Kita było słycać entuzjazm. – To nie może być zbieg okoliczności, że inkaskie artefakty pochodzą z regionu dokładnie pokrywającego się z obszarem twoich poszukiwań. Jest szansa, że uda nam się za jednym zamachem znaleźć źródło artefaktów, położyć kres ich czarnorynkowej sprzedaży i odnaleźć trzecią statuetkę.

– Raleigh uważał, że zaginione miasto leży gdzieś nad Orinoko – powiedziała Nina. – Inkwizycjoniści faktycznie mogli ukryć trzecią figurkę w okolicach Valverde! Pogadam z Sebastianem, poproszę go, żeby uzgodnił szczegóły ekspedycji z władzami Wenezueli. Myślę, że masz rację, Kit – to nie może być zbieg okoliczności. Jeśli znajdziemy Paititi, być może uda nam się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

– O ile nas ktoś wcześniej nie upiecze – rzucił Eddie. – Ktoś już znalazł to miejsce, pamiętacie?

– Jestem pewna, że uda nam się zdobyć na miejscu jakieś wsparcie. No i ty będziesz nas chronić.

– I ja – dodał Kit. – Ty będziesz dokonywać odkryć archeologicznych, a Interpol powstrzyma przemytników. Już udało nam się ująć ich pośrednika, teraz będziemy mogli zatrzymać pozostałych.

– Świetnie – ucieszyła się Nina. – W takim razie chyba powinnam przypomnieć sobie hiszpański...

## Wenezuela

Okazało się, że Nina nie musiała robić powtórki z języka w ciągu czterech dni, jakie zajęły rozmowy z władzami Wenezueli. Od chwili, kiedy Macy usłyszała o planach swoich przełożonych, błagała, by zabrali ją ze sobą. Nina początkowo miała wątpliwości, ale zdawała sobie sprawę, że w jednej dziedzinie Macy ma znacznie większe umiejętności od niej – dzięki swemu częściowo kubańskiemu pochodzeniu młoda stażystka płynnie posługiwała się hiszpańskim. Poza tym Macy wprawdzie bywała irytująca, ale zwykle stanowiła miłe towarzystwo.

W tej chwili Nina nie mogła powiedzieć tego samego o swoim mężu. Choć emocje nieco opadły, nadal miała nieprzyjemne wrażenie, że chodzą wokół siebie na palcach. Kobieta źle się czuła w tej sytuacji – i była pewna, że nie podoba się ona także Eddiemu – ale żadne z nich nie zdobyło się na to, by zrobić pierwszy krok do pojednania.

Miała zresztą na głowie inne sprawy. Stanów Zjednoczonych nigdy nie łączyły z Wenezuelą szczególnie ciepłe stosunki, a w ostatnich miesiącach prezydent Wenezueli, Tito Suarez, coraz bardziej agresywnie oskarżał USA o ingerowanie w sprawy jego kraju. Z kolei amerykański Departament Stanu zauważył coraz gwałtowniejsze niepokoje społeczne w wenezuelskich miastach i zasugerował – nieoficjalnie, ale stanowczo – że obywatele amerykańscy powinni w miarę możliwości odłożyć wizyty w Boliwariańskiej Republice Wenezueli do chwili, gdy sytuacja się ustabilizuje.

Z balkonu swojego apartamentu w hotelu w Caracas Nina nie widziała jednak w mieście oznak nadciągającej rewolucji – jedynie samochody, billboardy i olbrzymi telebim przed budynkiem, w którym, jak domyśliła się po maszcie na dachu, mieściła się siedziba stacji telewizyjnej. Mimo jej narodowości, władze Wenezueli przyjęły panią dyrektor Agencji z honorami, podobnie jak pozostałych członków ekspedycji. Nina domyślała się przyczyn tej sytuacji – biorąc pod uwagę jej dotychczasowe dokonania, rząd zachwycił się perspektywą odnalezienia przez nią w dżungli legendarnego miasta. Odkrycie takie przyniosłoby Wenezueli prestiż na arenie międzynarodowej i pieniądze turystów. Nina nigdy przedtem nie była w tym kraju i jego stolica zaskoczyła ją i zrobiła na niej wrażenie – okazała się tętniącą życiem, miejscami uderzająco nowoczesną metropolią. Najwyraźniej w miasto zainwestowano mnóstwo pieniędzy.

Było też jednak oczywiste, że mimo głośzonych przez władze socjalistycznych haseł, podział dóbr bynajmniej nie był równy. Za drapaczami chmur ciągnęły się rozległe obszary ciasno popychanych, byle jak skleconych budek *barrios*, w których mieszkały miliony ubogich. Pomiędzy zatłoczonymi slumsami znajdowały się jednak strzeliste apartamentowce, obszerne wille, a nawet pola golfowe. Biednych i bogatych dzieliła taka przepaść pod względem materialnym i tak niewielka fizyczna odległość, że nietrudno było zrozumieć, czemu tworzą się napięcia i wybuchają konflikty.

Nina nie zamierzała jednak długo zostać w Caracas. Wróciła do środka – dzień był piękny, ale cuchnący smog drażnił jej nos – i dołączyła do Eddiego, Macy i Kita, czekających na spodziewanego gościa.

Mężczyzna dotarł na miejsce z ponadpółgodzinnym opóźnieniem, rzekomo z powodu korków, ale Nina podejrzewała, że chciał w ten sposób okazać swoje niezadowolenie z sytuacji. Doktor Leonard Osterhagen, tęgi Niemiec po pięćdziesiątce, ze starannie wystrzyżoną siwiejącą bródką i szpakowatymi włosami, nie pracował dla Agencji, a dla jednej z innych organizacji kulturalnych ONZ i szybko wyraził swoje zdanie na temat młodszej organizacji.

– Nie rozumiem, dlaczego przejęliście kontrolę nad tą ekspedycją – stwierdził. – I nie podoba mi się, że zostałem przemocą oderwany od naszych wykopalisk w Peru.

– Nikt nie stosował przemocy, doktorze Osterhagen – powiedziała Nina pojednawczo. – Poprosiliśmy tylko o współpracę między naszymi jednostkami.

– Poprosiliście? To był bardziej rozkaz. Kiedy wasza Agencja czegoś żąda, wszyscy inni muszą tańczyć, jak im zagracie.

– Nie mogę się zgodzić z pańskim zdaniem – oświadczyła Nina, której cierpliwość zaczęła się już wyczerpywać.

– Wcale się nie dziwię. To pani korzysta na tej sytuacji. Pani Agencja odbiera fundusze innym i zamiast przeznaczyć je na poważne badania, organizuje wielkie wystawy, jak ta poświęcona Atlantydzie. Nasza praca nie powinna polegać na urządzaniu jarmarcznych pokazów. Poza tym jesteśmy archeologami, nie policjantami! Czego tu szuka Interpol? – spytał, wskazując na Kita.

Nina podała Osterhagenowi teczkę.

– Proszę zobaczyć.

Mężczyzna otworzył teczkę i jego skwaszona mina zmieniła się w grymas zdumienia. W środku znajdowały się fotografie artefaktów z czarnego rynku, które Kit pokazał Ninie w Nowym Jorku. Niemiec przejrzał je dokładnie i zaskoczony popatrzył na koleżankę po fachu.

– Gdzie je znaleziono?

– O to właśnie chodzi – odpowiedziała Nina, zadowolona z jego nagłej zmiany nastawienia.

– Były sprzedawane na czarnym rynku, dlatego w sprawę zaangażował się Interpol, ale znaleziono je tutaj, w Wenezueli. Dlatego poprosiłam o to spotkanie. Jest pan jednym z najbardziej cenionych na świecie ekspertów od historii Inków, więc pomyślałam, że mogłoby to pana zainteresować. Jeśli jednak woli pan pozostawić sprawę w rękach naszej Agencji...

Osterhagen zrobił kwaśną minę – chciał dowiedzieć się więcej, ale nie podobało mu się takie traktowanie. W końcu jednak żądza wiedzy zwyciężyła.

– Czy myśli pani... że mogą pochodzić z... – Słowo uwięzło mu w gardle. Nina wymówiła je za niego.

– Paititi. Gdzieś na południu kraju, w środkowym biegu Orinoko.

– Paititi! W Wenezueli? Ależ oczywiście, w końcu Raleigh i Indianie Manoań, i Juan Martinez spławiony rzeką... Dwadzieścia dni podróży wzdłuż Orinoko. To może być... – Patrzył na Ninę niewidzącym wzrokiem, skupiony na obrazach, które widział w myślach.

– Zatem, doktorze Osterhagen, czy byłby pan zainteresowany wzięciem udziału w ekspedycji?

Mężczyzna mrugnął, wracając do rzeczywistości.

– Tak, myślę... że byłoby wskazane, gdyby towarzyszył państwu specjalista, na przykład ja. W ramach współpracy międzyagencyjnej.

Nina uśmiechnęła się słabo.

– Cieszę się, że pan się zgodził.

Osterhagen jeszcze raz przyjrzał się zdjęciom.

– Rzecz jasna, będę potrzebować moich asystentów.

– Wszystko załatwię – zapewniła Nina.

Niemiec podał jej potrzebne informacje i wyszedł. Wyglądał, jakby rozstanie ze zdjęciami inkaskich skarbów sprawiło mu niemal fizyczny ból.

– No proszę – zaczęła Macy. – Nie wiedziałam, że są ludzie, którzy mają taki problem z naszą Agencją.

– Eksperci zazdrośnie strzegą swoich terytoriów – wyjaśniła Nina. – Zwłaszcza jeśli w grę wchodzi pieniądze.

Eddie się roześmiał.

– Na szczęście ty nigdy nie wkurzasz się na kogoś, kto wtargnął na twoje terytorium, prawda? – Podeszedł do dużej mapy Wenezueli rozłożonej na biurku. – Czyli mamy eksperta. Co z lokalnym wsparciem? – Przesunął palcem wzdłuż Orinoko, na północ wzdłuż granicy wenezuelsko-kolumbijskiej, do miejsca, gdzie rzeka skręcała na wschód, w głąb pierwszego z tych krajów, i zatrzymał go na maleńkiej kropce oznaczającej Valverde.

– Wenezuelczycy zapewnią nam przewodnika i pilota – odpowiedziała Nina, nieco zirytowana jego przytykiem.

Kit stanął przed mapą obok Eddiego.



– Wojskowych?

– Zdaje się, że z milicji.

– Czym się różnią? – spytała Macy.

– Członkowie milicji są lojalni wobec el Presidente – wyjaśnił Eddie. – A wojskowi wobec ojczyzny. To nie zawsze oznacza to samo. – Bliżej przyjrzał się mapie. – Musimy zabrać dużo sprayu na owady. Ta okolica to jedno wielkie zielone nic – pewnie sama dżungla i bagna.

Nina spojrzała na zdjęcia, potem na walizkę z dwiema statuetkami.

– Jest tam coś jeszcze. Miejmy nadzieję, że uda nam się to znaleźć.

Dwa dni później członkowie ekspedycji zebrali się w Valverde, niewielkim mieście w dżungli. Na miejscu Nina odkryła ze zdumieniem, że ich wenezuelski przewodnik i pilot to ta sama osoba. Oscar Valero był potężnym mężczyzną po czterdziestce, dumnie noszącym oliwkowozielony mundur polowy i czapkę Milicji Boliwariańskiej. Zadawał też niezbyt subtelne pytania, z których jasno wynikało, że otrzymał rozkaz pilnowania *yanquis*.

Do Osterhageny dołączyli jego asystenci. Było ich troje – Nina miała wrażenie, że archeolog chciał, by jego świta dorównywała liczebnością „jej” zespołowi. Ekspertowi towarzyszyli Ralf Becker, tyczkowaty jasnowłosy Niemiec i zastępca Osterhageny, oraz dwoje Amerykanów: Loretta Soto, pulchna, nieśmiała Latynoska, i Day Cuff, szczupły młody mężczyzna z pretensjonalną trójkątną bródką. Cuff od razu skupił wzrok na Macy, ściśle rzecz biorąc – na jej piersiach, i nie mógł go od nich oderwać.

Spotkali się w barze szumnie nazwanego hotelu Grande, głównie z przyczyn praktycznych – był to jedyny hotel w Valverde – ale także ze względu na powiązanie ze śledztwem Interpolu: automat telefoniczny w lobby był numerem stacjonarnym, pod który Stamford West dzwonił do miejscowego łącznika. Podobnie jak hotel, telefon był jeden na całe Valverde. Używały go takie tłumy ludzi, że nie było szans na wytypowanie oczywistego podejrzanego.

– Sporo tu żołnierzy – zauważył Eddie, patrząc na kolejnego umundurowanego mężczyznę wykonującego połączenie. Na ulicy także widać było wielu wojskowych.

– Niedaleko jest baza wojskowa – wyjaśnił Valero. – Żołnierze mają strzec granicy przed handlarzami narkotyków i kolumbijskimi marionetkami imperialistycznych *gringo*. Bez urazy – dodał, uśmiechając się wesoło do Niny.

– Nie czuję się urażona – odpowiedziała kobieta lodowatym tonem. – Wiesz, co masz robić podczas inspekcji lotniczej?

– *Sí*, to żaden problem. Jeśli coś tam jest, znajdziemy to. Chcecie zacząć od razu?

Osterhagen wyczekująco wychylił się naprzód i Nina zdała sobie sprawę, że nie jest jedyną osobą z niecierpliwością czekającą na rozpoczęcie poszukiwań.

– Najchętniej tak.

Becker zerwał się na nogi.

– Wspaniale, w takim razie ruszamy! – wykrzyknął entuzjastycznie, zakładając kapelusz – znajomo wyglądającą fedorę.

Eddie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Wydaje mu się, że jest Indianą Jonesem – wyszeptał do Niny.

– Wszystkim archeologom się tak wydaje – odpowiedziała równie rozbawiona kobieta, wstając z miejsca. – No, poza tymi, którzy mają się za Larę Croft.

Chase przyjrzał się wysokiemu, kościstemu Niemcowi.

– Cieszę się, że postanowił poudawać Indy’ego. Nie chciałbym oglądać go w lycrowych koszulkach i szortach. – Uśmiechnął się szerzej. – Co innego Macy... – Żona szturchnęła go w ramię.

Valverde leżało mniej więcej dwa kilometry na południe od Orinoko, miejscowe lotnisko znajdowało się pomiędzy miastem a rzeką. Po dziesięciu minutach spaceru dotarli z Grande do budynku uchodzącego za terminal – baraku z masztami radiowymi sterczącymi z dachu pod nie do końca prostym kątem. Członków ekspedycji przywozły na miejsce rządowe helikoptery, czekająca na nie teraz maszyna okazała się jednak znacznie skromniejsza. Była to cessna caravan – jednośmigłowy, dziewięciomiejscowy lekki samolot o wyglądzie tak nudnym i praktycznym, jak wskazywała na to jego nazwa.

– Och – zadrwił rozczarowany Cuff. – To tym będziemy lecieć? Miałem nadzieję na coś odrobinę mniej prehistorycznego.

Valero wyglądał na urażonego.

– Ma tylko dwadzieścia pięć lat i jest całkiem bezpieczny. Czego się spodziewaliście? Jumbo jeta?

Cuff nie był przekonany.

– Nieważne. Ale jeśli mam tym lecieć, to lepiej, żeby ten złom był w dobrej kondycji. Chociaż jakoś wątpię, czy testy stanu technicznego prowadzone w Wenezueli są zgodne ze standardami Federalnej Administracji Lotnictwa...

Eddie, który już przedtem nie czuł sympatii do nadętego dwudziestokilkulatka, uznał, że nie zamierza przez cały lot słuchać jego marudzenia.

– Słuchaj, Dave, może byś tak przestał wkurzać kolesia, bez którego zginiemy tu marnie?

Loretta, która już przedtem wyglądała na zdenerwowaną, teraz przestraszyła się jeszcze bardziej, ale Cuff odpowiedział z lekceważącym prychnięciem:

– Nie Dave. Day. Day F. Cuff.

– Zapewne z bostońskiej gałęzi Cuffów – powiedział Eddie głosem Rogera Moore'a, podejrzewając, że Day usiłował zrobić na nim wrażenie. – Zapowiada się długi lot, więc niechże pan zamilknie, panie Cuff.

– Eddie – upomniała go Nina, ukrywając rozbawienie.

Cuff nie próbował niczego ukrywać.

– Wiesz co, Leonardzie – powiedział do Osterhagen – chyba dam sobie spokój. Inspekcje lotnicze nie są moją specjalnością.

Osterhagen zachmurzył się, ale skinął głową.

– Loretto, nie wyglądasz najlepiej. Może też chciałabyś zostać?

– Dziękuję – odpowiedziała kobieta z westchnieniem ulgi. – Nie lubię latać. Jestem... jestem pewna, że to bardzo dobry samolot – dodała pospiesznie, zerkając na Valero – ale po prostu się boję.

Wenezuelczyk wzruszył ramionami.

– Dwie osoby mniej to mniej zużytego paliwa. Nie ma problemu!

Cuff ruszył z powrotem w stronę miasta, Loretta poszła za nim. Macy trąciła Eddiego łokciem.

– Dzięki – szepnęła.

– Za co?

– Za to, że się go pozbyłeś. Co za dziwny koleś. Zauważyłeś, jak się na mnie gapił?

– Nie. Byłem zbyt zajęty patrzeniem na twoje piersi – stwierdził Eddie z uśmiechem, za co zarobił kuksańca od obu pozostałych na miejscu kobiet.

Pasażerowie wsiedli do samolotu, a Valero obszedł go dookoła, żeby sprawdzić wszystko przed lotem. Po zakończeniu inspekcji wdrapał się do środka i wyjął z kieszeni mapę nawigacyjną.

– Polecimy tędy – wyjaśnił, pokazując planowany obszar poszukiwań podzielony na sektory. – Ale musimy trzymać się z daleka od tego miejsca. – Postukał palcem w prostokątny fragment mapy przy samej granicy. – To wojskowa przestrzeń powietrzna.

– Takie już mamy szczęście. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że to, czego szukamy, znajduje się w samym środku jakiejś bazy wojskowej – stwierdził Eddie, przeglądając mapę w poszukiwaniu ludzkich siedzib i charakterystycznych miejsc w okolicy. Było mało prawdopodobne, że coś pójdzie nie tak podczas lotu, ale chciał być gotowy na każdą ewentualność.

Valero pokręcił głową.

– Gdyby wojsko coś znalazło, to prezydent Suarez wiedziałby o tym. Nie wysyłałby was tutaj na poszukiwanie czegoś, co już ma, prawda? – Zapiął pas. – Okej, gotowi?

– Ruszajmy – odpowiedziała Nina.

Pilot założył słuchawki i skierował cessnę na koniec pasa startowego. Chwilę rozmawiał przez mikrofon ze stanowiskiem kontroli lotów, potem spojrzął na pasażerów i oznajmił:

– Trzymajcie się mocno. Będzie trochę rzucało.

Otworzył przepustnicę, zwolnił hamulce i samolot ruszył naprzód. Macy pisnęła, kiedy zaczęło nią rzucać, a Nina mocno chwyciła swoje siedzenie, żeby utrzymać się w miejscu. Wprawdzie większość nierówności na ziemnym pasie wyrównano buldożerem, ale i tak pasażerowie czuli się, jakby jechali na rowerze ze sflaczałymi oponami po ostrych kamieniach.

– Dobrze, że... nie zabraliśmy... porcelany... na piknik – stwierdził Eddie, szcękając zębami.

Valero parsknął śmiechem, wypoziomował maszynę i pociągnął za wolant. Cessna odchyliła się w tył, a po kilku sekundach drgania ustały, kiedy samolot oderwał się od ziemi. W kabinie rozległy się westchnienia ulgi.

– Rety – stwierdziła Nina – tylko raz bardziej mną trzęsło w trakcie lotu, ale wtedy się rozbiliśmy! – Valero znów się roześmiał i poderwał maszynę na wysokość sześciuset metrów, potem zawrócił i rozpoczęli poszukiwania.

Cessna została wybrana do tej misji, ponieważ skrzydła w tym modelu znajdowały się powyżej kadłuba i nie ograniczały pasażerom widoczności. Dzięki niskiemu pułapowi lotu patrzący mogli rozróżnić szczegóły, ale jednocześnie mieli rozległy widok. Pod nimi Orinoko, miejscami szeroka nawet na półtora kilometra, wiła się zakolami, odbijając niebo i chmury. Po obu stronach rzeki widać było nieregularne zielone połączenie dżungli, upstrzone ciemniejszymi plamami w bagnistych miejscach, ciągnące się aż po horyzont.

Macy spojrzała niepewnie na dżunglę.

– Jak mamy znaleźć tam cokolwiek?

Osterhagen był ekspertem w tej kwestii.

– Szukamy linii prostych mogących stanowić ślady sztucznie wzniesionych budowli. W ten sposób odkryto pozostałości cywilizacji prekolumbijskiej na granicy brazylijsko-boliwijskiej jakieś dziesięć lat temu.

– Rozglądamy się też za liniami zębatymi i zygzakowatymi – dodał Becker, rysując ich kształty palcem w powietrzu. – Inkowie często budowali mury obronne o takim kształcie.

Macy skinęła głową i wyjrzała przez okno. Pozostali pasażerowie zrobili to samo i zaczęli przeczesywać wzrokiem teren poniżej, kiedy Valero wleciał na obszar poszukiwań.

W pierwszym wyznaczonym sektorze znajdowały się tylko drzewa i mokradła, podobnie w drugim i trzecim. W czwartym, leżącym na południowym brzegu rzeki, Eddie coś zauważył.

– Czy to droga? – spytał pilota, wskazując palcem.

Valero zerknął przez boczną szybę kabiny.

– *Sí*. Biegnie przez Valverde do Matuso, na południe. A tam jest druga droga prowadząca do bazy wojskowej – dodał, wskazując na zachód. Było tam widać cienką linię wijącą się przez wiele kilometrów po dżungli i kończącą się przed kanciastą brązową plamą, wyraźnie odcinającą się od otaczającej zieleni.

Eddie obejrzał to miejsce przez lornetkę.

– Wygląda na stację radarową – stwierdził. Nawet z tej odległości widział prostokątną antenę. Zauważył także kilka niewielkich budynków i puste betonowe lądowisko dla helikopterów. Nie było za to hangaru, który chroniłby śmigłowce przed deszczami, więc przylatujący goście najwyraźniej nie zostawali w bazie na dłużej.

– Hej, hej! – Valero podniósł rękę, próbując zasłonić mu widok. – Nie szpiegować mi tu.

Nina uśmiechnęła się, widząc zachowanie Wenezuelczyka, i wróciła do przeczesywania wzrokiem dżungli. Na południe od Orinoko leżała płaska równina pokryta w całości lasem deszczowym, ciągnąca się przez ponad trzysta kilometrów aż do granicy z Brazylią i daleko poza nią. Jeśli Inkowie dotarli aż tutaj z ojczystych Andów, wybrali dobre miejsce na ukrycie swego osiedla. Doktor Wilde wiedziała z doświadczenia, jak trudno jest dostrzec nawet duże zabudowania schowane w dżungli.

Samolot wciąż leciał naprzód. Pasażerowie na moment się ożywili, kiedy Osterhagen zobaczył coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało na wytwór człowieka, ale kiedy Valero zaczął kołować nad wypatrzonym miejscem, okazało się, że to tylko niski granitowy grzbiet widoczny między drzewami. Sprawdzili kolejny sektor i skierowali się do następnego. Cessna ostrożnie omijała wojskową

przestrzeń powietrzną otaczającą bazę. Nieustanny ryk silnika, wibracje i monotonia ciągnącej się poniżej zieleni stawały się coraz bardziej uciążliwe podczas drugiej godziny lotu. Jedyne urozmaicenie stanowiły kolejne kamienne grzbiety wystające z dżungli, ale członkowie ekspedycji rozczarowani faktem, że to naturalne formacje skalne, przestali z niecierpliwością wyczekiwać możliwego odkrycia. Wreszcie...

– Czy to kolejna droga? – spytała Macy.

Nina zerknęła na cienką brązową linię biegnącą wśród drzew.

– Jeśli tak, to wąska. To bardziej ścieżka.

Osterhagen sprawdził mapę.

– Tutaj nic takiego nie widać.

Valero zerknął na wąską ścieżkę.

– To szlak drwali – stwierdził z oburzeniem. – W całej okolicy wycinka drzew jest *prohibido*. Będę to musiał zgłosić, kiedy wylądujemy – dodał, wyjął notes i ołówek z kieszeni na drzwiach i zapisał współrzędne.

– Chwileczkę – odezwała się Nina, której coś przyszło do głowy. – Jak daleko jesteśmy od drogi z Valverde do tego drugiego miasta?

Eddie sprawdził GPS, a potem porównał współrzędne z mapą Osterhagena.

– Trzy czy cztery kilometry. Dlaczego pytasz?

– Wiemy, że ktoś odkrył tu inkaskie artefakty. Może zrobili to drwale? Zapuscili się w głąb dżungli, by wyciąć drzewa... i trafili na coś znacznie cenniejszego.

– A potem, po znalezieniu kupców, skontaktowali się z Westem przez automat telefoniczny w Valverde? – dodał Kit. – To możliwe.

Nina przyjrzała się ścieżce.

– Poleć wzduż niej – poprosiła Valero. – Jeśli nigdzie nas nie doprowadzi, wrócimy do poprzedniego schematu poszukiwań. Ale jeśli drwale naprawdę znaleźli Paititi...

Valero zmienił kurs i zmniejszył prędkość. Pasażerowie cessny zaczęli bardzo uważnie przyglądać się dżungli poniżej. Ścieżka miejscami wiała się w dziwny sposób – drwale najwyraźniej zbaczali z drogi, żeby ściąć upatrzone drzewa – ale przez cały czas biegła mniej więcej na zachód.

Nina spojrzała dalej w tym kierunku...

Pomiędzy drzewami zobaczyła wyraźną linię. Na początku myślała, że to kolejna formacja skalna, ale jej uwagę przyciągnęło coś jeszcze.

– Tam! – powiedziała, prostując się na siedzeniu i wskazując to miejsce palcem. – Widzicie?

Osterhagen gwałtownie wciągnął powietrze, przyciskając twarz do szyby, żeby mieć jak najlepszy widok.

– Tak, tak, widzę! Oscarze, podleć bliżej.

Valero spełnił jego prośbę i znów zawrócił cessnę. Linia widziana pod pewnym kątem niemal całkowicie kryła się w dżungli, pod innym było ją wyraźnie widać wśród otaczającej roślinności. Była biała jak cień czy duch czegoś, co znajdowało się w tym miejscu dawno temu, ale wyraźna. Miała długość kilkuset metrów.

I kształt zygzaka, zbyt regularny i precyzyjny, by mógł być naturalny.

Podekscytowana Macy zwróciła się do Osterhagena.

– Inkaskie mury obronne, tak jak pan mówi!

Niemiec nie mógł oderwać oczu od tego widoku.

– Tak. To musi być to!

Samolot krążył nad odkrytym miejscem, a Nina przyjrzała się otaczającemu je obszarowi. Przy jednym końcu tajemniczej linii teren gwałtownie opadał, przechodząc w mokradła, a pomiędzy wysokimi drzewami widać było fragmenty klifu. Urwisko stanowiłoby naturalną barierę obronną z jednej strony. Czy z pozostałych wzniesiono mur, aby chronił osadę?

Mogli się o tym przekonać tylko w jeden sposób.

– Musimy się tam dostać – stwierdziła. – Myślę, że znaleźliśmy Paititi!

Toyota land cruiser powoli jechała wąską ścieżką, tryskając błotem spod opon. Za nią podążał drugi samochód – taki sam model w innym kolorze.

Prowadził Eddie, Nina siedziała obok niego, a Macy i Kit z tyłu. Stażystka stale ziewała po wczesnej pobudce. Drugą terenówkę, z grupą Osterhagena, pilotował Valero – on i Chase mieli najwięcej doświadczenia w jeździe po bezdrożach. Mimo to posuwali się naprzód powoli. Poprzedniego dnia Valero przeleciał wzdłuż ścieżki, aby odkryć miejsce, w którym łączyła się ona z drogą, ale tego ranka, mimo że znali jej przybliżone położenie, znalezienie jej zajęło im sporo czasu – została ukryta, a zakręt zasłaniały krzaki i omszałe pnie. Sam szlak nieustannie wił się między drzewami i jadące nim toyoty były smagane krzakami i gałęziami.

Eddie sprawdził hodometr.

– Z drogi zjechaliśmy osiem kilometrów temu. Musi być już blisko. – Skręcił gwałtownie, aby ominąć wystający konar. Samochód wjechał w koleiny wyłobione przez powalone pnie i przechylił się.

Macy obficie spryskiwała się sprayem odstraszającym owady.

– Właśnie mi coś przyszło do głowy.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz – przerwał jej Eddie. Uderzyła go w ramię.

– Mówię serio. Co będzie, jeśli ludzie, którzy odkryli to miejsce, tam wrócą? Mogą być uzbrojeni.

Eddie też o tym myślał. Nie był zachwycony faktem, że władze Wenezueli nie pozwoliły ani jemu, ani Kitowi wwieźć do kraju broni, ale starał się mówić pokrzepiająco.

– Oscar ma pistolet.

– Ale czy wie, jak go używać? Gadałam z nim wczoraj wieczorem. Wiecie, czym się zajmował, zanim zaciągnął się do milicji?

– Był pilotem? – spytała Nina.

– No, tak – odpowiedziała poirytowana Macy. – Ale chodzi mi o to, co robił przedtem. Był kucharzem! To nie to samo, co służba w SAS.

– Wszystko zależy od tego, jak źle gotował – zauważył Eddie. – Jeśli dużo ludzi się na niego skarżyło, musiał... Czekaćcie no. – Gwałtownie zwolnił. – Koniec trasy.

Wjechali na polanę. Poszarpane pniaki wskazywały miejsca, w których drwale ścięli piłą łańcuchową cenne drzewa. Przed nimi wznosił się stromy wał ziemny. Na ziemi widać było kilka warstw śladów opon – najwyraźniej panował tu spory ruch.

– Tam jest kolejna ścieżka – zauważyła Nina, wskazując na wzniesienie.

– Nie jestem pewien, czy da się po niej jechać – odpowiedział Eddie i zatrzymał toyotę. – Chyba lepiej będzie pójść stąd piechotą... Poza tym chciałbym coś sprawdzić.

– Co takiego? – spytała Nina, ale Chase wyskoczył już z samochodu i przyglądał się czemuś na ziemi. Zaciekawiona poszła za nim.

– Fuj – jęknęła Macy, marszcząc nos, kiedy weszła w błoto. – Co tu tak cuchnie?

– Dżungla – stwierdził Cuff, wysiadając z drugiej toyoty. Zamknął oczy i pomachał sobie dłonią przed nosem, jakby chciał lepiej poczuć zapach jakiegoś wykwintnego dania. – Najbardziej różnorodny ekosystem na Ziemi. Jej płuca. Poczuj ten zapach życia.

– Moim zdaniem coś tu śmierdzi – odpowiedziała Macy. – Na przykład twoja przemądrzałość – dodała pod nosem. Mimo środka odstraszającego roilo się wokół niej od drobnych owadów. Opędzała się od nich ręką, a w końcu spryskała je środkiem na owady.

Osterhagen wysiadł z land cruisera za Cuffem.

– Dlaczego się zatrzymaliście? Moglibyśmy pojechać... – urwał, kiedy Eddie uciszył go gwałtownym ruchem ręki.

– O co chodzi? – szepnęła Nina.

Jej mąż przykucnął i wskazał na ziemię.

– Te ślady opon są świeże. Mają mniej niż dzień, deszcz jeszcze nie zdążył ich zmyć. –

W wilgotnym równikowym klimacie lasów deszczowych opady występowały bardzo regularnie. Chase podszedł do pobliskiej ścieżki. – A tutaj widać odciski stóp.

Pozostali członkowie grupy wysiedli z samochodów. Atmosfera nagle stała się napięta. Kit przyjrzał się śladom.

– Różne rozmiary buta – było ich dwóch.

Eddie skinął głową.

– Weszli do dżungli... Ale z niej nie wyszli.

Pozostali popatrzyli na siebie zmieszani.

– Chcecie powiedzieć, że są tu jacyś ludzie? – spytała zdenerwowana Loretta.

– Może strażnicy? – zastanawiała się Nina. – Mają tu skarbiec pełen inkaskiego złota... Nic dziwnego, że nie chcą, żeby ktoś inny go znalazł.

Eddie przyjrzał się otaczającym ich drzewom. Nie dostrzegł żadnych śladów ruchu ani nie usłyszał nic poza śpiewem ptaków i bzyczeniem owadów, ale wzmógł czujność.

– Oscar, trzymaj broń w gotowości. – Valero szybko wyciągnął pistolet i sprawdził, czy jest naładowany. Przerazona Loretta głośno wciągnęła powietrze.

– Dajcie spokój – odezwał się Cuff. – Dlaczego mieliby wystawiać strażników, skoro nikt nie wie o istnieniu tego miejsca? Trudno się spodziewać, żeby ktoś trafił tu przypadkiem podczas spaceru.

Eddie spojrzał na niego z pogardą.

– Jasne. A samolot, który wczoraj krążył nad tym miejscem, z pewnością nie zwrócił niczyjej uwagi, co Dave?

– Day – mruknął Cuff, próbując ocalić resztki godności pod surowymi spojrzeniami reszty grupy.

– Co robimy w takim razie? – spytał Becker. – Jeśli są tam strażnicy, może być niebezpiecznie.

– Musimy iść dalej – nalegała Nina. – Musimy sprawdzić, co się tam znajduje.

– Zgadzam się – dodał Valero. – Jeśli jacyś złodzieje rozkradają skarby Wenezueli, Milicja Boliwariańska ich powstrzyma! – Stał z rękami na biodrach i wyzywająco spojrzał w stronę dżungli.

– Wolnego, Rambo – rzucił Eddie. – Najpierw sprawdzmy, z czym mamy do czynienia. Jeśli to naprawdę miejsce, którego szukamy, i jeśli jest pilnowane, wezwiemy na pomoc ludzi *el Presidente*. – Wskazał telefon satelitarny w toyocie. – Nie jesteśmy najlepiej przygotowani na kłopoty.

– To dobry plan – uznała Nina. – Bierzemy rzeczy.

Członkowie ekspedycji założyli plecaki i pasy z wyposażeniem. Valero ruszył ścieżką, ale Eddie gestem nakazał mu zawrócić. – Nie tędy. Weszlibyśmy prosto na nich. – Wskazał miejsce dalej wzdłuż wału ziemnego. – Tam. I bądźcie cicho.

Eddie i Valero prowadzili pochód, Nina szła tuż za nimi, a pozostali dalej gęsiego. Kuląc się wśród zarośli, weszli na wał i znaleźli się po drugiej stronie, w bagnistej niecce. Teren przed nimi, choć usiany pagórkami i zagłębieniami, przez cały czas łagodnie się wznosił.

Zaczęło padać. Krople deszczu głośno bębniły o liście i głowy. Nina z zazdrością spojrzała na fedorę Beckera. Opady dawały jednak chwilę wytchnienia od lepkiej wilgoci. Grupa powoli szła naprzód. Kobieta wpatrywała się w mrok.

– Prawie nic tam nie widzę.

– I dobrze – wyjaśnił Eddie. – Ci tam prawie nie będą w stanie zobaczyć nas. – Zatrzymał się na kolejnym błotnistym wzniesieniu i wskazał ręką w bok. – Tam chyba coś jest.

Nina zmrużyła oczy w deszczu. Za drzewami faktycznie majaczył niewyraźny kształt.

– Mur?

Ruszyła w tamtą stronę, ale Eddie ją powstrzymał.

– Poczekaj, musisz to najpierw sprawdzić. Oscar, ze mną.

Anglik pochylony powoli ruszył w stronę niewyraźnego kształtu. Valero poszedł za nim.

Nina z niepokojem przyglądała się, jak znikają pomiędzy drzewami. Nasłuchiwała w oczekiwaniu nagłego krzyku lub wystrzału...

Eddie wynurzył się spomiędzy drzew i gestem wezwał ją do siebie. Nina odetchnęła z ulgą i ruszyła naprzód. Osterhagen i Becker szli za nią. Kiedy zbliżyła się do tajemniczego kształtu, zobaczyła, że to faktycznie mur, częściowo ukryty za roślinnością, miejscami pokruszony i pokryty wielowiekową warstwą pyłu i odpadków z dżungli, ale na pewno wzniesiony ręką ludzką. W najwyższym miejscu miał wysokość niecałych trzech metrów.

Becker zobaczył jednak coś ponad nim.

– Patrzcie! – powiedział, wymachując rękami z ożywieniem. – Kilka metrów za pierwszym murem wznosił się drugi, również wysoki na ponad dwa i pół metra, a powyżej – trzeci. Tarasowa konstrukcja, jak mury w Sacsayhuamán.

Osterhagen był niemal równie podekscytowany.

– Patrzcie na ten zygzakowaty kształt! Jestem pewien, że to inkaska budowla!

– Ćśśś, zamknąć się! – syknął Eddie, podchodząc do grupy. Nina spojrzała na niego pytająco. – Tam dalej jest szeroka brama – wyjaśnił. – Ścieżka przebiega przez nią, więc prawdopodobnie ci dwaj kolesie, ci, którzy mają nas nie zauważyć – dodał, wbijając wzrok w Niemców – pewnie przechodzili tamtędy.

Becker zrobił skruszoną minę i zasłonił się przed wzrokiem Eddiego rondem kapelusza. Osterhagen znów przyjrzał się murowi.

– Jeśli wejdziemy na górę, możemy ich stamtąd wypatrywać.

– Tam jest zawalony fragment muru – powiedział Eddie. – Wejdę po nim i się rozejrzę. Jeśli uznam, że jest bezpiecznie, pomacham. – Wrócił Valero, a pozostali członkowie grupy zbliżali się pomiędzy drzewami. – Oscar, miej oko na bramę. Jakby zanosilo się na jakieś kłopoty, biegiem wracajcie do aut. Jasne?

Podszedł do zniszczonej części muru, wspiął się po nim i zaczął rozglądać się za miejscem, z którego mógłby sforsować następny poziom. Znalazł fragment, w którym brakowało kilku kamieni, opierając stopy w otworach znów wspiął się w górę i zniknął Ninie z oczu. Deszcz osłabł. Duże bębniące krople ustąpiły miejsca lepkiej mżawce.

Po minucie Chase wychylił się zza krawędzi i zamachał.

– W porządku – stwierdziła Nina. – Ja wejdę pierwsza. Oscar, pilnuj bramy, dopóki wszyscy nie przejdą. – Valero zmarszczył brwi, kiedy wydała mu polecenie, ale skinął głową.

Nina szybko dołączyła do Eddiego na szczycie muru. Deszcz ustał, stopniowo przestały też opadać krople z drzew. Chase leżał na brzuchu, przyglądając się miejscu ukrytemu za umocnieniami. Nina podczołgała się obok męża i zerknęła w dół.

Widok odebrał jej mowę. Za murami znajdowało się miasto, opuszczone i zrujnowane, ale wciąż oszałamiające. Pozostałości kamiennych budynków stały ciasno stłoczone, zielone kalenice wskazywały miejsca, gdzie niegdyś znajdowały się drewniane i kryte strzechą dachy. Pomiędzy domami zakorzeniły się drzewa, przewracając ściany i ukrywając miasto w dżungli. Wąskie uliczki wiły się przez zewnętrzne partie osiedla. Stawały się coraz prostsze i szersze w miarę zbliżania się do jego centrum, stojące tam budynki również były większe i okazalsze.

Świątynie i pałace. Serce ostatniego przyczółku imperium Inków.

Paititi. Legendarne miasto naprawdę istniało.

Ale to nie oni znaleźli je jako pierwsi.

– Widziałeś strażników? – spytała Nina.

– Jeszcze nie – odpowiedział Eddie – ale słyszałem coś stamtąd – dodał, wskazując jeden z większych budynków.

Rozległ się stukot obłuzowanych kamieni. Kiedy Chase i Nina obejrzel się za siebie, zobaczyli Osterhagena, który, ciężko dysząc, podciągał się właśnie na najwyższy poziom muru. Za nim pojawili się Becker, Kit i Macy.

– Na litość boską! – warknął Eddie. – A wy co? Mielicie czekać na mój znak. Jeszcze nie wiadomo, czy jest bezpiecznie.

Osterhagen go nie usłyszał. Wpatrywał się jak urzeczony w widok rozciągający się po dru-

giej strony muru.

– *Phantastisch...* – wyszeptał, patrząc na ruiny, a potem zaczął pospiesznie grzebać w plecaku w poszukiwaniu aparatu, jakby bał się, że cudowny widok może w każdej chwili zniknąć.

Eddie chwycił go za nadgarstek.

– Jeśli błysniesz lampą, wezmę przykład z Inków i osobiście złożę ofiarę z człowieka!

Osterhagen wyrwał rękę, ale zanim zrobił pierwsze zdjęcie, sprawdził, czy lampa błyskowa jest wyłączona.

– Panie Chase, rozumiem, że dba pan o nasze bezpieczeństwo, ale nie podoba mi się pańska postawa.

– Jeszcze mniej się panu spodoba, jak zaczną do pana strzelać, doktorze. Może mi pan wierzyć, wiem to z doświadczenia.

– Ja też – dodała Nina. Osterhagen wyglądał na wstrząśniętego. – Co pan o tym sądzi?

Niemiec przyjrzał się ruinom. Zewnętrzne mury, na tyle, na ile można je było dostrzec pomiędzy drzewami, odgradzały obszar około dwustu metrów kwadratowych.

– Jest mniejsze niż Machu Picchu, chociaż niewykluczone, że za umocnieniami znajdują się kolejne ruiny. Architektura natomiast jest zdecydowanie typowo późnoinkaska.

– Gdzie mogły być ukryte artefakty, które trafiły na czarny rynek?

Naukowiec wskazał jedną z większych budowli – prostopadłościan o grubych murach, z licznymi trapezowymi oknami po bokach.

– Najprawdopodobniej w pałacu cesarskim. Albo – dodał, wskazując mniejszy budynek wyróżniający się zakrzywionymi ścianami – w Świątyni Słońca.

– Jeśli tam znajduje się złoto, zapewne są tam też strażnicy – stwierdził Eddie.

Pozostali członkowie ekspedycji wspieśli się na mur i oszołomieni przyglądali się miastu.

Wzruszona Loretta przyłożyła dłoń do ust.

– Patrzcie na to! Patrzcie tylko! Nie marzyłam nawet, że znajdziemy coś tak wspaniale zachowanego!

Nawet Cuff na chwilę przestał wyglądać na znudzonego światem.

– Jezu. To niewiarygodne. Tyle tu tego... Od czego zaczynamy?

– Wy zaczynacie od pozostania w kryjówece, dopóki nie znajdę strażników – poinformował ich Eddie, ostrożnie poruszając się wzdłuż muru. Nieopodal znajdowały się schody prowadzące na ziemię. Były częściowo zawalone, ale udało mu się po nich zejść, trochę zjechać i zeskoczyć ostatnie dwa metry. – Oscar, do mnie. Uważaj na ostatnim odcinku, jest ślisko.

Valero zszedł po zapadniętych schodach ze znacznie mniejszą gracją. Chase już miał zajrzeć do najbliższego budynku, kiedy zobaczył, że Nina też znalazła się już prawie na dole.

– Nie, wy wszyscy mieliście zostać na górze... A zresztą, do cholery, co mi tam.

– Nie zamierzam wpaść na strażników, Eddie – powiedziała Nina, zeskakując na ziemię. – Chcę się tylko rozejrzeć. W razie jakichś kłopotów od razu wrócę na mur.

– Jestem już w połowie drogi – mruknął Chase.

– Co takiego?

– Nic nie mówiłem.

Pomiędzy murem a zbudowanymi tarasowo małymi domkami znajdowała się ścieżka prowadząca do zewnętrznej bramy, ale Eddie uznał, że łatwiej będzie mu się dostać niepostrzeżenie do centrum osady, jeśli pójdzie węższą drogą biegnącą nieopodal.

– Dobra. Nina, idziemy sprawdzić te hałasy. Niedługo wracamy. Nie oddalaj się! – dodał stanowczo, oglądając się przez ramię.

– Też cię kocham – odpowiedziała Nina z drwiącym uśmiechem, wchodząc do budynku.

Ku jej rozczarowaniu, wewnątrz – jedno niewielkie pomieszczenie, w którym oprócz drzwi znajdowało się tylko małe okno – było w ruinie. Przegniłe resztki drewnianego dachu leżały na podłodze, a z kompostu, który utworzył się z liści wpadających z góry, wyrastały rośliny. Ze szlamu wystawały skorupy ceramicznych naczyń. Trąciła jedną czubkiem buta, potem zobaczyła coś bardziej interesującego – kamienną kulę, nieco mniejszą niż piłeczka tenisowa, z grubą liną przewleconą przez otwór w środku. Czyżby *bola*? Ostrożnie podniosła kulę, wyciągając końce liny z ziemi – i poczuła,



jak zbutwiały sznur zaczyna się rozpadać.

– O cholera – syknęła, szybko odłożyła przedmiot na miejsce i wyszła z powrotem na zewnątrz – w samą porę, żeby zobaczyć Osterhagena zeskakującego z zawałonych schodów. Becker i Cuff schodzili za nim.

– Co tam pani znalazła? – spytał Niemiec, pospiesznie podchodząc do niej. – Czy zachowały się jakieś artefakty?

Nina zignorowała jego pytanie i usiłowała zastąpić mu drogę.

– Co wy tu robicie? Eddie kazał wam czekać na górze.

– Tobie też – prychnął Cuff.

Macy i Kit także znaleźli się na dole.

– Wybacz, Nina – powiedziała Macy. – Próbowałam wyjaśnić wszystkim, że mają zostać na górze, ale posłuchała mnie tylko Loretta.

Nina podniosła głowę i zobaczyła kobietę spoglądającą na nich ze szczytu muru.

– No, przynajmniej jedna osoba zachowała się rozsądnie. Słuchajcie, nie ruszamy się stąd, dopóki Eddie i Oscar nie wrócą. To miejsce czeka od szesnastego wieku, kilka minut więcej naprawdę nie zrobi różnicy.

Eddie i Valero ostrożnie szli przez ruiny miasta. Chase był już pewien, że nie odnaleźli go jako pierwsi – zauważył złamane gałęzie w miejscach, w których poprzedni odkrywcy przedzierali się przez porastającą osiedle gęstwinę. Ślady nie wydawały się jednak nowe – miały kilka tygodni, może nawet miesięcy.

Ułożył już teorię: drwale przeszukali całe osiedle w poszukiwaniu cennych przedmiotów. Po оголоczeniu zewnętrznych budynków, nie mieli powodu tam wracać – skoncentrowali się na budowach w centrum, które zdaniem Osterhagena miały zawierać najcenniejsze znaleziska. Mężczyźni, których trop widział w dżungli, strzegli zapewne pozostałych skarbów.

I byli niedaleko. Eddie zatrzymał się i gestem nakazał Valero zrobić to samo, kiedy dotarł do niego zapach dymu z papierosa. Wyteżył słuch. Dotarł do niego odgłos rozmowy prowadzonej przez mężczyznę po hiszpańsku.

Wyjrzał za róg budynku. Przed nim znajdował się plac usiany drzewami, które przebiły się przez popękane kamienne płyty. Na jego zachodnim końcu wznosiły się szerokie schody prowadzące do budowli, którą Osterhagen nazwał Świątynią Słońca.

Jego uwagę zwróciło jednak coś mniej imponującego i bardziej współczesnego – niewielki namiot o ściankach w maskujący wzór, rozstawiony niedaleko schodów. Kłapa była odsłonięta, więc mógł przyjrzeć się stojącemu w środku sprzętowi.

A gdzie byli mieszkańcy?

Przechylił się bardziej. W przerwie między drzewami leżała duża skrzynia o dziwnych proporcjach przypominająca olbrzymie pudełko z pizzą. Miała powierzchnię mniej więcej pół metra kwadratowego, ale grubość mniej niż trzydziestu centymetrów. Obok niej stali dwaj strażnicy.

Żołnierze.

Obaj mężczyźni mieli na sobie mundury armii wenezuelskiej z tym samym wzorem, co namiot. Byli uzbrojeni w karabiny szturmowe AK-103, unowocześnione, produkowane miejscowo wersje kultowego AK-47. Jeden z nich trzymał broń przewieszoną luźno przez plecy, drugi oparł swój karabin o pobliskie drzewo. Było widać, że nie spodziewają się kłopotów.

Eddie gestem nakazał Valero, by się przyjrzał. Pilot był bardzo zdziwiony.

– Co tu robi wojsko? – spytał szeptem. – Nie rozumiem. Jeśli władze wiedzą o tym miejscu, dlaczego nas nie poinformowały?

– Myślę, że władze nie wiedzą – odpowiedział Eddie ponuro. – To czyjaś mała prywatna akcja. Zapewne zarządzana z tamtej bazy, to tylko osiem kilometrów stąd – dodał, wskazując na północny zachód. – Zabierają wszystkie cenne przedmioty, jakie znajdują, do Valverde i sprzedają je na czarnym rynku.

– Ale to zdrada! – stwierdził wściekły Valero. – Okradają lud Wenezueli, swoich braci!

– Tam, gdzie w grę wchodzi wielkie pieniądze, rodzina przestaje się liczyć.

Jeden z żołnierzy wyrzucił papierosa i poszedł do namiotu, omijając błotniste kałuże po-

wstałe w miejscach, gdzie zapadł się bruk. Drugi spojrzął na zegarek, podniósł swój karabin i poszedł za kolegą.

Eddie cofnął się za róg.

– Powinniśmy stąd spadać.

– Nie – sprzeciwił się Valero. – Jako członek Milicji Boliwariańskiej mam obowiązek zapobiec popełnianiu przestępstw. – Dumnie wypiął pierś. – Porozmawiam z tymi ludźmi, a jeśli ich odpowiedzi mnie nie przekonają, aresztuję ich.

– Kpisz sobie, kurwa? – Obaj żołnierze byli wysocy i muskularni, a Eddie podejrzewał, że razem mogli mieć tyle lat, co sam Valero. – Nie poddadzą się byłemu kucharzowi.

Urażony Wenezuelczyk zachmurzył się.

– Zrobiją, co im każę. Mam pistolet.

– A oni dwa karabiny.

– Mam władzę nadaną przez samego prezydenta! Ja tu dowodzę, *gringo*.

Ruszył w stronę placu, ale Eddie wyciągnął ramię i go zatrzymał.

– Mówię serio, stary. To zły pomysł. Powinniśmy wrócić do samochodów i stamtąd wezwać posiłki.

Valero go odepchnął.

– Czekaj tu. Ja się tym zajmę – oświadczył i wyszedł z kryjówki.

– Pieprzony idiota – warknął Eddie, przyglądając mu się zza rogu. Żołnierze byli tak rozproszeni, że nie zauważyli nadchodzącego mężczyzny do chwili, kiedy znalazł się sześć metrów od nich. A wtedy rzucili się po karabiny.

Valero wyciągnął pistolet. Żołnierze zamarli w bezruchu. Oscar władcym tonem odezwał się po hiszpańsku, pytając, co tam robią. Ku zaskoczeniu Eddiego, odpowiedzieli, choć niepewnie. Wyglądało na to, że, jako szef kuchni, Oscar trzymał kuchcików twardą ręką. Jeden z wojskowych wskazał na świątynię. Valero instynktownie odwrócił się, żeby na nią spojrzeć...

Drugi żołnierz chwycił karabin i mocno uderzył go w głowę.

Valero zachwiał się, a mężczyzna uderzył ponownie, powalając go na ziemię. Drugi strażnik mocno kopnął go w brzuch, zabrał mu pistolet i kopnął jeszcze raz.

– Cholera! – syknął Eddi, rozdarty między dwiema instynktownymi reakcjami. Nie chciał zostawiać Valero na pastwę losu, ale musiał ostrzec Ninę i pozostałych. Żołnierze założą, że intruz nie był sam, i albo zaczną polować na ekipę archeologów, albo wezwą posiłki...

Jeden z wojskowych podjął decyzję za niego – zauważył go za rogiem zaułka. Krzyknął i uniósł broń.

Eddie odwrócił się i ruszył biegiem. Kule wyszczerbiły kamienie za jego plecami.

Nina odwróciła się przerażona, kiedy usłyszała strzały. Echo pierwszego ucichło, odezwały się krzyki przestraszonych ptaków – a potem ostry terkot wystrzałów rozległ się ponownie.

Tym razem bliżej.

– Wracajcie na mur! – krzyknęła do pozostałych.

– A ty dokąd? – spytał Kit, kiedy odkrywcy ruszyli biegiem do zniszczonych schodów.

– Znaleźć Eddiego! – Pobiegła przed siebie ulicą.

Becker, który znajdował się najbliżej schodów, zaczął wchodzić jako pierwszy. Za nim ruszył Osterhagen, mozolnie wdrapując się po zawalonej części. Obluzowane kamienie zgrzytały pod jego ciężkimi krokami.

– No dalej, *schnell!* – krzyknął w dół do swoich towarzyszy, a potem spojrzał w górę, na przerażoną postać na szczycie muru.

– Loretta, biegnij do samochodów!

Cuff znalazł się tuż za nim. Niemal zepchnął z drogi szefa, rozpaczliwie próbując dostać się na górę.

– Z drogi, z drogi! – wrzasnął. – Nie chcę...

Kamienny blok obluzował się pod jego stopą. Day stracił równowagę, uderzył klatką piersiową o ostro zakończone kamienie i spadł na ziemię. Cała podstawa schodów zapadła się, obsypując Cuffa kamieniami. Osterhagen omal nie spadł, kiedy stracił grunt pod nogami.

– Ty kretynie! – wrzasnął Kit do oszołomionego Amerykanina. – Mało brakowało, żebyś to wszystko zawalił! – Nad nimi Becker wciągnął Osterhagena w bezpieczne miejsce. – Macy, chodź, pomogę ci.

– Co z Niną i Eddiem? – zaprotestowała dziewczyna.

– Nie możesz im pomóc – musisz stąd uciekać! – Kit skoczył i uchwycił się pozostałej części schodów. Rozległa się kolejna seria wystrzałów.

Eddie pędził przez zakrzywione uliczki, odgarniając z drogi rośliny. Gonił go tylko jeden żołnierz – drugi został z Valero – ale przeciwko sile ognia AK-103 i tak nie miał żadnych szans. Mógł tylko spróbować odciągnąć goniącego od reszty ekipy i zgubić go w labiryncie albo zwabić w zasadzkę...

– Eddie! Eddie, gdzie jesteś?

Nina odezwała się gdzieś przed nim. Cholera! To tyle, jeśli chodzi o odciągnięcie wojskowego od pozostałych.

– Tu są żołnierze! Wracaj! – wrzasnął, skrzywił się i zobaczył, że żona biegnie w jego stronę. Powietrze za nim przecięła kolejna seria trzech pocisków, odłupując kawałki kamienia, które uderzyły go w głowę. Nina pospieszenie zawróciła i zniknęła mu z oczu.

Chase miał niewielką przewagę – niewystarczającą, żeby dotrzeć do następnego rogu. Żołnierz będzie mógł spokojnie strzelić mu w plecy...

W przerwie pomiędzy dwoma budynkami, po swojej prawej stronie, zauważył niewielkie podwórko ogrodzone z tyłu półtorametrowym murem. Skrzywił się tam dokładnie w chwili, kiedy żołnierz go zobaczył i znów wystrzelił. Kule ze świstem przeleciały za nim. Eddie skoczył na mur, mocno wczepiając się palcami, żeby przez niego przeskoczyć...

Pokryte bluszczem kamienie zostały mu w rękach.

Stracił równowagę, uderzył w mur i spadł na drugą stronę, uświadamiając sobie, że z drugiej strony ziemia znajduje się dużo niżej...

Nie doznał poważnych obrażeń w wyniku upadku z wysokości prawie czterech metrów tylko dzięki odpadkom, które przez stulecia zbierały się w tym miejscu na ziemi – ale nie uchroniły go przed twardym lądowaniem. Poczul w ustach metaliczny smak krwi po tym, jak przygryzł policzek.

Jęknął, splunął krwią i podciągnął się na nogi. W zaułku nad nim rozległ się odgłos kroków.

Żołnierz deptał mu po piętach. Jedyna droga z ciemnej jamy prowadziła przez wąskie przejście.

Ruszył biegiem w jego stronę.

Huk wystrzałów z kałasznikowa wypełnił niewielką przestrzeń, kiedy żołnierz przechylił się nad zawalonym murem i zaczął strzelać. Kule wbijały się w ziemię, rozbryzgując błoto, ale Eddie był już w przejściu. Kolejne pociski hałaśliwie odbiły się od starych kamieni. Chase, tratując rośliny, wybiegł za róg i zobaczył tam schody prowadzące w górę. Wbiegł po nich, nasłuchując kroków ścigającego go żołnierza.

Nie usłyszał ich. Wenezuelczyk nie zamierzał ryzykować skoku w dół. Pobiegł dalej ulicą.

Za Niną.

Żona Chase'a biegiem wróciła do schodów. Zobaczyła, że Kit stara się wciągnąć Macy na górę. Osterhagen i Becker właśnie dotarli na szczyt muru, Cuff wciąż niecierpliwie czekał u jego stóp.

– Żołnierze! – krzyknęła. – Tuż za mną! Wszyscy w nogi!

Przeżrana Macy spojrzała na Kita – nawet z jego pomocą wspinaczka nie przychodziła jej łatwo. Wiedziała, że w żaden sposób nie zdąży dotrzeć na górę, zanim nadbiegnie pościg.

– Ukryj się! – nakazał agent Interpolu. Dziewczyna skinęła głową, a mężczyzna puścił jej rękę. Z trudem utrzymując równowagę, stażystka ześlizgnęła się z powrotem w dół po stosie kamieni i pobiegła w kierunku budynków.

– Hej! A co ze mną? – pisnął Cuff, kiedy Kit ruszył po schodach za dwoma Niemcami.

– Uciekaj, głupku! – wrzasnęła Nina, pędząc obok niego w kierunku innej zarośniętej uliczki. Mężczyzna chwilę się zawahał, potem ruszył za nią...

– Hey! Allo!

Żołnierz wypadł na otwartą przestrzeń i wymierzył w Cuffa. Przeżony Amerykanin głośno wciągnął powietrze i szybko podniósł ręce do góry. Wenezuelczyk rozejrzał się wokół i zauważył Macy wbiegającą do domku, który przedtem oglądała Nina. Dostrzegł też ruch powyżej i strzelił do Kita, ale Hindus biegiem pokonał kilka ostatnich schodów i zniknął na szczycie muru.

Żołnierz wycelował w pierś Cuffa i ruszył w jego stronę.

– Nie strzelaj, nie strzelaj! – wyjąkał Day. – Ja... ja mam dolary! Amerykańskie dolary! – Drżącą ręką sięgnął do kieszeni. Żołnierz mocniej zacisnął palec na spuście.

– Nie, nie, nie! Proszę! Dolary, tak? – Amerykanin wyjął portfel, pokazał tkwiący w środku plik banknotów i rzucił go na ziemię. – Weź!

Żołnierz przez chwilę patrzył na pieniądze, potem opuścił broń. Cuff odetchnął z ulgą.

W tym momencie kolba karabinu wbiła mu się nagle w usta, wzbijając fontannę krwi i połamanych zębów. Archeolog runął w błoto, jęcząc i trzymając się za szczękę. Na jego nogawkach pojawiła się ciemna plama – zmoczył się w spodnie.

Napastnik parsknął drwiąco, odwrócił się i pobiegł za kolejnym intruzem.

Macy.

Studentka archeologii już zaczynała żałować, że wybrała sobie taką kryjówkę. Stary domek przypominał celę – był mały, nie dawał możliwości ukrycia się i miał tylko jedno wyjście – poza oknem. Kobieta przełożyła ręce przez otwór. Zwężał się ku górze, ale udało jej się wystawić przez niego głowę i ramiona. Zaczęła przeciskać resztę ciała...

Rozległ się pojedynczy wystrzał i kula roztrzaskała część nadproża. Odpryski kamienia posypały się na pupę i uda Macy, która krzyknęła i zamarła w bezruchu.

– No no, patrzcie tylko – odezwał się mężczyzna po hiszpańsku, śmiejąc się drwiąco. – Co za piękny tyłeczek! Pozycja też w sam raz. – Macy usłyszała, jak idzie przez pokój. – Może powinienem cię tak przytrzymać i się zabawić, co? – Dziewczyna drgnęła, kiedy żołnierz ścisnął jej lewy pośladek. – To by...

Rozległ się stłumiony trzask i łupnięcie czegoś ciężkiego o podłogę. Potem zapadła cisza.

– Eee... Jest tam kto? – nerwowo wyszeptła stażystka.

– Zabieraj stamtąd tyłek, Macy – powiedział znajomy głos z nowojorskim akcentem.

– Nina! – wykrzyknęła Macy. Kobieta wciągnęła ją z powrotem do chaty. Żołnierz leżał bezwładnie u jej stóp. – Co mu zrobiłaś?

Nina uniosła *bola*. Jedna ze zbutwiałych linek rozpadła się podczas wyciągania broni z błota, ale pozostałe dwie kamienne kule wciąż były połączone. – Dałam mu kulkami po kulkach – wyjaśniła, rzuciła *bola* z powrotem na ziemię i podniosła karabin nieprzytomnego żołnierza.

– Poproś Kita, żeby tu przyszedł i miał oko na tego kolesia, a potem pomóż temu idiocie Cuffowi.

– A ty? – spytała Macy, kiedy kobieta stała już w drzwiach.

Nina spojrzała na nią z zaciętą miną.

– Znajdę Eddiego – wyjaśniła i ruszyła przed siebie, krzycząc: – Eddie! Mam jego karabin!

Kiedy Chase dotarł do szczytu długich, kręconych schodów, na początku myślał, że znalazł się w ślepych zaułku, ale udało mu się znaleźć niewielki otwór, niemal w całości zasłonięty przez bluszcz i pnącza. Przepchnął się przez rośliny i znalazł się w wąskiej uliczce. Po jednej stronie zobaczył mur obronny ciągnący się do szczytu klifu, osłaniający ruiny miasta od jednej strony. Przez zawałone fragmenty prześwitywały liście drzew. Poszedł w drugą stronę, w kierunku centrum Paititi.

Po krótkim odcinku ulica przeszła w centralny plac. Chase zatrzymał się i ostrożnie rozejrzał wokół. Drugi żołnierz stał niedaleko namiotu, mierząc z karabinu do Valero klęczącego z rękami splecionymi na głowie. Gdyby udało mu się podejść niepostrzeżenie, może...

Wojskowy gwałtownie obrócił głowę, słysząc krzyk. Eddie też go usłyszał. Nina! Zanim dotarło do niego, co mówiła, zagłuszyło ją echo.

Drugi żołnierz zrozumiał słowa. Ku zaskoczeniu Eddiego, nie unióśł broni, ale zaniepokojony cofnął się w stronę namiotu, wciąż mierząc do Valero z karabinu.

Nina krzyknęła jeszcze raz, bliżej nich. Tym razem Chase ją zrozumiał. Zdobyła karabin drugiego żołnierza. Nic dziwnego, że ten się zaniepokoił.

Ale po co wycofał się do namiotu? Nawet jeśli miał tam inną broń, nie dałaby mu ona przewagi...

Chase uświadomił sobie, co znajduje się wewnątrz, dopiero kiedy żołnierz wszedł do środka. Wojskowy poszedł po radio i zamierzał wezwać posiłki.

Eddie wybiegł z ukrycia i popędził do namiotu. Usłyszał pstryknięcie i szum, potem odgłosy ucichły, a wojskowy, nie spuszczając wzroku z Valero, wcisnął przycisk nadawania na urządzeniu i zaczął pospiesznie mówić po hiszpańsku. Chase usłyszał słowo *Socorro!* – Na pomoc!

Kolejne oddziały były już w drodze...

Eddie rzucił się na namiot. Konstrukcja złożyła się, więżąc Wenezuelczyka pod falującym płótnem, a radio z głośnym stukiem spadło na bruk.

Żołnierz nie wypuścił z rąk karabinu. Zaczął strzelać na oślep, dziurawiąc kulami otaczające budynki. Valero przetoczył się po placu i ukrył za drzewem. Eddie wstał i kopnął wojskowego w ramię. Karabin przeleciał na drugą stronę placu.

Wenezuelczyk wygrzebał się spod namiotu. Rozejrzał się za swoim karabinem, zobaczył, że broń znalazła się poza jego zasięgiem, odwrócił się w stronę Eddiego i wyciągnął nóż.

Chase przybrał postawę obronną i próbował ocenić napastnika. Wenezuelczyk był od niego wyższy i prawdopodobnie piętnaście lat młodszy. Oznaczało to szybsze reakcje, ale też mniej doświadczenia i słabsze przeszkolenie – mężczyzna nosił mundur zwykłych oddziałów wojskowych, a nie sił specjalnych. Anglik spoglądał to na dwudziestocentymetrowe ostrze, to na oczy przeciwnika, czekając na pierwszy sygnał zwiastujący nieuchronny atak...

Mężczyzna pchnął go nożem w klatkę piersiową. Eddie obrócił się, unikając ostrza, potem próbował złapać żołnierza za nadgarstek, ale Wenezuelczyk już się wycofał. Kolejne pchnięcie, kolejny unik, tym razem stalowe ostrze znalazło się na tyle blisko, że przejechało po stalowym suwaku jego kurtki.

Trzecie uderzenie...

Eddie chwycił wojskowego za ramię – ale nóż prześlizgnął mu się po klatce piersiowej, rozrywając koszulkę. Chase syknął z bólu i rozpaczliwie walczył, by utrzymać mężczyznę, który starał mu się wyrwać. Uderzył łokciem i wbił go w twarz żołnierza, tuż pod lewym oczodołem.

Wenezuelczyk stracił równowagę, a Eddie wykorzystał szansę i chwycił go za rękę, próbując zmusić do wypuszczenia broni. Po kolejnym silnym ciosie żołnierz rozluźnił chwyt na nożu.

Zdarzył jednak pchnąć Eddiego do tyłu, przez nierówne kamienne płyty, w kałużę błota. Chase'owi udało się wyprowadzić ostatni cios i w końcu wytrącić mu nóż, ale sam poślizgnął się na lepkiej mazi, stracił grunt pod nogami i upadł.

Wylądował na plecach z głośnym plaśnięciem. Żołnierz rzucił się na niego i tym razem to on wykorzystał łokieć, z całej siły wbijając go w brzuch Chase'a.

Eddie napiął mięśnie, aby złagodzić siłę ciosu, ale i tak stracił oddech z obezwładniającego bólu. Jęk uwiązał mu w gardle, kiedy napastnik zacisnął ręce na jego szyi. Próbował sięgnąć do oczu żołnierza, ale Wenezuelczyk cofnął twarz poza zasięg jego rąk i mocniej wcisnął łokieć...

Nacisk nagle zelżał. Żołnierz przeniósł wzrok z Eddiego na coś nad nim. Anglik odchylił głowę i zobaczył odwrócony obraz – budynki wiszące nad bezkresną przepaścią nieba... i Ninę do góry nogami mierzącą w napastnika z AK-103.

Jeden ruch jej brwi wystarczył, by żołnierz go puścił. Eddie chrapliwie wciągnął powietrze, kiedy jego przeciwnik nerwowo się wycofał i usiadł.

– Wszystko okej? – spytała Nina.

Chase zakasłał.

– Kłaczek połknąłem. Co z resztą?

– Z Macy w porządku, Cuffa czeka wizyta u ortodonta, ale poza tym chyba nic mu nie jest. Kit pilnuje tego drugiego. Pozostali są już na murze.

– Dobrze. – Eddie wstał i groźnie spojrział na żołnierza, po czym zawołał Valero. – Oscar, bierz broń! – krzyknął, wskazując leżący na ziemi karabin. – Ja go zwiążę.

Nina nie przestawała mierzyć w mężczyznę, kiedy Valero podnosił drugiego kałasznikowa.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Skoro to miejsce odkryli drwale, to co tu robi wojsko?

– Może i drwale je odkryli – stwierdził Eddie, wyciągając kawałek linki, którą był zasznurowany namiot – ale nie wiedzieli, gdzie sprzedać znalezione tu fanty, więc zaczęli rozpytywać i słuchy dotarły do kogoś z bazy radarowej. Szybkie aresztowanie, krótkie przesłuchanie i teraz ktoś z paskami na rękawie wie wszystko o Paititi i ukrytych w nim skarbach. – Przeciągnął linkę przez ostatnie oczka i uniósł płótno, odsłaniając radio polowe leżące na boku i przywalony nim mikrotelefon. Paliła się lampka sygnalizująca nadawanie. – Kurwa mać – rzucił, podnosząc radio. Przycisk na mikrofonie, przedtem wcisnięty pod ciężarem urządzenia, został zwolniony, kanał się odblokował i z głośnika natychmiast popłynął potok słów. Chase szybko wyłączył radio. – Udało mu się ostrzec kumpli. Musimy się zbierać.

– Poczekaj chwilę – powiedziała Nina, kiedy Eddie wiązał żołnierza, i wskazała na wysokie budynki w zachodniej części placu. – Musimy zbadać przynajmniej świątynię i pałac. Ci ludzie już rozkradli artefakty o wartości milionów dolarów. Musimy sprawdzić, czy coś zostało, zanim całym ogółem to miejsce.

– Nie mamy czasu. Jeśli zaczęli podejrzewać, że ktoś odkrył ich mały sekret, zapewne już tu jadą.

– Nie. Zgadzam się z doktor Wilde – wtrącił Valero. – Dojazd tutaj z Valverde zajął nam ponad dwie godziny. Droga z bazy wojskowej potrwa jeszcze dłużej. Jeśli pojedziemy na południe, do Matuso, nigdy nas nie dogonią. A kiedy wrócimy do samochodów, mogę złożyć raport Milicji Boliwariańskiej przez telefon satelitarny. Im więcej dowiem się o tym, co tu się dzieje, tym więcej będę mógł powiedzieć przełożonym.

Eddiemu nie podobał się pomysł zwlekania z ucieczką, ale Valero miał rację – kolejni żołnierze nie mogli zbyt szybko dotrzeć na miejsce.

– Dobra, ale pospieszcie się. Dziesięć minut, nie więcej.

Połowę tego czasu zajęło samo zgromadzenie członków ekspedycji. Obaj żołnierze zostali przywiązani do drzewa, Eddie i Kit zabrali ich karabiny, a Valero odzyskał swój pistolet. Eddie znacząco spojrział na zegarek i grupa pospiesznie ruszyła szerokimi schodami do Świątyni Słońca.

Wewnątrz czekało na nich coś niewiarygodnego.

Mój Boże! – wykrztusiła Nina. Osterhagen powtórzył to samo po niemiecku. Wszyscy patrzyli przed siebie w osłupieniu. Komnata była pozbawiona dachu, gdyż drewno dawno zbutwiało, ale rosnące obok rozłożyste drzewo zasłaniało większość światła. We wschodniej ścianie komnaty znajdowało się jedyne okno... a naprzeciwko niego – cud.

Na zachodniej ścianie wisiał metalowy dysk – stylizowana twarz otoczona wymyślnymi wzorami ze spirali i splatających się linii. Miał mniej więcej sto dwadzieścia centymetrów średnicy i dziesięć centymetrów grubości w najgrubszym miejscu... i choć pokrywał go wielowiekowy pył, od razu było oczywiste, że jest ze złota.

– Punchaco! – wykrzyknął Becker.

Osterhagen, choć sam jeszcze nie otrząsnął się z zachwytu, pokręcił głową.

– Nie. Jest zbyt mały i brakuje drogich kamieni. To zapewne kopia.

– Co to takiego? – spytała Macy.

– Dysk słoneczny – odpowiedziała Nina. – Jeden z największych inkaskich skarbów.

– Największy – poprawił ją Osterhagen. – Przedstawiał boga słońca, Inti, i znajdował się w Świątyni Słońca w Cuzco. Był wykonany z czystego złota i ozdobiony tysiącami drogich kamieni. Kiedy do miasta wtargnęli Hiszpanie, zrabowali ze świątyni ogromne ilości złota, ale Punchaco tam nie było.

Eddie wszedł głębiej do komnaty. Przed kamienną twarzą leżała duża kamienna płyta – jak się domyślił, ołtarz – a za nią dowód, że nie tylko oni wiedzieli o istnieniu dysku słońca.

– Nie tylko Hiszpanie chcieli położyć na tym łapy – stwierdził, unosząc kawałek ciężkiego łańcucha.

Nina okrążyła ołtarz i zobaczyła wózek wykonany z grubej stali, na sześciu grubych małych kołach, oraz stos równie solidnych metalowych rozpórek, z których kilka spięto razem, tworząc kratownicę. Zauważyła także rolki od wielokrążka.

– Wygląda na to, że chcieli zdjąć dysk ze ściany i postawić na tym wózku. – Podeszła do okna. Dawniej wpadało przez nie światło wschodzącego słońca, oświetlając Punchaco. Teraz widok zasłaniały drzewa, ale udało jej się dostrzec stojącą na wschodzie główną bramę, a bliżej – skrzynię o dziwnym kształcie.

Jej zastosowanie stało się jasne – dokładnie pasowała rozmiarem do dysku.

– Dobrze, że jednak tu weszliśmy – stwierdziła, patrząc oskarżycielsko na męża. – Właśnie mieli zrabować dysk słoneczny. I zapewne zostawili go sobie na koniec – to nie drobiazg, który mogli wynieść w kieszeni, jak artefakty odzyskane przez Interpol. Taka ilość złota musi ważyć tony.

Kit obejrzał dysk.

– Ma mniej więcej metr dwadzieścia średnicy i jakieś... dziesięć centymetrów grubości.

Czyli powinien ważyć...

– Wzór na objętość walca to  $\pi r^2 h$  – wymamrotał Cuff przez trzymaną przy ustach chusteczkę. – To daje...

– Sto trzysta tysięcy sto czterdzieści dwa centymetry sześciennie – oznajmiła Nina po wykonaniu obliczeń w pamięci, ku zaskoczeniu Valero i ekipy Osterhagena. – Albo mniej więcej trzysta setnych metra sześciennego. Zdaje się, że złoto ma gęstość około dziewiętnastu razy większą od wody, która waży tonę na metr sześcienny, czyli... – Zamyśliła się na chwilę. – Mówimy o ponad dwóch tonach złota. Tyle samo waży samochód terenowy.

– Nic dziwnego, że zostawili go na koniec – stwierdził Eddie. – Transport tego cholerstwa musi być strasznie upierdliwy.

– Ale jeśli to tylko kopia – odezwała się Macy – gdzie jest oryginał?

– Wciąż ukryty – rzuciła Loretta.

Nina spojrzała w kierunku wejścia.

– Może gdzieś tutaj?

Osterhagen był tego samego zdania.

– W pałacu! Musimy go przeszukać.

– Macie dwie minuty – uprzedził Eddie. – Im dłużej tu jesteśmy, tym większe ryzyko, że nas złapią.

– Wiem, wiem – burknęła Nina, popychając pozostałych ku drzwiom.

Szybko wyszli na zewnątrz i weszli po kolejnych schodach do budynku stojącego na najwyższym poziomie miasta w dżungli. Pałac był bardzo narażony na działanie żywiołów i zawalił się w miejscach, gdzie przyniesione wiatrem nasiona zakorzeniły się i wyrosły w drzewa, ale pozostałości budowli i tak sprawiały wrażenie majestatycznych. Każdy kamienny blok wycięto z niezwykłą precyzją, aby dokładnie pasował do sąsiednich, bez konieczności użycia zaprawy. Ponadto, w przeciwieństwie do prostych budynków w pozostałej części Paititi, pałac był ozdobiony – w kamiennych elementach wykuto geometryczne wzory, a ze ścian wystawały rzeźbione głowy.

– Rozdzielamy się – rozkazała Nina. Z bólem serca oderwała się od rzeźbionych zdobień, by przejść po salach w poszukiwaniu skarbów, które ocalały przed złodziejami. Kilka z pozostałych na miejscu artefaktów miało wartość historyczną, ale wszystkie o dużej wartości finansowej zniknęły. Rabusie byli skrupulatni.

– Znaleźliście coś?! – krzyknęła.

– Byłoby mi łatwiej, gdybym wiedział, czego szukam – poskarżył się Eddie z sali obok.

– Czegokolwiek w oczywisty sposób cennego – złota, srebra, drogich kamieni. Jeśli pojawią się na czarnym rynku, będziemy mogli powiązać je z tym miejscem, a to da Interpolowi podstawy prawne do działania.

– Gdybyśmy po prostu zabrali je ze sobą, w ogóle nie wpadłyby w ręce złodziei – wypaliła Macy.

Nina już miała dać jej wykład z etyki zawodowej, kiedy znów odezwał się Eddie.

– Nina! Tutaj.

Z tonu jego głosu słysząc było, że to coś ważnego.

– O co chodzi?

– To nie złoto, srebro czy klejnoty – stwierdził Chase, kiedy jego żona weszła do niewielkiej komnaty – ale myślę, że można uznać to za cenne.

W przeciwieństwie do pozostałych sal w pałacu, ta była osłonięta z góry z jednego końca, w miejscu, gdzie w ścianę była wbudowana alkowa o głębokości niecałych dwóch metrów i podobnej szerokości. W tylnej ścianie znajdowała się wysoka na trzydzieści centymetrów, łukowato sklepiona nisza, w której coś stało.

Nina wyciągnęła latarkę. W jej świetle zobaczyła, że ściany alkowy były pomalowane. Wprawdzie farba miejscami popękała albo odpadała pod wpływem pleśni, jednak większość obrazów wciąż była rozpoznawalna.

Jednak to nie malowidła przykuły jej uwagę. Rozpoznała kształt stojący w niszy, jeszcze zanim skierowała na niego latarkę – a kiedy go oświetliła, zauważyła też jego kolor.

Dziwny fioletowy kamień.

– To trzecia statuetka... – wyszeptała. Podobnie jak dwie pozostałe figurki spoczywające w walizeczce w jej plecaku, była to prymitywnie wykonana, ale rozpoznawalna ludzka sylwetka, z ramionami wyciągniętymi w taki sposób, by dało się spleść je z bliźniaczymi posązkami, stawiając je obok siebie.

Tyle że... miała tylko jedno ramię.

– Co takiego? – syknęła Nina. Poszązek okazał się niekompletny. Stał w niszy bokiem, skierowany prawą stroną ku patrzącej, a lewej strony w ogóle nie było. Figurka została przecięta na pół przez środek. – Nie!

– Tak sobie pomyślałem, że cię to nie ucieszy – stwierdził Eddie, kiedy jego żona wyciągnęła statuetkę i obracała ją w rękach. – Jak myślisz, czemu przecięli ją na pół?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała rozczarowana. Ze wszystkich archeologicznych skarbów w zagubionej osadzie najbardziej zależało jej na figurce, to dla niej tu przyjechała – a teraz nie



wiedziała, od czego zacząć poszukiwania jej drugiej części.

Chyba że...

Wyłączyła latarkę.

– Potrzyмай to przez chwilę – poprosiła Eddiego, podając mu posążek. Do sali wchodzili kolejni członkowie ekspedycji, a Nina wyjęła z walizeczki pozostałe dwie statuetki. Nie rozbłysły światłem, ale poczuła coś pod palcami, jakby przepływał przez nie prąd o słabym napięciu.

– Co pani robi? – spytał Osterhagen.

– Sprawdzam, czy Inkowie na pewno nie przeprowadzili się dalej – wyjaśniła, stawiając statuetki ramię przy ramieniu.

Pozostali członkowie ekspedycji krzyknęli ze zdumienia, kiedy połączone figurki rozbłysły. Światło było słabe, ale wystarczające, by było je widać w mroku.

– Daj mi ją – powiedziała do Eddiego. Wsunęła trzecią statuetkę między dwie pozostałe, ustawiła ją w odpowiedniej pozycji, splatając ramieniem z sąsiednią figurką – i poblask delikatnie się zmienił. Stał się najwyraźniejszy z jednej strony tryptyku. – Eddie, masz kompas, prawda?

– Jasne.

Obróciła statuetki, ale jaśniejsze światło wciąż padało w tym samym kierunku.

– Jaki kierunek wskazuje?

– Co się z nimi dzieje? – spytał zaskoczony Valero.

– Reagują na pole magnetyczne Ziemi – wyjaśniła Nina. – I wskazują na siebie. Między innymi dlatego przyjechaliśmy tutaj.

Chase sprawdził kompas.

– Południowy zachód – oznajmił.

– Hmm. To dlatego nie wiedzieliśmy, że figurkę podzielono na dwie części – obie znajdowały się w tym samym kierunku od Glastonbury, więc widzieliśmy poblask tylko z jednej strony.

– Dlaczego świecą słabiej niż w Glastonbury? – spytała Macy.

– Najwyraźniej energia Ziemi jest tutaj słabsza. Możliwe, że kiedyś była mocniejsza, ale punkt zbiegu linii się przesunął.

– Energia Ziemi? – dopytywał się Osterhagen. – Jaki punkt? Co się dzieje?

– Obawiam się, że ta sprawa leży w gestii mojej Agencji. Ale oznacza to, że druga część statuetki znajduje się na południowy zachód stąd.

– Poszukamy jej później – stwierdził Eddie. – Koniec czasu, musimy stąd spadać.

– Proszę, jeszcze minutę – powiedział Osterhagen, przypatrując się ścianom alkowy. Włączył swoją latarkę i skierował jej światło na malowidła. To samo zrobili Becker i Macy, a Loretta wyjęła aparat i zaczęła fotografować. – Te malowidła... Myślę, że przedstawiają historię przybycia Inków do tego miejsca. Patrzcie. – Wskazał jeden z obrazów na ścianie po lewej. – To Intiwasa w Cuzco, Świątynia Słońca – Hiszpanie zniszczyli jej górne poziomy, żeby zbudować na nich kościół Santa Domingo, ale podstawa pozostała dokładnie taka sama.

Nina ostrożnie odłożyła statuetki, wyjęła latarkę i przyjrzała się malowidłu. Było uproszczone i przypominało komiks – wszystkie obrazy składały się z wyraźnych barwnych plam – jednak z pewnością opowiadało jakąś historię.

– Te postacie przed świątynią, te inaczej ubrane – czy to Hiszpanie?

Osterhagen skinął głową.

– Posłańcy Pizarra przekazujący ludowi rozkaz Atahualpy, by zebrać srebro i złoto.

– I ukryć je przed Hiszpanami... – Nina przesunęła światłem latarki po ścianach. Naprzeciwko malowidła przedstawiającego Cuzco znajdował się obraz, w którym rozpoznała Paititi – warowne miasto otoczone drzewami, nad którym znajdował się dysk słoneczny, taki jak w świątyni, oraz niewielki kształt, niemal na pewno przedstawiający połowę trzeciej figurki.

Między początkiem i końcem podróży Inków przedstawione były inne miejsca połączone krętą malowaną ścieżką, oznaczoną symbolami: pionowymi liniami na przemian z kropkami.

– A te symbole? – spytała. – Czy mogą opowiadać historię przebytej przez nich drogi?

– Myślałam, że Inkowie nie wynaleźli pisma? – upewniała się Macy.

– Nie wynaleźli – potwierdził Osterhagen. – Większość ich historii opierała się na ustnych

przekazach. Potrafili jednak zapisywać liczby podczas spisów powszechnych czy poboru podatków.

– Mhm. – Formularze podatkowe nie interesowały młodej kobiety w najmniejszym stopniu.

Macy przeniosła wzrok na kolejną część ściany.

Nina wciąż przyglądała się znakom.

– Widziałam już kiedyś coś podobnego. Wydaje mi się, że oznaczają odległości i kierunki.

To zapis ich podróży do Paititi.

– I w inne miejsca – dodała coraz bardziej podekscytowana Macy, oświetlając kolejną scenę namalowaną nad niszą. – Spójrzcie na to!

Nawet Eddie był pod takim wrażeniem, że nie próbował ich poganiać.

Ktoś mówił, że El Dorado to mit?

Szczyty gór wznosiły się nad miastem, budynki, ustawione pozornie jeden na drugim, pięły się w górę, nad nimi stał pałac, a powyżej widniał kolejny dysk słoneczny, bardziej wymyślny niż ten na malowidle przedstawiającym Paititi, a nawet niż jego odpowiednik w Świątyni Słońca. Zarówno miasto, jak i podobizna boga miały kolor żółty... albo złoty.

– Czy to Punchaco? – spytała Nina. – Ten prawdziwy?

Osterhagen omal nie starł nosem wyblakłej farby.

– Tak! Tak! To musi być to! Spójrzcie na te drogie kamienie! Spójrzcie, jaki jest duży! – Nawet biorąc pod uwagę prymitywne zastosowanie perspektywy przez Inków, jasne było, że chcieli przedstawić dysk jako większy niż klęczące pod nim postacie. – Musiał być olbrzymi!

Nina ostrożnie zdmuchnęła kurz i pajęczyny, odsłaniając kolejne szczegóły. Z jednej strony miasta spływały bladobłękitne potoki zakończone chmurą, która z kolei przechodziła w krętą niebieską linię, z pewnością symbolizującą rzekę.

– Wodospad?

– Tak, to możliwe... – Niemiec przyglądał się scenie z szeroko otwartymi ustami. – I patrzcie na te jaguary. Zapewne symbolizują bogów strzegących miasta przed najeźdźcami. – Wskazał mały obrazek pomiędzy najniższym poziomem budynków a rzeką. Z jednej strony znajdowała się para eleganckich stylizowanych kotów, żółtych w czarne cętki. Siedzące zwierzęta z wyniosłością i pogardą przyglądały się dwóm postaciom, które zmywał kolejny wodospad; po ich prawej stronie przyczajony jaguar obserwował mężczyznę wspinającego się po stromych stopniach.

Nina nie patrzyła już jednak na malowidło. Kiedy nisza została lepiej oświetlona, okazało się, że nie jest całkiem pusta, jak sądziła. Za miejscem, w którym stała figurka, pod tumanami kurzu, znajdowało się coś jeszcze. Delikatnie potarła przedmiot palcem, wyczuwając zapleciony sznur, i powoli uniosła go w górę. W miarę jak opadał lepki pył, odsłaniały się kolejne kawałki kolorowego sznurka z wplecionymi w nie małymi węzłkami.

Loretta zrobiła zdjęcie.

– To kipu! – wykrzyknęła.

– Ostrożnie! – upomniał Ninę Osterhagen. – To wielka rzadkość, jest ich na świecie zaledwie kilkaset. Hiszpanie zniszczyli wszystkie, które wpadły im w ręce. – Doktor Wilde delikatnie odłożyła sznurki na miejsce.

– Co to jest kipu? – spytała Macy.

Choć Cuff mówił przez wybite zęby, w jego głosie wyraźnie brzmiała wyższość.

– Inkowie używali kipu do prowadzenia zapisów. Nazwa dosłownie oznacza „mówiące węzły”. Mieli bardzo skomplikowany system matematyczny pozwalający zapisywać liczby za pomocą różnych rodzajów węzłów wiązanych na sznurkach. Myślałem, że wszyscy to wiedzą, ale jak widać się myliłem. – Zachichotał, rozbawiony własną złośliwością.

Macy spiorunowała go wzrokiem.

– Ugryź mnie. A, zapomniałam, nie możesz.

Nina zdążyła już skupić uwagę na czymś innym. Pośrodku pałacu górującego nad malowanym miastem znajdowała się niewielka owalna przestrzeń... a w niej lustrzane odbicie przedmiotu, który już widziała.

– Trzecia figurka – to jej druga połowa – stwierdziła. – Jest w tamtym mieście – gdziekolwiek się ono znajduje.

– Na południowy zachód stąd? – głośno myślał Osterhagen. – W górach, czyli w Andach w północnym Peru. Wschodnia część łańcucha i obrzeża basenu Amazonki w tym rejonie to ostatnie tereny zajęte przez Inków przed najazdem Hiszpanów, najdalsze krańce imperium. I dobra kryjówka.

– Niewystarczająco dobra – stwierdziła Nina. – Najwyraźniej uznali, że konkwistadorzy ją odkryją, więc znów się przenieśli i dotarli przez dżunglę aż tutaj. W miejscu, gdzie w końcu mogli poczuć się bezpiecznie.

– Aż do teraz – niecierpliwie przerwał jej Eddie. – Jeśli zaraz się stąd nie ruszymy, będziemy mieli na karku połowę wenezuelskiej armii.

Osterhagen zaczął protestować.

– Ale musimy...

– Nie. Ruszamy. Koniec dyskusji. – Chase zdjął z ramienia AK-103, by dodać wagi swoim słowom. – Nina, pomogę ci spakować statuetki. Kit, Oscar, zaprowadźcie resztę do samochodów. Dogonimy was.

Kit także trzymał karabin w gotowości.

– Nie siedźcie tu za długo – powiedział, prowadząc pozostałych do wyjścia.

– Nie martw się, zaraz ruszamy. – Eddie przykucnął obok Niny, aby pomóc jej schować figurki do walizeczki.

– Jeszcze pięć minut by nas nie zabiło – zaprotestowała kobieta.

– Za to tych dwóch dupków związanych na zewnątrz zrobiłoby to na pewno, gdyby tylko mieli okazję – odciął się Chase. – I myślę, że następni też będą mieli taki zamiar, zwłaszcza że w grę wchodzi milion dolarów.

– Oscar powiedział, że zdążymy stąd uciec, zanim tu dotrą.

– Taa. Oscar powiedział też, że każde tym dwóm żołnierzom się poddać, i patrz, co z tego wyszło. – Dwie statuetki z Agencji wróciły na piankową podściółkę. – A co z tą, którą przed chwilą znaleźliśmy?

Nina zawahała się, świadoma hipokryzji tego, co zamierzała powiedzieć. Sama chciała opieprzyć Macy za rzucenie takiej propozycji dziesięć minut wcześniej. Usprawiedliwiła jednak swoją decyzję – przynajmniej przed sobą – faktem, że w tym przypadku zobowiązanie Agencji do utrzymania bezpieczeństwa na świecie przeważało nad innymi względami.

– Bierzemy ją – stwierdziła, wyjmując scyzoryk i wycinając w piance miejsce na fragment trzeciego posążka. – Nie wiem, do czego to doprowadzi, ale myślę, że jest ważna. – Zerknęła z powrotem na niszę. – Kipu też mogą być istotne. Leżały obok figurki, więc mogą być z nią powiązane. Nie chcę ryzykować, że dostaną się w łapy żołnierzy.

– Gdyby chcieli je stąd zwinąć, już by to zrobili – zauważył Eddie.

– Ale oni nie wiedzą o statuetkach tego, co my. – Nina starła kurz z niszy, odsłaniając pozostałą część kipu. Było dłuższe, niż się początkowo spodziewała, i zwinięte kilka razy.

– W moim plecaku powinny być torebki strunowe. Dasz mi jedną?

Mąż spełnił jej prośbę, a Nina delikatnie wsunęła kipu do torebki, wycisnęła z niej powietrze i zacisnęła zamknięcie.

– No dobrze – powiedziała, wkładając torebkę do walizeczki, zamykając ją i wkładając do plecaka. – Jestem gotowa.

– Czas najwyższy. Chodź.

Szybko wyszli na otwartą przestrzeń, minęli świątynię i zeszli po schodach na plac. Żołnierze nadal stali przywiązani do drzewa, a pozostali członkowie ekspedycji szli w stronę głównej bramy.

Znacznie wolniej, niż chciał Eddie.

– Co to ma być, pieprzony spacer? – warknął Chase. – Ej, wy tam, ruszcie dupy!

Słyszając jego krzyki, grupa przyspieszyła, ale tylko nieznacznie. Nina i Eddie zrównali się z pozostałymi jeszcze przed bramą.

– Niektórzy tutaj są ranni! – jęknął Cuff.

– Chyba nie chodzisz na ustach, co? – spytał Eddie bez cienia współczucia. – Oscar, a jak

z tobą?

Twarz Wenezuelczyka była ściągnięta w źle ukrywanym grymasie bólu. W przeciwieństwie do Amerykanina odniósł obrażenia, które naprawdę utrudniały mu poruszanie się – kopniaki żołnierzy mocno pogruchotały mu klatkę piersiową.

– Nic mi nie jest – mruknął. – Kiedy... – Przerwał i odwrócił głowę w stronę, z której nagle dobiegł hałas.

Eddie też go usłyszał, a raczej poczuł dudnienie. Natychmiast je rozpoznał.

– Cholera! Śmigłowiec!

Łoskot stał się głośniejszy i zmienił się w warkot wirników, kiedy helikopter przemknął nad ich głowami. Eddie wypatrzył go pomiędzy drzewami: był to rosyjski Mil Mi-17.

Na jego ogonie od brudnozielonego kamuflażu odcinały się żółty, niebieski i czerwony pas wenezuelskiej flagi. Śmigłowiec należał do wojska.

Wezwane przez żołnierzy wsparcie właśnie przybyło.

Za bramę! – wrzasnął Eddie. Grupa wciąż znajdowała się w obrębie grubych zewnętrznych murów Paititi. Wszyscy ruszyli biegiem, a Chase spojrział na Ninę. – Właśnie dlatego powinniśmy byli ruszyć pięć minut temu!

– Tylko mi nie mów, że to moja wina! – odrzyknęła mu żona. – Mówiłeś, że będą tu jechać, nie lecieć!

– A co ja jestem, pieprzona wyrocznia?

Dotarli do bramy. Przejście było wąskie, więc musieli ustawić się gęsiego. Helikopter zwolnił i zaczął schodzić niżej nad ziemię. Drzewa rosły zbyt gęsto, by mógł wylądować, nawet pośrodku osady.

– Zrzuci posiłki – ostrzegł Eddie, kiedy członkowie ekspedycji przedzierali się przez pozostałości warownego muru. – Nawet w tak gęstej dżungli będą w stanie zastrzelić was z odległości dwustu metrów, więc postarajcie się mieć za sobą jak najwięcej drzew. Oskar, zaprowadź wszystkich do samochodów. Kit, my będziemy osłaniać tyły.

– Nie podoba mi się to – przyznał nieszczęśliwy Hindus.

Nina też nie była zachwycona pomysłem.

– Co ty wyprawiasz?

Eddie wskazał na zaginione miasto.

– Za jakieś trzydzieści sekund postawią stopy na ziemi, w ciągu kolejnych trzydziestu żołnierze, których związaliśmy, zdążą powiedzieć im, że dopiero co daliśmy dyla za bramę. Musimy ich zatrzymać, dopóki nie dotrzecie do aut.

– Nie zostawimy was tu! – zaprotestowała.

– To będzie odwrót taktyczny, a nie walka do ostatniej krwi. Możesz, kurwa, wierzyć, że do was dołączymy. – Nina wciąż się wahała, więc uśmiechnął się do niej pokrzepiająco. – Damy sobie radę. Leć i do zobaczenia niedługo.

– Trzymam cię za słowo – odpowiedziała kobieta, uśmiechając się blado, i pobiegła za pozostałymi.

Eddie przez chwilę patrzył za nią, potem odwrócił się do Kita.

– Gotowy?

– Nie, ale to jakoś nigdy nie ma znaczenia. – Oficer Interpolu uśmiechnął się ponuro. – Co robimy?

– Celuj w bramę. Jak tylko ktoś się w niej pojawi, strzelaj. Chcemy zyskać na czasie, więc musimy ich zatrzymać najdłużej, jak się da.

– Strzelamy, żeby zabić?

– Oni nie będą nas oszczędzać.

Śmigłowiec wzniósł się wyżej i zaczął okrążyć teren.

– Dobra, są już na ziemi – stwierdził Eddie. – Jak tylko padną pierwsze strzały, wycofujemy się. Odbiegasz dwadzieścia, trzydzieści metrów, chowasz się za drzewem i osłaniasz mnie, kiedy będę biegł, potem ja będę krył ciebie.

– Dobra.

Skulili się za wałem ziemnym, jakieś sześćdziesiąt metrów od bramy. Eddie pomyślał, że ekipa musiała mieć wyjątkowego pecha – helikopter najwyraźniej akurat był w bazie, skoro tak szybko odpowiedział na wezwanie żołnierzy. Stanowił też dodatkowe zagrożenie – wprawdzie była to maszyna transportowa, nie szturmowa, ale mógł podążyć za uciekającymi terenówkami i podawać ich położenie.

Chase wycelował kałasznikowa w bramę. Kiedy żołnierze do niej dotrą?

Odpowiedź na to pytanie pojawiła się kilka sekund później. Pierwszy żołnierz ostrożnie wyjrzał za bramę... oddał dwa szybkie strzały. Pierwszy minimalnie chybił i odłupał kawałek ka-

miennego bloku. Eddie natychmiast poprawił cel, ale żołnierz zdążył już się schować.

– Ruszaj – nakazał Kitowi, który rozpoczynał odwrót. Eddie trzymał broń wycelowaną w bramę. Żołnierz pojawił się w niej ponownie i wystrzelił trzykrotnie z kałasznikowa. Kule wbiły się w ziemię przed Eddie. Schylił głowę i po chwili odpowiedział ogniem, ale ta chwila wystarczyła, by kolejni dwaj przebiegli obok towarzysza i skoczyli do rowu.

Żołnierz przy bramie znów wystrzelił, kule przeszły nad głową Chase'a. Ten odczołgał się do tyłu i machnął do Kita, żeby otworzył ogień. Wiedział już, że ucieczka będzie trudna.

Ale nie niemożliwa.

Kit wystrzelił kilka razy i Eddie szybko pobiegł do tyłu. Minął Hindusa i zatrzymał się dopiero, kiedy dotarł do kryjówki za oplecionym bluszczem pniem dużego drzewa. Na otwartym terenie nie było nikogo, ale z ruchu krzaków wywnioskował, że jeden mężczyzna czołga się wzdłuż rowu. Drugi prawdopodobnie też tam był, ale kierował się w drugą stronę. Rozdzielili się, żeby Chase'owi i Jindalowi trudniej było ich zatrzymać.

Nie posuwali się jednak naprzód. W tej chwili tylko to się liczyło. Dzięki temu Nina i pozostali zdążyli dotrzeć do samochodów.

– Kit! – krzyknął. Oficer Interpolu schylił się i ruszył biegiem. Eddie trzymał broń w gotowości...

Z bramy wybiegło kolejnych dwóch żołnierzy. Chase ponownie wystrzelił. Ktoś krzyknął, ale bardziej z zaskoczenia niż z bólu – chybił celu nieznacznie, może nawet go drasnął. Jeśli porządnie go wystraszył, mężczyzna straci zapał do ataku.

Musiał jednak zmierzyć się z co najmniej czterema innymi żołnierzami. Strzelił jeszcze raz, żeby nie próbowali się podnieść – i sam musiał się kryć, kiedy żołnierz w rowie otworzył ogień w trybie automatycznym. Pień eksplodował drzazgami.

Kit czekał ukryty za kolejnym drzewem. Eddie wystrzelił raz, potem schylił się i ruszył biegiem. Hindus wystrzelił kolejne kule, trafiając tylko w ziemię i drzewa, potem odsunął się, kiedy Eddie otworzył ogień osłaniający.

Mężczyzna przy bramie znów się pojawił. Eddie wymierzył w niego, ale szybko zmienił cel, kiedy zobaczył, że jeden z żołnierzy wstaje i wybiega z okopu. Chase dwa razy nacisnął spust i mężczyzna zwałił się na ziemię, krzycząc po hiszpańsku.

Gdyby wojskowi byli profesjonalistami, część z nich ruszyłaby na pomoc rannemu...

Oni jednak walczyli dla pieniędzy. Krzyki nie ucichły, ostrzał się nasilił, a wściekli Wenezuelczycy ruszyli naprzód. Eddie wystrzelił ponownie, kiedy kolejny żołnierz pobiegł w stronę jednego z drzew, ale dwaj inni zasypali go gradem kul i zmusili do ukrycia.

Wykonali jednak z Kitem swoje zadanie. Pozostali z pewnością docierali już do samochodów. Eddie zauważył, że helikopter wciąż krąży gdzieś w pobliżu, ale zignorował ten fakt. Czas się zbierać.

– Osłaniaj mnie, a potem uciekaj! – krzyknął do Kita, który znów otworzył ogień. Chase się schylił, ostrożnie pokonał odległość dzielącą go od przyjaciela, a kiedy się z nim zrównał, ruszył, ile sił w nogach. Kit strzelił ostatni raz i pobiegł za nim. Odprowadzał ich terkot kałasznikowów.

Ranny Valero spowolniał grupę. W pewnym momencie Wenezuelczyk chwycił się za żebra, a jego bieg przeszedł w ciężki, chwiejny chód. Nina zbliżyła się do niego.

– Leonard, pomóż mi go nieść!

– Nie. Biegnijcie dalej – wysapał Valero, kiedy Osterhagen zawrócił. – Jesteśmy prawie na miejscu. Ruszajcie!

Nina wsparła go z jednej strony, Niemiec z drugiej.

– Nie ma mowy. Trzymamy się razem – stwierdziła stanowczo.

Inny członek ekspedycji był odmiennego zdania. Cuff odłączył się od grupy i popędził naprzód w kierunku wału ziemnego.

– Day, poczekaj! – krzyknęła Loretta.

– Jeśli sam odjedzie jednym z samochodów, będzie potrzebował wielu innych lekarzy oprócz dentysty, kiedy z nim skończę – warknęła Nina.

– Pomogę ci – zadeklarowała Macy.

– On by tego nie zrobił – zapewnił je Osterhagen. – Myślę...

Macy pobiegła za Cuffem, a Nina i Osterhagen prowadzili Valero w górę zbocza. Kiedy znaleźli się na szczycie, Nina zauważyła czerwony rozbłysk pomiędzy liśćmi – światła jednego z land cruiserów. Osterhagen też je dostrzegł i poprowadził rannego w ich kierunku.

Cuff dotarł do najbliższej terenówki i szarpnięciem otworzył drzwi kierowcy. Nina spodziewała się, że wskoczy do środka, ale stanął nieruchomo przed samochodem.

– Zapalaj silnik! – wrzasnęła Macy, podbiegając do niego. – Dawaj...

Po czym sama ucichła i zamarła w bezruchu.

Nina zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak, ale było za późno, żeby cokolwiek zrobić – znajdowali się zaledwie kilkadziesiąt metrów od samochodów i nie mieli dokąd uciekać ani gdzie się ukryć.

Przeżrana Macy obejrzała się w jej stronę. Nina wiedziała już, dlaczego.

W land cruiserze ktoś był. Ale jak...

Helikopter. Przedtem nie zwracała na niego uwagi, bo skupiła się na odgłosach strzelaniny. Teraz jednak zrozumiała, co się stało. Jediną drogą ucieczki z Paititi była ścieżka drwali, więc śmiółowiec wysadził na niej kolejnych żołnierzy, żeby odciąć członkom ekspedycji drogę ucieczki.

Za drzew i krzewów wyłonili się mężczyźni z bronią wymierzoną w archeologów i ich przewodnika. Loretta krzyknęła. Jeden z żołnierzy pokazał palcem Valero, a potem wskazał na ziemię. Oscar rzucił broń.

Kolejny mężczyzna wysiadł z land cruisera. Był wysoki, miał dobrze ponad czterdzieści lat, ale mimo swojego wieku wciąż wyglądał przerażająco potężnie. Jego świeży, czysty oficerski mundur wyraźnie kontrastował z przeпоconymi mundurami polowymi jego ludzi. Przybysz chłodno spojrzał na Ninę i jej towarzyszy zza lotniczych okularów przeciwsłonecznych.

– Kim jesteście? – spytał po angielsku z silnym akcentem. – I co robicie w moich ruinach?

Eddie i Kit biegli przez dżunglę, nie zważając na gałęzie smagające ich po twarzach.

– Tam! – krzyknął Eddie, patrząc na ślady butów prowadzące na wzniesienie. – I zaraz...

Zauważył postacie stojące wokół terenówek.

Było ich zbyt wiele.

Instynktownie padł na ziemię, pociągając Hindusa za sobą, kiedy otwarto ogień z karabinów. Kule wbiły się w drzewa tuż nad nimi.

Ostrzał ustał. Eddie gestem nakazał Kitowi leżeć bez ruchu, a sam poczołgał się w bok, pod osłonę zwisających liści. Bardzo ostrożnie uniósł głowę i spojrzał przez listowie.

Pozostali członkowie ekipy klęczeli w szeregu przed samochodami, z rękami splecionymi za głowami. Nina znajdowała się pośrodku, pomiędzy Macy a Cuffem. Wyglądało na to, że nikomu nie stała się krzywda.

Na razie.

Za stojącą bliżej toyotą było widać mężczyznę w brązowym berecie, ale Eddie skupił uwagę na dowódcy – wenezuelskim oficerze w okularach przeciwsłonecznych, stojącym za więźniami z jedną ręką na kaburze mieszczącej automatyczny pistolet.

– Rzućcie broń i ręce nad głowę! – krzyknął mężczyzna.

– Co robimy? – wyszeptał Kit.

Przeciwnik miał przewagę liczebną, im kończyła się amunicja, a w sytuacji, kiedy zakładnicy byli trzymani na muszce, a kolejni żołnierze zbliżali się do nich od tyłu, szanse na wyeliminowanie Wenezuelczyków bez ciężkich strat były niemal zerowe.

– Musimy się poddać – niechętnie odpowiedział Eddie. Hindus wyglądał na przerażonego.

– Wiem, kiepska sprawa. Ale jeśli nie...

Oficer znów się odezwał:

– Jeśli się nie poddadacie, zanim doliczę do trzech, zabiję jednego z waszych przyjaciół! –

Chase znów spojrzał między liśćmi i włosy mu się zjeżyły. Mężczyzna wyciągnął pistolet i stanął za Niną. Zaczął liczyć, prawie nie robiąc przerw.

– Jeden, dwa...

– Nie! – wrzasnął Eddie, rzucając kałasznikowa na ziemię i zrywając się na nogi z rękami

uniesionymi do góry. Kit zrobił to samo.

Mężczyzna przez chwilę przyglądał im się zza okularów. Nikt się nie ruszył. Po chwili...

– Trzy.

Nacisnął spust.

Kula z bliska wbiła się w czaszkę Cuffa, przebijając się przez kości i roztrzaskując je na kawałki. Jeden z odłamków wyleciał z prawego oczodołu z okropnym czerwonoszarym rozbryzgiem. Cuff padł martwy w kałuży krwi.

Ninę niemal całkowicie ogłuszył wystrzał, który rozległ się zaledwie pół metra od jej głowy. Dzwonienie w uszach stopniowo ucichło, ale zastąpił je inny dźwięk. Wrzask. Loretta histerycznie zawodziła, patrząc na ciało Cuffa. Pozostali więźniowie także byli w szoku.

Oficer gestem wydał rozkazy swoim ludziom. Trzymając Eddiego i Kita na muszce, mężczyźni podnieśli porzucone AK-103, po czym zaprowadzili więźniów do swojego dowódcy. Chase zauważył trzy złote gwiazdki na jego pagonach. Mężczyzna posiadał jeden z najwyższych stopni w wenezuelskiej armii – był generałem dywizji. Zdjął okulary przeciwsłoneczne, odsłaniając wąskie, ciemne, prawie niemrugające oczy.

– Jest was więcej? – zapytał.

– Nie – odpowiedział Eddie.

– Jeśli kłamiesz, zabiję was wszystkich. Zaczynając od niej. – Lufą pistoletu wskazał Ninę, która z przerażeniem spojrzała na męża.

– To już wszyscy. Mówię prawdę – powtórzył Chase.

Oficer przyglądał mu się przez kilka sekund, w końcu, usatysfakcjonowany, odwrócił od niego wzrok i przeniósł go na Loretę, która w dalszym ciągu płakała.

– Rojas – powiedział do stojącego nieopodal sierżanta. – Ucis� ten hałas.

Rojas podszedł do Loretty i bezlitośnie uderzył ją pięścią w twarz, powalając na ziemię.

– Ty skurwysynu! – krzyknął Eddie i rzucił się na niego. Błyskawicznie miał wbite w klatkę piersiową dwie lufy kałasznikowów, po chwili dostał cios w tył głowy lufą kolejnego karabinu. Jęcząc z bólu, opadł na kolana.

Odezwał się mężczyzna stojący za land cruiserem.

– Zawsze lubiłeś się bawić w rycerza na białym koniu, co... Chase?

Zszokowany Eddie uniósł głowę. Znał ten głos. Mężczyzna zrobił kilka kroków i stanął przed mężem Niny, uśmiechając się kpiąco.

Był to Alexander Stikes.



Znasz tego gościa? – spytała Nina z niedowierzaniem.

– Niestety, tak – przyznał Eddie. – To kompletnie pojębany dupek. Nazywa się Stikes.

– Alexander Stikes – dodał tamten, przedstawiając się Ninie z udawaną grzecznością. – Były oficer SAS. Miałem wątpliwy zaszczyt dowodzić obecnym tu kapralem Chasem.

Eddie rzucił mu złośliwy półuśmiech.

– Dopóki przeze mnie nie wyleciał.

Stikes uśmiechnął się szyderczo.

– Nie pochlebiaj sobie. Moje przeniesienie z powrotem do macierzystego pułku nie miało nic wspólnego z tym żalosnym dochodzeniem, które ustawił McCrimmon.

– Ale uniemożliwiło ci awans, prawda? Nic tak nie rujnuje kariery, jak mordowanie cywiliów.

– Ty sam zrujnowałeś swoją, uderzając wyższego rangą oficera. Przyznaję z żalem, że zwykła degradacja nie była wystarczającą karą, ale uratował cię fakt, że byłeś chłopcem na posyłki McCrimmona. – Mężczyzna powoli okrążył Eddiego. – Przytyło ci się, Chase. Dwa małżeństwa trochę cię rozleniwiły. Jak się miewa twoja była szacowna małżonka?

– Nie żyje. Ty też będziesz martwy, kiedy z tobą skończę. Szpiegowałeś mnie na Facebooku, co?

– Nie traciłem z oczu przeciwnika. Chociaż muszę przyznać, że trochę się zdziwiłem, słysząc twój paskudny akcent, kiedy sygnał SOS dotarł do bazy. Z drugiej strony, nigdy nie potrafiłeś trzymać języka za zębami.

Wenezuelski generał niecierpliwie machnął ręką.

– Dosyć tego. Rozumiem, że znasz tego człowieka, ale musimy się dowiedzieć, kim są pozostali, co wiedzą o zaginionym mieście i komu o nim powiedzieli.

Stikes przesunął dłonią po policzku Niny. Kobieta odsunęła się gwałtownie, a Eddie rzucił mu mordercze spojrzenie.

– Ponieważ znam Chase'a, wiem też, kim jest ona. Panie Salvatore, mamy tu prawdziwą gwiazdę. To Nina Wilde.

Generał rozpoznał to nazwisko i uniósł brwi.

– Ta, która znalazła Atlantyde?

– Nie inaczej. I zdaje się, że nie spoczęła na laurach. Ma pecha, że wy pierwsi odkryliście to miejsce. – Odsunął się. – Przeszukać ich.

Trzej żołnierze przeszli wzdłuż szeregu, brutalnie odbierając więźniom ich rzeczy i rzucając je na ziemię. Stikes zaczął przeglądać paszporty i portfele.

– Ma pan nade mną przewagę – powiedziała Nina do generała, usiłując zachować pozory spokoju. – Zna pan moje nazwisko. A kim pan jest?

– Ja go znam – cicho odpowiedział Valero, jakby ujawniał wielką tajemnicę. – To generał Callas. – Spojrzał oficerowi w oczy. – Podobno jesteś najwierniejszym sojusznikiem prezydenta Suarez, jego najbliższym przyjacielem! Dlaczego nie powiedziałeś mu o tym miejscu?

Callas zacisnął usta, słysząc wzmiankę o Suarezie, ale nie odpowiedział Oscarowi. Zwrócił się za to do Niny:

– Generał Salvatore Delgado Callas – przedstawił się. – Podałbym pani rękę, ale nie sądzę, żeby zechciała ją pani uściśnąć.

– Ma pan rację – odpowiedziała. Mężczyzna wydawał się rozbawiony jej postawą.

Stikes podniósł portfel Niny.

– Proszę, proszę, co my tu mamy! – powiedział z przesadną wesołością, wyjmując z niego wizytówkę, którą kobieta dostała od Larry'ego Chase'a, i złośliwie uśmiechając się do Eddiego.

– Jak tam stosunki z tatusiem, Chase? Dalej dąsaszesz się na niego za dmuchanie innych kobi-

tek za plecami mamusi?

Eddie nie odpowiedział, ale mocno zacisnął zęby. Stikes zachichotał zadowolony, że trafił w czuły punkt, otworzył metalową walizeczkę wyjętą z plecaka Niny i spojrzął na trzy statuetki.

Callas przykucnął, by się im bliżej przyjrzeć i postukał w połowę figurki.

– Ta była w ruinach – stwierdził zaskoczony. – Ale te dwie pozostałe...

– Nie zabrał jej pan? – spytał Stikes.

– Nie była złota ani srebrna. To tylko kawałek kamienia. W dodatku przecięty! Jest bezwartościowa.

– Najwyraźniej nie – stwierdził Stikes, badawczo patrząc na Ninę. Uważnie przyjrzał się też schowanemu w torebce kipu, potem wrócił do przeglądania rzeczy pozostałych członków ekipy. Jako ostatni obejrzał portfel Kita. Kiedy przeczytał legitymację Hindusa, spojrzął na niego ze zdziwieniem.

– Interpol? Interesujące. – Uśmiechnął się lekko z własnego żartu. – A czemuż to szef Wydziału ds. Przestępstw Przeciwko Dobrom Kultury włóczy się po dżungli?

– Interpol? – spytał zaniepokojony Callas. Wycelował pistolet w Kita. – Komu powiedzieliście o tym miejscu?

– Wszystkim – odpowiedział Eddie.

– Nikomu – jednocześnie odezwał się Stikes. – Gdyby powiadomili kogokolwiek, Suarez już dawno kazałby pana aresztować.

– W takim razie musimy się upewnić, że nikomu nie powiedzą. – Callas zrobił krok w tył i skinął głową Rojasowi. Loretta znów zaczęła płakać i się trząść. Żołnierze unieśli broń.

Stikes podniósł dłoń, jakby zamierzał zaprotestować, ale Eddie odezwał się pierwszy.

– Jeśli nas zabijecie, nigdy nie znajdziecie prawdziwego skarbu w El Dorado.

– Eddie! – przerwała mu Nina.

Callas się roześmiał.

– To tu jest El Dorado. Zaginione złote miasto!

– Gdybyś był archeologiem, wiedziałbyś, że to nieprawda. To miasto nazywa się Paititi. Nie zwróciłeś uwagi na nic oprócz złota, co?

Eddie nie spuszczał wzroku z Callasa. Stikes z kolei uważnie przyglądał się Chase'owi.

– Panie Salvatore... Możliwe, że on mówi prawdę.

– Co takiego? – spytał Callas.

– Chase bardzo się stara chronić tak zwanych niewinnych, więc jest skłonny powiedzieć wszystko, byle ich uratować... ale z natury nie jest kłamcą. Brutalna, prostacka szczerłość to jedna z jego podstawowych cech. – Mężczyzna spojrzął w stronę ruin. – Niewykluczone, że naprawdę znaleźli coś jeszcze, zwłaszcza biorąc pod uwagę talent jego żony do odkrywania zaginionych cywilizacji.

Callas stanął przed Niną. Nadal trzymał w dłoni pistolet.

– W takim razie wystarczy, jeśli zostawimy przy życiu jednego archeologa, tak?

Kobieta spiorunowała go wzrokiem.

– Jeśli skrzywdzisz kogokolwiek z pozostałych, w życiu nic ci nie powiem.

Generał wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu.

– Owszem, powiesz. Mogę ci to obiecać.

Z dżungli dobiegł hałas – ryk pracującego na wysokich obrotach silnika – i po chwili zobaczyli wojskową ciężarówkę podskakującą na wyboistej ścieżce. Eddie napiął mięśnie, gotów wykorzystać nieuwagę żołnierzy, ale po chwili poczuł na plecach lufę kałasznikowa – jego strażnicy to przewidzieli.

Kierowca wydawał się za to zaskoczony ich widokiem – najwyraźniej ciężarówka ruszyła, zanim do bazy dotarł sygnał SOS. Pojazd zatrzymał się na polanie. Generał wydał rozkaz i ciało Cuffa wrzucono na pakę jak worek śmieci.

Callas odwrócił się do Niny.

– Chyba jednak przydadzą mi się twoi przyjaciele – stwierdził i strzelił palcami. Wojskowi wyprężyli się na baczność. – Zabrać ich do miasta.

Callas postanowił wykorzystać ich do niewolniczej fizycznej pracy przy przenoszeniu swojego najcenniejszego łupu. Więźniowie stali na placu wciąż trzymeni na muszce, a część wojskowych weszła do Świątyni Słońca, by dokończyć montowanie cennej zdobyczy. Dwutonowy złoty dysk został zdjęty ze ściany za pomocą dźwignika i ustawiony między podpórkami na zbudowanym specjalnie w tym celu wózku.

Kiedy się na nim znalazł, odkrywców zmuszono do pomocy w pchaniu wózka z ciężkim ładunkiem do szczytu schodów. Inni żołnierze zbijali w tym czasie prowizoryczną rampę z grubych desek, która miała umożliwić zjazd na plac. Tam drzewa rosły na tyle rzadko, że można było unieść ładunek w powietrze śmigłowcem, nie ryzykując uszkodzeń. Callas stał nieopodal, obserwując powolny transport dysku.

Stikes zniknął w pałacu. Kiedy z niego wyszedł, trzymając w rękach aparat Loretty, miał jeszcze bardziej zamyśloną minę.

– Myślę, że Chase mówił prawdę – powiedział generałowi. – Na jednej ze ścian znalazłem malowidło przedstawiające chyba ucieczkę Inków przed Hiszpanami. Nie jestem ekspertem od inkaskiej historii, ale... – dodał, wskazując Ninę – znam kogoś, kto jest.

– I ona może powiedzieć nam, jak znaleźć El Dorado? – spytał Callas.

– Jestem pewien, że tak. Jeśli tylko odpowiednio ją zachęcimy.

Oficer skinął głową.

– Zachęcimy. Ale po zakończeniu operacji. Ona ma pierwszeństwo.

– Ależ oczywiście. To dlatego tu jestem.

– Właśnie, dlaczego tu jesteś, Stikes? – spytał Eddie, który wraz z pozostałymi z wysiłkiem pchał wózek w stronę rampy. – Nosisz podróbkę beretu SAS, więc domyślam się, że udajesz żołnierza.

– Ściśle rzecz biorąc, zajmuję się tym samym, co do niedawna ty, jeśli wierzyć pogłoskom. Świadczę prywatne usługi wojskowe.

– Jesteś najemnikiem? – spytała Nina z dezaprobatą.

– Jak wszyscy. Każdy z nas sprzedaje swoje umiejętności tym, którzy ich potrzebują. Ja akurat specjalizuję się w rozwiązywaniu konfliktów. Moja firma nazywa się 3S – Stikes Security Solutions...

– A nie Słodki Sen Skurwysyna? – przerwał mu Chase.

Stikes powalił go na kolana mocnym kopniakiem. Strażnicy szybko zbliżyli się z odbezpieczonymi karabinami, żeby powstrzymać obolałego Eddiego przed atakiem.

– Jak mówiłem – ciągnął dalej Stikes, jakby nic się nie stało – moja firma prosperowała nieźle, wykorzystując możliwości, jakie dawała sytuacja w Afganistanie i Iraku. Ale teraz się tam zmieniało i nadszedł czas, by poszukać nowych rynków. – Skinął głową w stronę Callasa. – I nowych klientów.

– W Wenezueli nie ma konfliktów – stwierdził Valero. – Walczymy tylko z imperialistyczną agresją.

Callas zaśmiał się sarkastycznie.

– To się nazywa zapał nowicjusza! Kim byłeś, zanim założyłeś ten śmieszny mundur? Parobkiem na farmie? Żebrakiem w *barrios*? Nie masz pojęcia, co się naprawdę dzieje w tym kraju.

– Ale ma trochę racji – stwierdził Stikes. – Kiedy skończymy, w Wenezueli żadnych konfliktów nie będzie.

Generał znów się roześmiał.

– To fakt.

– Kiedy skończycie co? – spytał Eddie.

Na to pytanie nie dostał jednak odpowiedzi. Callas podszedł do schodów, kiedy jeden z żołnierzy krzyknął coś z dołu. Rampa była gotowa. Generał wydał kolejne rozkazy i przyniesiono łańcuchy, które zostały przymocowane do wózka i owinięte wokół grubych kamiennych filarów stojących u szczytu schodów tak, by robotnicy mogli powoli opuścić dysk słoneczny na plac. Członkom grupy, którzy nie palili się do tej pracy, wytłumaczono bardzo dobitnie, że jeśli wózek się zerwie, a znajdujący się na nim ładunek ulegnie uszkodzeniu, wszyscy zostaną zastrzeleni.

Po dziesięciu minutach wysiłków szesnastu osób usiłujących utrzymać ciężki inkaski skarb na pochyłości, dysk słoneczny bezpiecznie zjechał z rampy. Eddiego bolały ramiona, nie spuszczał jednak oka ze Stikesa i Callasa. Wiedział, że kiedy złoty artefakt zostanie przewieziony na polanę i umieszczony w skrzyni do zabrania przez helikopter, jedynym członkiem ekspedycji, którego wojskowi będą potrzebować żywego, będzie Nina. Musieli wykorzystać każdą, nawet najmniejszą szansę ucieczki.

Jednak choć większość żołnierzy pomagała w transporcie dysku, przez cały czas pilnowało ich czterech strażników z kałasznikowami, poza tym i Callas, i Stikes byli uzbrojeni – najemnik miał w kaburze na biodrze lśniący niklowany pistolet automatyczny jericho 941, izraelską broń wzorowaną na swoim większym i słynniejszym kuzynie, desert eagle. Skrzynia była już niedaleko, dotarcie do niej mogło zająć zaledwie kilka minut.

Nie zostało wiele czasu. Musiał istnieć jakiś sposób, by wyrwać się na wolność.

I chyba właśnie go odkrył.

W błocie obok namiotu nadal widać było ślady walki Eddiego z żołnierzem. Będą pchać wózek tuż obok...

– Dalej! – warknął Callas, wskazując na koniec placu.

Wszyscy wrócili na stanowiska: Kit, Osterhagen, Becker i Loretta trzymali łańcuchy zabezpieczające dysk słoneczny, Eddie, Nina i Macy pchali wózek, obu grupom pomagali żołnierze. Szerokie opony wózka piszczwały i wybrzuszały się pod olbrzymim ciężarem, kiedy centymetr po centymetrze posuwali się po nierównym kamiennym bruku.

Kiedy byli już blisko błotnistej kałuży, Eddie szepnął do Niny:

– Za chwilę spróbuję coś zrobić. Jeśli mi się uda, uciekaj.

– Co z resztą?

Nie mógł mówić głośniej – ryzyko, że ktoś go usłyszy, było zbyt duże.

– Miejmy nadzieję, że szybko załapią, o co chodzi. Bądź gotowa, kiedy będziemy mijać to błoto.

Grupa trzymająca łańcuchy już starała się skierować dysk tak, by uniknąć przeszkody. Eddie spojrzął w stronę kałuży, kiedy wózek przejeżdżał obok niej.

Nóż, który wytrącił żołnierzowi, nadal leżał tam, gdzie upadł, niemal całkowicie zatopiony w gęstej brązowej mazi.

Chase zmienił pozycję, odsuwając nogi od wózka. Do celu miał jeszcze tylko kilka kroków. Zerknął w bok, na najbliższego strażnika. Jeśli żołnierz zauważy, co robi...

Ostatni krok...

Postawił prawą stopę w błocie – i wyczuł nóż pod podeszwą.

Teraz!

Eddie udał, że się poślizgnął i przesunął drugą stopą po błocie. Prawą stopę przesunął mocno do przodu, żeby odzyskać równowagę, i pociągnął nóż za sobą.

Wiedział, że strażnik zauważyłby, gdyby próbował podnieść broń, więc zamiast tego jeszcze raz pchnął ją do przodu i mocno nacisnął czubkiem buta na rękojeść tak, że ostrze skierowało się ku górze...

Prosto w jedną z opon.

Nóż przebił gumę, kiedy wózek po nim przejeżdżał. Opona eksplodowała z hukiem głośnym jak wystrzał, a dwa pozostałe koła z tego boku ugięły się pod nagłym dodatkowym obciążeniem.

Wózek stracił równowagę i przewrócił się na bok.

Eddie i Nina odskoczyli...

Jeden z żołnierzy potknął się i upadł obok wózka. Jego paniczny krzyk nagle umilkł, kiedy spadł na niego dysk słoneczny i dwie tony metalu sprasowały go, rozbryzgując wokół krew i błoto.

– Uciekajcie! – wrzasnął Chase, powalił jednego ze strażników i biegiem ruszył w stronę najbliższej uliczki.

Nina ruszyła za nim, ale kolejny żołnierz zastąpił jej drogę. Próbowała go wyminąć, ale pośliznęła się w błocie i oboje upadli.

Macy powiodło się jeszcze gorzej. Instynktownie odskoczyła przed spadającym dyskiem i zderzyła się z żołnierzem idącym za nią. Zanim udało jej się wyrwać, mężczyzna powalił ją na ziemię.

Jeśli chodzi o pozostałych członków ekipy, Osterhagen i Loretta byli zbyt zaskoczeni, żeby w ogóle myśleć o ucieczce, i tylko się odwrócili, zdziwieni i zagubieni. Kit, wciśnięty między dwóch żołnierzy, pokonał zaledwie kilka metrów, zanim został złapany. Tylko Beckerowi udało się wyrwać – odepchnął z drogi żołnierza i pobiegł w stronę głównej bramy...

– Zatrzymać go! – ryknął Callas po hiszpańsku. Strażnicy szybko chwycili za broń i wymierzili w tyczkowatego Niemca. Mężczyzna kluczył desperacko, uciekając przed wbijającymi się coraz bliżej pociskami.

Jeden z nich trafił go w udo, wrywając w nim głęboką ranę. Becker upadł.

Stikes mierzył w inny cel – szybko wyrwał jericho z kabury i obrócił się za bieżącym Ediem. Wystrzelił, ale Chase zdążył schronić się za drzewem i pocisk wbił się w pień. Stikes zaklął i przesunął się, żeby zyskać lepszą pozycję do strzału.

Za późno. Eddie zniknął między dwoma budynkami, druga kula trafiła tylko jego cień. Najemnik syknął z irytacją i pobiegł za nim.

Eddie uświadomił sobie, że zmierza w stronę miejsca, w którym wydostał się z zagłębienia. Dawało mu to niewielką przewagę – znał teren. Czy mógłby gdzieś tutaj zastawić pułapkę?

Tak. Jeśli nie oberwie w plecy, zanim tam dotrze.

Rozgarniał gałęzie, kierując się po swoich śladach odcisniętych w błocie. Słyszał, jak Stikes biegnie za nim, rytmicznie dudniąc ciężkimi butami po wąskiej uliczce. Był coraz bliżej. Wyższy i szczuplejszy oficer zawsze był szybszy, a choć obaj mężczyźni zachowali sprawność po odejściu z SAS, Eddie większą część ostatnich pięciu lat spędził w biurze. Wystrzał z pistoletu odbił się echem w starożytnym mieście i kolejna kula rozłupała ścianę za nim. Jakimś cudem udało mu się jeszcze trochę przyspieszyć i skręcić za następny róg...

Zobaczył przed sobą zawaloną część muru, ale interesowały go tylko pnącza i bluszcz zwieszające się ze ściany o kilka metrów od niego, niemal całkowicie zasłaniające zejście na niższy poziom.

Skoczył między pnącza, przetoczył się i zajął pozycję przy niskim otworze. Przechodząc, zerwał część roślin – wiedział, że jeśli Stikes zauważy otwór i przejrzy jego plan, natychmiast zakończy sprawę kilkoma kulami zza zielonej zasłony.

Kroki. Najemnik dotarł do rogu. Podszedł bliżej. Zwolnił.

Eddie wyjrzał przez liście. Stikes powoli się zbliżał. Eddie napiął mięśnie w oczekiwaniu na najbardziej stosowną chwilę do ataku lub... ucieczki. Czy Stikes zauważył tunel, czy...

Mężczyzna przeszedł obok. Nie dostrzegł wejścia i skierował się ku drzwiom stojącego nieopodal zrujnowanego budynku. Za kilka sekund zorientuje się jednak, że w środku nikogo nie ma...

Eddie wyskoczył spomiędzy pnączy.

Stikes odwrócił się, słysząc trzask łamanych gałęzi, a Chase pchnął go na mur. Mężczyzna wystrzelił, ogień z lufy osmalił rękaw skórzanej kurtki Eddiego, który w odpowiedzi chwycił przeciwnika za nadgarstek i uderzył jego ręką o ostrą krawędź kamiennego bloku. Stikes stłumił jęk bólu i wypuścił pistolet. Eddie przycisnął go ramieniem do muru i sięgnął po leżący na ziemi jericho...

Stikes kopnął kolanem, trafiając go w bok i wytrącając z równowagi. Wywinął się Chase'owi i rzucił na niego, próbując złapać za szyję.

Eddie wyprowadził cios stopą i trafił przeciwnika w kolano. Żołnierz zachwiał się, a potem głośno jęknął, kiedy Chase wbił mocno pięść w jego brzuch, poprawił kolejnym uderzeniem w to samo miejsce i ciosem podbródkowym w szczękę. Stikes padł na mur, krwawiąc z ust.

– Zawsze wiedziałem, że pieprzony Rupert z ciebie – warknął Eddie, wyśmiewając w wojskowym slangu nieprzydatnego wyższego rangą oficera. Zamachnął się do nokautującego ciosu. – W prawdziwej walce nie wygrasz...

Dwaj żołnierze Callasa wybiegli zza rogu, wymierzając w niego AK-103...

Eddie odciągnął Stikesa od ściany i pchnął w kierunku wojskowych. W ciasnym zaułku nie

mogli zacząć strzelać, nie ryzykując trafienia go. Dzięki temu Eddie mógł pobiec w przeciwnym kierunku.

Stikes otrząsnął się z zamroczenia.

– Na co czekacie? – krzyknął po hiszpańsku, odsuwając się żołnierzom z linii strzału. – Zastrzelcie go!

Otworzyli ogień w momencie, kiedy Eddie dotarł do zawalonego muru i skoczył z rozbiegu w rozciągającą się za nim dżunglę.

Znalazł się kilkanaście metrów nad ziemią, a impet upadku mogły powstrzymać jedynie gałęzie pobliskiego drzewa. Liście smagały go po twarzy, kiedy leciał z szeroko rozłożonymi rękami.

Mocno uderzył w wilgotne drzewo, trafiając klatką piersiową w konar. Przez chwilę nie mógł złapać tchu, ale udało mu się uchwycić gałęzi. Wokół zapanował chaos – dziesiątki małych, jaskrawo upierzonych ptaszków wzbity się do góry, piszcząc i świergocząc w panice. Gałąź sprężynowała, jakby chciała go zrzucić, ale udało mu się na niej utrzymać.

Spojrzał w dół, szukając drogi zejścia, ale drzewo ułatwiło mu zadanie. Gałąź pękła. Eddie runął w dół i zatrzymał się na pnączach zwisających z pnia.

Przygotował się na uderzenie...

Mniejsze gałęzie częściowo zamortyzowały upadek, ale też rozdarły mu ubranie i pokaleczyły go w kilku miejscach. Udało mu się odrzucić głowę w bok w samą porę, by uniknąć oślepienia przez kawałek konara, który rozciął mu policzek.

Z góry dobiegły trzaski. Liany zaczynały pękać. Chase próbował się czegoś uchwycić, ale kolejne gałęzie łamały się pod jego ciężarem.

Znow zaczął spadać, uderzył w załom w powykrzywianym pniu, odbił się od niego i z głośnym pluskiem wylądował na zarośniętym bagnistym gruncie. Zignorował ból i, przedzierając się przez poszycie, poczołgał się z powrotem do drzewa.

Wyżej dwaj żołnierze dotarli do zawalonego muru i wyrzeli w dżunglę. Ptaki jak oszalałe przelatywały między gałęziami, a z drzewa, które jeszcze nie przestało się trząść, sypały się liście jak zielone płatki śniegu. Nie było śladu po zbiegłym więźniu.

Stikes odepchnął ich na bok.

– Dawaj to! – warknął, wrywając kałasznikowa jednemu z mężczyzn. Wymierzył broń w drzewo, na którym nie zobaczył ani śladu dawnego podwładnego, potem w ziemię.

Dostrzegł ruch w krzakach...

Otworzył ogień w chwili, kiedy Eddiemu udało się znaleźć osłonę. Kule jedna za drugą wbiły się w drzewo, rozbryzgując korę i drzazgi. Jednak cel kulił się teraz po drugiej stronie pnia, osłaniany przez ponad półmetrową warstwę drewna. Stikes wystrzelił ostatnie naboje z magazynka, potem zirytowany wepchnął karabin z powrotem w ręce właściciela.

– Wracać do Callasa.

Drugi żołnierz nadal trzymał broń wycelowaną w drzewo.

– Możemy zejść na dół i go znaleźć.

– Nie – powiedział Stikes. – Musimy wywieźć stąd dysk. Chodźcie. – Zawrócił, podnosząc po drodze karabin. Żołnierze ruszyli posłusznie za nim.

Eddie siedział za drzewem, starając się nie oddychać i zastanawiając się, czy ścigający go żołnierze mierzą z karabinów w jego kryjówkę. Po minucie zaryzykował i wyrzwał zza pnia. Na górze nie było nikogo.

Podniósł się obolały i próbował wymyślić najszybszy sposób powrotu do ruin. O wspinaczce na klif nie było mowy. Z miejsca, gdzie stał, droga byłaby zdecydowanie zbyt długa. Ruszył przed siebie, kulejąc, kiedy usłyszał warkot helikoptera zbliżającego się do zaginionego miasta.

– Zabiłeś go? – Głośno spytał Callas, kiedy Stikes i żołnierze wrócili na plac.

– Nie. Wymknął się nam – odpowiedział Anglik.

– Pozwoliłeś mu uciec?

– Nie odejdzie daleko. Dopóki ich mamy. – Najemnik wskazał więźniów. Wszystkich, poza rannym Beckerem, zapędzono z powrotem do pracy. – Będzie próbował ich odbić. Powinniśmy ruszyć, zanim to zrobi.

Generał uśmiechnął się drwiąco.

– Boisz się go?

– Ani trochę – warknął Stikes, ocierając krew z ust. – Ale jeśli zostawimy go tutaj, będzie musiał skierować się do jednego z dwóch miast, a w obu mogą czekać na niego pańscy ludzie. – Spojrzał na zbryzgany krwią dysk słoneczny, znowu ustawiony na wózku. – Kiedy przyleci po niego śmigłowiec?

– Za kilka minut.

– Dobrze. Proszę wysłać dwóch mężczyzn do pilnowania samochodów, bo może próbować je porwać lub uszkodzić. Pozostali niech pomogą w jak najszybszym załadunku dysku do helikoptera. Kiedy odleci, rozpoczynamy ewakuację.

Wenezuelczyk napiął się, kiedy uświadomił sobie, że najemnik mu rozkazuje, ale wydał odpowiednie polecenia. Dwaj żołnierze pobiegli w stronę głównej bramy, pozostali robili, co mogli, by złoty dysk poruszał się jak najszybciej. Po chwili dotarli do skrzyni. Po kolejnych kilku minutach wysiłków bezpiecznie opuścili artefakt do środka. Mil krążył już nad placem, opuszczając stalowe liny. Część żołnierzy przymocowała je do skrzyni, pozostali znów wycelowali broń w więźniów. Po minucie jeden z wojskowych dał Callasowi znak, że wszystko gotowe.

– Do góry z nim! – krzyknął zniecierpliwiony generał, machając do helikoptera.

Mi-17 zwiększył moc do maksimum, silniki zawyły pod dodatkowym obciążeniem. Skrzynia nieco uniosła się z ziemi. Przez chwilę kołysała się z boku na bok kilkanaście centymetrów nad brukiem i wydawało się, że pozostanie na tej wysokości, potem powoli zaczęła się unosić.

Callas z zadowoleniem przyglądał się, jak śmigłowiec unosi w górę cenny ładunek. Kiedy skrzynia znalazła się nad drzewami, Mil bardzo powoli obrócił się ku północnemu zachodowi i skierował do bazy wojskowej. Helikopter i jego ładunek zniknęli za dżunglą.

Teraz to Stikes się zniecierpliwiał.

– Czas ruszać – stwierdził. Spojrzał na więźniów. – Co z nimi?

– Zabierzemy ich ze sobą – zdecydował Callas. – Nie chcę, by ktokolwiek wiedział, że tu byliśmy.

– Zostawicie tu tyle dziur po kulach, że będzie trudno to ukryć – stwierdziła Nina pogardliwie. – Nie mówiąc już o waszym sprzeczcie, no i o Panu Naleśniku – dodała, wskazując, gdzie pechowy żołnierz został zmiażdżony przez dysk słoneczny.

– Potem przyślę więcej ludzi, żeby tu posprzątali – odpowiedział generał. Ruszył w stronę bramy, gestem nakazując swoim ludziom zaprowadzić tam odkrywców. Beckera na miejsce wlokło dwóch żołnierzy. – Dziury po kulach to dziury po kulach. Mógł je zrobić każdy. Co innego ciała archeologów, których pobyt w kraju został zgłoszony... gdyby znaleziono je tutaj, trudno byłoby to wytłumaczyć. – Nagle w jego głosie zabrzmiało sadystyczne okrucieństwo. – Ale tam, gdzie was zabierzemy, nikt was nie znajdzie.

Nina, choć zgrywała odważną, poczuła strach.

Eddie wspiął się po zewnętrznym murze, przez który pierwszy raz dostał się do miasta, uważnie przyjrzał się stojącym poniżej budynkom, zszedł po zawalonych schodach i ruszył w kierunku placu. Poruszał się bardzo ostrożnie. Był pewien, że ludzie Callasa będą go szukać. Tym bardziej zaniepokoiło go, że po drodze nie zauważył żadnych strażników.

Wyrzwał zza muru na plac. Nikogo na nim nie było. Ani żołnierzy, ani Callasa i Stikesa, ani Niny i pozostałych członków ekspedycji.

Ani dysku słonecznego.

Callas zdobył to, po co przyjechał – złoty artefakt został zabrany przez helikopter. Eddie przeskoczył przez mur i przebiegł przez plac. Odcisnięte w pyle ślady prowadziły do głównej bramy. Były pomiędzy nimi mniejsze odciski kobiecych butów – znak, że Nina, Macy i Loretta wciąż żyją. Callas najwyraźniej nie chciał, żeby ciała jeńców odkryto w Paititi, ale Eddie był pewien, że nadal zamierza ich zabić. Chciał ich tylko zabrać gdzieś, gdzie na pewno nikt ich nie znajdzie. Dokąd?

Do bazy wojskowej. Na ogrodzony teren w głębi dżungli, od którego potencjalnych gości odstraszały drut kolczasty i kule. Jeśli Nina i pozostali znajdą się w środku, nie wyjdą stamtąd żywi.

Pobiegł w kierunku bramy. Kiedy wyszedł za starożytne mury, usłyszał coś jeszcze prócz ćwierkania ptaków i bzyczenia owadów: cichy warkot. Silniki.

Odgłos był coraz cichszy. Samochody jechały już ścieżką drwali.

– Kurwa mać! – Zatrzymał się, próbując zdusić gniew i spokojnie pomyśleć. Była tu tylko jedna droga, okrężną trasą prowadząca do Valverde i rozwidlenia kończącego się w bazie. Konwój Callasa dotrze tam dopiero za kilka godzin. Sama baza leżała około pięciu mil na północny zachód...

Eddie wiedział już, że może zrobić tylko jedno.

Uniósł nadgarstek i obracał się w miejscu do chwili, kiedy wskazówka godzinowa jego zegarka wskazała słońce. Ze szkolenia wojskowego wiedział, że południe znajduje się dokładnie w połowie drogi pomiędzy wskazówką a dwunastką na tarczy zegarka. Kiedy określił ten kierunek, znalezienie północnego zachodu zabrało już tylko chwilę. Po raz ostatni spojrzął w stronę, w którą wywieziono jego żonę i przyjaciół, i biegiem ruszył między drzewa.



Jazda wyboistą drogą z ruin trwała dwie godziny. Nina i pozostali siedzieli w wojskowej ciężarówce, z przodu i z tyłu eskortowanej przez land cruisery. Kit i Valero zajmowali się Beckermem, a Macy próbowała, z marnym skutkiem, pocieszyć przerażoną i zapłakaną Loretę. Nina przez chwilę chciała wyskoczyć przez klapę i uciec do dżungli, ale powstrzymały ją AK-103 wymierzone w jej towarzyszy – i ciało Cuffa. Loretta wpadła w histerię na jego widok i żołnierze musieli je przykryć, ale skulony kształt nieustannie przypominał im o okrucieństwie Callasa.

Wiedziała, że generał niedługo znów okaże bezwzględność. Przez swoją chciwość zgodził się pozostawić ją przy życiu – przynajmniej na razie – bo chciał, żeby doprowadziła go do jeszcze większych skarbów... ale nie miał powodu, by oszczędzić pozostałych. Widzieli, jak plądruje Paititi, a zamierzał utrzymać to w tajemnicy nawet po zakończeniu „operacji”.

Będzie musiał ich uciszyć.

Krótki konwój skręcił z drogi do Valverde w jeszcze węższą i bardziej wyboistą ścieżkę ze znakiem ostrzegawczym *Prohibida La Entrada: Zona Militar*. Tutaj rządził Callas. Tu mógł zrobić ze swoimi więźniami, co chciał, i nikt by się o tym nie dowiedział.

Ciężarówka zwolniła. Nina spojrzała naprzód i zobaczyła łańcuchową bramę zwieńczoną zwojami drutu kolczastego, rozciągniętego od drzew rosnących po obu stronach. Jakiś żołnierz otworzył bramę i wpuścił samochody do środka. Po przejechaniu jeszcze krótkiego odcinka znaleźli się na dużym, prostokątnym placu wykarczowanym za pomocą buldożerów.

W bazie wojskowej.

Mi-17 stał na betonowym lądowisku. Właśnie go tankowano. Skrzynia z inkaskim skarbem leżała obok śmigłowca. W sercu bazy znajdowała się olbrzymia prostokątna antena radaru wymierzona w stronę granicy z Kolumbią. Pozostała część obiektu była mniej imponująca: składała się z prefabrykowanych budek dla dowódców i pracowników administracyjnych oraz namiotów dla żołnierzy, którym przyszło stacjonować w zielonym piekle.

Land cruiser otwierający kolumnę zatrzymał się obok lądowiska. Callas wysiadł z samochodu, by sprawdzić skrzynię. Pozostałe dwa pojazdy stanęły obok terenówki. Stikes wysiadł z drugiej toyoty i podszedł do ciężarówki.

– Wygodnie wszystkim? – spytał drwiąco.

– Na litość boską – powiedziała Nina, wskazując raną nogę Beckera. – Potrzebny mu lekarz.

– Przynajmniej dajcie mu coś przeciwbólowego – dodał Kit.

– Nie martwcie się. Niedługo przestanie go boleć – stwierdził Stikes, po czym obejrzał się, słysząc w oddali hałas. – No proszę, co za wyczucie czasu. Przyleciała moja nowa zabawka.

Nina spojrzała w tę samą stronę, co najemnik. Na południowym zachodzie zauważyła zbliżający się śmigłowiec, po chwili dostrzegła obok niego drugi, mniejszy.

Callas podszedł do ciężarówki.

– Nie byłem pewien, czy ten twój przyjaciel dotrzyma słowa – powiedział do niego Stikes. – Ale cieszę się, że tym razem nie miałem racji.

Wenezuelczyk splunął.

– Pachac nie jest moim przyjacielem. To maoistyczne ścierwo! Gdybym mógł to zrobić bez niego – albo bez tego wieprza handlującego narkotykami, de Quesady – zrobiłbym. Ale potrzebuję ich pieniędzy. Przynajmniej na razie. Kiedy zwyciężymy, zmienię umowę. Już czas... oczyścić Wenezuelę.

– Gdybyś znów potrzebował moich usług, masz moją wizytówkę – oświadczył Stikes. Callas uśmiechnął się ponuro i spojrzał na helikoptery.

Kiedy śmigłowce znalazły się bliżej bazy, zdziwiony Valero zmarszczył czoło.

– O co chodzi? – spytała Nina.

– Ten większy to rosyjski śmigłowiec szturmowy. Wy, *yanquis*, nazywacie go hind. – Kobieta uważniej przyjrzała się helikopterom przygotowującym się do lądowania. Ten, który zadziwił Oscara, był równie niebezpieczny, co brzydki – miał wyrzutnie rakiet pod krótkimi skrzydłami i wielolufowe działo pod nosem. – Mamy takie w Wenezueli, ale ten przyleciał z Peru.

– Peru? – Tym razem to Nina była zaskoczona. – Ale przecież jesteśmy przy granicy z Kolumbią. Peru leży sześćset pięćdziesiąt kilometrów stąd.

– Wiem. I jeszcze ten Pachac. Słyszałem o nim. To komunistyczny rewolucjonista i niebezpieczny morderca. Nawet w Świetlistym Szlaku go nie chcieli. Do tego jest baronem narkotykowym.

– Przyjemniaczek – skwitowała Macy.

– To niedobrze, że ma śmigłowiec szturmowy. Jeszcze gorzej, że sprowadził go do mojego kraju i chce go dać najemnikom! Nie podoba mi się to.

– Nie tylko tobie – dodała Nina. Hind opadł na ziemię za lądowiskiem obok Mila, rozdmuchując we wszystkie strony pył i żwir. Podwozie ugięło się pod ciężarem opancerzonej maszyny. Mniejszy helikopter, cywilny jet ranger, wylądował obok.

Z jet rangera wysiadł mężczyzna, uchylając się przed wciąż obracającymi się łopatami śmigła, chociaż przy swoim niskim wzroście nie musiał się obawiać uderzenia w głowę. Podobnie jak Stikes miał na sobie wojskowy beret, tyle że krwistoczerwony. Tęsknie spojrzął na hinda i podszedł do Callasa i Stikesa.

– Ach, Inkarrí! – wykrzyknął Callas, niespodziewanie wylewnie witając się z przybyszem. Ten odpowiedział z podobnym nieszczerym entuzjazmem. Nie był latynoskiego pochodzenia – z twarzy wyglądał na Indianina. Niezbyt wysoki, miał potężną klatkę piersiową i umięśnione ramiona. Mężczyźni przez chwilę rozmawiali po hiszpańsku, potem Callas przeszedł na angielski.

– Alexander Stikes, to Arcani Pachac.

Stikes i Pachac uścisnęli sobie dłonie.

– Najemnik – stwierdził Peruwianczyk z dezaprobatą.

– Świadczę usługi – odpowiedział Stikes. – Po ich wykonaniu znikam. Szybko, czysto i skutecznie, bez kłopotliwych konfliktów ideologicznych. – Lekko się uśmiechnął. – Jak układają się obecnie pańskie relacje ze Świetlistym Szlakiem?

Pachac spojrzął gniewnie.

– Nie chcę słyszeć o tych zdrajcach! Kонтrewolucyjne było!

– Cóż, gdyby chciał pan zrobić porządki po obaleniu burżuazyjnych imperialistycznych marionetek w Limie, proszę o telefon – zaproponował rozbawiony Anglik. – A na razie chciałbym sprawdzić nowy nabytek generała. – Pachac skinął głową. Najemnik podszedł do hinda. Pilot – biały mężczyzna – zaszalutował i zaczął pokazywać mu śmigłowiec.

Widać było, że Pachac niechętnie rozstaje się z maszyną.

– Ile moglibyśmy zdziałać, gdyby udało nam się znów uruchomić tę broń! Oddałbym ci pieniądze i nie tylko. – Jednak jego rewolucyjny zapał osłabł i pojawił się biznesowy pragmatyzm. – A skoro o pieniądzach mowa...

Callas dał znak czekającemu żołnierzowi, który przyciągnął do mężczyzn dwie brezentowe torby podróżne – dużą i małą.

– Proszę. Oto ostatnia rata. Dwa miliony amerykańskich dolarów w gotówce.

Peruwianczyk otworzył większą torbę wypełnioną plikami banknotów.

– Towarzysz Mao byłby dumny – mruknęła Nina.

Pachac, który ją usłyszał, spojrzął na siedzących w ciężarówce ludzi.

– Co to za *yanquis*?

– Jeńcy – wyjaśnił Callas. – Nie przejmuj się nimi. Niedługo stąd znikną. À propos jeńców, mam dla ciebie prezent, Inkarrí. A nawet dwa. Myślę, że oba ci się spodobają.

Wydał rozkaz żołnierzowi, który pobiegł do najbliższej budki. Zanim Pachac sprawdził, czy w torbie znajduje się cała należna suma, żołnierz wrócił z drugim wojskowym. Wlekli między sobą trzeciego mężczyznę, związanego cywila z zakrwawioną twarzą.

Choć więzień miał przekrwione, zapuchnięte oczy, zobaczył Pachaca. Przerażony głośno

wciągnął powietrze i próbował się wyrwać. Jeden z wojskowych go uderzył. Po chwili żołnierze rzucili go u stóp swego dowódcy.

Pachac klasnął w ręce.

– Cayo! Ach, Cayo, wiele czasu upłynęło od naszego ostatniego spotkania. – Zaczął warczeć. – Od twojej zdrady. Od chwili, kiedy ukradłeś mi narkotyki warte pół miliona dolarów i ofiarowałeś je de Quesadzie, wraz ze swoją lojalnością. – Kopnął bezbronnego mężczyznę w pierś. – Ty zasrańcu!

– Złapano go na granicy razem z dwoma innymi – wyjaśnił Callas. – I z dziesięcioma kilogramami kokainy. Próbował udawać jednego z twoich przemytników, ale podał stare hasło, więc moi ludzie go aresztowali.

– Co z pozostałymi?

Generał wzruszył ramionami.

– Nieszczęśliwy wypadek. Nikt ich nigdy nie znajdzie.

– A kokaina?

– Skonfiskowaliśmy ją, rzecz jasna. Wenezuela nie toleruje przemytników narkotyków.

W każdym razie tych, którzy nie płacą.

Pachac spojrzał na stojących nieopodal żołnierzy.

– Czy wszyscy ludzie w tej bazie są... twoi?

Callas skinął głową.

– Tak, wszyscy są lojalni wobec mnie. Możesz zrobić z tym człowiekiem, co zechcesz.

– Znakomicie. – Pachac ukucnął obok Cayo, wyjął składany nóż i otworzył go z głośnym metalicznym trzaskiem. Więzień szarpnął głową i zaskomlał ze strachu. – Tak, znasz ten dźwięk. Słyszałeś go już przedtem, kiedy rozprawiałem się ze zdrajcami. – Peruwiańczyk nadal mówił po angielsku, zerkając na Ninę i pozostałych, jakby występ przed publicznością sprawiał mu przyjemność. Cayo zawodził i błagał o litość, ale Pachac przewrócił go na plecy. – Teraz kolej na ciebie!

Loretta zasłoniła oczy dłońmi, ale krzyknęła, kiedy usłyszała, jak nóż Pachaca wbija się głęboko w klatkę piersiową Cayo, tuż poniżej mostka. Krzyki więźnia zmieniły się w zwierzęcy wrzask, kiedy ostrze posuwało się w dół przez jego ciało. Z wydłużającej się rany trysnęła krew.

Pachac dotarł do talii mężczyzny, potem gwałtownie wyciągnął ostrze.

– A teraz – powiedział, niemal z czcią – *capacocha*.

Osterhagen nie był w stanie patrzeć na to, co się działo, ale kiedy usłyszał ostatnie słowo, zszokowany wykrzyknął:

– O mój Boże...

– Co to oznacza? – spytała równie wstrząśnięta Nina.

– To inkaski rytuał... ofiary z ludzi.

– Jezu – westchnęła kobieta z odrazą.

Pachac zacisnął umazane krwią ręce wokół szyi Cayo. Mężczyzna wybałuszył oczy, rozpaczliwie próbując złapać oddech i plując krwią. Peruwiańczyk ścisnął mocniej i rozległ się trzask chrząstki w gardle Cayo. Więzień wierzgał nogami, po każdym kopnięciu z ziejącej rany w jego brzuchu lała się krew...

Ruchy stawały się coraz słabsze i wolniejsze.

Aż ustały.

Pachac oderwał dłonie. Z ust martwego mężczyzny dobiegło bulgoczące syczenie, kiedy uwolniła się resztką uwiecznionego w nich powietrza. Potem Cayo znieruchomiał. Jego zabójca pochylił głowę, powiedział coś w języku, którego Nina nie rozpoznała, potem wziął nóż i wytarł go o ubranie zmarłego.

– A więc to była *capacocha*? – spytał Callas, który obejrzał całą tę makabryczną scenę z nie większym przejęciem, niż gdyby znalazł muchę w zupie.

– Tylko duszenie – wyjaśnił Pachac. – Pierwsza część to mój pomysł. Ale kiedy zdobędę władzę w Peru jako Inkarrí, w ten sposób będą zabijani zdrajcy i burżuazja.

– To szalenie – szepnął do Niny Osterhagen. Mężczyzna nie mógł opanować drżenia.

– O czym on mówi? – spytała. – Kim jest Inkarrí?

– Według inkaskiego mitu, a właściwie przepowiedni, to przywódca, który przywróci chwałę imperium Inków. Mój Boże! On naprawdę uważa się za wcielonego Inkarrí! – Niemiec ukrył twarz w dłoniach.

Callas dał znak dwóm żołnierzom, którzy podnieśli ciało Cayo i wrzucili je na tył ciężarówki. Loretta była w tak żalnym stanie, że nie miała już siły krzyżeć. Skuliła się mocno i kołysała w przód i w tył w objęciach Macy. Nina z odrazą odwróciła wzrok od wciąż krwawiącego ciała i zobaczyła Stikesa i pilota wracających z hinda.

– Wygląda na to, że wszystko w porządku – stwierdził Anglik.

– Jest gotów? – spytał Callas.

– Będzie wymagał drobnego przeglądu przed operacją, ale Gurow spokojnie da sobie z tym radę. – Skinął głową w stronę pilota. – Wprawdzie został rozbrojony, ale wszystko poza bronią działa. A system kontroli ognia można przeinstalować w ciągu dwudziestu czterech godzin. Wystarczy odrobina farby, trochę amunicji, kod transpondera i możemy ruszać.

– Dobrze. Dobrze! – ucieszył się Callas. – Arcani, nie wiem, jak ci dziękować. Ten helikopter ma olbrzymie znaczenie dla przyszłości Wenezueli. Twoje wsparcie jest bezcenne.

– Za to bezpieczny przewóz moich narkotyków przez twój kraj drogo kosztuje – ostro odpowiedział Pachac.

– W zamian za twoją pomoc dostaniesz duży rabat na opłaty! Ale mówiłem ci, że mam jeszcze jeden prezent. – Podał Peruwianczykowi mniejszą torbę. – Proszę.

Pachac ostrożnie otworzył torbę. Wewnątrz znajdowało się pudełko z polerowanego drewna o powierzchni około pięćdziesięciu centymetrów kwadratowych. Peruwianczyk uniósł pokrywkę... i zmarł.

Nina wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć. Zawartość pudełka zrobiła na niej niemal równie wielkie wrażenie, jak na Pachacu. W środku znajdowała się mniejsza wersja złotego dysku słonecznego ze stylizowanymi językami ognia biegnącymi spiralnie od brzegów.

– Inkaski skarb – stwierdził Callas. – Pomyślałem, że powinieneś go mieć.

Zachwył Pachaca szybko znikł, a w jego miejsce znów pojawiła się niechęć.

– Inne zaginione skarby mojego ludu sprzedajesz każdemu, kto zapłaci w dolarach.

– Znaleziono je w Wenezueli – przypomniał Callas – więc należą do mojego narodu, nie do twojego. I mogłeś wziąć udział w licytacji. Gdyby twoi zwolennicy z Prawdziwego Czerwonego Szlaku nie mieli nic przeciwko temu, że wydajesz wspólne pieniądze na złote błyskotki...

Peruwianczyk zatrzasnął wieczko pudełka i odwrócił się ze złością. Przy okazji zauważył skrzynię leżącą obok wenezuelskiego helikoptera. Dzięki nietypowemu kształtowi odgadł jej zawartość i pospiesznie odwrócił się z powrotem do Callasa.

– To... to jest...

– Owszem, Punchaco – odpowiedział Callas. – Dwie tony inkaskiego złota.

– Musisz mi to oddać. Musisz! – Pachac mówił niemal błagalnym tonem. – To najważniejszy symbol Inków – mojego ludu. Musimy go odzyskać!

– Nie byłoby cię stać nawet na tyle złotego złomu, Inkarrí. – Tym razem generał użył tego tytułu z wyraźną drwiną. – A dysk jest cenniejszy właśnie dlatego, że to skarb Inków. Ale znalazłem już kupca.

Pachac zbladł.

– Nie – wyszeptał, a potem dodał głośniejszym, z gniewem: – Nie! Tylko nie on!

– Tak, to twój stary przyjaciel i dawny partner, Francisco de Quesada. Jego na to stać. I nie tylko na to. Mogłoby ci się powodzić tak samo, gdybyś skupił się na interesach zamiast na polityce...

Wściekły maoista zacisnął zęby.

– On chce kupić dysk tylko po to, żeby mnie obrazić. Poza tym nie jesteś w stanie go dostarczyć. Twój przemytnik West został aresztowany. Bez niego ładunek nigdy nie przejdzie odprawy. A co innego mógłbyś z nim zrobić, przewieźć samochodem przez dżunglę? Zbyt wielu tu bandytów. Po obu stronach granicy. – Wymownie spojrzął na Callasa. – Nie możesz oddać mu dysku.

Generał wybuchnął śmiechem.

– Ależ ja mu go nie oddaję. Już zapłacił pierwsze dwadzieścia milionów dolarów!

Pachac spojrział z oburzeniem na pliki banknotów.

– Płacisz mi pieniędzmi tego psa? – Zaklął znów w nieznanym języku. – Daj mi Punchaco albo zerwę umowę!

– Nie tak się umawialiśmy, Arcani – przypomniał Callas.

– Nie ruszę się stąd bez Punchaco! – stwierdził Peruviańczyk, wsuwając rękę za połą wojskowej kurtki.

Żołnierze odbezpieczyli AK-103. Callas miał kamienną twarz.

– Pamiętaj, gdzie jesteś, Pachac – warknął. – Masz swoje pieniądze, moją wdzięczność i prezent ode mnie. Zabieraj je sobie i jedź urządzać rewolucję. Ale nie podskakuj w moim kraju, bo pożałujesz.

Niższy mężczyzna przez chwilę przyglądał mu się, dysząc ciężko. W końcu zapiął torbę z pieniędzmi, podniósł ją i z drewnianym pudełkiem pod pachą bez słowa odszedł do jet rangera.

– Komunistyczne ścierwo – warknął Callas, kiedy Peruviańczyk znalazł się na pokładzie śmigłowca.

Stikes wydawał się rozbawiony konfrontacją.

– Śmiesz mnie jego hipokryzja. Maoista tak ortodoksyjny, że uważa Świetlisty Szlak za kontrrewolucjonistów, zarabia miliony na handlu narkotykami. Nic dziwnego, że oszalał, skoro jednocześnie patrzy na wszystko z dwóch sprzecznych punktów widzenia.

– Ale miał rację w jednej sprawie – przyznał Callas. – Bez Westa bardzo trudno będzie dostarczyć Punchaco do de Quesady. A potrzebuję jego pieniędzy. Po operacji, nawet udanej, w kraju zapanuje chaos. Da się go okiełznać, jedynie przekazując pieniądze odpowiednim ludziom. Dużo pieniędzy.

Stikes uśmiechnął się dziwnie i badawczo spojrział na Ninę.

– Chyba znalazłem sposób.

Callas spojrział na niego pytająco, ale zanim zdążył się odezwać, jet ranger wzbił się w powietrze, znów rozwiewając pył po lądowisku. Stikes otrząsał rękawy i zwrócił się do Rosjanina.

– Gurow, zabierz hindu do bazy operacyjnej i uzbrój go. Generale – dodał, kiedy pilot poszedł do maszyny – powinniśmy wrócić do Klubu. Pozostały nam do omówienia kwestie taktyczne.

Callas skinął głową, potem spojrział na siedzących w ciężarówce więźniów.

– Najpierw musimy zająć się nimi. Tylko doktor Wilde jest nam potrzebna żywa. Reszta...

– I Jindal – przerwał mu Stikes.

– Co takiego? – spytał zaskoczony Callas, a Nina i Kit wymienili zdziwione spojrzenia. – Agent Interpolu? Dlaczego?

– Mam swoje powody – stwierdził najemnik, przyglądając się Kitowi.

– Na dół z nimi – rozkazał Callas. Żołnierze w ciężarówce zmusili Ninę i Kita do wstania.

– Wypuść ich – zażądała kobieta. – Jeśli ich zabijesz, możesz równie dobrze zabić i mnie, bo nic ci wtedy nie powiem.

Wenezuelczyk wyszczerzył zęby w przerażającym krokodylim uśmiechu.

– To brzmi jak zaczepka, doktor Wilde. A jak mówiłem Pachacowi, ci, którzy ze mną zadzierają, marnie kończą. Bardzo marnie.

Krzyknął kolejne rozkazy po hiszpańsku: wózek widłowy miał załadować skrzynię do Miła, dwaj żołnierze mieli pojechać jeepem do Valverde i zabrać wszystkie rzeczy osobiste z pokoi hotelowych członków ekspedycji, a więźniowie mieli zostać zabrani „do dołu”. Gdziekolwiek to było, miała być to podróż w jedną stronę. Callas odszedł.

– *Bastardo!* – wrzasnął Valero. Rzucił się na jednego z żołnierzy, chcąc wyrwać mu broń, ale wojskowi ogłuszyli go kolbami karabinów i skopali po głowie i klatce piersiowej. Macy zerwała się, krzycząc, żeby przestali, ale pchnęli ją na zakrwawioną podłogę.

– Wypuść ich – powtórzyła Nina. Tym razem nie było to żądanie, a błaganie o litość.

Generał nie zamierzał jej okazać. Machnął ręką, a ciężarówka z jeńcami i ich uzbrojonymi strażnikami ruszyła.

Eddie, dysząc i rozcierając obolałe mięśnie, siedział na gałęzi porośniętego lianami drzewa i przyglądał się wyjeżdżającej ciężarówce. Bieg przez dżunglę z przystankami co dziesięć minut, żeby sprawdzić pozycję względem słońca, zajął mu nieco ponad dwie godziny. Było ciężko, ale myśl o tym, co stanie się z Niną i pozostałymi, jeśli się spóźni, motywowała go do kolejnego wysiłku.

A jednak nie dotarł na czas.

Przez ogrodzenie natychmiast dostrzegł rude włosy Niny lśniące w popołudniowym słońcu. Jego żonę i Kita podprowadzono pod Mi-17. Wózek widłowy właśnie wstawiał skrzynię z dyskiem słonecznym do kabiny śmigłowca. Wyglądało na to, że Stikes, którego rozpoznał po berecie, i Callas czekają, aby także wejść na pokład.

Bardziej niepokoił się jednak tymi, którzy zostali na miejscu. Zauważył uzbrojonych strażników w ciężarówce, co oznaczało, że przynajmniej niektórzy więźniowie jeszcze żyją... ale miało się to szybko zmienić. Obecność cywilów w bazie wojskowej mogłaby wzbudzić podejrzenia. Ciało zakopane w głębi dżungli – już nie.

Jak mógł im pomóc? Ciężarówka odjechała za daleko, żeby mógł ją dogonić. Nie zdołałby też uratować Niny i Kita. Wokół lądowiska stało zbyt wielu uzbrojonych żołnierzy. Nie miałby szans nawet się do niego zbliżyć.

Lądowisko...

Czuł podświadomie, że coś się nie zgadza, a kiedy wirnik drugiego śmigłowca zaczął się obracać, Chase zdał sobie sprawę, o co dokładnie chodzi. Hind? Latający czołg produkcji rosyjskiej sprzedawano na całym świecie... ale na tym zamiast trójkolorowej rosyjskiej flagi widniała czerwono-biała, peruwiańska. Co tu robiła ta maszyna?

Przestał się nad tym zastanawiać, kiedy zauważył coś ważniejszego. W dalszej części bazy znajdował się niewielki parking, na którym jeden z żołnierzy właśnie wsiadał do jeepa.

To była jego szansa...

Eddie zeskoczył na ziemię i ruszył biegiem wzdłuż ogrodzenia. Nie dogonił ciężarówki – ale jeśli będzie dość szybki, może uda mu się przejąć jeepa.

Hind z rykiem wzbil się w powietrze i skierował się na północ. Mił został załadowany, a wózek widłowy odsunął się, żeby pasażerowie mogli wejść na pokład. Znowu mignęły rude włosy. Ninę wepchnięto do środka.

Chase opanował gniew i biegł dalej. Żołnierz w jeepie niecierpliwie zamachał innemu wojskowemu. Wykarczowany teren miał średnicę zaledwie dwustu metrów – kiedy terenówka ruszy, szybko znajdzie się przy bramie.

Eddie dotarł do narożnika ogrodzenia i pobiegł dalej prosto, oddalając się od bazy. Znowu spojrzął w stronę bramy.

Jeep ruszył.

Cholera! Czy uda się go złapać? Samochód zniknął mu z oczu za drzewami, potem pojawił się ponownie, bliżej, niż się spodziewał. Kierowcy wyraźnie się spieszyło.

Podobnie jak Eddiemu. Zmusił się do dalszego biegu. Wiedział, że każde jego potknięcie na nierównym terenie może kosztować więźniów życie. Zwisające pnącza smagały go po twarzy, miał zadyszkę i obolałe nogi, ale nie mógł się zatrzymać.

Usłyszał drapanie i szcęk metalu – odgłos otwieranej bramy – a potem klekot skrzyni biegów, kiedy kierowca ruszył.

Eddie miał przed sobą płytki rów. Po chwili zobaczył między pnączami błotnistą drogę – i jeepa, który szybko gnał naprzód.

Zbyt szybko. Chase zdał sobie sprawę, że nie dogoni samochodu.

Stracił swoją szansę...

Nie!

Obrócił się, skierował w miejsce przed maską jeepa i skoczył, chwytając liany zwisające z wysokiego drzewa. Przeleciał na nich w głąb rowu, opadł nisko, po chwili znów zaczął się wzno-  
sić...

I puścił pnącza.

Z impetem upadł na otwartą skrzynię przejeżdżającej terenówki. Żołnierze siedzący w środ-  
ku położyli z tyłu swoje AK-103 i Eddie poczuł, że karabiny wbiły mu się w kręgosłup.

Na widok Chase'a przerażony kierowca podskoczył na siedzeniu i prawie wjechał terenów-  
ką do rowu, zanim udało mu się odzyskać nad nią kontrolę.

Eddie wstał. Jeden z kałasznikowów upadł na podłogę, jednak mąż Niny nie mógł użyć bro-  
ni tak blisko bazy – strzały zwróciłyby uwagę. Wbił łokieć w twarz kierowcy, kiedy ten się na niego  
obejrzał. Głowa Wenezuelczyka odskoczyła w tył, a z jego rozciętej wargi trysnęła krew.

Pasażer obrócił się na siedzeniu, próbując dosięgnąć karabinu. Eddie uderzył go w szyję.  
Trafił też w szczękę, odrzucając żołnierza w tył.

Drugi z wojskowych odpowiedział ciosem wymierzonym w oczy Chase'a. Anglik odsko-  
czył i uderzył głową w kant karoserii.

Żołnierz wykorzystał jego chwilowe zamroczenie i podniósł karabin z podłogi. Obrócił broń  
i już miał wpakować cały magazynek w klatkę piersiową intruza, gdy nagle Eddie sięgnął pomiędzy  
przednie siedzenia i zaciągnął hamulec ręczny.

Jeep wpadł w poślizg. Nagłe hamowanie wyrzuciło do przodu żołnierza, który mocno ude-  
rzył głową o ramę przedniej szyby.

Eddie wykorzystał siłę bezwładności, aby podciągnąć się do góry. Zamroczony żołnierz  
zwisiał z siedzenia i Chase wyrzucił go z samochodu. Jednego z wojskowych miał z głowy, ale kie-  
rowca zdążył dojsć do siebie, zwolnił hamulec i ostro dodał gazu.

Jeep pojechał bokiem, wzbijając fontannę błota. Po nagłym skręcie Eddie poleciał w bok.  
Rozpaczliwie próbował uchwycić się czegoś, żeby nie wypaść z samochodu, ale udało mu się tylko  
złapać krawędź tylnego siedzenia. Zwisiał z boku jeepa, a błoto bryzgało mu na twarz.

Kierowca gwałtownie skręcił. Samochód się zakołysał, a Eddie został wyrzucony jeszcze  
dalej. Zobaczył pod sobą ścieżkę, która rozmazywała mu się przed oczami. Próbował wsunąć stopę  
pod przednie siedzenia, ale nie mógł się zaprzeć.

Kątem oka zobaczył coś zielonego.

Zamknął oczy, a krzak rosnący przy drodze smagnął go po policzku. Przy tej prędkości zwy-  
kłe liście wystarczyły, by rozciąć skórę. Ranny Eddie obejrzał się jeszcze raz i zobaczył szybko  
zbliżające się drzewo.

Kierowca także je zauważył. Skręcił, żeby wbić intruza w gruby pień.

Eddie wierzgał nogami, szukając punktu podparcia. Uderzył butem w twardą ławkę z tyłu  
samochodu. Próbował wciągnąć się z powrotem do jeepa, ale nie mógł wystarczająco mocno się za-  
przeć.

Drzewo było coraz bliżej...

Wreszcie udało mu się trafić stopą pod siedzenie i podciągnąć się do środka, kiedy samo-  
chód przejeżdżał obok pnia. Zwisające liany uderzyły go po głowie.

Okazało się, że w pnączach także kryje się niebezpieczeństwo – gałąź wystająca na drogę...

Kierowca krzyknął i ostro zahamował. Za późno.

Gałąź uderzyła w przednią szybę terenówki, zasypując twarz kierowcy odłamkami szkła. Na  
obu mężczyzn spadły połamane fragmenty drzewa. Drugi karabin zsunął się z tylnego siedzenia  
i zniknął pod siedzeniem kierowcy.

Eddie pierwszy doszedł do siebie. Chwycił kawałek gałęzi i mocno uderzył Wenezuelczyka  
w głowę.

Żołnierz nie zamierzał jednak się poddać. Znów ostro skręcił jeepem. Eddie się zachwiał,  
a kałasznikow wysunął się przed siedzenie i kierowcy udało się go dosięgnąć.

Mężczyzna z okrzykiem triumfu odwrócił się, by zastrzelić napastnika, ale Eddie zniknął.

Żołnierz obejrzał się zdziwiony. Zauważył, że Anglik położył się płasko na tylnym siedze-

niu.

Obrócił się do przodu...

Terenówka zjechała z drogi wprost pod gruby, nisko zwisający konar. Rozległ się trzask i auto utknęło w gęstych krzakach. Silnik zagrzechotał i zgasł.

Eddie ostrożnie podniósł głowę. Kierowca nadal tkwił na siedzeniu... od szyi w dół. Jego głowa znajdowała się trzydzieści metrów z tyłu, rozbryzgana na konarze, który oderwał ją od ciała.

– Proszę, proszę, specjalista od chirurgii drzew – zażartował ponuro Eddie. Przeszedł do przodu i kopnięciem wyrzucił z jeepa bezgłowe ciało. Chwycił AK-103, ponownie zapalił silnik i wycofał terenówkę na drogę.

Czas znaleźć ciężarówkę.

Zanim będzie za późno.

Droga była jeszcze węższa i bardziej zarośnięta niż ta prowadząca do Paititi. W wojskową ciężarówkę wczepiały się gałęzie. Macy uchyliła się przed rozwidlonym konarem, a potem ze strachem rozejrzała wokół. Ciężarówka skręciła z drogi dojazdowej do bazy w niemal niewidoczną ścieżkę. Drzewa były powykręcane od walki o dostęp do nielicznych plam światła. Wydawało się, że nawet słońce porzuciło to miejsce... albo przerażone odwróciło się od niego.

W powietrzu unosiła się nieprzyjemna przenikliwa woń, przebijając się przez typowy dla dżungli zapach rozkładających się roślin.

Osterhagen też go poczuł.

– Kiedyś służyłem w *Katastrophenschutz* – oddziałach pomocniczych wysyłanych do klęsk żywiołowych – wyszeptał do Macy. – Znam ten zapach.

Zapach śmierci.

Ich podróż miała za chwilę się zakończyć.

Macy przyjrzała się żołnierzom, usiłując znaleźć na ich twarzach ślad współczucia. Bezskutecznie. Wenezuelczycy trzymający ich na muszce byli zimni i beznamiętni. Nie pierwszy raz wykonywali takie zadanie.

Ciężarówka ostatni raz z szarpnięciem przedarła się między gałęziami i stanęła. Dżungla była tu tak gęsta, że panował półmrok jak o zachodzie słońca i wszystko wydawało się szare. Jeden z żołnierzy otworzył klapę i opuścił ją z głośnym trzaskiem.

– *Muévte!* – rzucił, wskazując kierunek lufą kałasznikowa.

Loretta zaczęła się trząść.

– Błagam, nie, błagam, nie róbcie tego, błagam...

Jeden z żołnierzy postawił ją na nogi brutalnym szarpnięciem i wypchnął z ciężarówki. Kobieta zaczęła zawodzić z bezsilnej rozpacz.

Valero warknął i sprężył się do skoku na wojskowego, ale został powalony kopniakiem w głowę. Kolejny żołnierz wyrzucił go na ziemię.

Pozostali dwaj strażnicy ponownie wykonali gest lufami karabinów. Macy i Osterhagen podnieśli półprzytomnego Beckera i wyciągnęli z ciężarówki. Jeden z żołnierzy zabrał rannemu kapelusze i założył go na głowę. Pozostali wybuchnęli śmiechem.

Kierowca czekał z kałasznikowem w ręku. Dał więźniom sygnał, aby poszli naprzód. Strażnicy pchali ich od tyłu. Macy nie mogła złapać tchu – smród zgnilizny zatykał jej nozdrza, a strach ścisnął gardło. Kiedy wyszła zza ciężarówki, zobaczyła „dół”, o którym mówił Callas.

Była to nierówna dziura w ziemi o stromych bokach upstrzonych butwiejącymi liśćmi. Kiedy kobieta podeszła bliżej, zobaczyła, że coś jest w środku.

Na dnie leżało kilkanaście ciał. Większość była już całkowicie przegniła i nadgryziona przez owady i zwierzęta. Jedynie dwa znajdujące się na wierzchu sterty zachowały jeszcze ludzki wygląd – zwłoki mogły leżeć w tym miejscu zaledwie dzień lub dwa, ale bezlitośni padlinożercy zdążyli już pozbawić je oczu i kawałków skóry. W pociemniałych dziurach po kulach w ich klatkach piersiowych wiły się owady. Macy domyśliła się, że to przemytnicy narkotyków pracujący dla Cayo.

Sam Cayo szybko do nich dołączył. Pozostali żołnierze trzymali więźniów na muszce, a dwóch wojskowych wyciągnęło jego ciało z ciężarówki i powlekło do rowu. Kiedy rzucili zwłoki na stos, wzbiły się z niego chmary much.



Po chwili żołnierze zrobili to samo z ciałem Cuffa. Macy odwróciła głowę ze wstrętem i przerażeniem. Loretta zaczęła łkać jeszcze głośniejsze, kiedy zobaczyła zwłoki Amerykanina rzucone na stertę ciał, gapiące się w nią jedynym pozostałym okiem.

– Kurwa mać – mruknął po hiszpańsku jeden z żołnierzy. – Mam dość tego hałasu.

– Ją załatwimy pierwszą – odpowiedział mu drugi, a potem po angielsku krzyknął do więźniów:

– Na kolana!

Wojskowi zmusili członków ekspedycji, by uklękli na krawędzi rowu. Macy zdała sobie sprawę, że płacze. Łzy piekły ją w oczy. Zaczęła spazmatycznie łapać powietrze. Loretta spojrzała na nią błagalnie, kiedy jeden z żołnierzy stanął za nią.

Macy nie chciała spuszczać oczu z bezbronnej kobiety, ale była tak przerażona, że w końcu zacisnęła powieki. Loretta mimowolnie pisnęła po raz ostatni...

Rozległ się głośny wystrzał – i miękki łoskot upadającego ciała. Po chwili usłyszała głuchy odgłos kopnięcia i zwłoki Loretty spadły do dołu.

Żołnierz przesunął się za Macy.

Kobieta rozpaczliwie próbowała otworzyć oczy, żeby po raz ostatni spojrzeć na świat, ale bała się tak, że nie była w stanie tego zrobić.

Usłyszała szelest munduru, kiedy żołnierz podnosił broń...

I inny dźwięk, który szybko przybierał na sile...

Warkot silnika!

Usłyszała, jak mężczyzna stojący za nią obraca się zaskoczony.

– Kto to?

Stażystka otworzyła oczy i obejrzała się za siebie.

Obok ciężarówki przemknął wojskowy jeep. Jego kierowca trzymał w jednej ręce kierownicę, w drugiej – karabin...

Eddie!

– Padnij! – krzyknął Chase, szarpiąc za kierownicę.

Samochód w błocie wpadł w poślizg. Eddie wystawił lufę kałasznikowa na zewnątrz i pociągnął za spust. Nie musiał celować – strzelał kulami z obracającej się terenówki powyżej głów więźniów.

Trzech żołnierzy zostało trafionych w klatkę piersiową i twarz. Padli martwi na ziemię. Mężczyzna stojący za Macy oberwał w lewe ramię i z trudem utrzymywał się na nogach na krawędzi rowu. Zdrową ręką wymierzył jednak z AK-103 w stronę jeepa...

Macy zerwała się na nogi i zepchnęła go do dołu. Wylądował na stercie zwłok i sturlał się po nich w dół, w gnijącą maź na dnie.

Jednemu żołnierzowi udało się wyjść cało z ostrzału. Uniósł broń...

Terenówka w poślizgu obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Eddie wrzucił wsteczny bieg, schylił się nad przednimi siedzeniami i wcisnął gaz do dechy. Kule wbijały się w karoserię i oparcia siedzeń. Chase krzyknął, ale się nie zatrzymał.

Samochód uderzył w żołnierza. Mężczyzna wyleciał w górę i spadł na tył samochodu. Eddie podniósł głowę i zobaczył, że wojskowy kuli się nad tylnym siedzeniem – i wciąż żyje. Na wstecznym biegu terenówka jechała zaledwie trzydzieści pięć kilometrów na godzinę.

Wenezuelczyk z wściekłością spojrzał w oczy Eddiemu, wycelował karabin...

Chase szarpnął kierownicą i znów opadł na siedzenia.

Jeep wbił się tyłem w drzewo, wyrzucając męża Niny przez podziurawione kulami siedzenia i wgniatając żołnierza w pień.

Eddie podniósł się na nogi. Wenezuelczyk stał z ustami otwartymi w niemym krzyku bólu. Jego karabin wylądował na ziemi.

– Eddie! – krzyknęła Macy. Było to ostrzeżenie, nie podziękowanie. Żołnierz, którego wrzuciła do rowu wciąż żył, nadal miał broń i próbował wspinać się po ciałach.

Chase ponownie włączył silnik i wrzucił pierwszy bieg. Zdezelowany jeep oderwał się od drzewa, wlokąc za sobą jedną z nóg martwego żołnierza.

– Z drogi! – wrzasnął. Valero i Osterhagen odciągnęli Beckera na bok, Macy odskoczyła, a terenówka popędziła przed siebie...

Eddie wyskoczył z samochodu, który wjechał do rowu dokładnie w chwili, kiedy ranny żołnierz wspinał się na stos ciał i wymierzył z karabinu. Jeep uderzył jak wielki młot, spychając mężczyznę z powrotem na dno i wgniatając go w gnijące zwłoki.

Macy podbiegła do Chase'a i pomogła mu wstać.

– Boże! Eddie! Wszystko w porządku?

– Po prostu zajebicie – jęknął mężczyzna, przyglądając się pozostałym członkom ekspedycji. – Gdzie Loretta?

Macy wybuchnęła płaczem.

– Za... zabili ją. Przed chwilą.

– Kurwa mać. – Chase opuścił ramiona. Gdyby dotarł na miejsce zaledwie kilka sekund wcześniej... – Przepraszam. Przepraszam – powtórzył głośniejszym głosem, mówiąc do Osterhagena.

Niemiec zaciskał wargi, starając się opanować emocje.

– Zrobiłeś, co mogłeś. Dziękuję.

– Jak nas znalazłeś? – spytała Macy. – Jak w ogóle udało ci się tu dotrzeć?

– Biegiem – odpowiedział jej Eddie, wstając. – Dotarłem do bazy, kiedy was stamtąd wywozili.

– Dobiegłeś tam? Jezu. Jesteś... jesteś niesamowity. Dziękuję. – Macy go objęła. Teraz płakała z wdzięczności. – Dziękuję.

Dokuśtykał do nich Valero, który przez cały czas podtrzymywał Beckera.

– Musimy ostrzec milicję o Callasie.

– Owszem – zgodził się Chase. – A potem znaleźć Ninę i Kita. Widziałem, jak Stikes i Callas wsadzili ich do śmigłowca. Gdzie ich zabrali?

– Stikes mówił coś o jakimś klubie – przypomniała sobie Macy.

– Klubie? – powtórzył Eddie. – Jakim klubie? Golfowym?

Valero zaśmiał się ponuro.

– Nie golfowym, ale prawie. Klubem nazywamy pewien dom w Caracas – wyjaśnił zdumionym słuchaczom. – Stoi obok pola golfowego w jednej z najbogatszych dzielnic miasta. Rząd skonfiskował go biznesmenowi, który nie płacił podatków. Miał zostać oddany ludowi, ale przejęło go wojsko. Mówili, że tymczasowo, ale wciąż tam siedzą.

– I korzysta z niego Callas? – spytała Macy. Valero skinął głową.

– Czyli to tam zabrali Ninę i Kita – stwierdził Eddie. Zmarszczył czoło. – Czy ten peruwiański hind – śmigłowiec szturmowy – ma związek z działalnością Callasa?

– Załatwił mu go Pachac, baron narkotykowy – wyjaśnił Valero. – Słyszeliśmy, jak o tym rozmawiali. Nie wiem, co planuje Callas, ale to dlatego sprzedawał skarby z Paititi. Potrzebuje milionów dolarów, dziesiątków milionów, żeby za to zapłacić.

– Generał robi coś, co chce ukryć przed prezydentem, ma helikopter szturmowy i wynajął Stikesa do „rozwiązywania konfliktów”. Może chodzić tylko o jedno – stwierdził Eddie z ponurą miną. – Callas planuje przewrót. – Im szybciej ruszymy, tym większe mamy szanse go powstrzymać.

– Co... co z Loretą? – spytał Osterhagen, niepewnie zerkając w stronę dołu. – Nie chcę jej tu zostawić.

– Nie mamy wyjścia – odpowiedział Chase. – Przykro mi, ale nie mamy czasu, żeby ją pochować, jak należy. Kiedy powiadomimy milicję, powiemy im, jak tu trafić, ale teraz musimy uciekać. Jesteśmy blisko bazy i ktoś niedługo zauważy nieobecność tych żołnierzy.

– Rozumiem – stwierdził Osterhagen, ze smutkiem kiwając głową. – Oscar, pomóż mi z Ralfem.

– Macy, sprawdź, czy w ciężarówce jest apteczka – poprosił Eddie, kiedy mężczyźni prowadzili Beckera do wozu. Potem zebrał broń martwych żołnierzy i przeszukał ich ubrania. W kieszeniach znalazł garść boliwarów.

Osterhagen, mimo wszystkich potworności, jakie dotąd widział, był zszokowany.

– Co robisz?

– Myślę praktycznie – wyjaśnił Chase. – Nie mamy pieniędzy, a możemy ich potrzebować, żeby zadzwonić. Tym draniom już się nie przydadzą. Dobra, ruszamy.

Podniósł fedorę Beckera i podał Osterhagenowi, potem usiadł za kierownicą. Macy zajęła miejsce obok niego. Ciężarówka zawróciła i z klekotem ruszyła ścieżką, pozostawiając za sobą martwą ciszę.

Od Valverde oddzielało ich już tylko niewielkie wzniesienie. Eddie zatrzymał ciężarówkę i otworzył tylne okienko w kabinie kierowcy, żeby porozmawiać z siedzącymi z tyłu.

– No dobra, w mieście są żołnierze, którzy będą nas – a przynajmniej mnie – szukać. Co robimy?

– Czy możemy zadzwonić z hotelowego telefonu? – spytał Osterhagen.

– Hotelu będą pilnować przede wszystkim – zauważyła Macy. – Czy możemy jechać gdzie indziej?

– Następne miasto w okolicy to San Fernando de Atabapo – wyjaśnił jej Valero. – Ale żeby dotrzeć tam drogą, musimy przejechać przez Valverde.

– A gdybyśmy tam poleciełi? – zaproponował Eddie.

– Możemy – odpowiedział Oscar i nagle przyszło mu coś do głowy. – Ale jeśli już mamy lecieć, powinniśmy uciec jak najdalej od Callasa i jego ludzi. Mój samolot jest zatankowany do pełna. Może dotrzeć do Caracas.

– Czy przez radio w samolocie możemy skontaktować się z milicją?

– Tak, oczywiście! Mogę uzyskać połączenie alarmowe przez stanowisko kontroli lotów.

– W takim razie na lotnisko.

Macy się zamyśliła.

– Nie chcę was martwić, ale droga na lotnisko też prowadzi przez miasto.

Miała rację.

– Cholera! No dobra, a gdybyśmy poszli tam piechotą? Możemy okrążyć miasto i dotrzeć do samolotu od strony dżungli.

– A co z Ralfem? – spytał Osterhagen. Półprzytomny Becker leżał między nim a Valero na ławce z tyłu ciężarówki. – Spowolni nas, a nie możemy go tu zostawić. Jeśli znajdą go żołnierze, to go zabiją.

Archeolog miał rację – nie mogli porzucić rannego.

– W takim razie nie mamy wyboru. Musimy przebić się przez miasto i mieć nadzieję, że uda nam się wystartować, zanim nas dogonią. Czy któryś z was potrafi prowadzić ciężarówkę?

– Ja – odpowiedział Valero.

– Dobrze. Siadaj z przodu.

Macy wyglądała na urażoną.

– A skąd wiesz, że ja nie potrafię? – spytała.

– Umiesz podwójnie wysprzęglić? – Eddie odpowiedział pytaniem.

– Co?

– No właśnie. Siedz w kabinie i się nie wychylaj. – Mąż Niny chwycił jeden z karabinów i zeskoczył na ziemię. Valero zajął jego miejsce. Eddie wspiał się na pakę ciężarówki i przykucnął przy tylnej klapie. – Oscar, jak tylko zobaczą nas żołnierze, zaczną się kłopoty, więc gaz do dechy.

– A ty co zamierzasz robić? – spytała Macy.

Eddie pomachał kałasznikowem.

– Zgadnij. Wszyscy gotowi?

– Nie – cicho odpowiedziała kobieta.

Chase uśmiechnął się do niej i zabębnił w dach ciężarówki.

– Oscar, jedziemy.

Valero ruszył naprzód. Rosyjska ciężarówka była stworzona do przewożenia ciężkich ładunków w trudnym terenie, nie do szybkiej jazdy. Rozpędzenie się do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę zajęło jej ponad pół minuty. Eddie spojrzął przed siebie. Dotarli do szczytu wzniesienia, skąd rozciągał się widok na Valverde.

W mieście było więcej żołnierzy, a na rogatkach stały dwa jeepy – może nie była to jeszcze

blokada, ale na pewno punkt kontrolny.

Musieli się przez niego przedrzeć.

– Dwa jeepy – ostrzegł Oscara. – Celuj w tego po lewej. Nie taranuj go, to by nas za mocno spowolniło. Spróbuj tylko rozbić mu przód.

– A co z tym drugim? – spytała Macy.

Znów potrząsnął karabinem.

– Już mówiłem, zgađnij.

Zerknął na drogę. Żołnierze z punktu kontrolnego zauważyli nadjeżdżającą ciężarówkę, ale nie wydawali się zaniepokojeni.

Nie wiedzieli jeszcze, że nie zamierza się zatrzymać.

– Proszę się czegoś złapać – ostrzegł Osterhagena, szykując się na nadchodzące zderzenie.

Ciężarówka zbliżyła się do żołnierzy. Jeden stanął na drodze, machając rękami nad głową, a potem uskoczył w bok. Drugi zdjął z ramienia karabin.

Eddie odbezpieczył karabin, kiedy Valero skręcał...

Rozległ się głośny trzask, kiedy potężny przedni zderzak ciężarówki wbił się w jepea, spychając go do rowu. Drugi żołnierz uniósł broń...

Eddie strzelił pierwszy. Nie mierzył jednak w żołnierza, a w jego samochód. Wymierzył w jepea serię z karabinu, przebijając chłodnicę i silnik.

Wenezuelczyk rzucił się w panice na ziemię, kiedy zaczął się ostrzał, ale szybko wstał.

– Padnij! – wrzasnął Eddie, schylając głowę. Osterhagen rzucił się na podłogę ciężarówki, ciągnąc za sobą Beckera. Kule załomotały o klapę i strzaskały tylną szybę. Macy pisnęła, a Valero schylił się na siedzeniu najniżej, jak mógł.

Eddie uniósł kałasznikowa nad głowę i kilka razy strzelił na ślepo do tyłu, zmuszając żołnierza do ukrycia się. Ostrzał ustał. Ciężarówka przejechała obok hotelu, rozpędzając stojących tam mieszkańców miasteczka.

Eddie wstał i szybko się odwrócił, żeby ocenić sytuację. Większość żołnierzy na ulicach była bardziej zainteresowana własnym bezpieczeństwem niż otwieraniem ognia. Szybko odskakiwali na bok. Pozostałych powstrzymał kolejnymi seriami z karabinu.

Ulica skręciła i stracił wojskowych z oczu. Spojrzał przed siebie. Przejechali już prawie przez całą osadę – skręt na lotnisko znajdował się kilkaset metrów przed nimi.

– Oscar, zwolnij przed zakrętem! – krzyknął. – Przebij się przez bramę i jedź prosto do samolotu. Ja się zajmę pościgiem.

Valero zrobił, co mu kazano. Droga w tym miejscu była w jeszcze gorszym stanie niż przedtem i wszystkimi rzucało z boku na bok. Becker krzyknął z bólu.

Zobaczyli przed sobą lotnisko. Wjazd był zagrodzony drewnianą barierką, ale ciężarówka bez trudu ją złamała. Z terminalu wybiegł rozwścieczony cywil, ale na widok karabinu w rękach Eddiego szybko wykonał „w tył zwrot” i zamiast gonić intruzów, uciekł przez roztrzaskaną bramę.

Valero zatrzymał ciężarówkę przy samolocie.

– Macy, bierz drugi karabin i pomóż doktorowi z Ralfem – nakazał Eddie, zeskakując z paki. Wiedział, że jeśli żołnierze będą ich gonić piechotą, dobiegną na miejsce po kilku minutach. Jeśli mają jeszcze jednego jepea – znajdą się na miejscu jeszcze szybciej. Zza ciężarówki obserwował wjazd na lotnisko. Macy i Osterhagen zanieśli Beckera do samolotu. Valero, zamiast wejść do kabiny i zapalić silnik, sprawdzał coś na skrzydle.

– Oscar, co ty wyprawiasz? Ruszaj!

– Muszę wszystko posprawdzać przed lotem! – odkrzyknął Valero.

– Nie mamy czasu!

– Ale jeśli coś będzie nie tak...

– Na pewno coś będzie nie tak, jak zaczną do nas strzelać. Żołnierze zaraz tu będą!

Valero nie był zachwycony, ale przerwał inspekcję i wsiadł do cessny. Osterhagen i Macy wciągnęli Beckera do środka przez duży właz po lewej stronie samolotu.

Eddie zerknął w stronę bramy. Pracownika lotniska już przy niej nie było, ale Chase wiedział, że za chwilę ktoś inny pojawi się na ścieżce. Mijały sekundy, a silnik samolotu wciąż milczał.

– Oscar, odpal to cholerstwo.

– To nie samochód! – zaprotestował Valero. – Muszę sprawdzić przełączniki i ustawić mieszankę paliwa.

– Rób to szybciej!

Coś poruszyło się przy bramie...

Dwaj żołnierze biegli w stronę terminala. Eddie strzelił dwa razy. Spudłował, ale zmusił wojskowych do ukrycia się. Silnik cessny wciąż nie zaczął pracować.

– Kurwa mać, Oscar, odpalaj!

Pojawił się trzeci żołnierz. Biegł ze schyloną głową. Kule zabębniły o bok ciężarówki, kiedy wystrzelił serię. Eddie odpowiedział ogniem. Tym razem trafił i żołnierz padł, wymachując rękami.

Na miejscu było już jednak trzech kolejnych mężczyzn, którzy otworzyli ogień. Kolejne pociski wbiły się w ciężarówkę. Eddie przykucnął za tylnymi kołami i zerknął pod samochodem. Pierwsi dwaj żołnierze znów ruszyli. Wiedział, że jeśli posuną się dalej, będą na dogodnej pozycji do strzału, kiedy samolot będzie kołował przed startem.

Zauważył szare i czerwone stalowe beczki z benzyną ustawione na niewielkim placu niedaleko terminala... I wpakował w nie cały magazynek kałasznikowa.

Jedna z beczek eksplodowała z głośnym hukiem, oblewając pozostałe płynnym ogniem i zapoczątkowując reakcję łańcuchową. Płonące beczki wystrzeliwały w górę, ciągnąc za sobą płomień i spadając na ziemię jak bomby. Jedna przebiła się przez dach terminala i cały budynek eksplodował, rozrzucając wokół arkusze blachy falistej.

Katastrofa przyniosła skutek – żołnierze uciekali przed rozprzestrzeniającymi się płomieniami.

Chase znów usłyszał głośny dźwięk, tym razem za sobą – Valero w końcu odpalił cessnę. Silnik zakaszał, a śmigło zaczęło się obracać. Eddie rzucił na ziemię karabin z pustym magazynkiem i wskoczył przez drzwi kabiny.

– Oscar, ruszaj!

Valero otworzył przepustnicę. Cessna z jękiem wysunęła się z wgłębień, które wyźłobiła w ziemi swoim ciężarem i, podskakując, ruszyła po nierównej ziemi w stronę pasa startowego.

Eddie obrócił się w stronę drzwi.

– Macy, karabin!

Kobieta podała mu drugiego kałasznikowa. Chase lewą ręką chwycił pasek zwisający nad włazem, wychylił się na zewnątrz i wycelował w stronę bramy. Żołnierze nadal byli w rozsypce, ogień się rozprzestrzenił, a gęsty dym wznosił się w niebo.

Uderzył go strumień powietrza ze śmigła, kiedy Valero zwiększył moc i wjechał na pas startowy. Eddie mocno zapał się nogami. Już podczas ostatniego lądowania nieźle rzucało, tym razem mogło być znacznie gorzej...

– Kurwa mać! – Jeep z dwoma żołnierzami w środku wjechał przez bramę. Pasażer wstał na siedzeniu, opierając AK-103 o przednią szybę. – Startujemy, już!

Valero zwiększył moc do maksimum. Samolot nabrał prędkości, koła podskakiwały na wybojach.

Jeep też przyspieszył. Był coraz bliżej.

Eddie i żołnierz wystrzelili niemal równocześnie. Przez nierówności na drodze żaden nie trafił, ale Wenezuelczyk mierzył do większego celu. Kule przebiły skrzydło cessny. Eddie ponownie otworzył ogień. Przednia szyba jeepa popękała, ale żaden z żołnierzy nie został trafiony. Po kolejnych strzałach, jakie padły z samochodu, rozległ się trzask ołowiu przebijającego aluminium. Valero krzyknął głośno, bo kule trafiły w tablicę z przyrządami.

Eddie jeszcze raz pociągnął za spust. Tym razem szyba w jeepie rozsypała się na milion kawałków. Strzelec opadł na siedzenie i mocno uchwycił się karoserii. Kierowca ostro skręcił, żeby znaleźć się za ogonem cessny.

Poza linią strzału Eddiego.

– Szlag! – Chase się odwrócił. Zobaczył terenówkę przez okienko z boku samolotu, ale próba oddania strzału przez wzmocniony akryl mogła zakończyć się śmiertelnym rykoszetem. Eddie

mocniej złapał za pasek, wychylił się z otwartego włazu i się zamachnął, wyrzucając rękę z karabinem ponad kadłub samolotu.

– Jezus Maria, Eddie! – wrzasnęła Macy. – Wracaj do środka!

Zgrzyt śmigła i wycie wiatru zagłuszyły jej słowa. Chase znów strzelił do jeepa. Karabin podskoczył mu w rękę, odbijając się od metalowego dachu.

Żołnierz odpowiedział ogniem. Kule przebiły kadłub.

Cessna wjechała jednym kołem w głęboki dół. Cały samolot gwałtownie podskoczył, a Eddie stracił punkt podparcia pod prawą stopą.

Zachwiał się i wysunął jeszcze dalej z samolotu. Pasek zatrzeszczał, wbijając mu się w nadgarstek. Lewa stopa utknęła za obramowaniem włazu. Metal boleśnie wbijał mu się w nogę.

Prawe ramię zaczęło ześlizgiwać się po dachu kabiny...

Cessna skierowała nos ku górze. Jeep zostawał z tyłu, ale żołnierz wciąż strzelał. W samolot trafiły kolejne kule.

Eddie przez cały czas się ześlizgiwał.

Zamachnął się ostatni raz, nadwyrężając ramię, zakleszczył kałasznikowa za ogonem samolotu, i przechylił się, celując w auto.

Karabin wypluł ostatnie kule. Większość wbiła się w ziemię i trawę, ale jedna trafiła w przednie koło pędzącego jeepa. Z opony natychmiast uleciało powietrze. Samochód przewrócił się na bok, wyrzucając obu żołnierzy wysoko w powietrze.

Skrzydła cessny ugięły się pod ciężarem maszyny.

Samolot ostatni raz dotknął ziemi, uderzając kołem w błoto. Caravan szarpnął, a but Eddiego wysunął się z włazu.

Porwał go pęd powietrza o prędkości stu dwudziestu kilometrów na godzinę. AK-103 wysunął mu się z ręki i poleciał na ziemię, kiedy cessna wzbijała się w powietrze. Chase macał ręką po dachu, ale trudno było mu znaleźć punkt zaczepienia na gładkim metalu. Pasek owinięty wokół jego nadgarstka trzeszczał i naprężał się, a uchwyt, do którego był przymocowany, wybrzuszył się pod ciężarem.

– Eddie! – krzyknęła Macy i zaczęła szarpać się z klamrą od pasa.

Samolot wznosił się coraz wyżej: był już trzydzieści metrów nad ziemią, pięćdziesiąt... Valero rozpaczliwie starał się ustabilizować maszynę.

– Zamknijcie właz! – wrzasnął.

– Tam jest Eddie! – odkrzyknęła Macy, wstała, i trzymając się siedzeń, ruszyła w stronę otworu.

– Nie! Zginiesz tam! – krzyknął Osterhagen, ale kobieta się nie zatrzymała. Niemiec zaklął i rozpiął pas.

Na zewnątrz Eddie coraz bardziej ześlizgiwał się z kadłuba, w miarę jak samolot nabierał prędkości. Łopotał jak chorągiewka, bezradnie machając nogami.

Pasek zaczynał pękać. Czuł, że uchwyt zaraz puści.

Czyjaś ręka złapała go za nadgarstek. Mrużąc oczy, spojrzął pod wiatr. Szczupłe palce, wypielęgnowane paznokcie. Macy. Kobieta wytknęła głowę przez właz, czarne włosy powiewały jej wokół twarzy.

– Wracaj do środka! – wrzasnął.

– Nie, trzymaj się! – odkrzyknęła, ciągnąc go za ramię. Eddie potrząsnął głową, rozpaczliwie próbując zmusić ją do powrotu do kabiny. Nie chciał umierać, ale jeszcze bardziej nie chciał pociągnąć Macy za sobą. Wiedział, że dziewczyna nie ma dość siły, by wciągnąć go przez właz, pokonując opór powietrza. Palce ześlizgiwały mu się z kadłuba...

Poczuł, że chwyta go jeszcze jedna ręka. Osterhagen. Niemiec wychylił się z włazu za starystką, trzymając się wolną ręką górnej krawędzi otworu.

– Oscar! – ryknął. – Teraz!

Valero skierował stery mocno w prawo, ostro skręcając samolot i jednocześnie ściągając go w dół.

Eddie ześlizgnął się i odpadł od kadłuba. Macy i Osterhagen ze wszystkich sił pociągnęli go

za ramię...

Grawitacja pokonała opór powietrza i Chase wpadł głową do kabiny, wlokąc swoich wybawców za sobą i uderzając w prawą ścianę, kiedy samolot odwrócił się na bok.

– Trzymać się! – ryknął Valero. Nie byli jeszcze bezpieczni. Samolot wciąż znajdował się na niewielkiej wysokości i z każdą sekundą schodził coraz niżej. Oscar pociągnął wolant do siebie, aby wyrównać lot i pasażerowie znaleźli się na podłodze. Pilot zobaczył w dole Orinoko. Cessna była zaledwie siedemdziesiąt pięć metrów nad rzeką.

I nadal pikowała.

– *Mierda!* – zaklął Valero, szarpiąc za stery.

Eddie wyjrzał przez okna kabiny. Widać było tylko wodę. Byli na wysokości sześćdziesięciu metrów, samolot wyrównywał lot, ale robił to wolno. Zbyt wolno. Nos maszyny uniósł się i w oknach pokazała się roślinność na drugim brzegu rzeki, ale nadal byli zbyt nisko...

Łup!

Poculi uderzenie, a przez otwarty włącz wpadła do środka ogromna fala wody.

Samolot wciąż jednak był w powietrzu, choć unosił się zaledwie kilkadziesiąt centymetrów nad rzeką i zdążył dotknąć jej podwoziem. Valero zdołał w ostatniej chwili opanować maszynę. Wenezueleczyk głośno krzyknął z radości i poderwał samolot. Cessna wzbijała się w powietrze, pryskając wokół kroplami wody spod kół.

– Wszyscy cali? – spytał Eddie, ciężko dysząc.

Osterhagen wczuł się z powrotem na siedzenie.

– Mam... chorobę powietrzną.

– O mój Boże! – pisnęła Macy. – Ja żyję. Ty żyjesz. Żyjemy! – Pocałowała Chase'a. – Nie mogę w to uwierzyć, wszyscy żyjemy! – Pocałowała go ponownie.

– Wolnego, mała, jestem żonaty – przypomniał jej Eddie. – Oscar, co z samolotem? Doleci do Caracas?

– Doleci bez problemu, ale część przyrządów nie działa. – Valero spojrzał na niego niemal przepraszająco, pokazując ślady po kulach. – Między innymi radio.

– Co? – Anglik wyprostował się na siedzeniu. – Nie wierzę, kurwa! Jak teraz skontaktujemy się z milicją?

– A przede wszystkim – dodała Macy – jak wylądujemy, skoro nie będziemy mogli nawiązać połączenia z kontrolą lotów?

– Podejdę do lądowania tak, żeby było widać uszkodzenia – wyjaśnił Valero. – Dadzą nam pierwszeństwo.

– Kiedy dotrzemy na miejsce?

– Za jakieś dwie i pół godziny. Ale nie wiem dokładnie – dodał Wenezueleczyk, patrząc z irytacją na Eddiego. – Nie mogę porządnie określić prędkości, bo nie pozwoliłeś mi zdjąć pokrywy z rurki Pitota.

Chase się roześmiał.

– To nieważne, bylebyśmy dolecieli. – Wstał z miejsca. – Mógłby ktoś zamknąć ten włącz? Straszny tu przeciąg.



Klub okazał się pałacem w dzielnicy Valle Arriba, leżącej na szczycie wzgórza w Caracas. Rozciągał się z niego widok na idealnie utrzymane prywatne pole golfowe, a za nim – na panoramę miasta. Mimo coraz większych nacisków wenezuelskich władz na sprawiedliwy podział bogactw, ta okolica była zarezerwowana dla zamożnych i uprzywilejowanych. Nie było tu *barrios*, a wartość nawet najmniejszego domu w dzielnicy przekraczała kilka milionów dolarów.

Nina bardzo wątpiła, czy jej i Kitowi dane będzie korzystać z tych luksusów.

Helikopter Callasa poleciał na północ do bazy lotniczej w Puerto Ayacucho, gdzie grupa przesiadła się do wojskowego samolotu transportowego lecącego do Caracas. Z lotniska dotarli do Klubu pod eskortą policji. Callas i Stikes siedzieli w pierwszym pojeździe, Kit i Nina, pod silną strażą, w drugim. Nina wyjrzała przez przyciemnioną szybę, kiedy auta skręcały na podjazd. Przy głównej bramie stało dwóch żołnierzy, kilku kolejnych zauważyła na terenie posiadłości. Po jednej stronie budynku znajdował się basen i prywatne lądowisko dla helikopterów. Nie był to typowy obiekt wojskowy.

Samochody zatrzymały się przed wejściem. Ninę i Kita wyciągnięto ze środka i zabrano do piwnic. Jeden z podziemnych pokoi został przekształcony w prowizoryczne więzienie z trzema małymi celami rozdzielonymi przez metalowe kraty. Ninę i Kita wepchnięto do skrajnych cel, środkowa pozostała pusta. Jeden z żołnierzy zamknął za nimi drzwi i usiadł na krześle, przypatrując się więźniom.

Pół godziny później w korytarzu na zewnątrz rozległy się kroki. Strażnik obejrzał się, gdy drzwi się otworzyły, a kiedy zobaczył w nich Callasa w asyście dwóch innych żołnierzy, wstał i zaszalutował. Za Wenezuelczykami wszedł do sali Stikes, niosąc walizeczkę z figurkami.

– Doktor Wilde, panie Jindal – powiedział Callas. – Mam nadzieję, że jest państwu wygodnie?

– Domyślam się, że wygodniej nie będzie – odpowiedziała Nina.

– To zależy od państwa. A także od pana Stikesa. Jeśli powie mu pani to, co chcemy wiedzieć, postaramy się ograniczyć niewygody.

– A jeśli nie?

– Na pewno się pani domyśla – stwierdził najemnik. – Jest pani przecież inteligentną kobietą. Chociaż z drugiej strony, skoro wyszła pani za Chase’a... Ale do rzeczy... – otworzył walizeczkę zawierającą dwie całe figurki, połowę trzeciej i torebkę z kipu. – El Dorado. Zaprowadzi nas tam pani.

– Nie wiem, jak tam trafić.

– Wie pani. Znalazła pani... jak to nazwał Chase? Paititi.

– Po latach badań archeologicznych prowadzonych przez doktora Osterhagena i inspekcji lotniczej – skłamała.

– W takim razie po co pani je przywiozła? – postukał w dwie całe statuetki. – Skąd wiedziała pani, że trzecia tu będzie?

– To dlatego, że...

Stikes zauważył, że się zawahała i że nie udało jej się szybko podać przekonującego wyjaśnienia – upewnił się, że coś ukrywa. Uśmiechnął się do niej nieprzyjemnie i spytał Callasa:

– Czy sala jest gotowa?

Generał skinął głową.

– Moi ludzie cię tam zaprowadzą.

– A to, o co prosiłem?

– Czeka tam na ciebie. Ciężko było to zdobyć tak szybko, ale moi ludzie mają swoje sposoby.

– Dobrze. – Stikes skinął głową strażnikowi. – Wyprowadź ją.

– Co z nią zrobisz? – spytał Kit, bezradnie szarpiąc kratami celi.  
– To samo, co później z panem – odpowiedział Stikes przerażająco beznamiętnym tonem.  
– W takim razie weź mnie najpierw. Jestem oficerem Interpolu i odpowiadam za doktor Wilde.

General roześmiał się sarkastycznie.

– Znalazł się bohater!

– Czyżby? – Stikes z zaciekawieniem przyjrzał się Kitowi. – To właśnie zamierzam sprawdzić. Na razie jednak... – Zrobił krok do tyłu, kiedy strażnik otworzył drzwi celi Niny, a żołnierze weszli do środka, żeby ją wyprowadzić. – Utnę sobie pogawędkę z doktor Wilde.

– Precz z łapami – warknęła Nina, wrywając się jednemu z wojskowych. Drugi zepchnął ją w róg pomieszczenia i obu mężczyznom udało się ją chwycić. Zaczęła kopać. – Spierdalać!

– Damie nie przystoi taki język – zauważył Stikes. – To z pewnością zły wpływ Chase'a. – Zamknął walizeczkę. – Generale, pozwoli pan?

Callas uśmiechnął się złośliwie.

– Miłej zabawy.

– Z pewnością będzie miło. – Najemnik dał sygnał żołnierzom, którzy wyprowadzili Ninę, i wyszedł za nimi z celi.

– Nina! – krzyknął Kit, ale po chwili zagłuszył go odgłos zamykanych ciężkich drzwi.

Kobietę zaciągnięto przez pomalowany na biało korytarz do małego pomieszczenia. Najwyraźniej służyło kiedyś jako magazyn, ale teraz półki były prawie puste. Stały na nich tylko dwa małe pudełka i rękawica z grubej, czarnej skóry. Jedno z pudełek było ciasno owinięte gumką i miało z boku kilka małych otworów. Pod jaskrawo świecącą lampą sufitową stało pordzewiałe metalowe krzesło.

Na siedzeniu leżała zwinięta lina.

Nina próbowała się wyrwać, ale żołnierze siłą posadzili ją na krzesło i przytrzymali, kiedy Stikes mocno przywiązywał jej nadgarstki do podłokietników i kostki do przednich nóg mebla. Na koniec ciasno owinął pozostałą część liny wokół jej klatki piersiowej.

– Siedzi pani wygodnie?

– Spierdalać!

– W takim razie zaczynamy – oznajmił niewzruszony Stikes. Kazał żołnierzom wyjść, zamknął drzwi i ponownie otworzył walizkę, odsłaniając jej zawartość.

– Zawsze sądziłem, że El Dorado to tylko mit.

– To jest tylko mit.

– Malowidła w świątyni temu przeczą. Paititi mogło być ostatnim przyczółkiem Inków, ale po drodze zbudowali znacznie większe miasto, El Dorado. – Najemnik podszedł do półki i wziął z niej rękawicę.

– Jakkolwiek nazywało się tamto osiedle, to nie było El Dorado – oświadczyła Nina, starając się, by Stikes jak najdłużej nie przechodził od słów do czynów. Otwory w pudełku z pewnością służyły jako wywietrzniki, co oznaczało, że w środku jest jakieś żywe stworzenie... a rękawica ochronna dowodziła, że nie jest ono przyjaźnie nastawione. – To całkiem inna legenda. Konkwistadorzy pomieszała ją z opowieścią o tym, jak Inkowie ukryli... złoto... – Urwała, kiedy mężczyzna założył rękawicę i zacisnął palce w pięść.

– To tylko kwestia semantyki – stwierdził Stikes. – Nazwa może się nie zgadzać, ale wygląda na to, że historia jest prawdziwa. Gdzieś w Peru ukryte są niewyobrażalne bogactwa. Przed chwilą sprawdziłem coś w internecie. Cella, którą inkaski cesarz miał wypełnić złotem, żeby kupić od Hiszpanów swoją wolność, miała wymiary siedem na pięć i pół metra. To trzydzieści osiem i pół metra kwadratowego. Zakładając, że wysokość pomieszczenia wynosiła dwa metry, to byłoby...

– Siedemdziesiąt siedem metrów sześciennych.

Najemnik był pod wrażeniem.

– Dokładnie. Siedemdziesiąt siedem metrów sześciennych... złota. Wie pani, ile to by było warte?

– Jeszcze nie sprawdzałam dzisiaj cen złota.

Jej sarkazm nie zrobił na mężczyźnie wrażenia.

– Jeden metr sześcienny złota waży dziewiętnaście i trzy dziesiąte tony. Podobno świetnie pani liczy w pamięci, więc na pewno będzie pani w stanie określić, ile ton było potrzebnych, aby wypełnić celę.

Nina nie zdołała oprzeć się pokusie i wbrew sobie wykonała obliczenia.

– Tysiąc czterysta osiemdziesiąt sześć ton. I jedna dziesiąta.

– I jedna dziesiąta – powtórzył Stikes ze złośliwym uśmiechem. – Prawie półtora miliarda gramów złota. Amerykańskich miliardów. Miliard brytyjski jakoś wyszedł z użycia<sup>1</sup>. Ale przy dzisiejszych cenach za gram byłoby to warte ponad pięćdziesiąt miliardów dolarów. Nie dziwi się chyba pani, że zależy nam z generałem Callasem, by znaleźć to miejsce.

– Zalanie rynku taką ilością złota spowodowałoby spadek cen niemal do zera – przypomniała mu Nina, nadal starając się przeciągnąć rozmowę. Słyszała, jak w pudełku coś się porusza, wydając niepokojące cykanie i szelest. – Poza tym Atahualpa obiecał Pizarrowi, że wypełni celę skarba-  
mi, a nie czystym złotem. Nawet gdyby poupychali kosztowności, zostałyby mnóstwo pustego miejsca.

– Szczerze mówiąc, nawet gdyby cesarz wypełnił salę tylko w jednej piątej, i tak byłaby ona warta zachodu. Ale rzecz w tym, że jej nie wypełnił, prawda? Kazał swoim ludziom schować skarby w miejscu, w którym Hiszpanie nigdy ich nie znajdą. I nie znaleźli. Ani oni, ani nikt inny. – Spojrzał na statuetki. – Aż do tej chwili.

– Powtarzam, nie wiem, jak tam trafić.

– Możliwe, że pani jeszcze... nie wie. – Stikes zdjął gumkę z pudełka. – Ale jak już mówiłem, jest pani inteligentną kobietą. A pani dokonania mówią same za siebie. Jestem pewien, że jeśli przyłoży się pani do poszukiwania El Dorado, osiągnie pani cel.

– Nie zrobię tego.

– Jestem pewien, że zmieni pani zdanie – stwierdził najemnik, podnosząc wieczko. – Choć może to wymagać pewnej, powiedzmy, zachęty. – Włożył osłonięte rękawicą kciuk i palec wskazujący do pudełka, aby złapać jego zawartość.

Udało mu się to dopiero po kilku próbach. Zawartość najwyraźniej nie chciała zostać złapana.

– A więc nie chce pani mówić? Moglibyśmy...

Nina instynktownie skuliła się ze strachu, kiedy Stikes wyciągnął mieszkańca pudełka.

Był to skorpion.

Ciemnozielone zwierzę, upstrzone złotymi cętkami i prążkami, wściekle wiło się w uścisku Stikesa, bezskutecznie próbując wbić jadowite żądło w grubą rękawicę.

– To wenezuelski skorpion – oświadczył mężczyzna, jakby prowadził szkolną prezentację. – Wciąż toczy się dyskusja, czy jest najgroźniejszym skorpionem na świecie, czy drugim w kolejności. Tak czy inaczej, jego ukąszenie zabija zdrowego dorosłego w ciągu dziesięciu minut. – Podszedł bliżej, trzymając rzucającego się pajęczaka przed twarzą Niny. Przerazona kobieta gwałtownie cofnęła głowę. – Po ukąszeniu jedyną nadzieją na przeżycie jest wstrzyknięcie surowicy. Na szczęście – zerknął na drugie pudełko – mam tu strzykawkę.

– T... to dobrze – powiedziała Nina. Spazmatycznie łapała oddech, a serce waliło jej jak oszalałe. Skorpion znajdował się zaledwie kilka centymetrów od jej oczu i kłapał w jej stronę kulistymi szczypcami. – Bo wypadki chodzą po ludziach.

– Ależ to nie będzie wypadek.

Stikes odsunął skorpiona od jej twarzy... I przyłożył do jej związanego przedramienia.

Rozwścieczone zwierzę machnęło ogonem, wbijając jadowite żądło w nadgarstek Niny. Kobieta instynktownie krzyknęła, jakby ukąsiła ją pszczoła – a potem zrobiła to już świadomie, kiedy zdała sobie sprawę ze swego położenia. Ból po użądleniu szybko osłabł, ale zastąpił go inny, piekący, który rozlał się po jej ramieniu.

– O Boże!

Stikes włożył pajęczaka z powrotem do pudełka, otworzył drugi pojemnik i wyjął z niego strzykawkę wypełnioną bezbarwnym płynem.

– Teraz porozmawiamy sobie o El Dorado. Jeśli prawidłowo odpowie pani na moje pytania, podam pani surowicę.

Nina bezradnie szarpała się w więzach. Miejsce użądlenia zaczęło puchnąć. Pieczenie czuła już w całym ciele. Przez przyspieszone bicie serca trucizna szybciej rozchodziła się po układzie krwionośnym. W mięśniach ramion poczuła inny rodzaj bólu – intensywny skurcz.

– Nie wiem, gdzie leży El Dorado! – krzyknęła. – To Osterhagen jest ekspertem od Inków, nie ja!

– Musi się pani bardziej postarać. Widziała pani malowidła na ścianach. Z pewnością domyśliła się pani, co oznaczają. Nawet mnie się to udało, a nie jestem archeologiem. – Zamachał jej przed nosem strzykawką. – Proszę powiedzieć, co pani widziała.

Skurcz dotarł do gardła Niny. Poczua się tak, jakby niewidzialna ręka powoli zaciskała się wokół jej szyi.

– Opis... opis ich podróży – odpowiedziała. – Pokazujący, jak uciekli z Cuzco przed Hiszpanami. Przez Andy, a potem w dorzecze Amazonki. To była mapa.

– Owszem, mapa. Pokazująca bardzo ważny przystanek po drodze. El Dorado.

– Tak – wychrypiała. – Ale Inkowie bali się, że... że Hiszpanie je znajdą, więc ruszyli dalej. Stikes skinął głową.

– Czyli mamy punkt wyjścia, Cuzco, punkt dojścia, Paititi, i swego rodzaju mapę. Powinniśmy dzięki temu znaleźć El Dorado. Jak odczytać mapę?

– Nie wiem.

Mężczyzna wyciągnął przed siebie strzykawkę i lekko nacisnął kciukiem tłok. Na końcu igły pokazały się krople.

– Spróbujmy jeszcze raz.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem! Nie mieliśmy jeszcze na to czasu!

– Teraz też ma go pani niewiele. Proszę myśleć szybko. Na mapie, pomiędzy obrazkami, były znaki. Co symbolizowały? Czy były to wskazówki?

Nina czuła coraz większy ból i spazmatycznie łapała powietrze, usiłując przypomnieć sobie, co wiedziała.

– Nie wiem! Inkowie nie opracowali alfabetu! Jeśli są to drogowskazy, to nie wiem, co oznaczają. Nikt nigdy przedtem takich nie widział, nawet Osterhagen!

Stikes przez dłuższą chwilę przyglądał się jej badawczo... a potem odwrócił się, niechętnie przyjmując do wiadomości to, co powiedziała.

– W porządku. Nie wie pani, jak odczytać mapę. Porozmawiajmy o czymś innym. Jak właściwie trafiła pani do Paititi? I proszę nie wmawiać mi, że był to efekt lat mrówczej pracy. – Wziął do ręki jedną z kamiennych figurek. – To ma jakiś związek z tymi posążkami, prawda?

Nina, sparaliżowana toksyną skorpiona, traciła czucie w dłoniach i stopach, a jednocześnie czuła coraz silniejszy ból. Niewidzialna ręka coraz mocniej zaciskała się na jej gardle.

– One mnie tam doprowadziły – powiedziała zduszonym głosem, rozpaczliwie próbując złapać oddech. Nie myślała już o stawianiu oporu – instynkt samozachowawczy wziął górę.

– Doprowadziły? W jaki sposób?

– Przez zjawisko zwane energią Ziemi. Nie wiem, jak to działa, ale... w pewnych warunkach figurki świecą. Wskazują na siebie. Moja Agencja miała... – urwała i zwinęła się z bólu, kiedy jej ciało przeszył skurcz. – O Boże! Proszę, błagam! – Z desperacją wpatrywała się w strzykawkę.

– Co miała Agencja? – spytał najemnik. – Proszę mi powiedzieć!

– Dwie figurki. Agencja miała dwie figurki. Kiedy je połączyłam, wskazały na Wenezuelę. Interpol sądził, że ma to związek z inkaskimi artefaktami, które Callas sprzedawał z Valverde. – Zaczęła spazmatycznie łapać powietrze, starając się oddychać przez zaciśniętą tchawicę. – Nic więcej nie wiem. Proszę...

Stikes zamyślony przyglądał się statuetce.

– Czy każdy może wykorzystać ten efekt „energii Ziemi”?

Ninę piekły oczy, łzy zasłaniały jej widok.

– Nie, tylko ja. To ma coś wspólnego z polem bioelektrycznym mojego ciała. Nie wiem,

dłaczego. Po prostu tak jest... – Dyszała ciężko. Każdy oddech był dla niej potwornym wysiłkiem.

– Proszę, powiedziałam wszystko, co wiem...

Stikes przez chwilę stał nieruchomo, wpatrując się w kamienny posążek... potem odłożył go, podwinął rękaw Niny, znalazł żyłę i wbił w nią igłę. Kobieta prawie nie poczuła ukłucia przez palący ból, ale po kilku sekundach ucisk w gardle zelżał. Wzięła długi głęboki oddech.

Mężczyzna wyjął igłę. W strzykawce pozostała połowa zawartości.

– Czyli pierwsze dwie figurki doprowadziły panią do Paititi, gdzie znalazła pani połowę trzeciej... a według malowidła druga połowa znajduje się gdzieś w El Dorado. – Odłożył strzykawkę do pudełka. – I pozostałe statuetki wskażą tam drogę. To się świetnie składa.

– Nie... pomogę wam – wychrypiała Nina, kręcąc głową.

– Oboje wiemy, że to nieprawda – stwierdził Stikes i dodał, podchodząc do walizki – ale najpierw muszę się zająć pracą. Nie ma sensu planować emerytury, póki nie mam na nią pieniędzy.

Nina zamrugnęła, aby pozbyć się łez z oczu. Kiedy odzyskała ostrość widzenia, zobaczyła, że Stikes odkłada figurkę na piankowe podłoże. Potem położył torebkę z kipu na trzech posążkach i zamknął walizkę.

Kipu...

Osterhagen mówił, że te sznurki z węzłkami są cenne nie ze względu na wartość surowców, ale na rzadkość występowania. Jak je nazwał Cuff? Mówiące węzły. Wyjątkowa forma prowadzenia zapisów. Inkowie nie mieli alfabetu, ale potrafili zapisywać liczby.

Liczby.

Odległości. Kierunki. Każdą podróż dawało się sprowadzić do serii liczb, wystarczyło znać system...

Znów poczuła ucisk w klatce piersiowej. Tym razem nie był on spowodowany działaniem trucizny, a przyływem adrenaliny po nagłym odkryciu. Zrozumiała, że kipu stanowi klucz do mapy, a znaki na niej są powiązane z dziesiątkami węzłków na sznurkach.

Stikes miał ją i statuetki, ale nie dysponował źródłem energii Ziemi. W Paititi jej działanie było tak słabe, że jedynie pozwoliło się domyślać położenia drugiej części ostatniej figurki.

Mając kipu i malowidło przedstawiające ostatnią podróż Inków, nie potrzebowałyby posążków. Miałyby mapę.

Nie odezwała się ani słowem i starała się, żeby jej twarz nie zdradziła radości z nieoczekiwanego odkrycia. Stikes nadal miał skorpiona i drugą porcję surowicy, które mógł wykorzystać do doprowadzenia jej na skraj śmierci, gdyby uznał, że ukrywa cenne informacje. Mężczyzna spojrzał na nią zimnymi niebieskimi oczami. Czyżby zdał sobie sprawę, że udało jej się wymyślić sposób odczytania mapy?

Nie. Odwrócił się, otworzył drzwi i wezwał żołnierzy. Mężczyźni rozwiązali ją i powlekli z powrotem przez piwnice.

– Nina! – krzyknął Kit, kiedy na miękkich nogach trafiła do swojej celi. – Wszystko w porządku?

– Po prostu bosko – jęknęła. Mimo surowicy, wciąż czuła się odrętwiała, miała mdłości, a w miejscu, gdzie ukąsił ją skorpion, ręka była boleśnie spuchnięta.

– Co oni ci zrobili?

– Zaraz się pan przekona – oznajmił Stikes. Żołnierze otworzyli jego celę. Tym razem nie bawili się z więźniem w ganianego. Jeden z żołnierzy uderzył Kita pięścią w brzuch tak, że mężczyzna zgiął się wpół.

– Dranie – powiedziała Nina zbyt słaba, żeby chociaż podnieść rękę w geście protestu, kiedy wywlekano Hindusa z celi. – On nie jest archeologiem, nic wam nie powie o El Dorado.

Stikes uniósł dłoń. Żołnierze się zatrzymali.

– Może i nie – rzucił najemnik. – Ale może opowiedzieć mi o czymś innym. – Przysunął się bliżej agenta Interpolu i wpatrywał się w niego nieruchomymi oczami. – Dlaczego pan się tu znalazł, panie Jindal?

– Prowadzę sprawę... przemytu – jęknął Kit.

– Nie, chodzi mi o to, dlaczego naprawdę pan tu przyjechał. – Na chwilę zapadła cisza.

Dwaj mężczyźni przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Potem Stikes strzelił palcami. – Bardzo szybko mi pan powie – zapowiedział, kiedy żołnierze wyprowadzali więźnia.

– Jak to, dlaczego naprawdę tu przyjechał? – spytała Nina. Najemnik tylko spojrzał na nią z pogardą i zatrzasnął za sobą drzwi.

Pod nimi rozciągała się bezkresna dżungla. Cessna zmierzała niemal dokładnie na północ w stronę Caracas, odrobinę zbaczając z kursu, aby ominąć szczyty gór Serrania Mapiche. Słońce chyliło się ku zachodowi, nadając krajobrazowi złoty odcień. Członkowie ekspedycji wyruszyli z Valverde przed mniej niż godziną i nie byli jeszcze nawet w połowie drogi do celu, a za około czterdzieści minut miało się ściemnić.

– Czy nie będzie problemów z lądowaniem bez radia? – spytał Eddie siedzący na miejscu drugiego pilota.

– Spokojnie, dam sobie radę – stwierdził Valero.

– Świetnie. – Chase spojrział w głąb kabiny. – Jak Ralf?

– Śpi – powiedziała Macy. Razem z Osterhagenem oczyścili i zabandażowali ranę Beckera, korzystając z samolotowej apteczki, a potem na zmianę czuwali przy rannym. Miał szansę z tego wyjść, jeśli dotrą na czas do szpitala.

– A ty?

Kobieta uśmiechnęła się smutno.

– Żałuję, że nie poszłam na medycynę, jak moi rodzice. Do lekarzy rzadziej strzelają. Nawet w Miami.

Eddie uśmiechnął się i spojrział na mapę nawigacyjną. Oscar pokazał mu wcześniej charakterystyczny punkt po drodze: Cerro Autana, ogromną spłaszczoną górę stojącą samotnie na porośniętej dżunglą równinie. Dziwne wzniesienie było już wiele kilometrów za nimi, więc niedługo powinni przelecieć około piętnaście kilometrów na wschód od miasta Puerto Ayacucho.

Chase zauważył coś jeszcze. Puerto Ayacucho to stolica regionu, miało więc spore lotnisko... ale było ono oznaczone jako obiekt wojskowy.

– Czy to baza lotnicza? – spytał, pokazując miejsce na mapie.

– *Si* – odpowiedział Valero. – Dlatego lecimy do Caracas. Nie chcę lądować pod nosem przyjaciół Callasa.

To, co mówił, miało sens, ale Eddie nagle się zaniepokoił. Baza lotnicza położona tak blisko granicy z pewnością była wykorzystywana do celów strategicznych. Samoloty patrolowały granicę wenezuelskiej przestrzeni powietrznej...

I przechwytywały intruzów.

– Gdzie lornetka?

Macy, zaniepokojona jego tonem, szybko mu ją podała.

– Co się stało?

– Jeśli Callas ma przyjaciół w siłach powietrznych, nie musimy tam lądować, żeby się z nimi spotkać. Wystarczy, że oni przylecą do nas!

Spojrzał przez lornetkę na północny zachód wzdłuż Orinoko. Zauważył szarość i brąz zabudowań. Lotnisko znajdowało się na południe od miasta.

Nawet z tej odległości bez trudu rozpoznał kilka stojących na nim cywilnych samolotów pasażerskich. Szukał jednak czegoś mniejszego. Spojrział w bok od terminala cywilnego, na skupisko hangarów i budynków pomocniczych. Wyglądały jak obiekty wojskowe.

Coś poruszało się w drgającym od upału powietrzu. Był to myśliwiec pomalowany w maskującą wzór. Jechał w stronę pasa startowego.

To mógł być przypadek, samolot mógł po prostu ruszać na rutynowy patrol... ale nie dałby sobie uciąć za to głowy.

– Oscar, sprowadź samolot jak najniżej i oddal się od miasta. Szybko!

– Dlaczego?

– Bo jeśli tego nie zrobisz, będzie po nas! Wysłali za nami myśliwiec.

Zszokowany Valero zapikował. Macy mocniej zacisnęła pas bezpieczeństwa.

– Nie bardzo znam się na samolotach, ale czy w tej maszynie mamy z nimi jakieś szanse? – spytała, wskazując na śmigło.

– Dlatego właśnie spróbujemy zniknąć im z radarów – wyjaśnił Eddie. – Większość jest skierowana na zachód, w stronę Kolumbii. Może nam się uda.

Mina Valero wskazywała, że to mało prawdopodobne. Macy zobaczyła, jak mężczyźni spoglądają po sobie.

– Fantastycznie! Po tym wszystkim, co przeszliśmy, teraz zestrzeli nas jakiś wenezuelski Czerwony Baron?

– Nikt nas nie zestrzeli – warknął Eddie i znów spojrział przez lornetkę.

Z pikującego samolotu zobaczył zniekształcony obraz pasa startowego. Gdzie się podział myśliwiec? Nigdzie go nie widział. Albo przesłoniły go drgania światła, albo...

Był już w powietrzu, wznosząc się pionowo w górę i strzelając płomieniami z dopalacza. Chase znał jego sylwetkę ze szkolenia wojskowego: był to Mirage 5, myśliwiec produkcji francuskiej o trójkątnych skrzydłach. Niektóre wersje nie były wyposażone w radar... Ale wenezuelska go miała.

Samolot wkrótce ich namierzy.

– Kurwa mać – mruknął.

– O rety – westchnęła Macy. – Niedobrze?

– Niedobrze.

– Cholera! Dlaczego nie uważałam na biologii?

Płomień z dopalacza zniknął. Myśliwiec wyrównał lot, po czym zwrócił się w ich kierunku.

– Oscar, nie mam, kurwa, pojęcia, jak to zrobisz, ale musisz go zgubić. Inaczej nie przeżyjemy – stwierdził Eddie.

Valero spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Też nie mam, kurwa, pojęcia, jak to zrobić! – Mężczyzna wyrównał lot. Cessna znajdowała się zaledwie kilka metrów nad puszcą.

– Tam jest rzeka. Może moglibyśmy polecieć wzdłuż niej, za drzewami? – zaproponowała Macy.

Valero nie wyglądał na człowieka, który wierzy w powodzenie tego pomysłu, ale skręcił i poleciał wzdłuż rzeki, opadając niżej i przymykając przepustnicę, żeby móc swobodnie wchodzić w zakręty.

Wysokie drzewa porastające brzegi zasłaniały Eddiemu myśliwiec. Przez chwilę miał nadzieję, że im się uda. Jeśli oni nie mogli go zobaczyć, mirage także ich nie widział – a radar będzie miał problemy z wykryciem ich przez drzewa.

Wystarczyło jednak, żeby pilot wleciał nad rzekę, a zobaczyłby białą sylwetkę cessny.

Valero skręcił jeszcze raz. Eddie przez cały czas obserwował niebo. Wysoko ułożone skrzydła, dzięki którym z caravana idealnie obserwowało się ziemię, teraz zasłaniały mu widok. Kiedy myśliwiec do nich dotrze? Mirage mógł rozwinąć prędkość naddźwiękową, ale i bez tego pokonałby dzielącą ich odległość w mniej niż dwie minuty.

Osterhagen krzyknął przestraszony, kiedy zahaczyli skrzydłem o gałąź. Eddie zmrużył oczy. Na szczęście samolot ocalał – została na nim tylko zielona plama.

Valero jeszcze bardziej zwolnił, utrzymując cessnę tuż powyżej prędkości przeciągnięcia. Mimo to samolot przedzierał się przez dżunglę z szybkością ponad stu kilometrów na godzinę. Rzeka wiła się, a las deszczowy wznosił się po obu jej stronach jak zielone ściany.

Ściany były coraz bliżej siebie.

– Nie zmieścimy się – powiedział nagle Valero.

Eddie wciąż przyglądał się niebu.

– Leć nisko najdłużej, jak się da. Jeśli nas minie, możemy mieć szansę.

– Widzę go! – krzyknęła Macy.

– Mija nas?

– A jak myślisz? – dodała kobieta, wściekła i przerażona.



– Oscar, do góry! – ryknął Eddie. Osłona nic nie dała. Teraz potrzebowali większego pola manewru. – Macy, co z myśliwcem?

– Leci prosto na nas! – wrzasnęła, przekrzykując ryk silnika, kiedy Valero ostro poderwał maszynę w górę.

Eddie wreszcie znów zobaczył mirage'a. Słońce lśniło na osłonie kokpitu myśliwca. Maszyna rzeczywiście skierowała się wprost na nich. Cessna była w jej polu rażenia i stanowiła łatwy cel...

Pod kadłubem maszyny zobaczył ogień. Świeące pomarańczowe kropki wydawały się płynąć ku nim powoli, ale Chase dobrze wiedział, że to tylko złudzenie.

– Strzela do nas! – krzyknął.

Valero w odpowiedzi ostro skręcił. Przedmioty, które stały luzem, zaczęły latać po kabinie. Z dachu rozległ się głośny trzask – aluminiowy panel pękł pod wpływem naprężenia. Eddie stracił z oczu myśliwiec, ale wiedział, że ten nie przerwał ostrzału...

Jaskrawe smugi przemknęły za oknami jak meteory.

– Spudłował! – krzyknął Osterhagen.

– Oby tak dalej! – rzucił Eddie, starając się utrzymać na siedzeniu. Znów zobaczył mirage'a. Tym razem bliżej. Padły kolejne strzały.

– Oscar!

Valero znów zmienił kurs i poderwał maszynę...

Za późno. Niektóre pociski przeleciały obok – ale część wbiła się w cel. W prawym skrzydle pojawiły się dwie dziury wielkości pięści. Macy krzyknęła, kiedy kawałek szrapnela strzaskał okno obok niej.

Valero z trudem opanował samolot.

– Dasz radę lecieć dalej? – spytał Eddie, starając się ocenić straty. Coś ciągnęło się za uszkodzonym skrzydłem. Dym?

Nie. Czerwony płyn migoczący w zachodzącym słońcu.

Paliwo.

Wenezuelczyk też je zobaczył. Zaklął po hiszpańsku, przyglądając się wskaźnikom. Bak w skrzydle został przeбитo od góry i od dołu przez pociski z działa.

– Nie dam rady powstrzymać wycieku.

– Samolot! – krzyknęła Macy, instynktownie schylając głowę. Eddie zobaczył smugi zielonej i brązowej farby maskującej, kiedy myśliwiec ruszył w ich stronę.

Mirage przeleciał nad nimi z ogłuszającym hukiem. Cessna zatrzęsała się gwałtownie w strumieniu powietrza, który zostawił za sobą. Myśliwiec leciał zbyt szybko – nie zdążył zwolnić, żeby zrównać się z mniejszym samolotem. Zapalił dopalacz i pomknął w dal.

Osterhagen obserwował go wytrzeszczonymi oczami.

– Odlatuje – powiedział, z trudem łapiąc powietrze.

– Niestety, nie – zauważył Eddie ponuro. Mirage zataczał długi łuk, pilot zamierzał skierować maszynę w przeciwnym kierunku... i odpalić raketę.

– Czy dolecimy do Caracas bez tego baku? – Valero pokręcił głową. – Kurwa mać! Ile paliwa w nim zostało?

Oscar sprawdził wskaźnik. Strzałka opadała powoli, ale nieubłaganie.

– Czteryście litrów i wciąż ubywa.

Eddie przez chwilę się nad czymś zastanawiał, przyglądając się myśliwcowi.

– Oddal się od niego i poderwij samolot – nakazał.

Zdziwiony Valero popatrzył na niego.

– Co?

– Do góry! Musimy być jak najwyżej! – Chase rozpiął pas, a Valero poderwał cessnę i skierował ją na północny zachód.

– Co ty robisz? – spytała Macy, gdy Eddi wstał.

– Gdzie apteczka?

W żółtej plastikowej skrzynce znajdował się nie tylko zestaw pierwszej pomocy, którego

użyli podczas opatrywania Beckera. Zauważył ją z tyłu kabiny i zjechał po opadającej podłodze, aby do niej dotrzeć.

Świecąca plamka dopalacza mirage'a zniknęła.

– Eddie, myśliwiec zawraca – ostrzegł Valero.

– Leć cały czas w górę! – Chase otworzył skrzynkę. Znajdował się w niej pistolet sygnałowy i kilka rac. Załadował jedną do broni i wyjrzał przez okno. Mirage wracał w stronę cessny. – Dobra, Oscar, możesz zrzucić paliwo z tego rozbitego baku?

– Tak. Ale po co?

– Przygotuj się. Wyrównaj lot i obróć się tak, żeby myśliwiec był dokładnie za nami.

– Ale wtedy będziemy naprawdę łatwym celem... Aha! – powiedziała Macy, przyglądając mu się z nadzieją. – Wykorzystasz racę, żeby zmylić raketę!

– Nie – odparł Chase, kręcąc głową. – To się udaje tylko w filmach. – My potrzebujemy czegoś innego! – Obok głównego wjazdu znajdowały się małe drzwiczki. Chase otworzył je i uchylił klapę. Do kabiny wdarło się powietrze – i zapach paliwa. Wyciekająca benzyna lotnicza wirowała za skrzydłem samolotu.

Nadzieja Macy zmieniła się w przerażenie i niedowierzanie.

– Chcesz wysadzić w powietrze paliwo? I nas też przy okazji?

– Nic nam się nie stanie, jeśli dobrze obliczę czas. – Mirage ustawił się za nimi w odległości kilku kilometrów – idealnej do odpalenia pocisku termolokacyjnego. – Oscar, na moją komendę zrzuć paliwo i pikuj na ziemię. – Myśliwiec zniknął im z oczu za ogonem cessny. – Teraz!

Przerażony Valero pociągnął za dźwignię.

Do strug czerwonej benzyny lotniczej wyciekających z otworów w skrzydle dołączył znacznie większy strumień z otwartego zaworu. Strzałka na wskaźniku paliwa zjechała ostro w dół. Eddie wychylił się z otwartego wjazdu i, ignorując zaśmigłowy strumień powietrza szarpiący go za głowę, wycelował w mirage'a. Czarna kropka znajdowała się dokładnie za nimi. Przygotował pistolet sygnałowy do strzału...

Pod myśliwcem znów rozbrzysnął ogień – tym razem pod skrzydłem – i oderwał się od niego pomalowany na biało przedmiot, ciągnąc za sobą smugę dymu. Pocisk termolokacyjny – albo amerykański Sidewinder, albo francuski Magic. Nie robiło im to różnicy – każda z rakiet mogła namierzyć ich bez problemu.

Pocisk leciał z prędkością ponad dwóch machów, więc trafi w cel w zaledwie kilka sekund.

Paliwo nadal płynęło szerokim strumieniem ze skrzydła. Eddie wstrzymał oddech i poczuł, jak krople benzyny osiadają mu na skórze. Jeśli wystrzeli za wcześnie, spełnią się obawy Macy – płonące opary benzyny pochłoną samolot i jego pasażerów.

Jeśli wystrzeli za późno, i tak zginą...

Wyływ paliwa ustał, z baku wyciekały ostatnie krople.

Nacisnął spust.

Pistolet podskoczył, a raca poleciała w kierunku rozpraszającej się czerwonej chmury. Przez chwilę nic się nie działo...

Potem niebo stanęło w ogniu.

Płomienie rozprzestrzeniały się błyskawicznie, pochłaniając spadające paliwo. Języki ognia wzniosły się w kierunku cessny, próbując dosięgnąć resztek benzyny w rozerwanym skrzydle. Eddie wskoczył z powrotem do kabiny, kiedy w samolot uderzyła fala gorąca.

Pocisk R550 Magic był uzbrojony w głowicę odłamkową posiadającą dwanaście i pół kilograma silnego materiału wybuchowego owiniętego kruchą stalą. Kula ognia zmyliła czujnik podczerwieni. Pierwotne źródło światła – silnik cessny – zniknęło za czymś znacznie większym i gorętszym. Pocisk w ułamku sekundy dokonał przeglądu zaprogramowanych opcji. W przypadku zgubienia celu w bliskiej odległości przewidziano tylko jedno rozwiązanie – detonację.

Rakieta znajdowała się mniej niż sto metrów od cessny, kiedy głowica eksplodowała, wyrzucając we wszystkie strony rozgrzane do czerwoności szrapnele. Większość kawałków metalu nie trafiła... ale wystarczyło, by niewielka część wbiła się w cel.

Ogon caravana został rozerwany na strzępy, inne rozpalone szrapnele przebiły skrzydła i ka-

dłub.

Jeden trafił Valero nad uchem. Szybę w kokpicie zbrzygała krew.

Nieprzytomny mężczyzna osunął się do przodu. Cessna zapikowała gwałtowniej i wpadła w korkociąg.

Chase zjechał na przód kabiny, kiedy samolot się przechylił.

– Eddie! – krzyknęła Macy. – Oscar dostał! – Mężczyzna podciągnął się do góry i wskoczył na siedzenie drugiego pilota. Rzędy lampek i wskaźników, na które spojrział, nic mu nie mówiły.

– Muszę kiedyś w końcu zrobić pieprzony kurs pilotażu – mruknął do siebie, chwytając za stery.

Obrócił je jak kierownicę w nadziei, że uda mu się wyprowadzić samolot z korkociągu. Cessna, dymiąc z ogona, przestała się obracać – ale jej nos nadal był skierowany w dół, w stronę puszczy. Chase'owi udało się odczytać wskazania wysokościomierza: sześćset metrów.

Wysokość szybko się zmniejszała. Pociągnął za stery, próbując wyrównać lot. Nic się nie stało, a wolant ani drgnął.

– Kurwa mać – mruknął i pociągnął jeszcze raz, tym razem mocniej. Stery lekko się poruszyły, a potem znów utkwily w miejscu. Uderzenie w ogon samolotu uszkodziło usterzenie poziome. Czteryście pięćdziesiąt metrów. Szarpnął wolantem, usiłując go uwolnić. Samolot zareagował, podskakując w górę i w dół jak kolejka górską, ale stery pozostały nieruchome.

Nie przestały jednak działać – to znaczyło, że nadal są połączone z usterzeniem poziomym. Coś tylko blokowało ich ruch. Może uda się je odblokować...

Trzysta metrów...

Eddie zapał się nogami o deskę rozdzielczą. Macy patrzyła zaskoczona i przerażona, jak szarpał za wolant.

– Trzymajcie się! – ostrzegł, ciągnąc za stery, a jednocześnie z całej siły odpychając się nogami. Próbował odblokować stery siłą.

Wolant zatrzeszczał i przez chwilę zadrgał, ale pozostał zaklinowany. Chase pociągnął mocniej. Wiedział, że jeśli odłamie uchwyty, będzie po samolocie.

Sto pięćdziesiąt...

– No dalej! – wychrypiał, krzywiąc się z wysiłku. Dżungla była coraz bliżej. Sto metrów. Eddie czuł drżenie napiętych mięśni. Szklana osłona jakiegoś wskaźnika pękła mu pod stopą.

Sześćdziesiąt...

Coś trzasnęło. Wolant nagle się uwolnił, a usterzenie poziome zmieniło położenie. Samolot wyrównał lot...

Za późno.

Najwyższe drzewa w dżungli mierzyły dobrze ponad trzydzieści metrów. Cessna wyrównała lot, ale nadal nieubłaganie leciała w stronę leśnego gąszczu.

Śmigło przedarło się przez czubek jednego z drzew jak piła łańcuchowa, ścinając gałęzie i liście. Eddie szamotał się ze sterami, wciąż próbując poderwać maszynę, ale samolot uderzył w kolejne drzewo. Tym razem konary rozorały poszycie kadłuba.

Chase zobaczył przed sobą olbrzymią sekwoję wyrastającą ponad inne drzewa. Wcisnął pedał sterowania kierunkowego, ale nawet gdyby stery działały prawidłowo, nie miał dość czasu, by zawrócić...

Samolot minął pień drzewa w odległości niecałych trzydziestu centymetrów, odrywając lewe skrzydło u podstawy. Ze zgnieczonego baku trysnęło paliwo. Ogon cessny, który nadal się tlił, przeleciał przez chmurę benzyny, zapalając ją. Skrzydło rozpadło się gwałtownie, a przez liście wzbila się ku górze tłusta chmura.

Pozostała część samolotu zaczęła spadać. Poszarpany ogon płonął.

– Uwaga! – wrzasnął Eddie, chwycił pas i skulił się w pozycji do lądowania awaryjnego.

Cessna uderzyła o ziemię podwoziem. Impet uderzenia oderwał koła i zdeformował kadłub. Łopaty śmigła wbiły się w ziemię i pozaginały. Prawe skrzydło uderzyło w drzewo, które rozzerwało je na pół. Kadłub ślizgał się naprzód, wzbijając fontanny błota i gnijących roślin. Przednia szyba pękła i do kokpitu zaczęła wpadać ziemia. Wystające korzenie wbijały się w samolot, który przejeź-

dżał nad nimi z potwornym skrzeczącym dźwiękiem.

Hałas nagle ucichł.

Eddie kurczowo trzymał się pasów, zaciskając oczy. Samolot wciąż się poruszał – ale ziemia, po której sunął, spowalniała go. Kadłub nadal podskakiwał na wybojach, ale coraz słabiej, w miarę jak samolot zwalniał.

Aż się zatrzymał.

Powyginany kadłub odchylił się z hukiem. Eddie wytarł błoto z twarzy i ostrożnie otworzył oczy. Przekonał się, że naprawdę się zatrzymali. Bolały go ręce w miejscach, gdzie wrzynały się pasy, i miał okropny siniec na brzuchu od odcisniętego wolantu. Zgiął ręce, potem nogi. Żadnych złamań.

Z Valero było znacznie gorzej. Był nieprzytomny i nie miał jak się osłonić, więc poobijał się, kiedy samolot przebijał się przez drzewa. Miał dwa palce wygięte pod nienaturalnym kątem, a z twarzy ciekła mu krew w miejscu, którym uderzył w deskę rozdzielczą. Becker, choć był równie bezradny, przetrwał lądowanie w lepszej formie. Był przypięty do siedzenia, więc tylko zgiął się nad podłokietnikiem, jęcząc cicho.

– O Boże... – wyszeptał kobiecy głos. Eddie chwiejąc się, wstał. Osterhagen siedział sztywno wyprostowany, zaciskając oczy i głośno dysząc. Macy z dziwną miną przyciskała głowę do okna.

Chase podszedł do niej.

– Macy, wszystko w porządku?

– Nie wiem... – Spróbowała wstać. – Au, to boli! Czekaj, jeśli boli... – Potrząsnęła głową, aby otrząsnąć się z zamroczenia. – To znaczy, że żyję?

Eddie omal się nie roześmiał.

– Tak, żyjemy. Czyli przetrwałem dwie katastrofy lotnicze w ciągu niecałego roku. Cholera jasna! Sam nie wiem, czy mam wyjątkowe szczęście, czy wyjątkowego pecha. – Stażystka uśmiechnęła się słabo. Odwzajemnił uśmiech. – Ale musimy wysiąść z samolotu. Coś tu się pali. – Odwrócił się do Osterhagena. – Panie doktorze. Panie doktorze! Słyszysz mnie pan?

Niemiec otworzył oczy i nerwowo się rozejrzał, po czym skupił wzrok na Eddiem.

– Gdzie jesteśmy?

– Na ziemi. Mnie to wystarczy do szczęścia. Nic panu nie jest?

– Chyba tylko się poobijałem. Ale bardzo boli mnie szyja.

– Uszkodził pan kręgosłup szyjny podczas lądowania, ale nie będzie się pan miał do kogo zgłosić ze skargą. Wynieście z Macy Ralfa. Ja się zajmę Oscarem.

Wyciągnęli rannych z foteli i wywlekli ich przez główny właz. Od razu stało się jasne, dlaczego mieli w miarę miękkie lądowanie – znajdowali się na bagnie. Zapadali się butami głęboko w rzadkie błoto. Eddie spojrział na samolot i zobaczył dym unoszący się z ogona, potem rozejrzał się w poszukiwaniu twardszego podłoża. Zauważył nieopodal duży pagórek.

– Połóżcie ich tam – powiedział. – A ja...

Las zatrzęsł się od huku. Mirage nadal był nad nimi.

I wciąż na nich polował.

Osterhagen przyjrzał się skrawkom nieba widocznym przez korony drzew.

– Gdzie on jest?

Eddie obrócił się i wyteżył słuch. Ryk silników był najgłośniejszy w tunelu, jaki powstawał w dżungli pod rozpędzonym samolotem.

I wciąż przybierał na sile...

Zerknął przez drzewa na południowy wschód. Mirage krążył nad puszcza, ale nie bezpośrednio nad nimi. Zrozumiał, dlaczego: po wybuchu lewego skrzydła w niebo uniósł się słup gęstego, czarnego dymu.

Widząc tak gwałtowny pożar, pilot mógł założyć, że cały samolot wyleciał w powietrze.

Mirage jeszcze raz powoli, nisko, przeleciał nad drzewami. Nawet upadek samolotu wielkości cessny mógł zostawić jedynie niewielkie ślady w gęstej puszczy. Pilot myśliwca i tak nie zdołałby zobaczyć przez korony drzew niczego poza kilkoma fragmentami wraku.

Taką przynajmniej miał nadzieję Eddie. Czekał, a ryk silnika stawał się coraz głośniejszy. Duży, śmiertelnie niebezpieczny kształt przemknął nad nimi...

I się oddalił. Huk zaczął cichnąć, kiedy mirage skierował się na północny zachód. Z powrotem do bazy.

– Wrócą tu jeszcze? – spytała Macy.

– Nie w myśliwcu – powiedział Chase, ostrożnie kładąc Valero na ziemię. Macy i Osterhagen umieścili Beckera obok niego. – Mogą przysłać śmigłowiec albo pieszy patrol, ale pilot chyba uznał, że już po nas. Skrzydło narobiło sporo huków. Ano właśnie, lepiej wezmę z samolotu, co się da, zanim cały się zapali. – Pobiegł do wraku i wrócił z kilkoma mapami, kapeluszem Beckera, latarką i plastikową butelką wody. – Nie mogłem znaleźć apteczki. Musiało ją wyssać przez właz.

– Jak w takim razie pomożemy Ralfowi? – spytał Osterhagen. – I Oscarowi?

– Nadal myślę, że Ralf się wylize, jeśli odstawimy go do szpitala – stwierdził Chase. – Ale Oscar...

Już na pierwszy rzut oka było widać, że z Wenezuelczykiem nie jest dobrze. Głęboka rana głowy wymagała odkażenia, szycia i obandażowania, co w tej chwili było niemożliwe.

Eddie uniósł rękę Valero, aby przyjrzeć się połamanym palcom. Mężczyzna z krzykiem otworzył oczy. Zaskoczona Macy odskoczyła do tyłu. Pilot krzyknął coś po hiszpańsku, wijąc się na ziemi. Chase próbował go przytrzymać.

– Oscar! Oscar, leż spokojnie. Jesteś ranny. Nie ruszaj się.

Próbował przemyć ranę nad uchem Valero wodą, ale mężczyzna odwrócił głowę.

– Eddie, musisz dotrzeć do... do Caracas. Poinformuj milicję o... – Wykrzywił twarz z bólu. – Callasie. Powiedz im o Callasie.

– Nie możemy cię tu zostawić – zaprotestował Eddie. – Jesteśmy niedaleko od Puerto Ayacucho. Odstawimy cię do szpitala.

Valero pokręcił głową. Widać było, że ruch sprawia mu ogromny ból.

– Nie – powiedział, ścisząc głos do ochryplego szeptu. – Czuję coś... w głowie. To boli, bardzo boli. Musicie... – Jego ciałem wstrząsały drgawki. Miał tak napięte mięśnie szyi, że tylko wydał z siebie zduszony jęk. – Klub. Callas jest w... Klubie. Powstrzymajcie... go... – Po kolejnym skurczu otworzył usta w niemym okrzyku bólu... i rozluźnił się, wydając ostatnie tchnienie.

Eddie, Macy i Osterhagen patrzyli na niego w ciszy. Macy jako pierwsza odwróciła wzrok ze łzami w oczach. Osterhagen drżącą ręką potarł głowę.

– To mogła być pęknięta tętnica... Sam nie wiem.

– To nie ma znaczenia – sucho odpowiedział Chase i schylił się, by zamknąć oczy Valero. – Wiemy, czyja to wina. Callasa. I Stikesa. Oscar miał rację. Musimy ich powstrzymać – dodał, wstając.

– Naprawdę mamy radę dojść do tego całego Puerto? – cicho spytała Macy.

– Tak. To w linii prostej dziesięć czy dwanaście kilometrów stąd. Ale jeśli pójdziemy prosto na zachód, dotrzemy do głównej drogi znacznie szybciej. Tam możemy złapać stopa.

– A co z Ralfem? – spytał Osterhagen.

– Poniosę go.

– Całą drogę?! – krzyknęła zdziwiona Macy.

– Dam radę. Ty trzymaj to. – Rzucił jej latarkę. – Według mapy, kiedy już wydostaniemy się z tego bagna, nie będzie rzek, a teren będzie dość płaski, więc powinniśmy dać radę. Zostało nam mniej niż pół godziny dziennego światła, więc trzeba się pospieszyć. Doktorze, proszę mi pomóc. – Z pomocą Osterhagena przerzucił sobie Beckera przez plecy. Ranny zajączał cicho, ale nie odzyskał świadomości. – Dobra, ruszamy.

Czas w celi płynął jak w koszmarnym śnie. Nina wciąż źle się czuła po ukłuciu skorpiona. Traciła przytomność i odzyskiwała ją, nie wiedząc, ile minęło czasu od chwili, kiedy zamknęła oczy.

Czuła, jak wirująca lepka ciemność próbuje znów ją połknąć. Przesunęła głowę, aby ochłodzić rozpalone czoło o kraty. Ulga nie trwała jednak długo. Znowu ogarnęło ją wyczerpanie...

Obudziła się, słysząc hałas. Dwaj żołnierze wprowadzili Kita do sali, zawlekli do celi, za-

trzasnęli za nim drzwi i wyszli. Nina podciągnęła się do pozycji siedzącej i słabym głosem spytała:

– Kit? Kit, wszystko w porządku?

Hindus miał posiniaczoną twarz – najwyraźniej w jego przypadku Stikes posłużył się nie tylko swoim jadowitym pupilem, ale też bardziej staroświeckimi technikami przesłuchania. Agent miał podbite i opuchnięte jedno oko, a na jego podbródku widać było smugę krwi z rozciętej wargi.

– Nie był zbyt gościnnie – wychrypiał. – Ja... – Twarz nagle wykrzywiła mu się z bólu i wydał zduszony krzyk, chwytając się za klatkę piersiową.

– Kit? – spytała Nina. Jej zaniepokojenie szybko przerodziło się w strach. – Kit! O mój Boże! – Próbowała wstać, ale nadal jej nogi były jak z waty. – Hej! – krzyknęła do strażnika. – Zrób coś! Pomóż mu!

Żołnierz spojrział na nią pytająco – najwyraźniej nie znał angielskiego. Po chwili odwrócił wzrok, popatrzył na Hindusa miotanego drgawkami... ale nie zareagował.

Przerażona kobieta zaczęła trząść drzwiami celi.

– On umiera! Pomóż mu!

Żołnierz nadal miał obojętny wyraz twarzy. Nina przeraziła się, kiedy zrozumiała, co to znaczy. Po przesłuchaniu jej Kit stał się zbędny. Próbowała dosięgnąć mężczyzny przez oddzielającą ich pustą celę, ale leżał zbyt daleko.

– Kit!

Hindus przestał jęczeć, powoli uniósł głowę i mrugnął do niej podbitym okiem.

– Musiałem spróbować – wychrypiał.

Nina zerknęła na strażnika, który nadal nie wyglądał, jakby rozumiał ich rozmowę, i odezwała się ściszym głosem.

– Udawałeś?

– Gdyby otworzył drzwi, mógłbym sprawdzić, ile zapamiętałem ze szkolenia z walki wręcz. Żołnierz był młodszy i zdecydowanie potężniej zbudowany niż Kit.

– Marzę o tym, żeby się stąd wydostać, ale cieszę się, że ci się nie udało.

Kit prychnął z udawanym oburzeniem.

– Twierdzisz, że nie dałbym rady go załatwić?

– Wiem, jak sama się teraz czuję. Podejrzewam, że z tobą jest jeszcze gorzej.

– Chyba masz rację. – Kit opadł na betonową podłogę. Pot spływał mu z czoła.

– Czego chciał od ciebie Stikes? – spytała Nina, mając nadzieję, że rozmowa pomoże im obojgu zachować świadomość.

– Zadawał... mnóstwo pytań na temat Interpolu – odpowiedział Hindus z wahaniem. –

Chciał się dowiedzieć, ile informacji na temat Callasa przekazałem przełożonym. – Podniósł ramię, pokazując zaczerwienioną opuchliznę po ukąszeniu skorpiona. – Uwierzył, kiedy powiedziałem, że nic nie wiem. W końcu go przekonałem. A co z tobą? – dodał szybko, zanim Nina zdążyła zadać kolejne pytanie. – Czego chciał od ciebie?

– Informacji, jak znaleźć El Dorado.

– Powiedziałaś mu?

Nina ze wstydem odwróciła wzrok.

– Tak. O figurkach, energii Ziemi i o tym, jak je wykorzystałam, żeby znaleźć Paititi...

O wszystkim.

Kit usiadł z wyraźnym wysiłkiem.

– Nina, nie zrobiłaś nic złego. Nawet najsilniejszy człowiek nie zniósłby takich tortur.

– Eddiemu pewnie by się udało. – Myśl o mężu sprawiła, że poczuła się winna. Skupiona na własnych problemach, zapomniała o nim. – Boże, mam nadzieję, że nic mu nie jest. Nawet nie wiem, co się z nim stało w Paititi.

– Myślę, że przeżył. Stikes na pewno by ci powiedział, gdyby było inaczej.

Mimo wysiłków, by zachować świadomość, Nina znów poczuła obezwładniające zmęczenie.

– Obyś miał rację – wyszeptała, osuwając się po kratkach.

Marsz na zachód nie był wyczerpujący fizycznie. Ułatwiały go gęste korony drzew, które

odcinały światło, utrudniając wzrost mniejszym roślinom. Eddie i reszta poruszali się naprzód z wysiłkiem, ale w równym tempie.

Podróż uprzykrzały wilgotny upał, który nie zmniejszył się nawet po zachodzie słońca, i owady. Dokuczały one członkom ekspedycji już za dnia, a kiedy się ściemniło i Macy musiała włączyć latarkę, zaczęły zlatywać się do światła.

– Wiecie co? – poskarżyła się kobieta, kiedy wyjątkowo duży i paskudny żuk uderzył ją skrzydłami po twarzy. – Chrzanić lasy deszczowe! Jak dla mnie, mogą wyrąbać wszystkie i postawić na ich miejscu bary ze striptizem!

W końcu, ku uldze wszystkich, dżungla przerzedziła się i ustąpiła miejsca otwartej przestrzeni, na której wypalono lasy pod uprawę. Potem szybko znaleźli drogę. Prawdziwą, utwardzoną szosę. Miała tylko po jednym pasie w każdą stronę, ale i tak zrobiła wrażenie na wyczerpanych podróżnych.

– Dzięki Bogu! – krzyknęła Macy. – Cywilizacja! Tak jakby.

Nie było ruchu. Eddie zerknął na zegarek: dochodziła dziewiąta wieczorem.

– Miejmy nadzieję, że ktoś jeszcze będzie tędy przejeżdżał o tej porze. I że jazda autostopem nie jest zakazana w Wenezueli!

Ułożyli Beckera obok jezdni prowadzącej na północ i czekali. Po kilku minutach na południu pojawiły się światła. Eddie stanął na drodze i zaczął machać, by zatrzymać nadjeżdżający pojazd. Macy dołączyła do niego.

– No co? – spytała, kiedy zobaczyła jego spojrzenie. – Jeśli kierowca to facet, są większe szanse, że zatrzyma się, widząc niezłą laskę, prawda?

Macy była brudna i spocona, miała ubrania w strzępach i skołtunione włosy.

– W tej chwili jest z ciebie równie niezła laska jak ze mnie. Ale może on leci na takie.

– Zamknij się!

Pojazd, zdezelowana półciężarówka, zatrzymał się. Macy wyjaśniła ich sytuację. Opowiedziała, że mieli wypadek (nie wspomniała, że chodziło o katastrofę lotniczą, żeby uniknąć zbędnych pytań) i musieli przedzierać się przez dżunglę. Kierowca, starszy pan, zrugął *yanquis* za brak ostrożności i odpowiedniego ekwipunku, a potem zgodził się zabrać ich do Puerto Ayacucho. Osterhagen z Beckerem usiedli z przodu, Eddie i Macy – na skrzyni.

Jazda pustą drogą nie trwała długo. Minęli lotnisko, na którym Chase czujnie wypatrywał wojskowych patroli, i wjechali do miasta. Kierowca zatrzymał się przy szpitalu.

– Eddie – odezwał się Osterhagen, kiedy wysiadali z ciężarówki – Zostanę tu z Ralfem.

– Jesteś pewien? Możliwe że nadal nas szukają. Dwóch gringo w szpitalu może zwrócić ich uwagę.

Niemiec spojrzął na rannego. Becker przez całą drogę na zmianę tracił i odzyskiwał przytomność, ale nawet w lepszych momentach był w stanie tylko wymamrotać coś po niemiecku.

– Ktoś będzie musiał powiedzieć mu, co się stało. Poza tym... – spojrzął na trzymany w rękach kapelusz – to mój przyjaciel. Powinienem przy nim być.

Eddie położył rękę na ramieniu starszego mężczyzny.

– Z tym nie mogę się spierać. Tylko proszę na siebie uważać, zgoda?

– Zgoda. Wy też bądźcie ostrożni. – Wynieśli Beckera z ciężarówki. – Co z tobą i Macy? Co zamierzasz?

– Uratować Ninę i Kita. I zabić Stikesa i Callasa. Niekoniecznie w tej kolejności.

Osterhagen wyglądał, jakby uważał drugą część planu za niebezpieczną i przesadzoną, ale nic nie powiedział. Razem z Eddiem wnieśli Beckera do szpitala. Macy opowiedziała pielęgniarce, w jaki sposób Becker odniósł obrażenia, nieco zmieniając historię. Tym razem „wypadek” wydarzył się podczas ucieczki przed uzbrojonymi bandytami. Kobieta przyjęła do wiadomości tę wersję i zabrała Beckera, aby udzielić mu pomocy.

Osterhagen uścisnął dłoń Eddiego.

– Dziękuję za ocalenie nam życia.

– Szkoda, że nie udało mi się uratować wszystkich – ponuro odpowiedział Chase. – Ale proszę dbać o Ralfa. I o siebie. Mam nadzieję, że wkrótce znów się spotkamy.

– Dziękuję – powtórzył Niemiec i poszedł za przyjacielem.

– To jak zamierzamy uratować Ninę i Kita? – spytała Macy, kiedy wyszli na zewnątrz.

Kierowca ciężarówki czekał na nich. Chciał się dowiedzieć, w jakim stanie jest Becker.

Liczył, że historia, w której odegrał rolę miłosiernego samarytanina, zakończy się szczęśliwie.

– Musimy się dostać do tego całego Klubu – stwierdził Eddie. – Ten koleś pewnie nie zawiezie nas do samego Caracas, ale spytaj go, jak możemy tam dotrzeć. Może jedzie tam jakiś autobus.

Macy udało się ustalić, że pomiędzy Puerto Ayacucho a stolicą kursuje nocny autobus i że wciąż mają szansę na niego zdążyć.

– Fuj! Nie znoszę jeździć autobusami! – dodała, kiedy powtórzyła informację Eddiemu. – Zawsze ślini się do mnie jakiś naprawdę obleśny typek.

– Wolisz iść pięćset kilometrów piechotą?

– To zależy, jak obleśny będzie ten koleś.

– Na pewno nie gorszy od tamtych robali z dżungli. Spytaj kierowcę, czy podwiezie nas na dworzec autobusowy. I czy są tu gdzieś budki telefoniczne.

Odpowiedź na oba pytania brzmiała „tak”.

– Do kogo chcesz zadzwonić? Poinformujemy kogoś w rządzie o Callasie?

– Zrobiłbym to, gdybym wiedział, do kogo się zwrócić, ale nie wiem. Nie wiem też, komu możemy zaufać. Jeśli Callas planuje zamach stanu, musi mieć po swojej stronie nie tylko wojsko, ale też część milicji. Te siły są dla niego największym zagrożeniem.

– Nie licząc ciebie.

Macy żartowała, ale w uśmiechu Eddiego nie było wesołości.

– Taa. Nie licząc mnie.

Wsiadli do ciężarówki i ruszyli na dworzec.

– No to do kogo chcesz zadzwonić?

Tym razem Chase uśmiechnął się ciepło.

– Do starego przyjaciela.



Nina obudziła się gwałtownie, czując bolesny skurcz w ramieniu. Przez chwilę myślała przerażona, że surowica przestała działać i jad skorpiona znów krąży po jej ciele, ale kiedy z trudem usiadła, uświadomiła sobie, że ból wynikał z niewygodnej pozycji, w jakiej spała na twardej podłodze.

Pokręciła ramieniem, żeby je rozruszać. Silne mdłości ustąpiły, teraz czuła się tylko lekko niewyraźnie, jak na kacu. Obejrzała nadgarstek. Opuchlizna w miejscu ukąszenia zeszła, ale zaczerwienienie pozostało.

– Nina? Wszystko w porządku?

Obejrzała się i zobaczyła Kita. Mężczyzna opierał się o ścianę celi.

– Nie czuję się rewelacyjnie – przyznała. – Ale lepiej niż przedtem. – Zerknęła na strażnika. Zauważyła, że pilnował ich już inny wojskowy. – Długo spałam?

Kit spojrzął na zegarek.

– Dość długo. Jest po jedenastej rano.

Była nieprzytomna przez około czternaście godzin. W tym czasie jej organizm robił, co mógł, by pozbyć się trucizny.

– Jezu. Od dawna nie śpisz?

– Od jakiejś godziny. Nie chciałem cię budzić.

Znów zerknęła na strażnika. Ten znał angielski – wodził oczami od jednego z więźniów do drugiego, śledząc ich rozmowę.

– Przegapiłam coś poza zmianą warty?

– Ten strażnik już tu był, kiedy się obudziłem. Od jakiegoś czasu zastanawiam się, jakim cudem tak skończyłem. Przeznaczenie działa w dziwny sposób.

Nina prychnęła sarkastycznie.

– Twierdzisz, że tortury z wykorzystaniem skorpiona były nam przeznaczone?

– Wolę nie myśleć, że to zwykły pech.

– Wiem, o co ci chodzi. Mam tylko nadzieję, że nasze przeznaczenie nie kończy się tutaj.

– Ja też. Ale... Myślę, że wszystko dzieje się z jakiegoś powodu, nawet jeśli początkowo tego nie zauważamy. We wszechświecie panuje ład, który musi być podtrzymywany – czy to przez bogów, czy to przez nasze uczynki. To, co się dzieje, służy zachowaniu tego ład.

– To interesujące – stwierdziła Nina ze słabym uśmiechem. – Nie jestem przyzwyczajona do prowadzenia filozoficznych dyskusji o poranku. Bądź co bądź, mieszkam z Eddiem.

Kit wydał grube wargi, wyszczerzając zęby.

– Nieźle jak na skromnego policjanta, co?

– To dlatego zostałeś policjantem? Żeby podtrzymywać ład we wszechświecie?

Mężczyzna skinął głową.

– W pewnym sensie. Dorastając w Indiach, widziałem wiele korupcji i zachłanności, przez które ludzie cierpieli. Chciałem to powstrzymać i upewnić się, że ludzie, którzy zagarniają dla siebie więcej, niż im się należy, poniosą karę.

– Wydaje mi się, że to dobra motywacja.

Oficer Interpolu spojrzął na nią z uznaniem i westchnął.

– Nie zawsze przysparzała mi popularności. Nawet wśród moich kolegów.

– Znam to uczucie – powiedziała Nina ze współczuciem.

– To właśnie mam na myśli, mówiąc o przeznaczeniu. Gdybym był typem gliniarza, który udaje, że nie widzi, jak inni biorą łapówki, zapewne nie „zachęciliby” mnie do przeniesienia się ze zwykłej pracy policyjnej do wydziału zajmującego się kradzieżami dzieł sztuki. Gdybym tego nie zrobił, nie dostałbym propozycji pracy w Interpolu, więc nie prowadziłbym sprawy Khoilów, nie poznał ciebie i Eddiego... i nie byłoby mnie teraz tutaj.

Nina uniosła brwi.

– I mówisz o tym z takim optymizmem? Gdybym ja rozpatrywała swoje życie w ten sposób, zastanawiałabym się, w którym miejscu coś poszło nie tak.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Jestem wielkim optymistą. I nie żałuję podjętych decyzji. Chociaż chwilowo znalazłem się przez nie w trudnym położeniu.

– Ty mówisz serio – zauważyła Nina i postukała w kraty. – Masz jakiś pomysł, jak się z niego wykaraskać?

– Nawet kilka. Niestety, realizacja każdego z nich wymaga wydostania się z celi.

– To niezbyt pomocne.

– Wciąż nad nimi pracuję.

Drzwi się otworzyły i do środka weszło dwóch żołnierzy.

– Pracuj szybciej – rzuciła Nina, kiedy wojskowi otworzyli drzwi jej celi i weszli do środka.

– Dobrze, już dobrze! – zaprotestowała, kiedy siłą postawili ją na nogi.

Mężczyźni poprowadzili ją schodami na wyższe piętro dworku. Nina mrużyła oczy oślepiena blaskiem słońca wpadającego przez okna w luksusowym salonie. Na jednej ze ścian pomieszczenia wisiał gigantyczny telewizor. Dalej znajdował się duży balkon wychodzący na pole golfowe.

Stikes i Callas, ten ostatni w pełnym umundurowaniu, czekali na nią na zewnątrz. Był z nimi także trzeci mężczyzna – wysoki, opalony, z długimi, tłustymi kruczoczarnymi włosami zaczesanymi do tyłu. Miał na sobie pastelowy garnitur od jednego z drogich projektantów, elegancki efekt psuł jednak wulgarny złoty medalion. Mimo wczesnej pory, mężczyzna miał w ręku szklanke whisky i pobrzękiwał pływającymi w niej kostkami lodu.

– Oto i ona! – wykrzyknął Callas, kiedy żołnierze wprowadzili Ninę. – Moja ekspertka.

Trzeci mężczyzna zmarszczył brwi, kiedy ją rozpoznał.

– Czekaj no, to przecież...

– Doktor Nina Wilde – oznajmił generał. – Odkrywczyni Atlantydy i sekretu Sfinksa, a obecnie... mój gość. Doktor Wilde, to mój dobry przyjaciel Francisco de Quesada.

Nina przypomniała sobie, że Wenezuelczyk mówił o tym człowieku w bazie wojskowej, ale wtedy nie wyrażał się o nim tak ciepło. De Quesada, podobnie jak Pachac, był jego sprzymierzeńcem z konieczności.

Mężczyzna przyjrzał się brudnym, poszarpanym ubraniem kobiety.

– Nie pozwalasz swoim gościom się kąpać, Salvatore?

– Nie jest tu do końca z własnej woli – wyjaśnił Stikes.

– Ale i tak może wyjaśnić, ile to jest warte – dodał Callas, wskazując przedmiot leżący na szklanym stoliku: kipu rozwinięte na całą długość. Sznurki z węzłkami otaczały zaplecioną w warokocz główną część. Nina zauważyła na podłodze nieopodal walizkę z figurkami.

De Quesada pokręcił głową.

– Płacę ci już pięćdziesiąt milionów dolarów za dysk słoneczny...

– Jest wart o wiele więcej – natychmiast wtrącił Callas.

– Być może. Ale dostaniesz też udział w moich... zyskach. – Zerknął na Ninę. – Możemy swobodnie przy niej rozmawiać?

Callas prychnął.

– Możesz mówić, co chcesz – ona nikomu tego nie powtórzy.

– No dobrze. Udział w moich dochodach z handlu narkotykami. Amerykańskie DEA i władze coraz ostrzej walczą z narkobiznesem w Kolumbii, więc będę musiał przerzucać towar przez Wenezuelę. Co oznacza, że potrzebuję ciebie, generale. Czy mogę mówić ci *el Jefe*?

Callas uśmiechnął się z dumą, ale mina szybko mu zrzędła, kiedy odezwał się Stikes.

– Nie dzielmy jeszcze skóry na niedźwiedziu.

– To mi się skojarzyło z innym powiedzeniem: wiele hałasu o nic – stwierdził de Quesada, lekceważąco machając ręką w stronę kipu. – Salvatore, dostajesz ode mnie dużo pieniędzy. Teraz gotówkę, później część udziału w zyskach. Dlaczego miałbym ci płacić kolejny milion za te śmieci?

– Właśnie po to wezwałem doktor Wilde – wyjaśnił Callas. – Ona najlepiej wyjaśni, dlacze-

go te sznurki są tyle warte. Komu mógłbyś zaufać w tej sprawie, jeśli nie najsłynniejszemu archeologowi na świecie?

– No właśnie, komu? – odpowiedział de Quesada. Z jego tonu Nina domyśliła się, że odzajemniał skrywaną antypatię Callasa. Mężczyzna odchylił się jednak na siedzeniu i wskazał w jej stronę szklanką z drinkiem. – Proszę bardzo. Doktor Wilde, niech mnie pani przekona.

– I niech pani będzie szczerą – dodał Stikes cichym, lecz groźnym głosem.

Nina podeszła do stolika i przyjrzała się kipu. Po rozwinięciu miało metr długości, a różnokolorowych sznurków przywiązanych do splecionej podstawy było więcej, niż się spodziewała: znacznie ponad sto. Na każdym z nich znajdowało się od kilku do kilkunastu węzłków.

Kobieta zauważyła, że najwyższe węzłki na każdym sznurku należą do jednego z czterech rodzajów. Wiedziała, że Inkowie dzielili swoje cesarstwo na cztery części, na podstawie wskazań astronomicznych. Supelki mogły zatem stanowić drogowskazy. Niżej położone węzłki były bardziej zróżnicowane i ułożone jeden pod drugim, jak koraliki. Jeśli kipu istotnie stanowiło przewodnik po podróży Inków, odcyfrowanie go wymagałoby wiele pracy.

Widziała już jednak przedtem takie przewodniki prowadzące do Atlantydy i do Edenu. To było wykonalne. Mogłaby znaleźć El Dorado.

Jeśli uda jej się opowiedzieć o kipu w sposób tak nudny, żeby zniechęcić de Quesadę do kupna.

– Mamy przed sobą kipu – zaczęła tonem wykładowcy. – Inkowie używali ich do prowadzenia zapisów. Za pomocą węzłków na każdym sznurku przedstawiano liczby, podobnie jak na liczydła. – Przypomniała sobie, co mówił na ten temat Osterhagen. – Kipu używano podczas spisów powszechnych, do obliczania podatków, do zapisywania, ile upraw posadzono. – „Pamiętaj, bądź nudna”, powtórzyła sobie w myśli. – Stanowiły podstawę inkaskiej księgowości.

Ku jej radości, de Quesada nie był pod wrażeniem.

– Ale są cenne, prawda? – przypomniał Callas.

– Sądzę, że tak, ale bardziej ze względu na rzadkość występowania niż na swoją rzeczywistą wartość. Zachowało się jedynie kilkaset. Konkwistadorzy zniszczyli wszystkie, jakie im wpadły w ręce.

– Konkwistadorzy? – W oczach de Quesady nagle błysnęło zainteresowanie. – Dlaczego je niszczyli?

– Myśleli, że Inkowie używają ich do przesyłania zaszyfrowanych wiadomości – wyjaśniła Nina. Zauważyła, że Callas zrobił wyczekującą minę. Wyglądało na to, że niechęć zaintrygowała de Quesadę. – Nie sądzą, żeby to była prawda. Z tego, co obecnie wiadomo, wynika, że kipu zawierały tylko liczby, bo Inkowie nie opracowali pisma. Jednak Hiszpanie...

De Quesada bliżej przyjrzał się kipu.

– A zatem konkwistadorzy zniszczyli je, żeby pokazać, jaką mają władzę nad Inkami?

– Można to tak ująć. Jednak w gruncie rzeczy to tylko...

Mężczyzna znów jej przerwał i wstał.

– Kupię to, Salvatore – zarechotał i pociągnął łyk ze szklanki. – Upewnij się tylko, że mój stary przyjaciel Arcani Pachac dowie się, że mam kipu i ten jego dysk słoneczny. Temu małemu komunistycznemu *cagada* wydaje się, że jest następnym wcieleniem cesarza Inków. Już ja mu przypomnę, co Hiszpanie zrobili z Inkami. Mówiłeś milion dolarów? Dam dwa!

– Wy... wyda pan dwa miliony dolarów tylko po to, żeby zrobić na złość Pachacowi? – spytała Nina z niedowierzaniem i obrzydzeniem.

– Wydam znacznie więcej! Widziała pani dysk słoneczny, wielki symbol wspaniałego dziedzictwa Pachaca? – spytał sarkastycznie. – Mam dla niego idealne miejsce. Kiedy go tam umieszczę, wyślę Arcanemu zdjęcie. Ależ się wściekniesz!

– Francisco i Pachac byli kiedyś partnerami – wyjaśnił Callas. – Do chwili, gdy...

– Do chwili, gdy zwrócił się przeciwko mnie – dokończył de Quesada. – Zaangażował się w politykę i postanowił przywrócić biednych, ciemężonych Indian do władzy. – Udał, że ociera łzę z oka i zrobił przesadnie smutną minę. – Pokonani powinni znać swoje miejsce. Hiszpanie zwyciężyli. I nadal są górą.

– Ale co z tymi wszystkimi pieniędzmi? – spytała Nina. – Wydaje pan miliony z zawiści? Dlaczego?

De Quesada wzruszył ramionami i wziął kolejny łyk whisky.

– Bo mogę. Mam już samochody, jachty, samoloty, domy, kobiety... muszę na coś wydawać pieniądze. Na coś poza łapówkami, oczywiście. – Spojrzał na kipu. – Kupuję. A co z dyskiem słonecznym? Jak dostarczyć go do Kolumbii?

– Sprawa jest w toku – odpowiedział Stikes.

– Znaleźliście zastępstwo dla Westa?

– Owszem – odparł najemnik, patrząc na Ninę. – Co do kipu, może je pan zabrać ze sobą, jeśli pan chce, ale doradzam skorzystanie z usług naszego agenta również w tym przypadku. Pozwoli to uniknąć niewygodnych pytań.

De Quesada się zachmurzył.

– Chyba ma pan rację. W swojej ojczyźnie nie mogę spokojnie się wysrać, bo od razu jakiś *pendejo* z rządu albo DEA próbuje mi zajrzeć w tyłek. Może po dzisiejszej nocy powinienem przeprowadzić się do Wenezueli, co?

– Może – beznamiętnie odpowiedział Callas.

– Skoro mowa o dzisiejszej nocy... – De Quesada uśmiechnął się przebiegle i wyjął z kieszeni marynarki płytę DVD w przezroczystym pudełku. – Wiem, że dobiliście targu z Pachacem i powierzyliście mu południowe szlaki przez granicę. Chcę, żebyście oddali je mnie.

Callas zeszywniał, kiedy usłyszał to żądanie, i podejrzliwie przyjrzał się płycie.

– Co takiego?

– Złapcie i zabijcie jego kurierów i oddajcie mi jego towar. W ten sposób będę jedynym przewoźnikiem kokainy przez Wenezuelę.

Generał pokręcił głową.

– Zawarłem z tobą umowę i dotrzymam jej. Podobnie jak umowy, którą zawarłem z Pachacem.

De Quesada się roześmiał.

– Oczywiście, że dotrzymasz. Nigdy nie przyszłoby ci do głowy, żeby wykorzystać nowo zdobytą władzę i zmienić warunki umowy z nim na swoją korzyść. – Jego uśmiech zniknął. – Albo warunki umowy ze mną.

Callas spojrzał wymownie w kierunku dwóch uzbrojonych żołnierzy.

– Nie podoba mi się twój ton, Francisco.

– A mnie się nie podoba, kiedy ktoś sobie ze mną pogrywa. Upewnijmy się, że do tego nie dojdzie, dobrze? – Baron narkotykowy wręczył DVD Callasowi, który przez chwilę się wahał, a potem wyrwał mu płytę z rąk. Wskazał na telewizor w salonie. – Włącz to.

– Pilnuj jej – rozkazał generał jednemu z żołnierzy. Wojskowy przysunął się bliżej do Niny. Drugi mężczyzna zamknął drzwi za Callasem, Stikesem i de Quesadą po tym, jak weszli do salonu. Kobiecie trudno było dostrzec, przez światło odbijające się od szyby, co dzieje się w środku, ale zauważyła, że Callas włożył płytę do odtwarzacza i włączył telewizor.

Po niecałej minucie z wściekłością rzucił się na de Quesadę. Doszło do krótkiej szamotaniny. Callas był coraz bardziej wściekły. Podbiegł do odtwarzacza, wyjął płytę i rzucił nią przez pokój. Wciąż kipiąc gniewem, otworzył drzwi, wyszedł na balkon i, zaciskając pięści na barierce, spojrzał na panoramę Caracas.

De Quesada wyszedł za nim.

– Gdyby to wyciekło, twoja nowo zdobyta pozycja byłaby poważnie zagrożona. – Handlarz narkotykami skończył drinka i rozgniół w zębach kostkę lodu. – Mogłoby to nawet dać Amerykanom pretekst do zmiany reżimu. Niezależnie od tego, ile ropy im zaproponujesz, nie będą chcieli barona narkotykowego na prezydenta.

– Nie jestem baronem narkotykowym! – syknął Callas.

– Ale z nim współpracujesz. Właśnie pokazałem ci dowody.

– To nagranie zaszkodziłoby także panu – zauważył Stikes.

– Liczę się z takim ryzykiem – ciągnął dalej de Quesada. – Byłoby jednak dużo łatwiej,

gdybym nie musiał tego nikomu pokazywać, prawda? Oto nowe warunki umowy. Dostaniesz swoją część, tak jak się umawialiśmy. Wiesz zresztą, że lepiej robi się interesy ze mną niż z takim psychopata, jak Pachac.

Generał wziął głęboki wdech i zwrócił się do de Quesady.

– Pachac jest... mało rzetelny, to fakt. W porządku. Dostaniesz jego terytorium. Ale jeśli ten film kiedyś wycieknie... – wbił palec w serce Kolumbijczyka.

De Quesada się uśmiechnął.

– Nie wycieknie. – Zagrzechotał ostatnimi kostkami lodu w szklance. – A teraz powinniśmy oblać naszą nową umowę.

– Pani nie jest zaproszona – powiedział Stikes do Niny i skinął głową żołnierzom. Kiedy wyprowadzali kobietę, dodał przesadnie beztróskim tonem. – Ach, jeszcze jedno. Chodzi o pani męża.

– Co się stało? – spytała zaniepokojona Nina.

– Nie żyje. – Najemnik wypowiedział te słowa z kpiącym uśmiechem. Nina poczuła się, jakby znów ukąsił ją skorpion – zacisnęło jej się gardło. – Muszę przyznać, starał się. Udało mu się nawet odbić pani przyjaciół. Ale potem ich samolot został zestrzelony i eksplodował w dżungli. To już koniec Chase'a.

Nina poczuła jednocześnie furję i rozpacz. Przez chwilę wściekłość przeważała. Rzuciła się na Stikesa, ale żołnierze złapali ją, zanim go dosięgła, i wykręcili jej ręce za plecy.

– Zabiję cię, skurwysynu! – warknęła.

Najemnik tylko kpiąco się uśmiechnął, kiedy żołnierze wlekli ją z powrotem do celi.

Caracas prażyło się w popołudniowym słońcu, połyskując pod warstwą smogu. Ulice były zakorkowane bardziej niż zazwyczaj i było na nich więcej policji i wojska niż cztery dni wcześniej, kiedy członkowie ekspedycji pierwszy raz przybyli do miasta. Widać było przejeżdżające wozy opancerzone, a żołnierze i policjanci podejrzliwie przyglądali się spoconym mieszkańcom stolicy. Nieufność była wzajemna. Wszyscy czuli napięcie wiszące w powietrzu.

Prawie wszyscy.

– Halo! Przepraszam! Rany – warknęła Macy na kobietę, która wpadła na nią i bez słowa szybko poszła dalej. – Czy ona miała jakiś problem?

– Zapewne ten sam, co my – Eddie skinął głową w kierunku trzech policjantów, którzy rzucili przechodnia na maskę radiowozu i bezceremonialnie go przeszukiwali. – To część planu Callasa. Rozgrzać atmosferę i znaleźć pretekst, żeby wysłać policję i wojsko na ulice. W ten sposób będą już na pozycjach, kiedy zacznie się prawdziwa akcja.

– Czyli co?

– To ma jakiś związek ze Stikesem i tamtym helikopterem. Nie zatrudnia się najemników i nie kupuje śmigłowca szturmowego tylko po to, żeby posprzątać po akcji. Oni odegrają tu kluczową rolę.

Przechodzień został wepchnięty do radiowozu. Jeden z policjantów odpędził gapiów pałką.

– To co robimy? – spytała Macy.

– Szukamy Klubu. W ten sposób znajdziemy Ninę i Kita, a pewnie też Callasa i Stikesa.

Może nawet uda nam się ich powstrzymać, zanim wszystko się zacznie.

Wojskowy jeep wepchnął się pomiędzy inne samochody. Siedzący w środku uzbrojeni żołnierze rzucali nieprzyjazne spojrzenia innym kierowcom.

– Jak to zrobimy? Oni mają po swojej stronie setki ludzi. I wszyscy mają broń. A my nie.

– Nie potrzebuję broni.

Dotarli do skrzyżowania i zobaczyli telebim przed siedzibą stacji telewizyjnej. Było na nim widać prezydenta Suareza w mundurze milicji, wygłaszającego natchnioną przemowę.

– Co on mówi?

Macy wsłuchiwała się w dudniący dźwięk.

– Że wszystko jest w porządku i nie ma się czym martwić. I żeby nie słuchać... Hej! On obwinia Amerykę! Mówi, że agenci CIA próbują zdławić rewolucję. Co za palant! Przecież nic takiego nie robią. Prawda?

– CIA wykręca różne numery nawet w przyjaźnie nastawionych krajach – stwierdził Eddie.

– Wyobraź sobie, jak mogą namieszać w tych, których nie lubią. – Samochody prawie stały w miejscu. Chase wziął Macy za rękę i pociągnął ją na drugą stronę ulicy. – No dobra, dotarliśmy do hotelu.

Powrót do hotelu, w którym mieszkali poprzednio, wiązał się z ryzykiem, ale kiedy Eddie wykonywał telefon z Puerto Ayacucho, nie znał żadnych innych namiarów w mieście, jakie mógłby podać. Poza tym miał nadzieję, że żołnierze Callasa uznali ich za zmarłych. Weszli do lobby, zignorowali pełne dezaprobaty spojrzenia, jakimi obrzucono ich brudne twarze i zniszczone ubrania.

Chase podszedł do recepcji.

– Dzień dobry. Są jakieś wiadomości do Eddiego Chase'a?

Ku jego rozczarowaniu i zaskoczeniu, żadnych nie było.

– Dziwne. Muszę sprawdzić, co się dzieje – zdecydował i podszedł z Macy do telefonów.

Wrzucił do automatu ostatnie monety zabrane martwym żołnierzom na cmentarzysku, połączył się z centralą i poprosił o połączenie międzynarodowe na koszt odbiorcy. Szybko je uzyskał.

– To ty, Eddie? – odezwał się znajomy głos ze szkockim akcentem.

– Tak, Mac, to ja – odpowiedział Chase z mieszaniną ulgi i zniecierpliwienia. – Jestem

w hotelu. Myślałem, że zostawisz mi wiadomość.

– Chciałem dostarczyć ją osobiście – oznajmił głos zza jego pleców.

Eddie odwrócił się i zobaczył Maca, ubranego w jasny garnitur, z komórką przy uchu.

– Mac! A niech mnie! Co ty tu robisz?

Macy też się ucieszyła na widok przybysza.

– O mój Boże, pan McCrimmon! – wykrzyknęła, rzucając mu się na szyję.

– No i po moim garniturze – westchnął Mac. Stażystka pospiesznie próbowała zetrzeć brudny ślad, który zostawiła na jego rękawie, ale mężczyzna puścił do niej oko i zrozumiała, że żartował. – Cieszę się, że was widzę. Jak podróż?

– Trzyście godzin w autobusie. Rozkoszowałem się każdą minutą – stwierdził Eddie. – Jakim cudem tak szybko tu dotarłeś, do cholery? I co MI6 zamierza zrobić w sprawie Callasa i Stikesa?

– To długa historia. Opowiem ją w moim pokoju – powiedział Mac. – A kiedy już się tam znajdziemy, proponuję, żebyście skorzystali z prysznica...

– Czyli MI6 nie kiwnie, kurwa, palcem?! – krzyknął Eddie, kiedy Mac skończył opisywać swoje rozmowy z wywiadem brytyjskim. – Wiedziałem, że pieprzonym agencikom nie można ufać. Czy to Alderley podjął taką decyzję? Po tym, jak zaprosiłem go na swoje wesele?

– To ciekawe, wydawało mi się, że „przypadkowo” upuściłeś jego zaproszenie do studzienki ściekowej – zauważył Mac.

– Faktycznie, tak było. Ale na pewno nie ma mi tego za złe.

– Ameryka Południowa nie podlega Peterowi, więc z nim nie rozmawiałem. Pogadałem za to z C.

– Kim jest C.? – spytała Macy, wychodząc z łazienki w za dużym szlafroku.

– Szefem MI6.

– Myślałam, że on nazywa się M.?

Mac się uśmiechnął.

– To, co pokazują w filmach o Jamesie Bondzie, to fikcja, Macy. Ale omówiłem wszystko z C., chociaż nie był zachwycony, że obudziłem go o czwartej nad ranem.

– Skoro z nim rozmawiałeś, dlaczego nie zamierzają się tym zająć? – dopytywał Eddie.

– Oficjalne stanowisko Rządu Jej Królewskiej Mości jest takie, że polityka Wenezueli to wewnętrzna sprawa tego kraju, a tutejsze interesy Wielkiej Brytanii nie są wystarczająco istotne, by uzasadnić interwencję – wyjaśnił Mac, odchylając się na krześle. – Rzecz jasna, nieoficjalnie rząd nie miałby nic przeciwko temu, gdyby Suareza zastąpił ktoś mniej konfliktowy. Nie bardzo podoba ją im się też stwierdzenia wygłaszane przez prezydenta i jego poprzednika na temat królowej i własności Falklandów. Krótko mówiąc, nikogo by nie zmartwił upadek Suareza.

– Nawet gdyby miał go zastąpić Callas? To bezwzględny morderca współpracujący z baronami narkotykowymi! Jeśli sięgnie po władzę, urządzi tu krwawą łaźnię!

– Jak zwykle – skwitował Mac, ze smutkiem kręcąc głową. – Jeśli musimy wybierać między dwoma watażkami z krajów rozwijających się, zawsze popieramy tego gorszego.

– A Stikes? Jest Brytyjczykiem, jego firma działa w Wielkiej Brytanii, służył w SAS, na liłość boską! Czy jego udziału w obalaniu demokratycznie wybranego przywódcy nie powinno się uznać za zaangażowanie sił brytyjskich?

– A niby dlaczego? Świadczy prywatne usługi wojskowe. Może pracować, gdzie chce, dla kogo chce. 3S nigdy nie współpracowała bezpośrednio z naszym rządem, więc nie ma konfliktu interesów ani ryzyka skandalu. Dopóki nie złamie prawa w Wielkiej Brytanii, jest nietykalny.

Eddie podniósł ręce do góry.

– I to wszystko?

– Udało mi się coś uzyskać, chociaż niewiele. Dali mi adres tego całego Klubu. – Wyjął telefon i włączył nawigację, na której zaznaczone było miejsce w Valle Arriba. – Potem pojechałem prosto na Heathrow i w ostatniej chwili kupiłem bilet na pierwszy poranny lot do Caracas. W klasie biznesowej, więc kosztowało mnie to majątek. W sumie powinienem już się przyzwyczaić. Zawsze, kiedy z tobą pracuję, moje konto pustoszeje.

Eddie spojrział na mapę.

– Chcę tam pojechać.

– Tak myślałem. Mam wynajęty samochód. Ale najpierw powinienes zrobić coś innego.

– Co?

Mac zerknął w kierunku łazienki.

– Nie obraż się, Eddie – powiedziała Macy – ale... trochę śmierdzisz.

Mężczyzna spojrział na swoje brudne, poszarpane i poplamione krwią ubrania.

– To co, mówisz, że ten zapach nie miałby szans jako nowe perfumy Hugo Bossa?

– Niezła chata – zauważyła Macy, przyglądając się Klubowi przez tylne okno wypożyczonego fiata.

Eddie mruknął coś niewyraźnie. Nie zwracał uwagi na architekturę, a na żołnierzy pilnujących pałacyku. Dwóch wojskowych stało przy głównej bramie. Choć budynek i otaczający go teren były częściowo zasłonięte drzewami i murem, udało mu się dostrzec co najmniej trzech innych umundurowanych mężczyzn. Wiedział jednak, że to nieoficjalna kwatera Callasa, więc strażników będzie znacznie więcej.

– Co o tym myślisz? – spytał siedzący za kierownicą Mac.

– Jeśli nie przebiorę się za dostawcę i nie przywiozę dwudziestu pudełek z pizzą, wątpię, żeby udało mi się tu dostać przez główną bramę. A pole golfowe z tyłu też będzie strzeżone. – Spojrział na jeden z sąsiednich domów, dworek nieco mniej okazały od tego skonfiskowanego przez władze Wenezueli. – Wszystkie okoliczne budynki są nadal zamieszkane przez normalnych lokatorów?

– Chyba tak. Według MI6, były właściciel Klubu był zdecydowanym przeciwnikiem reżimu Suareza. Nie wiadomo, czy zarzuty dotyczące przestępstw podatkowych były uzasadnione, ale prezydent na pewno od dawna miał go na oku.

Chase spojrział na rząd luksusowych domów.

– Mogę przejść przez ogródki. Ale ktoś będzie musiał przeprowadzić dywersję, żebym mógł dostać się niezauważony na teren Klubu.

– Na pewno coś wymyślimy – stwierdził Mac. – Ale jeśli obejrzałeś już wszystko, co chciałeś, powinniśmy jechać. Parkując tutaj, przyciągamy uwagę. – Przy obsadzonej drzewami jezdni nie stały żadne pojazdy. Wszystkie domy miały parkingi i garaże mogące pomieścić wiele samochodów. Na ulicy parkowali tylko obcy.

– Dobra. – Eddie ostatni raz obejrzał się na Klub i zobaczył, że główna brama się otwiera, a strażnicy odsuwają się na bok. – Nie, czekaj, ktoś wyjeżdża.

Najpierw pokazał się nie samochód, a policyjny motocykl. Za nim wyjechał czarny terenowy cadillac escalade z miniaturowymi flagami Wenezueli na przednim zderzaku, a na końcu drugi motor.

Kiedy konwój ich mijał, Eddie wypatrzył za przyciemnioną szybą znajomą sylwetkę.

– To był Callas!

– Stikesa nie widać? – spytał Mac.

– Nie. – Znów spojrział na Klub. – Może został w środku z Niną...

– Albo pojechał robić to, do czego Callas go wynajął.

– Tak czy inaczej, Nina wciąż tam jest. Wchodzę tam, jak tylko się ściemni. A teraz jedziemy.

– A jak odciągniemy uwagę strażników? – spytała Macy, kiedy ruszyli w drogę.

Eddie spojrział na nią i wpadł na pewien pomysł. Po tym, jak zmyła z siebie pot i brud z wyprawy przez dżunglę, znów wyglądała młodo i pięknie – chociaż nadal miała na sobie brudne, postrzępione ubrania.

– Będziemy musieli kupić ci nowe ciuchy.

Macy uśmiechnęła się zachwycona.

– To mi się podoba.

– Coś skąpego.

Uśmiechnęła się szerzej.

– Zgoda.



– I buty do biegania.

– Fajnie.

– I iPoda.

– Super!

Mac westchnął.

– I, jak znam życie, za wszystko zapłacicie moją kartą?

– Jeśli powstrzymamy Callasa i Stikesa, *el Presidente* na pewno odda ci pieniądze – powiedział Eddie. – A teraz jedziemy. Kierunek – centrum handlowe!

W tropikach zmrok zapada błyskawicznie. Nocne niebo nad Caracas szybko stało się czarne. Eddie był już wtedy w ogrodzie posiadłości przylegającej do Klubu. Siedział na drzewie, niedaleko muru, który oddzielał posesję. W domu, za jego plecami, nie paliło się światło. Chase nie wiedział, czy jego mieszkańcy po prostu spędzają wieczór na mieście, czy po przejściu przez wojsko domu sąsiada postanowili wyjechać na dłuższe wakacje – tak czy owak, ułatwiało mu to pracę.

Z miejsca, gdzie siedział, miał dobry widok na oświetlony Klub. Budynek był duży i miał kilka wejść. Co ważniejsze, przy żadnym z nich nie było widać straży. Żołnierze pojedynczo lub dwójkami patrolowali teren, ale wyraźnie byli czymś zajęci albo na coś czekali i nie skupiali się na wykonywaniu bieżących zadań.

Czy chodziło o zamach stanu? Możliwe. Callas nie wrócił, nie było też śladu Stikesa ani jego ludzi, tylko wenezuelskie oddziały. Czy do przewrotu miało dojść tej nocy?

Na razie musiał przede wszystkim odszukać Ninę i Kita. Przyjrzał się posiadłości. Basen był podświetlony na jaskrawoniebiesko przez podwodne reflektory. Duży telewizor plazmowy stojący obok pokazywał transmisję z meczu bejsbolowego. Komentator relacjonował z przejściem po hiszpańsku każde odbicie piłki, ale nikt nie oglądał rozgrywki. Chase był zadowolony – wiedział, że hałas dobiegający z odbiornika pomoże mu dyskretnie dostać się na teren posiadłości.

Spojrzał na zegarek, potem na drogę.

Dostrzegł ruch obok pałacyku: żołnierz spacerował powoli wzdłuż bocznej ściany budynku. Cholera! Mężczyzna szedł po rozległym trawniku, nie zapuszczając się w krzewy i klomby przy murze, ale był wystarczająco blisko, żeby wychwycić nieoczekiwany ruch w okolicy. Eddie w centrum handlowym przebrał się ze zniszczonych ubrań w czarny T-shirt i jeansy, ale trudno było oczekiwać, że zapewnią mu one kamuflaż – z basenu dochodziło tyle światła, że przy odrobinie nieuwagi mógł zostać zauważony.

Próbował siłą woli zmusić żołnierza do przyspieszenia kroku, ale Wenezuelczyk zwolnił, wyjął paczkę papierosów, zapalił jednego... i przystanął, żeby się zaciągnąć.

– Do kurwy nędzy! – mruknął Eddie.

Znów wyrzwał na ulicę...

Zobaczył Macy biegnącą w kierunku bramy. Przebiegła w drugą stronę dziesięć minut wcześniej, przyciągając uwagę młodych mężczyzn pilnujących wejścia swoim skąpym, obcisłym, różowo-czarnym strojem do biegania, a potem upewniła się, że zostanie zapamiętana, uśmiechając się i machając do strażników. Teraz wracała tą samą drogą. Miało to wyglądać, jakby mieszkała nie daleko i biegła z powrotem do domu.

Wartownicy niewątpliwie ją zapamiętali – odwrócili się, by popatrzeć, jak biegnie. Na to właśnie czekał Eddie, ale teraz stanął mu na drodze dupek z papierosem, a nie miał czasu wspinać się na inne drzewo. Za Macy właśnie pojawiły się światła samochodu...

Żołnierz stał nieruchomo, rozkoszując się papierosem, jak aktor żywcem wyjęty z reklamy z lat 50. Chase wpatrywał się w niego w nadziei, że mężczyznę nagle zabije rak płuc – tak się jednak nie stało.

Stażystka znów pomachała żołnierzom, potem przebiegła przez ulicę w ich stronę. Światła samochodu były coraz bliżej. Kobieta miała w uszach białe słuchawki i wydawała się nie zauważać nadjeżdżającego pojazdu. Jeden z wojskowych nagle dostrzegł zagrożenie i krzyknął ostrzegawczo. Macy się odwróciła.

Samochód zahamował gwałtownie, ale było już za późno. Piskowi opon towarzyszył głuchy metaliczny dźwięk, kiedy kobieta przetoczyła się po masce i ciężko osunęła na jezdnię.

Eddie zamrugał. Spodziewał się takiego przebiegu wypadków, a siedzący za kierownicą Mac i Macy wiedzieli, co mają robić, ale hałas był znacznie głośniejszy, niż planowali.

Palacz zauważył zamieszanie, zobaczył, że strażnicy wyskoczyli na jezdnię, i pobiegł w stronę bramy, by sprawdzić, co się stało.

Chase jeszcze raz zerknął na miejsce „wypadku”. Mac wysiadł z samochodu, podnosząc ręce w geście zaskoczenia. Rzecz jasna, choć zderzenie nastąpiło z winy pieszej, żołnierze stanęli po stronie atrakcyjnej młodej poszkodowanej, a nie starszego kierowcy. Jeden z nich z wściekłością krzyczał na Szkota. Eddie zaczął czołgać się po grubej gałęzi drzewa, ale nie był do końca przekonany, czy cała akcja skończy się po jego myśli – gdyby żołnierze uznali, że to Mac jest winny, i wezwali policję lub, co gorsza, wzięli sprawy w swoje ręce...

Macy podniosła się i stanęła między Wenezuelczykami a Makiem, tłumacząc strażnikom, że wszystko jest w porządku. Udobruchani żołnierze zaczęli spierać się między sobą o to, który ma jej pomóc.

Hałas przyciągnął jeszcze kilku mężczyzn z drugiej strony posiadłości, ale Eddiego interesował tylko palacz. Kiedy mężczyzna zauważył, że sytuacja została opanowana, znów przystanął – tym razem na tyle daleko, że Eddie mógł zacząć działać.

Konar sięgał prawie do muru – został przycięty tak, aby nie wchodził na teren sąsiedniej posiadłości. Chase zeskoczył z niego, przez chwilę oparł się obiema nogami o szczyt muru, potem zsunął się na drugą stronę i padł na ziemię za ozdobnym krzewem. Spojrzał między liśćmi, szukając wzrokiem żołnierza...

Mężczyzna odwrócił się i zaczął rozglądać.

Najwyraźniej szuranie butów o mur albo odgłos upadku przyciągnął uwagę żołnierza. Chase zamarł. Wojskowy najpierw wyglądał na zdezorientowanego, potem wytyczył słuch.

I ruszył w kierunku krzewów.

Eddie sięgnął do kieszeni kurtki. Nie był w stanie zdobyć pistoletu w kraju, w którym nie miał żadnych kontaktów. Udało mu się uzbroić jedynie w mały nóż, który kupił w sklepie sportowym w centrum handlowym. Wiedział, że o ile żołnierz nie przejdzie obok, nie patrząc w dół, zauważy go na długo, zanim będzie miał okazję użyć broni.

Z telewizora przy basenie dobiegł aplauz, kiedy jedna z drużyn zdobyła punkt. Żołnierz obejrzał się w tamtą stronę i zawrócił, przekonany, że dźwięk, który przedtem słyszał, również dochodził z odbiornika.

Eddie wsunął nóż z powrotem do kieszeni i ostrożnie uniósł głowę. Żołnierz poszedł w przeciwnym kierunku. Przez bramę Chase zobaczył, jak Mac pomaga Macy wsiąść do samochodu. Kobieta utykała, ale poza tym była cała. Żołnierze niechętnie się z nią pożegnali, a kiedy samochód odjechał, wrócili na posterunek.

Droga wolna.

Szybko rozejrzał się po terenie. Musiał przebyć około dwudziestu metrów przez trawnik oddzielający go od basenu, okrążyć go i dotrzeć do jednego z wejść. Dwuskrzydłowe szklane drzwi przy basenie były otwarte, ale zdecydował się na mniejsze wejście, leżące nieco dalej i dające lepszą osłonę.

Rozległ się daleki huk przypominający uderzenie gromu.

Eddie wiedział jednak, że to nie piorun. Słyszał w życiu dość wybuchów, żeby dostrzec różnicę. Rozległ się kolejny ostry odgłos eksplozji, a potem terkot karabinów maszynowych, nie do pomylenia z żadnym innym dźwiękiem.

Te same odgłosy rozbrzmiały z drugiej strony. A potem z kolejnego miejsca.

Zaczął się przewrót.

Callas rozmieścił swoje oddziały w różnych punktach miasta, gdzie miały czekać na właściwy moment – i chwila ta właśnie nadeszła. Rozpoczął się skoordynowany atak mający na celu przejęcie kontroli nad najważniejszymi strategicznie miejscami: głównymi drogami i skrzyżowaniami, stacjami radiowymi i telewizyjnymi, ośrodkami dowodzenia wspierającej Suareza Milicji Boliwariańskiej.

I rezydencją samego Suareza, pałacem Miraflores w centrum Caracas.

Na to właśnie czekała obsada Klubu. Eddie znów przypadł do ziemi, kiedy z budynku wybiegli żołnierze, niosąc karabiny maszynowe i skrzynki z amunicją. Posiadłość była gotowa do obrony.

Ktoś zaczął wykrzykiwać rozkazy. Eddie rozpoznał mężczyznę, którego widział przedtem w Paititi. Był to Rojas, prawa ręka Callasa. Generała nie było na miejscu, ale Klub najwyraźniej odgrywał kluczową rolę w jego planach. Posiadłość została otoczona przez kordon żołnierzy.

Dodatkowo otwarto frontową bramę i na teren wjechało kilka pojazdów: trzy terenowe samochody tiuna, podobne do humvee używanych przez amerykańską armię, rozorały wypielęgnowany trawnik, podjeżdżając do wejścia. Za nimi jechały dwa jeszcze większe i bardziej imponujące wojskowe pojazdy: potężny samochód opancerzony V-100 Commando, z żołnierzem siedzącym za karabinem maszynowym kalibru .50, i jeszcze większy V-300, sześciokołowy stalowy olbrzym z działem kalibru .90 na czołgowej wieżyczce. Obie maszyny zatrzymały się przed pałacykiem.

Jakby tego było mało, dwóch żołnierzy stanęło na rogu domu, skąd wyraźnie było widać basen. Eddie stracił szansę, by niepostrzeżenie dostać się do środka.

Nie było też drogi ucieczki z posiadłości. Znalazł się w potrzasku. A na ulicach Caracas wybuchła właśnie wojna domowa.

Generał Salvatore Callas odłożył słuchawkę, próbując ukryć uśmiech. Do Miraflores docierały pierwsze raporty o powstaniu w mieście... ale ten, który on przed chwilą otrzymał, bardzo różnił się od doniesień, jakie jego agenci w Milicji Boliwariańskiej przekazywali wyższym rangą członkom władz. Pierwsze informacje o zajściach otrzymane przez prezydenta Tito Suareza miały być nieprecyzyjne i sprzeczne. Zgodnie z planem, nie wiadomo było, kto odpowiada za wybuchy i strzelaniny w Caracas.

Callas dysponował dokładnymi danymi. Jego oddziały wykonały swoje zadanie i teraz kontrolowały wiele istotnych miejsc. Ostatnim ważnym celem, który jeszcze się bronił, była siedziba jednej z państwowych – wspierających Suareza – stacji telewizyjnych, bronionej przez tłum lojalistów. I ona musiała wkrótce upaść.

Callas wyszedł z biura i pomaszerował marmurowym korytarzem do kończących go podwójnych drzwi. Dwaj wartownicy z Milicji Boliwariańskiej przyjrzeni mu się podejrzliwie. Każdy, kto nie miał na sobie milicyjnego munduru polowego, nawet stary, zaufany przyjaciel *el Presidente*, był traktowany jak potencjalne zagrożenie. Strażnicy wpuścili go jednak do środka, a sekretarka Suareza, zajęta obsługą telefonów, dała mu ręką znak, żeby poszedł do następnych drzwi.

Callas zapukał raz i wszedł. Na ścianie za dużym tekowym biurkiem stojącym naprzeciw wejścia wisiały trzy portrety: Simóna Bolívara, który w dziewiętnastym wieku wyzwolił Wenezuelę spod panowania kolonijnych mocarstw, Hugo Chaveza, poprzedniego prezydenta kraju, który uważał się za współczesnego socjalistycznego następcę Bolívara, i pośrodku największy – wizerunek urzędującego przywódcy.

Generał ukrył swą pogardę. Suarez na żywo nie wyglądał tak imponująco, jak na portrecie – miał przerzedzone siwiejące włosy, okrągłą twarz i nadwagę spowodowaną brakiem ruchu i zbyt dużą liczbą oficjalnych przyjęć. Callas obiecał sobie, że nie wpadnie w tę samą pułapkę, kiedy to on będzie urzędować w tej sali.

Suarezowi towarzyszył kolejny mężczyzna w mundurze polowym – Vicente Machado, zastępca dowódcy milicji, drugi po prezydencie. Był także drugi po Suarezie na długiej liście wrogów Callasa i musiał zostać wyeliminowany jak najszybciej. Generał wiedział, że jeśli pozbawi milicję głowy, jej ciało – niedoszkolona zbieranina wieśniaków i biedaków, ściągnięta do służby jałową propagandą lub poczuciem ważności, jakie dawały mundur i broń – nie przeżyje długo.

Moment jego śmierci był już bliski. Ale jeszcze nie teraz. Generał musiał poczekać na Stike-sa.

Suarez w końcu odwrócił wzrok od Machado.

– Salvatore! Co się dzieje? Kto za tym stoi?

– Niestety, jeszcze nie wiem – odpowiedział Callas. – Dotarły do mnie raporty o wojnie gangów w *barrios* i o atakach na posterunki policji i oddziały wojska. To na pewno zorganizowana akcja – pierwsze incydenty wydarzyły się równocześnie. Ktoś musiał to zaplanować.

– Amerykanie – stwierdził Machado. – To na pewno oni. Próbuje zdławić rewolucję!

Callas z trudem się powstrzymał, by nie zacmokać sarkastycznie, słysząc naiwne słowa tego idioty. Wiedział, że Suarez powołał Machado na stanowisko ze względu na jego lojalność, nie bystrość. Jednak zamiast go wyśmiewać, postanowił wykorzystać jego łatwowierność.

– Tak, wszystko na to wskazuje – powiedział konspiracyjnym tonem. – Do tego ich agenci mogą być wszędzie. Aby rozpocząć taką operację bez wiedzy naszych sił bezpieczeństwa, CIA musiało skorumpować ludzi na rozmaitych szczeblach. W policji, a nawet w milicji.

– Albo w armii – stwierdził Machado. Może i był głupi, ale miał dość sprytu i instynktu samozachowawczego, żeby zauważyć, do czego zmierza Callas.

Generał tylko na to czekał.

– Tak, może nawet w armii. Mamy setki tysięcy żołnierzy. Nie sposób powiedzieć, ile z nich

sprzedało swoją lojalność Amerykanom. Dlatego właśnie musimy wywieźć cię z Miraflores w bezpieczne miejsce – dodał, zwracając się do prezydenta.

– Nie – odparł Suarez. – Ludzie muszą widzieć, że nadal mam kontrolę nad sytuacją. Nie będę się ukrywał.

– Dokładnie to samo myślał prezydent Chavez w 2002 roku – przypomniał Callas, wskazując na portret byłego przywódcy. – Spiskowcy próbujący przeprowadzić zamach stanu aresztowali go tutaj, w pałacu – w tej sali! Przeżył tylko dlatego, że napastnicy przecenili swoje poparcie wśród ludu. Tym razem wróg nie popełni takiego błędu. Musimy wywieźć cię w bezpieczne miejsce. Wezwałem już śmigłowiec szturmowy, żeby cię ewakuował.

– Dokąd?

– W Maracay jest baza wojskowa. Tam...

– Nie zgadzam się na bazę wojskową – przerwał Machado. – Za bezpieczeństwo prezydenta odpowiada Milicja Boliwariańska. Możemy polecieć do jednej z naszych baz.

– To... twoja decyzja – odparł Callas, udając niezadowolenie z pomysłu rywala. – Dla mnie najważniejsze jest twoje bezpieczeństwo. Oczywiście, cokolwiek zdecydujesz, stanę przy twoim boku.

– Baza Milicji – stwierdził po chwili Suarez. Machado uśmiechnął się z satysfakcją. – Ale tak, Salvatore, pojedziesz ze mną. Obaj pojedziecie. Potrzebuję was w walce z tymi draniami!

– Śmigłowiec zaraz tu będzie – uprzedził go Callas. – Powinniśmy opuścić pałac, zanim rebelianci przypuszczą szturm.

– Zwołam ludzi – zaproponował Machado i pospiesznie wyszedł z sali.

Suarez wstał i zaczął zbierać dokumenty.

– Nie martw się, Tito – pocieszył go Callas. – Przechodziliśmy już przez takie rzeczy. Razem to przetrwamy.

Suarez posłał mu błady uśmiech.

– Cieszę się, że jesteś po mojej stronie, Salvatore. – Włożył dokumenty do teczki i zatrzasnął zamek. – Dobrze, chodźmy.

Wyszli z sali i przez chwilę czekali na Machado, który wydawał rozkazy przez telefon.

Dwaj milicjanci, którzy wcześniej pełnili wartę przed drzwiami, ruszyli za nimi przez pałac.

– Oddział milicji będzie czekać na nas przy zachodnim wyjściu – oświadczył Machado.

– W helikopterze jest tylko osiem miejsc – wyjaśnił Callas. – Może zabrać nas trzech i pięciu ludzi Vicente. Reszta będzie musiała tu zostać.

– Dobrze, dobrze – rzucił Suarez z roztargnieniem. Prezydent myślał już tylko o własnym bezpieczeństwie. Dotarli do drzwi wyjściowych, przy których czekała grupa uzbrojonych milicjantów. Machado wybrał pięciu, którzy mieli im towarzyszyć, i rozkazał pozostałym bronić budynku. Po chwili trzej mężczyźni, otoczeni umundurowanymi strażnikami, ruszyli przez pałacowy ogród.

Callas słyszał echa wystrzałów dobiegające z miasta, ale skupił się na innym dźwięku – coraz głośniejszym warkocie wirników. Helikopter był coraz bliżej. Generał zwolnił i został parę kroków z tyłu, żeby Suarez i Machado nie zobaczyli, co wyjął z kieszeni.

Trzymał w ręku zatyczki. Szybko wcisnął silikonowe kulki do uszu – dźwięki zostały przytłumione, jakby znalazł się pod wodą.

Na niebie pojawiło się światło reflektora, które przemknęło po drzewach i zatrzymało się na lądowisku dla helikopterów. Callas spojrział na jego źródło. Hind schodził do lądowania. W świetle reflektorów oświetlających pałac wyraźnie widać było trójkolorową wenezuelską flagę na boku maszyny.

Ośmiu mężczyzn stanęło obok lądowiska, a hind dotknął ziemi i otworzył tylny właz...

Wyskoczyło z niego sześć ubranych na czarno postaci.

Callas zamknął oczy, odwrócił głowę i przycisnął ręce do uszu. Wiedział, że hałas, który miał za chwilę się zacząć, przebije się nawet przez zatyczki...

Nowo przybyli mieli zasłonięte kominiarkami twarze i precyzyjny plan działania. Pierwszy, który wysiadł z helikoptera, wyciągnął zawleczkę z granatu hukowego i rzucił go w stronę czekających. Ładunek eksplodował sekundę później, na wysokości ich głów, tuż przed Suarezem i jego

światą. Oślepiający błysk i ogłuszający huk uderzyły w nieprzygotowanych mężczyzn, pozbawiając ich świadomości.

Całkowita bezradność ofiar nie wzbudziła litości w napastnikach. Dwóch mężczyzn otworzyło ogień z karabinów M4 wyposażonych w tłumiki i celowniki laserowe. Krótkie, kontrolowane serie ścięły z nóg czterech członków milicji. Piąty ocalał przez przypadek – zamroczony potknął się i wpadł w klomb krzewów.

Callas opuścił ręce. Choć wiedział, co ma się stać, i był na to przygotowany, boleśnie odczuł wybuch granatu. Zignorował jednak dzwonienie w uszach i wyciągnął broń.

Suarez chwiał się na nogach, po omacku wymachując rękami. Machado zdołał zasłonić twarz dłonią podczas wybuchu, ale także się zataczał. Kiedy otworzył oczy, zobaczył przed sobą generała uśmiechającego się pogardliwie...

Callas strzelił mu w czoło. Pocisk przebił głowę, rozbryzgując mózg.

Jeden z ubranych na czarno mężczyzn podbiegł do Callasa. Był uzbrojony w M4, ale w kabinie miał błyszczący pistolet, więc generał natychmiast go rozpoznał. Stikes.

– Nic panu nie jest?

– Chyba nie – odpowiedział Callas, wyciągając z uszu zatyczki.

– Dobrze. Proszę zabrać Suareza na pokład. Będziemy was osłaniać.

Generał chwycił prezydenta za kołnierz i pociągnął za sobą.

Najemnicy posługiwali się bronią z tłumikami, ale huk granatu i wystrzału z pistoletu Callasa przyciągnęły uwagę. W stronę lądowiska biegli kolejni milicjanci. Pozostały przy życiu mężczyzna z prezydenckiej eskorty podniósł się na kolana, szukając broni...

Jeden z napastników, muskularny olbrzym, złapał go za nogi na wysokości kostek i szarpnięciem poderwał z ziemi jak szmacianą lalkę. Zakręcił się jak młociarz podczas zawodów lekkoatletycznych, ciągnąc mężczyznę za sobą, a potem nim rzucił. Wenezuelczyk z krzykiem przeleciał nad krzakami i spadł na nadbiegających milicjantów, powalając ich na ziemię.

Pozostali ludzie Stikesa posługiwali się bardziej konwencjonalną bronią. Brali na cel kolejnych członków milicji, a przytłumionym odgłosom wystrzałów towarzyszyły krzyki ofiar.

Callas próbował wepchnąć Suareza przez właz hinda. Prezydent, który zaczął dochodzić do siebie po wybuchu, stawiał opór. Callas przystawił mu gorącą lufę pistoletu do podbródka, zmuszając, by wszedł do środka.

Z góry dobiegły krzyki. Dwaj milicjanci biegli po jednym z tarasów na dachu pałacu, niosąc ciężki karabin maszynowy. Stikes strzelił w ich stronę, ale padli na ziemię i kule odbiły się od grubych kamiennych ścian budynku. Jeden z mężczyzn rozstawił karabin na parapecie, drugi przygotowywał amunicję do ostrzału.

Jeden z najemników strzelił pierwszy z granatnika RPG-7. Głowica poleciała na dach, niszcząc parapet i zabijając stojących za nim mężczyzn. Kamienne odłamki spadły na ludzi wybiegających z budynku.

– Ruszamy! – krzyknął Stikes. Grupa wycofała się do helikoptera. Jej dowódca wystrzelił ostatnią serię, powalając na ziemię jeszcze jednego człowieka, i pobiegł za swoimi ludźmi.

Wskoczył do kabiny i zatrzasnął właz. Gurow pilotujący maszynę z tylnego kokpitu zwiększył moc. Hind poderwał się w powietrze.

W kabinie rozległ się przeszywający dźwięk – kula trafiła w helikopter. Stikes usiadł obok Suareza i szybko zapiął pasy. Callas, siedzący z drugiej strony prezydenta, wciąż trzymał go na muszce. Helikopter był ciężko uzbrojony, ale nie niezniszczalny. Dowódca najemników zdjął kominiarkę i założył hełm.

– Dobra! – wrzasnął. – Pozamiataj tam!

Siedzący w przednim kokpicie kanonier hinda – Armeńczyk Krikorian – wyszczerzył zęby w uśmiechu i pociągnął za spust.

Przednie działo helikoptera zaczęło się kręcić, wypluwając strumień pocisków z czterech szybko obracających się luf. Przez noktowizyjny celownik pałac Miraflores wyglądał prawie jak ekran w grze komputerowej – świecące na biało ludzkie sylwetki odcinały się od szaro-czarnego tła. Kanonier musiał tylko spojrzeć na cel, przesunąć nad nim kursorem, a postacie rozpadały się na

kawałki, kiedy karabin Gatlinga reagował na jego komendę. Kule z brzękiem odbijały się od kadłuba i osłony kokpitu, ale serie kalibru .7.62, które posyłał milicjanci ze swoich AK-103, nie były w stanie przebić się przez pancierz hinda. Strzelający do helikoptera mężczyźni, wyraźnie widoczni dzięki rozbłyskom z luf swoich karabinów, szybko padali martwi.

Hind okrążył pałac. Strażnicy stojący na górnych tarasach otworzyli ogień, ale zmiotła ich seria z działa. Helikopter wzniósł się wyżej, skierował na południowy wschód i przemknął obok drapaczy chmur.

– Co z nami? – powiedział Stikes do słuchawek. – Jesteśmy cali?

– Tak – odpowiedział Gurow. – Macie go?

– Tak. Kiedy lądujemy?

– Będziemy na miejscu za... ej! – Zdziwiony pilot wymamrotał coś po rosyjsku, a potem odezwał się po angielsku. – Mamy towarzystwo. Drugi *krokodil*.

„Krokodylami” Rosjanie nazywali hindy.

– Gdzie? – spytał Stikes.

– Po lewej, na dziesiątej.

Najemnik rozluźnił pas i wyjrzał przez okienko we włazie. W ciemności nad Caracas migały światła pozycyjne drugiego helikoptera.

Callas, który usłyszał część rozmowy Stikesa z pilotem, założył słuchawki. Wciąż trzymając lufę karabinu przy klatce piersiowej prezydenta, wyjrzał przez okienko.

– Wiedzą, że na pokładzie jest Suarez?

– Tak – spokojnie odpowiedział Stikes. – Inaczej już otworzyliby ogień.

W słuchawkach odezwał się głos Gurowa.

– Nadają przez radio... nakazują nam lecieć przed nimi do bazy wojskowej, gdzie mamy się poddać i przekazać im Suareza.

– Doprawdy? – spytał Stikes, znów zacieśnił pasy i uśmiechnął się do swojego klienta. – Generale, wydał pan dużo pieniędzy na ten helikopter. Już czas, żeby pokazał, na co go stać.

Callas odpowiedział okrutnym uśmiechem.

– Tak. Zrób to.

– Gurow, Krikorian – powiedział Anglik do słuchawek. – Pokażcie naszym przyjacielom najkrótszą drogę na ziemię.

– Robi się – odpowiedział wyraźnie podekscytowany kanonier.

Hind przechylił się w stronę wenezuelskiego helikoptera. Znów odezwał się Gurow.

– Dalej nadają przez radio. Mówią, że to ich ostatnie ostrzeżenie. Jeśli nie zawrócimy...

– Szkoda czasu – warknął Stikes. – Krikorian, załatw ich. Już!

Krikorian aktywował rosyjską rakietę Igła umieszczoną na jednym ze wsporników skrzydła. Pocisk ziemia–powietrze nie był przeznaczony do wystrzeliwania z powietrza, ale ekipa techniczna najemników podłączyła go do systemów helikoptera. Słyszając ćwierkający odgłos w słuchawkach, kanonier upewnił się, że prowizoryczne rozwiązanie działa – rakietka zlokalizowała źródło ciepła na nocnym niebie.

Drugi hind znajdował się niemal bezpośrednio przed nimi i szybko się do nich zbliżał.

Krikorian pociągnął za spust.

Igła wystrzeliła naprzód i przeleciała obok kokpitu, ciągnąc za sobą smugę pomarańczowych promieni. Ciężki wenezuelski śmigłowiec nie miał czasu się uchylić...

Pocisk uderzył w hinda czołowo z ponaddźwiękową prędkością. Wybuch rozerwał tylny kokpit, zabijając pilota na miejscu. Szrapnele wbiły się we wloty powietrza dwóch silników, roztrzaskując wirniki sprężarek i turbiny.

Hind stracił moc, ale wciąż wisiał w powietrzu, podtrzymywany przez obracający się automatycznie główny wirnik... aż własny ciężar pociągnął go w dół. Helikopter, wirując chaotycznie, spadł na dach pobliskiego budynku i eksplodował.

– No i jak? – niecierpliwie spytał Stikes. – Dorwaliście go?

– Dorwaliśmy – rzucił rozradowany Krikorian.

– Dobrze. Gurow, zawieź nas z powrotem do Klubu. – Najemnik z zadowoloną miną rozparł

się na siedzeniu, a hind ruszył w dalszą drogę do Valle Arriba.



Ze swojej kryjówki za krzewami Eddie obserwował żołnierzy wokół Klubu. Był coraz bardziej zniecierpliwiony i zaniepokojony. Dochodzące z miasta odgłosy walki przybierały na sile. Przewrót planowany przez Callasa trwał i wyglądało na to, że się powiedzie. Chase widział, jak Rojas odbiera raporty przez krótkofalówkę. Sądząc z jego zachowania, wieści były pomyślne.

Właśnie nadeszła kolejna. Rojas zaczął wydawać rozkazy i część jego ludzi pobiegła na tyły posiadłości. Eddie przypadł do ziemi, ale wojskowi przebiegli obok niego i skierowali się w stronę lądowiska dla helikopterów. Rojas poszedł za nimi wolnym krokiem, rozmawiając po hiszpańsku przez radio. Chase nie był pewien, ale wydawało mu się, że z urzędnika dobiegał głos Callasa. Wenezueleczyk zatrzymał się przy telewizorze, żeby sprawdzić najnowsze wiadomości, wyłączył dźwięk i poszedł dalej.

Eddie nadal leżał na ziemi, obserwując żołnierzy czekających przy lądowisku. Domyślał się, że Callas wraca na swoje stanowisko dowodzenia.

Nie mylił się. Warkot wirników zagłuszył dochodzący z miasta huk wystrzałów, a nad polem golfowym przemknął śmigłowiec. Hind, ten sam, którego widział w bazie niedaleko Paititi, ale pomalowany w barwy Wenezueli. Po co był Callasowi helikopter, skoro generał kontrolował wenezuelską flotę powietrzną?

Poznał odpowiedź na to pytanie, kiedy helikopter wylądował. Z maszyny wyskoczył mężczyzna w czarnym mundurze bojowym, blondyn, z jericho w kaburze przy pasie. Stikes. Oczywiście, Callas potrzebował załogi śmigłowca, na której będzie mógł w pełni polegać. Nawet ludzie oddani sprawie mogli mieć opory przed strzelaniem do rodaków. Ale co planowali najemnicy?

Z maszyny wysiedli kolejni mężczyźni w kominiarkach, a po chwili sam Callas, trzymając na muszce innego mężczyznę.

Eddie rozpoznał Tito Suareza.

– Jezu – wyszeptał w mimowolnym podziwieniu dla śmiałego planu Callasa. Porwali prezydenta, zapewne prosto z Miraflores. Posługując się Stikesem i jego najemnikami, generał wyeliminował ryzyko, że któryś z żołnierzy zmieni front, kiedy stanie twarzą w twarz z głową państwa, tak jak dziesięć lat wcześniej, podczas próby porwania Hugo Chaveza.

Stikes założył beret i powiedział coś do zamaskowanych mężczyzn, którzy chwycili wyrwijącego się Suareza i zaciągnęli go do wnętrza pałacyku. Rojas złożył raport przełożonemu. Callas skinął głową i wydał rozkazy. Rojas zasalutował i przekazał je dalej przez radio, potem odwrócił się i pobiegł wzdłuż budynku. Żołnierze podążyli za nim.

Dwaj strażnicy stojący na rogu dołączyli do przebiegającej grupy. Eddie poczuł przyływ adrenaliny. Wartownicy przegrupowywali się – po schwytaniu Suareza Callas zapewne chciał zabezpieczyć rozleglejszy teren wokół Klubu. To mogła być jego szansa na dostanie się do środka...

Obserwował i czekał. Główna brama otworzyła się i jedna z terenowych tiun wyjechała na ulicę, za nią wymaszerował oddział żołnierzy. Odezwał się też silnik jednego z samochodów opancerzonych: sześciokołowy V-300 rozorał trawnik, zatoczył szeroki łuk i wyjechał z terenu posiadłości.

Niedaleko rozbrzmiały głosy. Chase obejrzał się i zobaczył Callasa i Stikesa przechodzących obok basenu. Generał przystanął, uniósł pokrywę wózka cateringowego stojącego obok telewizora i włożył do ust jakiś przysmak.

– Chcesz trochę? – spytał Stikesa.

Najemnik pokręcił głową.

– Jest pan pewien, że należy ustawić blokady na drogach tak daleko od Klubu? Gdyby stały bliżej, byłyby lepiej chronione.

– Muszę zablokować skrzyżowanie – odpowiedział Callas. – Poza tym teraz, kiedy zaczął się pucz, nie dbam już o dobrosąsiedzkie stosunki. – Przykrył wózek i wszedł ze Stikesem do domu.

Eddie rozejrzał się wokół. Żołnierze na tyłach Klubu nadal obserwowali pole golfowe, wojskowi z przodu pałacyku ustawili się wokół wojskowych pojazdów przy głównej bramie. Istniało ryzyko, że któryś z nich obejrzy się w stronę budynku, ale musiał je podjąć...

Wyszedł z kryjówki i pobiegł przez trawnik.

Nikt nie podniósł alarmu. Nikt go nie zauważył. Jeszcze nie. Upatrzone wejście miał prawie dokładnie przed sobą, ale nie mógł tak po prostu przez nie wbiec – musiał upewnić się, że w pomieszczeniu za drzwiami nikogo nie ma. Jeden z żołnierzy stojących przy bramie odwrócił się...

I nic nie zauważył. Przez włączone światła samochodów jego noktowizor nie działał prawidłowo.

Eddie dotarł w osłonięte miejsce i przywarł do ściany. Wyciągając nóż, ruszył w stronę drzwi.

Wewnątrz paliło się przytłumione światło. Zajrzał do środka przez okno. Zobaczył ciemną kuchnię. Światło dochodziło jedynie z niedomkniętych drzwi na końcu pomieszczenia. Nacisnął na klamkę i drzwi się otworzyły. Wszedł do środka.

Gdzie trzymano więźniów? Najprawdopodobniej w piwnicach.

Cicho podszedł do zamkniętych drzwi w nadziei, że znajdzie za nimi schody w dół, ale wejście prowadziło do salonu z francuskimi oknami wychodzącymi na basen.

– Psiakrew – mruknął Eddie. Zdał sobie sprawę, że będzie musiał przeszukać cały dom.

Podszedł do kolejnych drzwi, za którymi zobaczył korytarz.

Już miał przez nie przejść, kiedy usłyszał tupot ciężkich butów na wypolerowanej podłodze. Cofnął się i przez szparę w drzwiach przyjrzał się nadchodzącemu mężczyźnie. Był to jeden z najemników...

Eddie ze zdziwieniem go rozpoznał. Kevin Baine. Nie widział dawnego komandosa SAS od ponad dziewięciu lat. Stikes najwyraźniej o nim nie zapomniał, i postanowił go zwerbować.

Kroki Baine'a ucichły, kiedy skręcił za róg. Eddie wyszedł na korytarz i skierował się w przeciwną stronę. Przeszedł obok otwartych drzwi prowadzących do salonu i, upewniwszy się, że nikogo nie ma za rogiem, skręcił.

Zobaczył wąskie schody prowadzące na górę, a pod nimi zamknięte drzwi. Czyżby zejście do piwnicy? Sięgnął do klamki...

Drzwi się otworzyły.

Eddie znalazł się twarzą w twarz z olbrzymim, ubranym na czarno mężczyzną – a dokładniej, uderzył twarzą w jego klatkę piersiową. Kolejny najemnik miał pistolet w kaburze i granat hukowy przy pasie taktycznym. Chase spojrział w górę – napotkał zdziwiony wzrok zamaskowanego olbrzyma.

Wyciągnął nóż i już miał go wbić w brzuch najemnika...

Oczy w otworach kominiarki otworzyły się szerzej, kiedy mężczyzna go rozpoznał.

– Malutki! – powiedział radośnie z rosyjskim akcentem.

Eddie powstrzymał cios i szybko schował ostrze za plecami. Znał ten głos, ale nie mógł uwierzyć, że go słyszy.

– Maksimow?

Olbrzym zdjął kominiarkę, odsłaniając brodatą, pobrużdżoną twarz z olbrzymią blizną pośrodku czoła.

– Co ty tu robisz? – spytał Oleg Maksimow, uśmiechając się do Anglika.

Eddie ostatni raz widział potężnego żołnierza Specnazu dwa lata wcześniej, podczas poszukiwań Excalibura. Najpierw byli wrogami, potem sprzymierzeńcami z konieczności. Maksimow był wówczas na służbie u rosyjskiego miliardera. Wyglądało na to, że teraz znalazł nowego pracodawcę.

– Stikes nie powiedział wam, że przyjadę? – spytał Chase, desperacko improwizując.

– Nie. Kiedy dołączyłeś do grupy? – spytał zaskoczony Rosjanin.

– Znam Stikesa od lat – wyjaśnił Eddie z udawaną pewnością siebie. – Służyliśmy razem w SAS. Miałem otwarte zaproszenie do 3S, ale dopiero niedawno udało mi się z niego skorzystać. Przedtem byłem zajęty pracą w Agencji, no i przygotowaniami do ślubu.

– W końcu dałeś się zaobrączkować? Gratulacje! – Maksimow poklepał Eddiego po ramieniu ogromną pięścią. – To ta ładna ruda babka, *da*? Widziałem ją w telewizji, przy Sfinksie. Co teraz porabia?

Czyżby Rosjanin nie wiedział, że Nina tu jest?

– Prowadzi badania archeologiczne. Straszne nudy. Dlatego postanowiłem sprawdzić, czy stary Stikes ma do zaproponowania coś ciekawszego. Muszę przyznać, że przewrót w Wenezueli przerósł moje oczekiwania!

– Moje też – stwierdził Rosjanin, kiwając głową. – Ale praca to praca, a forsa to forsa, co nie?

– Dokładnie – przytaknął Eddie, po czym dodał, wykorzystując nadarzącą się okazję: – Czy mógłbyś pójść ze mną do prezydenta Suareza? Dlatego właśnie Stikes mnie wezwał... Suarez mnie zna, więc może uda mi się wydobyć od niego informacje, których potrzebuje Callas.

Wiedział, że im dłużej będzie opowiadał swoją bajeczkę, tym większe ryzyko, że zostanie zdemaskowany, ale wiedział też, że Maksimow nie został zatrudniony ze względu na nieprzeciętną inteligencję. Kilka nazwisk wystarczyło, by Rosjanin mu uwierzył.

– Zgoda – rzucił, kiwając głową.

– Co porabiałeś od czasu sprawy Jacka Mitchella? – spytał Eddie, robiąc krok do tyłu i wypuszczając mężczyznę na korytarz.

– Mitchella? – Maksimow warknął, kierując się w stronę, z której przyszedł Eddie. – Powiniennem być zmiądzony tego małego zasrańca. A tak w ogóle, co się z nim stało?

– Jest martwy. Bardzo, bardzo martwy. Został zadźgany, porażony prądem i utopiony, dokładnie w tej kolejności.

– Ha! Dobrze mu tak. Ja ostatnio często robię w Afryce. Cały czas wybuchają tam małe wojenki, *da*?

– A Struttera znasz? – spytał Eddie. Uznał, że mały świątek najemników będzie stanowił dobry temat do rozmowy i skuteczny sposób na odwrócenie uwagi Maksimowa.

– A, Strutter! To *żopa*, ale właśnie on poznał mnie ze Stikesem, więc nie jest taki całkiem do niczego. – Minęli kuchnię i Rosjanin podszedł do kolejnych drzwi. – Dobra, to tutaj.

Eddie postanowił nie przejmować się faktem, że trafiłyby do piwnic natychmiast, gdyby po wejściu do budynku skręcił w prawo, a nie w lewo, i poszedł za Maksimowem w głąb podziemi. Jego nowy towarzysz mógł się przydać chociażby jako żywa tarcza. Obrócił nóż w dłoni.

Rosjanin poprowadził go pomalowanym na biało korytarzem, tak wąskim, że ocierał się łokciami o ściany, i zatrzymał się przed drzwiami.

– Kiedy poznałeś Suareza? – spytał, otwierając je.

– Mniej więcej rok temu, na jakiejś imprezie ONZ – wyjaśnił Eddie, przyglądając się pomieszczeniu. Zostało ono podzielone metalowymi kratami sięgającymi od podłogi do sufitu na trzy małe cele. Wszystkie były zajęte – w środkowej siedział Suarez, w tej po lewej znajdował się Kit... a w ostatniej leżała na podłodze Nina.

W pomieszczeniu był także strażnik, który wstał i podejrzliwie przyjrzał się przybyszom.

– Co tu robicie? – spytał.

– Mamy z nim porozmawiać – wyjaśnił Maksimow, wskazując Suareza. Zauważył też Ninę i krzyknął z zaskoczenia.

– Hej! To ty!

Kobieta aż podskoczyła.

Żołnierz zauważył jej reakcję.

– Co się...

Eddie stanął za nim i szybkim ruchem wbił nóż głęboko w podstawę jego czaszki.

Wenezuelczyk osunął się na ziemię z rękonością wystającą z szyi. Eddie zerwał AK-103 z ramienia upadającego wojskowego i wymierzył w Maksimowa.

– Dobra, teraz rzuć broń. I granat.

– Malutki! – wykrzyknął Rosjanin. Wyglądał na zaszokowanego, a nawet urażonego tą niespodziewaną zmianą frontu. – Co ty robisz?

– Ratuję żonę – wyjaśnił Eddie, wskazując skinieniem głowy Ninę, a potem Kita. – I przyjaciela.

Suarez przycisnął twarz do kraty.

– *Ya mi?* – spytał z nadzieją.

– Sorry, stary, ale nie – odparł Eddie, kiedy Maksimow niechętnie odkładał broń na podłogę.

– Ach. – Teraz to prezydent wyglądał na urażonego.

– Eddie, musimy go stąd zabrać – powiedziała Nina. – A w ogóle... Eddie! O mój Boże! – Uśmiechnęła się bardzo, bardzo szeroko. – Ja... Myślałam, że nie żyjesz! Jak nas znalazłeś?

– Długa historia, opowiem kiedy indziej. – Chase trącił butem wciąż drgające ciało żołnierza. Zabrzęczały klucze. – Dobra, Maks, wypuść ich.

Maksimow z kwaśną miną wziął klucze i otworzył celę Niny. Kobieta wybiegła i chciała uściskać męża, ale ten ją odsunął. – Bierz broń – rozkazał. – Na seks po akcji przyjdzie czas, kiedy naprawdę będzie po akcji.

– Nie zamierzałam od razu wyskakiwać z ubrań – zaprotestowała kobieta, podnosząc pistolet. Maksimow otworzył pozostałe cele. Przez chwilę przyglądał się alarmowi pożarowemu na jednej ze ścian, ale zrezygnował z uruchomienia go, kiedy Eddie pogroził mu bronią. – Co z pozostałymi? Macy jest cała?

– Tak. Czeka na nas z McCrimmonem.

– Co takiego? Mac też tu jest?

– Tak. Wezwałem posiłki. Osterhagen i Becker zostali w szpitalu na południu – mam nadzieję, że ludzie Callasa ich nie znaleźli. Ale Oscar i Loretta nie żyją.

Nina, przed chwilą ucieszona nadejściem odsiecz, wyraźnie posmutniała. Kit podniósł granat hukowy.

– Eddie, co tam się dzieje? Skoro porwali prezydenta, domyślam się, że nie jest dobrze.

– Przewrót trwa w najlepsze – powiedział Eddie, wskazując najemnikowi kolbą kałasznikowa drogę do celi. Zamknął drzwi za wściekłym Rosjaninem i zwrócił się do Suareza. – No dobrze, panie *Presidente*. Wygląda na to, że jedzie pan z nami, więc proszę powiedzieć, dokąd powinniśmy się skierować?

Suarez spojrział na niego ze zdziwieniem.

– *Qué?*

Eddie z irytacją wznosił oczy ku niebu.

– Świetnie, kurwa. Jest z Barcelony!

– To przez twój akcent – łagodnie wyjaśniła Nina. – Nie sądzę, żeby rozmawiał w życiu z wieloma ludźmi z Yorkshire.

Zwróciła się do Wenezuelczyka, mówiąc powoli i wyraźnie.

– Panie prezydencie, czy mówi pan po angielsku?

– Mówię... o tyle... – Mężczyzna rozsunął kciuk i palec wskazujący. – Mało, *si?*

– Dobrze. Zabierzemy pana stąd. Dokąd mamy jechać?

Suarez skinął głową w stronę drzwi.

– Jechać, jechać, tak!

– Ale do-ka-d?

– *Qué dijiste?*

– Powiedziałam... Ech... Cholera, potrzebna nam Macy.

– W takim razie ruszajmy do niej – rzucił Eddie. – Nina, oddaj pistolet Kitowi. Ty weź granat hukowy, może nam się przydać po drodze. Kiedy dotrzemy do samochodu, Macy może spytać pana prezia, dokąd mamy jechać. Jeśli uda nam się przebić do oddziałów milicji, może zorganizujemy jakiś opór przeciwko Callasowi. – Ruszył do drzwi.

Nina pociągnęła go za rękaw.

– Eddie, czekaj, musimy jeszcze coś załatwić po drodze.

Mężczyzna zatrzymał się i zrobił kwaśną minę.

– Zaraz mi powiesz, że mamy znaleźć te cholerne figurki, co?

– Tak, figurki też... ale nie to jest najważniejsze! – pospiesznie wyjaśniła kobieta. – Callas

i Stikes spotkali się z niejakim de Quesadą...

– De Quesada? – powtórzył Suarez z obrzydzeniem. Najwyraźniej znał to nazwisko.

– Tak. To baron narkotykowy, pomaga Callasowi sfinansować przewrót. Ale przy okazji go szantażuje. Pokazał mu jakieś nagranie – nie widziałam go, ale potwornie wkurzyło Callasa. Płyta z tym filmem wciąż tu jest!

– Gdyby został wyemitowany, Wenezuelczycy przekonaliby się, że Callas robił interesy z baronami narkotykowymi. Straciłby poparcie! – uświadomił sobie Kit.

– Callas niepokoił się też, że emisja mogłaby doprowadzić do interwencji Stanów Zjednoczonych – dodała Nina. – Musimy znaleźć ten film.

Eddie wiedział, że Kit ma rację. Film mógł zniszczyć Callasa – o ile dożyją, by go komuś pokazać.

– Gdzie jest płyta?

– Na górze, w pokoju z widokiem na pole golfowe.

Wąskie schody, które Eddie widział po drodze, znajdowały się na tyłach domu i zapewne były znacznie rzadziej uczęszczane niż główne.

– Dobra, znam drogę. Kit, osłaniaj tyły.

Maksimow wściekle walił pięścią o drzwi celi i łomotał kratami.

– Zabiję cię za to, Malutki! Myślałem, że dobry z ciebie chłop!

– I miałeś rację – przyznał Eddie. – Maks, to nic osobistego, po prostu walczysz po złej stronie. Powinieneś pracować dla kogoś lepszego niż Stikes. – Rozwścieczony Rosjanin nie wyglądał na zachwyconego doradztwem zawodowym. – Dobra, ruszamy.

Wyszli z prowizorycznego więzienia, zamykając za sobą grube drewniane drzwi, i szybko pobiegli do schodów. Chase zatrzymał się na szczycie. Korytarz był pusty. Ruszył przed siebie, pozostali podążyli za nim.

Brzęk!

Z piwnic dobiegł głośny, metaliczny łomot. Po chwili się powtórzył.

– Cholera! – Eddie domyślił się, co się dzieje. Maksimow próbował wykorzystać swoją nadludzką siłę i wyrwać kraty z podłogi.

– Mam tam wrócić i go powstrzymać? – spytał Kit, unosząc pistolet.

Mąż Niny zamknął drzwi oddzielające schody. Stłumiły dźwięk, który stał się ledwie słyszalny.

– Nie mamy czasu. Znajdźmy tylko płytę i miejmy nadzieję, że kraty są porządnie wmurowane!

Pobiegli na górę. Doktor Wilde rozpoznała drogę, którą szła poprzedniego dnia.

– Tędy.

Eddie z odbezpieczonym karabinem podszedł do drzwi, które wskazała jego żona, otworzył je gwałtownie i zajrzał do salonu. Nikogo tam nie było.

Nina, Kit i Suarez weszli do środka, Chase stanął na straży przy wejściu.

– Callas rzucił płytę gdzieś tutaj – wyjaśniła Nina i rozpoczęła poszukiwania. Suarez szybko podszedł do okna i ze smutkiem przyglądał się miastu. Widział nie tylko światła Caracas, ale też łunę trawiących stolicę pożarów.

– Nina! – zawołał Kit z drugiego końca pokoju, podnosząc walizkę. – Znalazłem figurki!

– Świetnie – rzucił zniecierpliwiony Eddie. – A co z płytą?

Kobieta odsunęła od ściany doniczkę z jakąś rośliną i znalazła DVD.

– Tutaj! – krzyknęła. Płyta była lekko zadrapana i upstrzona tłustymi śladami palców, ale nie połamała się ani nie wyszczerbiła podczas upadku.

– Gotowi? – spytał Eddie. Nina skinęła głową. – Dobrze. Ruszamy. Te, Manuel! – krzyknął do Suareza. – *Vamos!*

Wybiegli z salonu. Suarez narzekał po hiszpańsku – nie byli pewni, czy skarży się na opłakany stan miasta, czy na brak szacunku Anglika. Eddie poprowadził ich w stronę schodów.

– Dobrze – powiedział, kiedy zbiegali na dół. – Wyjdziemy obok basenu i dostaniemy się przez mur do sąsiedniego domu. – Suarez znów się odezwał. Eddie obejrzał się na niego, kiedy do-

tarł do końca schodów, i zderzył się z kimś.

– Ej, uważaj... – powiedział Baine i ze zdziwienia zastygł w bezruchu. – Chase?

Po zderzeniu karabin Eddiego przesunął się na jego brzuch. Chase nie miał dość miejsca, żeby podnieść broń i wystrzelić. Poderwał kałasznikowa w górę i uderzył Baine'a w podbródek. Usłyszał grzechot zębów. Zanim mężczyzna doszedł do siebie, Chase zamachnął się i walnął go w skroń kolbą. Najemnik osunął się na ścianę. Eddie kopnął go w brzuch, powalając na ziemię. Już miał go wykończyć, ale zauważył, że Nina i Suarez biegną w stronę wyjścia.

– Poczekajcie, kurwa! – syknął, kopnął Baine'a w głowę, aby mieć pewność, że nieprędko się podniesie, i pobiegł za nimi...

Spod budynku dobiegł głośny huk metalu upadającego na beton. Maksimow się uwolnił.

Chwilę później w korytarzu rozległ się terkot dzwonka. Rosjanin uruchomił alarm.

Nina i Suarez zatrzymali się przy wyjściu prowadzącym do basenu. Stojący przy nim telewizor pokazywał ujęcia kręcone z dachu jakiegoś budynku – żołnierze stali kordonem naprzeciwko tłumowi cywilów.

– Przez mur? – spytała Nina.

– Nad murem – wskazał Eddie, wybiegł na zewnątrz i zobaczył trzech żołnierzy biegnących w swoją stronę. Byli mniej niż pięć metrów od niego.

Posłał serię z AK w kierunku zaskoczonych Wenezuelczyków...

Karabin wystrzelił tylko raz. Jeden z żołnierzy wpadł do basenu, zostawiając w wodzie krwawą smugę, ale dwaj pozostali odbezpieczyli kałasznikowy, kiedy zauważyli, że broń Chase'a się zacięła. Magazynek obluźował się podczas walki z Bainem.

Nina, która wybiegła za mężem, zauważyła wojskowych – kopnięciem posłała w ich stronę wózek cateringowy. Przejechał wzdłuż basenu, rozrzucając talerze, i wpadł na bliżej stojącego żołnierza. Impet uderzenia sprawił, że zatoczył się on na drugiego mężczyznę i obaj wpadli do basenu, komicznie wymachując rękami.

Eddiemu nie było jednak do śmiechu. Wojskowi nadal mieli broń, a z kałasznikowa dawało się strzelać nawet w wodzie. Próbował przeładować swój karabin, niestety, jedna z kul utknęła w środku. Zawołał Kita, ale Suarez stanął bez ruchu w drzwiach, tarasując przejście Hindusowi.

Żołnierze wypłynęli na powierzchnię, parszając wściekle. Jeden wytrząsnął wodę ze swojego karabinu i wymierzył go w stronę intruzów...

Eddie kopnięciem wepchnął telewizor do basenu.

Rozległ się huk i trzask. Porażeni prądem żołnierze wili się przez chwilę, potem znieruchomieli i bezwładnie unosili się w wodzie.

– Nie mów tego! – ostrzegła Chase'a Nina.

– Czego? Że to elektryzu...

– Mówiłam, siedź cicho.

– Ale z ciebie nudziara.

Chase'owi w końcu udało się przeładować karabin. Kit przepchnął się obok Suareza.

– Eddie, uważaj!

Od strony lądowiska nadbiegali kolejni żołnierze, zaniepokojeni odgłosem wystrzału.

Nie mieli szans dostać się cało do muru i przeskoczyć go.

– Biegiem przed dom! – krzyknął Eddie, pchając prezydenta. – Nina, dawaj granat!

Stikes i Callas wpadli do Klubu. Zobaczyli kilku bezładnie biegających żołnierzy – Maksimowa, który, odpychając ich na bok, zbliżył się do swojego pracodawcy.

– Szefie, szefie! – zawołał, przekrzykując alarm. – Tam w celach – to był Eddie Chase!

– Co takiego? – Stikes nie był w stanie ukryć szoku. Wiedział, że Anglik to twardy sukisyn, ale nie mieściło mu się w głowie, że mógł nie tylko przeżyć katastrofę lotniczą, ale też dotrzeć do Caracas i dostać się do kwatery głównej Callasa. – Jesteś pewien?

– Tak, tak! Znam go, a on mówił, że zna ciebie!

– Co z Suarezem? – spytał Callas.

– Uwolnił go! – Generał wybałuszył oczy z wściekłości. – Jego i pozostałych. Oszukał mnie!

– To akurat na pewno nie sprawiło mu kłopotu – warknął Stikes. Potężny Rosjanin był nowym nabytkiem 3S i wyglądało na to, że niezbyt udanym. – Kiedy to się stało?

– Dosłownie chwilę temu. Aha, szefie, mówili też, że muszą znaleźć jakąś... jakąś płytę.

Nie wiem, o co chodzi.

W oczach Callasa widać było ogromną wściekłość.

– DVD de Quesady wciąż jest na górze! Jeśli dostarczą je do stacji telewizyjnej...

Rojas wbiegł przez frontowe drzwi, krzycząc coś pośpiesznie po hiszpańsku.

– Strzały z boku domu – wyjaśnił generał Stikesowi i zaczął wydawać rozkazy.

Na zewnątrz rozległ się ogłuszający huk, a po nim krzyki.

– Wsiadać! – wrzasnął Eddie, wskazując na opancerzony samochód stojący przed domem.

Po strzelaninie przy basenie siedzący w nim żołnierz wychylił się przez właz, by spytać kolegów, co się dzieje, ale granat hukowy, który wylądował w środku grupy, pozbawił go przytomności.

Eddie pobiegł w kierunku V-100, ostrzeliwując wartowników przy bramie i zmuszając ich do ukrycia się za zaparkowanymi tiunami, potem ściał żołnierza, który wybiegł przez frontowe drzwi pałacyku. Przeskoczył nad nieprzytomnym mężczyzną, który wypadł z włazu, i przyjął pozycję obronną, kiedy Nina, Suarez i Kit wciskali się do wozu.

– Ktoś tu jest! – krzyknęła Nina. Kierowca V-100 nadal siedział na swoim miejscu, kurczowo przyciskając ręce do uszu.

Kit wsunął walizkę z figurkami i DVD pod wąską metalową ławeczkę.

– Ja się nim zajmę.

Razem z Suarezem ściałnęli kierowcę z siedzenia i wyrzucili z pojazdu.

Eddie zastrzelił kolejnego żołnierza czającego się w drzwiach, wskoczył do V-100 i zamknął za sobą ciężki właz.

– Ja poprowadzę – rzucił, przeciskając się do przodu. Zauważył, że samochód opancerzony ma jeden bardzo słaby punkt: część dachu była całkowicie otwarta, żeby kanonier mógł stanąć na podwyższeniu i obsługiwać karabin maszynowy. Granat, który trafiłby w to miejsce, zabiłby wszystkich w środku.

Musiał upewnić się, że nikt nie podejdzie wystarczająco blisko, by ich zabić.

– Trzymać się! – ostrzegł pasażerów, wskazując na siedzenie kierowcy. Zdarzało mu się dawniej prowadzić podobne pojazdy. Wiedział, że manewrowanie będzie trudne, ale kiedy samochód ruszy, będzie prawie niemożliwe, żeby ktoś – lub coś – go zatrzymało.

Silnik przez cały czas pracował. Chase wrzucił bieg i wcisnął pedał gazu.

Pojazd ważył dziewięć ton, więc trudno było po nim oczekiwać rekordowych prędkości. Eddie skierował go w stronę bramy i zerknął przez wąską szparę osłoniętą hartowanym szkłem, zastępującą przednią szybę. Żołnierze przy bramie przegrupowali się i zajęli pozycje za tiunami. Odbezpieczyli karabiny, które rozbłyły, kiedy otworzyli ogień.

Nina krzyknęła i schyliła głowę, kiedy kule z łoskotem uderzyły w pochyły przód V-100 i odbiły się rykoszetem. Kolejne wystrzały słyhać było z tyłu wozu – grupa żołnierzy wybiegła z willi i przyłączyła się do ataku. Uderzenia brzmiały, jakby siedzieli zamknięci w blaszanej beczce podczas burzy gradowej.

Mimo to Eddie wyglądał na rozbawionego.

– Trzeba czegoś więcej niż kałasznikowa, żeby przebić się przez taki pancierz!

Kit wyrzwał z rozpędzającego się wozu przez jedno z małych tylnych okienek.

– Zdaje się, że mają coś więcej!

Z Klubu wybiegli najemnicy Stikesa, odpychając żołnierzy na boki. Ich karabiny M4 miały jeszcze mniejszą siłę ognia niż wenezuelskie AK-103, ale zamontowane na nich granatniki M203 zmieniały postać rzeczy.

V-100 nie posiadał lusterek wstecznych, więc Eddie nie widział, co się dzieje z tyłu, ale ostrzeżenie Kita go zaniepokoiło. Wciskając gaz do dechy, zakręcił kierownicą na boki. Kolejne kule odbiły się od jadącego zygzakiem wozu. Pancierz, zaprojektowany tak, by odpychał pociski, mógł wytrzymać uderzenie granatu, ale Chase martwił się o koła. Wzmocnione opony nadawały się do jazdy nawet po przebiciu kulami, ale wybuch granatu rozerwałby je na strzępy.

Kit padł na podłogę.

– Leci!

Eddie się schylił, Nina i Suarez zasłonili głowy. Granat z M203 uderzył w tył pojazdu, odbił się i wybuchł na trawniku. Pancierz spełnił swoje zadanie.

Następnym razem mogli mieć mniej szczęścia. Eddie ostro skręcił, zbliżając się do tiun.

Trafił ich kolejny granat, tym razem skutecznie. Wybuch zatrzęsł wozem, a fala uderzenio-



wa oderwała od metalu ostre kawałki farby, które przeleciały po kabinie. Kit krzyknął, kiedy jeden zranił go w tył głowy. Kolejny trafił Suareza w rękę. V-100 zabrzączał jak gong.

Znaleźli się zbyt blisko żołnierzy, by najemnicy mogli ryzykować wystrzelenie następnych granatów. Eddie uniósł głowę. Od przedniej części pancerza odbiły się kolejne kule. Ostrzał ustał, kiedy Wenezuelczycy zdali sobie sprawę, że wóz nie zamierza się zatrzymać, i rzucili się do ucieczki.

– Trzymać się!

Pojazd jechał zaledwie pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, ale dzięki swej masie rozgniół potężną tiunę, jakby była pudełkiem zapalek. V-100 najpierw przewrócił terenówkę na dach, potem sprasował ją potężnymi kołami. Pasażerami zaczęło rzucać po kabinie. Eddie kurczowo trzymał się kierownicy.

Brama była tuż przed nimi...

Rozpadła się, jakby była zrobiona z wykałaczek, kiedy opancerzony wóz przebił się przez nią. Eddie ostro skręcił.

Na podjeździe zapaliły się światła samochodu. Zobaczyli fiata wypożyczonego przez Maca. Eddie zahamował i zatrzymał się obok niego.

– Szybko, otwórzcie boczny właz! To Mac i Macy, wpuście ich do środka! – Zeskoczył z siedzenia, kiedy Nina i Kit odsuwali pokrywę. – Wsiadajcie!

– Nie, to wy wsiadajcie do nas! – odkrzyknął Szkot.

Suarez, trzymając się za krwawiącą rękę, wyjrzał przez tylną szybę i zobaczył drugą tiunę wyjeżdżającą przez wyłamaną bramę.

– *Vienen!*

– Cholera! – krzyknęła Nina, kiedy zobaczyła terenówkę. On ma rację! Nadjeżdżają!

– Wsiadać tu, kurwa, i to już! – ryknął Anglik i wskoczył z powrotem na siedzenie kierowcy.

Mac i Macy też zauważyli tiunę. Pospieszenie wysiedli z samochodu i ruszyli w stronę otwartego włazu.

– Nie ma potrzeby przeklinać, Eddie – upomniał go McCrimmon, wepchnął stażystkę do środka i wgramolił się za nią.

Kit zamknął pokrywę, a Eddie ruszył.

– Sorry, ale trochę nam się spieszy. Złapcie się czegoś...

W tył pojazdu uderzył grad kul, mocniejszy i głośniejszy niż poprzednio. Tylna szyba zatrzęszczała niepokojąco i pękła.

Nina zerknęła przez zniszczone okno. Rojas stał w otwartym górnym włazie tiuny, strzelając z karabinu maszynowego. Pociski trafiły w fiata, tłukąc szyby i dziurawiąc karoserię. Po chwili rozerwany bak eksplodował, a samochód przewrócił się na bok i stanął w płomieniach.

Mac ze smutkiem spojrzał na niego przez okienko.

– No i po mojej kaucji.

– Ach, te wypożyczalnie – mruknął Eddie.

Kolejne strzały uderzyły w V-100 – tym razem niżej.

– Celuje w opony! – ostrzegł Kit.

Kule z karabinu maszynowego miały duże szanse rozerwać wzmocnioną gumę.

– Mac! – krzyknął Eddie, patrząc przez ramię. – Tam jest karabin. Zajmij się nim.

Szkot wyjrzał przez otwór. Stanowisko strzelnicze składało się ze skrzyni z blachy pancernej o średnicy około pięćdziesięciu centymetrów.

– Trochę to odsłonięte.

– Będziemy bardziej odsłonięci, jak odstrzelą nam koło i wrzucą do środka granat!

Szkot skrzywił się i chwycił za poręcz, żeby podciągnąć się na górę.

– Zobaczę, co... Eddie, uważaj!

Chase szybko się obejrzał i zobaczył V-300, który wcześniej wyjechał z posiadłości. Teraz pojazd blokował im drogę i mierzył w nich z głównego działka.

Byli w potrzasku. Po obu stronach drogi wznosiły się wysokie mury...

Eddie skręcił kierownicę – i przejechał przez mur.

Impet uderzenia był dużo większy niż podczas zderzenia z tiuną czy z bramą. McCrimmon nie upadł na gródz wewnątrz wozu tylko dlatego, że mocno trzymał się poręczy. Macy krzyknęła, kiedy rzuciło ją na podłogę, a Suarez runął na nią. Połamane cegły odbijały się od pancerza pojazdu, kilka odłamków wpadło do kabiny przez otwarty dach.

Pył opadł, odsłaniając posiadłość równie okazałą, jak Klub, i wzgórze za nią, opadające w kierunku pola golfowego.

– Mac, dalej nas ścigają?

Szkot ostrożnie wyjrzał z kabiny.

– Terenówka wjechała za nami przez dziurę w murze.

– A samochód opancerzony?

Odpowiedział mu odgłos uderzenia.

– Przebił własną dziurę – wyjaśnił Mac, po czym dodał pospiesznie: – Mierzy w nas!

Eddie znów zakręcił kierownicą, starając się obrócić V-100 tak, aby stanowił jak najmniej-szy cel...

Z tyłu rozległ się głośny huk, coś minęło bok pojazdu o centymetry – a wybuch pocisku zrobił dziurę we frontowej ścianie budynku. Eddie zaklął. V-100 mógł wytrzymać uderzenia kul, ale bezpośrednie trafienie z takiego działa rozerwałoby go na strzępy.

Obok dworku znajdował się garaż na co najmniej cztery samochody.

– Uwaga! – krzyknął Chase – Przebijamy się!

Każdy chwycił się, czego mógł, i pojazd wjechał w garaż.

Metalowa brama zgięła się po uderzeniu V-100 jak kawałek tektury. Eddie kątem oka zauważył jaskrawożółte ferrari california, potem oderwana brama garażowa zasłoniła mu widok, ale poczuł, że spycha sportowy samochód z drogi jak zabawkę. Po chwili uderzył w coś mocniej i znalazł się znów na otwartej przestrzeni, a do kabiny wpadły kolejne kawałki cegieł i drewna.

Eddie jechał zygzakiem, próbując zrzucić z maski bramę zasłaniającą mu widok.

– Mac, nic nie widzę! Co jest przed nami?

Szkot wyjrzał przez właz i szybko schował się z powrotem.

– Mur!

– Cholera!

Znaleźli się na szczycie wzgórza, nad polem golfowym. Eddie ostro zahamował...

Za późno. Znów obsypały ich kawałki cegieł, kiedy pojazd przebił się przez przeszkodę i ruszył w dół. Brama garażowa w końcu zsunęła się z maski i w świetle przednich reflektorów V-100 Eddie zobaczył szybko zbliżające się drzewa i krzewy. Krzyknął rozpaczliwie, starając się zahamować i manewrując ciężkim wozem pomiędzy pniami.

Samochód opancerzony po chwili wjechał znów na płaską powierzchnię, bryzgając ziemią spod kół. Znaleźli się na długim, przystrzyżonym trawniku. W oddali, za polem golfowym, widać było światła miasta.

– Macy! – krzyknął Eddie. – Spytaj prezia, dokąd jechać! Mamy DVD, które może skompromitować Callasa. Gdzie je zabrać?

Macy wytrząsnęła pył z włosów, wygramoliła się spod Suareza i przez chwilę rozmawiała z nim po hiszpańsku.

– Mówi, że powinniśmy zawieźć płytę do budynku państwowej telewizji – przetłumaczyła.

– Jest w tej samej dzielnicy, co nasz hotel.

– Pamiętam go – rzucił Eddie. – Jak najszybciej się tam dostać?

– Mówi, żeby jechać na północ do końca pola golfowego, a dalej nas poprowadzi – przekazała Macy po kolejnej rozmowie z prezydentem.

Eddie z łatwością ustalił kierunek – na północ od miasta wznosiła się wielka góra – i pojechał szybciej po trawniku, omijając rów.

– Zjeżdżają ze wzgórza! – krzyknęła Nina.

Mac znów wyjrzał z kabiny.

– Dwie terenówki!

Tiuna, która przedtem wyjechała z posiadłości, zrównała się z samochodem Rojasa i oba pojazdy ruszyły za nimi na pole golfowe.

– Co z pancernikiem? – spytał Eddie.

– Nadal stoi na wzgórzu... Cholera! Zjeżdża! – Szkot schował się w kabinie i mocno chwycił się poręczy, kiedy Eddie ostro skręcił.

Działko V-300 znów się odezwało.

Pocisk jedynie drasnął V-100, ale impet uderzenia okazał się ogromny. Pojazd gwałtownie podskoczył, a siła wybuchu omal nie zniszczyła jego zawieszania. Gdyby oberwał na drodze, nie na miękkiej ziemi, nie nadawałby się do dalszej jazdy.

Uszkodzenia i tak były poważne. Kadłub się wygiął, tylne okna popękały, wygięła się pokrywa tylnego wjazdu, a po przejściu fali uderzeniowej przez pancerz po kabinie zaczęły latać duże metalowe odłamki. Jedna ze stalowych drzazg wbiła się w ramię Niny, druga przebiła goleń sztucznej nogi Maca. Trzecia uderzyła Suareza.

Prezydent krzyknął, kiedy kawałek metalu rozorał mu lewe przedramię. Macy pisnęła.

– Zaciśnij ranę! – nakazała jej Nina, sama skręcając się z bólu. – Zatrzymaj krwawienie! – Kobieta niechętnie chwyciła rękę rannego. Krew ciekła jej między palcami.

Eddie odzyskał kontrolę nad pojazdem i obejrzał się, aby sprawdzić stan wozu i pasażerów. Przekonał się, że wszyscy żyją, ale zaniepokoił go tylny wjazd. Otwór miał szerokość około trzydziestu centymetrów, wystarczającą, aby ostrzelać wnętrze kabiny, jeśli ścigający ich żołnierze dobrze wycelują.

To właśnie starali się zrobić. Znów odezwał się karabin maszynowy Rojasa, kolejne kule za-brzęczały na pancerzu.

– Mac! – wrzasnął Eddie – Do broni i załatw te pieprzone jeepy!

– Wiesz, przez ciebie na emeryturze nadstawiam karku częściej niż kiedyś w pracy – warknął Szkot, wychodząc na stanowisko strzelnicze. Działko było zamontowane na półkolistej szynie przebiegającej wzdłuż otworu w dachu. Zwolnił blokadę i przeciągnął na tył opancerzonego pulpitu. Kula odbiła się od ochronnej płyty. McCrimmon schylił głowę, ale okazało się, że to rykoszet. Rojas koncentrował się na odsłoniętym władze.

Mac spojrzął ponad działkiem. Tiuny jechały obok, szybko zmniejszając dystans. Za nimi zobaczył światła V-300, wciąż jadącego w dół po zboczu.

Rojas wystrzelił kolejną serię. Szkot zauważył, że mężczyzna stojący na drugiej terenówce też zbroi się do ataku. Obie tiuny krążyły po polu, starając się trafić w uszkodzony wjazd...

Mac obrócił karabin maszynowy i otworzył ogień.

Rozbłyśki i odrzuty z grzmiącego karabinu w zasadzie uniemożliwiały mu dokładne celowanie, ale przy tej sile ognia każde uderzenie miało zabójczą moc – a trafił kilka razy, obsypując tiuny nabojami wielkości kciuka. Rojas, który widział, jak Szkot się zbroi, kazał swojemu kierowcy schować się za drugi pojazd, który przyjął cały impet uderzenia.

Kule roztrzaskały silnik, co oznaczało, że tiuna wypadła z gry. Przypieczętował to kolejny pocisk, który przebił się przez przednią szybę, klatkę piersiową kierowcy, oparcie jego siedzenia, nogę stojącego żołnierza, jego siedzenie i bak. Terenówka zoczyła z kursu, zjechała do rowu i eksplodowała. Płonące szczątki wpadły do następnego dołka.

– Dołek zaliczony! – krzyknął Mac, mierząc do kolejnego celu.

Rojas strzelił pierwszy. Mac schylił głowę, a kula musnęła jego siwe włosy. Kolejne pociski uderzyły w pancerz, wgniatając go z przeraźliwym łomotem. Szkot strzelił na oślep, tym razem bez powodzenia. Wiedział, że jeśli podniesie głowę, żeby wypatrzeć Rojasa, Wenezuelczyk mu ją odstrzeli.

– Mamy mały problem – powiedział do Eddiego, odwracając się w stronę kabiny.

– Tylko jeden? – ze śmiechem spytała Nina.

– Chciałabyś – stwierdził Eddie. Byli już na skraju pola. Dalej wznosiły się drzewa, a za nimi budynki. – Zjeżdżamy z pola!

V-100 przejechało przez ostatnią część trawnika i podskoczyło na nierównym terenie, przejeżdżając przez krzaki. Od tylnego wjazdu odbiły się kolejne kule. Pojazd roztrzaskał drewniany płot

i wjechał do ogrodu na tyłach stojącego za nim domu. Obok budynku znajdował się podjazd. Eddie skręcił w jego stronę, spychając z drogi stojącego na nim mercedesa, i z piskiem wyjechał na ulicę.

Kit obejrzał się, słysząc odgłos kolejnego zderzenia. Tiuna przejechała obok zdezelowanego mercedesa i ruszyła za nimi.

Pojazd szybko ich doganiał. Na utwardzonej drodze mógł rozpędzić się do maksymalnej prędkości, znacznie większej niż w przypadku samochodu opancerzonego. Rojas wymierzył w uszkodzony wąż.

– Eddie, są tuż za nami – ostrzegł Hindus.

Chase nie miał jak uciec ani skręcić, więc ostro zahamował. V-100 zatrzymał się z piskiem. Kierowca terenówki musiał go wyminąć.

Anglik spojrzał w stronę tiuny. Rojas kurczowo trzymał się działka, żeby nie spaść z ostro skręcającego samochodu.

– Mac! Dorwij go! Teraz!

Szkot próbował przesunąć karabin na poprzednią pozycję, ale broń zablokowała się na szynie. Obrócił ją na stojaku, ale miała zasięg tylko stu osiemdziesięciu stopni. Nie mógł ustawić jej w pozycji do strzału.

Kierowca tiuny skręcił w miejscu na hamulcu ręcznym, kierując się z powrotem w stronę stojącego V-100. Rojas stanął pewnie na nogach i znów otworzył ogień.

Mac pospiesznie wrócił do kabiny.

– Nie mogę obrócić karabinu, zaciął się!

– Wrócił tamten czołg! – krzyknęła Nina. V-300 wytoczył się z podjazdu, roztrzając krzewy i kubły na śmieci.

Eddie błyskawicznie podjął decyzję, wrzucił bieg i ostro dodał gazu. Rojas wycelował w wąską przednią szybę samochodu opancerzonego. Kolejne kule odbiły się od przedniego pancera, a szyba z hartowanego szkła zaczęła pękać.

Pęknięcia zaczęły zmieniać się w szczeliny, coraz dłuższe i szersze...

Eddie schylił głowę. Szyba rozpadła się, a odłamki szkła obsypały mu twarz. Wszyscy pasażerowie skulili się najniżej, jak mogli. Ostrzał trwał.

Nagle strumień kul zmienił kierunek i skierował się na przód pojazdu...

Kierowca tiuny przypomniał sobie, co się stało z bliźniaczym samochodem w Klubie podczas konfrontacji z szarżującym V-100, i ostro ruszył naprzód. Rojas stracił równowagę. Eddie podniósł głowę i zobaczył, że terenówka jedzie w jego stronę, próbując go wyminąć.

Wykonał ostry skręt...

Pojazdy zderzyły się czołowo z łączną prędkością około stu kilometrów na godzinę. Tiuna znacznie gorzej zniosła kolizję – podskoczyła na pługowatej masce V-100 i wylądowała do góry kołami na dachu wciąż jadącego wozu. Karabin został zmiażdżony, a kilka pasów z amunicją wpadło do kabiny.

W otworze pojawił się również Rojas. Jakimś cudem wylądował dokładnie na odsłoniętym fragmencie dachu i teraz zwisał do góry nogami z otwartego wjazdu tiuny. Zamroczony mężczyzna przez chwilę próbował się uwolnić, po czym nagle odzyskał świadomość, kiedy zauważył Suareza.

Ranny prezydent odważemnił spojrzenie. Przez chwilę wszyscy w kabinie zamarli w bezruchu.

Potem Rojas wyszarpnął pistolet z kabury i wycelował w głowę Suareza.

Eddie gwałtownie zahamował.

V-100 zatrzymał się z piskiem opon, rzucając pasażerami do przodu i zrzucając zdezelowaną tiunę z dachu.

Rojas zdążył tylko krzyknąć, zanim terenówka pociągnęła go za sobą, łamiąc mu kręgosłup o krawędź dachu i odcinając wyciągniętą rękę. Tiuna rozbiła się na ziemi przed samochodem opancerzonym, a ręka z płaskim wylądowała przed Suarezem. Prezydent przez chwilę się zawahał, potem wyciągnął pistolet z martwej dłoni.

– No dobra, rozbroiliśmy go – stwierdził Eddie, znów ruszając naprzód i wgniatając w ziemię to, co pozostało z tiuny i jej pasażerów. – Nina, gdzie ten czołg?

Kobieta rozejrzała się w poszukiwaniu V-300.

– Za nami!

Sześciokołowy samochód opancerzony sunął ulicą.

Eddie skręcił w boczną drogę, a V-300 wystrzelił z działa. Pocisk przemknął obok V-100 i wyrwał dziurę w asfalcie. Suarez zaczął pospiesznie mówić. Macy tłumaczyła Eddiemu jego słowa.

– Kazał skręcić w następną w lewo. Musimy przejechać przez most.

Eddie skierował V-100 w lewo na następnym skrzyżowaniu. Przez chwilę znów mieli w polu widzenia większy pojazd.

– Czołg wciąż jest za nami – ostrzegła Nina.

– Spytaj, dokąd jechać za mostem – powiedział Eddie. Macy po konsultacji z Suarezem podała mu wskazówki. – No dobra, już... kurwa mać!

Most był zablokowany, a barykady na nim obsadzone żołnierzami. Duża grupa cywilów też chciała się przedrzeć na drugą stronę, ale widok uzbrojonych wojskowych zniechęcił ich do ataku.

Mac wyjrzał z kabiny.

– Straciliśmy karabin.

– W takim razie trzeba będzie się przebić – zdecydował Chase. – Czy to ustrojstwo ma klakson?

– Myślę, że nas zauważyli – stwierdził Szkot. Tłum cywilów szybko się rozstał przed nadciągającym V-100. Butelki i cegły zadudniły na pancerzu. – I chyba nas nie lubią.

– Zaraz zmienię zdanie. – Eddie skierował pojazd wprost na blokadę. Żołnierze uciekli, a samochód zniszczył zaporę i przejechał na drugą stronę, odprowadzany radosnymi okrzykami.

Suarez odezwał się i przez chwilę spierał się z Macy.

– On chce wystawić głowę przez górny właz, żeby wszyscy go zobaczyli – jęknęła kobieta.

– W swoim czasie to może się przydać – stwierdził Mac. – Ale jeszcze nie teraz.

Nina zerknęła do tyłu. Cywile wbiegli na most, ale musieli rozstać się przed nadjeżdżającym V-300. – Za nami jedzie czołg!

Eddie znów skręcił, zjeżdżając z linii ognia większego wozu. Nadal znajdowali się kilka kilometrów od siedziby stacji telewizyjnej i z pewnością mieli jeszcze przed sobą lepiej bronione blokadę.

W Klubie Callas wysłuchał kolejnego raportu przez radio i z wściekłością uderzył pięścią w stół.

– Przekroczyli rzekę! To jakieś szaleństwo! Dlaczego nie możemy ich zatrzymać?

– Jak daleko mają do tej telewizji? – spytał Stikes.

– Mniej niż trzy kilometry. A my nadal nie przejeśliśmy budynku. Broni go coraz więcej cywilów.

– Każ swoim ludziom do nich strzelać.

Generał się zawahał.

– Bez poparcia ludu nie utrzymam władzy. Nie mam dość ludzi, żeby przejąć cały kraj siłą.  
– Wskazał na telewizor transmitujący na żywo starcia między cywilami i wojskowymi przed budynkiem rządowej telewizji. – To jest nadawane na cały kraj. Na cały świat! Jeśli zobaczą, jak moje oddziały masakrują nieuzbrojonych cywilów, to będzie po mnie.

– W takim razie trzeba się upewnić, że tego nie zobaczą – oświadczył zirytowany Stikes. – Musi pan zniszczyć nadajnik.

– Jest na dachu – odwarknął Callas. – I nie mogę tego zrobić z ziemi, wykorzystując czołgi. Nie są w stanie go trafić! Zasłania go zbyt dużo budynków!

– W takim razie trzeba zniszczyć go z powietrza... – Stikes nagle urwał.

Callas zobaczył jego zamyśloną minę.

– O co chodzi?

– Upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu – stwierdził najemnik, po czym zwrócił się do Baine'a, okrutnie posiniaczonego na twarzy. – Każ Gurowowi i Krikorianowi przygotować hinda do startu!

Mimo starań Eddiemu nie udało się zgubić V-300. Ciężko uzbrojony pojazd powoli, ale bezlitośnie ich doganiał. Jego bardziej doświadczony kierowca skracał dystans, przyspieszając, gdzie tylko mógł na ulicach Caracas. Panujący w mieście chaos im nie pomagał. Eddie kilka razy musiał zwalniać albo skręcać, żeby nie przejechać uciekających cywilów. Ścigający ich wóz, który nie miał takich skrupułów, parł prosto naprzód.

Zgodnie ze wskazówkami Suareza powtórzonymi przez Macy, wjechali na wiadukt nad szeroką aleją. Była ona całkowicie zablokowana, a wiele samochodów miało otwarte drzwi – ich kierowcy uciekli, porzucając pojazdy. Nie był to zwyczajny korek, typowy dla Caracas.

Przed sobą zobaczyli blokadę. Żołnierze, uprzedzeni o nadjeżdżającym V-100, zbroili się...

A zza budynków wyjechały kolejne pojazdy.

Bardzo duże pojazdy.

– Kurwa mać, ja pierdołę! – syknął Eddie, kiedy dwa czołgi T-72 z łoskotem zatrzymały się przy blokadzie, wypluwając spod gąsienic kawałki połamanego asfaltu. Rosyjskie olbrzymy mogły się wydawać przestarzałe w porównaniu z nowoczesnymi czołgami zachodnimi, ale nie bez powodu produkowano je od kilkudziesięciu lat. Były bardzo wytrzymałe i śmiertelnie niebezpieczne. Wieżyczki na dachach czołgów obróciły się, a główne działa kalibru .125 wycelowały w nadjeżdżający V-100.

Chase nie mógł zawrócić. V-300 wjechał już na wiadukt, również mierząc w cel z działa.

Na jezdni poniżej mignęło mu znajome czerwono-białe logo na stojącej ciężarówce...

Eddie skręcił wóz w stronę niskiego murku ogradzającego wiadukt.

– Wiem, że to się już robi nudne, ale trzymajcie się naprawdę mocno!

Skierował pojazd w stronę przyczepy i zaparł się na siedzeniu.

V-100 przebił się przez murek i spadł na drogę poniżej.

Wszyscy krzyknęli...

Rozległ się potwornie głośny metaliczny huk. Wóz wylądował na przyczepie, a jego dziewięcotonowa masa zgniotła jej zawartość, wzbijając fontannę brązowego płynu i piany. Ciężarówka przewoziła coca-colę, a przyczepa była załadowana po sufit dziesiątkami tysięcy puszek. Ładunek zgniótł się i popękał pod olbrzymim ciężarem opancerzonego samochodu, ale kolejne warstwy palet ustawionych jedna po drugiej łagodziły impet upadku.

Mimo wszystko uderzyli w ziemię z druzgocącą siłą. Zawieszenie ciężarówki złamało się, a przyczepa pękła na dwie części za przednimi kołami. Pozbawiona oparcia tylna część wbiła się w drogę, żłobiąc w niej trzydziestocentymetrowe wgłębienie. V-100 zjechał z tej prowizorycznej rampy po dywanie z piany i zgniecionych puszek i dotknął kołami asfaltu.

Zamroczony Eddie uniósł głowę.

– Rany. To naprawdę zadziało. – Ruszył przed siebie. – Mac, co z czołgami?

Szkot wyjrzał z kabiny, kiedy V-100 wydostał się z wraku przyczepy. Jeden z T-72 pojawił się na wiadukcie, usiłując wymierzyć działo w ich stronę, ale znajdowali się poza linią strzału.

– Nie trafi nas, jesteśmy za nisko.

– A drugi wóz opancerzony?

– Nie spodoba ci się to! – krzyknęła przerażona Nina.

V-300 także przebił się przez mur i chciał wylądować miękko na dole, używając tej samej sztuczki...

Z głośnym hukiem wylądował na tyle zmiażdżonej przyczepy, wypychając jej przód w górę jak huśtawkę. Tysiące puszek coli wyleciało w powietrze, obsypując stojące wyżej czołgi. Upadek pierwszego wozu zgniół przyczepę na placek i nie zostało z niej nic, co mogłoby zmniejszyć impet uderzenia większego samochodu. Wszystkie sześć kół V-300 odpadło z osi, a górny wjazd oderwał się i uderzył w puszek jak potężny młot.

Eddie spojrzał na zszokowanych pasażerów.

– Głowa do góry, załatwiliśmy ich! Coca-cola rządzi!

Macy spojrzała na niego mętnym wzrokiem.

– Ja piję tylko colę light.

– Eddie, tam – rzucił Mac, wskazując na zjazd.

Chase wszedł w zakręt, spychając z drogi stojące samochody. Działo na wieżycze T-72 próbowało wziąć ich na cel, ale nadal byli za nisko, by czołg mógł ich trafić.

– Macy, dokąd teraz?

Suarez wskazał drogę. Kobieta przetłumaczyła jego słowa, dodając:

– Mówi, że do budynku stacji mamy niecałe dwa kilometry.

Eddie zaczął rozpoznawać niektóre z wysokich budynków. Cywile nadal bezładnie biegali po ulicach, ale w okolicy nie było widać wojskowych. Wiedział, że będą musieli się przebić przez oddziały szturmujące siedzibę telewizji, a potem jeszcze przez broniących jej cywili i milicjantów, ale dzięki obecności Suareza to ostatnie nie powinno być problemem. Mieli szansę!

Usłyszał nad sobą basowy warkot wirnika...

Droga przed V-100 eksplodowała, stojący na niej samochód przekoziółkował przez wystawę sklepową, a wóz opancerzony został zasypany gruzem.

Eddie wiedział, co się stało. Nadleciał hind.

Stikes zmrużył oczy, spoglądając w dół z otwartego wjazdu śmigłowca szturmowego. Skradziony samochód opancerzony rozpaczliwie skręcił, by uniknąć kraterów powstałych w asfalcie po uderzeniu pocisków hindu. Krikorian znów wystrzelił i dwie rakiety S-8 wyleciały spod skrzydła, ale tym razem bardziej chybiły celu. Van, w którego uderzyły, eksplodował i stanął w płomieniach. Przechodnie rozbiegli się w panice.

– Dorwał się ich? – spytał Callas przypięty do siedzenia obok dowódcy najemników. Baine, Maksimow i inni członkowie grupy wyciągali szyję, by widzieć, co się dzieje na dole.

Stikes pokręcił głową i krzyknął do słuchawek:

– Jesteś za wysoko! – Rakiety nie miały naprowadzania i ich celność zależała od umiejętności kanoniera, który musiał wystrzelić je dokładnie w chwili, kiedy wyrzutnia mierzyła w cel. – Zejdź niżej i ustaw się w odpowiedniej pozycji.

– Już jesteśmy za nisko! – zaprotestował Gurow z kokpitu. – Możemy uderzyć w linię energetyczną albo budynek!

– Zatrudniłem cię, bo twierdziłeś, że radzisz sobie w takich sytuacjach. – Stikes był wściekły. Wiedział jednak, że Rosjanin ma rację. Unosili się tuż nad dachami, a Caracas, pełne drapaczy chmur, stanowiło powietrzny labirynt. – Krikorian, użyj działka – zdecydował w końcu.

Siedzący w przednim kokpicie kanonier wyszczerzył zęby w uśmiechu i zmienił broń. Na monitorze w hełmie pojawił się celownik.

Krikorian naprowadził go na uciekający pojazd i pociągnął za spust.

Eddie jechał zygzakiem, aby uniknąć kolejnych rakiet. Nie nadleciały jednak – może hind nie mógł wycelować wśród wysokich budynków...

Stracił złudzenia, wraz z częścią pancerza, chwilę później, kiedy strumień ognia z działka kalibru .12.7 trafił w tył samochodu. Nina krzyknęła i odskoczyła od zniszczonego wjazdu, kiedy do kabiny wpadły metalowe odłamki. Kolejne spadły na pasażerów od góry, a w dachu trafionym pociskami pojawiły się wgłębienia.

Gdyby któraś z kul wpadła przez otwór...

Eddie ostro skręcił za róg – nie wjechał jednak za budynek, ale do niego. V-100 zniszczył witrynę sklepu, roztrzaskując półki i buty, i wyjechał drugą stroną.

Stikes zauważył ten skrót.

– Na pewno prowadzi Chase – stwierdził. – Gurow, leć za nimi.

Mimo niebezpieczeństwa, Mac wyrzwał z kabiny, aby sprawdzić, gdzie znajduje się helikopter. Po chwili hind znalazł się w jego polu widzenia.

– Nadlatują!

Eddie przejechał V-100 na drugą stronę ulicy, a opancerzony śmigłowiec ponownie otworzył ogień. Wszyscy pasażerowie odsunęli się od tylnego wjazdu, jak się okazało, słusznie – wygięta pokrywa zadrzała gwałtownie pod uderzeniami kolejnych kul, potem z przeszywającym piskiem i fontanną iskier oderwała się i spadła na drogę.

Ostrzał trwał. Kule łomotały o kabinę, coraz bliżej otworu w dachu.

Eddie zobaczył przed sobą ścianę i przebił się przez nią.

Mac schylił głowę, kiedy przez otwór w dachu wpadły kolejne kawałki gruzu i chmury gipsowego pyłu. Pomarańczowe światło ulicznych latarni zmieniło się w biały blask fluorescencyjnych świetlówek, kiedy V-100 przebijał się przez budynek biurowy. Samochód miażdżył pod kołami biurka, a kilku nocnych marków, którzy zostali w pracy po rozpoczęciu zamieszek, rozbiegło się w poszukiwaniu kryjówki.

Chase zobaczył w drugiej ścianie drzwi wyjściowe i skierował się w ich stronę. Kolejny raz rozległ się huk i znowu wyjechali w noc. Wiatr wpychał chmury pyłu przez otwarty tylny wjazd.

Zirytowany Mac usiłował się otrząpać.

– Następny garnitur zniszczony. Powinienem zacząć obciążać was kosztami.

– Zapłacimy za pralnię – obiecał Eddie. Rozpoznał drapacz chmur, który mieli przed sobą.

Budynek stał blisko ich hotelu i stacji telewizyjnej. – Już niedaleko. Bądźcie gotowi do biegu, kiedy dotrzemy na miejsce.

– Jeśli dotrzemy na miejsce – poprawiła go Nina. Znow zobaczyli hinda. Leciał w ich stronę, coraz niżej. – Helikopter!

Eddie skręcił w pierwszą przecznicę. V-100 ściał zakręt, zgniatając po drodze budkę telefoniczną. Zniknęli z pola widzenia śmigłowca, ale nie na długo. Przed nimi rozciągał się szeroki, obsadzony drzewami bulwar. Ludzie biegli po nim w różne strony. Jedni próbowali uciec od tego, co działo się dalej, inni, rozwścieczeni, kierowali się tam, gdzie doszło do starć. Niektórzy gwizdali na przejeżdżający samochód.

Szybko dołączyli do nich kolejni.

– Cholera, stanęli! – syknął Eddie. Tłum cywilów utworzył żywą blokadę i próbował zatrzymać wojskowy samochód przed wjazdem na główną drogę. Chase zahamował. Wiedział, że nie może przejechać cywilów, ale helikopter zbliżał się do nich z każdą sekundą.

Spojrzał na Suareza.

– Macy, powiedz *el Presidente*, żeby ruszył tyłek i wlaź na wieżyczkę.

– Co takiego? – spytała zdziwiona kobieta.

– Jeśli chce przemówić do narodu, to teraz jest doskonały moment – zablokowali nam przejazd!

Na masce samochodu załomotały kamienie.

– Miejmy nadzieję, że wszyscy tutaj są po jego stronie – zauważył Kit, kiedy Macy pośpiesznie powtarzała Suarezowi słowa Eddiego. Prezydent wstał, nadal ściskając zakrwawione ramię.

– Porozmawiam z nimi.

Nina usłyszała dźwięk wirnika hinda, który przebił się przez wrzaski tłumu, i łoskot rzucających kamieni.

– Byle szybko!

Kiedy Suarez wychodził z kabiny, od stanowiska strzeleckiego odbiło się kilka kolejnych kamieni, a potem tłum nagle przestał nimi ciskać. Prezydent, choć potargany i pokryty pyłem,



wciąż był jedną z najbardziej rozpoznawalnych osób w kraju. Gapie zaczęli powtarzać jego nazwisko, najpierw z niedowierzaniem, potem z radością.

Suarez odezwał się głosem wprawnego mówcy, przekrzykując ryk silnika V-100. Macy tłumaczyła jego słowa siedzącym w kabinie.

– Ludu Wenezueli, moi przyjaciele! Tak, to ja, wasz prezydent! – Zrobił przerwę na oklaski. Kilka osób próbowało także buczeć, ale szybko uciszono je ciosami i kopniakami. – Dziś wieczorem zostałem porwany przez zdrajców i morderców, którzy chcą przejąć władzę. Uciekłem jednak! Jestem wolny, jestem tutaj i potrzebuję waszej pomocy w walce!

Dźwięk wirnika przybrał na sile. Nina rozpaczliwie zamachała do Macy, żeby ta kazała prezydentowi kończyć. Kobieta pociągnęła Suareza za rękaw i syknęła, żeby mówił szybciej.

Posłuchał jej rady.

– Muszę dotrzeć do siedziby telewizji – powiedział, wskazując na bulwar – aby zdemaskować tych zdrajców i powiedzieć całemu krajowi, że jestem bezpieczny i nadal jestem prezydentem!

– Tłum zawiwatował ponownie, tym razem głośniejsz. – Najpierw odbijemy telewizję, potem nasz kraj!

Ryk tłumu wyraźnie wskazywał, że prezydent przekonał rodaków.

– Udało mu się, cholera – stwierdził zdziwiony Eddie, kiedy ludzie odsunęli się z drogi.

– Tak, ale za późno! – krzyknęła Nina. Ryk śmigłowca szturmowego stał się jeszcze głośniejszy, kiedy helikopter zbliżył się do nich – i przemknął dalej, znikając za następnym budynkiem. Pilot nie wiedział, że wóz się zatrzymał, zamierzał ostrzelać go na dalszym odcinku i był zбитy z tropu jego zniknięciem.

– Zgubiliśmy ich! – stwierdził Kit.

– Nie na długo – ponuro odpowiedział Eddie, wjeżdżając na bulwar. Przed sobą zobaczył olbrzymi telebim przed budynkiem stacji telewizyjnej. Ekran pokazywał widok na ulicę z okna na jednym z najwyższych pięter, co dawało Chase'owi lepsze rozeznanie w okolicy niż wąskie okienka V-100. Siedziby stacji bronił kordon protestujących i milicjantów, zwróconych twarzami do żołnierzy eskortowanych przez jeepy i tiuny. Po przybyciu kolejnych cywilów, którzy chcieli bronić studia, wojskowi znaleźli się w potrzasku pomiędzy dwoma wrogimi grupami. Taka sytuacja musiała doprowadzić do użycia siły.

– Wciągnij go do środka, zanim jakiś pieprzony snajper odstrzeli mu łeb – rzucił Chase do Macy. Po przybyciu Suareza konfrontacja wydawała się nieunikniona.

Macy wciągnęła prezydenta do kabiny. Wyjrzał z niej Mac, rozglądając się za hindem. Helikopter zawrócił nad bulwarem. Był teraz widoczny na telebimie – kamerzysta śledził jego lot. Szkot schował się do środka pojazdu.

– Lecą prosto na nas!

Zdezorientowany tłum nie wiedział, jak reagować na śmigłowiec. Sytuacja szybko się wyjaśniła – hind wystrzelił dwie rakiety, które eksplodowały nieopodal V-100. Wystrzeliły w górę rozrwane ciała. Eddie się wzdrygnął.

– Jezu!

Reszta cywilów rozbiegła się w panice, tratując się podczas ucieczki. Żołnierze potraktowali to jako sygnał, by otworzyć ogień do tłumu. Kamera telewizyjna nagrywała tę rzeź w zbliżeniu.

Hind znów wystrzelił, tym razem z działka. Pociski uderzyły w V-100, odrywając kolejne części pancerza. Eddie zygzakiem ruszył w stronę wojskowych, kule zaczęły wbijać się w lewy bok wozu...

Bum!

Pojazdem wstrząsnął silny wybuch, kierownica wypadła Chase'owi z rąk i V-100 przechylił się na bok. Jedna z olbrzymich opon w końcu nie wytrzymała i eksplodowała. Dzięki wzmocnieniu nie rozpadła się na kawałki, ale każdy ruch rozdzierał ją mocniej i jej całkowite zniszczenie było nieuniknione.

– Rozbijemy się! – wrzasnął.

Opona rozpadła się, a koło opadło na stalową felgę, także uszkodzoną przez kule. Piasta oderwała się od osi.

V-100 stracił równowagę i ciężko runął na bok. Siłą rozpędu sunął dalej, wzbijając fontanny iskier. O milimetr minął uciekającą grupę cywilów i pojechał przed siebie, w stronę wojskowych.

Żołnierze uciekli przed rozpędzonym wrakiem i kanonadą z hinda. Po chwili ogień ustał, kiedy helikopter przeleciał nad nimi. Wóz wbił się w jedną ze stojących tuń, przewrócił ją na bok i w końcu się zatrzymał.

Przez chwilę wszystko zamarło w bezruchu – obie strony konfliktu sparaliżował szok. Uci-chły strzały. Słyszał tylko hinda, który zwiększał moc i wysokość, aby skrócić i znów przele-cieć nad tłumem.

Potem z przewróconego pojazdu wyczołgała się jakaś postać. Suarez.

Cywile i milicjanci zauważyli go pierwsi i natychmiast otoczyli opancerzony samochód, aby bronić prezydenta. Żołnierze, niepewni, co się dzieje, wstrzymali ogień i czekali na rozkazy.

Z wraku wyłaniali się kolejni ludzie. Kit wyczołgał się przez tylny właz, Macy wyszła za Suarezem przez otwór w dachu. Cywile unieśli ich w górę – wszyscy, którzy pomogli ocalić prezy-denta, zasługiwali na taką samą ochronę, jak przywódca. Po chwili z pojazdu wyczołgał się Mac, ciągnąc za sobą pustą nogawkę spodni. Paski mocujące sztuczną nogę popękały w trakcie wywrotki i proteza została w kabinie.

Za nim wynurzył się Eddie.

– Dobry wieczór – powiedział półprzytomnie do dwóch mężczyzn, którzy podnieśli go z ziemi, i zamrugął, kiedy zdał sobie sprawę, że krwawi z głębokiego rozcięcia na czole. Rozejrzał się po swoich towarzyszach – wszyscy byli w podobnym stanie.

A gdzie Nina?

Strząsnął podtrzymujące go dłonie i chwiejnym krokiem podszedł do powyginanego tyłu pojazdu. Siedział przy nim Kit, przyciskając dłoń do krwawiącej głowy.

– Gdzie Nina? – spytał Hindusa.

– Myślałem... że wyszła za mną.

Eddie go odepchnął.

– Nina! – krzyknął, zaglądając przez właz i bojąc się, co może tam zobaczyć...

W otworze pokazała się ręka trzymająca walizkę z figurkami.

– Potrzyj to, dobrze?

– Na litość boską! – warknął Eddie, przejmując walizkę. Poobijana Nina wygramoliła się na zewnątrz. – Jesteśmy pośrodku pieprzonego pola walki, a ty każesz mi nosić za sobą bagaże?!

Kobieta posłała mu zbolały, ale radosny uśmiech.

– Też cię kocham, skarbie.

– Tak, wiem. – Oddał żonie walizeczkę i pociągnął ją w tłum otaczający Suareza. Hind znów się zbliżał. – Macy, musimy wejść do budynku, i to zaraz.

Kobieta powtórzyła jego słowa po hiszpańsku. Suarez skinął głową, po czym wezwał tłum, by szedł za nim. Odezwały się wiwaty i okrzyki:

– *Viva Tito! Viva el Presidente!* – Zwolennicy Suareza otoczyli przywódcę i tłumnie skiero-wali się w stronę budynku. Nina, Macy i Kit poszli obok prezydenta.

– Ja chyba tu zostanę – oznajmił Mac, opierając się o zniszczony V-100. Spojrzał ponuro na swoją lewą nogę. – Nie przydam się teraz na wiele, skacząc na jednej nodze.

– Skopałeś im tyłki tą jedną nogą – przypomniał mu Eddie. – Do zobaczenia za chwilę.

– Walcz do końca, Eddie.

– Walcz do końca.

Chase posłał starszemu mężczyźnie porozumiewawcze spojrzenie i precyzyjnie się przez tłum, by dołączyć do Niny.

– Wysiedli z wozu – poinformował Callasa Stikes. – Krikorian, użyj rakiet. Załatw wszyst-kich w promieniu pięćdziesięciu metrów...

– Nie! – przerwał mu generał. – Jeśli to zrobimy, ludzie zwrócą się przeciw mnie. Nawet niektórzy z moich żołnierzy.

– W takim razie – warknął przez zęby dowódca najemników – najpierw zniszczymy studio, potem wybijemy ten tłum.

Callas pokręcił głową.

– Nie. Wyląduj. Obejmę dowodzenie nad swoimi oddziałami na ziemi. Wciąż możemy pojąć Suareza. Wtedy zmuszę go, żeby legalnie przekazał mi władzę. W telewizji, na oczach całego świata. Nikt tego nie zakwestionuje.

Stikes odezwał się z nieukrywaną pogardą:

– Oczywiście, jak pan sobie życzy. Będziemy krążyć nad okolicą, żeby w razie potrzeby wesprzeć pana ogniem. – Callas niecierpliwie skinął głową. – Dobra, Gurow, szukaj szybko miejsca do lądowania.

Nina z przerażeniem obejrzała się za siebie – spodziewała się, że hind znów otworzy ogień, tymczasem ze zdziwieniem zauważyła, że maszyna ląduje.

– Co on robi?

– Najwyraźniej Callas chce wykończyć nas osobiście – odpowiedział Eddie. – Macy, każ mu przyspieszyć!

Kobieta wypełniła polecenie. Suarez wykrzyknął kolejne rozkazy i tłum przed nimi zaczął się rozstępować, żeby przepuścić ich do studia. W ujęciu z góry, widocznym na wielkim telebimie, wyglądało to tak, jakby rozpinał się zamek błyskawiczny.

Żołnierze zauważyli, co się dzieje.

– Nie oddalaj się – ostrzegł Ninę Eddie, kiedy przepychali się naprzód za Suarezem.

Hind wylądował. Wirnik nadal się obracał i maszyna była gotowa natychmiast wystartować. Callas wyskoczył na ulicę. Żołnierze wybiegli mu na spotkanie. Generał wskazał ręką w stronę siedziby telewizji, nakazując swoim ludziom wdrzeć się do środka i przejąć budynek – i Suareza.

Żywego lub martwego.

Stikes spojrzął za oddalającym się Callasem i zwrócił się do Maksimowa.

– Ty też wysiadaj.

Olbrzymi Rosjanin spojrzął na niego ze zdziwieniem.

– Ale dlaczego, szefie?

– Dlatego, że nie pracuję z idiotami. To wszystko twoja wina. Gdybyś nie dał się oszukać Chase'owi, Suarez by nie uciekł. Zwalniam cię. Won.

– Ale...

Baine wymierzył swój M4 w Maksimowa i go odbezpieczył.

– Słyszałeś. Wypierdalaj.

Rosjanin wściekle wykrzywił pooraną bliznami twarz, ale po chwili rozpiął pasy i wygramolił się z kabiny.

– *Żopa* – warknął. – I co ja teraz zrobię?

– Na pewno nie karierę naukową – stwierdził Stikes z kąpiącym uśmiechem. – Gurow, startujemy.

Hind oderwał się od ziemi, spowijając Maksimowa chmurą pyłu. Olbrzym z wściekłością pogroził pięścią odlatującej maszynie i rozejrzał się wokół. Stojący w pobliżu żołnierze przyglądali mu się podejrzliwie. Rosjanin po chwili wahania odwrócił się na pięcie, ruszył przed siebie bulwarem i zniknął w tłumie.

Grupa była już prawie przy wejściu. Nina zauważyła, że telebim pokazuje ich drogę. Tłum wykrzykiwał imię Suareza jak słowa rytualnej pieśni. Ostatni ludzie stojący przed budynkiem rozstąpili się, żeby zrobić im przejście...

Ktoś potknął się, pociągając Ninę za sobą. Kiedy mężczyzna upadł, walizka wyśliznęła jej się z rąk. Próbowwała się odwrócić i po nią sięgnąć, ale tłum niósł ją naprzód.

– Eddie, walizka! – krzyknęła, ale bagaż zniknął jej z oczu.

Kit podniósł walizkę z ziemi i podał ją Ninie nad głowę leżącego mężczyzny.

– Zdaje się, że coś upuściłaś – zauważył. – Nie chcielibyśmy teraz zgubić statuetek po tym wszystkim, przez co dla nich przeszliśmy.

– Ani płyty – dodała kobieta, chwytając walizkę.

Kit wyglądał, jakby o tym zapomniał.

– Racja, ani płyty!

Dotarli do drzwi, które otworzyły się przed nimi. Pracownicy stacji pospiesznie odsuwali prowizoryczne barykady z biurek i automatów z napojami. Kiedy znaleźli się w środku, Eddie zerknął za siebie. Nie padły dotąd żadne strzały. Jeszcze nie. Ale lada chwila miało dojść do starcia.

Nina, kurczowo trzymając walizkę, wcisnęła się przez drzwi za Suarezem. W holu wejściowym było około dwudziestu osób.

– Czy ktoś tu mówi po angielsku?

– Ja – odezwał się mężczyzna w średnim wieku, z żółtym krawatem na szyi, po czym potrząsnął głową. – Pani Nina Wilde?

– Tak, ale to nieważne! – Uniosła walizkę. – Mam tu płytę DVD. To, co jest na niej nagrane, skompromituje generała Callasa. Musicie jak najszybciej to wyemitować!

Na zewnątrz rozległy się strzały i krzyki.

– Zamknąć drzwi! – wrzasnął Eddie. Suarez stanął obok Niny i zaczął wydawać kolejne polecenia, kiedy kobieta wyjmowała płytę z walizki.

– Kiedy możecie zacząć to nadawać? – spytała.

– Za dwie minuty, może nawet mniej – odpowiedział mężczyzna. – Co tu jest nagrane?

Nina wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ale to coś bardzo niekorzystnego dla Callasa.

Mężczyzna przez chwilę się wahał, potem chwycił płytę i wybiegł z nią przez podwójne drzwi. Suarez poszedł za nim. Pozostali pracownicy stacji zaczęli ponownie ustawiać blokady.

W holu było kilka dużych plazmowych telewizorów, wszystkie pokazywały nadawany obecnie obraz: widok na ulicę przed budynkiem. Eddie stanął obok Niny i spojrzał na ekran. Zobaczył oddział żołnierzy przeciskający się przez tłum i bijący cywilów kolbami karabinów. Obrońcy stacji odpychali żołnierzy i obrzucali ich kamieniami i śmieciami.

Rozległy się kolejne strzały. Na ekranach pojawiły się rozbłyski z luf, a potem upadające na ziemię ciała. Nina gwałtownie wciągnęła powietrze i ścisnęła rękę Eddiego. Przerazona Macy przyłożyła dłoń do ust i odwróciła głowę. Niektórzy z obrońców, znajdujący się najbliżej żołnierzy, próbowali się wycofać, ale nie mogli przebić się przez stojący za nimi tłum. Inni, którzy znaleźli się w potrzasku, rzucali się na wojskowych, uzbrojeni jedynie w pięści. Jedni żołnierze brutalnie powalali ich na ziemię, inni strzelali do tłumu.

Na jednym z ekranów mignął obraz kontrolny, a potem pojawił się widok ze studia. Obraz przez chwilę drgał, kiedy operator ustawiał kamerę. Ktoś podbiegł do niej, wymachując rękami, potem na ekranie pojawił się Suarez. Prezydent usiadł, wciąż trzymając się za zakrwawione ramię. Kamera podjechała bliżej, żeby wyciąć rękę z kadru, ale Suarez pokręcił głową. Obraz znów się oddalił, a obrażenia prezydenta znów znalazły się na widoku. Nawet w chwili kryzysu Suarez wiedział, jak stworzyć sugestywny obraz.

Nina spojrzała na inny ekran pokazujący walki przed budynkiem. Żołnierze byli znacznie bliżej.

– Ta barykada ich nie zatrzyma, prawda?

Eddie pokręcił głową.

– Mam nadzieję, że to DVD zadziała.

Suarez zaczął mówić. Prezydent pojawił się na wszystkich ekranach, poza jednym. Obraz był transmitowany na żywo na cały kraj. Głos mężczyzny rozbrzmiał również z ustawionych na zewnątrz głośników. Macy, nie przestając nerwowo zerkać na drzwi, tłumaczyła jego słowa.

– Ludu Wenezueli, dziś nastał mroczny dzień dla naszej ojczyzny. Zdrajcy zaatakowali Miraflores i próbowali mnie zabić. – Uniósł ranną rękę. – Na czele agresorów stał człowiek, którego uważałem za przyjaciela, Salvatore Callas... a zapłacili za niego przestępcy i baronowie narkotykw. Mam na to dowody i zaraz wam je pokażę. Doktor Nino Wilde... oby się pani nie myliła – dodał po angielsku.

– Świetnie – mruknęła Nina. – Jeśli teraz się okaże, że to sekstaśmy z Callasem w roli głównej, będzie na mnie!

Prezydent dał znak komuś stojącemu poza kadrem. Obraz się zmienił.

Nina rozpoznała balkon Klubu, na którym uczestniczyła w spotkaniu z de Quesadą. Baron

narkotykowy siedział na skraju kadru, jego postać była zniekształcona przez szerokokątny obiektyw. Film nakręcono ukrytą kamerą. Callas, wyraźnie rozpoznawalny w swoim mundurze, znajdował się pośrodku ekranu.

De Quesada najwyraźniej zmontował film tak, by pokazywał najbardziej kompromitujące sceny. Macy znów zaczęła tłumaczyć:

– Żeby wszystko było zupełnie jasne – powtarzała słowa de Quesady. – W zamian za dwadzieścia procent wartości moich narkotyków przetrzucanych przez Wenezuelę, pozwolisz na ich całkowicie swobodny transport od granicy z Kolumbią do portów, z których zostaną przewiezione do Ameryki i Europy. Zgadza się?

– Tak – odpowiedział Callas.

– A co z DEA? Jeśli odbierzesz władzę Suarezowi...

– Kiedy odbiorę mu władzę.

– Kiedy odbierzesz mu władzę – poprawił się de Quesada. – Nie wpuścisz ich z powrotem do swojego kraju?

Callas się uśmiechnął.

– Potrzebne mi tylko pieniądze Amerykanów, nie ich agenci.

Cięcie. W kolejnej scenie Kolumbijczyk odchylił się w przód na fotelu.

– A co z handlem narkotykami w Wenezueli, kiedy dojdiesz do władzy? – spytał. – To nie wielki rynek, ale mimo wszystko jest wart miliony dolarów rocznie. Jeśli mam ci pomóc, nie chcę, żebyś aresztował moich... podwykonawców.

– Twoi handlarze będą nietykalni – odpowiedział Callas, nie kryjąc obrzydzenia. – Tylko niech nie rzucają się w oczy.

– Zapewniam, że będą działać bardzo dyskretnie. – De Quesada uśmiechnął się i wstał. –

A więc umowa stoi? – spytał, wyciągając przed siebie prawą rękę.

Callas uściśnął mu dłoń.

– Stoi.

– Dziękuję.

Ekran na chwilę zgasł, potem znów pojawił się na nim Suarez. Prezydent patrzył w bok, na monitor, i wyglądał na równie zaszokowanego tym, co zobaczył, jak zgromadzeni w holu. Nina spojrzała na jedyny telewizor pokazujący obraz z zewnątrz.

– Eddie, patrz!

Żołnierze wpatrywali się w telebim pod stanowiskiem kamerzysty. Protestujący robili to samo – nagranie przyciągnęło uwagę wszystkich. Kamera pokazała twarze wojskowych w zbliżeniu. Było na nich widać zdziwienie, a potem wściekłość.

Eddie przyglądał się, jak ludźmi Callasa zaczynają targać emocje.

– To będzie interesujące...

Callas, stojący wraz z grupą dowódców pomiędzy wojskowymi pojazdami, z trudem ukrywał wściekłość, kiedy Suarez znów pojawił się na telebimie. Generał w zasadzie wiedział, że już po wszystkim. Właśnie cały kraj obejrzał kompromitujące nagranie, a co najgorsze – jego żołnierze zgromadzeni przed budynkiem stacji. Posługiwał się starannie dobranymi skorumpowanymi ludźmi, aby mieć pewność, że transport narkotyków wzdłuż Orinoko będzie zgodny z wyznaczonymi przez niego zasadami, wiedział jednak, że większość wenezuelskich żołnierzy nienawidzi baronów narkotykowych.

Nie zamierzał jednak się poddać. Był tak blisko! A Suarez tkwił w budynku. Nadal można było go pojmać i wymyślić jakąś bajeczkę o tym, że nagranie zostało sfałszowane za pomocą grafików komputerowych i lektora, który udawał jego głos.

– No? – warknął. – Na co czekacie? Odbijemy budynek! Suarez musi zapłacić za te kłamstwa!

Podszedł do niego młody kapitan.

– Generale, czy to się zdarzyło... naprawdę?

– Oczywiście, że nie! – odpowiedział Callas, widział jednak zwątpienie na twarzach żołnierzy. Uznał, że najlepiej będzie je zakrzyczeć. – Wy idioci! Właśnie tego chce Suarez, macie myśleć,

że współpracuję z baronami narkotykowymi.

– Ale tam na filmie to był Klub. Rozpoznałem to miejsce. – Inni mężczyźni stojący w pobliżu pokiwali głowami.

– To nieważne! – rzucił, wściekłym gestem wskazując na studio. – Macie ująć Suareza, i to już! – Nikt się nie ruszył. – Róbcie, co mówię!

Zbliżyli się kolejni żołnierze. Mieli ponure, pełne rozczarowania twarze. Odezwał się inny oficer.

– Generale, żądamy wyjaśnień. Czy naprawdę dobił pan targu z jakimś Kolumbijczykiem i pozwolił mu sprzedawać narkotyki naszym dzieciom?

– Odsuńcie się – ostrzegł Callas. Żołnierze jednak wciąż napierali na niego ze wszystkich stron, przez cały czas przybywali nowi. – Ostrzegam. Róbcie, co mówię!

– Brać go – warknął kapitan.

Kilku mężczyzn rzuciło się na Callasa. Generał sięgnął po pistolet, ale żołnierze wykręcili mu ręce na plecy.

– Dranie! – ryknął pojmany. – Suarez doprowadzi kraj do ruiny! Jestem waszą jedyną nadzieją! Wszystko, co robię, robię dla dobra Wenezueli!

Kapitan stanął przed nim z zaciętą miną.

– Zobaczymy, kto mówi prawdę. – Skinął głową w stronę ludzi trzymających generała. – Idziemy.

Stikes obserwował tę scenę przez lornetkę z krążącego hinda.

– Chłopaki, wygląda na to, że nic tu po nas – stwierdził beznamiętnie, obserwując Callasa prowadzonego przez tłum. – Gurow, zbieramy się.

Helikopter zmienił kurs i zniknął w ciemnościach nad miastem.

– To Callas! – krzyknęła Nina, kiedy kamerzysta zrobił zbliżenie na mężczyznę popychanego w stronę budynku. – Aresztowali go!

Eddie był ostrożniejszy.

– Zobaczymy. To może być pułapka.

Jednak ostrzał naprawdę ustał, a żołnierze zaczęli się cofać od wejścia. Wyglądało na to, że zwaśnione strony zawarły tymczasowy rozejm.

Suarez szybkim krokiem wyszedł do holu. Za nim pojawił się mężczyzna w żółtym krawacie, który właśnie włączał profesjonalną kamerę. Prezydent rozkazał odsunąć barykady od drzwi.

– Jest pan pewien, że to dobry pomysł?

– Chcę się z nim spotkać twarzą w twarz – odpowiedział Suarez. – A ludzie muszą zobaczyć, że wciąż mam władzę. – Potem dodał po angielsku, zwracając się do grupy przybyszów:

– Jeszcze wam nie podziękowałem. Uratowaliście mi życie. Uratowaliście mój kraj. Dziękuję. – Dodał coś po hiszpańsku i podszedł do drzwi, od których właśnie odsuwano barykadę.

– Co powiedział? – spytał Kit.

– Że jesteśmy bohaterami socjalistycznej rewolucji i wszyscy dostaniemy medale – wyjaśniła Macy z kwaśną miną. – Na pewno nie zamierzam obnosić się z takim odznaczeniem po Miami.

– W tamtych okolicach to nie byłby najlepszy pomysł – zauważyła rozbawiona Nina.

Eddie westchnął.

– Nie mógłby po prostu nam zapłacić?

Personel stacji otworzył drzwi. Przez chwilę atmosfera była napięta, kiedy Suarez wyszedł na odsłonięty teren, na którym mógł go zobaczyć każdy potencjalny zamachowiec, później jednak sytuacja się uspokoiła. Ludzie zaczęli wiwatować. Suarez uciszył ich gestem dłoni i zrobił kilka kroków do przodu. Kamerzysta pobiegł za nim, żeby wszystko nagrać.

Żołnierze przyprowadzili wrywającego się Callasa do prezydenta. Nina i Eddie patrzyli, jak dwaj mężczyźni mierzą się wzrokiem. Suarez odezwał się pierwszy.

– Salvatore, nigdy nie myślałem, że zwrócisz się przeciwko mnie.

– Bo jesteś ślepy, Tito – warknął Callas. – Żyjesz złudzeniami. – Skrzywił się. – Przez tę twoją wspaniałą rewolucję wszyscy będą biedni. Nasza ojczyzna potrzebuje siły, nie marzeń!

– Siły dyktatora?

– A ty nim nie jesteś? – odparował generał.

Suarez wziął głęboki wdech. Miał beznamiętną minę.

– Salvatore Delgado Callas, jesteś aresztowany pod zarzutem zdrady. – Dał znak żołnierzom. – Zabrać go.

Wojskowi obrócili się, ciągnąc ze sobą Callasa. Generał stawiał opór. Jeden z mężczyzn się potknął. To wystarczyło, by Callas uwolnił jedną rękę. Wyrwał pistolet z kabury kapitana i wymierzył w prezydenta...

Na placu rozbrzmiał jeden wystrzał. Suarez miał w ręku pistolet Rojas. Żołnierze eskortujący aresztanta odskoczyli zaskoczeni. Callas spojrział na ranę postrzałową w swojej klatce piersiowej i otworzył usta w niemym okrzyku bólu.

Spojrzął na Suareza, ostatnim wysiłkiem spróbował unieść swój pistolet i pociągnąć za spust...

I runął w kałuży krwi u stóp swego wroga.

Przewrót dobiegł końca.

No, Mac – odezwał się Eddie, ignorując ból mięśni i sięgając po kufel z piwem – jakie to uczucie znów wrócić do akcji?

Szkot przyjrzał mu się spod zmarszczonych brwi.

– Nie licząc obrażeń, strachu, strzelanin, zderzeń, wybuchów i ponownej utraty nogi? – spytał, stukając w podłogę piętą odzyskanej protezy.

– Tak, nie licząc tego wszystkiego.

Mac uśmiechnął się i uniósł szklankę z drinkiem.

– W gruncie rzeczy, całkiem fajne. Zdrowie!

– Zdrowie! – Mężczyźni stuknęli się szklankami.

Minęła ponad doba od upadku przewrotu Callasa. Eddie i Mac siedzieli w hotelowym barze. Cała grupa była tego dnia bardzo zajęta – po opatrzeniu licznych obrażeń jej członkowie musieli stawić czoło wenezuelskiej i ojczystej biurokracji. Eddie i Mac zostali wezwani do ambasady brytyjskiej, Kit poszedł złożyć raport w lokalnym biurze Interpolu, a Nina i Macy odjechały konwojem czarnych samochodów terenowych, by porozmawiać z ambasadorem amerykańskim. Odprawa u Brytyjczyków nie trwała długo. Jak wspominał Mac, Wielka Brytania nie posiadała istotnych interesów w Wenezueli i przesłuchujący ich oficer MI6 ograniczył się do wyrażenia żalu, że Suarez nie odniósł obrażeń, które zmusiłyby go do ustąpienia i do spisania suchej relacji z wydarzeń.

Eddie podejrzewał, że spotkanie w ambasadzie USA będzie miało bardziej polityczny charakter.

– Jak myślisz, jak długo będą tam trzymać Ninę i Macy? A może odeślą je od razu do Guantanamo? Mogliby je zamknąć w dawnej celi Sophii.

Mac się uśmiechnął.

– Może zostaną następnymi symbolami komunizmu i twarz Niny trafi na koszulki, jak portret Che Guevary?

– Oj, nie byłaby zachwycona – stwierdził Chase ze śmiechem. – Za to Macy mogłoby się to spodobać.

– Nie wątpię. – Mac odchylił się na fotelu z zamyśloną miną.

– O co chodzi?

– Wiem, że zaczynam brzmieć jak zdarta płyta, ale muszę to powtórzyć jeszcze raz. Eddie, cholernie dobrze się spisaliście. Suarez może nam się nie podobać, ale nie jest mordercą, jak Callas. Powstrzymując Callasa przed zagarnięciem władzy, uratowaliście mnóstwo ludzkich istnień. Dobra robota.

– Uczyłem się od najlepszych – stwierdził Eddie. – No i ty mi pomogłeś.

– Tylko odrobinę. – Mac machnął ręką z udawaną skromnością. – Ale nie ukrywam, miło było się przekonać, że wciąż się do czegoś nadaje. Starzejemy się, ale nadal jesteśmy użyteczni.

– My? Chcesz powiedzieć, że ja też się starzeję? – Chase wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Koniec końców czeka to każdego. Jeśli ma dość szczęścia.

– Mów za siebie. Jak tylko Nina znajdzie Źródło Młodości, zamierzam pić z niego wiadrami!

Do baru wszedł Jindal. Ku zaskoczeniu Eddiego towarzyszył mu Osterhagen.

– Kit, chłopie! Jak poszło z Interpolem?

– Tak, jak się spodziewałem – stwierdził Hindus. – Miałem telekonferencję z przełożonymi. Dziwili się, jakim cudem od śledztwa w sprawie przemytu zabytków przeszedłem do udaremnienia zamachu stanu, ale chyba udało mi się to wyjaśnić. Na tyle, na ile sam rozumiem całą sytuację.

– Przyzwyczaisz się. Znasz Ninę od ośmiu miesięcy i drugi raz dałeś się wciągnąć w takie szaleństwo. Ja znam ją od pięciu lat, więc możesz sobie wyobrazić, ile już przeszedłem. A jak pan się ma, doktorze? – spytał Osterhagen.



– Dobrze, dziękuję.  
– Jak z Ralfem? Lepiej?  
– Tak. Właśnie leci do Niemiec, do swojej rodziny. – Niemiec usiadł obok Eddiego. – Słyszałem, że mieliście noc pełną wrażeń.  
– Można to tak ująć – skwitował Eddie.  
– Najważniejsze, że udało się uratować Ninę i pana Jindala. – Osterhagen rozejrzał się wokół. – Gdzie jest Nina? Słyszałem, że odzyskała figurki i kipu. Mam teorię dotyczącą kipu, którą chciałbym z nią omówić.  
– Odzyskaliśmy figurki... – zauważył Chase.  
– A kipu?  
– Niestety, nie – przyznał mężczyzna z kwaśną miną.  
– Jak to? W takim razie gdzie ono jest?  
– Najlepiej będzie, jak spyta pan Ninę – odpowiedział Eddie, widząc swoją żonę i Macy. – No, w końcu! Co tak długo?  
Nina potrząsnęła głową z irytacją.  
– Ludzie z Departamentu Stanu traktowali nas tak, jakbyśmy to my byli o coś podejrzone. Mało brakowało, a oskarżyliby nas o komunistyczne sympatie, bo nie wepchnęliśmy Suareza pod samochód, kiedy miałyśmy okazję. – Wcisnęła się między Osterhagena a Eddiego. – Ja dziękuję za takie odprawy.  
– Eee tam. Czeka cię jeszcze jedna, dziś w nocy.  
– Słucham?  
Eddie znacząco poruszył brwiami i jego żona po chwili zrozumiała, o co mu chodziło.  
– Ach tak – westchnęła, lekko się rumieniąc. – Cóż, to był długi dzień i muszę się przespać, no i... – Z ruchu warg Macy odczytała „No dalej!”. – Ale przeszliśmy ostatnio tak wiele i nagromadziło się w nas tyle napięcia, i... czy ktoś mógłby mi przerwać, zanim zrobię z siebie zupełną idiotkę?  
Wszyscy się roześmiali, a Chase objął i pocałował żonę. Osterhagen odsunął się, żeby zrobić im więcej miejsca.  
– O kipu możemy porozmawiać jutro – oświadczył.  
– O co chodzi z kipu? – spytała Nina.  
Niemiec zauważył spojrzenie Eddiego.  
– To... może poczekać.  
– Na pewno? W Klubie odkryłam, w jaki sposób kipu wiąże się z mapą. Myślę, że węzłki to...  
Spojrzenie stało się mordercze.  
– To może poczekać, naprawdę! – wykrzyknął Osterhagen, unosząc ręce. – Wiecie, co, mam ochotę na drinka.  
– Ja też. A nawet na kilka – zawtórowała mu Macy.  
Eddie pomachał w stronę baru, wzywając kelnera.  
– Za wszystko płaci Suarez, więc zamawiajcie, co chcecie.  
– Serio?  
Chase pokiwał głową. Macy się rozpromieniła.  
– Super! W takim razie poproszę szampana!  
– Masz na coś ochotę? – spytał Eddie Ninę.  
Tym razem to ona rzuciła mu dwuznaczne spojrzenie.  
– Tak, ale myślę, że powinniśmy zamówić to do pokoju.  
Chase się zaśmiał, wstał i pociągnął żonę za sobą.  
– No to do zobaczenia rano! – krzyknął, klasnął w dłonie, chwycił zaskoczoną, ale i zachwyconą Ninę w ramiona i zaniósł do pokoju.  
Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, rozbawiony Mac uniósł szklanekę.  
– Zdrowie młodych kochanków!  
Eddie rzucił Ninę na wielkie łóżko w ich apartamencie. Kobieta zaczęła piszczeć i chicho-

tać.

– No dobra, skarbie – rzucił z szerokim uśmiechem. – Wyskakuj z ciuchów.

Nina zaczęła zdejmować ubrania. Eddie wskoczył na łóżko obok niej i rozpiął pasek...

Spojrzał na odsłoniętą rękę żony. Czerwony ślad po żądle skorpiona nadal był wyraźnie widoczny. Chase natychmiast się zorientował, że to nie zwykły bąbel po ukąszeniu owada. Zmarszczył brwi.

– Co to jest, do cholery?

– To? Eee... nic. Nie przejmuj się – odpowiedziała Nina. Nie chciała psuć dobrze zapowiadającego się wieczoru, a wiedziała, jak zareaguje Eddie, kiedy o wszystkim się dowie.

Mąż nie dawał się jednak zbyć.

– Nic? Akurat! – Przyjrzał się z bliska opuchniętemu miejscu. – To wygląda na ślad po użądleniu skorpiona! Skąd to masz?

Roznegliżowana Nina usiadła na łóżku.

– Z Klubu – przyznała.

– Jakim cudem w Klubie ukąsił cię skorpion?

– Oni... – Wciąż nie chciała powiedzieć mu prawdy, która wiązała się dla niej z przykrymi wspomnieniami. Eddie był jednak coraz bardziej wściekły, a wiedziała, że sam szybko się wszystkiego domyśli.

– Wykorzystali skorpiona podczas tortur, żeby wyciągnąć ze mnie informacje o figurkach i El Dorado.

– Torturowali cię? – Chase zeskoczył z łóżka i zaczął chodzić w kółko po pokoju. W końcu spojrzał na żonę. – Kto, do kurwy nędzy?

Nina długo zwlekała z odpowiedzią, potem cicho pisnęła:

– Stikes.

– Stikes? Ten pieprzony... – Wściekłość na chwilę odebrała Eddiemu mowę. Kiedy w końcu się odezwał, mówił niepokojąco beznamiętnym tonem. – Nieważne, gdzie jest i co robi. Znajdę go. I zabiję. Wytropię tego skurwysyna i wpakuję mu kulkę w łeb.

Nina wiedziała, że jej mąż mówi poważnie.

– Eddie, Eddie, wszystko w porządku. – Wstała z łóżka i podeszła do niego. – Nic mi nie jest.

– Nie jest w porządku. Ten skurwiel dostanie to, na co zasłużył – warknął.

– Sam mi kiedyś powiedziałeś, że zemsta jest nieprofesjonalna.

– Zależy, za co. A on ma wiele na sumieniu. Czas, żeby ktoś go powstrzymał.

– Chcesz wziąć sprawiedliwość w swoje ręce. Jak ten Jerry Rosenthal w Nowym Jorku.

Eddie wzruszył ramionami.

– Nie widzę w tym nic złego. To porządny chłop.

– Ale zostanie skazany za zabójstwo.

– Za to, że zrobił, co należało, i załatwił gwałciciela, którego wypuścili przez błędy proceduralne?

– Nie chcę... – Nina zmusiła się do zachowania spokoju, ściszyła głos i objęła męża. – Eddie, nie chcę się kłócić. Nie teraz, nie po tym wszystkim, co się stało. Mam już dość walki. Chcę...

– Spojrzała mu w oczy. – Pragnę ciebie. – Pocałowała go. – Proszę.

Jego twarz odrobinę złagodniała.

– Na pewno dobrze się czujesz?

– Tak. Nic mi nie jest. Po prostu... Po prostu nie chcę dzisiaj o tym myśleć. – Jej usta lekko zadrgały, lecz po chwili ułożyły się w znaczącym uśmiechu. – Spraw, żebym myślała tylko o jednym.

Mężczyzna odpowiedział takim samym uśmiechem.

– Postaram się. – Odwrócił Ninę i delikatnie klepnął ją w pośladki, kierując z powrotem do łóżka. – Zdaje się, że właśnie zdejmowałeś koszulkę.

– Ach tak? – Nie przerywając rozbierania się, kokieteryjnie obejrzała się przez ramię. – Ty też.

– Owszem. – Eddie ściągnął T-shirt, odsłaniając obandażowane i posiniaczone ciało. – Au!

Cholera jasna! – mruknął i skrzywił się z bólu.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Boli tylko wtedy, kiedy oddycham. Ale... – zerknął w stronę łóżka – chyba wolałbym być dzisiaj na dole.

– W takim razie się połóż – powiedziała Nina z uśmiechem. – Ja się wszystkim zajmę. Zasłużyłeś na relaks.

Eddie, śmiejąc się, zdjął pozostałe ubrania, wśliznął się do łóżka obok żony i wyciągnął na plecach, z głową opartą na puszystych poduszkach.

– Rany, to naprawdę cholernie wygodne łóżko.

– Ej! Ani mi się waź zasypiać! – zaprotestowała Nina.

– Nie martw się – odpowiedział Eddie z szerokim uśmiechem. – Zrobię to dopiero, jak już będziemy bardzo zmęczeni.

Mimo przeżyć ostatnich kilku dni, następnego ranka Nina czuła się bardzo zrelaksowana.

Zestresowało ją jednak spotkanie w biurze Interpolu w Caracas. Omawiano na nim wydarzenia w Klubie, przez co znów musiała wrócić do swojego pobytu w celi i tortur Stikesa. Eddie zauważył napięcie żony i czule ją objął. Na szczęście ani najemnik, ani pracodawca nie byli głównym tematem rozmów.

Poza Kitem w spotkaniu uczestniczyło kilku innych oficerów Interpolu, kilku wenezuelskich urzędników i dyplomata z ambasady Kolumbii, który przyleciał do nich z przedstawicielem DEA – Amerykaninem o pobrużdżonej twarzy nazwiskiem Joe Baker. Zawieszony na ścianie ekran pokazywał stopklatkę z kompromitującego DVD de Quesady, na której baron narkotykowy ścisnął dłoń Callasa.

– Ten człowiek nazywa się Francisco de Quesada – wyjaśnił Baker, wskazując na ekran. – To kolumbijski baron narkotykowy, jego majątek szacuje się na ponad pół miliarda dolarów. Większość kokainy na świecie wytwarzana jest z koki uprawianej w Peru. Po tym, jak władze Kolumbii z pomocą DEA wprowadziły Plan Colombia i zaczęły zwalczać produkcję narkotyków w tym kraju, baronowie narkotykowi przenieśli wytwórnice do Peru. De Quesada kontroluje większość kanałów przerzutowych z Peru przez kolumbijską dżunglę do Wenezueli. Stąd kokaina trafia do innych krajów.

– Skoro Kolumbijczycy rozprawiają się z narkobiznesem, dlaczego po prostu nie aresztują tego kolesia?

Kolumbijski urzędnik był zirytowany, że Eddie trafił w czuły punkt:

– Ma najlepszych prawników, jakich można wynająć. Amerykańskich prawników. Ilekroć próbujemy postawić go przed sądem, doprowadzają do jego zwolnienia.

– Z takiego towaru eksportowego Wuj Sam może być naprawdę dumny – stwierdziła Nina z przekąsem.

Baker wskazał kciukiem na ekran.

– Tym razem go dorwiemy. Wasze DVD nie pozostawia żadnych wątpliwości. De Quesada przed kamerą przyznał się do zaangażowania na najwyższym szczeblu w handel narkotykami na skalę międzynarodową. W tej chwili Kolumbijczycy przygotowują akt oskarżenia. Nieważne, ilu prawników zatrudni tym razem ani kogo spróbuje przekupić czy zastraszyć. Nie ma szans przeciwko takim dowodom.

– Czy nie ucieknie z kraju?

– Może próbować, doktor Wilde. Ale ciężko mu będzie uciec nawet z własnego domu.

Mieszka na karaibskim wybrzeżu Kolumbii, obserwujemy jedyną drogę dojazdową, mamy statki na morzu i nadzór satelitarny... De Quesada nigdzie się nie ruszy. A kiedy tylko nasi kolumbijscy przyjaciele zakończą papierkową robotę, wejdziemy do środka i go zgarniemy. – Skinął głową w stronę jednego z agentów Interpolu. Nina i Eddie znali tego człowieka – był to Walther Probst, taktyczny oficer łącznikowy. – Zorganizujemy grupę uderzeniową złożoną z agentów DEA, Interpolu i sił kolumbijskich. Dorwiemy go.

– Ale – Kit wstał, żeby zabrać głos – de Quesada ma także skarby skradzione z Paititi. To dysk słoneczny i kipu. Ich wartość jest olbrzymia. Nic dziwnego, że władze Wenezueli chcą je od-

zyskać.

– Peruwiański rząd na pewno ma inne zdanie w kwestii ich własności – zauważyła Nina. Odpowiedział jej cichy śmiech.

– Tę sprawę rozstrzygną sądy międzynarodowe – oświadczył Kit z uśmiechem. Potem znów spoważniał. – Na razie jednak niepokoi nas, że skarby mogą zostać uszkodzone albo zniszczone podczas szturm.

– Będziemy się starali zminimalizować ryzyko – powiedział Baker, składając ręce. – Nie da się jednak tego wykluczyć. – Zwrócił się do Niny. – Dlatego prezydent Suarez osobiście zażądał, żeby doktor Wilde, jako dyrektor Agencji, nadzorowała ich bezpieczne odzyskanie.

Nina, która właśnie wzięła łyk wody, zakrztusiła się.

– Co takiego?

– Miło, że nas poinformował! – mruknął Eddie.

– Nie będziecie uczestniczyć w samej interwencji – zapewnił ich Probst. – Kiedy zgarniemy de Quesadę i zabezpieczymy dom, wejdziecie tam, żeby zlokalizować i zidentyfikować artefakty.

– Nie jesteśmy do tego potrzebni. Szukacie wielkiego, szczerzłotego słońca i czegoś, co przypomina hippisowski pasek z mnóstwem sznurków. Trudno je z czymś pomylić.

– Mimo wszystko byłibyśmy wam wdzięczni za pomoc – oznajmił Kit. – Interpol i Agencja zaczęły tę operację razem i dobrze by było, gdyby razem doprowadziły ją do końca.

Eddie z powątpiewaniem spojrzął na zdjęcie de Quesady.

– Jak silny opór może stawić?

– Jego domu zwykle pilnuje siedmiu albo ośmiu ochroniarzy – oświadczył Baker. Podszedł do laptopa i zastukał w klawiaturę. Stopklatkę zastąpiło zdjęcie lotnicze niewielkiej wyspy. Wysepka o nerkowatym kształcie była odcięta od wysokich klifów na stałym lądzie wąskim, krętym kanałem. Miała strome, niemal pionowe brzegi. Jej płaska wewnętrzna część leżała nieco poniżej klifów i była połączona ze stałym lądem mostem prowadzącym przez najwęższą część kanału. Niemal całą wyspę zajmował ogromny biały pałac w hiszpańskim stylu. – Jedyne drogi dojazdowe wiedzie przez most, poza tym jest jeszcze przystań od strony morza. Facet może stanąć do walki, której nie przeżyje, albo uciec. A baronowie narkotykowi nie lubią się narażać. Podejrzewamy, że każe swoim ludziom nas zatrzymać, a sam spróbuje odpłynąć łodzią.

– Co, jeśli mu się uda? – spytała Nina.

Baker cicho prychnął.

– Doktor Wilde, choćby miał najszybszą łódź na świecie, nie dopłyne daleko z podziurawionym kulami silnikiem. Na klifach będą snajperzy. Już mówiłem, de Quesada się stamtąd nie ruszy.

Eddie miał kolejne pytanie.

– A jak są uzbrojeni jego ochroniarze?

– Z naszych informacji wynika, że prawdopodobnie mają karabiny szturmowe i strzelby, pistolety, może także granaty. My będziemy dysponować przewagą liczebną, snajperami, gazem łzawiącym – no i elementem zaskoczenia.

– Na kiedy planujecie akcję? – spytała Nina.

– Sędziowie właśnie podpisują nakazy. Operacja odbędzie się jutro – wyjaśnił kolumbijski urzędnik.

– Świetnie – mruknął Eddie. – Liczyłem, że będę miał trochę czasu na dojdzie do siebie. Na przykład miesiąc. Na Antigua.

– To też na Karaibach – przypomniał mu Kit. – To co, pojedziecie z nami? Bardzo by nam pomogło, gdyby ktoś z Agencji od razu zidentyfikował skradzione artefakty.

Nina spojrzała na Eddiego. Mężczyzna wzruszył ramionami z miną mówiącą „A niech tam”.

– Zgoda – powiedziała. – Ale nie bierzemy udziału w szturmie, jasne? Ostatnio przeżyłam tyle takich akcji, że starczy mi na resztę życia.

– Wszystkim się zajmiemy, doktor Wilde – pewnie stwierdził Becker. – Proszę się niczym nie martwić.

– To słynne ostatnie słowa – mruknął Eddie.

Po zebraniu Nina i Eddie wrócili do hotelu. Czekał tam na nich Osterhagen.

– Cieszę się, że jesteście – rzucił podekscytowany Niemiec, idąc za nimi do apartamentu.

W dłoni ścisnął plik papierów. Macy, która pomagała mu w pracy, podążyła za nimi. – Mówiła pani, że kipu mają związek z mapą z Paititi. Uważam, że ma pani rację. W kwaterze głównej Callasa znaleziono aparat Loretty i udało mi się zapoznać ze zdjęciami mapy. Myślę, że kipu to klucz do znaków na niej. Mając mapę i kipu, możemy odnaleźć zaginione miasto!

– Jest pewien problem – powiedziała Nina, wchodząc do pokoju. – Kolumbijski baron narkotykowy, niejaki de Quesada, kupił kipu od Callasa. Zapłacił za nie dwa miliony dolarów.

Osterhagen był przerażony.

– Co takiego? Ale... nie mógł chyba zdawać sobie sprawy z jego znaczenia?

– Nic o nim nie wie. Kupił je tylko po to, żeby zrobić na złość jednemu z konkurentów – wyjaśnił Eddie.

– Pachacowi – dodała Nina. – Temu, który przyleciał helikopterem do bazy wojskowej. – Ponura mina Niemca wskazywała, że dobrze zapamiętał okrutnego Peruwianczyka. – Zdaje się, że mają ze sobą na pieńku. De Quesada kupił dysk słoneczny, bo wiedział, jak Pachaca rozwścieczy fakt, że symbol imperium Inków trafił w jego ręce. Z kipu było tak samo.

Osterhagen zrezygnowany opadł na sofę.

– W takim razie nie uda się odczytać mapy.

– Spokojnie, doktorze – powiedział Eddie. – Właśnie po to spotkaliśmy się z Interpolem.

Robią nalot na jego dom. Częściowo dlatego, że przyznał się w telewizji do przewożenia narkotyków, ale też dlatego, że Suarez chce odzyskać inkaskie skarby. Myślę, że prezydentowi bardziej zależy na dwóch tonach szczerego złota niż na kipu, ale odbijemy oba artefakty.

– My? – spytała zaskoczona Macy. – Też się tam wybieracie?

– Na to wygląda – odpowiedziała Nina z westchnieniem. – Chcą, żeby ktoś z Agencji zajął się skarbami po tym, jak zostaną zabezpieczone. Ściśle rzecz biorąc, mam to być ja.

– No proszę. Ale chyba nie każą ci nosić kamizelki kuloodpornej?

Eddie uśmiechnął się i zaczął uważnie przyglądać się żonie.

– No nie wiem, niektóre kobiety bardzo seksownie wyglądają w stroju bojowym.

Nina znów westchnęła.

– Rany. Zawsze, kiedy mi się wydaje, że wiem już o tobie wszystko, wyskakujesz z jakimś nowym fetyszem! – Zwróciła się do Osterhagena. – Ale jeśli akcja pójdzie zgodnie z planem, wkrótce odzyskamy kipu.

– Znakomicie. – Niemiec odetchnął z ulgą i wyciągnął notatki. Były wśród nich kolorowe zdjęcia malowideł ściennych. – Myślę, że udało mi się odkryć, w jaki sposób węzełki na kipu łączą się ze znakami na mapie. Określenie położenia zaginionego miasta za pomocą kipu nie powinno być skomplikowane.

– Czy nie możemy po prostu wykorzystać figurek? – spytał Eddie. – Druga połowa ostatniej z nich powinna znajdować się w El Dorado. Możesz użyć swojej magicznej mocy i wskazać kierunek.

– Najpierw musiałabym znaleźć kolejne źródło energii Ziemi. Jedyne, którym dysponujemy, znajduje się w Glastonbury, a bez niego nie uda nam się dokonać triangulacji. Chyba że chcesz, żebyśmy chodziła po Ameryce Południowej, trzymając przed sobą figurki, aż zaczną świecić.

– To mogłoby być zabawne, ale chyba jednak nie. W takim razie musimy odzyskać kipu, odczytać mapę, a potem...

– A potem – dokończyła Nina – znajdziemy El Dorado.

## Kolumbia

Francisco de Quesada oparł się o framugę drzwi. Miał nadzieję, że otaczająca go sceneria pomoże mu się uspokoić. Nie zamierzał podziwiać panoramy okolicy, chociaż nieprawdopodobny błękit Morza Karaibskiego rozciągającego się za basenem infinity przy jego *palacio* niewątpliwie robił wrażenie, tak jak dwie siedzące w basenie ślicznotki. Kiedy pstryknął palcami, kobiety splotły się w namiętym uścisku, całując się i powoli zdejmując sobie nawzajem góry od bikini. Dwudziestoletnie biseksualne modelki zwykle skutecznie odwracały jego uwagę od codziennych trosk.

Dziś jednak było inaczej. Problem był zbyt poważny, by mógł o nim zapomnieć. Zirytowany odwrócił się do gości, którzy udawali, że nie widzą, co dzieje się w basenie.

– Nie rozumiem, dlaczego nie możecie czegoś z tym zrobić – warknął. – Przedtem się wam udawało. Co jest nie tak tym razem?

Goście zaczęli niespokojnie się wiercić, nie tylko dlatego, że mimo upału mieli na sobie eleganckie garnitury.

– Chodzi o to – wyjaśnił Corwin Bloom, ponury łysy adwokat, reprezentujący amerykańską kancelarię na usługach de Quesady – że w przypadku wszystkich wcześniejszych zarzutów przeciw panu dowody mogły zostać uznane za fałszywe i w związku z tym odrzucone, a świadków dało się... hmm... przekonać do zmiany zdania. Tym razem miliony ludzi widziały w ogólnokrajowej telewizji, jak dobija pan targu z generałem Callasem.

– To było w Wenezueli, nie w Kolumbii. To chyba wystarczy jako dowód?

– Materiał przedstawiło DEA – wyjaśniła asystentka Blooma, Alison Goldberg, sztywna młoda kobieta w grubych okularach i szpilkach. – Zgodnie z regułami Planu Colombia, dopuszcza się dowody uzyskane przez DEA w dowolnym miejscu na świecie do wykorzystania w Kolumbii w sprawach związanych z narkotykami.

Bloom położył na stole aktówkę i podał de Quesadzie wyjęty z niej dokument.

– To notatka, którą, hmm... otrzymaliśmy z Ministerstwa Sprawiedliwości. Od samego ministra. – Baron narkotykowy zaczął czytać. Z każdą kolejną stroną coraz bardziej rzedła mu mina. – Krótko mówiąc, sądzą, że mają pana w garści.

Kolumbijczyk rzucił dokumenty na podłogę.

– Jestem nietykalny! – warknął rozwścieczony i strzelił palcami na ochroniarza stojącego obok barku. Zanim do niego dotarł, mężczyzna zdążył nalać dużą szklankę whisky z wodą sodową i lodem. Jego szef wypił połowę jednym haustem i rozgryzł kostkę lodu.

– Dowiedzieliśmy się także, że jest planowane pańskie aresztowanie – dodała Goldberg.

De Quesada rzucił się w jej stronę.

– I nie powiedzieliście mi tego od razu? – Zaniepokojony spojrzął na ochroniarza, który pobiegł zaalarmować kolegów.

– Czekają na podpisanie ostatnich nakazów – wyjaśnił Bloom. – Nasze źródło w ministerstwie uprzedzi nas, gdy tylko do tego dojdzie. Poinformujemy pana z odpowiednim wyprzedzeniem.

– Oni mogą już tu być. – Podeszedł do okna i podejrzliwie przyjrzał się klifom po drugiej stronie kanału.

– Nie widzieliśmy nikogo po drodze – oświadczył Goldberg.

– Bo nie zwróciliście na to uwagi. – De Quesada dopił drinka, rozgryzł kolejną kostkę lodu i gestem nakazał Amerykanom iść za sobą. – Gadajcie, co da się zrobić.

Znaleźli się w szerokim korytarzu. Na ścianach wisiały starsze i nowsze dzieła sztuki. Oraz kipu przyszpilone do niej jak olbrzymi motyl w gąblotce.

– Rzecz jasna, możemy przeciągać sprawę w sądzie – stwierdził Bloom. – Kwestionować

dowody i świadków...

– W ogóle nie zamierzam stawać przed sądem – warknął de Quesada. – Mówcie, co da się zrobić, jeśli wyjadę z kraju.

– Niewiele – powiedziała Goldberg. – Dałoby to amerykańskim władzom pretekst do zamrożenia pańskich kont na całym świecie. Jest też kwestia ekstradycji... – Urwała, kiedy Kolumbijczyk wszedł do pomieszczenia wyłożonego białymi kafelkami i rozpiął rozporek.

– Co? Nie widziałas przedtem szczającego faceta? Mów dalej – nakazał de Quesada.

Obojgu prawnikom odebrało mowę na widok niecodziennej łazienki. Zamiast toalety była w niej niecka metr dwadzieścia na metr dwadzieścia, w której podłogę został wmurowany skradziony dysk słoneczny. Wart niewyobrażalną fortunę w złocie, bezcenny zabytek kultury... służący teraz jako pisuar.

De Quesada zauważył milczenie prawników i obejrzał się przez ramię.

– Aaa, o to wam chodzi? – spytał. Jego gniew nieco zelżał, kiedy wyczuł okazję, żeby się pochwalić. – Taka tam błyskotka, w Wenezueli kupiłem. Myślałem, że jej transport będzie się ciągnął tygodniami, ale nowa firma przewozowa okazała się bardzo skuteczna. Teraz przy każdym sikaniu olewam kulturę mojego starego przyjaciela Arcaniego Pachaca! Może nawet wyślę mu MMS-a, chociaż w górach Peru pewnie ma kiepski zasięg.

– Zapewne tak – potwierdził Bloom, kiedy de Quesada zapinał rozporek. – Wróćmy jednak do kwestii ekstradycji... – Zabrzęczał jego telefon. – Przepraszam.

De Quesada nagle stał się bardzo rzeczowy i zaczął uważnie obserwować prawnika.

– To ten twój informator? – spytał, kiedy Bloom zakończył połączenie.

– Niestety, tak. Nakaz został podpisany.

– Tędy – nakazał baron narkotykowy, przepchnął się obok Amerykanów i poszedł dalej korytarzem. Czekają tam na niego dwóch mężczyzn.

– *Jefe!* – powiedział jeden z nich. – Przed chwilą rozmawiałem z ludźmi z wioski. Mówią, że jakieś wozy przejechały drogą w stronę domu i do tej pory nie wróciły.

– Kiedy?

– Jakies dwie godziny temu.

De Quesada spojrział oskarżycielsko na prawników.

– Mówiłam, nikogo nie widzieliśmy – powiedziała Goldberg, starając się ukryć zdenerwowanie.

De Quesada przez chwilę szeptał z ochroniarzami, którzy pokiwali głowami i pobiegli z powrotem do pokoju z widokiem na basen.

– Tutaj. – Poprowadził Amerykanów do podwójnych łukowatych drzwi. Za nimi znajdowało się pomieszczenie pełniące rolę luksusowego salonu, a zarazem biura, ze skórzanymi fotelami i kanapami oraz czarnym chromowanym biurkiem o blacie z polerowanego granitu. Wzdłuż jednej ściany ciągnął się bar z setkami rozmaitych butelek. Nad nimi znajdowało się akwarium – duże i na pierwszy rzut oka puste. Goldberg przyglądała mu się z zaciekawieniem.

De Quesada wszedł za bar i podszedł do wiszących za nim półek. Wyciągnął jedną butelkę, która odchyliła się z trzaskiem.

– To mój skarbiec – wyjaśnił zdziwionym prawnikom. – Mam tu dokumenty, których oni nie mogą znaleźć. Rozumiecie?

– Oczywiście – odparł Bloom.

– Świetnie. – Kolumbijczyk odsunął półki, odsłaniając ukryte za nimi niewielkie pomieszczenie. Goldberg próbowała zajrzeć do środka, ale zauważyła ostrzegawcze spojrzenie de Quesady i znowu wbiła wzrok w akwarium.

– Podobają wam się moi pupile? – spytał mężczyzna, po czym widząc, że prawnicy nie zauważyli żadnych zwierząt, wyjaśnił: – O tam, pośrodku.

Goldberg weszła za bar i w końcu dostrzegła jednego z mieszkańców akwarium – niewielką żółtą ośmiornicę, przyssaną dwiema mackami do szklanej ścianki. Nachyliła się bliżej i delikatnie zastukała w szkło. Ośmiornica odskoczyła i zmieniła kolor – stała się jaskrawożółta, a na jej ciele pojawiły się czarno-niebieskie kręgi. Pulsując wszystkimi ośmioma mackami, podплыnęła do po-

wierzchni wody.

– Nie zbliżaj się za bardzo – ostrzegł gospodarz. To *hapalochlaena* – jedno z najbardziej jadowitych stworzeń na świecie. Jeśli cię ugryzie – umrzesz.

– Szkło wygląda na grube – zauważyła przestraszona prawniczka, próbując udawać obojętność.

– Może i tak, ale akwarium nie ma pokrywy, a one potrafią się wspinać.

Kobieta szybko zrobiła krok w tył. De Quesada roześmiał się chrapliwie.

– Słuchajcie teraz, co macie robić – zaczął. – Czekać na nich na moście i nie przepuszczajcie na drugą stronę. Mówcie, że musicie sprawdzić nakaz, wymyślcie jakieś prawnicze sztuczki i powstrzymajcie ich najdłużej, jak się da.

– To... nie wchodzi w zakres naszych obowiązków – zauważyła Goldberg.

– Waszym obowiązkiem jest uchronić mnie przed więzieniem i dobrze wam płacę za jego wypełnianie. Róbcie, co mówię.

Do pokoju wszedł ochroniarz. Niósł aktówkę Blooma.

– Zabierajcie teczkę i jazda. Zajmijcie ich czymś – nakazał de Quesada. Prawnicy nie ruszyli się z miejsca, więc dodał: – Ale już!

Urażony Bloom wziął aktówkę, po czym prawnicy opuścili pokój. Ochroniarz poczekał, aż wyjdą, i podszedł do baru.

– Zrobiłeś to, co ci kazałem? – spytał de Quesada.

– Tak, *jefe*. – Mężczyzna wręczył mu niewielkiego pilota. – Wszystko ustawione.

– Dobrze. Każ pozostałym się uzbroić. I przyprowadź tu Alicję i Sylvie. Mają być moją ostatnią linią obrony. – Uśmiechnął się okrutnie. – Żaden mężczyzna nie miałby serca ich zastrzelić. – Wszedł z powrotem do skarbcza. – Muszę zniszczyć twarde dyski. A wy się szykujcie. Oni zaraz tu będą.

– Może i jest przestępcą, ale dom ma śliczny – stwierdziła Nina.

Oddział złożony z agentów Interpolu, DEA i policji kolumbijskiej oraz dwojga przedstawicieli Agencji obserwował wysepkę z ukrycia między drzewami na szczycie klifu. Willa de Quesady wyglądała imponująco już na zdjęciach, widziana na żywo była olśniewająca. Białe ściany skrzyły się w słońcu.

– Ochroniarzy też – dodał Eddie, zerkając przez lornetkę.

Nina domyśliła się, czemu – a raczej komu – przygląda się jej mąż.

– Oddawaj! – wyrwała mu lornetkę. Dwie młode kobiety, nadal topless, wyszły z basenu i skierowały się do budynku. – One na pewno nie mieszczą się w twojej seksualnej arytmetyce: „połowa wieku mężczyzny plus siedem lat”.

Eddie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Popatrzeć sobie nie wolno?

– Nie i jeśli jeszcze raz cię na tym przyłapię, to pożałujesz.

Nina przesunęła wzrokiem wzdłuż domu i zerknęła na mostek. Wydawał się solidny, ale był zbyt wąski dla pojazdów. De Quesada trzymał swoje samochody w garażu na stałym lądzie. Mniej więcej dwadzieścia minut wcześniej zatrzymała się przed nim czarna terenówka, z której wysiadło dwoje elegancko ubranych ludzi.

Znowu spojrziała na wyspę. Po obu stronach kładki stały grube, wysokie drewniane słupy, między którymi ciągnęła się linia energetyczna. Niedaleko słupa na wyspie znajdowało się główne wejście do domu. Drzwi nagle się otworzyły.

– Ktoś wychodzi.

– Prawnicy de Quesady – zauważył Becker, patrząc na elegancką dwójkę.

– Nie wyglądają na zachwyconych. – Para zawzięcie nad czymś dyskutowała.

– Nie dziwię im się. – Nina obejrzała się za siebie. Zobaczyła Kita z kilkoma kartkami w ręku i Probsta przedzierających się przez krzaki. – To właśnie przyszło na przenośny faks.

Baker wziął do ręki papiery.

– Znakomicie.

– To nakaz? – spytał Eddie.



– Podpisany i opieczętowany, wszystko jak należy. Teraz możemy tam wejść i dorwać sukinsyna. No dobrze. Panie Jindal, doktor Wilde, panie Chase, proszę tu czekać, aż skończymy. Walther, czy snajperzy obstawili przystań?

Probst skinął głową.

– Możemy w każdej chwili unieruchomić łodzie.

– Świetnie. W takim razie czas skopać mu tyłek... – Urwał, kiedy zobaczył, że prawnicy zatrzymali się na moście. – A ci dwoje co robią?

Mężczyzna w garniturze krzyknął coś po hiszpańsku z amerykańskim akcentem.

– Cholera jasna! – krzyknął Baker.

– Co powiedział?

Agent DEA z niezadowoleniem pokręcił głową.

– Chcą z nami porozmawiać. Pewnie dowiedzieli się o nakazie.

– No to element zaskoczenia mamy z głowy – stwierdziła ponuro Nina. – Co teraz?

Probst przyjrzał się willi.

– Nie podoba mi się to. Mógł zastawić pułapkę.

– Mamy przewagę liczebną trzy do jednego – odrzekł lekceważąco Baker. – Atakujemy z wyższej pozycji, dysponujemy większą siłą ognia i odcieśliśmy im wszystkie drogi ucieczki. Ten sukinsyn próbuje tylko kupić trochę czasu, żeby zniszczyć dowody. Panie Cruz!

Szef kolumbijskiego oddziału, który stał przy sześciokołowej ciężarówce, wydając swym ludziom ostatnie instrukcje, podszedł do nich szybko.

– Proszę wziąć czterech funkcjonariuszy i iść ze mną. Zobaczymy, co mają do powiedzenia ci pajace. Pozostali niech się szykują do szturm. Walther, twoi ludzie mają obserwować dom.

Cruz dał sygnał policjantom i dołączyło do niego czterech ubranych na czarno mężczyzn. Baker wezwał czterech agentów DEA. Dziesięciu mężczyzn, odbezpieczając broń, poszło w stronę mostu. Probst i Kit zajęli się rozstawianiem agentów Interpolu.

– To nie jest dobry pomysł – mruknął Eddie.

– Też uważasz, że to pułapka? – spytała Nina. Dwoje prawników wciąż czekało na moście.

– Może... Nie mogę rozgryźć, co ten dupek planuje. I to mnie niepokoi. – Chase wziął od żony lornetkę i jeszcze raz przyjrzał się willi.

De Quesada też patrzył przez lornetkę, wyglądając zza weneckiej żaluzji na pierwszym piętrze domu. Jeden z jego ochroniarzy zauważył ruch pomiędzy drzewami. Intruzi wiedzieli, że stracili element zaskoczenia, i przestali się ukrywać.

Mogło ich to kosztować życie.

– Ilu? – spytał.

– Co najmniej piętnastu – odpowiedział ochroniarz, podnosząc swój karabin M16. – Możliwe, że więcej.

Baron narkotykowy zacmokał. Miał plan awaryjny, ale nie podobała mu się ta sytuacja.

– Na pewno obserwują łodzie... – Przerwał, kiedy zauważył kontrastową plamę koloru wśród zieleni. Między drzewami stała kobieta o płomiennorudych włosach.

Znał ją.

– A ta co tu robi? – zapytał sam siebie, kiedy rozpoznał Ninę Wilde. Po co archeolog w policyjnym oddziale szturmowym?

Odpowiedź była oczywista.

– Czekał tutaj, bądź gotowy do strzału – rozkazał i zszedł na dół do holu. Obok drzwi stało kolejnych dwóch uzbrojonych ochroniarzy. Zignorował ich i podszedł do jednego z dzieł sztuki.

Zerwał kipu ze ściany i szybko wrócił do biura. Po drodze zajrzał do łazienki. Dysk słoneczny był oczywiście znacznie cenniejszy, zapewne właśnie z jego powodu Wilde tu przyjechała, ale – w przeciwieństwie do kipu – nie dało się go schować do kieszeni. Kobieta mówiła, że te sznurki mogą być warte miliony, jeśli znajdzie się na nie kupiec, a on mógł niedługo potrzebować pieniędzy.

Najpierw jednak musiał się stąd wydostać. Wszedł do biura, gdzie czekały na niego brunetka Alicia i blondynka Sylvie. Przez chwilę podziwiał ich nagie piersi.

– Wiecie, co robić?

– Tak, kotku – odparła Alicia, unosząc imponującą broń – automatyczną strzelbę AA-12 z dwudziestonabojuowym magazynkiem bębnowym. Sylvie była uzbrojona tak samo. Obie kobiety miały rozszerzone źrenice. Mężczyzna domyślił się, że dla kurażu wciągnęły długie ścieżki kokainy z kamiennego blatu. – Nie wpuścimy nikogo, dopóki nie skończysz.

– Dobrze. – Pocałował obie kobiety i przeszedł przez ukryte drzwi.

„Szkoda będzie stracić takie fajne dziewczyny”, pomyślał, umieszczając małą kostkę termitu na komputerze zawierającym dane finansowe. Ale zawsze znajdą się następne.

Na monitorze telewizji przemysłowej widać było most, na którym wciąż stali Bloom i Goldberg. W końcu pokazali się też policjanci – dziesięciu uzbrojonych mężczyzn podbiegło do kładki.

Zapalił lont termitu i cofnął się do baru, osłaniając oczy. Kostka zajęła się ogniem, miotając iskry, i niemal natychmiast przetopiała się przez plastikową obudowę, twardego dysku wewnątrz niej i półkę, na której stał komputer. Na koniec zagłębiła się w betonowej podłodze.

Kobiety spojrzały na niego zaniepokojone, ale uśmiechnął się do nich pokrępiąco i, rozwiewając dym, wrócił do skarbca. Wiedział, że dla całkowitego bezpieczeństwa powinien zamknąć za sobą drzwi, ale smród palonego plastiku i metalu w zamkniętym pomieszczeniu by go udusił.

Znow spojrzał na ekran. Gliniarze byli już na moście i szli w stronę prawników.

Zebrał niezbędne rzeczy: kilka paszportów, pendrive z numerem konta w szwajcarskim banku, szyfrowany telefon komórkowy, zwitek banknotów o dużych nominałach w kilku walutach i kipu, zamknął je w wodoszczelnej plastikowej torebce i wziął do ręki pilota. Już za chwilę...

– Są państwo z DEA? – spytał Bloom, zagradzając oddziałowi drogę.

Baker postukał w ogromne logo DEA na swojej kamizelce kuloodpornej.

– Jak się domyśliłeś? – spytał. – Przepuście nas.

– Nie pozwolimy państwu zrobić kolejnego kroku po tym moście, dopóki nie zobaczymy nakazu – oświadczyła stanowczo Goldberg. – Mamy podstawy sądzić, że naruszono prawa naszego klienta, wydając nielegalny nakaz przeszukania, i żądamy wglądu do przedmiotowego dokumentu, zanim wejdą państwo na teren posiadłości.

– Zgodnie z kolumbijskim kodeksem karnym – dodał Bloom.

– Mają prawo to zrobić? – Zirytowany Baker spojrzał na Cruza. Kolumbijczyk skinął głową.

– W takim razie dobrze, że mam to ze sobą. – Weisnął prawnikowi przefaksowane dokumenty. – Czytaj pan szybko, bo tak czy inaczej, zamierzamy przejść przez most.

Bloom wręczył papiery asystentce.

– Muszę wyjąć okulary do czytania – wyjaśnił, otwierając aktówkę.

W środku znajdowały się: laptop, kilka teczek z dokumentami, komplet długopisów i futerał na okulary. Bloom sięgnął po niego... i zauważył wśród swoich rzeczy kostkę wielkości książki, uformowaną z lepkiej, żółtawej substancji, i przyklejone do niej taśmą urządzenie, na którym migała czerwona lampka.

Przyglądał się znalezisku ze zdumieniem.

– Co...

Ładunek C-4 eksplodował.

De Quesada wcisnął przycisk na pilocie i obserwował na monitorze, jak most i stojący na nim ludzie znikają w rozbłysku światła. Wybuch zatrzęsł budynkiem. Mężczyzna się uśmiechnął.

– To się nazywa wzorcowa obsługa klienta.

Pociągnął za linę wiszącą na tylnej ścianie, otwierając kolejne ukryte przejście – wydrążony w skale korytarz, schodzący ostro w dół, w głąb wyspy. Poszedł przed siebie w stronę dużego pomieszczenia, w którym echem odbijał się szum fal.

Eddie i Nina unieśli głowy. Kładka przestała istnieć, na obu końcach zostały z niej tylko szczątki. Słupy energetyczne chwiały się na boki, a kabel przeciągnięty pomiędzy nimi kręcił się jak skakanka.

Po ludziach, którzy stali na moście, pozostał tylko czerwony dym.

– Jezus Maria! – krzyknął Eddie. Połowa oddziału szturmowego została zniszczona jednym wybuchem.

Druga połowa znalazła się pod ostrzałem. Z wyspy dobiegł terkot broni maszynowej. Nina pisnęła i znów padła na ziemię, kiedy kule zaczęły przebijać otaczające ich drzewa.

– Ogień osłaniający – domyślił się Eddie. Ludzie de Quesady próbowali zmusić ocalałych członków oddziału do ukrycia się na czas odwrotu.

Probst, który wraz z trzema członkami swojej ekipy stał przy samochodach, doszedł do tego samego wniosku.

– Snajperzy! – krzyknął do radia. – Ostrzelać łodzie!

Dalej na klifie, za zniszczoną kładką, leżało w krzakach dwóch mężczyzn. Mieli przed sobą olbrzymie karabiny M82 ustawione na trójnogach. Potężną broń zwykle wykorzystywano do celów snajperskich, ale pojedynczy pocisk kalibru .50 mógł także zniszczyć silnik każdego nieopancerzonego pojazdu i wielu opancerzonych.

Snajperzy zdążyli już wycelować. Do przystani, do której z domu prowadziła zygzakowata ścieżka, przycumowane były trzy motorówki. Pierwszy strzelec wymierzył w silnik łodzi stojącej najbliżej brzegu. Kołysała się na falach, ale z odległości poniżej trzystu metrów stanowiła łatwy cel.

– Strzelam – rzucił, żeby uprzedzić towarzysza, i pociągnął za spust.

Z lufy karabinu wyleciał długi na dwa i pół metra język ognia. Snajper spojrzał przez celownik – przez wybitą w silniku dziurę prześwitywała woda. Motorówka nie nadawała się już do użytku.

Drugi z mężczyzn wycelował w kolejną łódź...

Przez dobiegające z willi wystrzały przebił się nowy odgłos – cichy świst...

Snajperzy rozejrzeli się – pocisk z RPG-7 trafił w klif pomiędzy nich, rozdzierając obu na strzępy.

Eddie ponuro przyglądał się dymowi po wybuchu rakiety. Snajperzy pierwszym strzałem zdradzili swoją pozycję i ludzie de Quesady natychmiast ich załatwili.

– Nie wstawaj – powiedział do Niny i przeczołgał się przez krzaki do Kita i Probsta.

– Dorwali waszych snajperów – oznajmił zszokowanym oficerom Interpolu. – Idą do łodzi.

– Poinformuję straż przybrzeżną – odparł Kit, podchodząc do jednej z terenówek ford expedition, którymi poruszała się grupa.

– Jak daleko są? – spytał Eddie.

– Mają kuter trzy kilometry od brzegu. – Hindus zaczął mówić przez radio.

– Czemu, kurwa, wypłynęli tak daleko?

– Nie chcieli spłoszyć de Quesady – wyjaśnił Probst z niezadowoleniem. – I tak to nic nie pomogło. – Zwrócił się do pozostałych mężczyzn. – Musimy dopilnować, żeby nikt nie uciekł. Zbierzcie pozostałych i ruszajcie wzdłuż klifów. Idźcie w rozsypkę – mogą mieć jeszcze jedną rakiety.

– Mogę się na coś przydać?  
– Nie jestem pewien, czy ktokolwiek z nas może – odpowiedział Niemiec i ruszył za swoimi ludźmi.  
– Świetnie – mruknął Eddie. Przetrasnął ciężarówkę w poszukiwaniu zapasowej broni, ale znalazł tylko kilka granatów z gazem łzawiącym, w tej chwili zupełnie nieprzydatnych.  
Kit skończył rozmawiać przez radio.  
– Straż przybrzeżna już tu płynie.  
– Ile im to zajmie?  
– Będą gotowi do działania za jakieś sześć czy siedem minut. – Hindus wyciągnął pistolet. – Zostań tu z Niną. Ja pójdę z Waltherem.  
– Uważaj na siebie, dobra? – poprosił Chase.  
Kit uśmiechnął się ponuro.  
– Nie mam kamizelki kuloodpornej. Będę bardzo na siebie uważał! – Pobiegł za Probstem. Sfrustrowany Eddie spojrzął za nimi. Nie wierzył, że nie może nic zrobić. Ale po zniszczeniu kładki na wyspę można było się dostać tylko łodzią...  
Coś go niepokoiło, ale nie potrafił dokładnie określić, co. Odwrócił się do Niny.  
– Widziałaś coś?  
Kobieta pokręciła głową.  
– Po wybuchu rakiety wszyscy gdzieś pobiegli.  
– Do łodzi. – Zastanowił się przez chwilę. – Ale to, kurwa, nie ma sensu.  
– Dlaczego?  
– Ten cały de Quesada wysadził kładkę celowo, żeby łodzie stały się jedyną drogą ucieczki, ale ścieżka do przystani jest zupełnie odsłonięta. Wiedział, że będziemy ich pilnować. – Na potwierdzenie jego słów rozbrzmiały kolejne strzały, tym razem z brzegu. Pozostali członkowie ekipy dotarli na pozycje, z których mieli widok na ścieżkę, i otworzyli ogień. Krzyk odbił się echem od klifów: jeden z ochroniarzy de Quesady oberwał. Pozostali odpowiedzieli ogniem. Z klifów posypał się pył i odłamki kamienia.  
– Myślisz, że wystawił własnych ludzi? – zastanawiała się Nina.  
– To baron narkotykowy. Wykorzystałby własną matkę jako żywą tarczę. Chce, żebyśmy skoncentrowali się na tamtej części wyspy, żeby móc coś zrobić na tej.  
– Co na przykład?  
– Nie wiem. Może nie zamierza się wynosić, tylko schowa się w bunkrze i przeczeka szturm. – Spojrzął na dom i zerwał się na nogi.  
– Padnij! – wrzasnęła Nina, ciągnąc go za rękaw podniszczonej kurtki. – Zobaczą cię!  
– W domu nikogo nie ma. Wszyscy pobiegli do łodzi, żeby dać de Quesadzie czas. Muszę tam dotrzeć i go powstrzymać.  
– Jak zamierzasz to zrobić? – Kanał w najwęższym miejscu miał szerokość ponad piętnastu metrów. – Most wyleciał w powietrze, a skok do wody z tej wysokości i pływanie w kanale to chyba kiepski pomysł.  
– Przejdę po kablu.  
– Żartujesz sobie? Jest pod napięciem dziesięciu tysięcy woltów.  
– Nie zamierzam go dotykać.  
– To jak po nim przejdiesz?  
Zamiast odpowiedzieć, Eddie pobiegł do zaparkowanych samochodów i wszedł na pakę ciężarówkę. Poza oddziałem szturmowym, pojazd przywiózł także broń, między innymi karabiny snajperskie. Chase'owi nie chodziło jednak o puste skrzynie po broni, a o pasy mocujące, którymi były zabezpieczone.  
– Proszę bardzo – powiedział do Niny, odpinając jeden z nich. Pas miał prawie dwa metry długości i wykonany był ze wzmocnionego poliestru. – Jest izolowany, więc mogę przerzucić go nad drutem i zjechać jak po linie.  
Nina nie była przekonana.  
– A jeśli kabel pęknie?

– Nie zastanawiajmy się teraz nad tym, dobrze?

Eddie ruszył w stronę ruin mostu.

Nina poszła za nim.

– Znasz mnie przecież. Wszystkim się zamartwiam, a już zwłaszcza tobą!

Eddie dotarł do słupa, zawiązał pętlę wokół niego i mocno chwycił końce pasa.

– No dobra. Nie wychylaj się, możliwe, że w domu jednak ktoś został. Kiedy będę na drugim brzegu, skontaktuj się z Kitem przez radio w ciężarówce i powiedz mu, co robię. Zaraz wracam.

– Jak? – spytała. – Wsłizniesz się z powrotem po linie?

– Coś wymyślę. – Chase pocałował żonę i, wspierając się na pasie, wspinał się po słupie do metalowych kołków służących jako drabina. Nie spuszczać oka z kabla zwisającego na ceramicznych izolatorach, przesunął się na drugą stronę słupa.

Pierwszy raz wyraźnie zobaczył biegnący w dole kanał. Klębiły się w nim fale, a z płytkiej wody wystawały skały. Skok na główkę zdecydowanie nie byłby dobrym pomysłem. Po lewej stronie kanał wychodził na otwarte morze, po prawej skręcał w stronę przystani. Wciąż trwała wymiana ognia, ale była mniej zacięta niż przedtem. Walczące strony znalazły się w impasie.

Niedługo miał on zostać przerwany. Eddie zauważył nadpływający statek kolumbijskiej straży przybrzeżnej. Ochroniarze de Quesady musieli szybko dostać się do łodzi – inaczej groziło im uwięzienie na wyspie.

Eddiemu bardzo to odpowiadało. Wiedział, że nikt nie będzie patrzył w jego stronę. Przerzucił pas nad kablem i pociągnął go na próbę. Wyglądało na to, że kabel trzyma mocno. Nina z niepokojem przyglądała mu się spomiędzy drzew. Pokazał jej uniesiony kciuk.

Wziął głęboki wdech i przeniósł ciężar ciała na pas. Kabel się naprężył, ale nie puścił. Chase skupił wzrok na domu, starając się nie patrzeć w przepaść pod nogami.

– To się nazywa wysokie napięcie – mruknął. – Dobra, jedziemy...

Zeskoczył ze słupa.

Kabel zabrzęczał i zadrgał pod dodatkowym obciążeniem, kiedy Eddie jechał na drugą stronę. Przez chwilę miał pod nogami krawędź klifu, potem długo nic. Wyspa była coraz bliżej...

Pas zazgrzytał o kabel. Chase zwolnił... i stanął.

Trzy metry od brzegu.

– Cholera! – Próbował ruszyć z miejsca, ale spadek był zbyt mały, żeby zrównoważyć tarcie. Szarpnął jeszcze raz, ponownie bez skutku, potem zmienił taktykę. Złączył nogi, powoli je cofnął i mocno kopnął. Przesunął się do przodu o jakieś trzydzieści centymetrów. Kopnął jeszcze raz i znowu...

Izolator na stojącym przed nim słupie pękł.

Chase runął w dół.

Nina z trudem powstrzymała krzyk, kiedy zobaczyła, jak Eddie spada do wody. Po chwili kabel znów się naprężył, jednak upadek był szybki.

Zbyt szybki.

Zapominając, że miała się ukrywać, podbiegła do krawędzi przepaści, kiedy jej mąż bezwładnie uderzył w przeciwległy klif.

Eddie uniósł stopy tuż przed zderzeniem ze skalną ścianą. Poczul impet uderzenia w podszwach stóp, kolanach i biodrach. Z trudem udawało mu się utrzymać pas na trzęsącym się kablu.

Poczul kolejne szarpnięcie – i znowu opadł, tym razem o jakieś trzydzieści centymetrów, zanim kabel ponownie się napiął. Przewód biegł od słupa do transformatora w willi i właśnie pękł jeden z podtrzymujących go wsporników. Ciężar Chase'a opierał się teraz na izolatorze na stałym łądzie i na łączniku transformatora, które nie były w stanie utrzymać takiego obciążenia.

Poczul przez pas, że kabel się napręża...

Odchylił się na bok i jedną dłonią chwycił się występu skalnego. W tej samej chwili łącznik puścił, a pas spadł do spienionej wody. Zwisający przewód wysokiego napięcia był tak blisko, że Eddie słyszał ciche buczenie płynącego przez niego prądu.

Gdyby poszły iskry, zostałyby śmiertelnie porażony.

Bardzo ostrożnie przesuwiał butami po skale do chwili, kiedy znalazł oparcie dla stóp. Przechylił się w bok, po omacku szukając punktu podparcia wolną ręką. Znalazł szczelinę w klifie, wciśnął w nią palce i odsunął się od niebezpiecznego kabla.

Powoli posuwał się w górę, w kierunku resztek kładki. Kiedy udało mu się mocno ich uchwycić, zatrzymał się na chwilę, żeby złapać oddech, i wspiął się na płaski teren.

Nina z ulgą przyglądała się, jak Eddie macha do niej i biegnie do frontowych drzwi willi. Ciężko opadła na ziemię, opierając się plecami o słup, i patrzyła na wodę w kanale, usiłując uspokoić nerwy.

Coś się poruszyło.

Przez dłuższą chwilę nie rozumiała, co to takiego – wyglądało, jakby skalna ściana tuż nad linią wody zmieniała kształt. Kiedy zamrugła, dziwna scena nabrała sensu. To nie była skała, ale atrapa skały, która powoli się odsuwała, odsłaniając ciemną jaskinię, z której prowadziły do morza stalowe szyny.

Co to takiego, do cholery?

De Quesada wyłączył elektryczną wyciągarkę i przez chwilę napawał się widokiem swojej tajnej drogi ewakuacyjnej. Nie wiedział o niej nikt poza ludźmi, którzy ją zbudowali – a zadbał o to, by oni nigdy nikomu o niej nie powiedzieli.

Znajdująca się poniżej jaskinia była w naturalny sposób ukryta i ocieniona przez klif, a po zastosowaniu kamuflażu stała się prawie niewidoczna. Wejście zasłaniała ciężka brezentowa płachta zwisająca jak kurtyna, pomalowana na szarobrązowo, by stopić się z otaczającymi skałami.

W jaskini ukryty był pojazd, który miał bezpiecznie wywieźć go z wyspy – nie łódź, ale hydroplan cessna skyhawk. Mały biało-żółty samolot stał na szynach, na których miał ześliznąć się do kanału. Stamtąd de Quesada zamierzał skierować się na zachód, kiedy napastnicy będą koncentrować uwagę na łodziach na północno-wschodnim brzegu wyspy, i wystartować, kiedy tylko wypłynie na otwarte wody. Planował, że w ciągu piętnastu minut opuści kolumbijską przestrzeń powietrzną, a zanim zostaną poinformowane władze w Panamie, zdąży dotrzeć do kryjówki, zmieni tożsamość i wyjedzie z kraju.

Zszedł po drabinie na dno jaskini, włożył torebkę z niezbędnymi rzeczami do kokpitu i zaczął kontrolę przed krótkim lotem.

Eddie znalazł się w przestronnym holu z mnóstwem obrazów na ścianach. Na pierwszy rzut oka dom był pusty, ale mężczyzna poruszał się cicho i ostrożnie.

Zauważył migotanie światła za jednymi z drzwi i domyślił się, że pokój za nimi wychodzi na basen infinity. Po prawej miał łukowaty korytarz prowadzący do salonu. W przejściu było widać kawałek baru. Powoli ruszył w jego stronę. Poczul słaby, ale wyraźny zapach chlorowanej wody. Czyżby ukryły się tam dziewczyny z basenu?

Przywarł plecami do ściany i podszedł bliżej, nasłuchując odgłosów ruchu dobiegających z pomieszczenia...

Coś zachręściło mu pod stopą.

Sól kamienna, niemal niewidoczna na jasnej marmurowej posadzce. Prosty, ale skuteczny system ostrzegawczy.

Cofnął się...

Bum!

Tuż przed nim w ścianie pojawił się otwór o średnicy niemal trzydziestu centymetrów. Obsypały go kawałki gipsu i drewna. Zaskoczony, potknął się i przewrócił na twardą podłogę. W tej samej chwili ktoś strzelił drugi raz, trafiając tuż nad jego głową.

– Cholera jasna! – wrzasnął, czołgając się do tyłu.

Strzelec przewidział jego ucieczkę – kolejne dwie dziury pojawiły się za jego plecami.

Obrócił się, czując, jak kryształki soli wbijają mu się w dłonie, i biegiem rzucił się przez łukowaty otwór.

Wpadł do środka i szybko rozejrzał się po pomieszczeniu, usiłując zorientować się w sytuacji. Spodziewał się strzelca, ale zobaczył dwie strzelczynie, panienki, które przedtem topless pluśkały się w basenie, mierzące w niego z... Jezus Maria, AA-12! Jedna z kobiet stała za barem, dru-

ga za kanapą. Kolejne strzały wybiły następne dziury w ścianie tuż obok niego. Na końcu pokoju znajdowały się mahoniowe drzwi – tam, dokąd prowadziły, musiało być bezpieczniej...

Minął drugie łukowate przejście i dopadł do drzwi.

Były zamknięte.

Lufy obu strzelb przesunęły się, mierząc w niego...

Eddie rzucił się z powrotem do salonu i padł na ziemię za skórzanym fotelem. Strzały rozdarły drogi mebel. Eddie instynktownie liczył wystrzały – magazynek bębnowy w każdej ze strzelb mieścił dwadzieścia nabojów, a kobiety szybko zużywały amunicję, ale wiedział, że zdążą rozerwać jego osłonę na strzepy, zanim wystrzelają wszystkie kule. Potrzebował lepszej kryjówki.

Granitowe biurko stojące pomiędzy nim a ciężko uzbrojonymi ślicznotkami nie było idealnym rozwiązaniem, ale jedynym dostępnym...

Fotel podskoczył od impetu kolejnego trafienia. Eddie mocno popchnął zniszczony mebel, przesuając go po pokoju. Kolejny nabój wyrwał z niego dużą część siedzenia. Chase jeszcze przez chwilę pchał go dalej, potem chwycił fotel i rzucił w kierunku brunetki, a sam wturlał się pod biurko i spróbował przewrócić je na bok. Upadło z hukiem.

Brunetka krzyknęła i odskoczyła przed lecącym w jej stronę fotelem. Blondynka za barem nie przestawała strzelać. Granitowa płyta zatrzymywała uderzenia, ale przyciśnięty do niej Eddie po każdym strzale czuł się, jakby ktoś kopnął go w plecy.

– Przejdź dookoła i zastrzel go! – wrzasnęła blondynka. Po kolejnym strzale granit pękł, a Chase ledwie uchylił się przed odłamkiem wielkości talerza.

Brunetka zbliżała się, plaskając bosymi stopami po posadzce. Kończył mu się czas...

Pospieszenie zerknął przez otwór w biurku i zobaczył akwarium wpuszczone w ścianę za blondynką. Chwycił odłamek granitu i z całej siły rzucił go w stronę szklanej ściany.

Blondynka schyliła głowę, kamień przeleciał nad nią i uderzył w szybę, tłukąc ją w drobny mak. Potok wody zbił kobietę z nóg, a jej niemal nagie ciało pokryło się odłamkami szkła i morską fauną.

Eddie już biegł w jej stronę. Gdyby udało mu się ją teraz rozbroić...

Rozległ się przerażający wrzask. Chase padł na ziemię, a AA-12 ponownie zaterkotało. Blondynka zaciskała palec na spuście, wystrzeliwując ostatnie naboje w trybie automatycznym. Po pokoju latały szczątki roztrzaskanych przedmiotów. Krzyk nie ustawał. Eddie zaczął się zastanawiać, co się dzieje. Czyżby dziewczyna panicznie bała się ryb?

Zrozumiał, o co chodzi, kiedy wczuł się za bar. Do prawej piersi kobiety przywarła nie-duża ośmiornica. Kręgi na ciele zwierzęcia wściekle pulsowały, kiedy raz po raz kasało ofiarę.

Strzelba zabrzęczała pustym magazynkiem. Blondynka słabła, paraliżująca trucizna rozlewała się po jej ciele. Jej krzyki zmieniły się w zduszony bulgot.

– Sylvie! – wrzasnęła przerażona brunetka, wycelowała w bar i otworzyła ogień. – Zabiłeś ją, skurwielu!

Nad Eddiem eksplodowały butelki i szklanki.

– Jezu!

Rozgrzane łuski odbijały się rykoszetem i spadały prosto na niego.

Ostrzał ustał. Kobieta zużyła dwadzieścia nabojów. Eddie przeskoczył przez bar. Brunetka wciąż bezradnie ciągnęła za spust. Zaślepiąca wściekłością, zbyt późno zdała sobie sprawę, że skończyła jej się amunicja. Próbowała uderzyć Chase'a strzelbą, ale mężczyzna z łatwością uchylił się przed ciosem. Uznał, że to nie czas ani miejsce na rycerskość, i uderzył kobietę w twarz. Upadła na kanapę.

Chwycił ją za gardło.

– Gdzie de Quesada?

– Spierdalaj! – warknęła.

Ścisnął mocniej.

– Gdzie on jest?

– Pierdol się!

Eddie zamachnął się do ciosu, ale w ostatniej chwili się opamiętał, puścił brunetkę i pobiegł

za bar. Walcząc z obrzydzeniem, chwycił ośmiornicę za tułów i ściągnął ją z piersi Sylvie. Zwierzę wilo się, usiłując dotknąć mackami jego skóry. Podszedł do kanapy. Kobiecie udało się unieść do pozycji siedzącej. Przewrócił ją z powrotem na plecy i zbliżył ośmiornicę do jej twarzy.

Zwierzę przywarło do niej mackami i kłapało wypełnionym trucizną dziobem kilka centymetrów od policzka. Kobieta wrzasnęła.

– Mów, gdzie on jest, albo pozwolę jej cię ugryźć – krzyknął Eddie.

– Tam! – zakwiliła, wskazując półki za barem. – Jest tam!

Chase uznał, że brunetka jest zbyt przerażona, by kłamać, oderwał od niej ośmiornicę i rzucił zwierzęciem przez pokój, w resztki wody pozostałe w akwarium. Potem znów uderzył kobietę, pozbawiając ją przytomności.

– Frajer – powiedział do siebie, podchodząc do półek.

Z bliska zauważył, że są w nich ukryte drzwi, zza których dobiegał ostry swąd stopionego plastiku. Nie miał jak sprawdzić, czy de Quesada czeka na niego uzbrojony i gotów do strzału. Szarpnięciem otworzył drzwi, gotowy w każdej chwili paść na ziemię...

Pomieszczenie było puste. Dym unosił się z resztek komputera, w których widniała wypalona dziura. Termit. De Quesada zniszczył kompromitujące informacje na dysku twardym i zniknął.

Eddie był pewien, że dziewczyna nie skłamała. Zresztą po co miałyby bronić z przyjaciółką pustego pokoju?

Zauważył odstający fragment ściany, z którego zwisała lina...

Pociągnął za nią. Ściana odchyliła się, odsłaniając wykute w skale przejście.

Z dołu dobiegał dźwięk silnika.

– Nie myśl sobie, kurwa, że po tym wszystkim pozwolę ci zwiać – warknął Eddie, wbiegając przez otwór.

Nina także usłyszała ryk silnika. Eddie miał rację – najwyraźniej baron narkotykowy wystawił swoich ludzi na wabia, a sam zamierzał uciec ukrytą łodzią.

Jednak na torach pojawiła się nie motorówka, a lekki samolot na długich pływakach. Maszyna dotarła do krawędzi wody, a pilot uruchomił śmigło, wprowadzając ją do kanału, i wysiadł z kabiny, by odpiąć od pływaków płozy, na których zjechały po szynach.

Nina rozpoznała go mimo dużej odległości. Był to de Quesada.

Eddie zszedł wąskim tunelem aż do krawędzi drogi. Znajdował się wysoko w dużej jaskini wychodzącej na kanał. Przez szeroką szparę w skale zobaczył źródło hałasu: hydroplan unoszący się na wodzie. De Quesada schylił się, przeszedł pod tylną częścią kadłuba i przeskoczył z jednego pływaka na drugi, żeby coś od niego odpiąć. Chase wiedział, że kiedy mężczyzna skończy, będzie mógł swobodnie uciec.

Musiał go powstrzymać.

Ze skalnej ściany wystawała elektryczna wyciągarka przywiązana do kawałka brezentu, odsuniętego z wejścia do jaskini. Eddie przyjrzał się linie. Była to jaskrawa lina żeglarska, mocna i wytrzymała.

Wyrzwał na zewnątrz. De Quesada wracał już do kokpitu.

Chase odpiął linę od brezentowej kurtyny i włączył wyciągarkę na wsteczny bieg, żeby ją rozwinąć. Kolumbijczyk był już w samolocie.

– No dalej, dalej! – warczał, szarpiąc za linę. Potrzebował jej więcej...

Silnik zwiększył obroty. Nie było czasu.

Eddie wyskoczył z otworu w skale, ciągnąc sznur za sobą.

Chciał wylądować na kadłubie, ale lina się naprężyła, zanim się na nim znalazł. Uderzył w skrzydło i upadł do tyłu. Wylądował na ogonie lewego pływaka.

De Quesada, zdziwiony nagłym uderzeniem, odwrócił się i zobaczył pasażera na gapę. Szybko otworzył przepustnicę, śmigło zaczęło obracać się z pełną mocą, a samolot ruszył do przodu kanałem.

Eddie rozpaczliwie wymachiwał rękami, zsuwając się z pływaka...

Zahaczył stopą o ostatni wspornik łączący pływak z dolną częścią kadłuba. Wykorzystał ten niepewny punkt podparcia, aby podciągnąć się do pozycji siedzącej. Dźwig nadal rozwijał linę –



miał teraz wystarczająco dużo luzu, żeby dotrzeć do rozpórki.

Rzucił się do przodu i zaczepił hak o wspornik...

Lina znów się napружиła z głośnym trzaskiem. Samolot poskoczył, ale nie zwolnił – zaczął szybciej odwijać linę z bębna. Eddie schylił się, chroniąc głowę. Miał nadzieję, że kiedy lina się skończy, samolot się zatrzyma albo straci wspornik, bez którego de Quesada nie zaryzykuje startu.

Skyhawk skierował się w stronę otwartego morza rozciągającego się za klifami. Maszyna nabrała prędkości...

Lina skończyła się rozwijać.

Przez chwilę trzymała... Potem cessa wyrwała ze ściany całą wyciągarkę, która wyleciała z jaskini i z pluskiem wylądowała w wodzie.

Samolot ruszył naprzód, spychając Eddiego do morza.

Chase poczuł, jak spieniona woda wypełnia mu nozdrza, pozbawiając go tchu. Cessa była coraz dalej. Wiergał nogami, próbując wynurzyć głowę nad powierzchnię.

Coś otarło się o jego nogi.

Lina...

Pętla zacisnęła mu się wokół kostki, lina napружиła się pod ciężarem wyciągarki i pociągnęła go za samolotem.

Nina z przerażeniem patrzyła, jak jej mąż bezradnie ślizga się na falach za hydroplanem. Seahawk przyspieszył, ale wciąż znajdował się w zamkniętym kanale i sporo mu jeszcze brakowało do prędkości sześćdziesięciu czterech węzłów niezbędnej do startu.

Musiała go powstrzymać. Ale jak?

Tuż przed wylotem kanału było zwężenie...

Pobiegła do samochodów i wsiadła do pierwszej z brzegu terenówki. Kluczyk był w stacyjce. Przekręciła go, z rykiem uruchamiając ośmiocyndrowy silnik. Wrzuciła bieg i dodała gazu...

Ford expedition ruszył przed siebie, po drodze rozgniatając rośliny. Nina pojechała za samolotem. Ścięła młode drzewko i znalazła się na klifie, tuż nad urwiskiem. Ostro skręciła, kierując się wzdłuż brzegu. Prawe przednie koło przez chwilę buksowało na poszarpanej krawędzi skały, zanim znalazło punkt podparcia. Wyciągnęła szyję i zobaczyła, że hydroplan jest przed nią i nadal wlecze za sobą Eddiego.

Przyspieszyła – jechała już ponad pięćdziesiąt kilometrów na godzinę i wciąż nabierała prędkości. Terenówka podskakiwała na kamieniach i korzeniach, rzucając nią o drzwi. Nina ignorowała ból, koncentrując się na klifie przed sobą i samolocie sunącym poniżej. Już prawie się z nim zrównała. Samochód jechał już siedemdziesiąt na godzinę, wyskoczył w powietrze na wyboju, a upadając, zgniótł kolejne krzewy.

Wyrzuciła już samolot, a wylot kanału był tuż przed nią...

Nina otworzyła drzwi, skręciła kierownicę ostro w prawo i wyskoczyła z samochodu.

Ford zjechał z urwiska i spadł do wody.

De Quesada poruszył sterami, aby ustawić cessnę pośrodku kanału. Odległość między klifami była wystarczająca, by pomieścić samolot o dziesięciometrowej rozpiętości skrzydeł, ale po tym, jak ktoś na niego wskoczył, nie potrzebował więcej niespodzianek...

Terenowy samochód spadł z nieba tuż przed nim i wbił się w wodę, wzbijając ogromną fontannę piany.

– *Mierda!* – wrzasnął, zamykając przepustnicę i zmieniając kurs, by wyminąć pojazd. Maszyna zagrzebała się w błocie pod płytką wodą i zablokowała mu drogę ucieczki.

Musiał wrócić tam, skąd przyplynał. Trzymając stery cały czas skrecone, powoli dodawał mocy, obracając samolot.

W wodzie, dokładnie na jego kursie, znajdował się człowiek.

Eddie rozpaczliwie próbował złapać oddech i wytrząsnąć wodę z oczu. Lina nadal była zaciśnięta wokół jego kostki, kolejne zwoje unosiły się na powierzchni niedaleko niego. Sięgnął w dół, żeby się wyplątać, i zauważył samolot.

Cessna szybko sunęła w jego stronę.

Nina przeleciała przez krzaki i miękko wylądowała w olbrzymiej błotnistej kałuży. Posiniaczona, z pokaleczoną twarzą, wydostała się z mułu i chwiejnym krokiem podeszła do krawędzi klifu.

Jej plan się powiódł. Zablokowała wyjazd z wąskiego kanionu i samolot musiał się zatrzymać... ale maszyna zawróciła i teraz zmierzała prosto w kierunku Eddiego.

Samolot przyspieszył. Za chwilę miał uderzyć w mężczyznę...

Eddie przestał próbować się wyplątać i, odpychając się nogami, zanurzył się pod wodą. Stępka jednego z pływaków obita mu się o stopę, a maszyna przemknęła nad nim wąskim kanałem, mijając go o centymetry.

Wynurzył się na powierzchnię i zdał sobie sprawę, że niebezpieczeństwo bynajmniej nie minęło. Kolorowa lina, wciąż przytwierdzona do rozpórki, unosiła się na wodzie obok niego. Chwytał za nią, kiedy zaczęła się naprężyć. Siła tarcia zdarła mu skórę na palcach.

Teraz jednak przynajmniej nie sunął bezradnie za samolotem. Zaczął podciągać się po linie

w stronę pływaka.

Coś mocno szarpnęło go za owiniętą liną nogę. Wyciągarka, która opadła na dno, kiedy samolot się zatrzymał, teraz znów ruszyła za nim. Eddie skrzywił się, ale nie przestał się podciągać. Był już prawie na wysokości ogona cessny i coraz bliżej pływaka.

Hydroplan minął jaskinię po lewej. Dalej kanał skręcał, biegnąc wokół wyspy. Przez ryk silnika przebiły się echa wystrzałów rozbrzmiewające między klifami.

Mimo wysiłków Probst a jego ekipy, dwóm ochroniarzom udało się dotrzeć do motorówki i ją uruchomić. Policjanci skupili się na ostrzeliwaniu odbijającej od przystani łodzi, co pozwoliło kolejnym dwóm mężczyznom dotrzeć do końca ścieżki i otworzyć ogień z ukrycia.

Kit schylił głowę, kiedy kule wbiły się w klif tuż przed nim. Otarł z twarzy kamienne odłamki i otworzył oczy. Zobaczył zbliżający się hydroplan.

Probst także go zauważył.

– To na pewno de Quesada! – stwierdził, otwierając ogień z karabinu.

– Nie! – krzyknął Kit, podbijając lufę do góry. – Trafisz Eddiego! – wskazał na mężczyznę, który właśnie wciągnął się na jeden z pływaków.

Probst zaklął po niemiecku i krzyknął do pozostałych:

– Nie strzelać do samolotu! Jest w nim Chase!

– Ale on ucieknie! – zaprotestował Cruz.

Kit zerknął na otwarte wody i zobaczył szybko zbliżający się statek straży przybrzeżnej.

– Powiedźcie im, żeby dali spokój motorówkom i zablokowali samolot, zanim wystartuje.

Eddie, kurczowo trzymający się pływaka, zamrugał, kiedy w samolot uderzyły kule. Po chwili ostrzał ustał. Miał nadzieję, że oddział szturmowy go zauważył. Objął ręką ukośną klamrę łączącą pływak ze skrzydłem i odwinął linę z nogi. Naprężyła się, kiedy wypuścił ją z rąk – ciężka wyciągarka nadal działała jak kotwica.

Zobaczył przed sobą przystań, od której odbiła jedna z motorówek.

Łódź płynęła wprost na nich.

De Quesada także to zauważył. Silnik zawył głośniejsze, a klapy skrzydłowe rozwinęły się na pełną długość, kiedy rozpaczliwie starał się wystartować.

Eddie przesunął się do przodu i na chwilę uniósł głowę, żeby zerknąć do kabiny. Ze zdziwieniem zauważył kipu leżące w plastikowej torbie na siedzeniu pasażera, bardziej interesował go jednak pilot. Kolumbijczyk próbował poderwać samolot w powietrze.

Przesunął się naprzód i sięgnął do klamki w drzwiach kabiny.

Wiatr ze świstem wpadał przez dziurę po kuli w dachu kadłuba. De Quesada wiedział, że gdyby pocisk wbił się dziesięć centymetrów niżej, byłoby po nim. Dziękując szczęściu, obejrzał się, by sprawdzić, gdzie jeszcze został trafiony samolot...

Przez okno dostrzegł czubek głowy i ciemne włosy rozwiewane wiatrem. Ktoś powoli zbliżał się do drzwi po stronie pasażera.

De Quesada mocno chwycił stery jedną ręką, a drugą zacisnął w pięść...

Eddie otworzył drzwi, wskoczył do ciasnej kabiny i... dostał potężny cios w twarz.

Zaskoczony runął w tył. Wymachiwał rękami, usiłując się czegoś złapać, ale udało mu się tylko zgarnąć torebkę z siedzenia pasażera. Pozbawiony punktu oparcia, wypadł z samolotu...

Pustą ręką chwycił się liny. Fale zepchnęły go z pływaka i zaczął się po niej ześlizgiwać. Była mokra, zdierała skórę z dłoni do chwili, kiedy udało mu się chwycić ją drugą ręką, wykorzystując róg torebki jako prowizoryczną rękawicę ochronną. Trzymał się mocno, spazmatycznie łapiąc oddech i zamykając oczy przed obryzgującą go pianą.

Piana nagle zniknęła. Cessna wystartowała.

– Kurwa maaaaa! – wrzasnął Eddie nagle wyrwany z wody. Wzbijał się w powietrze za samolotem, ale wiedział, że jeśli puści linę, uderzy jak torpeda wprost w nadciągającą motorówkę.

Mężczyźni siedzący w łodzi musieli schylić głowy, kiedy skyhawk przeleciał zaledwie pół metra nad nimi. Jeden z nich zauważył, że samolot ciągnie coś za sobą, i wyprostował się, żeby sprawdzić, co to takiego...

Eddie podciągnął obie nogi i kopnął ochroniarza w twarz, wzbijając fontannę krwi i zębów.

Mężczyzna wyleciał z łodzi.

Lina zaczęła ocierać się o burtę motorówki...

Wyciągarka przebiła się przez kadłub i zaczepiła o niego. Łódź przechyliła się, wyrzucając drugiego z mężczyzn do morza, odwróciła do góry dnem, zgarniając morską wodę, i poleciała za hydroplanem.

Cessna, nie mogąc poradzić sobie z dodatkowym ciężarem, nagle zboczyła z kursu. Motorówka ciągnęła ją w dół.

Eddie znów uderzył w spienione fale. Tym razem udało mu się wyprostować i wyrzucić przed siebie nogi. Ślizgał się na nich jak na nartach wodnych, boleśnie podskakując na każdym grzbiecie fali.

Zobaczył przed sobą kuter straży przybrzeżnej. Cessna wyrównała lot i ponownie zaczęła się wznosić. Lina się naprężyła. Chase zrozumiał, że za chwilę znów znajdzie się w powietrzu...

Puścił linę.

Wymachując rękami, przejechał jeszcze ponad trzydzieści metrów po wodzie. W końcu stracił równowagę i upadł. Podskoczył na falach, dwa razy odbił się od powierzchni wody i z hukiem uderzył o burtę statku.

De Quesada musiał przechylić cessnę na bok, by uniknąć zderzenia – o włos zmieścił się pomiędzy wysokim mostkiem a masztem radarowym kutra. Krzycząc z radości, wyrównał lot i zwrócił samolot w stronę panamskiej przestrzeni powietrznej...

Motorówka, wciąż wleczona na końcu liny, zderzyła się z kutrem.

Statek straży przybrzeżnej zachwiał się od impetu uderzenia, ale samolot zniósł je jeszcze gorzej. Stracił pływak, kawałek skrzydła łączący się ze wspornikiem i dużą część dna kadłuba.

De Quesada wrzasnął, kiedy nagle zobaczył pod nogami powietrze. Stery zwiślały bezwładnie – linki sterujące zostały przerwane. Lotki opadły, a okaleczony samolot runął w lśniąca wodę...

I wbił się w morze z prędkością ponad osiemdziesięciu węzłów. Siła uderzenia zgmiotła uszkodzony kadłub jak aluminiową puszkę, nabijając pilota na stery. Benzyna lotnicza z przerwanych przewodów paliwowych oblała gorący metal. Resztki skyhawk eksplodowały, wyrzucając w górę pomarańczowe płomienie i tłusty czarny dym.

Eddie wynurzył się z wody obok kutra, uchylając się przed spadającymi szczątkami motorówki. Zauważył plastikową torebkę z dobytkiem zmarłego barona narkotykowego unoszącą się na wodzie, podpłynął i chwycił ją, a potem krzyknął:

– Ej! Człowiek za burtą!

Jeden ze zszokowanych członków załogi spojrział na niego i rzucił drabinkę sznurową. Eddie wspiał się na pokład. Zobaczył pływające szczątki cessny porozrzucane po wodzie.

– Cholera jasna – rzucił w stronę marynarza – ostatni raz leciałem tanimi liniami.

Wnętrze willi było równie luksusowe, jak jej otoczenie, ale jedno z pomieszczeń szczególnie zwracało uwagę. Nina wpatrywała się w złoty dysk słoneczny wmurowany w podłogę łazienki.

– Niewiarygodne – powiedziała ze zdumieniem i obrzydzeniem. – Wydał pięćdziesiąt milionów dolarów na jeden z najbardziej niezwykłych inkaskich artefaktów, jakie dotąd odkryto... i zrobił z nim coś takiego?

– Jeśli masz więcej pieniędzy, niż jesteś w stanie wydać, w końcu zaczynasz przepuszczać je na głupoty – wyjaśnił Eddie, wycierając włosy ręcznikiem de Quesady. Po wyłowieniu go z wody, statek straży przybrzeżnej przybił do wyspy, a pozostali ludzie barona narkotykowego się poddali. Ocalałą motorówkę wykorzystano do przewiezienia Niny i oddziału szturmowego ze stałego lądu. – No więc znaleźliśmy dysk słoneczny i odzyskałem kipu. W dodatku dzięki nam zaoszczędzą na kosztach procesu tego skurwiela. Chyba wykonaliśmy zadanie.

– Czy kipu jest całe?

– Chyba tak. Było szczelnie zamknięte w torbie z różnymi innymi rzeczami – paszportami, pieniędzmi i tak dalej. Kit właśnie to wszystko przegląda.

– A ty?

Poklepał się po nogawce dżinsów.

– Dalej trochę mokry. Poobijany, ostrzelany – to samo, co zawsze. Nic groźnego. – W grun-

cie rzeczy jedno kolano nie przestawało go boleć od chwili zderzenia z klifem, a zdarta skóra na dłoniach wciąż piekła, ale nie zamierzał się skarżyć. – A jak ty się czujesz?

Nina dotknęła plastra, którym jeden z ludzi Probsta opatrzył skaleczenie na jej twarzy.

– Dobrze. Podrapałam się, wyskakując z samochodu. Ale wylądowałam w błocie, co zamortyzowało upadek.

– Masz szczęście, że nic sobie nie zrobiłaś – stwierdził Eddie. – To było cholernie głupie i ryzykowne.

– Przyganiał kocioł garnkowi! – odparowała. – A gdybym tego nie zrobiła, de Quesada by uciekł, ciągnąc cię za samolotem jak żywą flagę.

– Różnica polega na tym, że takie akcje to mój zawód.

– Wcale nie! Już nie. Pracujesz teraz dla ONZ, nie dla trupy kaskaderów. Za każdym razem, kiedy widzę, jak robisz takie numery, jestem bliska ataku serca, bo... – ściszyła głos – bo boję się, że zaraz zginiesz.

– Nie zginę – odpowiedział stanowczo. – Może trochę wyszedłem z wprawy, ale to nie znaczy, że stłukę się jak jajko przy pierwszym lepszym potknięciu.

– Upadek trzydzieści metrów w dół klifu to nie pierwsze lepsze potknięcie – przypomniała mu Nina. – A kiedy do tego ktoś na ciebie poluje...

– Mogliby się w końcu nauczyć – prychnął Eddie. – Każdy, kto na mnie poluje, źle kończy.

– Ktoś na ciebie poluje? – spytał Kit, stając w drzwiach.

– W tej chwili nie, dzięki Bogu – odpowiedziała Nina, rzuciła mężowi spojrzenie wskazujące, że to jeszcze nie koniec dyskusji, i zwróciła się do oficera Interpolu. – Przeszukaliście resztę domu?

– Tak. Kilka innych rzeczy figuruje na liście skradzionych dzieł sztuki Wydziału ds. Prześstępstw Przeciwko Dobrom Kultury, ale żadna nie jest równie znacząca, jak to – oświadczył Hindu, wskazując dysk słoneczny. – A w torebce, którą odzyskał Eddie, był telefon z listą kontaktów de Quesady na całym świecie. Na pewno bardzo nam się przyda. – Nagle spoważniał. – Szkoda tylko, że kosztowało to życie dziesięciu porządnym chłopaków.

– Mało brakowało, a byłoby jedenastu – cicho powiedziała Nina. Chase nie zareagował.

– Jest jeszcze jedna sprawa – dodał Kit. – Eddie, mógłbyś na coś zerknąć?

– O co chodzi? – spytała Nina.

– Jest tu... coś, co Eddie może pomóc zidentyfikować dzięki doświadczeniu z wojska. Nina, sfotografuj, proszę, dysk słoneczny, żebyśmy mogli wysłać zdjęcia do Interpolu i ONZ, dobrze? – poprosił Jindal, wręczając jej aparat cyfrowy.

Kobieta wiedziała, że Kit coś ukrywa, ale wzięła cyfrowkę.

– A co z kipu?

– Jest wśród innych rzeczy de Quesady. Będiesz mogła je obejrzeć, kiedy tylko skończymy kontrolę.

– Zgoda... – Nina wymieniła zdziwione spojrzenia z mężem. Mężczyźni wyszli z pokoju.

– Co takiego znalazłeś? – spytał Eddie, kiedy znaleźli się w holu.

– To było w biurze de Quesady, w jego papierach. – Kit zatrzymał się przed łukowatym przejściem, ostrożnie zerknął do środka, aby upewnić się, że pozostali agenci są zajęci, i wyjął coś z kieszeni.

Eddie wziął do ręki plastikową torebkę na materiały dowodowe. W środku była wizytówka.

– Co jest takiego szczególnego... – zaczął mówić i urwał, kiedy ją przeczytał. Przez dłuższą chwilę się nie odzywał.

– To... to twój ojciec, prawda? – spytał Kit, przerywając milczenie.

– Tak – odpowiedział Eddie beznamiętnym tonem. – Owszem. – Wizytówka była identyczna jak ta, którą jego ojciec dał Ninie i którą potem zabrał jej Stikes. Na pewno nie był to jednak ten sam kartonik – ten był czysty i niepognieciony. – Chyba będę musiał z nim porozmawiać...

*Bogota*

Larry Chase wyjął z barku whisky, nalał do szklanki, rozsiadł się w fotelu i pociągnął łyk. Poczul rozlewające się po ciele ciepło, które jeszcze bardziej poprawiło mu humor. Przez ostatnich kilka dni pracował bardzo owocnie, choć pod ogromną presją czasu. Ale, biorąc pod uwagę zaofiarowane mu sumy, które – zgodnie z umową – znajdowały się już na koncie firmy, propozycja była nie do odrzucenia.

Owszem, klienci średnio mu się podobali. I co z tego? W jego zawodzie często to się zdarzało. On tylko świadczył usługę. Sprzedający miał coś w punkcie A, kupujący chciał, by dotarło to do punktu B jak najszybciej – i bez niepotrzebnego hałasu. I tyle. Czysty biznes.

Musiał przyznać, że był z siebie dumny. Wydostanie dwutonowego ładunku z Wenezueli tuż przed wybuchem wojny domowej i wwiezienie go do Kolumbii wymagało wieloletniego doświadczenia, jakie zdobył w szarej strefie logistyki międzynarodowej, i przypomnienia kilku osobom, że są mu winne przysługę – ale się udało. To dobrze wróżyło na przyszłość. Dowiódł, że w niczym nie ustępuje temu grubasowi Stamfordowi Westowi z Singapuru. Współpraca z generałem Callasem zakończyła się wprawdzie definitywnie, ale Francisco de Quesada był wyraźnie pod wrażeniem.

Ktoś zastukał do drzwi. Larry się zdziwił – nie zamawiał nic do pokoju, a był pewien, że nikt w hotelu go nie zna.

– Tak?

Zamiast odpowiedzi usłyszał kolejne stukanie. Zirytowany odstawił drinka i poszedł otworzyć.

– Dobry wieczór, tato – powiedział Eddie lodowatym tonem i wszedł do środka, przeciskając się obok ojca. – Jak leci?

– Eee... w porządku – odparł zszokowany Larry. – Co ty tu robisz?

– Przyjechałem w interesach. A ty? – Eddie usiadł na krześle i gestem zaprosił ojca na fotel.

– Ja też. Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Znalazłem coś, co tu zostawiłeś. – Eddie wyciągnął z torebki na materiały dowodowe wizytówkę. Larry zamarł, potem usiadł w fotelu i wziął do ręki drinka. – Więc zadzwoniłem pod twój numer domowy, żeby sprawdzić, gdzie jesteś. Uciałem sobie pogawędkę z Julie. – Włożył torebkę z powrotem do kieszeni zniszczonej, poplamionej morską wodą skórzanej kurtki.

Larry pociągnął kolejny łyk whisky.

– Co u Niny?

– Wszystko dobrze. Zajmuje się swoją pracą – kombinuje, jak odnaleźć zaginione miasta w Peru, odzyskuje skradzione skarby. Skradzione inkaskie skarby.

Starszy Chase zdążył się już otrząsnąć ze zdziwienia i tym razem nie zareagował.

– Inkaskie skarby? Brzmi interesująco. Jak w tej kreskówce, którą oglądałeś, jak byłeś mały.

– Coś podobnego! Pamiętasz cokolwiek z mojego dzieciństwa? Widocznie oglądałem to w jeden z tych trzech dni, kiedy byłeś w domu.

Larry spojrzał na niego chłodno.

– Mimo tego, co myślisz, nie byłem złym ojcem. Elizabeth jakoś...

– Wyszła na ludzi?

– Nie miała zastrzeżeń. – Wziął kolejny łyk whisky. – Ale ty chyba coś do mnie masz i wcale nie wiąże się to z rodzicielstwem.

– Można tak powiedzieć. – Eddie wyciągnął kopertę, wyjął z niej dwa zdjęcia i rzucił je na stół przed Larrym. – Poznajesz to?

Starszy Chase nawet nie spojrzał na fotografię.

– Nie ma sensu, żebyś udzielał odpowiedzi. Jesteś przekonany, że już ją znasz.

Eddie zaśmiał się sarkastycznie.

– Nie bój się. Nie nagrywam cię. Nie musisz mówić tak wymijająco.

Larry odchylił się do przodu w fotelu.

– O co chodzi, Edwardzie?

Eddie także się nachylił i wbił wzrok w ojca.

– O to, czy zrobisz, co należy. Chociaż raz w życiu.

– Nie waż się mówić do mnie...

– Zamknij się! – warknął młodszy Chase.

Larry drgnął i wstał zirytowany.

– Nie toleruję takich zachowań u nikogo. Zwłaszcza u ciebie.

Eddie nie ruszył się z miejsca. Nadal przyglądał się ojcu.

– Siadaj. Albo posadzę cię siłą. Wiesz, że mógłbym to zrobić.

Gniewnie zaciskając zęby, starszy Chase wrócił na fotel.

– Do rzeczy – warknął. – Czego chcesz?

– Po pierwsze, żebyś obejrzał te zdjęcia. – Larry podniósł fotografie ze stolika. – Ten duży złoty krąg to inkaski dysk słoneczny, taki symbol religijny, ichnia wersja krzyża. To drugie nazywa się kipu. Wygląda mniej imponująco, w zasadzie to kupa sznurków, ale jest ważne. Nina uważa, że stanowi klucz do odnalezienia El Dorado.

Larry uniósł brwi.

– Tego El Dorado?

– Nie, cadillaca Elvisa.

– Edwardzie, albo sobie kpij, albo mów, o co ci chodzi. Nie zamierzam wysłuchiwać i jednego, i drugiego.

– W porządku. Chodzi mi o to, że te przedmioty skradziono z wykopalisk w Wenezueli, a ty wywoziłeś je z kraju. To znaczy przemyciłeś. Bo, tak bez owijania w bawełnę, tym się właśnie zajmujesz, prawda?

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz – stwierdził Larry. – Nie prowadzę nielegalnej działalności.

– A te przedmioty? – spytał Eddie, wskazując na zdjęcia. – Są kradzione. Ich transport na pewno był nielegalny.

– Skradzione? Komu? Mam dostęp do międzynarodowych list prowadzonych przez straż celną, policję i ubezpieczycieli i te ładunki nie figurowały na żadnej z nich. Sprawdzam takie rzeczy przed przyjęciem każdego zlecenia.

– To techniczny szczegół i dobrze o tym wiesz. Nie wybroniłbyś się tym w sądzie.

– Tu się mylisz. Udało mi się to, wielokrotnie. Wiem, co robię. Znam się na tym.

– Tak dobrze, że nie obchodzi cię, dla kogo pracujesz, byle dobrze płacił? – spytał Eddie. – Ten koleś, któremu dałeś wizytówkę, był pieprzonym baronem narkotykowym!

– Nie interesuje mnie, jak zarabia na życie. Ja miałem tylko dostarczyć mu ładunek i, zgodnie z moją wiedzą, był to ładunek całkowicie legalny. Gdyby chodziło o narkotyki, w życiu bym się tym nie zajął. Masz mnie, kurwa, za idiotę?

– A nie przeszło ci przez myśl, że to szemrana sprawa, kiedy Diego el Cocainio nagle zadzwonił z Ameryki Południowej i poprosił, żebyś coś dla niego przewiózł, nie zadając żadnych pytań?

Larry prawie się roześmiał.

– Całą sprawę załatwiał twój przyjaciel.

– O czym ty mówisz? – spytał zaskoczony Eddi.

– Twój kumpel z czasów SAS.

Chase junior był kompletnie zbity z tropu. Czyżby chodziło o Maca?

Larry przejął inicjatywę i ciągnął dalej.

– Aleksander Stikes.

– Stikes? – wybuchnął Eddie. – Stikes nie jest, kurwa, moim przyjacielem! Ten skurwiel próbował mnie zabić!

– Naprawdę? Cóż, cieszę się, że mu się nie udało, ale nic o tym nie wiedziałem. Mówił, że to ty mu mnie poleciłeś.

– I to cię nie zastanowiło?

Larry spojrział na niego lodowatym wzrokiem.

– Myślałem, że w ramach przeprosin chcesz mi naraić klienta. Sprawdziłem jego firmę, wszystko było w porządku, nie miałem powodów, żeby mu nie ufać. Skontaktowałem mnie z Callasem i de Quesadą. Ja byłem tylko pośrednikiem między nimi i pomogłem im przewieźć pewne ładunki.

– Unikając kontroli celnej.

Starszy Chase prychnął z pogardą.

– Wydaje ci się, że jeśli coś przekracza granicę bez kontroli w siedemnastu punktach, oznacza to jakiś wielki spiszek. Wiesz, ile ładunków faktycznie sprawdza straż celna? Może jeden na dwadzieścia – i to na Zachodzie. Na więcej nie starcza im ludzi i sprzętu. W gruncie rzeczy szukają tylko narkotyków. Tutaj kontroluje się może jeden na sto. Ja tylko upewniam się, że towar mojego klienta trafi do dziewięćdziesięciu dziewięciu procent. Wystarczy szepnąć słówko właściwej osobie.

– I wręczyć jej łapówkę?

– Myślę o tym jako o przysługach. Celnicy prawie wszędzie są słabo opłacani i niedoceniani. Ja po prostu okazuję im wdzięczność za wykonywaną pracę.

– A co z tobą? – spytał Eddie. – Nie było ci głupio brać pieniądze od barona narkotykowego?

– Już mówiłem. To, czym się zajmuje, to nie mój interes. To był po prostu kolejny klient.

Wszystkim zadaję tylko trzy pytania: gdzie, kiedy i za ile.

Eddie wstał i odezwał się cichym, szorstkim głosem.

– Proponuję, żebyś teraz zadał jedno pytanie sobie: czy wpłacę wszystkie pieniądze z tego zlecenia na British Legion albo Help For Heroes<sup>2</sup>, czy pójdę do więzienia?

Larry na chwilę zaniemówił.

– Grozisz mi?

– Owszem.

W oczach starszego Chase'a zapłonął gniew.

– Nie masz żadnych dowodów.

Eddie znów wyjął wizytówkę.

– Kontaktowałeś się z de Quesadą.

– Wizytówkę mógł mu dać każdy. Poza tym jest tylko podejrzewany o handel narkotykami.

Nigdy nie został skazany.

– I nie zostanie. Nie żyje.

Na twarzy Larry'ego widać było jednocześnie zaskoczenie i ulgę.

– Tym bardziej nie będziesz w stanie udowodnić, że łączyły mnie z nim interesy.

– Interpol przejął jego księgi. A jak myślisz, dlaczego trzymam twoją wizytówkę w plastikowej torebce? Będą zdejmować z niej odciski palców. Twoje i de Quesady.

– Jeszcze tego nie zrobili?

– Jeszcze nie. Ale oddam im wizytówkę, jeśli w ciągu najbliższych kilku dni nie przekażesz bardzo dużej sumy na cele charytatywne. – Włożył torebkę z powrotem do kieszeni. – Chcę dać ci szansę. Zrób, co należy. Albo ja to zrobię.

Larry dopił drinka, mocno zaciskając palce na szklance.

– Zastanowię się.

– Byle nie za długo. – Eddie podszedł do drzwi i rzucił ojcu pogardliwe spojrzenie. – Miłej podróży powrotnej. – Wyszedł z pokoju.

Larry trzasnął pustą szklanką o stół i zerwał się na nogi. Zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju, trzęsąc się z wściekłości. W końcu wziął głęboki oddech, sięgnął po telefon i wybrał numer z listy kontaktów.

– Mówi Larry Chase – powiedział do rozmówcy. – Muszę... muszę się skontaktować z panem Stikesem.

Nina była już z powrotem w Caracas. Eddie do niej dołączył. Kobieta oczywiście ciekawiło,



po co wybrał się do stolicy Kolumbii, ale nie powiedział jej nic poza tym, że sprawa ma związek ze Stikesem. Oboje byli zbyt zmęczeni, żeby się o to kłócić – wśliznęli się do łóżka w swoim apartamencie i niemal natychmiast zasnęli.

Następnego ranka Eddiego obudziły głosy dochodzące z pokoju obok. Uświadomił sobie, że Nina zdążyła już zapomnieć o jego wycieczce do Bogoty i zająć się czymś ważniejszym. Ekscytację w jej głosie było słychać nawet przez zamknięte drzwi. Chase ubrał się i wszedł do salonu. Zastał tam żonę siedzącą przy stole z Macy, Osterhagenem, Kitem i Makiem.

– A to co? Proszona śniadanie?

Nina szybko przełknęła kęs grzanki, popijając go łykiem kawy.

– Dzień dobry! Chyba dobrze ci się spało, bo zwykle nie wstajesz tak późno.

– Miałem wczoraj ciężki dzień. Dzień dobry wszystkim. Dlaczego mnie nie obudziłaś?

– Uznałam, że trochę odpoczynku ci się przyda. Poza tym tak słodko wyglądałeś, kiedy spałeś.

– To ciekawe. Kilka razy widziałem śpiącego Eddiego i na pewno nie opisałbym tego widoku jako słodki – stwierdził Mac.

– Jak człowiek leży pokotem razem z innymi spoconymi, pierdzącymi chłopakami z SAS, może robić różne miny – odparował Eddie. Spojrzał na stół i zobaczył rozłożone odzyskane kipu i stos notatek leżący przed trójką archeologów. – Rozpracowaliście to? Mam nadzieję, że umyjesz ręce, zanim tego dotkniesz – dodał, zwracając się do Niny, która pochłaniała właśnie kolejną grzankę z masłem.

Kobieta gestem poprosiła Macy o serwetkę.

– Leonard chyba coś odkrył.

Chase przysunął sobie krzesło i usiadł. Osterhagen miał ciemne sińce pod oczami – najwyraźniej pracował całą noc. Wyciągnął duże zdjęcie mapy zrobione w Paititi.

– Znamy początkowy punkt – wyjaśnił. – To oczywiście Cuzco, stolica imperium Inków. Znamy też punkt dojścia – Paititi. Musieliśmy sprawdzić charakterystyczne miejsca po drodze. Gdyby udało nam się je rozpoznać, moglibyśmy złamać kod, jakim posłużyli się twórcy mapy i kipu, zapisując kierunki i odległości.

Eddie skinął głową.

– Co znaleźliście?

Osterhagen już miał się odezwać, ale Macy weszła mu w słowo.

– Na przykład największy charakterystyczny punkt na świecie – oznajmiła z entuzjazmem, machając ręką w stronę powiększonego zdjęcia malowidła. – Machu Picchu! – Wskazała na niewielki obrazek widoczny pomiędzy znakami: w dużym uproszczeniu przedstawiał dwa zaokrąglone stożkowate szczyty – jeden większy, drugi mniejszy. U ich podstawy biegły linie, zapewne symbolizujące budynki. – Leży około stu kilometrów na północny zachód od Cuzco, przy tak zwanym Szlaku Inków.

– Podróżowałem tamtędy wielokrotnie – powiedział Osterhagen, próbując dojść do głosu. – Dobrze znam te tereny. Znaki w tym miejscu – dodał, wskazując odpowiednią część mapy – odpowiadają *huacas* przy Szlaku Inków pomiędzy Cuzco i Machu Picchu.

– *Huacas*? – spytał Eddie. – Brzmi, jakby ktoś rzygał.

Członkowie grupy, którzy dobrze znali Chase'a, uśmiechnęli się, puszczając jego żart mimo uszu. Osterhagen jednak wydawał się urażony.

– Nic z tych rzeczy. To święte miejsca – wyjaśnił. – Inkowie wierzyli, że pewne miejsca mają znaczenie duchowe. Należały do nich cuda natury, takie jak źródła czy górskie szczyty, miejsca ważne z historycznego punktu widzenia, i cmentarzyska, na których chowano mumie. Nie wszystkie przetrwały podbój Peru przez Hiszpanów. Konkwistadorzy starali się usunąć wszelkie ślady istniejących religii.

– Ale ciężko jest pozbyć się całej góry – dodała Macy – więc wiele *huacas* ocalało.

– Rozumiem – odparł Eddie, przyglądając się zdjęciom. – Wiecie, gdzie znajdują się te miejsca, więc możecie to odszyfrować i stwierdzić, że dany znak oznacza cmentarzysko albo coś innego.

– Do tego dochodzi kipu – dodała Nina. Wytartymi w serwetkę palcami wskazała sznurki po lewej stronie. – Ta część to zapis pierwszego etapu wyprawy, który zakończył się w Machu Picchu. Liczba sznurków odpowiada liczbie *huacas* na mapie.

– Sporo tego – zauważył Eddie.

– Podróż była długa. Z Cuzco do Paititi jest ponad półtora tysiąca kilometrów w linii prostej, a trasa, którą poruszali się Inkowie, była jeszcze dłuższa. Widzisz to?

Wskazała na plecioną podstawę inkaskiego artefaktu. Sznurki były brudne i pociemniałe ze starości, ale Eddie zwrócił uwagę, że ich poszczególne pasma wyraźnie się różnią. Do dwóch trzecich długości kipu sznurki miały różnorodne odcienie – głównie szarości, brązy i czerwienie, gdzieś niedaleko przetykane zielonym i niebieskim. W dalszej części dominowały dwie ostatnie barwy.

– Kolory się zmieniły – stwierdził. – Co to oznacza?

– Podejrzewamy, że kolory symbolizują różne rodzaje terenu. Ta część – Osterhagen wskazał na pęk szarych sznurków na początku kipu – odpowiada wyżynom przy Szlaku Inków prowadzącym do Machu Picchu. Cofając się w stronę Cuzco, odkryliśmy, że inne kolory symbolizują charakterystyczne cechy okolicy. – Delikatnie dotknął jednego z pasem wykałaczką. – Na przykład ten odcień turkusu to doliny rzek.

Eddie przyjrzał się bliżej. Na całej długości sznurka widniały różnego rodzaju węzłki.

– A więc mapa wskazuje, jakich charakterystycznych miejsc szukać, kolory sznurków symbolizują rodzaj terenu... a węzłki? Kierunek? Odległość?

– W pewnym sensie i jedno, i drugie – oświadczyła Nina.

– Z Cuzco rozchodziła się sieć świętych dróg – wyjaśnił Osterhagen. – Były nazywane ścieżkami *ceque* i łączyły ze sobą wszystkie zakątki imperium. Niektóre z nich faktycznie były drogami lub ścieżkami, inne – prostymi liniami prowadzącymi od jednego *huaca* do drugiego. Wiemy, że miały znaczenie rytualne. Najważniejsze z nich, czterdzieści jeden *ceques* wokół Cuzco, można powiązać z kalendarzem księżycowym. Nikt jednak dotąd nie rozszyfrował pozostałych, rozchodzących się po całym imperium.

– Aż do tej chwili – domyślił się Eddie. Zauważył, że podekscytowana Nina nie może usiedzieć w miejscu.

– Zgadza się – odpowiedziała jego żona z szerokim uśmiechem. – Leonard wykorzystał informacje, jakie uzyskał, cofając się od Machu Picchu do Cuzco, i doszedł do wniosku, że węzłki znajdujące się najbliżej podstawy wskazują kierunek w oparciu o położenie gwiazd. Inkowie mieli bardzo rozbudowaną wiedzę z astronomii.

– Ale mniej zaawansowaną niż Egipcjanie – wtrąciła Macy, broniąc kultury swych drugich, poza Kubańczykami, przodków.

– To prawda, była jednak wystarczająco dokładna, żeby dało się ją wykorzystać w nawigacji. To część klucza. Drugą część również odszyfrowaliśmy z kipu, z pozostałych węzłków. Inkowie, podobnie jak my, posługiwali się systemem dziesiętnym, a kipu służyły jako liczydła. Węzłki symbolizowały jednostki, dziesiątki, setki i tak dalej, w zależności od położenia. Znając ten system, można rozpoznać liczby zapisane na każdym ze sznurków już na pierwszy rzut oka, a nawet dotykaniem.

– Udało nam się je odcyfrować, ponieważ miałem punkt odniesienia – dodał Osterhagen. – Faktycznie oznaczają odległości. Nina obliczyła ich stosunek do *huacas*. W pamięci – dodał. Wyraźnie był pod wrażeniem.

– Czyli znacie całkowitą odległość, jaką przebyli? – spytał Kit.

– Około dwóch tysięcy siedmiuset kilometrów – odpowiedziała Nina.

– Jezu – mruknął Eddie. – Mówiłaś, że w linii prostej to półtora tysiąca. Nadłożyli po drodze tysiąc dwieście kilometrów?

– To dlatego, że przez większość czasu trzymali się znanych szlaków – wyjaśniła Macy, rozkładając dużą mapę Ameryki Południowej. – Z Cuzco szli niemal przez cały czas na północny zachód, wzdłuż wschodniej krawędzi Andów. Pewnie nie chcieli zbaczać do dżungli.

– W końcu jednak musieli to zrobić – dodała Nina. Wskazała na część kipu, w której dominowały niebieskie i zielone sznurki. – Podejrzewamy, że zielone symbolizują dżunglę. A pierwsze

węzłki na każdym sznurku wskazują ten sam kierunek – północny wschód. Niebieskie prawdopodobnie oznaczają, że kierowali się wzdłuż rzek.

– To ma sens – stwierdził Eddie. – W dżungli nie ma zbyt wielu innych charakterystycznych punktów.

– Zwłaszcza dla kogoś przyzwyczajonego do mieszkania w górach. – Przesunęła palcem po kipu. – Jeśli cofniemy się od Paititi, widać, że pokonywali długie dystanse, rzadko zmieniając kierunek marszu... a tutaj – wskazała miejsce, gdzie sznurki ponownie przybierały barwy ziemi – przekroczyli Andy i dostali się do dorzecza Amazonki. Jednak nawet na wyżynach wciąż kierowali się głównie na północny wschód... aż dotąd.

Eddie przyjrzał się wskazanym przez żonę sznurkom. Nie znał dokładnego znaczenia węzłków, ale natychmiast zauważył jedną rzecz: te po jednej stronie palca Niny były związane z prawa na lewo, te po drugiej – z lewa na prawo. – A więc w tym miejscu skręcili – domyślił się – przestali kierować się wzdłuż Andów i weszli do dżungli.

Nina skinęła głową.

– To z tego obejścia wzięło się dodatkowe tysiąc dwieście kilometrów. Ale to nie wszystko.

Kobieta z trudem powstrzymywała uśmiech. Chase domyślił się, że zamierza poinformować go o kolejnym ważnym odkryciu. Biorąc pod uwagę, czego szukali, mogła to być tylko jedna rzecz.

– El Dorado?

– El Doraaa-do! – wyśpiewała, wymachując powiększonym zdjęciem malowidła przedstawiającego miasto, a w jego centrum – Punchaco i ostatnią część figurki. Mac roześmiał się, widząc jej niepohamowany entuzjazm. – Liczba symboli oznaczających *huaca* na mapie dokładnie odpowiada liczbie sznurków kipu zaplecionych do chwili, kiedy Inkowie zwrócili się na północny wschód. Wyszli z Cuzco i kierowali się wzdłuż Andów, uznali, że znaleźli bezpieczne miejsce, w którym mogą ukryć najcenniejsze skarby imperium... i musieli znów ruszyć w drogę, uciekając przed Hiszpanami. Pozostawili tam jednak część skarbów. A my teraz możemy je odnaleźć!

Eddie spojrzał na nią kpiąco.

– Jak to? Jeszcze tego nie zrobiłaś? Myślałem, że jesteś dobra w te klocki!

Jego żona wyduła wargi.

– Dopiero co zjedliśmy śniadanie. Daj nam czas chociaż do lunchu!

Prace potrwały dłużej – odcyfrowywanie kierunków i obliczanie odległości na każdym ze sznurków kipu i powiązywanie ich z *huacas* na terenie Peru zajęło cały dzień. Znajomość tego kraju i jego kultury, jaką wykazał się Osterhagen, stanowiła nieocenioną pomoc, ale mężczyzna chwilami był bliski zaśnięcia przy stole i kobiety musiały budzić go szturchnięciami. Inkowie przedstawili na swej mapie wiele punktów, w których obecnie znajdowały się znane stanowiska archeologiczne. Dzięki doświadczeniu Niemca prace szybko posuwały się naprzód i co chwilę zawężał się krąg miejsc, w których mogło zostać ukryte zaginione miasto.

Podczas gdy Nina, Osterhagen i Macy pracowali w salonie, Eddie zadzwonił z sypialni.

– Cześć, babciu.

– Edwardzie! – odezwał się uradowany głos z drugiej strony Atlantyku. – Jak miło cię słyszeć. Jak się masz, moje słoneczko? – Głos staruszki brzmiał mocniej niż podczas ich ostatniej rozmowy, choć chwilami wciąż brakowało jej tchu.

– Dobrze, babciu. A ty?

– Czuję się dużo lepiej, dziękuję. Dalej każą mi nosić tę głupią maskę, ale mam nadzieję, że już niedługo... oj, przepraszam – kobieta stłumiła ziewnięcie. – Jestem trochę śpiąca.

– Przepraszam, zapomniałem o różnicy czasu! – W Anglii było pięć i pół godziny później niż w Wenezueli, więc w Bournemouth minęła już dziesiąta. – Zadzwoń kiedy indziej.

– Nie gadaj głupot, Edwardzie. Chętnie położę się później, żeby móc z tobą porozmawiać. Skąd dzwonisz?

– Jesteśmy w Wenezueli, ale chyba niedługo stąd wyjeżdżamy. Nina wpadła na trop.

– W Wenezueli! – powtórzyła zaniepokojona babcia. – Czy tam jest bezpiecznie? Widziałam w wiadomościach, że doszło tam do jakichś zamieszek.

– Tak, obilo nam się to o uszy – potwierdził Eddie, uśmiechając się do siebie. – Ale wszyst-

ko się już uspokoiło.

– Cieszę się. Muszę przyznać, prowadzisz ekscytujące życie. Ale kiedy w końcu trafisz do gazet albo do telewizji? W zeszłym roku cały świat widział Ninę przy Sfinksie, a ty stałeś gdzieś z tyłu. Dlaczego nawet się wtedy nie odezwałeś?

– Nie zależy mi na popularności. Ninie też nie – dodał – ale ona jakoś musi sobie z tym radzić. Zresztą, kto by tam chciał być sławny? Ja wolałbym być bogaty.

– W takim razie lepiej weź się do pracy. A skoro już o tym mowa, mógłbyś zrobić babci przyjemność i postarać się dla niej o prawnuki, zanim kopnie w kalendarz.

– Mamy jeszcze na to czas, babciu – upomniał ją Eddie. – Ale porozmawiam o tym z żoną, jak tylko znajdziemy to, czego szuka.

W tym momencie do pokoju wpadła Nina.

– Eddie! Eddie! Znaleźliśmy je! Chodź zobaczyć! – krzyknęła podekscytowana i wybiegła z powrotem.

– Dziewczyna nie traci ani chwili – zauważyła rozbawiona starszuszka. – Ale wracając do tych prawnuków...

– Eddie!

Chase westchnął.

– Muszę iść, bo zaraz wyciągnie mnie stąd siła. Zadzwoń do ciebie, kiedy tylko będę mógł.

– Czekam z niecierpliwością. A kiedy przyjedziesz do Anglii? Bardzo chciałabym znów cię zobaczyć.

– Wpadnę najszybciej, jak się da, i znowu zabiorę cię na spacer nad morze.

– Nie mogę się doczekać. Do usłyszenia niebawem, Edwardzie. Kocham cię.

– Ja ciebie też – odpowiedział. – Do usłyszenia.

– Pa, złotko.

Chase odłożył słuchawkę i wszedł do salonu równocześnie z Kitem i Makiem.

– Zostaliśmy wezwani – oznajmił Szkot z kpiącym uśmiechem.

Trzej mężczyźni dołączyli do archeologów siedzących przy stole.

– Co mamy? – spytał Eddie.

– To tu trzeba szukać – odparła Nina, stukając palcem w mapę Peru w dorzeczu Amazonki, na południe od granicy z Ekwadorem, na wschodnim obrzeżu Andów. – Leonard ustalił, że jednym z ostatnich miejsc, jakie Inkowie odwiedzili po drodze, była Kuélap, ogromna forteca niedaleko Chachapoyas. – Otworzyła przewodnik i pokazała zebranyemu zdjęcie imponującego zewnętrznego muru.

– Robi wrażenie – zauważył Mac. – I wygląda na dobrze zachowany. Czy Hiszpanie go znaleźli?

– Nie – odparł Osterhagen. – Przeszukiwali tę okolicę, ale nie udało im się odkryć fortecy. Dlatego jest w takim dobrym stanie.

– Tym bardziej prawdopodobne jest, że nie znaleźli też El Dorado – dodała Nina. – Cały ten region porastają lasy mgliste – połacie dżungli rosnące na dużej wysokości. To był, i wciąż jest, rzadko zaludniony teren z mnóstwem miejsc nadających się na kryjówki.

– Z jaką dokładnością ustaliliście położenie? – spytał Eddie.

– Wydaje nam się, że do kilku kilometrów. Z Kuélap należy kierować się mniej więcej prosto na północ przez około sześćdziesiąt kilometrów, do miejsca, z którego Inkowie udali się na północny wschód, do Paititi.

Kit przyjrzał się poziomicom na mapie.

– Miejsce wygląda na trudno dostępne.

Osterhagen pokręcił głową.

– Nie jest tak źle, jak pan myśli. Przez góry prowadzi droga. No, nazywają to drogą, ale autostrada to to nie jest. Jest wąska, stroma... I niebezpieczna. Bardzo niebezpieczna.

– Super – mruknął Eddie. – Droga śmierci.

– Co takiego? – spytała zaniepokojona Macy.

– W Stanach na niebezpiecznych drogach są bariery, znaki ostrzegawcze i krawężniki powstrzymujące samochody przed spadnięciem w przepaść.

– Tak.

– Tu ich nie będzie – wyjaśnił Eddie. Młoda kobieta nie wyglądała na zachwyconą taką perspektywą.

– Każda droga jest lepsza niż żadna – zapewnił ją Mac. – Ale miasto zapewne znajduje się w pewnej odległości od drogi, inaczej ktoś już by je odkrył.

– To nie wszystko – dodała Nina. – Mapa w Paititi wskazywała, że El Dorado znajduje się bardzo blisko wodospadu. – Skinęła głową w stronę laptopa. – Sprawdziliśmy zdjęcia satelitarne, którymi dysponuje Agencja, i chyba udało nam się go zlokalizować.

– Większa część drogi jest przejezdna – oznajmił Osterhagen. – Będziemy musieli przejść kawałek przez dżunglę, ale marsz nie będzie trudniejszy niż w Paititi. Teren wokół wodospadu jest dość równy.

Mac skinął głową.

– To brzmi dobrze.

– Dla kogo? – spytał Eddie.

– Dla mnie.

– Co takiego?

– Dobrze się tu z wami bawiłem – stwierdził Szkot.

– Żartujesz sobie?

– Bynajmniej. I bardzo chciałbym osobiście uczestniczyć w takim nieprawdopodobnym odkryciu. Poza tym, szczerze mówiąc, nasz nocny rajd po Caracas kilka dni temu... uświadomił mi, że chciałbym wrócić do akcji.

– Naprawdę chcesz wziąć udział w ekspedycji? – spytała Nina.

– Dlaczego nie? Doktor Osterhagen powiedział, że miejsce, w które jedziecie, jest stosunkowo łatwo dostępne. A ja jeszcze się do czegoś nadaję, mimo że mam sztuczną nogę. Przebiegłem na niej kilka półmaratonów.

– Jeśli chcesz jechać z nami, to ja jestem za – powiedziała kobieta. Po minie swojego męża zobaczyła, że jest on innego zdania, ale Chase się nie odezwał. – Tak więc – dodała, zwracając się do całej grupy – to może być to. Możliwe, że naprawdę znaleźliśmy El Dorado.

– Jaki jest następny krok? – spytał Kit.

– Po pierwsze, musimy skontaktować się z peruwiańskimi władzami za pośrednictwem ONZ i poprosić o zgodę na przeprowadzenie ekspedycji. Biorąc pod uwagę, czego szukamy, powinniśmy dość szybko dostać odpowiedź. Po jej uzyskaniu zorganizowanie wszystkiego nie zajmie wiele czasu. Jak już powiedział Leonard, na miejsce da się dotrzeć samochodem.

– A co zrobimy, kiedy znajdziemy El Dorado? – spytał Mac.

– Zapewne zostaniemy tam na jakiś czas! Ale jeśli będziesz chciał, możesz wyjechać wcześniej. Uwielbiam zajmować się typową archeologiczną robotą, ale wiem, że nie wszyscy to lubią.

– To ja też będę mógł wyjechać wcześniej? – spytał Eddie. Odpowiedziały mu śmiechy.

Kit miał coś do dodania.

– Nino, podczas rozmów z władzami Peru musisz położyć nacisk na bezpieczeństwo. Jeśli wycieknie informacja o tym, czego szukamy, cała okolica zaroi się od łowców skarbów – albo i gorzej.

– Jak to „my”? – spytał Eddie. – Ty też się z nami wybierasz? Myślałem, że sprawa została zamknięta po odzyskaniu przedmiotów, które zwałił t... ten cały de Quesada. – Tylko Kit zauważył to przejęzyczenie, ale wymownym spojrzeniem zapewnił Eddiego, że ich wspólny sekret pozostanie tajemnicą.

– Z technicznego punktu widzenia tak jest – stwierdził Hindus. – Ale... cóż, myślę podobnie jak Mac! Chcę zobaczyć zaginione złote miasto! I sprawdzić, co się stanie, kiedy Nina połączy razem wszystkie figurki.

– W porządku – zgodziła się żona Chase'a. – Jutro porozmawiam z ONZ. Na razie jesteśmy honorowymi gośćmi prezydenta Wenezueli i powinniśmy to wykorzystać. Co powiecie na kolację?

Zgromadzeni przy stole chórem wyrazili zgodę. Grupa się rozdzieliła i jej członkowie wrócili do swoich pokojów, by się odświeżyć i przebrać. Eddie poszedł za Makiem i dogonił go na korytarzu.

– Mac, mogę na słówko?

– Coś się stało, Eddie? – spytał starszy mężczyzna z miną niewiniątka.

– Do cholery, dobrze wiesz, że tak. Dlaczego chcesz jechać z nami?

– Dokładnie wyjaśniłem to Ninie. Naprawdę jestem ciekaw, co tam znajdzie. A skoro już tu przyleciałem przez pół świata, szkoda by było wracać do domu akurat wtedy, kiedy zaczyna się robić interesująco.

– Ostrzelanie przez hindu nie było interesujące?

– Nie w taki sposób, o jakim mówię. – Mac uśmiechnął się, ale po chwili spoważniał. – Eddie, naprawdę nieźle sobie radzę. Nie jestem kaleką. I chcę jak najwięcej skorzystać z życia, zanim się nim stanę. Mówiłem Ninie, że biegałem półmaratony po utracie nogi, ale teraz chyba już bym nie dał rady.

– Na szczęście nie musisz. Masz darmowe bilety na autobus.

– Bardzo śmieszne. Oczywiście, fajnie jest wrócić do domu za friko. Ale kiedy już tam wrócę... – w jego głosie zabrzmiała gorycz. – Trochę tam pusto. Zwłaszcza wieczorami. Chcę mieć się czym zająć. I z kim.

Eddie był zszokowany wyznaniem przyjaciela.

– Dlaczego wcześniej nic nie mówiłeś? Częściej odwiedzałbym cię w Anglii.

– Nie potrzebuję litości, Eddie – warknął Szkot. – Chcę się na coś przydać!

– Przecież się przydajesz. Pracujesz jako konsultant w MI6, wyciągasz z kłopotów mnie i Ninę... Do cholery, w zeszłym roku uratowałeś salę pełną światowych przywódców przed wysadzeniem w powietrze.

– To akurat była głównie zasługa Kita – odparł Szkot. – Ale chodzi mi o to, że nie chcę czuć, jak powoli zmieniam się w zgrzybiałego...

– Jakiego?

– Niedołęznego staruszka. Wolałbym umrzeć nagle na zawał przed siedemdziesiątką, niż dogorywać w szpitalu opleciony rurkami.

Jego słowa przypomniały Eddiemu widok babci, maleńkiej i bezradnej w szpitalnym łóżku, z twarzą zasłoniętą maską tlenową.

– Masz rację – powiedział cicho. – Nie warto tak kończyć.

Mac zauważył tę zmianę nastroju i domyślił się jej przyczyn.

– Przepraszam. Nie chciałem być taki... brutalnie szczerzy.

– Nie ma sprawy. – Eddie zmusił się, by przestać myśleć o przygnębiającej scenie. – Rozumiem to. Chcesz walczyć do końca.

– Można to tak ująć. – Szkot uśmiechnął się krzywo. – Chociaż akurat sama walka nie jest mi potrzebna do szczęścia. Miałem jej w życiu aż nadto.

– Jesteś pewien, że się na to piszesz? Dżungle, góry, drogi śmierci?

– Gdybym nie był, nie prosiłbym, żebyście mnie zabrali ze sobą, prawda? – Mac poklepał przyjaciela po ramieniu. – Już raz musiałeś mnie nieść w bezpieczne miejsce. Za drugim razem spałbym się ze wstydu. Mam swoją dumę!

– Skoro tak... Niech będzie – rzucił Eddie, udając niechętną zgodę. – Pod warunkiem, że nie będę musiał spać z tobą w jednym namiocie!

– Gdybym miał z tobą mieszkać, w życiu nie zgodziłbym się jechać! – Obaj się roześmiali.

– Przebierz się do kolacji. Do zobaczenia niebawem – dodał McCrimmon i ruszył korytarzem.

Eddie odprowadził go wzrokiem i wrócił do apartamentu.

Kiedy Kit znalazł się w swoim pokoju, zmienił koszulę i włożył marynarkę. Już miał wyjść, ale zawahał się i wyciągnął telefon. Przez chwilę nasłuchiwał, czy nikogo nie ma przy drzwiach, i wybrał numer.

– Tu Jindal.

– O co chodzi? – szorstko odpowiedział jego rozmówca.

– Doktor Wilde sądzi, że zlokalizowała drugą część ostatniej figurki. Znajduje się w północnym Peru. Będę uczestniczył w ekspedycji.

– Dobrze. Zrób wszystko, co będzie trzeba, aby odzyskała statuetkę. Przyszłość świata zależy od tego, czy uda nam się zdobyć wszystkie trzy. Po rozmowie z doktor Wilde sądzę, że może poprzeć cele Grupy.

– Zajmę się tym – obiecał Kit, ale jego rozmówca odłożył już słuchawkę.

Hindus wiedział, że wiele ryzykuje, nie informując swoich pracodawców o tym, co zdarzyło się w Klubie: stawiał zacięty opór, ale Stikes torturami wydobył z niego informacje o jego prawdziwej misji. Najemnik dowiedział się w ten sposób o istnieniu Grupy, nie poznał jednak jej dokładnych planów – z tej prostej przyczyny, że sam przesłuchiwany niewiele o nich wiedział. Taka wpadka wystarczyłaby jednak, żeby Grupa zakończyła współpracę z Kitem... i jego życie. Jej członkowie obiecywali krociowe zyski, ale wymagali wyników.

Jeśli przypuszczenia Niny się potwierdzą, wkrótce je osiągnie. Uspokojony tą myślą wyszedł z pokoju.

*Peru*

A więc to są te lasy mgliste? – spytała Macy, przyglądając się krajobrazowi. – Lasy widzę, ale gdzie jest mgła?

– Nic się nie bój – odpowiedział Eddie zza kierownicy. – Jak już to cholerstwo opadnie, przestaniesz widzieć cokolwiek poza nim!

Siedmiomiejscowy nissan patrol jadący pośrodku niewielkiego konwoju zmierzał na północ nieutwardzoną drogą, która odchodziła od szosy około pięćdziesięciu kilometrów na północ od stolicy prowincji, Chachapoyas. W terenówce za nimi siedziało dwóch peruwiańskich archeologów: wysoki, szczupły profesor Miguel Olmedo z Uniwersytetu w Limie i jego niższy, tęższy kolega, doktor Julian Cruzado. Udział miejscowych archeologów był spodziewany i mile widziany. Ninie dużo mniej podobało się za to, że pojechał z nimi także wysoki rangą urzędnik peruwiańskiego Ministerstwa Kultury, bufonowaty Diego Zender. Wyglądało na to, że mężczyzna dołączył do ekspedycji tylko po to, żeby zdobyć rozgłos, gdyby okazało się, że mityczne El Dorado naprawdę istnieje. Zender zabrał ze sobą asystentkę, młodą długowłosą Juanitę Alvarez. Nina podejrzewała, że jej głównym zadaniem, poza prowadzeniem samochodu, było chodzenie za szefem i olśniewanie wyglądem.

Bardziej niż pasażerowie na gapę martwili ją jednak czterej żołnierze w pierwszym jeepie. Jej prośba o zabezpieczenie wyprawy została potraktowana poważnie, ale obawiała się, że grupa uzbrojonych mężczyzn w wojskowym samochodzie może zaciekawiać napotkanych ludzi, a bardzo chciała tego uniknąć. Wyjaśnienia Zendera, że wojskowi są niezbędni, by bronić ich przed terrorystami działającymi w tej prowincji, nie poprawiły jej nastroju.

Na razie Nina zapomniała jednak o problemach i zachwycała się okolicą. Trzy terenówki jechały długą, bujnie porośniętą doliną. Drzewa były niższe od tych, które widzieli wokół Paititi – wychwytywały wilgoć z powietrza i schodzących chmur, zamiast czekać na deszcz – ale równie olśniewająco zielone w górskim słońcu. Rzeka, która przebiła się tu przez Andy, płynęła piętnaście metrów poniżej drogi, na dnio wąwozu, ale zbrocze, na które właśnie wjeżdżali, było na tyle szerokie, że nie musieli się obawiać stromego spadku.

Warunki wkrótce miały się zmienić. W oddali Nina widziała brązową nitkę drogi wspinającą się po stromych górskich zboczach. Plamy szarości wyglądające, jakby ktoś tu i ówdzie zeszkrobał pokrywającą je zieloną farbę, wskazywały miejsca, gdzie niedawno doszło do osunięć.

– Parę dni temu mówiłeś o drogach śmierci. Czy naprawdę tak się je nazywa? – spytała Eddiego.

– Niestety, tak. Jechałem kiedyś taką na Filipinach i byłem kurewsko przerażony! Głupi kierowcy mogą być bardziej niebezpieczni niż nieprzyjacielski ostrzał. Na takich drogach w najszerszych miejscach dwa samochody ledwie mogą się minąć.

– A w najwęższych? – spytał Kit, który razem z Macy siedział w drugim rzędzie miejsc.

– Ledwo starcza miejsca dla jednego samochodu. Problem w tym, że inni kierowcy i tak próbują się precyzyjnie, bo nikomu nie chce się cofać o kilkaset metrów. A już najśmieszniej jest, jak z przeciwka jedzie autobus albo ciężarówka – kierowcy uważają, że skoro są więksi, to wszystko im wolno i jadą prosto na ciebie, nawet nie zwalniając.

– Wiecie, co – odezwał się Mac siedzący w ostatnim rzędzie, obok Osterhagena – chyba się zdrzemnę, dopóki nie dotrzemy na miejsce. Jakbyśmy spadali w przepaść, postarajcie się nie obudzić mnie swoimi wrzaskami, co?

– Dobrze, że nie ma dużego ruchu – zauważył Niemiec. – Nie powinniśmy mieć żadnych prob...

Konwój właśnie wyjechał zza zakrętu, i jeep ostro zahamował. Eddie na wszelki wypadek



zachowywał spory odstęp i udało mu się stanąć nissanem trzy metry za wojskowym samochodem. Jadąca za nim Juanita była mniej przewidująca i zatrzymała się na tylnym zderzaku patrola.

Kierowca autobusu jadącego z przeciwka spojrział na stojące terenówki spode łba.

– Nikomu nic się nie stało? – spytał Eddie, a kiedy upewnił się, że wszyscy są cali, spojrział w stronę Osterhagena. – Mówił pan coś, doktorze?

Niemiec zdążył już dojść do siebie.

– Miałem właśnie powiedzieć, że kiedy minimy następną wioskę, która jest ostatnim osiedlem w promieniu czterdziestu kilometrów, nie powinno być żadnych problemów.

– Jasne, że nie, Leonardzie – rzuciła drwiąco Nina.

Na półce przy tablicy rozdzielczej leżała krótkofalówka zapewniająca łączność z pozostałymi samochodami. Słuchawka zaskrzeczała.

– Ej, uważaj, jak jedziesz – odezwał się głos Zendera. – Mogłeś uszkodzić moje auto.

– Zaraz uszkodzę mu twarz – mruknął Eddie, biorąc do ręki radio. – Mam propozycję. Możemy zachować większy odstęp i jechali trochę wolniej?

– Juanita potrafi prowadzić – odpowiedział jego rozmówca z irytacją. – A teraz ruszajcie!

– Czy ktoś miałby coś przeciwko, gdyby on spadł w przepaść? – spytał Chase, kiedy autobus w końcu precyzyjnie się obok konwoju. Nikt nie zgłosił sprzeciwu. Jeep ruszył, Anglik pojechał za nim, terenówka Zendera wystartowała z szarpnięciem.

Jakieś pięć minut później zobaczyli wioskę – skupisko rozpadających się chat ustawionych bez ładu i składu po obu stronach drogi. Kierowca jeepa zatrąbił, żeby spłoszyć chudą kozę blokującą mu przejazd. Dźwięk klaksonu przyciągnął zaciekawione spojrzenia mieszkańców. Kiedy zwierzę zeszło z drogi, jeep ruszył. Eddie już miał pojechać za nim, kiedy Osterhagen nagle podskoczył na siedzeniu.

– Eddie, zatrzymaj samochód! – krzyknął, wskazując na coś. – Popatrz, tam!

Długi omszały kamień wystawał z ziemi jak olbrzymi uniesiony palec.

– O co chodzi? – spytała Nina.

Niemiec wyskoczył z nissana, zanim Eddie zdążył zatrzymać wóz.

– To *huaca*! Jednym z ostatnich symboli na mapie przed El Dorado był szczególnie rodzaj *huaca*. Ten kamień – dodał podekscytowany, wskazując na swoje znalezisko – jest prawie identyczny, jak *huaca* przy Szlaku Inków. I oznaczony w ten sam sposób!

Nina podeszła bliżej. Trzecia terenówka też się zatrzymała.

– Myślisz, że jesteśmy prawie na miejscu?

– Jestem pewien! – Osterhagen spojrział na rozciągającą się przed nimi dolinę. – Zostało już tylko kilka kilometrów!

– Dlaczego się zatrzymaliśmy? – spytał Zender przez opuszczoną szybę.

– Sprawdzamy położenie – wyjaśniła Nina. – Doktor Osterhagen uważa, że jesteśmy blisko celu.

Zniecierpliwiona mina urzędnika zmieniła się w uśmiech aprobaty.

– Bardzo dobrze. Doktorze, proszę prowadzić nas dalej!

Teraz to Eddie się zniecierpliwiał.

– Skończyliśmy?

– Tak – odpowiedziała Nina, wsiadła z Osterhagenem do samochodu i nissan ruszył w dalszą drogę. Terenówka Zendera pojechała za nim.

Obdarty mężczyzna z petem między zębami wyszedł z jednej z chat i przyjrzał się przejeżdżającemu konwojowi. Szczególną uwagę zwrócił na nissana i na rudą kobietę na siedzeniu pasażera. Kiedy samochody opuściły wioskę, zgasił papierosa i wyjął telefon komórkowy.

Za wioską droga stała się bardziej stroma, a wzniesienie, po którym prowadziła, węższe. Wąwóz wyłobiony przez rzekę miał już ponad trzydzieści metrów głębokości i spadek stawał się coraz większy, w miarę jak posuwali się naprzód. Droga nie tyle biegła przez góry, co kurczowo się ich trzymała.

Konwój zwolnił, kiedy dotarł do zakrętu. Z krawędzi klifu wystawało w tym miejscu kilka grubo ciosanych drewnianych krzyży.

– Co to takiego? – nerwowo spytała Macy.

– Miejsce, gdzie ludzie spadli w przepaść – wyjaśnił Eddie, starając się pokonać zakręt. – Wąskie drogi, źli kierowcy i stare samochody z niesprawnymi hamulcami to kiepskie połączenie.

– Żałuję, że zapytałam – stwierdziła kobieta i przesunęła się na siedzeniu jak najdalej od krawędzi. – Nie mogliśmy polecieć helikopterem?

– To raczej nie zmieściłoby się w budzecie Peruviańczyków – przypomniała jej Nina.

– Ja bym za to zapłaciła! Mam pieniądze!

Pozostali pasażerowie nissana wybuchnęli śmiechem. Samochód wyjechał zza zakrętu.

Zgodnie z przewidywaniami Eddiego, w dolinę schodziła mgła. Coraz głębszy wąwóz zniknął za białą zasłoną. Perspektywa upadku w przepaść była przez to jeszcze bardziej przerażająca – teraz nie sposób było domyślić się, jak długo trwałby lot.

Wyżej położone miejsca były jednak wyraźnie widoczne.

– Czy to wodospad? – spytał Kit, patrząc przed siebie.

W zbczku wzgórze widniało wielkie osuwisko – rośliny i ziemia zostały wyrwane, odsłaniając znajdującą się pod spodem nagą skałę. Wyrwa zaczynała się na szczycie wzniesienia ponad sto metrów nad drogą, a kończyła na dole, gdzieś we mgle. Środkiem odsłoniętego miejsca płynął niewielki wodospad, który przecinał drogę. Zdziwiona Nina sprawdziła mapę i zdjęcia satelitarne.

– To nie było nigdzie oznaczone.

Eddie zwolnił.

– Widocznie doszło do osunięcia. Gdzieś tam na górze rzeka musiała wystąpić z brzegów.

Droga była zasypana gruzem. Jej powierzchnię, już przedtem nierówną, pokrywały kawałki skały i rudawa ziemia. Okoliczni mieszkańcy utorowali przejazd, spychając część przeszkód z klifu, jednak droga stała się w tym miejscu niebezpiecznie wąska.

Żołnierze jadący jeepem też to zauważyli – trzech wojskowych wyskoczyło z samochodu i trudny odcinek miał pokonać sam kierowca. Nina gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy samochód dotarł do wodospadu i ześliznął się w bok w miejscu, gdzie płynąca woda zamieniła ziemię w miękkie błoto – ale kierowca szybko dodał gazu i terenówka ruszyła dalej naprzód, bryzgając błotem spod kół. Kiedy samochód minął niebezpieczne miejsce, żołnierze pobiegli za nim.

– Teraz my – radośnie stwierdził Eddie. – Załoga z wozu. Nina, ty zostajesz.

– Jak to? Dlaczego? – zaprotestowała kobieta, kiedy pozostali pasażerowie wysiadali z auta.

– Obiecaliśmy sobie wierność, dopóki śmierć nas nie rozłączy, a ten moment może być już bliski. No co ty, żartowałem – dodał, widząc, że jego żonie nie jest do śmiechu. – Chciałbym, żebyś wyglądała przez okno po twojej stronie i mówiła mi, jak daleko jesteśmy od krawędzi.

– Za blisko – odrzekła Nina, zanim samochód ruszył. – Zdecydowanie za blisko!

– Bardzo, kurwa, śmieszne. No dobra, jedziemy...

Nissan był znacznie szerszy niż jeep i koła po stronie Niny o centymetry mijaly krawędź, która niepokojąco osuwała się pod ciężarem terenówki. Grudki ziemi spadały w dół stromego zbocza. Kobieta zauważyła powykręcane drzewko, któremu udało się utrzymać na skalnym występie poniżej drogi, odcinające się na tle zamglonej przepaści. Widok przyprawiał ją o zawrót głowy, więc skupiła się na skrawku drogi pomiędzy kołami a krawędzią klifu.

– Dwadzieścia centymetrów, dwadzieścia, dziesięć – ej! Minus trzy.

Eddie odbił w bok najbardziej jak mógł, starając się trzymać kolein wyżłobionych przez poprzednie pojazdy.

– Tak lepiej?

– Powiedzmy.

Dotarli do wodospadu. Woda zabębniła o dach. Nina, która przez cały czas wychylała się przez okno, syknęła, kiedy oblała ją piana, ale nissan brnął dalej przed siebie i po chwili pokonał osuwisko.

– Bułka z masłem – stwierdził Eddie. – I nawet udało nam się nie zamoczyć! No, przynajmniej mnie. – Przemoczona Nina spojrzała na niego wściekle.

Pasażerowie nissana wsiedli z powrotem do samochodu i przeszkodę pokonała ostatnia terenówka. Zender nie zachował się rycersko – odstąpił siedzenie pasażera Cruzado, który został nawi-

gatorem Juanity. Kobieta również przejechała bezpiecznie i konwój ruszył w dalszą drogę. Kolejnych emocji dostarczył im następny nieogrodzony zakręt, także oznaczony krzyżami, kiedy jadąca z przeciwka półciężarówka uznała, że kto pierwszy, ten lepszy, i zjechała na wewnętrzny pas. Terenówki musiały wyminąć ją od zewnętrznej strony. Niedługo potem dotarli do pierwszego na tym odcinku elementu infrastruktury drogowej: krótkiego drewnianego mostu nad rozpadliną.

– Jesteśmy coraz bliżej – powiedziała Nina przez radio, kiedy znalazła to miejsce na mapie.  
– Zostało niewiele ponad kilometr.

Jej słowa wywołały nastrój radosnego oczekiwania. Mgła podnosiła się coraz wyżej, droga stała się jeszcze węższa, a zbocze tak strome, że krótki odcinek drogi, którego nie dało się przeprowadzić w żaden inny sposób, został w nim wyrąbany. Samochody musiały przejechać pod tysiącami ton wiszącej skały, ale dalej trasa znów stała się szersza. Po kolejnych kilku zakrętach zobaczyli cel podróży.

– To rozumiem – rzucił Mac z zachwytem. Widoczny przed nimi szeroki wodospad był bardziej imponujący niż ten, który mijali po drodze, i spadał ponad sześćdziesiąt metrów w dół po pionowym klifie. Jego podstawa ginęła w dżungli. Woda wyłobila głęboką nieckę w zboczu wzgórza. Każdy jej centymetr kwadratowy porastały rośliny. Powyżej klifu przez mgłę prześwitywały wysokie szczyty. Rzeka zasilająca wodospad płynęła przez wąską dolinę pomiędzy nimi.

– To tutaj – oznajmiła Nina i przekazała informację przez radio do pozostałych samochodów. Żołnierze zjechali z drogi i skierowali się w głąb lasu. Jeep jeszcze przez kilkaset metrówjechał ostro pod górę, manewrując między drzewami, później gęsta roślinność zablokowała mu drogę. Pozostałe terenówki zatrzymały się za wojskowym wozem.

Wszyscy członkowie wyprawy wysiedli, ciesząc się z zakończenia tej szalonej jazdy. Nina przeciągnęła się i rozejrzała wokół. Wodospad zasłaniały teraz korony drzew, ale wiedziała, że nie trudno będzie go znaleźć – wystarczyło kierować się w stronę, skąd dobiegał huk wody.

Zauważyła, że Mac niepewnie stąpa po nierównym terenie.

– Wszystko w porządku?

– Potrzebuję tylko podpórki – odpowiedział Szkot z uśmiechem. – A oto i ona. – Podniósł ułamaną gałąź, postukał nią w pień drzewa, żeby strząsnąć ziemię, i oparł się na niej. – Proszę bardzo. Laska jak się patrzy.

– Zwiąż razem jeszcze kilka takich patyków, to będziesz miał balkonik – zażartował Eddie. Mac pogroził mu kijem.

– Eddie, wolisz dostać w tyłek czy w głowę?

– Spokojnie, chłopaki – poprosiła rozbawiona Nina, po czym zwróciła się do Osterhagena. – No dobrze, Leonardzie, czego szukamy?

Niemiec wyjął z teczki zalaminowane powiększenia zdjęć mapy z Paititi.

– Najpierw trzeba znaleźć wodospad. Jeśli malowidło było dokładne, ruiny powinny znajdować się obok niego.

Podszedł Zender. Juanita trzymała się krok za nim.

– To tutaj? Znaleźliśmy to miejsce?

– Jeszcze nawet nie zaczęliśmy go szukać – upomniała go Nina. – Do wodospadu trzeba trafić na słuch. Potem rozejrzemy się po okolicy.

Żołnierze zostali przy jeepie, a pozostali członkowie ekspedycji ruszyli w górę przez dżunglę. Huk spadającej wody stawał się coraz głośniejszy, a po chwili, kiedy wynurzyli się z zarośli, zobaczyli jego źródło.

– To wygląda... o rany – westchnęła Macy.

– Owszem – zgodziła się z nią Nina.

Z bliska wodospad wyglądał jeszcze bardziej spektakularnie niż z drogi. Strumień wody, szeroki na prawie trzydzieści metrów, spadał z dużego, niemal pionowego klifu, z hukiem rozbijając się na popękanych głazach u jego podnóża. Piana wirowała w niecce wyłobionej w skale, tworząc tęcze lśniące w słońcu. Woda płynęła dalej w głąb lasu szerokim, wartkim strumieniem.

Osterhagen porównał widok z jednym ze zdjęć.

– Wygląda całkiem jak na mapie, prawda?

– Bardzo podobnie – przyznała Nina. Malowidło było wprawdzie stylizowane, ale wyraźnie przedstawiało charakterystyczne cechy terenu.

– Skoro tak, to gdzie jest zagubione miasto? – spytał Eddie.

– Podejźmy bliżej, dobrze? – zaproponowała Nina, prowadząc grupę bliżej wody. – Według mapy z Paititi miasto powinno leżeć po tamtej stronie wodospadu. Rozdzielmy się i sprawdźmy klify.

Eddie przyjrzał się spadającej wodzie.

– Naprawdę myślisz, że to tutaj?

– To możliwe. Czuję to.

Wyglądało jednak na to, że intuicja ją zawiodła – poszukiwania nie przyniosły efektu. Na klifach nie było złotych miast ani zagłębień czy jaskiń, które mogłyby do nich prowadzić. Rozczarowani członkowie ekspedycji spotkali się z powrotem przy niecce.

– Nie rozumiem – powiedział niepocieszony Osterhagen. – Wszystko jest tak, jak na malowidle z Paititi. Co nam umknęło?

– Nic tu nie ma – skwitował rozgoryczony Zender.

Nina straciła cierpliwość do peruwiańskiego urzędnika.

– Jeszcze nie skończyliśmy. Na początek trzeba poszukać po drugiej stronie wodospadu.

A za samym wodospadem też może być przejście.

– Można to łatwo sprawdzić – zauważył Eddie. Podniósł kamień i rzucił w spadającą wodę. Przez huk wodospadu przebił się stuk skały o skałę. – W tym miejscu jest lita ściana. – Podniósł kolejny kamień i rzucił go wyżej. – A w tym...

Drugi kamień w ciszy zniknął za wodospadem.

– ...nie – urwał zaskoczony. – Coś podobnego. A ja chciałem się tylko ponabijać!

– Za wodospadem jest jaskinia? – spytał Mac.

– To możliwe... – odpowiedziała zamyślona Nina, przyglądając się wodzie.

Eddie rzucił kolejny kamień na tę samą wysokość, co poprzednio, ale nieco w bok. I tym razem nie usłyszał stuku.

– Otwór ma szerokość co najmniej dziesięciu metrów – stwierdził i schylił się po kolejny kamień.

Nina położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nie męcz ręki, skarbie. Możemy to sprawdzić w prostszy sposób.

W ekwipunku ekipy znajdował się laserowy dalmierz, który Nina zamówiła z Agencji. Używanie wyników pomiaru trwało dość długo – urządzenie było przystosowane do pracy w deszczu, ale nie do przebijania się przez strumień wody. Odczyt przez cały czas się zmieniał w zależności od tego, jak woda rozpraszała światło lasera. Doktor Wilde nie potrzebowała jednak dokładnych wyliczeń – chciała sprawdzić, czy promień odbije się od klifu, czy nie.

Osterhagen stał obok niej podczas pomiarów i szkicował ich wyniki. Okazało się, że za wodospadem istotnie jest otwór, i to dość duży. Wylot jaskini miał szerokość około dwudziestu metrów i wysokość ponad dziesięciu, a jego najniższy punkt znajdował się piętnaście metrów nad niecką.

Wysokość ta była stała – otwór miał nieregularne brzegi, ale jego podstawa była płaska.

– To musi być dzieło człowieka.

– Mogły się tak ułożyć warstwy skały – rozważał Niemiec, ale było jasne, że sam nie wierzy w to, co mówi.

Eddie przyjrzał się rysunkowi.

– Ciężko będzie się tam dostać. Można wspiąć się na taką wysokość obok wodospadu, ale trzeba przedostać się przez niego, a bez porządnych zabezpieczeń taka ilość wody zbije z nóg każdego. To robota dla doświadczonego wspinacza.

– Ja uprawiałem wspinaczkę – oświadczył Cruzado. Członkowie ekipy spojrzeli na pulchnego Peruwiańczyka w średnim wieku. – Jakiś czas temu – przyznał.

Nina dalej mierzyła klify.

– Może nie będzie trzeba wspiąć się aż tak wysoko – powiedziała, wskazując punkt w połowie szerokości wodospadu, położony znacznie niżej. – Tam jest kolejny otwór.

– Ten jest mniejszy – zauważył Osterhagen, obserwując kolejne pomiary i nanosząc wyniki na szkic. Otwór znajdował się około sześciu metrów nad podstawą wodospadu.

Nina przesunęła dalmierzem w przód i w tył.

– Zdaje się, że prowadzi do niego półka skalna. Ktoś mógłby się tam wspiąć i wejść za wodospad.

– Ktoś – zaczął Eddie z westchnieniem – czyli ja?

– Zgłosiłbym się na ochotnika – oznajmił Mac – ale sam rozumiesz... – Postukał laską w protezę. Zagrzechotały plastik i metal.

– Dasz radę, Eddie? – spytała Nina. – To znaczy, wystarczy ci sprzęt do wspinaczki, który przywieźliśmy, czy mamy wracać do miasta po więcej?

– Chyba sobie poradzę – uznał Chase. – Wolę zaryzykować, niż jechać z powrotem tą cholerną drogą! – Przyjrzał się wodospadowi i rysunkowi Osterhagena, oceniając odległość. – Liny nam wystarczy, więc... tak, myślę, że dam radę. Wbiję kołki i zaczepię o nie linę.

– Żebyśmy później mogli przejść?

– Żebym ja miał jak wrócić. To tylko sześć metrów w dół, ale wolałbym nie skończyć w tej niecce. Pełno tam ostrych skał. – Ostatni raz przyjrzał się klifowi i skinął głową. – Dam radę. Chodźmy po sprzęt.

Eddie, Nina i Macy wrócili do samochodów. Czterej żołnierze pilnowali konwoju, paląc papierosy. Wyglądali na znudzonych, ale szybko się ożywili, kiedy Macy opowiedziała im o odkryciu. Najwyższy rangą, młody porucznik nazwiskiem Echazu, postanowił towarzyszyć grupie w drodze do wodospadu – rzecz jasna tylko po to, by zbierać informacje dla przełożonych, nie by uczestniczyć w sensacyjnym odkryciu. Kolejny żołnierz, w randze kaprała, przekonał go, że do sporządzenia pełnego raportu przyda się druga para oczu. Pozostali dwaj mężczyźni, szeregowcy, z rozczarowaniem przyjęli rozkaz pozostania na miejscu i pilnowania samochodów.

Wraz z żołnierzami wrócili nad wodospad. Mac i Osterhagen obejrzelili jego podstawę – mieli nadzieję, że zobaczą, co kryje się za strumieniem, ale woda i piana zupełnie zasłaniały widok.

– To chyba najprostsza droga w górę – powiedział Mac do Eddiego, wskazując fragment skalnej ściany.

– Tak, nie powinno być za ciężko – przytaknął Chase, a potem przyjrzał się starszemu mężczyźnie. – Szukałeś sobie wygodnej trasy?

– No jasne! Jeśli El Dorado naprawdę jest ukryte za tym wodospadem, nie będę tu stał z założonymi rękami, kiedy wy z Niną będziecie je podziwiać. Też chcę zobaczyć to miejsce.

– Jeśli faktycznie coś tam jest.

– Musi być – stanowczo stwierdził Osterhagen. – Wszystko się zgadza. Mapa z Paititi, kipu, szlak *huacas*. To miejsce, którego szukaliśmy.

– Zaraz się przekonamy – powiedziała Nina, wyczekująco patrząc na męża.

– Znowu dałem się zrobić – mruknął Chase. – W porządku, skoro nalegasz, pójdę tam i znajdę ci kolejny cud świata – dodał, wyszczerzył zęby w uśmiechu, zebrał sprzęt i podszedł do podnóża klifu.

Wspinaczkę zaczął zaledwie trzy metry od krawędzi wodospadu, więc już po chwili był przemoczony od piany. Mac miał rację – droga w górę była prosta. Już po minucie znalazł się na wysokości skalnej półki, która okazała się bardzo wąska. Eddie wbił w skałę kołek, przyczepił do niego karabińczyk i przeciągnął przez niego linę, którą zabezpieczył węzłem. Zarzucił zwój liny na ramię, obrócił się twarzą do skalnej ściany i ruszył bokiem po półce.

Droga była ukryta pod niewielkim nawisem, ale i tak strumień wody spadał na jego plecy. Chase wciskał palce w pęknięcia w skale, i mocno się ich trzymając, ostrożnie posuwał się do przodu.

Po około dziesięciu metrach klif nieco się wybrzuszał, a dalsza droga biegła pod strumieniem wody. Chase próbował sprawdzić, czy półka ciągnie się po drugiej stronie występu, ale woda i piana zasłaniały widok. Trzymając się jedną ręką, wyjął kolejny kołek i, ostrożnie przytrzymując go kciukiem, wbił w skałę. Przypiął karabińczyk i przeciągnął przez niego linę. Kiedy upewnił się, że wszystko trzyma się mocno, wziął kilka głębokich oddechów, chwycił się skały i wszedł pod wo-

dospad.

Woda uderzyła go z pełną mocą. Omal nie odpadł od klifu i nie wylądował na poszarpanych głazach na dole. Oślepiiony, bez tchu, przyciskał klatkę piersiową do skały i po omacku posuwał się naprzód. Wybrzuszenie było dość wąskie. Udało mu się wymacać za wodospadem wolną przestrzeń. Mocno przywarł do skały i prześliznął się na drugą stronę.

Przemoczony do suchej nitki, strząsnął wodę z twarzy, uspokoił oddech i wbił kolejny kołek. Trzymając się liny, obrócił się w miejscu i zajrzał za wodospad.

Widok zupełnie go zaskoczył.

– A niech mnie...

Radio Niny zaskrzeczało, po chwili dał się słyszeć głos Eddiego, zagłuszany przez huk wodospadu.

– Nina, jesteś tam?

– Eddie! Wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest. Tylko przemokłem, cholera, do suchej nitki.

– Co widzisz? Czy w klifie jest otwór?

– Nie.

– Jak to, nie ma otworu? – spytała rozczarowana.

– Otwór jest. Nie ma klifu.

Zdumieni członkowie grupy spojrzeli po sobie.

– Co masz na myśli?

– To nie klif, tylko mur.

Eddie patrzył z niedowierzaniem. Za wodospadem panował półmrok, ale nawet przy stłumionym świetle łatwo było dostrzec olbrzymi mur. Podobnie jak budynki w centrum Paititi, był zbudowany ze starannie wyciętych bloków, dopasowanych do siebie z niesamowitą precyzją. Około dziesięciu metrów wyżej znajdował się jego szczyt – pozioma linia przecinająca nieregularny wylot jaskini. Chase stwierdził, że wygląda to jak blanki, a niemal pionowa, niezwykle gładka powierzchnia uniemożliwia wejście do środka.

Chyba że skorzysta się z wejścia leżącego dalej przy skalnej półce.

Wskazania dalmierza okazały się prawidłowe. W skale znajdował się drugi, znacznie mniejszy otwór. Eddie przyjrzał mu się podejrzliwie. Był wysoki na półtora metra i szeroki na metr dwa-dzieścia i nie wyglądał na zagroźony. Prosta, kuszająca droga do środka.

Zbyt prosta. Zbyt kusząca. Inkowie nie zostawiliby w olbrzymim murze obronnym otworu, przez który mógłby wejść pierwszy lepszy poszukiwacz skarbów. Musiał w tym być jakiś haczyk.

– Jak to mur? – spytała Nina przez radio.

Opisał swoje znalezisko i poszedł dalej wzdłuż skalnej półki.

– Zajrzę przez wejście – poinformował, podchodząc bliżej. Kiedy oparł się ręką o skalną ścianę, na jego dłoń spadł wąski strumień wody – nie z wodospadu, a z niewielkiego otworu nad przejściem. W pobliżu znajdowały się inne podobne otwory. – Zdaje się, że za murem też płynie woda. Właśnie przeszedłem pod otworem odwadniającym. Mam nadzieję, że nikt tam już nie mieszka. Wkurzyłbym się, gdyby wylądowały na mnie czyjeś siki.

– Przynajmniej mógłbyś od razu się wykapać – zauważyła Nina. – Jak daleko jesteś od wejścia?

– Zaraz tam będę. – Ostatnich kilka metrów przeszedł bokiem i ostrożnie zajrzał w głąb otworu.

Nic z niego nie wyskoczyło, nie zobaczył też żadnych pułapek. Kamienny korytarz wyglądał na pusty, miał długość około trzech metrów i kończył się ścianą. Eddie wyjął latarkę, przykucnął i zaświecił do środka. Zauważył, że na końcu tunelu biegnie pionowy szyb. Dokąd mógł prowadzić?

– No dobra – westchnął, kiedy opisał Ninie i pozostałym znalezione miejsce. – Wygląda na to, że przejście jest czyste, ale coś mi tu nie gra. Czy Inkowie często stosowali pułapki?

Osterhagen odezwał się przez radio.

– Inkowie nie znali koła, więc nie byli w stanie budować skomplikowanych mechanizmów. Ale w niektórych ruinach znaleziono proste pułapki – potykacze, spadające kamienie...

– Świetnie. To właśnie chciałem usłyszeć.

Tym razem odezwała się Nina.

– Eddie, nie ruszaj się stamtąd. Idę do ciebie.

– Nie dam rady ci tego wyperswadować, co? Tak myślałem – rzucił zrezygnowany, zanim jego żona zdążyła odpowiedzieć. – Ale załóż coś przeciwdeszczowego.

Kobieta dotarła na miejsce po dziesięciu minutach. Posuwała się po półce, mocno trzymając się liny. Była przemoknięta do suchej nitki, chociaż narzuciła na siebie nylonowe ponczo z kapturem.

– Do licha – burknęła, podchodząc do męża – to miało być wodoodporne.

– Nawet gdybyś od stóp do głów wcisnęła się w lateksowe wdzianko, i tak gdzieś dostałaby się woda – odpowiedział Chase. – Zobacz, tak to wygląda. – Zaświecił latarką w głąb tunelu. – Czekać na ciebie, zajrzałem do środka. Na tylnej ścianie, na wysokości jakichś dwóch metrów, jest skalna półka, a nad nią kolejna. Rzuć na to okiem. – Schylił głowę, ostrożnie wszedł do środka i odwrócił się bokiem, żeby Nina mogła stanąć obok niego. – Co myślisz?

– Myśle... że mi się to nie podoba.

Wyglądało to jak schody prowadzące w górę – nie była w stanie zajrzeć zbyt wysoko, ale widziała co najmniej trzy kolejne skalne półki. Aby dostać się na górę, trzeba było chwycić za krawędź kolejnego stopnia, wciągnąć się na niego i powtórzyć to samo na kolejnej półce. Dla kogoś tak niskiego jak ona, byłoby to trudne, ale jak najbardziej wykonalne.

Martwiło ją co innego. Ze ściany naprzeciwko stopni wystawały kolce.

Pierwszy rząd zaczynał się zaledwie trzydzieści centymetrów nad jej głową. Delikatnie dotknęła jednego kolca. Zebrany przez wieki brud stał się pod jej palcem, odsłaniając metal.

– O mój Boże. To srebro. Wszystkie są z czystego srebra.

– Srebro? – powtórzył Eddie. – Ale tu są tego dziesiątki, albo i setki. Te kolce muszą być warte majątek!

– A to tylko zabezpieczenia. Pomyśl, jakich skarbów muszą bronić. – Postukała palcem w czubek kolca. – Au! Do tego wciąż są ostre.

– Ale kiepska z nich pułapka. – Chase przechylił się przez pionowy szyb i dotknął jedną ręką tylnej ściany. – Tu jest mnóstwo miejsca. Trzeba być bardzo niezdarnym albo bardzo grubym, żeby wpaść na nie podczas wspinaczki. Może kolce się poruszają? – Sprawdził mocowanie srebrnego prętu, którego dotykała Nina. Kolec mocno tkwił w ścianie. – Muszą do czegoś służyć. Inaczej by ich tu nie umieścili.

– Mieli się na nie nabijać intruzi spadający w dół szybu. – Rzędy kolców były skierowane ku górze. – Albo zepchnięci.

– Myślisz, że coś wyskakuje ze ściany?

– Może. Nie wiem. Ale to jedyna droga w górę.

Eddie zaświecił latarką w górę szybu.

– Zajrzę na następny poziom – powiedział, wychodząc z niskiego tunelu i prostując plecy. – Odsuń się. Tak na wszelki wypadek.

Nina niechętnie się cofnęła. Eddie skierował promień światła z latarki na krawędź biegnącej powyżej skalnej półki. Nie zauważył luźno zamocowanych kamieni, które mogłyby uruchamiać pułapkę. Chciał jeszcze sprawdzić, czy na półce nie ma wyjątkowo paskudnych siodeł, na przykład małych kolców zamontowanych tuż za krawędzią, więc podskoczył, szukając wzrokiem błysku metalu. Niczego nie zauważył.

Podskoczył jeszcze raz, tym razem chwytając obiema rękami krawędź półki. Przez chwilę zwiślał z niej, nasłuchując niepokojących odgłosów, jednak słyszał tylko huk wodospadu.

– Widzisz coś? – zawołała Nina.

– Właśnie patrzę... – Wciągnął się na górę. Kamienna półka miała metr dwadzieścia długości i niecały metr szerokości. Była pokryta kurzem, ale poza tym pusta. – Tu jest czysto. – Stała na stopniu.

Nina przyglądała się, jak oświetla latarką ściany i kolce.

– Nic nie znalazłeś?

– Nie. – Przyjrzał się kolejnej półce. – Za to na następnym stopniu coś jest.

– Co takiego?

– Rzeźbione głowy na tylnej ścianie. – Ostrożnie wspiął się wyżej, żeby przyjrzeć się im z bliska. Wpatrywały się w niego trzy kamienne kocie pyski. – To jakieś duże koty, pantery czy coś. – Sięgnął w stronę jednej z rzeźb...

– Eddie, nie dotykaj ich! – krzyknęła Nina.

Zatrzymał rękę kilka centymetrów od kociego łba.

– O co chodzi?

– Na mapie w Paititi były trzy jaguary. Strzegły wejścia do zaginionego miasta. I działo się tam coś niedobrego. Daj mi radio, muszę porozmawiać z Leonardem.

Chase rzucił jej krótkofalówkę.

– Leonardzie, masz powiększenie zdjęcia El Dorado z mapy?

– Chwileczkę. – Radio zazgrzytało. Po chwili Niemiec odezwał się ponownie. – Mam.

– Dobrze. Opisz dokładnie ten fragment, na którym są trzy jaguary.

– Coś się stało? Odkryliście coś?



– Eddie znalazł jaguary, ale obawiam się, że jeśli nie będziemy uważać, to może się źle skończyć. Co przedstawia malowidło?

– No dobrze, mamy tu... trzy jaguary siedzące w rzędzie. Po lewej płynie wodospad, który porywa dwóch mężczyzn.

– Eddie, słyszałeś to? – spytała Nina, patrząc w górę. Chase skinął głową. – Czy wodospad w jakiś sposób się wyróżnia? Są przy nim jakieś przedmioty albo symbole?

– Jest... dużo drobnych kresek – stwierdził Osterhagen. – Dwadzieścia, może nawet więcej.

– Wskazują ukośnie w górę, tak?

– Zgadza się. Masz dobrą pamięć wzrokową.

– Nie, właśnie na nie patrzę. – Nina podejrzliwie przyjrzała się srebrnym prętom. – Znajdujemy się w pionowym szybie, którego ścianę pokrywają metalowe kolce.

– Czekaj – odezwał się Eddie. – A więc wodospad spływa tędy?

– Tak. I zmywa intruzów na kolce.

– Cudownie, kurwa! Schodzę na dół!

– Nie, zostań tam – powiedziała szybko Nina. – Leonardzie, poproszę Eddiego, żeby opisał, co widzi, dobrze? – Podniosła radio, żeby głos męża dobiegał do mikrofonu.

Zirytowany Chase wykrzyczał opis trzech kamiennych głów:

– Są umieszczone co mniej więcej trzydzieści centymetrów i... – przyjrzał się rzeźbom bliżej, oświetlając je latarką – ... wygląda na to, że się poruszają. Za każdą z nich znajduje się pionowa szczelina, jakby były na końcu dźwigni.

– O ile mogą się przesunąć? – spytała Nina.

– Niewiele. Może o dwadzieścia centymetrów.

Kobieta zamyśliła się, próbując porównać to, co widział Eddie, z tym, co zapamiętała z malowidła.

– Leonardzie, co znajduje się po drugiej stronie jaguarów?

– Mężczyzna wchodzący po bardzo stromych kamiennych schodach.

– Czy w tamtej części też są kolce?

– Tak.

– Czy są dwa rzędy schodów? – spytał Eddie.

Nina pokręciła głową.

– Jest tylko jedno wejście. I jest w jakiś sposób powiązane z tymi kotami. – Poprosiła Osterhagena, by opisał zwierzęta.

– Dwa pierwsze od lewej siedzą wyprostowane – powiedział Niemiec. – Ten najbardziej po prawej jest przyczajony na ziemi.

– Dwa w górę, jeden w dół – stwierdziła kobieta. – To wskazówka. Ale, podobnie jak w przypadku oznaczeń *huaca* i kipu, Inkowie uważali, że jest przeznaczona tylko dla nich i nikt inny jej nie zrozumie.

– Jeśli ty rozumiesz, to mi wytłumacz – poprosił Chase.

– Myślę, że to klucz do bezpiecznego przejścia do El Dorado. Dwa koty po lewej siedzą wyprostowane, czyli ich głowy znajdują się wysoko – dźwignie w tych miejscach mają pozostać w górze. A ten po prawej patrzy w dół, na człowieka wchodzącego po schodach.

– Czyli łeb trzeba przesunąć w dół – dokończył Eddie. – To jak zamek szyfrowy. Dwa w górę, jeden w dół i można uniknąć sesji akupunktury.

– Dokładnie. To znaczy tak myślę. Mam taką nadzieję.

– Ja też. W końcu to ja mam to przetestować, do cholery!

– Jesteś pewien? – spytała. – Możemy zawrócić i poszukać innej drogi wejścia.

– Nie. Myślę, że masz rację. Nie umieściliby tego na mapie, gdyby nie było ważne. Wszystkie inne wskazówki z malowidła się sprawdziły... – Wyprostował się. – Więc spróbujmy. Kici, kici...

Położył dłoń na rzeźbionym łbie po prawej i po chwili zdecydowanym ruchem wcisnął go w dół.

Za otworem rozległ się stłumiony zgrzyt, potem zaległa cisza. Chase zerknął w górę. W szy-

bie nie pojawiła się woda.

– Przesunąłeś rzeźbę na sam dół? – spytała Nina.

– Do oporu.

– Co teraz?

– Sprawdzimy, czy zadziałało. Zobaczmy... – Oświetlił latarką krawędź trzeciego stopnia, znajdującego się nad nim. Nie zauważył nic nadzwyczajnego. Wciągnął się na górę. Na tej półce nie było nic, a ściana, do której przylegała, była gładka i ułożona ze starannie dopasowanych bloków.

Zobaczył górną krawędź szybu i sklepienie jaskini widoczne w półmroku za wodospadem. Od sekretów Inków dzieliło go zaledwie kilka metrów.

Musiał teraz zachować szczególną ostrożność.

Jeszcze raz obejrzał czwartą półkę, szukając pułapek. Tym razem zauważył coś niepokojącego: przerwę pod kamienną płytą, z której wykonany był stopień. Była szeroka jedynie na kilka milimetrów, ale po tym, jak precyzyjnie dopasowane były poprzednie płyty, rzuciło się to w oczy. Wyjął nóż i wsunął go w wąską szparę. Ostrze nie sięgnęło do końca.

– Nina?

– Tak?

– Wyjdź na zewnątrz. Chyba znalazłem mechanizm uruchamiający pułapkę.

– Nie, zostanę tu z tobą.

– Nie zostaniesz. Jeśli coś schrzaniłem, to ja skończę nadziany na kolce, a ciebie wyrzuci na te skały pod wodospadem. Wyjdź na półkę i odsuń się kilka metrów od otworu. Tak będzie bezpieczniej. No już!

Nina niechętnie poszła tunelem. Eddie zaczął, aż wyjdzie, i jeszcze raz przyjrzał się kamiennemu stopniowi. Czy mógłby zaklinować coś w szparze? Może i tak, ale takie rozwiązanie wydawało się zbyt oczywiste.

Poza tym miał zaufanie do swojej żony. Wszystkie znalezione przez nią fragmenty układanki pasowały do siebie. Nadszedł czas, by zobaczyć pełny obraz.

Podskoczył i chwycił się krawędzi półki.

Usłyszał cichy chrzęst i poczuł, jak płyta nieznacznie się opuszcza, kiedy przerzucił na nią cały ciężar ciała...

Nic się nie stało.

Wciągnął się na stopień. Przez chwilę ogarnął go strach, kiedy kamień lekko przesunął się pod jego stopami. Jednak i tym razem nic się nie wydarzyło. Albo pułapka zdążyła się zepsuć, albo naprawdę ustawił lby jaguarów w odpowiedniej pozycji i uniknął jej uruchomienia. Faktycznie jednak była w tym miejscu pułapka. Pod płytą znajdowała się oś, na której kamień przechylał się w jedną i w drugą stronę jak huśtawka. Mechanizm miał się jednak uruchomić nie wtedy, kiedy ktoś wchodził na płytę, a kiedy stał już na niej, myśląc, że jest bezpieczny... Wtedy szybem spływała woda i splukiwała go na kolce.

– Sprytne skurczybyki – mruknął Chase, przyglądając się górnej krawędzi szybu. Nie zauważył nic niepokojącego.

Podciągnął się i wszedł do jaskini.

Z tunelu nie wyleciała woda, więc Nina domyśliła się, że Eddie uniknął pułapki. Mijały jednak minuty, a jej mąż nie dawał znaku życia. Zaczęła się niepokoić. W końcu nie wytrzymała i weszła z powrotem do tunelu.

– Eddie! – zawołała. – Eddie, słyszysz mnie?

Nie odpowiedział. Coraz bardziej zaniepokojona, zerknęła w górę szybu. Eddie zeskoczył na ziemię tuż przed nią. Pисnęła zaskoczona.

– Chodź na górę, skarbie.

– Jezu, Eddie! – krzyknęła. Po chwili, kiedy się uspokoiła, dodała: – Wszystko w porządku?

Co tak długo?

– Nic mi nie jest. Rozglądałem się tylko.

– Co jest na górze?

– A, takie tam, nic wielkiego.

– Jak to? – spytała rozczarowana. Czy to możliwe, że miasto zostało złupione, albo jeszcze gorzej – że było tylko atrapą, inkaską sztuczką? – Nie ma tam miasta? Nie widać nic wartościowego?

– A skąd mam wiedzieć? W końcu to nie ja tu jestem archeologiem. Chodź, pomogę ci wejść na górę, to sama zobaczysz. Uważaj na kolce.

Podsadził ją na pierwszy stopień, potem wciągnął się za nią. Po chwili znaleźli się przy krawędzi szybu.

– Wejdę pierwszy i wciągnę cię na górę – powiedział Chase. Wspiął się do jaskini i wyciągnął rękę do żony. – Gotowa?

Kobieta pokiwała głową i chwyciła jego dłoń. Wciągnął ją do jaskini. Nina przez chwilę stała, przyzwyczajając wzrok do półmroku, a potem zajrzała do środka.

Na chwilę odebrało jej mowę. W końcu się odezwała:

– Ty draniu!

Eddie wzruszył ramionami i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– No tak, trochę cię podpuściłem. Chciałem zobaczyć twoją minę.

W ogromnej jaskini znajdowało się zaginione inkaskie miasto. El Dorado. Legenda okazała się prawdą.

Pozostali członkowie ekspedycji dotarli do jaskini po godzinie.

– Uwaga na to – powiedział Eddie, kiedy Olmedo wspinał się po linie przewiązanej wokół głazu na szczycie szybu. W ścianie nieopodal znajdował się duży srebrny panel, bardzo przypominający wyjście dla kota w drzwiach. – To pułapka. Za klapą jest zbiornik – jeden fałszywy ruch, a kłapa się otwiera, woda spływa szybem i nadziewa cię na kolce.

Pozostali członkowie ekipy nie myśleli już o pułapce. Patrzyli oczarowani na rozciągające się przed nimi miasto. Dno jaskini wznosiło się dosyć stromo. Inkowie zbudowali El Dorado piętrami. Najwyższe z nich kryły się w cieniach. Podobnie jak w Paititi, budynki stojące najbliżej wejścia do jaskini były niewielkie, ale im wyżej, tym okazałszy stawały się zabudowania. Blisko szczytu widać było Świątynię Słońca – jej łukowate ściany wyraźnie odróżniały ją od otaczających ją kanciastych budowli. Powyżej, na samym szczycie, piętrzył się pałac.

– Muszę przyznać, Nino – powiedział Mac, zdejmując ponczo przeciwdeszczowe – to przeraża wszelkie moje oczekiwania. Ba, wszelkie moje wyobrażenia. Zdjęcia miejsc, które odkryłaś, to jedno, ale możliwość zobaczenia ich na własne oczy...

– To coś niesamowitego, prawda? – odpowiedziała. Wciąż była pod wrażeniem ogromu swego znaleziska. – Ale to nie ja odkryłam to miejsce. Gdyby nie Leonard i jego znajomość inkaskiej historii i kultury, poskładanie w całość wszystkich informacji zajęłoby nam lata, jeśli w ogóle by się udało.

Osterhagen odpowiedział równie uprzejmie.

– Nie, Nino, zrobiłaś znacznie więcej niż ja. To ty odkryłaś znaczenie kipu, a gdyby nie twoja Agencja, w ogóle by mnie tu nie było. Pomyśleć tylko, że byłem wściekły, jadąc na pierwsze spotkanie z tobą!

– Oboje dużo też zawdzięczamy Interpolowi – i Kitowi – stwierdziła Nina, patrząc na Hindusa. – To on rozpracował powiązanie pomiędzy artefaktami z czarnego rynku a figurkami.

Walizka zawierająca dwa i pół kamiennego posążka znajdowała się wśród rzeczy, które członkowie ekipy przenieśli przez wodospad.

Kit zrobił skromną minę.

– Ja tylko coś zasugerowałem. Nie miałem pojęcia, czy okaże się to prawdą.

– Dobra, czy możemy przełożyć to zebranie koła wzajemnej adoracji na inny termin? – spytał Eddie, pomagając drugiemu z żołnierzy wyjść z szybu. – Musimy jeszcze zbadać to miejsce. – Zauważył zamyśloną minę Macy. – Co się stało?

– Pomyślałam coś sobie – powiedziała kobieta, wyjmując teczkę ze zdjęciami z Paititi. – Na mapie miasto ma złoty kolor, prawda? Tak jak dysk słoneczny, który znaleźliśmy.

– Tak? – spytała Nina, zastanawiając się, do czego zmierza stażystka.

Macy wskazała ręką budynki.

– W takim razie... gdzie się podziało całe złoto?

– Może rysunek miał charakter symboliczny?

Osterhagen pokręcił głową.

– Nie, ona ma rację. Inkowie naprawdę pokrywali budynki złotem – przynajmniej te najważniejsze. Świątynia Słońca w Cuzco była obita arkuszami złotej blachy. Należały do pierwszych rzeczy, jakie złupili i przetopili Hiszpanie.

Wszystkie oczy zwróciły się na opuszczone miasto. Mimo półmroku, wyraźnie było wydać, że zostało zbudowane wyłącznie z kamienia, nawet na świątyni i pałacu nie było śladu złota.

– Może ktoś znalazł to miejsce przed nami? – spytał Cruzado.

– Nie – stanowczo zaprzeczyła Nina. – Tak znaczącego odkrycia nie dałoby się utrzymać w tajemnicy. Konkwistadorzy chętniliby się nim jako wielkim zwycięstwem nad Inkami, a żaden łowca skarbów nie oparłby się pokusie pochwalenia się takim znaleziskiem. Poza tym spójrzcie tyl-

ko. Miasto jest w zasadzie nietknięte. Jeśli ktoś je złupił, to zrobił to w bardzo zorganizowany sposób.

Miała rację. W przeciwieństwie do ruin Paititi, w których rosące rośliny, gorący klimat i owady pozostawiły wyłącznie nagie ściany, tutaj większość budynków wciąż miała dachy. Zaplecione z liści strzechy nie oparły się upływowi czasu, ale podtrzymujące je krokwie nadal tkwiły na swoich miejscach.

– W takim razie – zarządził Zender – musimy zbadać miasto i znaleźć skarby pozostawione w nim przez Inków. – Zrobił pauzę, a potem dodał mniej pewnym głosem: – Czego szukamy?

– Niewyobrażalnych bogactw – odparł Osterhagen uroczystym tonem i uśmiechnął się do Niny, która odpowiedziała uśmiechem. Niemiec wskazał szczyt wzgórza. – Na mapie z Paititi PUNCHACO znajdowało się w Świątyni Słońca, a ostatni fragment figurki doktor Wilde – w pałacu cesarskim. Zaczniemy od góry.

– Czekam na twój sygnał – odpowiedziała Nina.

Grupa ruszyła pod górę. Budowniczości miasta mieli do dyspozycji niewielką przestrzeń, więc strome uliczki były jeszcze węższe i jeszcze bardziej kręte niż w Paititi.

– Trzeba było zabrać łaskę – jęknął Szkot.

– Chyba byłoby szybciej pójść po dachach – zauważył Eddie, spoglądając na ciągnące się po obu stronach ulicy zabudowania. – No i nie zamoczylibyśmy wtedy nóg – dodał, rozchlapując płynący pod nogami strumień.

– Moje są już tak mokre, że bardziej się nie da – ponuro oznajmiła Nina. Spojrzała wzdłuż strumyczka, żeby sprawdzić, dokąd prowadzi. Okazało się, że wpada do zbiornika połączonego z pułapką.

Osterhagen zatrzymał się przy niskim budynku.

– Co to takiego? – spytała Nina.

Niemiec oświetlił wnętrze latarką.

– Grobowiec. Spójrz. – Kobieta zerknęła do środka i zobaczyła ciasno ułożone kształty. – To mumie.

Ninę przeszedł dreszcz na ten widok. W przeciwieństwie do tradycyjnych mumii egipskich, układanych płasko i w całości owiniętych bandażami, mumie inkaskie były ciasno zawinięte w całun jak w kaftan bezpieczeństwa, ale miały odsłonięte głowy. Mumia patrzyła na nią oczodołami zapadniętymi w suchej, żółtawej twarzy, szczerząc zęby zza pomarszczonych warg. Za nią, ułożone w sterty, widniały kolejne ciała.

Macy zajrzała Ninie przez ramię i od razu tego pożałowała.

– Ohyda. Będzie mi się to śnić po nocach. Ile ich tu jest?

Nina spojrzała na wzgórze i zauważyła, że cała dzielnica zagubionego miasta zabudowana jest małymi mauzoleami.

– Dziesiątki, a nawet setki.

– A skarby?! – zawołał Zender. – Znaleźliście jakieś skarby?

– To zależy, co pan przez to rozumie – oświadczyła Nina i oświetliła wnętrze komnaty latarką. Zauważyła przybrudzony metalowy przedmiot, wyglądający jak skrzyżowanie noża i kielni. Broń miała szerokie ostrze i bardzo niewygodną rękojeść w kształcie stylizowanej ludzkiej sylwetki.

– To *tumi*, nóż ceremonialny – wyjaśnił Osterhagen. – Czasem znajduje się je przy mumiach. Niektóre są złote, ale ten jest chyba wykonany z brązu.

– Tylko z brązu? – Zender zacmokał z dezaprobatą. – W takim razie może poczekać. My nie możemy. Ruszamy dalej!

Nawet Juanita wydawała się zirytowana jego niecierpliwością, ale nikt z grupy Peruwiańczyków nie zaprotestował. Urzędnik był ich szefem. Nina za to nie miała oporów.

– Archeologia to nie igrzyska olimpijskie, a brąz to nie nagroda pocieszenia.

– Symbolika medali olimpijskich jest chyba trochę inna – skwitował ze śmiechem Mac.

Poszli dalej w górę. Ścieżka stawała się coraz szersza, a otaczające ją budynki coraz większe.

– Leonardzie, skręć w prawo – zaproponowała Nina, kiedy dotarli do skrzyżowania ze stojącą po lewej wieżą. Droga na wprost wiodła dalej pod górę, ale ta po prawej prowadziła na bardziej otwarty teren. – Jeśli tu jest tak samo, jak w Paititi...

Było. Po chwili znaleźli się na placu z zabudowaniami we wschodniej części, wykutym w spadzistej skale tak, by cała jego powierzchnia była płaska. Szerokie kamienne schody prowadziły stamtąd na wyższe poziomy. Nina zerknęła w stronę wyjścia z jaskini i przyjrzała się częściom miasta rozciągającym się poniżej.

– Boże, ci ludzie trafili tu, uciekając w popłochu, a włożyli tyle wysiłku w budowę tego miejsca. To niewiarygodne.

– A nie znaleźliśmy jeszcze najciekawszego! – przypomniała jej Macy, ruszając w stronę schodów.

– Wszystko to jest ciekawe – zaprotestowała urażona Nina. Spojrzała na pozostałych archeologów, licząc na ich wsparcie, ale nawet Osterhagen szedł w stronę schodów razem z resztą grupy, jak przyciągany magnesem. Kobieta westchnęła i podążyła za pozostałymi.

– Teraz rozumiesz, jak się czuję, kiedy próbuję porozmawiać z tobą o piłce – dogryzł jej Eddie.

Przeszli stromymi schodami, mijając kilka poziomów zabudowań, w stronę Świątyni Słońca. Kiedy Osterhagen znalazł się u szczytu schodów, Nina się zatrzymała.

– Poczekaj! – krzyknęła. – Słyszę plusk wody. – Eddie wskazał kciukiem wodospad. – Ha, ha – zaśmiała się z przekąsem, nawet nie udając rozbawienia. – Nie tam, przed nami. I jest głośniejszy, niż kiedy przechodziliśmy przez strumyk.

Osterhagen ruszył wzdłuż boku świątyni.

– Też go słyszę. Myślę... ach, oczywiście! – potwierdził, kiedy zobaczył źródło dźwięku. – To rytualne fontanny. Znalezione je też w kilku innych inkaskich miastach.

Obok świątyni rozciągał się niewielki placyk wychodzący na ocieniony pałac na najwyższym piętrze. Kilka strumieni wody wypływało z kamiennych płyt posadzki, spadało do prostokątnych basenów i spływało otworami odwadniającymi.

– Woda z fontann pewnie zasila wodospad – stwierdził Kit.

– Tak, ale co zasila fontanny? – zastanawiała się Nina. Poza pluskiem wody słyszała też inny, przytłumiony odgłos. Dochodził zza pałacu, z głębi jaskini. – Tam – zdecydowała, ruszając dalej po schodach.

– Dokąd idziesz? – spytał zaskoczony Osterhagen. – To Świątynia Słońca! Możliwe, że w środku jest Punchaco!

– Muszę coś sprawdzić – wyjaśniła. – Jaskinia została wyłobiona przez wodę. Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego rzeka przestała tędy płynąć.

– A ja myślałem, że ożeniłeś się z panią archeolog, a nie z panią hydrolog – powiedział Mac do Eddiego z ironicznym uśmiechem.

Zender podszedł bliżej wejścia do świątyni.

– Nie musimy tu na nią czekać, prawda? – Eddie spojrzał na niego spode łba. – No dobrze już, dobrze. Możemy poczekać. Ale tylko chwilę.

Nina wbiegła po schodach i zmusiła się, by minąć czekającą świątynię i ukryte w niej skarby i zajrzeć dalej. Jej słuch się nie mylił. Strumień białej wody wytryskał pod olbrzymim ciśnieniem z dwudziestocentymetrowego otworu wylotowego w tylnej ścianie jaskini i spadał do głębokiej sadzawki, z której kanałami wyłobionymi w kamiennej posadzce spływał do różnych części miasta. Był to prymitywny wodociąg – prosty, ale skuteczny przykład inkaskiej myśli technicznej.

Znacznie bardziej skomplikowana była konstrukcja otworu wylotowego. Wypływającego strumienia nie otaczała naturalna skała, tylko mur zbudowany równie solidnie i precyzyjnie, jak blanki przy wejściu do jaskini. Miał średnicę około trzech i pół metra i działał jak korek wciśnięty w skałę.

Nina pobiegła z powrotem na plac. Pozostali członkowie ekipy odłożyli sprzęt i czekali na nią z niecierpliwością.

– Znalazłaś coś ciekawego? – spytał Eddie.

– Tak. Rozgryzłam, jak Inkowie zbudowali to miejsce. Musieli zbudować tamę na rzece, przed miejscem, gdzie schodziła pod ziemię. Potem zatkali otwór w tylnej ścianie jaskini, pozostawiając tylko niewielką szparę, którą wykorzystywali do czerpania wody. Po zbudowaniu miasta zburzyli tamę, ale rzeka nie mogła już swobodnie spływać do jaskini, więc popłynęła nad nią, tworząc wodospad. W ten sposób powstało całe miasto, w którym mogli ukryć skarby zupełnie niewidoczne z zewnątrz.

Osterhagen był wyraźnie pod wrażeniem i znów zaczął z zainteresowaniem przyglądać się otaczającym ich budynkom.

– Hiszpanie nie doceniali umiejętności technicznych Inków. To niesamowite, że udało im się zbudować coś takiego.

– Mieli też niesamowite skarby – niecierpliwie przypomniał Zender, znów przysuwając się bliżej wejścia do świątyni. – Doktor Wilde, możemy zobaczyć, co jest w środku, czy zamierza pani nadal zajmować się inkaską hydrauliką?

Nina czuła pokusę, żeby kazać wszystkim czekać i obejrzeć najpierw mniejsze budynki otaczające plac, ale uznała, że skoro Zender tak niecierpliwie czeka na odkrycie cennych przedmiotów, to im szybciej je znajdą, tym szybciej będą go mieli z głowy.

– No dobrze – zgodziła się, udając oburzenie. – Dajmy dziecku cukierka. – Ku irytacji Zendera, pozostali członkowie grupy wybuchnęli śmiechem.

Nina i Osterhagen jako pierwsi podeszli do ciemnego otworu. Inkowie musieli zbudować miasto na niewielkiej przestrzeni, więc większość zabudowań stała stłoczona, ale Świątynia Słońca była większa niż w Paititi. Od wejścia biegł krótki korytarz. Był łukowaty, podobnie jak ściana, wzdłuż której prowadził do dużej sali.

Jeszcze zanim tam dotarli, Nina zauważyła, że jest w niej coś niezwykłego. Światło w korytarzu, wpadające przez szczątki dachu, miało ten sam odcień, co w jaskini. Komnata, którą mieli przed sobą, wyglądała inaczej – światło nie było jaśniejsze, ale cieplejsze.

Osterhagen też to zauważył. Przyspieszył kroku. Weszli do sali...

I zostali skąpani w złotym blasku bijącym od przedmiotu zawieszzonego na zachodniej ścianie.

– *Mein Gott!* – wykrzyknął Osterhagen. Nina była równie oszołomiona.

Znaleźli Punchaco.

Było znacznie większe niż jego kopia z Paititi. Tamten dysk słoneczny miał mniej więcej metr dwadzieścia średnicy – ten był ponad dwa razy szerszy i dwa razy grubszy. Zawieszony na ścianie naprzeciwko trapezowatego wschodniego okna, zajmował przestrzeń niemal od podłogi do sufitu. Mniejszy dysk słoneczny był wykonany wyłącznie ze złota, ten został ozdobiony setkami drogich kamieni osadzonych wzdłuż krawędzi i pośrodku Punchaco, na płaskorzeźbie przedstawiającej Inti, boga Słońca.

Inkowie wieźli swój największy skarb, ważący wiele ton setki kilometrów, by ochronić go przed pazernością Hiszpanów. Pokonał długą, niemal niewiarygodną drogę.

W końcu znalazł się tutaj – i zbudowano dla niego całe miasto.

Pozostali członkowie ekipy weszli do komnaty.

– O w mordę – odezwał się Eddie. – Tego de Quesada nie dałby rady wmurować w kiblu.

Zenderowi opadła szczeka. Po chwili zaczął mamrotać coś po hiszpańsku do Juanity.

– Co mówi? – szepnęła Szkot do Macy.

– Kazał jej jak najszybciej zwołać konferencję prasową – wyjaśniła kobieta. Szkot cicho zachichotał.

Nina przyjrzała się płaskorzeźbie Inti, potem skierowała wzrok w stronę, w którą spoglądał starożytny bóg. Przez okno zobaczyła wodospad i przypomniała sobie, że za strumieniem wody znajdowała się przerwa pomiędzy dwoma górskimi szczytami. Inkowie zadbali o to, by świątynia była zwrócona w stronę wschodzącego Słońca, choć musiało ono zostać przysłonięte wodospadem.

– I jak, panie Zender? – zapytała. Urzędnik stał z ręką uniesioną tuż nad krawędzią Punchaco, jakby bał się go dotknąć. – Warto było przyjechać?

– Tak, tak, tak! – odpowiedział, nawet nie odwracając głowy. W końcu odważył się położyć

dłoń na dysku słonecznym. Kiedy upewnił się, że znalezisko nie jest złudzeniem, rozejrzał się dookoła. – Doktor Wilde, doktorze Osterhagen, to... – Przez chwilę szukał właściwego słowa. W końcu udało mu się wykrztusić: – Niesamowite! Znaleźli państwo największy skarb w historii Peru. Jesteście bohaterami narodowymi!

– Dziękujemy – odparł Osterhagen – ale nie jesteśmy bohaterami, tylko skromnymi uczonymi. Prawdziwi bohaterowie dotarli tu ponad czterysta lat temu i zbudowali miejsce, które zachowało się przez wieki. Przebyli długą drogę i narazili się na wiele niebezpieczeństw, by ochronić swoją kulturę i jej dziedzictwo.

Zender pokiwał głową.

– Tak, tak. To będzie dobrze brzmiało na konferencji prasowej.

– Wstrzymajmy się z mediami, dopóki nie znajdziemy wszystkiego, dobrze? – zaproponowała żona Chase'a. – Mamy do zbadania całe miasto. A na mapie w Paititi było coś jeszcze. – Zdjęła plecak i wyjęła z niego walizeczkę z figurkami. – Mamy dwie i pół z trzech statuetek. Zobaczmy, czy uda nam się zebrać komplet.

Otworzyła walizkę i odsłoniła posążki. Peruwianczycy przyglądali się zdezorientowani. Organizując ekspedycję, Nina poinformowała o drugiej misji Agencji jedynie kilku wysokich rangą polityków.

– Co to takiego? – spytał Olmedo.

– Wskaźniki – wyjaśniła Nina. Wzięła do ręki pierwszą figurkę, która zareagowała na energię Ziemi i zaświeciła. Blask nie był szczególnie mocny, ale w panującym półmroku bardzo wyraźny. Peruwianczycy byli coraz bardziej zdziwieni. – Mam nadzieję, że kiedy połączę wszystkie, wskażą miejsce, gdzie znajduje się brakująca część.

Ostrożnie splotła ze sobą trzy kawałki fioletowego kamienia i poblask się zmienił, a pasmo jaśniejszego światła skierowało się w stronę dysku słonecznego.

– Czy figurka jest za Punchaco? – spytał Kit.

– Mam nadzieję, że nie – skrzywiła się Nina. – Nie dałoby się wtedy do niej dostać, nie uszkadzając dysku! – Podeszła do bocznej ściany. Smuga światła przesunęła się, wskazując, że ostatnia część znajduje się blisko, ale nie była już skierowana w stronę Punchaco. – Nie, chyba jest w pałacu, tak jak na malowidle.

– Powinniśmy szybko ją znaleźć, skoro masz taki sprytny wykrywacz figurek – zauważyła stażystka.

Nina zwróciła się do Peruwianczyków.

– To główny powód, dla którego Agencja zaangażowała się w tę sprawę. Jeśli nie chcecie, nie musicie ze mną szukać ostatniego fragmentu statuetki.

Miała nadzieję, że zrozumieją aluzję i dadzą jej spokój na czas poszukiwań, ale ich miny – nawet żołnierze wyglądali na zaintrygowanych – wyraźnie wskazywały, że są na to zbyt zaintrygowani.

– Trzeba było nie pokazywać im świecących figurek, skarbie – powiedział Eddie.

Ostrożnie trzymając w rękach splecione posążki, doktor Wilde cofnęła się w stronę korytarza.

– Zobaczmy, dokąd nas zaprowadzą.

Idąc na czele grupy, wyszła ze świątyni i skierowała się w stronę pałacu górującego nad opuszczonym miastem.

Jeden z żołnierzy pełniących wartę przy pozostawionych w dżungli samochodach spojrzał w dół zbocza. Kilka minut wcześniej wydawało mu się, że słyszy w oddali ryk silników, ale przez nieustający huk wodospadu nie był tego pewien. Uznał, że to okoliczni mieszkańcy jadący krętą drogą, ale teraz był przekonany, że usłyszał warkot ponownie, z bliższej odległości. Przyjrzał się koleinom pozostawionym w dżungli przez konwój, ale nie zobaczył niczego poza zgniecionymi roślinami.

Jego towarzysz oparł się o jeepa i zgasił papierosa.

– Po co ktokolwiek miałby tu przyjeżdżać? Nikt oprócz tych archeologów w ogóle nie wie o tym miejscu.



– Ktoś mógł zauważyć nasze ślady.

Szeregowiec przez chwilę zastanawiał się, czy nie odpiąć wiszącego na ramieniu kałasznikowa AKM i nie zejść na dół, żeby się rozejrzeć, ale między drzewami widział tylko przelatujące ptaki, a hałas ucichł.

– Nie wiem. Wydaje mi się, że słyszałem ciężarówkę.

Spodziewał się złośliwej riposty, ale się nie doczekał. Uznał, że kolega jest zajęty zapalaniem kolejnego papierosa i mówił dalej. – Wiem, zaraz powiesz, że po drodze tutaj o mało nie zderzyliśmy się z całym mnóstwem ciężarówek, ale słyszałem ją bliżej, nie na drodze. – Odwrócił się w oczekiwaniu odpowiedzi...

Mężczyzna w brudnym, poszarpanym maskującym mundurze stał za jego towarzyszem, jedną ręką zasłaniając mu usta. Drugą wbił nóż głęboko w jego gardło, obryzgując krwią przednią szybę jeepa.

Żołnierz chwycił AKM...

Z dżungli dobiegł głuchy odgłos – wojskowy padł na ziemię z kulą w plecach. Wił się z bólu, próbując krzyczeć, ale krew z przestrzelonego płuca pojawiła się w gardle i ustach. Zdołał tylko zacharczeć.

Strzelec wyszedł z krzaków. Był niski, krępy i miał na głowie krwistoczerwony берет.

Arcani Pachac.

– Widać gdzieś pozostałych? – spytał zwiadowcę, który wyciągnął nóż z szyi drugiego żołnierza i rzucił jego drgające ciało na ziemię.

– Nie, Inkarrí – odpowiedział mężczyzna. – Ich ślady prowadzą do wodospadu, ale nikogo tam nie ma. Muszą być za nim.

Pachac skinął głową, przez chwilę się zawahał i ponownie uniósł broń. Automatyczny pistolet został wyposażony w prowizoryczny tłumik – dwulitrową plastikową butelkę po napoju wypchaną skrawkami gazet i torebkami foliowymi, przyklejoną taśmą do lufy. Z końca butelki przebitego kulą unosił się dym. Kawalki papieru w butelce zajęły się ogniem. Pachac pociągnął za spust, mierząc w tył głowy rannego żołnierza. Wystrzał nadal był głośny, prymitywny tłumik jedynie odrobinę go wyciszył, ale przede wszystkim nie brzmiał jak odgłos broni. Z pewnej odległości można go było wziąć za trzask spadającej gałęzi, a huk wodospadu dodatkowo go maskował.

Mężczyzna oderwał dymiącą butelkę od pistoletu i odpiął od paska krótkofalówkę.

– Droga wolna. Podjeżdżajcie.

Po chwili szlakiem przetartym przez ekspedycję na miejsce podjechały trzy samochody terenowe. Dwa z nich – przedziewiała półciężarówka ford f-150 z grupą rebeliantów siedzących na pace i pamiętająca lepsze czasy toyota land cruiser z naderwanym zawieszeniem – były stare i niezbyt okazałe. Kolumnę prowadził jednak znacznie nowszy i droższy pojazd: jaskrawożółty hummer h3. Pachac był perwersyjnie dumny z samochodu, który jego grupa zdobyła w prosty sposób – mordując poprzedniego właściciela. Ogromna terenówka, wyglądająca jak żywcem wyjęta z kreskówki, stanowiła idealny symbol kapitalistycznego rozpasania, które zamierzał zniszczyć. Używanie jej przeciw wrogom ludu dawało mu sporą satysfakcję.

Poza tym po prostu lubił prowadzić olbrzymi, bogato wyposażony wóz, ale nikomu się do tego nie przyznawał.

Samochody zatrzymały się za konwojem archeologów. Wysiedli z nich ludzie Pachaca. Podobnie jak ich przywódca, wszyscy byli brudni i mieli pogniecione, poplamione ubrania – znak, że żyli w biegu i w trudnych warunkach. Podobnie jak Pachac, wszyscy byli mordercami. Członkowie Prawdziwego Czerwonego Szlaku sami siebie nazywali rewolucjonistami, ale peruwiańskie władze uważały ich za terrorystów i ściagały jak przestępców.

Tym razem Peruwiańczycy nie działali sami. Pachac wysłał swoich ludzi w stronę wodospadu i podszedł do hummera. Sięgnął po mikrotelefon nowoczesnego radia polowego i powiedział:

– Tu Pachac. Jesteśmy nad wodospadem. – Nie przejmował się, że może być podsłuchiwany przez peruwiańskie władze. Przekaz radiowy był szyfrowany.

– Widziałeś Wilde i pozostałych? – odpowiedział mu oschły głos z brytyjskim akcentem.

– Nie, ale na pewno tu są. Mój informator z wioski opisał kobietę, którą widział. Miała rude

włosy. To musi być ona. Myślę, że znaleźli przejście za wodospad. – Pachac zerknął w górę, słysząc warkot nadlatującego helikoptera. – To wy?

– A któżby inny? Ilu ich tu jest?

– Mój informator naliczył czternaścioro, w tym czterech żołnierzy. Dwóch żołnierzy już się pozbyliśmy.

– My zajmiemy się wodospadem, potem wy zajmijcie się pozostałymi. Ale potrzebuję doktor Wilde i agenta Interpolu, Jindala, żywych. Jasne?

– Uprzedziłem moich ludzi – odpowiedział zniecierpliwiony Pachac.

– Dobrze. – Peruwianczyk usłyszał piknięcie oznaczające zakończenie rozmowy i poszedł przez dżunglę za partyzantami. Helikopter odleciał.

Mimo całej swej wiedzy o cywilizacji Inków, Nina była oszołomiona tym, co znaleźli w El Dorado. Inne znane inkaskie miasta nie oparły się upływowi czasu i zostały złupione dawno temu. Tutaj znaleźli pozostałości po mieszkańcach miasta. W salach pałacu znajdowały się przedmioty porzucone przez jego lokatorów. Kobieta zmusiła się, by iść cały czas do przodu, za coraz mocniejszym światłem bijącym od figurek.

Wiedziała, że później będzie mogła obejrzeć pozostałą część pałacu. Na razie najważniejsze było znalezienie ostatniej części figurki.

– Musi być gdzieś blisko – stwierdził Kit, kiedy ekipa weszła do dużej sali. – Przeszliśmy już prawie cały pałac.

Huk wody wypływającej z otworów wylotowych odbijał się echem od ścian. Znajdowali się głęboko w jaskini i było tu znacznie ciemniej niż w Świątyni Słońca. Eddie włączył latarkę.

– Tego szukaliśmy?

Strumień światła padł na niszę w tylnej ścianie ozdobioną znajomo wyglądającymi znakami.

– Tak myślę – odparła Nina, przyspieszając kroku.

Osterhagen był tuż obok niej.

– Mapa! Jak w Paititi!

– Nie do końca – zauważyła Macy, kiedy pozostali członkowie ekspedycji zbliżyli się, żeby popatrzeć. Kolejne latarki oświetliły malowidła na ścianach.

– Dla ludzi, którzy stworzyli tę mapę, podróż zakończyła się tutaj. Nie poszli dalej do dżungli. – Złote miasto oznaczało koniec wędrówki z Cuzco.

Kobietę bardziej interesowała jednak nisza w ścianie. Stała w niej niewielka figurka wyrzeźbiona z niezwyklego fioletowego kamienia.

Ściśle rzecz biorąc – pół figurki. Brakująca część ostatniego posążka. Cierpliwie czekała od stuleci na połączenie ze swą drugą połową i z bliźniaczymi statuetkami. Już za chwilę miało do niego dojść.

Nina odłożyła pozostałe figurki, które natychmiast przygasły, i ostrożnie dotknęła posążka stojącego w niszy. Rozbłysnął światłem wyraźnie silniejszym od strony, z której znajdowały się pozostałe statuetki.

– Oto ona – oświadczyła Nina. – Ostatnia część.

– Może teraz się dowiemy, o co, do cholery, w tym wszystkim chodzi – powiedział Eddie.

– Miejmy nadzieję. – Sięgnęła po figurkę...

Rozległ się odległy huk i długi łoskot, jakby rozpadało się coś ogromnego...

Podłoga się zatrzęsła, a ze ścian posypał się pył i kamienne odłamki. Figurki stojące na posadzce zagrzechotały.

– *Teremoso!* – krzyknął Zender i rozpaczliwie rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu kryjówek.

– To nie trzęsienie ziemi – stwierdził Eddie, wsłuchując się w huk. – Brzmi bardziej jak...

– Ogień artyleryjski – dokończył Mac.

Ziemia znów się zatrzęsła i usłyszeli kolejny odgłos. Tym razem bliższy i bardziej niepokojący. Huk ocierających się o siebie skał rozległ się tuż nad ich głowami.

– Kurwa mać! – wrzasnął Eddie. – Wszystko zaraz zleci nam na głowy. Musimy stąd spieprzać.

– Zabierzcie figurki! – krzyknął Kit.

– Mam je! – odpowiedziała Nina. Nie miała czasu sprawdzić, co się stanie, kiedy połączy wszystkie trzy posążki. Weisnęła je do wyłożonej gąbką walizki i zamknęła pokrywę. – Dobra, biegniemy.

Wszyscy rzucili się do wyjścia. Eddie i Mac zamykali kolumnę. Mimo łoskotu skał, Nina usłyszała, że inny odgłos milknie.

– Wodospad! Słuchajcie! – huk wody cichł. – Chodźcie, musimy wyjść na zewnątrz.

Wybiegli na taras wychodzący na placyk przed Świątynią Słońca. Fontanny zasilane przez podwodny zbiornik znajdujący się za tamą w głębi jaskini wciąż tryskały wodą.

Ale wodospad ukrywający wylot jaskini zaczął się kurczyć. Przez coraz cieńszy strumień wody zaczęła prześwitywać dolina.

Rzeka została zablokowana.

Alexander Stikes z uśmiechem wyjrzał z kabiny hinda. Krikorian właśnie wypuścił serię rakiet S-8 w kierunku stromych klifów w korycie rzeki. Skały zawały się i tysiące ton głazów spadły w wąskie przejście. Woda zaczęła piętrzyć się za prowizoryczną tamą, ale wezbrana rzeka skierowała się łatwiejszą drogą w dół do doliny, zamiast przedzierać się nad przeszkodą.

– Dobra robota, Krikorian – powiedział do słuchawek. – Gurow, wracamy nad wodospad. Zobaczmy, co było za nim.

Pilot wykonał polecenie. Hind obrócił się i poleciał wzdłuż kurczącej się rzeki, minął wodospad i zawisł nad dżunglą. Stikes uśmiechnął się jeszcze szerzej, kiedy zobaczył efekty ataku. Wodospad znacznie się zmniejszył, odsłaniając szerokie wejście do jaskini, którego dolną połowę zasłaniał... czyżby to był mur? Jeśli tak, umiejętności starożytnych budowniczych były imponujące. Niecka u podstawy wodospadu szybko się opróżniała. Za chwilę dałoby się dotrzeć do jaskini, nawet nie mocząc nóg.

Pachac nie zamierzał jednak czekać tak długo. Przywódca terrorystów, łatwo rozpoznawalny dzięki czerwonemu beretowi, wskazywał na mur i wydawał polecenia ludziom uzbrojonym w karabiny szturmowe i wyrzutnie rakiet.

Byli gotowi zaatakować jaskinię i przejąć jej zawartość siłą.

Eddie zauważył hinda za wylotem jaskini. Woda wciąż częściowo zasłaniała widok, ale wenezuelska flaga na śmigłowcu była wyraźnie widoczna.

– To Stikes!

– Co takiego? – spytała Nina z niedowierzaniem. – Jakim cudem dowiedział się, że tu jesteśmy?

Maszyna zniknęła im z oczu.

– Co tu się dzieje? – spytał przerażony i dezorientowany Zender. – Czy to wenezuelski helikopter?

– Kiedyś był peruwiański, ale przeszedł w prywatne ręce – ponuro wyjaśnił Eddie, po czym zwrócił się do żołnierzy. – Wy dwaj, biegnijcie za mną! – Trzej mężczyźni szybko zbiegli po schodach.

Zender nadal domagał się wyjaśnień.

– Mówcie, co się dzieje!

– Stikes użył śmigłowca, żeby zablokować rzekę i zniszczyć wodospad – wytłumaczył mu McCrimmon. – Dzięki temu łatwiej będzie dostać się do jaskini.

– Kim jest Stikes?

– To najemnik – powiedziała Nina. – Brał udział w nieudanym przewrocie w Wenezueli, nie dostał pieniędzy za tamto zlecenie i wygląda na to, że teraz chce się odkuć.

Juanita była przerażona.

– Co z żołnierzami, którzy zostali na warcie?

– Nie żyją – bez ogródek stwierdził Mac. – My też zaraz będziemy martwi, jeśli Eddiemu i waszym ludziom nie uda się ich powstrzymać.

– Brzmisz, jakbyś w nich nie wierzył – zauważył Kit.

Helikopter znów pokazał się na horyzoncie.

– Cóż, mają nad nami sporą przewagę – wyjaśnił Szkot. Spojrzał w stronę placu. – Musimy sprawdzić, co tam się dzieje. – Ruszył w dół po schodach. Pozostali członkowie ekipy poszli za nim. Nina zostawiła walizkę razem z resztą sprzętu i podążyła za nimi.

Eddie i dwaj żołnierze zbiegali wąskimi uliczkami. Minęli grobowce i dotarli do zbiornika z wodą.

– Dokąd idziemy? – spytał porucznik Echazu.

– Do jaskini jest tylko jedno wejście – wyjaśnił Eddie. – Musimy się upewnić, że nikt nie przedostanie się tym tunelem.

– My? Ale ty nie masz broni!

– Mam pistolet na wodę. – Dotarli na skraj ukrytego miasta, gdzie teren opadał bardziej stromo w kierunku szybu. – Dobra, osłaniajcie ten otwór.

Żołnierze rozdzielili się i zajęli pozycje przy wejściu.

– Co robisz? – krzyknął kapral Chambi, widząc, że Chase biegnie w stronę szybu.

– Upewniam się, czy tu dotrą! – krzyknął, zeskakując na płytę z mechanizmem uruchamiającym pułapkę. Kamień zazgrzytał, ale półka nie ruszyła się z miejsca.

W przejściu rozległy się kolejne dźwięki. Eddie spojrzał w dół i zobaczył światło latarki odbijające się od srebrnych kolców. Intruzi byli już przy szybie, a on umożliwił im łatwą wspinaczkę. Zwisająca lina napięła się pod wpływem ciężaru wspinającego.

Eddie zeskoczył na następny stopień. Poniżej znajdowała się półka z trzema łbami jaguarów. Jeszcze raz zerknął za krawędź płyty – zobaczył mężczyznę stojącego na pierwszym stopniu.

Położył się na półce i sięgnął jedną ręką w dół. Dwie głowy jaguarów, których nie dotykał, były w jego zasięgu, ale trzecia, którą przesunął w dół, by wyłączyć pułapkę, znajdowała się kilka centymetrów poza nim. Zaklął pod nosem i wysunął się dalej. Mężczyzna wspinający się po linie

był już przy drugim stopniu...

Promień światła z latarki prześliznął się po twarzy Chase'a. Ktoś krzyknął po hiszpańsku. Wspinacz spojrział w górę, zobaczył mężczyznę i zeskoczył z powrotem na pierwszy stopień, sięgając po AK-47.

Eddie rzucił się naprzód, chwycił kamienny łeb jaguara i pociągnął go do góry, potem szybko odskoczył do tyłu, kiedy zaterkotał kałasznikow. Kule odbijały się od ściany i rykoszetowały w szybie, robiąc potworny hałas w zamkniętej przestrzeni.

Terkot nagle ucichł, przez chwilę huczało jeszcze echo, potem zapanowała cisza. Strzelec opróżnił magazynek AK. Chase słyszał z dołu metaliczny szcęk pociąganego spustu.

Domyślił się, że to nie człowiek Stikesa. Zawodowiec już zmieniałby magazynek. Nie miał czasu się zastanawiać, dla kogo pracuje mężczyzna. Chwycił linę i rozbijał się na niej, żeby oprzeć się stopami o ścianę podczas wspinaczki. Nie mógł dotknąć płyty uruchamiającej pułapkę.

Cyk! Strzelec w końcu przeładował...

Eddie wciągnął się po linie nad półkę i zaczął bujać się na boki, tupiąc nogami o tylną ścianę, kiedy mężczyzna ponownie rozpoczął ostrzał. Znajdował się zaledwie kilka centymetrów nad płytą, jego skórzana kurtka ocierała się o kamień. Ostry kawałek metalu uderzył go w policzek – jedna z kul odstrzeliła czubek kolca. Drgnął i omal nie puścił liny...

Ostrzał ustał. Lina zadrgała w rękach Chase'a, kiedy mężczyzna stojący na dole chwycił ją i zaczął się wspinąć.

Eddie znów ruszył w górę i szybko podciągnął się na krawędź szybu. Kiedy się na niej znalazł, wyciągnął nóż. Lina nadal była napięta pod ciężarem strzelca. Zaczął piłować ją ostrzem. Pękały kolejne pasma...

Lina się zerwała. Wspinacz spadł, krzycząc z przerażenia, a potem z bólu, kiedy nadział się na kolce. Wrzaski nie ustawały. Rozpaczliwie wymachiwał rękami, starając się wydostać spod ostrzy rozdzierających jego ciało. W końcu udało mu się i runął w dół szybu. Po drodze uderzył szcęką o krawędź stopnia, z trzaskiem niemal równie głośnym jak wystrzały z kałasznikowa.

Na te ostatnie nie trzeba było długo czekać. Towarzysze zmarłego zaczęli strzelać w górę szybu. Eddie rzucił się biegiem – nie bał się kul, ale stał bardzo blisko srebrnych drzwiczek na dnie zbiornika.

Jeśli pułapka wciąż działała, kłapa miała za chwilę się otworzyć.

Strzały umilkły i rozległo się sapanie. Następny mężczyzna ruszył po stopniach, wciągając się na kolejne płyty. Odprowadzały go krzyki towarzyszy stłoczonych w tunelu i czekających na swoją kolej.

Wspinacz dotarł do czwartej półki...

Płyta przechyliła się pod jego ciężarem. Ruch był nieznaczny...

Ale wystarczył, by uruchomić pułapkę.

Ciężka srebrna kłapa otworzyła się na zawiasach pod naporem tysięcy litrów wody, które odbiły się od muru i znalazły drogę ujścia – prosto w dół szybu.

Potok zmył mężczyzn wspinających się po stopniach, nabijając ich na kolce. Stojący na dole nie mieli więcej szczęścia. Woda wytrysnęła pod olbrzymim ciśnieniem, spychając ich na ostre skały u podstawy wodospadu.

Stojący na zewnątrz Pachac z przerażeniem i niedowierzaniem obserwował strumień wylewający się z tunelu. Sam właśnie miał wejść do środka – a teraz wszyscy jego ludzie, którzy poszli przed nim, nie żyli! Ciała wynurzyły się na powierzchnię i unosiły na spienionej wodzie jak poskręcane szmaciane lalki. Pozostali partyzanci także byli w szoku.

– Inkarrí! – krzyknął jeden z nich. – Co... co teraz?

Strumień wody już zaczynał słabnąć. Pachac wyszczerzył zęby z wściekłością.

– Jak tylko tunel będzie czysty, wejdziemy tam i pomścimy naszych braci!

Eddie dotarł do Echazu, który zajął pozycję w małym domku z widokiem na szczyb. Chambi również był w pobliżu, przykucnięty za murem na tarasie przy drodze do miasta.

– Dorwałeś ich! – rzucił Peruwiańczyk.

– Ale nie wiem, czy wszystkich – odpowiedział Chase. Zbiornik był pusty. Srebrna kłapa

zamknęła się pod własnym ciężarem i pułapka była znów gotowa do działania, ale napełnienie jej ze strumieni biegnących przez jaskinię mogło zająć wiele godzin, a nawet dni. – Jeśli nie, wkrótce zaczną wychodzić przez ten otwór. Jeśli kogoś zobaczysz, strzelaj! – Pobiegnął wzdłuż tarasu, by wydać kapralowi to samo polecenie.

Stikes obserwował z krążącego hinda, jak Pachac i resztkę jego ludzi wspinają się do wejścia w murze. Wypływający z tunelu potok wody skurczył się do niewielkiego strumyczka.

– Widzę, że Inkowie zadbali o obronę miasta.

Baine, który siedział obok niego, spojrzał na ciała w niecce bez śladu współczucia.

– Ci idioci pewnie wbiegli tam na oślep.

– A Pachac zamierzał zrobić to samo. Mówił, że zabili dwóch żołnierzy, ale w takim razie zostało jeszcze dwóch – a podejrzewam, że drugi koniec tego tunelu jest łatwy do obrony. – Przeniósł wzrok z muru na widoczny nad nim wylot jaskini. Wodospad prawie zniknął, w ciemności było widać kontury budynków. Wysoko położonych, z mnóstwem dogodnych kryjówek... – Chyba będziemy musieli mu pomóc – zdecydował, po czym powiedział do słuchawek: – Gurow, podlec tak, żebyśmy mieli jaskinię w polu rażenia.

Nina spojrzała z placu na olbrzymi mur poniżej. Widziała, jak Eddie wybiegł z szybu, zanim załapała go potężna fala, ale potem jej mąż zniknął wśród niższych zabudowań miasta.

– Boże, gdzie on jest?

– Udało mu się uciec. Wszystko będzie dobrze – zapewnił ją Szkot.

Pozostali członkowie ekspedycji dołączyli do nich przy kamiennej balustradzie.

– Patrzcie tam! – powiedział Kit, wskazując wylot szybu.

Jakiś mężczyzna ostrożnie wyjrzał z otworu, potem wspiął się na jego krawędź...

Padły strzały, wokół intruza wzbily się pył i kamienie i mężczyzna padł martwy na skalistą ziemię. Kolejny, który wychodził z szybu, szybko się ukrył.

Zender zacisnął pięść w geście triumfu.

– Dorwali go!

Nina wcale nie poczuła się przez to lepiej. Byli w stanie odeprzeć atak, ale tkwili uwięzieni w mieście.

Pojawiło się też kolejne zagrożenie. Ryk wirników hinda przybrał na sile, kiedy helikopter szturmowy obniżył lot i zaczął powoli obracać się w stronę wylotu jaskini.

Eddie sięgnął do AKM Chambiego i przestawił broń z trybu automatycznego na pojedyncze strzały.

– Musisz oszczędzać amunicję – wyjaśnił zaskoczonemu żołnierzowi. Zauważył, że każdy z wojskowych ma tylko jeden zapasowy magazynek.

Kapral słabo mówił po angielsku, ale zrozumiał polecenie.

– Strzelałeś kiedyś? – zapytał. Eddie odpowiedział z krzywym uśmiechem:

– Można tak powiedzieć. Uwaga, idzie następny. – Z szybu wyłoniła się lufa AK-47, a za nią głowa mężczyzny. Stojący niżej towarzysze podsadzili go w górę, żeby mógł swobodnie używać obu rąk do celowania.

Chambi wystrzelił, Echazu po chwili zrobił to samo. Chase nie był pewny, który z nich trafił, ale liczył się efekt: głowa mężczyzny odskoczyła do tyłu, krew trysnęła z czoła i intruz zniknął w szybie.

– Dobry strzał – powiedział kapralowi, który rozpromienił się, słysząc pochwałę. Zauważył, że pierwszy z nieproszonych gości upuścił kałasznikowa, kiedy został trafiony. Karabin bardzo by mu się przydał, gdyby zdołał go dosięgnąć. – Oslaniaj otwór, idę po broń – nakazał i poszedł wzdłuż tarasu, by powtórzyć polecenie Echazu.

Zauważył zmianę w ryku silników hinda. Podczas obrony szybu przestał zwracać uwagę na śmigłowiec, który teraz unosił się w miejscu. Silniki pracowały z pełną mocą, by utrzymać ciężar opancerzonej maszyny.

Działo się obróciło ...

– Padnij! – krzyknął Eddie i rzucił się na ziemię za murem.

Hind otworzył ogień, plując morderczym strumieniem ołowiu z czterech luf karabinu Ga-

tinga. Echazu, zajęty obserwacją szybu, zbyt późno zauważył niebezpieczeństwo. Kule wpadły przez otwór wejściowy do budynku, w którym siedział, a odłamki rozerwały go na strzępy.

Krikorian na chwilę wstrzymał ogień, szukając kolejnego celu, potem znów rozpoczął ostrzał – tym razem mierzył w taras. Mur, za którym ukryli się Chase i Chambi, miał ponad trzydzieści centymetrów grubości, ale kamienne bloki zaczęły łamać się i pękać.

– Kurwa mać! – wrzasnął Eddie, osłaniając twarz przed kamiennymi odłamkami. Kapral przywarł do muru, znieruchomiał z przerażenia i zablokował mu drogę.

– Weź się w garść! – ryknął Anglik, tłukąc pięścią w nogi Chambiego. – Jeśli uda nam się dostać za róg, będziemy bezpieczni. Jak tylko przestanie strzelać, biegnij w górę!

Strzały umilkły.

– Jazda! – krzyknął Eddie i zerwał się do biegu jak sprinter. Słyszał, że Chambi biegnie kilka kroków za nim.

Jeszcze trzy metry, jeszcze dwa...

Karabin Gatlinga znów się odezwał, kiedy Eddie znalazł się za rogami. Kule wbiły się w mur za jego plecami...

I w Chambiego.

Młody kapral znajdował się zaledwie o krok od bezpiecznej kryjówki, kiedy przebił go strumień ołowiu. Ekspłodował krwią i szczątkami, obryzgując ścianę. To, co z niego zostało, upadło na ścieżkę za Eddie. Najbardziej przerażające było to, że ranny wciąż żył.

Jeszcze przez chwilę.

Ostrzał znów ustał, kiedy kanonier próbował namierzyć ukrytego mężczyznę.

Eddie otrząsnął się z szoku. Zakrwawiony AKM Chambiego leżał obok jego ciała. Chase chwycił go i pobiegł na wzgórze.

Siedzący w kokpicie kanoniera Krikorian wciąż mierzył w róg z celownika na podczerwień. Widział rozbłysk gorącej krwi, więc wiedział, że trafił jednego z uciekających... ale drugi zniknął. Uniósł głowę, żeby zyskać lepszy widok na wzgórze. Przez chwilę widział cel między dwoma budynkami, ale stracił go z oczu, zanim udało mu się wycelować.

– Zgubiłem go! – rzucił zirytowany i zaczął szukać w jaskini innych celów.

Grupa ludzkich sylwetek na tarasie była wyraźnie widoczna.

Nina stała jak sparaliżowana, kiedy hindus otworzył ogień w kierunku Eddiego, ale gdy działko śmigłowca skierowało się w stronę pozostałych członków ekspedycji, szybko się otrząsnęła, czując przypływ adrenaliny.

– Wiejemy!

Razem z Makiem rzuciła się w jedną stronę, pozostali członkowie grupy pobiegli w drugą. Juanita na początku skierowała się za Amerykanką i Szkotem, potem zawróciła, słysząc paniczne wołanie Zendera.

Chwila wahania kosztowała ją życie. Pociski z działka lecące przez miasto trafiły ją w biegu. Ciało kobiety bezwładnie opadło na plac.

Linia ognia skierowała się w stronę Niny i Maca...

– Przerwać ogień. Przerwać ogień! – warknął Stikes w słuchawki. – Wilde i Jindal są mi potrzebni żywi! – Działko zamilkło.

Wszyscy ludzie Pachaca byli już w tunelu. Po śmierci żołnierzy mogli bez trudu dostać się do jaskini i pomścić towarzyszy, zabijając każdego, kogo napotkają. Aby temu zapobiec, najemnik musiał przejąć kontrolę nad sytuacją na ziemi, ale nie miał czasu na zjazd na linie z helikoptera i pogoń za partyzantami...

Jeszcze raz spojrzął na wylot jaskini, pomyślał chwilę i spytał:

– Gurow, jaka jest średnica wirnika?

Nina przywarła do ściany budynku, poza polem rażenia helikoptera. Mac po chwili do niej dołączył.

– Jesteś cała? – zapytał.

– Ja tak, ale Juanita... O mój Boże! – Spojrzała na nieruchome ciało Peruwianki.

– Przynajmniej nie męczyła się długo – stwierdził ponuro Szkot. Widział, jak pozostali

członkowie ekipy kryją się po drugiej stronie placu. – Nikomu poza nią nic się nie stało. Ale dlaczego wstrzymali ogień?

Nina zadawała sobie inne pytanie.

– Co z Eddiem? Udało mu się uciec? – Wyrzała za róg i zobaczyła mężczyzn wychodzących z szybu. – Cholera! Idą następni!

Eddie przykucnął za jednym z grobowców i obejrzał się za siebie. Hind wstrzymał ogień i unosił się nad drzewami. Nie miał gdzie wylądować. Czy Stikes zamierzał zjechać w dół na linie?

Krzyki zwróciły jego uwagę na inne zagrożenie. Do jaskini wdzierali się kolejni partyzanci, których nie miał kto powstrzymać. Chase wciągnął się na dach budynku, skąd miał widok na szyb. Zobaczył wynurzającego się z niego mężczyznę, za nim następnego.

Dostrzegł też ruch znacznie bliżej. Dwaj intruzi kierowali się w stronę ruin. Jeden był uzbrojony w AK-47, drugi w wyrzutnię raket. Pierwszy z mężczyzn wskazał na plac.

Eddie wymierzył w nich z AKM, ale zanim udało mu się strzelić, stracił ich z oczu.

Wiedział, że szukają dogodnej pozycji do strzału.

Kit, trzymając nisko głowę, przebiegł na wschodni kraniec placu. Helikopter nadal unosił się przed wylotem jaskini, ale działo nie było już skierowane w jego stronę. Hindus podniósł głowę i zerknął w dół na miasto. Z szybu wciąż wychodzili ludzie: naliczył dwóch, trzech, czterech... a nie miał pojęcia, ilu zdążyło już dostać się do jaskini.

– Kit, wracaj tu! – krzyknęła Macy.

Obejrzał się i zobaczył, że kobieta stoi z Osterhagenem i Zenderem za niskim budynkiem. Olmedo i Cruzado byli już w środku.

– Muszę sprawdzić, ilu ich jest – odpowiedział. W otworze szybu pokazał się mężczyzna w czerwonym berecie, który zamykał kolumnę. Niezależnie od tego, ilu partyzantów weszło przez tunel, mieli oni przewagę liczebną i byli znacznie lepiej uzbrojeni.

Już miał wrócić do pozostałych, kiedy zauważył coś kątem oka...

Głowica bojowa z RPG-7 poleciała w jego stronę.

Kit padł na ziemię, a rakietą przeleciała nad balustradą i uderzyła w budynek, w którym kryli się dwaj Peruwiańczycy. Po wybuchu zawaliła się jedna ściana, a archeolodzy zostali pogrzebani pod kamiennymi blokami i szczątkami dachu.

Partyzant trzymający wyrzutnię raket z zadowoleniem przyjrzał się chmurze pyłu nad zawalonym budynkiem. Jego praca nie była jednak zakończona.

– Chyba jest tam ktoś jeszcze. Pomóż mi się przeładować – powiedział, klękając, żeby jego towarzysz mógł sięgnąć do plecaka.

W środku znajdowały się jeszcze dwie głowice do RPG-7. Mężczyzna wyjął jedną, zdjął osłonę zapalnika i załadował broń. Strzelec zobaczył w celowniku, że pył opada, zauważył kogoś za ruinami i wycelował...

Jego ciało rozerwały kule. Eddie otworzył ogień z dachu kilka poziomów wyżej. Partyzant potknął się, przeleciał przez mur i wylądował na stromej ścieżce, wciąż ściskając wyrzutnię w martwych dłoniach. Jego towarzysz obrócił się, uniósł karabin i został trafiony w czoło.

Eddie przeskoczył na sąsiedni dach, stamtąd zeskoczył na ziemię i pobiegł w górę, w kierunku placu.

– Macy! Leonard! – krzyknęła Nina. Nie widziała nic poza unoszącym się dymem.

Usłyszała kasłanie Kita. Pył opadł na tyle, że udało jej się dojrzeć Hindusa. Leżał przy balustradzie obsypany kawałkami kamienia, przyciskając rękę do głowy. Żył, ale poranił go spadający gruz.

Już miała biec mu na pomoc, ale Mac ją powstrzymał.

– Nie wychodź z ukrycia! Zbliża się śmigłowiec! – ostrzegł.

Zdziwiona kobieta spojrzała w stronę wylotu jaskini. Szkot miał rację. Helikopter powoli wlatywał do jaskini.

Stikes musiał bardzo się starać, żeby nie pokazać po sobie napięcia, kiedy śmigłowiec wlatywał do jaskini. Hind bez problemu zmieścił się w otworze, ale helikoptery nie zostały stworzone do latania w zamkniętej przestrzeni. Powietrze, z ogromną siłą odrzucane przez wirnik, mogło zo-



stać odbite w kierunku maszyny pod niespodziewanym kątem i zepchnąć ją na budynki lub na sklepienie jaskini. Miał nadzieję, że Gurow faktycznie jest tak dobry, jak twierdził.

W helikopter uderzył podmuch wiatru. Najemnik osłonił oczy i wychylił się przez właz, żeby lepiej widzieć. Przelecieli już nad murem, więc miał w zasięgu wzroku ludzi Pachaca biegnących w górę przez miasto. Potem skupił uwagę na placu – jedynym miejscu, w którym mógł wylądować hind – i z niezadowoleniem zauważył, że rewolucjoniści już go zaatakowali, burząc jeden z budynków za pomocą pocisku raketowego. Jeśli ci komunistyczni kretyni zabili ludzi, których szukał...

Od burty helikoptera odbiły się kule. Stikes szybko się cofnął. Kto strzelał?

Był pewien, że zna odpowiedź: Chase!

Eddie dotarł do placu i otworzył ogień z AKM do zbliżającego się hinda. Zobaczył, jak Stikes, którego natychmiast rozpoznał po jasnych włosach i brązowym berecie, chowa się w kabinie.

– Uciekajcie stąd wszyscy! – krzyknął. – Znajdźcie jakąś kryjówkę! – Nina i Mac znajdowali się za pobliskim budynkiem. Po drugiej stronie placu zauważył Macy, Osterhagen i Zendera usiłującego się podnieść.

– No dalej, biegiem!

Już miał posłuchać własnej rady, kiedy helikopter przechylił się w jego stronę...

– Wstrzymać ogień! – krzyknął Stikes w słuchawki, ale jego głos zagłuszył ryk rakiety S-8 odpalanej przez Krikoriana. W mgnieniu oka wystrzeliła ona spod skrzydła hinda i uderzyła w plac.

Wybuch powalił Eddiego z nóg. Kawalki kamieni wzbily się w powietrze na taką wysokość, że kilka z nich uderzyło w hinda. Fragment muru rozpadł się z głośnym hukiem.

To był jednak dopiero początek zniszczeń. Cały plac drżał, kiedy runęły fundamenty pod jego wschodnim końcem. W płytach posadzki pojawiło się pęknięcie i szybko zaczęło się rozszerzać w stronę Niny i Maca.

Łoskot spadającego gruzu zagłuszył głośny huk. Nina odskoczyła od budynku, kiedy bloki, z których był zbudowany, zaczęły zgrzytać.

– Tu chyba nie jest bezpiecznie...

– Chyba nie – skrzywił się Mac.

Wyskoczyli za krawędź placu, a ściana, pod którą stali, zawałiła się z głośnym hukiem.

Za ich plecami wzbila się w górę fontanna gruzu. Jeden kamień trafił Ninę w ramię.

McCrimmon oberwał w brzuch tak mocno, że zgiął się wpół. Nad ich głowami kłębiła się szara chmura pyłu.

Pierwszy z ludzi Pachaca dotarł do budynku, w którym się znajdowali... Przebiegł obok, omijając wciąż osuwający się gruz. Kolejni zrobili to samo – nie chcieli zbliżyć się do grożącej zawałeniem ruiny. Nikt nie zauważył dwóch pokrytych pyłem postaci w środku.

Nina stłumiła jęknięcie, wsłuchując się w oddalające się kroki, i z wysiłkiem usiadła.

– Mac, Mac! – wyszeptała. – Jesteś ranny?

– Do pogrzebu się zagoi – wyrzęził Szkot, przecierając oczy. Nina pomogła mu się podnieść. Nagle poczuli podmuch gorącego, cuchnącego benzyną powietrza.

Hind podchodził do lądowania.

Zamroczoney Eddie spróbował się poruszyć i od razu tego pożałował. Bolało go wszystko.

Co się właściwie stało? Pamiętał, że strzelał do helikoptera...

Hind!

Maszyna unosiła się tuż nad placem, mierząc do członków ekspedycji z karabinu Gatlinga. Macy, Osterhagen i Zender poddali się, widząc, że nie uda im się uciec. Mężczyźni w czarnych mundurach polowych wyskakowali z kabiny. Niektórzy celowali w Kita, który też podniósł ręce do góry.

Inni ruszyli na Eddiego.

AKM leżał tylko kilka metrów od niego. Chase zignorował ból i zaczął się czołgać w stronę broni...

Na karabinie stanęła stopa w ciężkim bucie. Eddie obrócił się i zobaczył lśniący pistolet jericho wymierzony w swoją głowę, a nad nim przystojną, wyszczerzoną w szyderczym uśmie-

chu twarz.

– Witaj, Chase – powiedział Stikes. – Cóż za spotkanie.

Hind wylądował, a Pachac i jego ludzie dotarli na plac. Najemnicy wciąż trzymali więźniów na muszce.

– Widzę tu znajome twarze – stwierdził Stikes. Bez większego zainteresowania spojrzął na Macy i Osterhagena, potem skupił uwagę na Kicie. – Ale kogoś brakuje. Gdzie twoja żona, Chase?

Eddie się nie odezwał, tylko wbił w rodaka nieprzyjazny wzrok. Dostał za to cios kolbą karabinu, który powalił go na kolana.

– Odpowiadaj, Chase! – krzyknął Baine i poprawił kopniakiem w bok. Zamachnął się do kolejnego uderzenia, ale dowódca go powstrzymał.

– No? – spytał Stikes. – Gdzie ona jest?

– Nie mam, kurwa, pojęcia – jęknął Eddie, wstając. Sam się zastanawiał, co stało się z Niną. Wiedział, że stali z Makiem obok budynku na południowym krańcu placu, który później się zawalił.

– Ludzie Pachaca cierpią tu na brak kobiecego towarzystwa. Są tak wyposzczeni, że pewnie rzuciliby się nawet na twój włochaty tyłek. Ale – dodał, patrząc na Macy – ona z pewnością spodobałaby im się znacznie bardziej. Mam im ją dać, Chase? – spytał, przykładając jericho do głowy kobiety. Macy zacisnęła wargi i zaczęła się trząść. – A może od razu ją zastrzelić? Pytam jeszcze raz. Gdzie twoja żona?

– Stała za tamtym budynkiem – warknął Eddie, wskazując na gruzy. Wiedział, że jego dawny towarzysz broni bez wahania pociągnąłby za spust.

Stikes zerknął na ruiny.

– Cagg, Voeker, sprawdźcie, czy nie ma jej pod gruzami. – Dwaj najemnicy pobiegli przeszukać zawalony budynek. Stikes opuścił broń. Macy zakwiliła z ulgą.

– A więc przywiozłeś tutaj tego dupka – rzucił złośliwie Eddie, wskazując na Baine'a. Zarobił za to kolejnego kopniaka, ale za wszelką cenę chciał odwrócić uwagę Stikesa od zakładników. – A gdzie Maksimow?

Stikes się skrzywił.

– Zwolniłem go. Nie potrzebuję ludzi, których tak łatwo jesteś w stanie okiwać. A skoro o głupocie mowa... – Spojrzął w stronę helikoptera. Oba kokpity były otwarte. Krikorian sprawdzał działo, a Gurow wspiął się na kadłub, żeby obejrzeć duże wgniecenie w miejscu, gdzie kawałek skały uderzył we wlot powietrza do silnika. – Gurow! Są jakieś uszkodzenia?

– Nie wiem. Muszę sprawdzić łopatki turbiny – odpowiedział Rosjanin.

– Ile to potrwa?

– Dwadzieścia minut.

– Do roboty. – Stikes spiorunował wzrokiem Krikoriana, który z zawstydzieniem ukrył się za śmigłowcem, po czym znowu spojrzął na Eddiego. – Kretyn. Odpalił raketę w zamkniętej przestrzeni po tym, jak wyraźnie powiedziałem, że chcę wziąć was żywcem.

– Dobrze wiedzieć, że tak ci na nas zależy – sarkastycznie mruknął Eddie.

– Nie zależy. W każdym razie nie na tobie. Ale Jindal i twoja żona muszą coś dla mnie zrobić.

– Co takiego?

Eddie nie spodziewał się wyczerpującej odpowiedzi, ale nie otrzymał żadnej. Pachac z kilkoma ludźmi zbiegli po schodach na plac.

– Stikes! – wykrzyknął podekscytowany przywódca partyzantów. – Jest, jest! Punchaco jest tutaj!

– Znalazłeś je? – spytał najemnik. Pachac podbiegł do niego.

– Tak, tak! W świątyni. Jest... jest wspaniałe. I olbrzymie! Wysokie na co najmniej trzy metry.

– Czyli ponad dwa razy większe od dysku słonecznego z Paititi – stwierdził zamyślony Sti-

kes. – A więc złota jest co najmniej cztery razy więcej.

– Co najmniej. A w dodatku dysk jest wysadzany drogimi kamieniami – diamentami, szmaragdami i innymi!

– To pozwoli sfinansować każdą rewolucję.

Entuzjazm Pachaca opadł.

– Punchaco to najważniejszy symbol mojego narodu. Nie mogę go sprzedać. To by była zdrada.

– A co z resztą złota?

– Nie ma tu więcej złota – oznajmił Peruwiańczyk. – Nic nie znaleźliśmy.

Stikes zmarszczył brwi.

– To nieprawdopodobne. Znajdujemy się przecież w sercu legendarnego złotego miasta. –

Stanął przed Niemcem. – Doktorze Osterhagen, to pan tu jest ekspertem. Gdzie złoto?

– Jedynym złotym przedmiotem, jaki tu znaleźliśmy, jest Punchaco – oświadczył archeolog.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Nie mieliśmy czasu zbadać miasta – wtrąciła Macy. – Dotarliście tu zaraz po nas.

– Jak wam się to udało? – spytał Eddie. – Tylko kilka osób wiedziało dokładnie, dokąd jedziemy.

Stikes uśmiechnął się z zadowoleniem.

– To zasługa twojego ojca.

– Co takiego?

– Zadzwoił do mnie po tym, jak groziłeś mu w Bogocie. Był trochę zaniepokojony, ale zapewniłem go, że nie ma się czym martwić. – Uśmiechnął się szerzej. – Powiedział mi też, że twoja żona jest w Peru i szuka El Dorado. A ja znam kogoś, kto ma tu rozległą sieć kontaktów. – Skinął głową w stronę Pachaca. – Dobiłem targu z Arcaním. Wykorzystał swoich informatorów, sympatyków, a przede wszystkim dealerów, żeby wypatrywać pewnej rudowłosej kobiety podróżującej w towarzystwie grupy cudzoziemców. Wiedzieliśmy, że przyłecielicie do Limy, że spędziliście ostatnią noc w Chachapoyas, że przejechaliście przez wioskę przy drodze. Ale nie dotarliście do kolejnej osady położonej bardziej na północ, a po drodze nie ma wielu miejsc, w których dałoby się zjechać z drogi... więc ludzie Arcaniego musieli tylko znaleźć ślady opon. Łatwizna.

Eddie stłumił wściekłość na ojca i skupił się na bieżącej sytuacji.

– A więc chodzi ci o złoto? Ciekawe, jak dostaniesz swoją działkę, skoro twój nowy kolega nie chce go sprzedać.

Stikes się roześmiał.

– Nie chcę złota, Chase. Nie potrzebuję go. Zgodnie z naszą umową, Pachac musi wypłacić moim ludziom wynagrodzenie i premie, ale może zatrzymać wszystko, co tu znajdzie... poza trzema figurkami, które tak interesują twoją żonę.

Eddie był zaskoczony, ale zauważył, że jeszcze bardziej zszokowany jest Kit.

– Na cholerę ci one? To tylko kawałki kamienia.

– Obaj wiemy, że to nieprawda. – Stikes odwrócił się, kiedy nadbiegli Voeker i Cagg. – I co?

– Nie ma jej tam – powiedział Cagg – ale w pyłe zostały ślady. Zdaje się, że zeszła na dół.

Stikes spojrział w stronę szybu.

– Kurwa mać! Ona nie może uciec. Baine, upewnij się, że nie wyjdzie z tej jaskini. Nie zabijaj jej. Jest mi potrzebna żywa. – Baine uniósł M4 wyposażone w celownik teleskopowy i wybiegł z placu. Przywódca najemników zwrócił się do swoich pozostałych ludzi.

– Rozdzielcie się i poszukajcie jej. Musimy też znaleźć figurki. Gdzie one są, Chase?

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć? – odpowiedział Eddie, kiedy ubrani na czarno mężczyźni rozbiegli się po okolicy. – Cały czas byłem tam na dole i pilnowałem, żebyście się tu nie dostali.

Stikes westchnął, znów wyciągnął pistolet i przystawił go do głowy Macy.

– Czy muszę się powtarzać?

Odezwał się Osterhagen.

– Zostaw ją. Figurki są razem z resztą naszego sprzętu, przed świątynią.

– Proszę mi je pokazać – powiedział najemnik. – Arcani, każ swoim ludziom pilnować po-

zostałych... Nie, zaczekaj. Chcę mieć Chase'a na oku. Prowadźcie ich za nami.

Pachac wydał rozkazy i partyzanci zaczęli pchać więźniów przed sobą, wciąż trzymając ich na muszce.

– Nie możemy oddać mu figurek – zaprotestował Kit.

– Pan akurat nie ma się czym martwić, panie Jindal – oznajmił Stikes. – Pojedzie pan z nimi.

– Po co ci on? – spytał Pachac.

– Jestem poszukiwany po nieudanym przewrocie w Wenezueli – wyjaśnił Stikes. – Oficer Interpolu przyda mi się jako zakładnik, w razie gdyby namierzyła mnie policja.

Eddie zmrużył oczy. Odpowiedź Stikesa była zbyt gładka, zbyt pewna. Poza tym nie miała sensu – branie policjanta na zakładnika nie było dobrym pomysłem. W takich sytuacjach inni gliniarze usiłujący odbić kolegę byli szczególnie zdeterminowani i bezlitośni. Najemnik musiał potrzebować Kita w innym celu.

Pachac też nie wyglądał na przekonanego, ale zadowolił się takim wyjaśnieniem.

– A co ze złotem? – zapytał, wskazując ręką opuszczone miasto, kiedy szli po schodach do świątyni. – Nikt wcześniej nie odkrył tego miejsca po tym, jak opuścili je Inkowie. Musi tu być jeszcze jakieś złoto oprócz Punchaco. Muszę je znaleźć. Potrzebuję go dla rewolucji.

– Rewolucji? – mruknął Zender z pogardą. – Jesteś zwykłym handlarzem narkotykami, niczym więcej.

Pachac skrzywił się z wściekłością i rzucił się na niego.

– Jestem Inkarrí! – warknął. Zender drgnął, ale się nie cofnął. Stał przed przywódcą terrorystów, prawie go dotykając. – Oddam moim ludziom ziemię i władzę, które odebrali im Hiszpanie. Ludzie tacy jak ty! Burżuazyjne marionetki klasy rządzącej! Rewolucja zmiecie was jak śmieci.

– Nie będzie żadnej rewolucji – odpowiedział Zender. – Mamy dwudziesty pierwszy wiek! Komunizm jest martwy. Nawet Chińczycy odrzucili maoizm. Ludzie chcą pracy, pieniędzy i domów, w których będą mogli spokojnie wychowywać dzieci, nie handlujących narkotykami psychopatów, takich jak ty!

Pachac milczał. O narastającej furii świadczyły tylko nabrzmiałe żyły na jego szyi... Nagle z rykiem odpiął od pasa nóż, rozłożył go z metalicznym szczęknięciem i wbił w brzuch urzędnika. Zender krzyknął, kiedy poczuł zagłębiające się w nim ostrze.

Eddie rzucił się na Peruwianczyka, ale inni partyzanci złapali go i odciągnęli na bok. Przerazona Macy odwróciła głowę, kiedy Pachac wyciągnął nóż i obiema rękami chwycił Zendera za gardło. Bryzgając śliną, miotał obelgi w indiańskim języku keczua. Zaciskał ręce coraz mocniej. Jego ofiara osunęła się na kolana.

Zender wił się w konwulsjach. Usiłował odepchnąć Pachaca, ale muskularny rewolucjonista mocno go trzymał. Urzędnik szeroko otworzył usta, bezskutecznie usiłując wciągnąć powietrze przez zmiążdżoną tchawicę. Wydał z siebie zduszony bulgot... potem przewrócił oczami i opadł bezwładnie.

Pachac puścił ciało, które osunęło się na ziemię, wytarł nóż i złożył go.

– A więc to jest twoja specjalność? – spytał Stikes. – Callas mi o niej opowiadał. *Capa...*

– *Capacocha* – wyjaśnił Pachac, przypinając nóż z powrotem do paska. – To starożytny inkaski rytuał, który z dumą przywracam.

– Nie wystarczyłaby ci gra na fletni? – spytał Eddie z obrzydzeniem. Peruwianczyk spojrzał na niego tak, jakby zamierzał wykonać rytuał jeszcze raz, ale potem odwrócił się i poszedł w kierunku wejścia do świątyni. Jego ludzie zaczęli pchać więźniów w tę samą stronę. Ciało Zendera zostało na bruku.

– Gdzie statuetki? – spytał Stikes, kiedy weszli na mały placzyk z fontannami.

– Tutaj – powiedział Osterhagen, prowadząc go do miejsca, gdzie ekipa zostawiła rzeczy. Stikes otworzył walizeczkę i upewnił się, że zawiera komplet figurek.

– Znakomicie – rzucił zadowolony, zamykając wieko i podnosząc walizeczkę. Spojrzał na Eddiego. – Posążki już mam, Jindala też, brakuje tylko twojej żony.

– I złota – wpadł mu w słowo Pachac.

– Tak, i złota. Ale... – najemnik przerwał, kiedy odezwała się jego krótkofalówka. – Tak?

Znaleźliście ją?

– Nie, sir! – pospiesznie powiedział jeden z jego ludzi. – Ale znaleźliśmy dwóch ludzi Pachaca, martwych i bez broni.

Stikes natychmiast zrozumiał, co to oznacza.

– Ona nie zamierza uciec. Chce odbić pozostałych! Wszyscy z powrotem do mnie, jesteśmy na poziomie powyżej placu. – Trzymając walizkę pod pachą, podszedł do Eddiego. – Dawalesz jej lekcje survivalu?

– Owszem – potwierdził Chase, zastanawiając się co, do cholery, wyprawiają Nina i Mac. – Potrafi o siebie zadbać.

– A czy będzie umiała zadbać o ciebie? – Stikes znów wyciągnął pistolet, jednak tym razem mierzył do Eddiego, nie do Macy. – Doktor Wilde! – krzyknął. Jego głos rozniósł się echem w jaskini. – Doktor Wilde, trzymam pani męża na muszce. Ma pani dziesięć sekund, aby ujawnić swoją pozycję i się poddać. Inaczej zabiję jego, a potem pozostałych!

Przeżrana Macy chwyciła za ramię Osterhagena. Stikes podszedł bliżej do Eddiego, trzymając broń kilka centymetrów od jego twarzy. Pierwsi powracający najemnicy wbiegli na plac i wymierzili z M4 w pozostałe drogi wejścia i budynki.

– Dziesięć – powiedział Stikes. – Dziewięć! Osiem...

– No tak, Aleksandrze – odezwał się głos ze szkockim akcentem. – Zawsze lubiłeś dramatyzować.

Wszyscy wbili wzrok w Maca stojącego na tarasie piętro wyżej, z odbezpieczonym karabinem, który znalazł przy jednym z partyzantów zastrzelonych przez Eddiego. Najemnicy i terroryści wymierzili w niego broń. Stikes był zszokowany widokiem niespodziewanego przybysza, ale szybko ukrył zaskoczenie.

– Proszę, proszę, McCrimmon. A co ty tu robisz, na litość boską?

– Przyjechałem na wakacje – odpowiedział Mac. – Wypuść ich.

Stikes roześmiał się z przekąsem.

– Raczej nie. – Nadal mierzył z jericho w głowę Eddiego. – Na czym to ja stanąłem? Ach tak. Siedem! Sześć! Pięć!

– Ostrzegam cię, Aleksandrze! – krzyknął Szkot, celując z karabinu do przywódcy najemników.

– A ja ostrzegam ciebie. Trzy! Dwa! Jeden...

– Niech to! – warknął Mac, rzucił kałasznikowa na plac i podniósł ręce.

– Nie strzelać! – nakazał Stikes, zwracając się bardziej do partyzantów Pachaca niż do swoich ludzi. – Chodź tu, McCrimmon.

Przyjaciół Eddiego ruszył w stronę najbliższych schodów.

– A więc tak skończyłeś, Aleksandrze? – spytał. – Współpracujesz z maoistycznymi mordercami, rabujesz i plądrujesz? Zajęło ci to jedenaście lat, ale w końcu pokazałeś prawdziwe oblicze.

– Nie rób z siebie cholernego świętego – wycedził Stikes. – Sam nie masz czystych rąk. Ilu ludzi zginęło podczas twoich fuch dla MI6? A twój pupilek? – Wskazał lufą pistoletu w stronę Eddiego. – To cud, że nie skończył w więzieniu po tym, ile bałaganu narobił na całym świecie.

Szkot uśmiechnął się z przekąsem, schodząc w dół.

– Miałem nadzieję, że po tamtym oficjalnym śledztwie wbiłeś sobie do głowy, że do jednych ludzi powinno się czasem strzelać, do innych w żadnym razie nie.

Stikes gniewnie zmrużył oczy.

– Tobie zaraz wbije się do głowy kula, jeśli nie... – Pohamował się. – Brawo, Mac – rzucił drwiąco. – Prawie ci się udało.

– Co takiego? – spytał Szkot z miną niewiniątka, wchodząc na plac. Otoczyli go ludzie Pachaca.

– Wciągnąć mnie w kłótnię o tym, jak próbowałeś zniszczyć moją reputację w jednostce. To by mnie zajęło na kilka minut. – Podejrzliwie przyjrzał się sąsiednim budynkom. – W ten sposób doktor Wilde miałaby dość czasu, żeby zrobić to, co planujecie.

– Szczerze mówiąc, już to zrobiłam – krzyknęła Nina.

Jej głos dobiegał z góry. Wszyscy zgromadzeni na placu spojrzeli na taras, ale był pusty. Nina stała jeszcze wyżej, na dachu pałacu. Przyglądała im się z najwyższego punktu w mieście.

Mierząc w nich z wyrzutni rakiet.

– No dobra – ciągnęła dalej, widząc, że przyciągnęła uwagę wszystkich. – Robimy tak. Albo wypuścicie wszystkich, albo... bum!

– Skarbie – odezwał się zaniepokojony Eddie. – To się nie sprawdziło u Indiany Jonesa, u nas też się nie sprawdzi. – Promień rażenia głowicy z RPG-7 był stosunkowo mały... ale wystarczyłoby aż nadto, żeby rozerwać na strzępy wszystkich stojących na placu – i złych, i dobrych.

Chase napotkał wzrok Maca. Starszy mężczyzna spojrzął na niego porozumiewawczo. Nie do końca uspokoiło to Eddiego, ale dało mu nadzieję, że Nina ma jednak lepszy plan.

Na Stikesie groźby nie zrobiły wrażenia.

– Mam uwierzyć, że zabiłaby pani męża i przyjaciół? – Szybko rozejrzał się dookoła. Ostatni najemnicy wrócili na plac i natychmiast wymierzili w kobiety z karabinów.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała Nina. – Chciałam tylko dać im znać, po co wlałam tak wysoko.

– Po co?

Nina przechyliła głowę w bok i się uśmiechnęła.

– Żeby wyciągnąć korek.

Schyliła się, znikając Stikesowi z oczu, obróciła i przyklęła na jedno kolano, żeby wycelować.

Eddie zrozumiał, co miała na myśli, w tej samej chwili co Macy, Kit i Osterhagen.

– Znów się zamoczymy...

Nina pociągnęła za spust.

Najpierw wybuchł niewielki ładunek prochu. Granat wystrzelił i przeleciał obok Niny, po czym zapalił się główny ładunek raketowy i głowica pomknęła w stronę tylnej ściany jaskini z prędkością ponad tysiąca kilometrów na godzinę. Uderzyła w mur, którym Inkowie zagrodzili rzekę, i eksplodowała.

Odgłos wybuchu odbił się echem, a chwilę potem rozległ się inny dźwięk – głuchy łoskot.

Za starożytną tamą znajdowały się setki tysięcy litrów wody. Mimo zmiany biegu rzeki, poziom wody uchodzącej jedynie przez wąską szczelinę nie zdążył jeszcze opaść.

Otwór zaczął szybko się poszerzać.

Huk pękających kamieni był coraz głośniejszy, w końcu stał się ogłuszający i mur runął.

Jaskinię zalała woda.

Fontanny zmieniły się w gejzery, kiedy ciśnienie wody wzrosło stukrotnie. Okolice pałacu eksplodowały wodą, która zalała taras i zaczęła spływać po szerokich schodach, w kierunku zaskoczonych ludzi stojących poniżej.

Mac chwycił Macy z krzykiem:

– Uciekaj! – Kobieta rzuciła się do biegu. Szkot ruszył za nią.

Eddie pobiegł w kierunku najbliższego schronienia – Świątyni Słońca. Przebiegając obok Osterhagena, szarpnął go za ramię. Miał nadzieję, że Niemiec ruszy za nim. Kit, stojący nieco dalej, rzucił się w kierunku wyjścia z placu.

– Ewakuacja! – ryknął Stikes, biegnąc w stronę schodów na bocznej ścianie świątyni. Jego ludzie ruszyli za nim.

Pachac i jego partyzanci zareagowali najpóźniej. Nie znali planu Niny i nie byli tak dobrze wyszkoleni, jak najemnicy. Otrząsnęli się ze zdumienia i rzucili do ucieczki, kiedy wielka fala była tuż przed nimi.

Macy wskoczyła na mur sekundę przed tym, jak przetoczyła się pod nim woda. Biegnący dwa kroki za nią Mac, którego spowalniała proteza, miał mniej szczęścia – spieniony nurt porwał jego, potem Pachaca, pozostałych partyzantów i Kita i poniósł ich po schodach na niższe poziomy miasta.

Kiedy Eddie i Osterhagen wbiegali do świątyni, uderzyła w nich fala. Rzuciła nimi o ścianę i porwała ich do komnaty Punchaco.

Na zewnątrz Stikes i jego ludzie zmienili kierunek i zamiast wbiegać po schodach świątyni, wskoczyli na wąską półkę ciągnącą się wzdłuż jej bocznej ściany. W ten sposób w ostatniej chwili uniknęli porwania przez rwący strumień. Większość wody popłynęła w dół szerszą i bardziej stromą trasą, ale potok zdążył jeszcze zwalić z nóg ostatniego z kolumny najemników, który z krzykiem wpadł w spieniony nurt.

Mac, któremu zaczynało już brakować powietrza, zdołał wynurzyć głowę i zobaczył, że znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Droga prowadząca w dół do miasta skręcała u podstawy schodów niemal pod kątem prostym. Woda za chwilę miała rzucić Szkotem o mur.

Przeplątywał właśnie obok dwóch ciasno ustawionych budynków, między którymi znajdowała się wąska szczelina...

Wyrzucił do przodu lewą nogę. Stopa zaklinowała się między budynkami, a kostka protezy wygięła się pod nienaturalnym kątem, przytrzymując go w miejscu.

Sztuczna noga skrzypiała i napinała się, a paski mocujące ją do kolana mogły w każdej chwili się zerwać. Ignorując wodę bijącą go po twarzy, Szkot zgiął się wół i oburącz chwycił protezę, żeby odciążyć mocowania.

Czyjaś ręka zacisnęła mu się na ramieniu. Pachac uwiesił się na nim całym ciężarem, proteza niebezpiecznie się napięła... ale Peruwianczyk się ześliznął i popłynął dalej z prądem.

Kit także zauważył mur. Wstrzymał oddech, wiedząc, że nie uda mu się uniknąć zderzenia...

Prąd poniósł obok niego pechowego najemnika i cisnął mężczyznę o ścianę. Było słychać, jak od uderzenia pękają mu żebra. Kit zawirował w wodzie i zauważył kolumny przed jednym z budynków. Uchwycił się ich. Prąd zepchnął go z pierwszej, ale udało mu się przytrzymać drugiej. Wisiał na filarze, a woda przemykała obok niego, unosząc pozostałych w dół.

Stikes i ocalała część jego oddziału przeskoczyli z półki, którą zaczęła zalewać woda, na ściany pozbawionych dachów budynków na poziomie poniżej świątyni. Za nimi rozlał się wodospad.

– Kurwa mać! – syknął Baine. – Ta ruda dzzira jest jakaś pojebana!

– Nie zatrzymywać się – nakazał Stikes, sprawdzając drogę w dół. Poruszając się po da-



chach, mogli utrzymać się nad wodą i dotrzeć do helikoptera. Nadal trzymał w ręku walizkę z figurkami. Upewnił się, że jest bezpiecznie zamknięta, i jako pierwszy ruszył przez ruiny.

Na placu Gurow i Krikorian przerwali sprawdzanie maszyny, kiedy usłyszeli odgłos wybuchu i huk wody, ale żaden z nich nie domyślił się, co się stało – do chwili, kiedy zobaczyli falę nad budynkami powyżej. Gurow przez chwilę wpatrywał się w spływający strumień, potem wczuł się do otwartego tylnego kokpitu.

– Ja odpalę silnik, ty zamknij właz! – wrzasnął do Krikoriana. Rosjanin otworzył panel kontrolny, żeby dostać się do silników śmigłowca. Krikorian przymknął go i zaczął szamotać się z zatraskami. Woda rozlała się po placu, pieniać się wokół podwozia hinda.

Rwący nurt poniósł Eddiego i Osterhagena wzdłuż łukowatej ściany komnaty i cisnął nimi o Punchaco. Eddie jedną ręką uchwycił się grubej krawędzi złotego dysku, drugą rozpaczliwie szukał punktu zaczepienia – aż trafił na otwarte usta płaskorzeźby przedstawiającej boga Inti.

– Trzymaj się mnie! – krzyknął. Osterhagen chwycił go w pasie. Poziom wody w zamkniętej przestrzeni podnosił się z każdą sekundą...

Ściana pod oknem pękła i się rozsypała.

Eddie omal nie ześliznął się z dysku pod naporem wody spływającej przez nowo powstały otwór. Strumień rozlał się na budynki poniżej, unosząc ze sobą popękane kamienie i odsłaniając to, co znajdowało się pod nimi.

Nina stała na dachu pałacu, obserwując rozlewającą się wodę. Czowała się rozdarta. Wyrzutnia rakiet, którą teraz przewiesiła przez plecy, dała Eddiemu i pozostałym szansę ucieczki, ale wciąż byli w niebezpieczeństwie. Dostrzegła Macy ostrożnie wspinającą się na dach budynku odciętego przez wodę, ale pozostali członkowie ekspedycji zniknęli jej z oczu. Ruiny miasta były w niebezpieczeństwie. Na jej oczach ściana za plecami Macy runęła jak zamek z piasku pod naporem wzbierającej wody.

Pałac zaczął trząść się pod stopami. Zaniepokojona rozejrzała się wokół. Spływająca woda, uderzając w budynek z całym impetem, wepchnęła fragment jego tylnej ściany do wewnątrz. Podtrzymujące pałac filary zaczęły przewracać się jak kostki domina, waliły się kolejne fragmenty budynku znajdujące się coraz bliżej Niny...

Kobieta krzyknęła i zeskoczyła z dachu tuż przed tym, jak się zawalił. Wylądowała twardo na murze poniżej. Woda i piana rozchlapwały się jej nad głową. Gwałtownie wciągnęła powietrze i obejrzała się na zawaloną część pałacu...

Widok zaskoczył ją tak, że zapomniała o bólu i strachu.

Pachac miał rację. W murach opuszczonego miasta ukryto więcej złota. Dosłownie „w murach”. Za starannie dopasowanymi kamieniami, z których zbudowany był pałac, błyszczały sztaby odlane z drogiego kruszcu. Inkowie ukryli przed Hiszpanami nie tylko Punchaco. W ścianach pałacu zamurowana była niewyobrażalna fortuna. Mimo niebezpieczeństwa Nina się roześmiała.

Eddie dokonał podobnego odkrycia w świątyni.

– Doktorze! – krzyknął. – Niech pan spojrzy na ścianę!

Osterhagen mocno stanął na nogach, obrócił się i krzyknął. Z krawędzi wybitego przez wodę otworu wystawały złote cegły lśniące w słońcu wpadającym przez wylot jaskini.

– Złote miasto! – krzyknął. – A więc legenda jest prawdziwa!

Światło nagle stało się jaśniejsze.

Fala uderzyła w blanki. Zbiornik wypełnił się błyskawicznie, w powietrze wzbijała się fontanna z otworów odpływowych, które nie nadążały z odprowadzaniem olbrzymiej ilości wody. Część strumienia wpadła do szybu, zmywając po drodze ciała partyzantów Pachaca, ale to nie wystarczyło, by zmniejszyć ciśnienie.

Duży fragment muru zasłaniającego wylot jaskini wybrzuszył się i runął w dół z ogłuszającym hukiem. Woda zaczęła spływać nowo utworzonym korytem przez gruzy do opustoszałej niecki u podnóża wodospadu. Koryto rzeki, którą spływała woda, napełniło się ponownie i strumień popłynął przez dżunglę ku dolinie.

Ciśnienie wody zaczęło się zmniejszać. Podwodny zbiornik był już prawie pusty. Huk wody zmienił się w cichy pomruk.

Usłyszał to Stikes, który wspinał się właśnie na kolejny dach. Najemnik spojrzął na wzgórze. Strumień wody słabł. Nadal płynęła ona po ulicach, ale potok nie był już tak rwący.

Mężczyzna nie zamierzał jednak zmieniać planów. Wiedział, że duża część inkaskiego miasta uległa zniszczeniu, wszędzie wokół siebie słyszał łoskot spadających kamieni. Uznał, że im szybciej znajdzie się w helikopterze razem ze swym łupem, tym lepiej.

„Ze swymi łupami”, poprawił się w myślach, kiedy usłyszał kolejne dźwięki: kaszel i jęk. Nieopodal zobaczył Kita wczepionego w kolumnę, starającego się oprzeć nurtowi. Stikes wyciągnął pistolet i wycelował w Hindusa.

– Jindal! – Agent Interpolu spojrzął na niego półprzytomnie. Najpierw wyglądał na zaskoczonego, potem na zszokowanego jego widokiem. – Nie ruszaj się. Mam do ciebie sprawę.

Nurt wody napierający na Maca osłabł. Szkot zmienił pozycję. Przez cały czas trzymając protezę jedną ręką, drugą chwycił wystający kamienny blok i podciągnął się wyżej. Przerzucił ciężar ciała na prawą nogę, uwolnił zaklinowaną stopę i opadł na ziemię. Woda sięgała mu do kolan, ale jej poziom szybko opadał.

Zaczął brodzić z powrotem w kierunku placu, rozglądając się za przyjaciółmi. Z irytacją odkrył, że kuleje. Napór wody wykrzywił protezę.

– Ciężko będzie skopać tym komuś tyłek – mruknął.

Gurow zakończył sprawdzanie śmigłowca przed startem i obrócił się na siedzeniu w stronę Krikoriana.

– No dalej, zamknij tę pieprzoną klapę!

Armeńczyk mocował się z zatraskiem.

– Nie mogę! Zacięło się! – Walnął w panel pięścią, próbując zamknąć go na siłę.

Nurt wody zwalniał, ale Gurow chciał jak najszybciej wydostać się z jaskini.

– Odpalam. Zamknij to cholerstwo, zanim wystartujemy!

Przesunął kilka przełączników i silniki obudziły się z wyciem turbin, a ciężkie łopaty wirników zaczęły się obracać.

Niżej, na wzgórzu, przemoczony Pachac wydostał się z wody po krótkich schodach. Jeden z jego ludzi stał już na brzegu, ciężko dysząc i ściskając krwawiące ramię, nieopodal słychać było jęki i wołanie o pomoc.

– Towarzysze! Słyszycie mnie? – krzyknął. – Kto jest wciąż ze mną?

Pozostali przy życiu partyzanci po kolei odpowiadali na wołanie. Z liczącego ponad dwudziestu ludzi oddziału ocalało ośmiu.

– Co dalej, Inkarri? – spytał jeden z mężczyzn.

Pachac spojrzął w stronę wylotu jaskini. Teraz, kiedy zawaliła się część muru, droga do dżungli stała otworem.

– Musimy się stąd wydostać i wezwać pozostałych członków Prawdziwego Czerwonego Szlaku – oświadczył. – Jest tu Punchaco. Nie możemy dopuścić, żeby wpadło w ręce władz. Potrzebujemy więcej ludzi, żeby je stąd wywieźć.

– Ale dysk jest olbrzymi, waży wiele ton! – zaprotestował inny partyzant. – Jak go przewieziemy?

– Ukradniemy ciężarówkę! – odparł Pachac, po czym dodał, wskazując dwóch ludzi: – Mauro, Juan, po naszym odejściu pilnujcie jaskini. Jeśli ktoś z ekipy archeologicznej przeżył i będzie próbował uciec, zabijcie go.

Peruwiańczycy odwrócili głowy, słysząc ryk silników hinda.

– A co z najemnikami? – spytał ten, który odezwał się jako pierwszy.

– Stikes dostał to, po co przyjechał, te figurki – odpowiedział Pachac. – Jeśli spróbuje sięgnąć po coś więcej... jego też zabijemy! – Spojrzął w stronę zawalonego muru. – Woda opada. Teraz będziemy mogli się stąd wydostać. Ruszajmy.

Eddie przedzierał się przez wodę w kierunku zawalonej ściany świątyni. Osterhagen szedł za nim.

– To niewiarygodne – wysapał Niemiec. – Jeśli złoto znajduje się za wszystkimi ścianami, będzie warte setki milionów dolarów!

– Na pana miejscu zacząłbym negocjować znaleźne... – Chase przerwał, zapominając o zło-  
cie, kiedy zobaczył plac. Hind przygotowywał się do startu, a bliżej, pomiędzy świątynią a helikop-  
terem, Stikes z czterema ludźmi ostrożnie przeskakiwali po murach w stronę maszyny.

Mieli więźnia. Baine trzymał na muszce Kita.

– Doktorze, proszę tu poczekać – nakazał Eddie. Nie czekając na odpowiedź Niemca, prze-  
szedł przez otwór w ścianie, zeskoczył w ruiny budynku poniżej i ruszył po grubych murach za na-  
jemnikami.

Woda przepływająca obok kryjówki Niny w końcu przestała wyglądać niebezpiecznie. Ko-  
bieta zeskoczyła na ziemię i poszła w stronę tarasu wychodzącego na plac.

Ucieszyła się, widząc w dole znajomą twarz.

– Mac! – krzyknęła, ostrożnie pokonując schody, po których wciąż płynął wodospad, i pod-  
biegła do mężczyzny. – Jesteś cały!

– Mojemu ortopedzie się to nie spodoba – odpowiedział Szkot, unosząc nad wodę wykrzy-  
wioną protezę – ale poza tym faktycznie nic mi nie jest. Co z pozostałymi? Widziałas ich?

Nina spojrzała w bok.

– Macy jest gdzieś tam. Wspięła się na dach budynku, chyba nic jej się nie stało. Nikogo  
poza tym nie widziałam. Wiesz, gdzie pobiegł Eddie?

– Zdaje się, że do świątyni. – Mac spojrzał na wyrzutnię rakiet. – Oddaj mi to, proszę.

Nina wręczyła mu broń.

– Co chcesz z tym zrobić?

– Helikopter Stikesa przygotowuje się do startu. Jeśli zapasowa głowica wciąż jest tam,  
gdzie ją zostawiliśmy, postaram się, żeby nie miał miękkiego lądowania.

– Przyślę do ciebie Eddiego – rzuciła w pośpiechu Nina i pobiegła w stronę świątyni. Mac  
uśmiechnął się i najszybciej, jak mógł, poszedł, kulejąc, w dół wzgórza.

Dwa poziomy budynków rozdzielał wąski, wciąż zalany wodą zaułek. Eddie przeskoczył  
nad nim, lekko się chwiejąc, wylądował na niższym murze po drugiej stronie i pobiegł dalej za na-  
jemnikami.

Mężczyźni wciąż mieli broń i gdyby któryś z nich się obejrzał, Chase miałby kłopoty, ale  
uciekający skoncentrowali się na trzech rzeczach: czekającym helikopterze, więźniu i utrzymaniu  
równowagi podczas skoków po murach. Eddie myślał tylko o tym, żeby ich dopaść. Szybko skracał  
dystans, ścinając zakręty.

Stikes, prowadzący kolumnę, zeskoczył na niższy poziom i zniknął mu z oczu. Za nim sko-  
czył Voeker. Kit, który był następnym w kolejce, zawahał się.

– Złaż tam, kurwa – warknął Baine, dźgając go lufą M4. Dwaj pozostali mężczyźni, którzy  
nie mogli ich wyminąć, zatrzymali się. Kit obejrzał się za siebie i zrobił zdziwioną minę. Baine, wi-  
dząc to, też się odwrócił...

Najemnik zamykający pochód niósł karabin na ramieniu. Eddie chwycił broń, odwrócił ją  
i z bliska strzelił mu w plecy.

Kule przebiły się przez ciało mężczyzny i trafiły Cagga. Były spowolnione po uderzeniu  
w pierwszą ofiarę, ale leciały wystarczająco szybko, by wbić się w tors najemnika. Mężczyzna za-  
chwiaił się, wytrzeszczył oczy i runął w dół do zalanego wodą budynku.

Eddie usiłował wyciągnąć karabin, który pierwszy mężczyzna przygniótł, upadając. Baine  
uniósł broń...

Kit rzucił się na niego i wytrącił mu M4 z rąk. Broń odbiła się od ściany i wylądowała nie-  
daleko ciała Cagga. Baine stracił równowagę. Hindus pchnął go i zrzucił z muru na niższy poziom.

Eddie wreszcie wyszarpnął M4 spod zwłok, które zsunęły się na drewnianą krokiew i zawi-  
sły na niej rozkrzyżowane.

– Kit! Jesteś cały?

– Tak. Dziękuję! – oficer Interpolu uśmiechnął się z ulgą.

Chase podbiegł do niego i zobaczył w dole Stikesa i Voekera. Szef najemników nadal trzy-  
mał walizkę z figurkami. Chase wycelował M4, ale zanim zdążył wystrzelić, Stikes i jego towa-  
rzysz zeskoczyli na plac i osłoniły ich grube kamienne mury.

Eddie znalazł jednak nowy cel. Hind wciąż rozgrzewał się do startu. Chase zobaczył, jak mężczyzna w kombinezonie spadochronowym zatrzaskuje klapę w osłonie silnika. W otwartym kokpicie rozpoznał kanoniera. Tego samego, który urządził rzeź w Caracas. Bez wahania wycelował i strzelił. Maskujący wzór kombinezonu zabarwił się na czerwono. Krikorian skulił się i runął na ziemię, odbijając się od skrzydła śmigłowca.

Tylny kokpit był zamknięty, a kule z M4 nie zdołałyby się przebić przez osłonę, Eddie nie miał więc szans trafić pilota. Zamierzał za to rozprawić się z jego szefem.

– Wracaj do świątyni – powiedział do Kita. – Jest tam Osterhagen. Poszukajcie Niny i pozostałych.

– A ty dokąd?

– Dorwać Stikesa!

– Chcesz odebrać mu figurki?

– Po prostu chcę go zabić!

Kit pobiegł w kierunku świątyni, a Eddie przesunął się na skraj muru i skierował broń w stronę niższego poziomu budynków. Nigdzie nie widział Baine'a. Wąskim zaułkiem pomiędzy niższymi zabudowaniami wciąż płynęła woda. Chase wskoczył na mur i pobiegł wzdłuż niego, cały czas rozglądając się za byłym towarzyszem broni, ale zapomniał o Bainie, kiedy zobaczył Stikesa biegnącego do helikoptera. Uniósł broń, wymierzył w niego...

Czyjeś dłonie zacisnęły mu się wokół kostek.

Baine wychylił się z ukrycia i zaczął z całej siły ciągnąć go w dół. Eddie stracił równowagę i upadł.

Wylądował na najemniku i zepchnął go do tyłu. Obaj mężczyźni wylądowali w zaułku, a woda porwała ich w dół.

Kit ruszył w drogę po dachach. Nagle uświadomił sobie, że nie skorzystał z okazji, by się uzbroić na wypadek, gdyby natknął się na Pachaca i jego ludzi. Chciał zawrócić i wziąć jeden z porzuconych karabinów, ale zauważył, że martwy najemnik leżący na krokwi dachowej ma przy pasie kaburę. Wyciągnął z niej pistolet, automatycznego steyra M9-A1, szybko sprawdził, czy w magazynku jest wszystkie piętnaście nabojęw i ruszył dalej.

Nina weszła do świątyni i zobaczyła Osterhagena wyglądającego przez zawałoną ścianę.

– Leonard! Nic ci nie jest?

Niemiec pokręcił głową.

– A tobie?

– Jestem cała. Gdzie Eddie?

– Udało mu się zastrzelić kilku najemników, ale właśnie spadł z muru!

Nina podbiegła do otworu, ignorując złoto, i zaczęła wypatrywać męża.

– Gdzie?

Niemiec wskazał rząd budynków poniżej. Nina zobaczyła Kita, który szedł po murze, wymachując rękami jak linoskoczek, żeby utrzymać równowagę, ale Eddiego nigdzie nie było widać.

– Cholera jasna! – Wybiegła ze świątyni i zbiegła po schodach.

Macy ostrożnie zeszła z dachu.

– Fuj, ohyda... – mruknęła, kiedy zimna, błotnista woda nalała się jej do butów. Strumień nie był teraz zbyt rwący i sięgał jej do kostek, ale nadal bała się, że straci równowagę. Podpierając się jedną ręką o ścianę, ruszyła w dół.

– Kit! Tutaj!

Hindus rozejrzał się i zobaczył Maca wychodzącego z budynku. Szkot niósł RPG-7, uzbrojonego w ostatnią głowicę.

– Mac! Cieszę się, że cię widzę – powiedział Kit z ulgą.

– I nawzajem. – McCrimmon zauważył pistolet. – Jesteś uzbrojony. Dobrze. Chodź tutaj.

Nina i Macy są całe. Widziałeś kogoś poza nimi?

Kit zeskoczył z muru i ruszył przez wodę w kierunku starszego mężczyzny.

– Eddie uratował mnie przed Stikesem i jego ludźmi.

Szkot z aprobatą pokiwał głową.

– Zuch chłopak. Gdzie jest teraz?

– Poszedł za Stikesem.

Tym razem Mac nie był zadowolony.

– Psiakrew! Jeśli podejdzie za blisko...

– Za blisko czego?

Szkot uniósł w górę wyrzutnię rakiet.

– Nie będę mógł tego użyć.

– Chcesz wysadzić helikopter? Ale Stikes ma figurki.

– Mam większe zmartwienia – zauważył McCrimmon i dodał, wskazując na wieżę, którą członkowie ekspedycji mijali po drodze na plac. – Stamtąd powinienem go trafić, zanim wystartuje. Chodź! – Kulejąc, potruczał w stronę wieży.

Kit ruszył za nim. Hindus wyglądał na zaniepokojonego.

Stikes i Voeker dotarli do hinda i wskoczyli do środka przez otwarty tylny właz. Szef najemników szybko założył słuchawki.

– Gurow! Startuj, natychmiast!

– Nie da rady! – odpowiedział pilot. – Jest problem z ciśnieniem oleju w lewym silniku.

Muszę powoli zwiększać obroty.

– Ile to potrwa?

– Minutę. Co z pozostałymi?

– Nie ma już na kogo czekać – beznamytnie oświadczył Stikes. – Poza tym, mam to, po co przyjechałem – dodał, położył walizkę na wolnym siedzeniu obok siebie i przypiął pasami.

Stromy zaułek prowadził do szerszej, mniej zalanej ulicy. Nurt wody wepchnął Eddiego do jednego z małych grobowców. Ciasno owinięte mumie, zalane i nasiąknięte wodą, zachrzęściły pod jego ciężarem. Zamroczony po niekontrolowanym zjeździe na kamiennej zjeżdżalni Chase wstał...

Baine wpadł do grobowca, rozbryzgując pianę, i wbił Eddiemu but w brzuch.

– Jak tam, Yorkuś?! – krzyknął, kiedy jego ofiara zgięła się wpół, po czym kopnął jeszcze raz w to samo miejsce. – A masz! W Caracas zламаłeś mi, kurwa, ząb. Wiesz, jak chujowi są tamtejsi dentyści? – Nie przestawał kopać. Eddie osunął się na ziemię w rogu pomieszczenia, rozrzucając kości i przedmioty rytualne. Baine poszedł bliżej. – Skręcę ci, kurwa, kark...

Eddie zamachnął się kawałkiem bandaża jak procą. Za nabój posłużyło mu ramię jednego ze szkieletów. Kości uderzyły Baine'a w skroń. Eddie poprawił pięścią. Uderzał z niewygodnej pozycji, więc cios nie był zbyt silny, ale wystarczył, by potężny mężczyzna się odsunął. Eddie wstał, tłumiąc jęk.

– Nie dałbyś rady skrócić nawet kostki, pieprzony londyński gogusiu.

Baine zacisnął pięści.

– Zawsze musisz pieprzyć takie farmazonę, co? Ja tam wolę...

Urwał nagle i wyprowadził mocny cios w głowę Eddiego. Chase ledwo zdążył się uchylić, knykcie Baine'a musnęły jego ucho. Podczas szkolenia wojskowego nauczył się, że mówienie wymaga zaskakująco dużego skupienia uwagi i utrudnia szybkie reagowanie, ale Baine przeszedł to samo szkolenie i teraz wykorzystał zdobytą wiedzę, żeby zaatakować z zaskoczenia.

Wyprowadził kolejny cios, zmuszając Eddiego do cofnięcia się. Zrobił krok w przód, unosząc pięści w pozycji bokserskiej. Chase uświadomił sobie, że przeciwnik chce przygwoździć go w narożniku, podniósł gardę... i dostał potężnego kopniaka, który o włos minął krocze. Najemnik najwyraźniej doszkolił się przez ostatnich dziesięć lat – poza boksem znał teraz kickboxing.

Baine uśmiechnął się złośliwie.

– Tego się nie spodziewałeś, co? Mogę cię załatwić albo nogami, albo rękami.

Kilka razy zamarkował cios. Eddie się zasłonił, ale wiedział, że w zamkniętej przestrzeni nie będzie w stanie odeprzeć agresywnego ataku.

– Spowolniałeś, Yorkuś! W małżeństwie tak jest, robi się z człowieka bezużyteczny, gruby chuj. – Przyjrzał się włosom Eddiego. – I w dodatku łysy...

Chase uderzył, tym razem mocno trafiając Baine'a w dolną szczękę. Od ciosu popękała mu skóra na knykciach, ale jego przeciwnik ucierpiał bardziej – miał rozdartą wargę i pękniętą przegro-

dę nosową. Najemnik cofnął się chwiejnie, plując krwią.

Tym razem to Eddie kopnął – ale, mimo bólu, Baine odruchowo uchylił się przed ciosem w krocze i, warcząc, rzucił się na dawnego towarzysza broni. Eddie znów go uderzył, ale nie udało mu się uniknąć zderzenia ani rzucenia na ścianę.

– Ty skurwysynu! – wrzasnął Baine podczas szarpaniny. Był większy i cięższy, co dawało mu przewagę w walce. Udało mu się zepchnąć przeciwnika w róg grobowca i wbić mu w brzuch kolano.

Eddie spazmatycznie wciągnął powietrze i próbował się wyprostować, ale Baine z trzaskiem uderzył jego głową o kamienną ścianę. Zamroczonego Chase nadal usiłował wstać...

Ramię Baine'a zacisnęło się wokół jego szyi jak stalowa obręcz, pozbawiając go tchu.

Mac wbiegł schodami na wieżę, Kit znalazł się na miejscu tuż za nim. Zgodnie z przewidywaniami Szkota, z budynku roztaczał się znakomity widok na plac.

Hind wciąż stał na ziemi, ale powietrze wypychane przez wirnik wzbijało wokół coraz większe fontanny piany. Maszyna była już prawie gotowa do startu. Szkot uniósł RPG-7 i spojrział przez celownik. Rosyjska wyrzutnia nie była szczególnie precyzyjna, ale aby trafić z niewielkiej odległości w duży, nieruchomy cel, wystarczyło skierować ją we właściwą stronę i nacisnąć spust.

– Mac, co, jeśli Eddie tam jest? Możesz go zabić – zaprotestował Kit.

– Nie ma go na placu, więc jest bezpieczny – odpowiedział Szkot, kierując celownik na hinda. – Mam go na linii ognia!

– Nie, Mac, jeśli dowiedzą się, że mamy rakietę, poddadzą się.

– Kit, strumień gazów wylotowych z wyrzutni może cię zabić – warknął zniecierpliwiony McCrimmon. Wirniki śmigłowca właśnie osiągnęły pełną moc. Maszyna miała unieść się w powietrze za kilka sekund. – To nasza ostatnia szansa – odsuń się.

Kątem oka zobaczył, że Kit odsuwa się od rakiety, i znowu spojrział w celownik. Odbezpieczył broń, mocno zaparł się na nogach i położył palec na spuście...

Dwie kule trafiły go w plecy.

Mac runął na ziemię zamroczonego bólem. Z ran trysnęła krew. RPG-7, który nie zdążył wystrzelić, upadł obok mężczyzny.

Kit stał jak skamieniały, ściskając w dłoni dymiącego steyra, zszokowany tym, co przed chwilą zrobił. Otworzył usta, jakby chciał przeprosić albo przyznać się do winy... Po chwili gwałtownie zacisnął je w grymasie zdecydowania i zbiegł po schodach, zostawiając umierającego.

Eddie wierzgał nogami i próbował wyrwać się Baine'owi, ale nie mógł uwolnić się od muskularnego ramienia zaciskającego się wokół jego szyi. Z każdym kolejnym oddechem zmniejszało się jego pole widzenia. Po omacku próbował znaleźć w ruinach grobowca cokolwiek, czym mógłby się posłużyć jako broń, ale natrafiał tylko na płótno i wyschnięte ciała.

Ogarniała go ciemność. Widział już tylko wykrzywioną twarz Baine'a i wejście za jego plecami.

Nagle widok się zmienił.

Próbował coś powiedzieć, ale udało mu się tylko zaskrzeczeć. Baine nachylił się niżej, z okrutnym uśmiechem na ustach.

– Mówiłeś coś, Yorkuś?

– W małżeństwie... – wychrypiał Chase.

Zdziwiony Baine lekko poluzował uścisk na szyi ofiary.

– W małżeństwie człowiek łysieje i tyje. Coś jeszcze?

Eddiemu udało się wykrztusić kolejne słowa:

– ... zawsze – masz – kogoś – za sobą. – Ku zdziwieniu Baine'a, grymas bólu na jego twarzy zmienił się w krzywy uśmiech. – Na przykład teraz!

Zmumifikowana czaszka roztrzaskała się na głowie najemnika.

Stojąca za nim Nina spojrzała na obolałą rękę.

– Cholera, to naprawdę bolało. Psiakrew! – dodała, kiedy Baine otrząsnął się z szoku i spojrzał na nią przez ramię.

– Tak, to bolało, ty zdiro! – warknął, plując krwią i odwrócił się w stronę kobiety. Uwolniony z uścisku Eddie opadł na mokrą posadzkę pomiędzy artefakty pogrzebowe.

Doktor Wilde wymachiwała czaszką, ale nagle uświadomiła sobie, że po utracie elementu przestała się ona nadawać na broń. Cofnęła się w kierunku wyjścia.

– Trzeba było znaleźć pistolet, zamiast bawić się w Hamleta.

Baine ruszył w jej stronę z twarzą wykrzywioną z wściekłości.

– Ej! Dupku! – wychrypiał głos za jego plecami.

Baine obrócił się, a Eddie zatopił w jego brzuchu ozdobny złoty sztylet. Najemnik ryknął, kiedy Chase obrócił *tumi*, wbijając ostrze coraz głębiej.

Ból nie powstrzymał jednak Baine'a. Mężczyzna zaskoczył wciąż zamroczonego Chase'a potężnym ciosem i powalił go na ziemię. Kopnął go w brzuch, potem obrócił się na pięcie, żeby wbić mu podkuty but w twarz.

Czaszka znów uderzyła go w głowę i roztrzaskała się na kawałki. Baine opadł na kolana i runął do przodu. Eddie odczołgał się i najemnik wpadł twarzą do wody. Nóż zagłębił się aż po rękojeść. Przez chwilę było słyhać jęk, potem wszystko ucichło, a na powierzchni wody pojawiła się czerwona plama.

Eddie usiadł na ziemi.

– *Tumi* się udało – jęknął.

Nina była tak zaniepokojona, że nie zwróciła uwagi na jego kiepski żart.

– Boże, Eddie, nic ci nie jest?

– Pomóż mi wstać, to zobaczymy, czy nic nie odpadnie.

Kobieta przeszła nad ciałem Baine'a.

– Przepraszam za waszego przyjaciela – powiedziała do pozostałych mumii i wyciągnęła rękę do męża.

Poziom wody cały czas opadał, więc Macy mogła iść przez miasto coraz szybciej. Zauważyła Maca i Ninę schodzących ze wzgórza i postanowiła iść za nimi, ale nikogo poza tym nie dostrzegła. Nagle usłyszała dwa wystrzały. Skuliła się w bezpiecznym miejscu. Czyżby Pachac i jego lu-

dzie byli w pobliżu?

Na pewno nie strzelał Stikes ani jego najemnicy, którzy właśnie wynosili się z miasta. Helikopter wznosił się nad placem, powoli się obrócił i skierował się w stronę wylotu jaskini. Tych dupków miała z głowy, ale nadal nie czuła się bezpieczna.

Ostrożnie rozejrzała się wokół, ale nikogo nie zauważyła. Wyszła z kryjówki i poszła dalej w dół zbocza. Hind zbliżał się do wylotu jaskini. Miała nadzieję, że po jego odlocie uda jej się usłyszeć, czy w pobliżu ktoś jest...

Skręciła za róg, i znalazła się na muszce pistoletu.

Poczuła szok, strach, a potem nagłą ulgę, kiedy rozpoznała równie zaskoczonego Kita.

– Rany – rzuciła, chichocząc nerwowo. – Ale mnie wystraszyłeś.

Hindus jeszcze przez chwilę mierzył w nią z pistoletu, potem rozluźnił się i opuścił broń.

– Przepraszam. Jesteś cała?

– Nic mi nie jest. Widziałeś Ninę albo Eddiego? Albo pana McCrimmona?

– Nie... nie. – Głos mężczyzny zabrzmiał pewnie dopiero po chwili. – Eddie ściga Stikesa.

Ja szukam Maca.

Znajdowali się blisko schodów prowadzących do wieży.

– Przed chwilą go widziałam. Chyba poszedł tam – powiedziała Macy i skierowała się w stronę schodów.

Kit stanowczo potrząsnął głową i zastąpił jej drogę.

– Nie. Widziałem, jak wchodzi tam ludzie Pachaca. – Wskazał jeden z pobliskich budynków. – Zaczekaj tam i nie pokazuj się, dopóki nie będzie bezpiecznie. Ja... poszukam Maca.

Macy niechętnie wykonała jego polecenie. Agent Interpolu ruszył w górę po schodach.

– Uważaj na siebie! – zawołała za nim.

Nie odpowiedział. Nawet się nie odwrócił.

– Jak się czujesz? – Nina spytała męża, kiedy wychodzili z grobowca.

– Lżejszy o kilka zębów.

– Bardzo śmieszne.

Spojrzeni w górę i zobaczyli, że hind wyleciał z jaskini.

– Kurwa mać! – warknął Eddie. – Stikes uciekł.

– I bardzo dobrze – wyraźnie ucieszyła się kobieta. – Mamy go z głowy.

– Zabrał figurki.

– Co? A niech to! – Spojrzała spode łba na odlatujący helikopter. – To drań!

– Czy to ważne? – spytał Chase, ruszając w górę zbocza. – Jemu się na nic nie przydadzą, a nam pomogły znaleźć El Dorado. Do czego jeszcze mogłyby służyć?

– Tego właśnie chciałam się dowiedzieć.

– Będziesz się tym martwić, kiedy wrócimy do Nowego Jorku. Na razie musimy się stąd wydostać. Poszukajmy pozostałych.

– Mac wziął wyrzutnię i mówił, że spróbuje zestrzelić śmigłowiec. – Eddie się zatrzymał. – O co chodzi? – spytała Nina, widząc niepokój męża.

– Nawet nie próbował wystrzelić. Usłyszelibyśmy to – zauważył Chase i rozejrzał się za najdogodniejszym miejscem do ataku. – Tam! – Wskazał wieżę i ruszył przed siebie. – Mac! Mac, słyszysz mnie?

Kit zatrzymał się, kiedy tylko zniknął Macy z oczu. Ogarnęły go wątpliwości i poczucie winy, ale otrząsnął się, słysząc wołanie Eddiego. Wiedział, że zaraz znajdą ciało Szkota...

Wpadł na pomysł i błyskawicznie wprowadził go w życie. Pobiegł z powrotem do wieży. Mac leżał nieruchomo w rosnącej kałuży krwi. Kit usiadł za nim, oparł się plecami o ścianę, dwa razy strzelił w powietrze i wycelował we własne ramię.

Zapał się nogami i nacisnął spust.

Kiedy Chase usłyszał strzały, ruszył biegiem. Dotarł do schodów i zobaczył przestraszoną Macy wyglądającą z jednego z budynków.

– Nie wychodź! – ostrzegł ją.

– Eddie, czekaj! – krzyknęła za nim Nina, ale wbiegł po schodach i pomknął w stronę wie-



ży, ignorując ból po bijatyce z Bainem. Minął skrzyżowanie, dotarł do kolejnych schodów...

Wbiegł na górę i zatrzymał się, jakby wpadł na niewidzialną ścianę. Kit kulił się na podłodze, zaciskając paskudną ranę w lewym ramieniu – ale Eddie myślał w tej chwili tylko o Macu. Jego przyjaciel leżał twarzą do ziemi, obok ściany wychodzącej na miasto, z RPG-7 przy boku. Krwawił z dwóch ran w plecach.

– Mac? – niezdarnie zrobił krok naprzód. Miał nogi jak z ołowiu. Szkot się nie poruszył.

Podszedł jeszcze krok. – Mac!

Nina wbiegła do środka.

– Eddie, o Boże.

Kit jęknął.

– To był Pachac – powiedział słabym głosem. – Zaskoczył nas tu, potem uciekł...

Eddie dotarł do Maca i stanął nad nim jak skamieniały. Mimo przerażenia, część jego umysłu funkcjonowała chłodno i precyzyjnie, oceniając obrażenia zgodnie z wiedzą nabytą podczas przeszkolenia. Rany znajdowały się blisko siebie, po lewej stronie pleców. Kule trafiły w płuco, prawdopodobnie także w serce. Sądząc po ilości krwi, otwór wylotowy w klatce piersiowej musiał być znacznie większy. Nawet gdyby rannym natychmiast zajął się chirurg, jego szanse na przeżycie były nikłe.

O operacji nie mogło być mowy. Znajdowali się wiele kilometrów od najbliższego szpitala.

Chase uklęknął. Krew zaczęła wsiąkać w nogawki jego dżinsów. Zauważył ruch – nieznaczny, ale wyraźny. Mac wciąż oddychał. Eddie wyciągnął rękę i zauważył, że trzęsą mu się dłonie. Z wahaniem dotknął ramienia przyjaciela.

– Mac, słyszysz mnie?

Przez kilka sekund panowała cisza... potem usłyszał cichy oddech. W jednej z ran postrzałowych zaczęły pnieć się małe pęcherzyki powietrza. Mac powoli, z bólem, odwrócił głowę i spojrział na niego spod przymkniętej powieki.

– Eddie? – Mówił bardzo cicho.

– Tak. To ja. To ja.

Szkot poruszył ręką. Chciał do niego sięgnąć, ale nie starczyło mu sił. Eddie chwycił jego dłoń. Skóra była już zimna.

– Przepraszam...

– Za co?

– Stikes... Miałem go na celowniku, zanim odleciał, ale... nie zdążyłem. Pozwoliłem mu uciec...

– Wcale nie, to nie była twoja wina – powiedział Eddie, kręcąc głową. – Słuchaj... postaram się zatamować krwawienie. – Wiedział, że to daremny wysiłek, ale czuł, że musi coś zrobić. – Nie ruszaj się, a ja...

– Nie, Eddie – jęknął mężczyzna. W ranach pojawiły się kolejne pęcherzyki. – Nie... warto.

– Oczywiście, że warto! – krzyknął Eddie. Załamał mu się głos.

– Nie, to się nie... – Ciałem mężczyzny wstrząsnęły drgawki. Jego dłoń była zimna jak lód.

Wyszeptał coś.

Zrozpaczony Eddie przysunął się bliżej.

– Mac, nie słyszę cię. Zostań ze mną, zostań ze mną!

Ostatnim wysiłkiem Mac odchylił głowę, by spojrzeć na przyjaciela. Odezwał się jeszcze raz, z trudem wymawiając słowa.

– Walcz do końca... Eddie.

Potem umilkł. Jego ciało opadło bezwładnie. Zmiana była nieznaczna, ale Eddiemu to wystarczyło. Wiedział, że jego przyjaciel nie żyje.

– Mac – powiedział mimo wszystko, jakby chciał ściągnąć go z powrotem. – Mac, proszę.

Mac!

Nina podeszła do niego ze łzami w oczach.

– Eddie... – zaczęła i przerwała, nie wiedząc, co powiedzieć. – Przykro mi. – Wyszeptała w końcu, dotykając jego ramienia.

Nie odwrócił się do niej. Nadal wpatrywał się w człowieka, który miał wpływ na dużą część jego życia, którego cenił i podziwiał najbardziej na świecie. Powoli wypuścił dłoń Szkota i delikatnie zamknął mu oczy.

– Walcz do końca – powtórzył ochryplym głosem.

Rozległy się kroki. Zaniepokojona Nina rozejrzała się i zobaczyła Macy i Osterhagena wbiegających po schodach.

– Słyszałem strzały... – powiedział Niemiec i urwał, widząc, co dzieje się w pomieszczeniu.

Przerażona Macy zakryła usta rękami.

– O nie. O Boże. Czy on...

Eddie gwałtownie wstał i się obrócił. Nina aż drgnęła, kiedy zobaczyła jego twarz zmienioną nie do poznania. Miał szeroko otwarte oczy i skupiony wzrok, ale reszta twarzy była całkiem bez wyrazu, jak z kamienia.

– On nie żyje – powiedział beznamiętnie, przecisnął się obok Niny i podszedł do Kita. Podniósł pistolet leżący na podłodze obok rannego i wyjął magazynek. Zostało dziewięć nabojów, plus jeden w lufie. Wpiął magazynek z powrotem i ruszył w stronę schodów, roztrzając po drodze Macy i Osterhagena.

– Eddie, zaczekaj! – krzyknęła Nina. – Jest ich zbyt wielu, zabiją cię!

Ale jej męża już nie było.

– Cholera! – krzyknęła, zbiegając za nim po schodach. – Leonard, Macy, zostańcie z Kitem!

– Ja idę z tobą! – rzuciła szybko Macy. Osterhagen podszedł do Hindusa, żeby opatrzyć jego ranę.

Eddie biegł przez opuszczone miasto, rozglądając się w poszukiwaniu zagrożeń. W poszukiwaniu celów. Nie znalazł nikogo – wszyscy uciekli z jaskini. Dotarł do zbiornika i przebiegł obok wylotu szybu do wielkiej wyrwy powstałej w miejscu, gdzie zawalił się mur. Przywarł do krawędzi i wyjrzał na zewnątrz.

Niebo się zachmurzyło, więc kolory dżungli były przytłumione. W niecce u podstawy wodospadu leżał wielki stos gruzów. Na jej drugim brzegu, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, stało dwóch ludzi Pachaca uzbrojonych w AK-47.

Eddie wiedział, że wrogowie mają przewagę, ale nie zawahał się nawet przez sekundę. Przeskoczył przez mur i z mechaniczną precyzją wymierzył w środek ciała mężczyzny stojącego po lewej. Nacisnął spust trzy razy. Pierwszy strzał spudłował i kula rozorała ziemię, ale Chase zdążył już poprawić pozycję. Druga i trzecia kula wbiły się w ramię i klatkę piersiową partyzanta. Ranny padł na ziemię.

Drugi z wartowników uniósł kałasznikowa. Za późno. Tym razem wszystkie trzy pociski wbiły się w cel. Mężczyzna upadł, tryskając krwią.

Eddie zbiegł po kamieniach przez nieckę na drugi brzeg. Pierwszy trafiony mężczyzna wciąż żył. Wił się z bólu. Eddie bez śladu emocji strzelił mu w głowę, potem wsunął steyra do kieszeni kurtki, chwycił AK-47 i pobiegł w głąb dżungli.

Nina dotarła do ruin muru w chwili, gdy zniknął między drzewami. Wołała go, ale nie zareagował.

– Co on robi? – spytała Macy, kiedy dobiegła na miejsce.

– Zamierza zabić Pachaca – ponuro odparła Nina i zaczęła ostrożnie schodzić po gruzowisku. – I wszystkich jego kumpli.

Pachac siedzący na miejscu pasażera w hummerze obejrzał się gwałtownie, kiedy usłyszał w oddali strzały. Nie był to charakterystyczny terkot AK-47, a kałasznikowy nie odpowiedziały ogniem. Dwaj wartownicy przy jaskini zapewne byli już martwi.

Sprawdził telefon. Nie miał sygnału. Dotarli już do drogi, ale wciąż byli poza zasięgiem sieci. Najbliższy maszt telefonii komórkowej znajdował się kilka kilometrów dalej, w wiosce w górskiej dolinie. Pozostali przy życiu członkowie ekipy archeologicznej nie mogli więc wezwać pomocy, ale i on nie był w stanie ściągnąć posiłków.

– Zatrzymaj samochód! – polecił kierowcy. H3 stanął. Pachac wysiadł, a dwie pozostałe terenówki zatrzymały się obok niego. – Ktoś nas ściga! – krzyknął Peruwiańczyk do swoich ludzi. –

Upewnijcie się, że nas nie dogonią!

Mężczyźni odbezpieczyli broń. Pachac wsiadł z powrotem do hummera i konwój ruszył w dalszą drogę.

Eddie dotarł do miejsca, gdzie ekspedycja zaparkowała samochody. Trzy terenówki nadal były na miejscu, a obok nich leżały ciała dwóch żołnierzy, których zostawili na warcie. Usłyszał warkot silników dobiegający od strony drogi. Partyzanci odjechali. Zapewne zamierzali ściągnąć posiłki, żeby złupić niewiarygodne bogactwa El Dorado, zanim zabezpieczą je peruwiańskie władze.

Nie interesowało go jednak, co planują. Myślał tylko o tym, żeby ich dorwać.

Podbiegł do wojskowego jeepa najlżejszej i najszybszej z terenówek. Stacyjka była pusta. Przypomniawszy sobie, że prowadził jeden z szeregowców, szybko przeszukał jego kieszenie i znalazł kluczyki. Wskoczył do samochodu, zapalił silnik i zawrócił na wstecznym biegu, ślizgając się po błocie. Nieopodal dostrzegł ślady opon w miejscu, gdzie zaparkowali ludzie Pachaca – zauważył, że też przyjechali trzema samochodami.

Szybko zjeżdżał po zboczu. Jeep podskakiwał na skałach i korzeniach. Zawieszenie z trudem wytrzymywało ostrą jazdę, ale Chase ignorował szarpanie samochodu i ból, jaki czuł po każdym wyboju. Liczyła się tylko jego nowa misja: zatrzymać konwój partyzantów.

Wiedział, że Pachac prawie na pewno będzie w pierwszym wozie, i że będzie musiał wybić załogę pozostałych dwóch, żeby go dorwać.

Żaden problem. Miał dość kul dla wszystkich.

Nina i Macy dotarły do samochodów.

– Jezu – odezwała się Macy, widząc martwych żołnierzy. – Dlaczego jedziemy za tymi kolegami? Powinniśmy uciekać jak najdalej od nich!

Żona Chase'a zignorowała ją i pobiegła do nissana. Eddie zostawił kluczyki w stacyjce.

– Jeśli nie chcesz ze mną jechać, zaczekaj tutaj.

– Nie, nie, jadę – powiedziała stażystka. Rzut oka na ciała pomógł jej szybko podjąć decyzję. Zajęła miejsce pasażera. Nina zapaliła silnik i skierowała potężną terenówkę w dół zbocza.

Pachac znów spojrział na telefon. Nadal nie było sygnału, wiedział jednak, że kiedy już znajdzie się w zasięgu wieży telefonii komórkowej, będzie mógł szybko wezwać posiłki. Prawdziwy Czerwony Szlak miał niemal stu aktywnych członków i kilkuset sympatyków. Wywiezienie PUNCHACO, zanim przejmą je władze, mogło okazać się trudne, więc zamierzał jak najdłużej utrzymywać fakt odkrycia El Dorado w tajemnicy...

Droga przed konwojem zwężała się na zakręcie pod skalnym nawisem, a w drugą stronę jechała ciężarówka.

– Matko Boska! – wykrzyknął kierowca, hamując gwałtownie. Maoizm i religia nie szły ze sobą w parze, ale trudno było się pozbyć pewnych głęboko zakorzenionych odruchów. Oba pojazdy się zatrzymały. Pachac wychylił się przez okno.

– Ej! Cofnij się!

Gruby, spocony kierowca ciężarówki spojrział na niego spode łba. Zgodnie z niepisanymi zasadami jazdy po górskich drogach, większy pojazd zawsze miał pierwszeństwo.

– Nie mam na to czasu – warknął Pachac, wyciągnął pistolet i wystrzelił przez okno. Przednia szyba ciężarówki rozsypała się w drobny mak. – Z drogi albo cię zabiję!

Przeżaszony kierowca uznał, że niepisane zasady są po to, żeby je łamać, wrzucił wsteczny bieg i zaczął cofać ciężarówkę najszybciej, jak mógł.

– Naprzód – powiedział Pachac do swojego kierowcy. Hummer ruszył, stykając się niemal maska w maskę z cofającą się ciężarówką. Za zakrętem droga znów stała się szersza, a kierowca zjechał na bok, żeby przepuścić konwój.

Ciężarówka ustawiła się z boku, ale wolny pas jezdni był o kilka centymetrów węższy niż h3. Krawędzie opon po lewej stronie znalazły się w powietrzu. Kierowca Pachaca skrzywił się, kiedy przejeżdżali obok ciężarówki, i z łękiem spojrział na niemal pionowy spadek i widoczne w dole chmury. Chromowane lustro hummera zazgrzytało o kabinę ciężarówki i się odłamało. Kierowca przepaszając spojrział na przywódcę partyzantów.

– Może trzeba było ukraść coś mniejszego?

– Jedź, nie gadaj – warknął Pachac, kiedy minęli ciężarówkę.

Eddie zobaczył jaskrawożółtego hummera znikającego za skalnym nawisem jakieś czterysta metrów przed sobą. Za nim jechały dwa kolejne wozy – stary land cruiser i duża amerykańska półciężarówka. W środku byli Pachac i jego ludzie.

Wcisnął gaz i jeep skoczył do przodu po poranej koleinami drodze. Miał szansę szybko dogonić partyzantów.

Land cruiser powoli pojechał za hummerem. Toyota była kilkanaście centymetrów węższa od amerykańskiego olbrzyma, ale dwaj jadący nią mężczyźni zeszywnieli, przejeżdżając o włos od poszarpanej krawędzi przepaści. Ostatni obok ciężarówki przecisnął się pickup. Partyzant siedzący na pace wychylił się i dawał wskazówki dwóm towarzyszom siedzącym w środku.

Ford zniknął Eddiemu z oczu za nawisem. Pokonanie przeszkody zajęło konwojowi tyle czasu, że prawie dogonił partyzantów.

Zwolnił, mijając stojącą ciężarówkę, i odbezpieczył kałasznikowa.

– Jest tam! – krzyknęła Macy, wskazując przed siebie.

Nina zobaczyła, jak jeep znika za wąskim zakrętem.

– Oby udało nam się go dogonić, zanim go zabiją – mruknęła i ruszyła za mężem.

Mężczyzna siedzący na pace półciężarówki zerknął na drogę i zobaczył, że do forda szybko zbliża się wojskowy jeep. Uderzył ręką w tylne okienko kabiny.

– Ej! Dogania nas! Powiedźcie Inkarriemu!

Wyciągnął pistolet, starego colta kalibru .38, a pasażer siedzący w kabinie przez krótkofalówkę przekazał informacje do hummera.

Pachac wysłuchał pospiesznego raportu i obrócił się na siedzeniu. Land cruiser prawie całkowicie zasłaniał widok, ale na kolejnym zakręcie udało mu się dojrzeć, co się dzieje dalej.

Nie spodobało mu się to, co zobaczył.

– Na co czekacie?! – krzyknął do radia. – Zabić go!

Eddie zauważył, że półciężarówka zwalnia, a jej pasażerowie przygotowują się do ataku. Jeden z partyzantów siedział na pace, trzymając się pałaka zabezpieczającego, dwaj kolejni – w kabinie. Nie mieli karabinów – zapewne stracili je podczas powodzi. Mężczyzna z tyłu mierzył do niego z pistoletu...

Chase był lepiej uzbrojony. Przez pękniętą szybę otworzył ogień z AK-47.

Partyzant strzelił trzy razy, ale celując jedną ręką z szarpiącego wozu, nie trafił nawet w rozjeżdżonego jeepa, nie mówiąc już o jego kierowcy. Strzały Eddiego były równie niedokładne, miał jednak przewagę w liczbie amunicji. Pierwsza kula odbiła się od tylnej klapy pikapa, druga strzaskała tylne okienko kabiny, a trzecia rozorała klatkę piersiową strzelca. Trysnęła krew. Mężczyzna runął w tył. Zahaczył ubraniem o jeden z uchwytów na reflektory i zawisł oparty o kabinę. Pistolet spadł na metalową podłogę.

Pasażer siedzący w kabinie wymierzył w jeepa z pistoletu automatycznego. Eddie znów otworzył ogień...

Po dwóch strzałach kałasznikow wydał z siebie suchy trzask i umilkł. Skończyła się amunicja.

Chase upuścił karabin i uchylił się przed strzałami partyzanta. Kule uderzyły w jeepa. Jedna stłukła przednie światło, druga przebiła kolejną dziurę w uszkodzonej chłodnicy, z której buchnęła para. Trzecia wbiła się w koło.

Opona nie wybuchła, nabój zrobił jedynie dziurę w ciężkiej, wzmocnionej gumie, ale jeep zareagował natychmiast. Kierownica wysunęła się z rąk Eddiego, a samochód zjechał w lewo, w stronę klifu. Chase opanował maszynę, jednak z opony wciąż uchodziło powietrze i z każdą sekundą trudniej było prowadzić terenówkę.

Ostrzał ustał. Eddie podniósł głowę. Strzelec szukał zapasowego magazynka.

Jeep znów skręcił w kierunku przepaści. Chase mocno szarpnął kierownicą w prawo, ale opona była już prawie całkiem sflaczała. Samochód jechał na feldze. Za kilka sekund miał się przewrócić...

Chase chwycił pusty AK-47 i nacisnął kolbą pedał gazu. Jeep wyrwał naprzód z rykiem silnika. Mężczyzna zablokował lufę karabinu o przednie siedzenie i, jedną ręką trzymając kierownicę, wyczołgał się na maskę przez stłuczoną przednią szybę.

Pasażer pickupa przeładował broń i odwrócił się, żeby otworzyć ogień...

Eddie ustawił jeepa za półciężarówką i puścił kierownicę. Samochód staranował forda.

Impet uderzenia przerzucił go na pakę i na ciało zwisające z pałaka. Na chwilę stracił dech, ale zwłoki zamortyzowały upadek. Wyleciała tylna szybka, obsypując strzelca siedzącego w kabinie odłamkami szkła.

Kanciasty steyr, którego Chase miał w kieszeni kurtki, boleśnie wbijał mu się w żebra. Partyzant siedzący w kabinie strząsnął z siebie szkło i odwrócił się ponownie w poszukiwaniu celu...

Eddie chwycił rewolwer zabitego mężczyzny i trzy razy strzelił w tylną ściankę kabiny.

Kule przebiły siedzenie i trafiły partyzanta. Ranny opadł na drzwi, które nagle się otworzyły i wypadł z kabiny, krzycząc z przerażenia. Po chwili zamilkł, zmiażdżony kołami rozjeżdżonego jeepa.

Wojskowa terenówka podskoczyła na wyboju i gwałtownie skręciła w stronę klifu.

– Nie!!! – krzyknęła Nina patrząc, jak jeep zjeżdża z drogi i spada w dolinę. – O mój Boże, Eddie!

– Nic mu nie jest! – szybko uspokoiła ją Macy. – Wskoczył do ciężarówki.

– Co takiego? Chryste panie... – Nina z trudem łapała oddech. Wciąż była przerażona tym, co przed chwilą zobaczyła.

Eddie wstał i wymierzył z rewolweru wabinę.

– Zatrzymaj ciężarówkę! – wrzasnął do kierowcy.

Partyzant zaczął grzebać po kieszeniach mokrej, obszarpanej kurtki. Chase nacisnął spust...

Cyk. Kurek opadł, ale pistolet nie wystrzelił. Skończyły się naboje.

Kierowca wyciągnął broń, odwrócił się...

Eddie padł na podłogę i przetoczył się w bok. Mężczyzna otworzył ogień. Ponieważ nie mógł się całkiem obrócić, by nie stracić kontroli nad ciężarówką, strzelił kilka razy na oślep przez ramię. Jedna z kul trafiła w podłogę, tuż obok Eddiego, który zdążył odskoczyć, druga przebiła brzuch zwisającego ciała.

Chase obrócił w dłoni pusty pistolet, podczołgał się do przodu i wsunął do kabiny przez strzaskane tylne okienko. Użył broni jako kastetu, brutalnie wbijając pistolet w głowę kierowcy.

Mężczyzna osunął się, półciężarówka zjechała na prawo. Zanim ranny zdążył się otrząsnąć, Eddie chwycił jego rękę z pistoletem i uderzył o ramę okna, kalecząc nadgarstek mężczyzny o pęknięte szkło. Kierowca wrzasnął z bólu i znów wystrzelił. Chase, zanim padł, zdążył wcisnąć przycisk zwalniający magazynek. Naboje wypadły na tył półciężarówki.

Kierowca jeszcze dwa razy pociągnął za spust, ale rozległ się tylko metaliczny trzask. Zdał sobie sprawę, że nie ma naboarów. Eddie, znów sięgnął do kabiny i zacisnął ramię na szyi kierowcy. Partyzant zaczął się krztusić, usiłował się uwolnić. Nagle zauważył, że samochód zjeżdża z małego drewnianego mostka. Szarpnął kierownicą...

Ford przechylił się, a Eddie poleciał w bok. Puścił kierowcę i stracił równowagę. Udało mu się ochronić przed upadkiem, chwytając się pałaka.

Drzwi po stronie pasażera otworzyły się nagle, z głośnym hukiem uderzyły w balustradę mostka, oderwały się i poleciały do tyłu. Poskręcany kawał metalu przemknął obok Eddiego i rozciął mu kurtkę na plecach.

Kierowca odzyskał kontrolę nad samochodem i wyprostował się na siedzeniu. Chase już miał zaatakować ponownie, i wtedy zauważył coś, czego nie było w tym miejscu, kiedy ekspedycja pokonywała trasę w przeciwną stronę. Wysoko z góry spływał po zboczu wodospad, roztrzaskując się na drodze i wzbijając chmurę piany.

Eddie mocno chwycił się pałaka, kiedy terenówka przejeżdżała pod spienioną wodą i podskoczyła w miejscu, gdzie droga była już rozmyta. Pikap wpadł w poślizg. Partyzant szarpał się z kierownicą.

Chase wiedział, że to jego szansa. Gdyby udało mu się wejść do kabiny przez otwór po wyrwanych drzwiach, mógłby zastrzelić kierowcę ze steyra i natychmiast przejąć kierownicę, zanim ford wymknąłby się spod kontroli.

Wyjął pistolet z kurtki i wychylił się za burtę półciężarówki.

Nissan wyjechał zza zakrętu.

– A to skąd się tu wzięło? – mruknęła Macy, widząc nowy wodospad.

Nina spojrzała w stronę źródła wody. Istniało tylko jedno wyjaśnienie: po zablokowaniu rzeki, która zasilala wodospad zasłaniający El Dorado, woda spiętrzyła się za tamą... i znalazła inne drogi ujścia.

– Boże – westchnęła zaniepokojona. – Może zalać całą dolinę!

Eddie wśliznął się do kabiny i wymierzył steyra w kierowcę...

Peruwiańczyk cisnął w niego pustym pistoletem.

Chase szarpnął głowę w bok, ale broń uderzyła go w policzek tak mocno, że osunął się, krwawiąc. Steyr spadł na podłogę. Eddie próbował uchwycić się deski rozdzielczej, ale nie udało mu się. Przechylił się przez otwór drzwiowy... Zacisnął rękę na pasie bezpieczeństwa.

Pas zaczął się rozwijać, Eddie coraz bardziej wychylał się z ciężarówki.

Łup!

Mechanizm bezwładnościowy w końcu zadziałał. Eddie zwisał przez otwarte drzwi, jedną ręką trzymając pas, wychylony niemal równoległe do ziemi.

Kierowca uśmiechnął się okrutnie i skręcił kierownicę, chcąc roztrzaskać pasażera na gapę o skalną ścianę.

Eddie próbował złapać wolną ręką pas, ramę drzwi, cokolwiek, ale nie mógł niczego dosięgnąć. Skąła była coraz bliżej...

Tuż przed sobą zauważył coś wystającego z ziemi...

Wyrwał drewniany krzyż i cisnął go do kabiny.

Kiedy kierowca odwrócił się, żeby zobaczyć, jak Eddie uderza głową o ścianę, zaostrowany kołek wbił mu się w lewe oko. Mężczyzna wrzasnął i odruchowo uniósł obie ręce, żeby go wyciągnąć. Ford skręcił, oddalając się od ściany, i zbliżył się do przepaści.

Eddiemu udało się uchwycić ramy drzwi i wciągnąć się do środka. Partyzant krzyczał, przyciskając rękę do twarzy. Spomiędzy palców tryskała mu krew. Ciężarówka podskoczyła...

Eddie chwycił kierownicę i skierował forda z powrotem na drogę. Kierowca odbił się od drzwi. Próbuąc odzyskać równowagę, rozejrzał się ocalałym okiem po kabinie, i zobaczył, jak Chase przekręca się na siedzeniu pasażera i obiema nogami kopie go w klatkę piersiową.

Drzwi zdezelowanego auta się otworzyły, mężczyzna wystrzelił z nich jak z procy i z głośnym wrzaskiem zniknął w przepaści.

Eddie przeskoczył na siedzenie kierowcy i pokonał kolejny zakręt. Zobaczył przed sobą land cruisera i hummera. Zamknął drzwi, znalazł steyra i dodał gazu, zbliżając się do partyzantów.

Radio leżące na półce pod tablicą rozdzielczą zaskrzeczało i odezwał się głos Pachaca.

Przywódca terrorystów obejrzał się na forda. W samochodzie było widać tylko jedną sylwetkę.

– Mateo, dorwałeś go? Mateo! – spytał po hiszpańsku.

W odpowiedzi rozmówca odezwał się po angielsku. Mimo stoczonej przed chwilą walki mówił spokojnym głosem.

– Nie dorwał. Nie żyje. I wiesz co, Pachac?

Zaniepokojony Peruwiańczyk spojrzał na kierowcę i odpowiedział.

– Co takiego?

– Ty będziesz następny.

Pachac przez chwilę wpatrywał się w krótkofalówkę, potem zaczął wrzeszczeć do swoich ludzi w land cruiserze. W jego głosie nie było już wściekłości, tylko strach.

– Zatrzymać go! Zabić go! Zabić go!

Eddie odłożył radio i skupił wzrok na jadących przed nim dwóch terenówkach. Land cruiser został wyraźnie z tyłu za hummerem. Toyotą jechało dwóch mężczyzn. Pasażer wczolgiwał się przez siedzenia do bagażnika, trzymając w rękach karabin o charakterystycznym kształcie – AK-47.

Chase sięgnął pod udo, wyciągnął wepchniętego tam steyra i przełożył go do lewej ręki. Toyota jechała coraz wolniej. Tylne klapy odchyliła się, strzelec wystawił przez nią lufę kałasznikowa...

Eddie wystrzelał wszystkie pozostałe naboje przez boczne okno i dodał gazu. Partyzant schował się za dolną częśćią klapy. Zanim zauważył, że ostrzał ustał, i uniósł głowę, ford dogonił toyotę...

I wbił się jej w bok. Kierowca szarpnął głową, puścił kierownicę i terenówka skręciła w stronę skały, rzucając strzelcem o boczną ścianę.

Eddie skręcił, żeby wyprzedzić toyotę po zewnętrznej. Półciężarówka znalazła się obok terenówki. Lewe koła forda dzieliło od brzegu przepaści zaledwie kilkanaście centymetrów.

Kierowca land cruisera otrząsnął się z szoku po zderzeniu, chwycił kierownicę i ostro skręcił, żeby zepchnąć forda z drogi...

Eddie zrobił to samo, próbując wepchnąć toyotę na skalną ścianę. Samochody zderzyły się z trzaskiem. Półciężarówka Chase'a miała mocniejszy silnik, ale japońska terenówka była cięższa. Eddie gwałtownie skręcił kierownicę, ale partyzant centymetr po centymetrze spychał go w stronę

przepaści.

Strzelec siedzący z tyłu samochodu znów uniósł broń.

Eddie zrozumiał, że czeka go śmierć od kuli albo upadku ze skały...

Ostro zahamował, a kiedy toyota zatrzymała się przed nim, dodał gazu i skręcił, wbijając się w tył samochodu. Ciężarówka przekreśliła się, stanęła niemal prostopadle do maski pickupa, potem uderzyła prawym tylnym rogiem o zbocze wzgórza i gwałtownie obróciła się z powrotem, wbijając się bokiem w skalną ścianę. Ford przemknął obok toyoty, zdzierając jej przedni zderzak.

Chase zerknął w lusterko. Pościg jeszcze się nie skończył. Terenówka, wgnieciona po prawej stronie, odbiła się z powrotem na drogę, kierowca odzyskał kontrolę nad pojazdem i ruszył przed siebie.

Hummer nie odjechał daleko – jego kierowca ostrożnie poruszał się po niebezpiecznej drodze. Eddie spoglądał to na samochód Pachaca, to na toyotę, którą widział w lusterku. Był coraz bliżej h3, ale wiedział, że land cruiser dogoni go, zanim uda mu się dorwać Pachaca.

W lewym oknie toyoty pokazała się lufa AK. Eddie zjechał na prawo, odsuwając się z linii strzału partyzanta, ale droga wiła się tak, że za chwilę miał znowu znaleźć się na odsłoniętej pozycji.

Wciąż skracał dystans do hummera. Rozpoznał okolicę – zbliżali się do miejsca, gdzie błoto i kamienie osunęły się na drogę, a po gruzowisku płynął wodospad. Wiedział, że h3 zwolni, by pokonać przeszkodę, ale także on będzie zmuszony zrobić to samo.

Wodospad...

Był znacznie większy niż rano – strumień wody poszerzył się i płynął z większą mocą.

Chase zdał sobie sprawę z kolejnego zagrożenia. Woda z zablokowanej rzeki zbierała się gdzieś wyżej i w każdej chwili mogła ich zalać...

Hummer dotarł do osuwiska i przechylił się na bok na kamieniach. Eddie przyspieszył. Land cruiser także jechał coraz szybciej, zbliżając się niebezpiecznie.

Rozległy się strzały...

Eddie schylił głowę, kiedy kule trafiły w karoserię forda. Był już prawie przy osuwisku. Padały kolejne pociski. Hummer wjechał pod wodospad, na płaskim dachu terenówki rozbryzgiwała się piana. Chase skierował f-150 w koleiny wyżłobione przez inne pojazdy i wcisnął gaz do dechy. Musiał jak najbardziej się rozpędzić...

Ford oderwał się od ziemi wszystkimi czterema kołami, kiedy uderzył w przeszkodę, potem opadł z powrotem na drogę. Zdezelowane zawieszenie zaskrzypiało. Samochód zaczął zjeżdżać w stronę przepaści. Eddie rozpaczliwie próbował go wprowadzić w koleiny. Pickup podskakiwał na kamieniach, rzucając kierowcę. Mimo starań Eddiego, jechał coraz wolniej. Land cruiser zbliżył się jeszcze bardziej, strzelec znów otworzył ogień.

Eddie prawie dotarł do wodospadu...

Nie. To wodospad prawie dotarł do niego.

Strumień wody, przelewający się po nagim klifie powyżej, rósł w oczach. W dół zbocza potoczyły się kamienie.

Rzeka za chwilę miała wystąpić z brzegów...

Woda wlała się do środka przez otwór po wyrwanych drzwiach, siła uderzenia odrzuciła półciężarówkę w bok. Eddie rozpaczliwie skręcił kierownicę, usiłując skierować samochód na drogę. Piana całkowicie zasłoniła mu widok. Czuł, że ford przechyliła się i zjeżdża na skraj przepaści...

Uczucie, że zaraz spadnie, nagle zniknęło. Udało mu się znaleźć punkt oparcia w błocie. Nie wiedział, jak to się stało, ale wykorzystał sytuację i dodał gazu. Samochód wrócił bezpiecznie na drogę.

Eddie zbliżał się do krawędzi wodospadu i częściowo odzyskał widoczność przez przednią szybę. Zobaczył przed sobą żółtą plamę – hummera. Obejrzał się i zrozumiał, skąd nagle wzięła się lepsza przyczepność. Skrzynia forda napełniła się wodą i ponad tona dodatkowego ładunku dociężyła tylną oś.

Pod stopami chlupała mu woda. Otworzył drzwi, żeby ją wylać. Ciężarówka powoli, ale nieustająco posuwała się naprzód.



Wyjechał spod wodospadu. Hummer wciąż pokonywał osuwisko. Usłyszał z tyłu głośny huk i ford gwałtownie się zatrząsł. Chase najpierw myślał, że wybuchła opona. Po chwili się zorientował, że otworzyła się tylna klapa i woda wylała się do tyłu.

Z wodospadu wynurzył się ciemny kształt. Land cruiser był tuż za nim. Strzelec znów wychylił się przez okno, unosząc broń...

Nagle rozległ się potworny huk i miliony litrów wody wylały się z koryta rzeki.

Wodospad, pod którym przejechał Eddie, był zaledwie wąską strużką w porównaniu z falą, która runęła ze wzgórza, splukując tysiące ton ziemi i kamieni z klifu w dolinę poniżej.

Eddie wcisnął gaz do dechy, usiłując wbić się fordem w hummera. I wtedy zapadła ciemność. Olbrzymia masa błotnistej wody spadła na terenówki.

Strumień uderzył w drogę, zmywając z niej pozostałości osuwiska. Spadająca skała zmiażdżyła land cruisera i dwóch siedzących w nim partyzantów. Resztki samochodu porwała woda. Następne kamienie uderzyły w pickupa, tłukąc tylną szybę i wgniatając dach.

Forda porwała wezbrana woda. Eddie zamarł z przerażenia – był pewien, że zmyje go w przepaść. Po chwili jednak zorientował się, że fala skierowała się gotowym kanałem i niesie go wzdłuż drogi. Nie miał jednak kontroli nad samochodem, który unosił się jak korek na grzbiecie fali...

Nagle mignęło coś żółtego...

Półciężarówka uderzyła w hummera. Oba porwane przez nurt pojazdy obróciły się, szorując kołami o drogę. Przez krótki moment Eddie spoglądał prosto w oczy Pachaca.

Po chwili hummer wpadł w poślizg i runął w przepaść.

Eddie nie miał czasu, by poczuć satysfakcję. Kierownica wysuwała mu się z rąk, a pikap płynął wzdłuż drogi. Gdyby udało mu się odzyskać przyczepność, chociaż na chwilę, mógłby spróbować zablokować forda o skalną ścianę...

Nie dostał jednak takiej szansy. Nurt obrócił półciężarówkę, przednie koła gwałtownie opadły, wóz przez chwilę wisiał na krawędzi przepaści... potem mokra ziemia osunęła się pod nim i runął w dół.

Nina gwałtownie zatrzymała nissana, kiedy rwąca fala przetoczyła się przed nim po zboczu.

– Jasny gwint!

– Patrz tam! – krzyknęła Macy, wskazując na strony stoku po drugiej stronie wodospadu.

Nina zobaczyła żółtego hummera staczającego się po wzgórzu, a za nim zsuwającą się z drogi półciężarówkę.

Półciężarówkę, którą jechał Eddie.

Nie chciała na to patrzeć, ale nie mogła odwrócić głowy.

Pachac i jego kierowca zaczęli krzyczeć, kiedy h3 rozpedził się na stromym zboczu. Od zasnutej mgłą przepaści dzielił ich tylko występ skalny, z którego wystawało powyginane drzewo...

Hummer wbił się maską w wystającą skałę. Poduszki powietrzne wystrzeliły, ale żaden z jadących samochodem mężczyzn nie był przypięty pasami, więc gwałtownie rzuciło nimi do przodu. Po chwili h3 przechylił się ponownie, uderzył w klif i zaklinował się o zbocze.

Pachac był obolały i oszołomiony, ale zdawał sobie sprawę, że musi jak najszybciej wydostać się z wozu. Odsunął resztki poduszki powietrznej i otworzył drzwi. Cienka warstwa ziemi, w której zakorzeniło się drzewo, już została częściowo wypłukana przez wodę spływającą po zboczu, a skała, obciążona ponad dwutonowym samochodem, także mogła w każdej chwili runąć w dół. Wyczołgał się z terenówki.

– Chodź – wychrypiał do kierowcy. – Musimy...

Usłyszał nad głową hałas. Nie huk wody i kamieni, ale szczęk metalu. Zerknął w górę.

Coś ruszyło po zboczu w jego stronę...

Kiedy ford przechylił się przez krawędź drogi, Eddie zaczął kręcić kierownicą, próbując skierować pickupa w stronę drzewa rosnącego poniżej. Szanse trafienia w nie były prawie zerowe, ale nikła nadzieja na przeżycie była lepsza niż żadna. Chase wychylił się przez otwarte drzwi, kiedy zdezelowany samochód zaczął zsuwać się po zboczu...

Zobaczył, że hummer zatrzymał się na skale, na której rosło drzewo.

Wiedział, że jemu się to nie uda.

Nie w ciężarówce...

Wyskoczył, w locie przekręcając się na plecy.

Uderzył w hummera z taką siłą, że w samochodzie wyleciały wszystkie szyby, a metalowy dach wygiął się pod jego ciężarem. Ford przemknął obok, mijając skałę o centymetry. Chase stracił przytomność z bólu.

Jako pierwszy powrócił mu zmysł smaku – poczuł w ustach metaliczny posmak krwi. Spróbował się poruszyć. Bolało go całe ciało. Kręgosłup piekł – czyżby był złamany? Nie. Udało mu się poruszyć wszystkimi kończynami, ale potwornie go to zabolalo.

Zmusił się do otwarcia oczu. Widział drzewo jak przez mgłę, a widok światła słonecznego prześwitującego pomiędzy gałęziami był niemal nie do zniesienia. Jego ciało chciało tylko leżeć nieruchomo i odpłynąć...

Pachac.

Myśl o Peruwianczyku przywróciła mu świadomość. Gdzie się podział? Był w hummerze, na którym teraz znalazł się Eddie. Miał przecież misję. Musiał pomścić Maca. Złapać jego mordercę i go zabić.

Ból uniemożliwił mu działanie w taki sposób, jak wcześniej – zimno i beznamiętnie. Opanowała go zwierzęca wściekłość. Ukierunkował ją, opanował i wykorzystał, by dodać sobie sił, kiedy powoli obracał się na bok.

Pachac leżał na skale poniżej.

Oczy mężczyzn się spotkały – Pachac patrzył z niedowierzaniem, Eddie z wściekłością. Zapomniał o bólu i rzucił się na przywódcę partyzantów.

Za nimi zdezelowany hummer runął w przepaść przy akompaniamencie zgrzytu metalu i przerażonego wrzasku kierowcy, ale Eddie był tak skupiony na Pachacu, że nawet tego nie zauważył. Peruwianczykowi udało się otrząsnąć z szoku i odczołgać na bok, aby uniknąć zderzenia. Wstał i zaczął się cofać przed nadchodzącym przeciwnikiem w stronę drzewa, szukając czegoś w mokrym ubraniu.

– Skala zaraz spadnie! – krzyknął, kiedy wokół niego zaczęły spadać kamienie poruszone przez błotnistą wodę. Wodospad już zaczął się kurczyć, większość wody zablokowanej za tamą wytrysnęła znad niej na samym początku, ale część nadal szukała drogi ujścia na dno doliny. – Jeśli będziemy walczyć tutaj, obaj zginiemy!

– Obyś zdechł pierwszy – warknął Eddie.

Pachac drgnął, kiedy dotknął plecami drzewa. Coraz bardziej rozpaczliwie przetrząsał kieszenie. Kiedy Chase był już blisko, znalazł to, czego szukał.

Swój nóż.

Wysunął olbrzymie ostrze. Eddie zatrzymał się i skupił wzrok na broni, czekając, aż Pachac wykona jakiś ruch.

Peruwianczyk wziął jego skupienie za strach i uśmiechnął się drwiąco.

– Taa, masz się czego bać – syknął, robiąc krok do przodu. – Wiesz, ilu ludziom wyprułem nim flaki? – Uśmiezek zmienił się w demoniczny szeroki uśmiech. – Ja sam tego nie wiem. Przystałem liczyć po dwudziestym. – Zrobił kolejny krok. Nóż kołysał się z boku na bok, jak wąż hipnotyzujący ofiarę.

Eddie nie cofnął się i nie spuścił wzroku z broni. Ostrze wciąż się poruszało, w lewo, w prawo, w lewo...

Do przodu...

Pachac wyprowadził cios nożem w brzuch Chase'a, ale ten zdążył wyciągnąć ręce, chwycił przeciwnika za nadgarstek i odparł atak. Mimo że udało mu się zachować refleks, niewiele brakowało, by Peruwianczyk go pokonał. Ostrze przebiło przemoczoną podszewkę jego kurtki.

Trzymając ramię partyzanta lewą ręką, Chase uderzył go prawą dłońią w gardło. Pachac próbował się odchylić, ale kant dłoni Eddiego wbił mu się w krtań. Partyzant zakrzuszył się i zaczął spazmatycznie chwytać oddech.

Chase uderzył ręką Pachaca o swoje kolano, próbując zmusić przeciwnika do wypuszczenia noża. Po drugim uderzeniu Peruwianczyk nadal zaciskał palce na rękojeści. Po trzecim otworzył dłoń...

Nóż spadł na skałę w chwili, gdy Pachac odzyskał oddech i wyprowadził cios, uderzając muskularną ręką w podstawę szyi Eddiego. Chase próbował oddać, celując w jego nos, ale trafił tylko w podbródek. Po kolejnym uderzeniu Anglik padł na kolana. Pachac kopnął go w głowę. Eddie upadł na plecy.

Peruwianczyk splótł dłonie wokół szyi Chase'a i mocno je zacisnął.

Miał niewiarygodnie silne palce. Eddie próbował go ugryźć, ale dłonie ani drgnęły.

– *Capacocha* – warknął przywódca partyzantów. – Oto jak kończą wszyscy wrogowie Inkarięgo!

Chase usiłował odgiąć jeden z palców przeciwnika, ale mu się to nie udało. Zaczął przesuwając rękami po skałę, po omacku szukając jakiegokolwiek broni – kamienia, kawałka drewna...

Niczego nie znalazł. Rozpaczliwie machał rękami, ze wszystkich sił starając się uwolnić. Pachac nie zwalniał uścisku i uśmiechał się triumfująco...

Eddie nagle poczuł ból w ręce. Dotknął czegoś bardzo ostrego.

Resztką sił chwycił znaleziony przedmiot i uderzył nim...

Nóż wbił się w ramię Pachaca. Ostrze wdarło się pomiędzy kości i przebiło nadgarstek na wylot, wzbijając fontannę krwi. Peruwianczyk krzyknął, puścił przeciwnika i cofnął się na chwiejnych nogach.

Eddie usiadł, nadal trzymając zakrwawiony nóż, i próbował wciągnąć powietrze przez obolałe gardło...

Skała zaczęła drzeć.

W miejscu, gdzie występ przywierał do klifu, pojawiło się pęknięcie. Płynąca woda natychmiast wypełniła powstałą przestrzeń, wymywając ziemię, która działała jak naturalny cement. Skąła opadła o kilkanaście centymetrów i zatrzymała się ze zgrzytem. Peruwianczyk upadł na plecy.

Eddie przeskoczył nad Pachakiem i rzucił się w kierunku drzewa.

Skąła osunęła się spod jego stóp i oderwała od klifu. Chase wpadł na drzewo, chwycił się go... i stracił równowagę.

Runął w dół.

Spadając, złapał jedną ręką wystający korzeń, a drugą wbił nóż w drzewo. Udało mu się powstrzymać upadek.

Jednak omal nie został oderwany od drzewa, kiedy Pachac zacisnął rękę wokół jego kostki.

Część korzeni biegła przez szczeliny w klifie, dzięki czemu drzewo nie spadło, ale ciężar obu mężczyzn ciągnął je w dół. Eddie kopnął Peruwianczyka w palce. Usłyszał z dołu krzyk, ale zanim udało mu się znów uderzyć, Pachac uchwycił się jego buta drugą ręką. Mimo uszkodzonego nadgarstka, miał niezwykle silny chwyt.

Korzenie znów trzasnęły.

– Podciągnij nas! – krzyknął Pachac. – Drzewo zaraz spadnie! Podciągnij nas!

Eddie spojrzał na niego... i poczuł ogarniającą go wściekłość. Nie odrywając oczu od partyzanta, zaczął poruszać dłonią z boku na bok, próbując wyszarpnąć nóż z korzenia.

Pachac zauważył jego ruch.

– Co... Co ty wyprawiasz? Nie! Zabijesz nas obu!

Eddie nie odpowiedział ani nie przestał ciągnąć za nóż. Drzewo zatrzęszczało i ostrze wydoostało się na zewnątrz.

Mężczyźni oderwali się od klifu. Eddie utrzymywał ciężar ich obu na jednej ręce. Drzewo mocno się zachwiało. Pachac stłumił krzyk i próbował oprzeć się stopami o skąłę. Wiedział, że gdyby oderwał dłoń, żeby poszukać punktu zaczepienia, Chase kopałby go w drugą, dopóki nie połałby mu palców.

Eddie nadludzkim wysiłkiem sięgnął w dół i powoli uniósł nogi, aby móc dosięgnąć Pachaca nożem. Peruwianczyk zrozumiał, co zamierza jego przeciwnik. Jego twarz wykrzywił grymas przerażenia.

– Nie! Nie rób tego! Proszę!

Eddie zacisnął zęby i skierował ostrze w rękę Pachaca.

– To za to, co zrobiłeś Macowi.

Pachac jeszcze raz spróbował oprzeć się stopą o skąłę. Nie udało mu się.

– Komu? Kim jest Mac?

– To mój przyjaciel. Zabiłeś go.

– Mówisz o tym urzędniku?

Eddie skrzywił się z niesmakiem. Ten drań nawet nie zapamiętał swojej ofiary! Wbił czubek noża w wierzch dłoni Pachaca, który głośno syknął.

– Siwy! Brodaty! Teraz wiesz, o kogo mi chodzi, pieprzony gnoju?

– Ten stary? – Strach ustąpił miejsca szczeremu zaskoczeniu. – Ależ ja go nie tknąłem palcem!

– Nie. Strzeliłeś mu w plecy. – Chase powoli obrócił nóż. Krew pociekła z rany i spłynęła po ramieniu Pachaca. – Ale ja chcę ci patrzeć w oczy... kiedy zrobię to.

Wbił nóż głębiej w dłoń Peruwianczyka i mocno go przekręcił. Rozległ się głośny trzask kości. Mężczyzna krzyknął z bólu i strachu i otworzył dłoń. Przez chwilę wisiał na drugiej, rannej ręce, ale Eddie uderzył go obcasem, łamiąc mu dwa palce. Pachac runął w dół. Eddie beznamiętnie przyglądał się, jak znika we mgle. Jego krzyk rozbrzmiewał jeszcze przez chwilę, potem powoli ucichł.

Odciążone drzewo gwałtownie się zatrzęsło. Eddie wbił nóż z powrotem w korzeń i odciągnął się do góry. Obsypały go ziemia i drobne kamyki. Drzewo mogło w każdej chwili oderwać się od klifu.

Zauważył po lewej stronie duży kamień wystający ze skalnej ściany. Wczepił się w niego ręką.

kami. Drzewo spadło w dolinę, obijając się o niego gałęziami, jakby chciało ściągnąć go w dół. Chase krzyknął, rozpaczliwie starając się pozostać na miejscu. Udało mu się, a szczątki drzewa zniknęły we mgle.

Eddie zwiślał na rękach, próbując odzyskać oddech. Kiedy opadł gniew, zaczął analizować sytuację. Droga biegła około dwudziestu metrów powyżej. Jak miał się tam dostać? Poskrobał butami o skałę, ale znalazł punkt podparcia tylko dla czubka jednej stopy. Wykorzystując go, sięgnął jedną ręką w górę, próbując się czegoś uchwycić. Pod palcami wyczuł tylko śliskie, gładkie, zdradliwe błoto, pokrywające wszystko. Nie sposób było się po nim wspinać.

– No nie – mruknął. – Ja pier...

Brzęk!

Usłyszał nad sobą odgłos metalu ocierającego się o kamień. Spojrzał w górę i zobaczył hak zjeżdżający po klifie w jego stronę.

Nina! To musiała być ona. Poczekał, aż hak na końcu stalowej liny holowniczej znajdzie się w jego zasięgu, potem chwycił go jedną ręką i szarpnął kilka razy, żeby zasygnalizować, że mocno trzyma. Hak przestał się opuszczać. Eddie zacisnął drugą dłoń na haku i odepchnął się stopami od zbocza.

Lina zaczęła iść w górę. Chase wędrował coraz wyżej, ocierając butami o skałę. Po chwili zobaczył należącego do ekspedycji nissana patrola stojącego na skraju drogi i znajomą twarz z niepokojem wpatrującą się w urwisko.

– Eddie! – krzyknęła Nina. – Dzięki Bogu! Dzięki Bogu!

– Nic wam nie jest? – zawołał.

Macy, która obsługiwała wyciągarkę w nissanie, westchnęła z ulgą.

– Czy nam nic nie jest? Przed chwilą spadłeś z klifu, a martwisz się o nas? Nie wiedzieliśmy nawet, czy wciąż jesteś tam na dole!

– W takim razie dlaczego opuściliście linę?

– Bo ja byłem pewna, że cię znajdę – stwierdziła Nina, ciągnąc za linę, żeby pomóc mężowi w pokonaniu ostatniego odcinka. Chase wczołgał się na błotnistą drogę, spojrzał jej w oczy... i uściśnęli się bez słów.

Macy w końcu przerwała milczenie.

– Co się stało z Pachakiem?

– Nie żyje – beznamiętnie odpowiedział Eddie.

Nina wypuściła go z objęć i odchyliła się, żeby mu się przyjrzeć.

– A co z tobą? Jak... jak się czujesz?

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

– Nic mi nie jest. – W gruncie rzeczy nie wiedział, co czuje, ani czy w ogóle czuje cokolwiek. Spodziewał się, że śmierć Pachaca przyniesie mu oczyszczenie, złagodzi gniew lub da satysfakcję z faktu, że sprawiedliwości stało się zadość... ale czuł tylko pustkę i otepienie.

– Jesteś pewien? – W głosie kobiety brzmiała troska.

– Tak. – Odwrócił głowę i spojrzał w stronę terenówki. – Daj telefon satelitarny. Musimy to zgłosić.

Warkot wirników odbił się echem od klifów otaczających wejście do El Dorado. Tym razem do miasta nie przyleciały śmigłowce szturmowe, ale cywilne i wojskowe helikoptery transportowe. Nina zadzwoniła do peruwiańskich władz, by poinformować o tym, co się stało i co znalazła. Rząd zareagował szybko. Pierwsi żołnierze mający zabezpieczyć teren pojawili się już po godzinie.

Szybko nadciągnęły kolejne oddziały, którym towarzyszyli cywilni urzędnicy. Operacją kierował Felipe Alvarado, przełożony Zendera i minister kultury. Dobiegający sześćdziesiątki mężczyzna miał zmęczoną twarz. Wyglądał, jakby widział już w życiu wszystko, ale najwyraźniej tak nie było, bo kiedy wyszedł z jaskini po oględzinach, był wyraźnie poruszony.

– Doktor Wilde! – wykrzyknął. – To niesamowite, niewiarygodne! El Dorado istnieje naprawdę, i to w mojej ojczyźnie!

Nina była zbyt zmęczona, by podzielić jego entuzjazm.

– Tak. To duża sprawa.

– Zaginione złote miasto! To się nie mieści w głowie. Muszę przyznać, że kiedy Agencja poprosiła o zgodę na poszukiwania, nie wierzyłem, że cokolwiek znajdziecie.

– Dlatego wysłał pan Zendera, zamiast pojechać z nami?

Alvarado spojrział w stronę brzegu opustoszałej niecki, gdzie leżało kilka ciał przykrytych prześcieradłami.

– Och, Diego – powiedział ze smutkiem. – Pragnął być sławny, chciał, by wszyscy poznali jego nazwisko. Ale nie w taki sposób.

– Nikt nie chce być zapamiętany w taki sposób – powiedziała Nina.

– Nie – przyznał. Przez chwilę patrzył na ciała, potem spojrział w stronę jaskini. Kilku żołnierzy schodziło po zawałonym murze, niosąc na noszach kolejne ciała. Pierwsze z nich było ubrane w brudny, niekompletny mundur maskujący – był to jeden z partyzantów. – Ale wynikało z tego coś dobrego – ciągnął dalej Alvarado. – Pachac i jego rzeźnicy nie żyją. Zabijając ich, wyświadczyliście mojej ojczyźnie wielką przysługę.

– Powtórzę to mężowi, na pewno się ucieszy – powiedziała Nina z goryczą, patrząc na kolejne zwłoki niesione przez żołnierzy.

Ciało Maca.

– Powinien – rzucił minister. – Ale przykro mi z powodu państwa przyjaciół.

– Dziękuję.

Mężczyzna chciał dodać coś jeszcze, ale zawołał go jeden z urzędników. Alvarado przeprosił i poszedł porozmawiać z podwładnym. Po drodze minął się z Eddiem, który wracał po opatrzeniu przez peruwiańskiego lekarza wojskowego. Chase zatrzymał się, kiedy zobaczył Maca. Patrzył, jak żołnierze kładą jego ciało obok pozostałych. Jeden z wojskowych właśnie miał naciągnąć na nie prześcieradło.

– Nie! – krzyknął Eddie i pobiegł w jego stronę. – Ja to zrobię. – Przykucnął i chwycił prześcieradło... ale go nie podciągnął. Spoglądał na nieruchomą, bladą twarz przyjaciela.

Nina podeszła do niego. Mijały sekundy, Eddie nadal w milczeniu ścisnął prześcieradło.

W końcu kobieta się odezwała.

– Eddie?

Chase drgnął zaskoczony, potem szybko nakrył Maca prześcieradłem i wstał.

– Co?

– Bardzo mi przykro. Czy... wszystko w porządku? – Delikatnie dotknęła jego ramienia.

Odsunął się. Nieznacznie, ale to wystarczyło, by Nina poczuła się odrzucona.

– Nie.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

– Daj mi pomyśleć. – Mężczyzna odwrócił się i pokuśtykał w stronę pobliskich drzew.

– Eddie... – cicho powiedziała kobieta i urwała. Czowała, że nic, co mogłaby powiedzieć, nie pomoże jej mężowi.

– Nina? – Macy podeszła do niej razem z Kitem i Osterhagenem. – Wszystko w porządku?

– Nie wszystko – odpowiedziała Nina, nie spuszczać wzroku z odchodzącego Eddiego.

Macy zadrżały się wargi, kiedy uświadomiła sobie, kto leży pod prześcieradłem.

– Ach, to... pan McCrimmon. Ojej... – Łzy napłynęły jej do oczu.

Kit, który wyglądał na równie wstrząśniętego, położył jej dłoń na ramieniu. Spod odciętego rękawa mężczyzny widać było bandaż na ramie postrzałowej.

– To nie powinno było się stać – powiedział cicho, bardziej do siebie niż do niej.

Osterhagen także przyglądał się ciałom z poważną miną.

– Nic z tego nie powinno było się stać. Tyle śmierci. Wszystko z powodu złota i ludzkiej chciwości.

– Przez pięćset lat nic się nie zmieniło – zauważyła Nina ze smutkiem.

– Może pewnego dnia się zmieni – powiedział Kit.

– Chciałabym. Ale wątpię. Ludzie już tacy są. – Spojrzała na męża. Stał na skraju polany ze schyloną głową. – Muszę być teraz przy Eddiem – powiedziała, ruszając za nim. Nadal nie miała pojęcia, w jaki sposób mogłaby go pocieszyć.

Do członków ekspedycji podszedł peruwiański urzędnik z telefonem satelitarnym w dłoni.

– Panie Jindal! Telefon do pana. Z Interpolu.

Kit wziął słuchawkę.

– Tak, tu Jindal.

– Mówi Aleksander Stikes – odezwał się głos z angielskim akcentem. Kit zamarł. – Mam dla ciebie propozycję...

Panoramyczne okna willi, w której peruwiańskie władze zakwaterowały ocalałych członków ekspedycji, wychodziły na Limę. Widok ze wzgórz na południowym wschodzie miasta był wspaniały, ale pochłonięty myślami Eddie nie zwracał uwagi na niesamowity czerwony zachód słońca nad ciemniejącą stolicą.

Kit przez chwilę się wahał, zanim wszedł do pokoju. Stał obok krzesła Chase'a, w milczeniu podziwiając krajobraz, w końcu zebrał się na odwagę, by się odezwać.

– Eddie?

Chase zdał sobie sprawę z jego obecności, dopiero kiedy odwrócił głowę.

– Eddie – powtórzył Hindus. – Chciałem tylko powiedzieć... że mi przykro. Przykro mi z powodu Maca. To nie powinno było się zdarzyć.

– Nie powinno było. – Eddie mówił mechanicznie, jakby musiał przypomnieć sobie, jak to się robi.

– Gdyby nie próbował zniszczyć helikoptera, gdyby nie znalazł się w tamtym miejscu w tamtej chwili... nie doszłoby do tego. Wciąż by żył. Gdyby nie próbował dorwać Stikesa...

– Stikes – warknął Chase. – Nie powinieneś rozmawiać ze mną o Stikesie.

Kitem wstrząsnął dreszcz. To przecież niemożliwe, żeby Eddie wiedział o telefonie...

– Dlaczego nie?

– Jesteś gliną. A ja zamierzam zabić tego skurwiela.

Hindus z trudem ukrył ulgę.

– Akurat w tym przypadku mógłbyś liczyć na moją wyrozumiałość.

Eddie pokiwał głową i znów pogrążył się w milczeniu. Kit czuł, że musi mówić dalej.

– Był dobrym człowiekiem. Dzielnym i honorowym. – Wbił wzrok w podłogę i pokręcił głową.

Usłyszał za sobą chrząknięcie. Odwrócił się i zobaczył jedną z pracownic willi, ładną młodą pokojówkę, stojącą w drzwiach z telefonem bezprzewodowym w dłoni.

– Przepraszam, proszę, panie Jindal? – powiedziała. – Telefon do pana.

Kit zerknął na Eddiego, potem podszedł do kobiety i wziął telefon.

– Halo?

– Jindal – odezwał się Stikes. – Czy przedyskutowałeś moją propozycję z przełożonymi?

Wziął głęboki oddech i odpowiedział.

– Tak.

– No i?

Znów zerknął na Eddiego, tym razem ukradkiem, żeby sprawdzić, czy nie słucha rozmowy. Chase wydawał się jednak zupełnie zatopiony we własnych myślach.

– Zgodzili się.

– Dobrze. Przekazałeś im, że chcę spotkać się osobiście z jednym z ich przedstawicieli, nie z chłopcem na posyłki, takim jak ty?

– Tak – odpowiedział Hindus przez zaciśnięte zęby. – Jest już w drodze.

– Znakomicie. Trzydzieści kilometrów na południe od Limy, przy autostradzie panamerykańskiej, leży miasteczko San Bartolo. Trzy kilometry dalej znajduje się przepompownia gazociągu, stacja numer czternaście. Bądź tam za godzinę.

– San Bartolo, stacja numer czternaście – powtórzył Kit. – Dobrze, przyjadę. – Oddał słuchawkę pokojówce. – Eddie, muszę się spotkać z kimś z Interpolu. Chyba wpadliśmy na trop w sprawie statuetek. Dasz sobie radę?

Chase się nie poruszył, nie odwrócił nawet wzroku w jego kierunku.

– Jasne.

– W porządku. Do zobaczenia później. – Skierował się do wyjścia, ale przystanął



w drzwiach. – Bardzo mi przykro z powodu Maca. Naprawdę.

Eddie nie odpowiedział.

Nina, wykąpana i przebrana w świeże ubrania, wyszła z pokoju i zeszła na dół poszukać męża. W holu willi natknęła się na Kita, który właśnie wkładał marynarkę.

– Wychodzisz?

– Muszę się z kimś spotkać.

– Z kimś z Interpolu?

Hindus przez chwilę się zawahał.

– Niezupełnie – odpowiedział po chwili. – Nie mów nic Eddiemu, ale... chodzi o Stikesa.

Zaproponował, że odda figurki.

– Co takiego? Chyba żartujesz!

– Nie. Wydaje mi się, że on mówi poważnie. Chce dobić targu – w zamian żąda nietykalności.

Nina zmarszczyła brwi.

– Nie wiem, czy Wenezuelczycy będą zachwyceni.

– Mnie też się to nie podoba. Ale ostateczne decyzje jeszcze nie zapadły. Mam się spotkać z... jego przedstawicielem, żeby sprawdzić, jakie postawi warunki. Jeśli Interpol je zaakceptuje, odzyskamy figurki.

Nina poczuła się rozdarta.

– Bardzo chciałabym dostać je z powrotem, ale nie podoba mi się pomysł amnestii dla tego sukinsyna. Z drugiej strony...

– Jeśli mamy szansę odzyskać figurki, powinniśmy z niej skorzystać. W ten sposób będziemy mieli pewność, że ludzie, którzy oddali za nie życie, nie zginęli na darmo.

– Ludzie tacy jak Mac – smutno powiedziała kobieta. – Dlatego nie chcesz mówić o tym Eddiemu?

– Tak. Rozmawiałem z nim kilka minut temu i wściekł się na samą wzmiankę o Stikesie.

Gdyby się dowiedział, że prowadzimy z nim negocjacje, zapewne zareagowałby jeszcze gwałtowniej.

– Nie wątpię. – Nina spojrzała w głąb korytarza. – Jest w salonie? – Kit skinął głową. – Daj mi znać, jak poszło. I powodzenia.

– Dziękuję. – Hindus wyszedł, a Nina udała się do salonu.

Eddie siedział w tym samym fotelu, w którym go zostawiła, wpatrując się w zachód słońca.

– Hej – powiedziała, przysiadając na podłokietniku i delikatnie kładąc dłoń na klatce piersiowej męża. – Wszystko w porządku?

Tym razem nie odsunął się od niej, ale też nie zareagował na jej dotyk.

– Wiem, jak się teraz czujesz – mówiła dalej. – Przechodziłam przez to. Straciłam bliskich mi ludzi. Chcę, żebyś wiedział, że jestem przy tobie i zawsze będę. Zrobię dla ciebie wszystko.

Chase poruszył się i zacisnął szczękę.

– Nie straciłem Maca – powiedział cicho. – Odebrano mi go.

– Wiem. I to uczucie też znam. Pamiętasz, co stało się z Rowanem?

– To nie to samo. To... – Przerwał, usiłując ubrać myśli w słowa. – Z Makiem było inaczej. Nie masz pojęcia, ile dla mnie znaczył.

– Eddie, on był również moim przyjacielem. Będę za nim tęsknić tak samo jak ty.

Tym razem w głosie mężczyzny zabrzmiał gniew.

– Nie będziesz. Mac nie był tylko moim przyjacielem. Byłbym gotów... – Załamał mu się głos. Wziął głęboki oddech. – Byłbym gotów oddać za niego życie. Tak wiele dla mnie znaczył.

A on zrobiłby dla mnie to samo. Nie zrozumiesz tego.

Nina usiłowała stłumić gniew.

– Naprawdę rozumiem. I naprawdę wiem, jakie to uczucie. Moich rodziców zamordowano, pamiętasz? – Nagle odżyło w niej poczucie straty. – Wiem, jak to jest. Wierz mi. Wiem.

Oboje zamilkli. Przez kilka minut panowała cisza, którą nagle przerwały słowa:

– Przepraszam, proszę?

Nina obejrzała się i zobaczyła pokojówkę.

– Tak?

– Telefon z Agencji. – Nina wyciągnęła rękę po słuchawkę, ale pokojówka pokręciła głową.

– Do pana Chase’a.

Zaskoczona kobieta podała telefon mężowi.

– Halo? – odezwał się Chase. – Cześć, Lola. O co chodzi? Ale tam jest środek nocy – zaprotestował po chwili. Nina słyszała echo głosu swojej asystentki – nie rozróżniała słów, ale wyczuła niepokój. – Dobrze, dzięki – powiedział Eddie, rozłączył się i wybrał numer.

– Co się dzieje? – spytała Nina.

– Lizzie próbowała się ze mną skontaktować. Lola mówi, że to pilne.

– Chodzi o babcię?

Eddie nie odpowiedział, ale jego mina mówiła sama za siebie. Wstał i przyłożył słuchawkę do ucha, niecierpliwie czekając na połączenie.

– Lizzie, to ja – powiedział w końcu. – Właśnie dostałem twoją wiadomość. O co chodzi?

Słuchał siostry, chodząc tam i z powrotem wzdłuż okien. Nina z zaniepokojeniem zauważyła, że jego twarz staje się coraz bardziej beznamietna, a odpowiedzi coraz bardziej zwięzłe – była to reakcja obronna na złe wieści. W końcu zatrzymał się i powiedział:

– Dobrze. Jasne. – I zakończył rozmowę.

Nina nie chciała zadawać mu oczywistego pytania, bo była pewna, że zna już na nie odpowiedź. Musiała jednak to zrobić.

– Co powiedziała Elizabeth?

– Powiedziała... – Eddiemu załamał się głos. Przełknął ślinę i zaczął mówić dalej. – Powiedziała, że babcia dziś zmarła.

Choć Nina domyślała się takich wieści, była zszokowana i przygnębiona.

– Boże – powiedziała. – Przykro mi, Eddie.

– To nie przez płuca – cicho dodał mężczyzna. – Dobrze reagowała na tlenoterapię. Ale wystąpił jakiś skutek uboczny rozedmy i w wątrobie zaczęła zbierać się krew... Nie wiem, nie za bardzo zrozumiałem, o co chodzi. W każdym razie babci nagle się pogorszyło, więc zabrali ją do szpitala i tam...

Nagle rzucił telefonem o ścianę. Słuchawka się roztrzaskała. Przerazona pokojówka pisnęła i uciekła z pokoju. Eddie chwycił fotel i rzucił nim przez salon. Uderzył w niewielki stolik i oba drewniane meble rozpadły się na kawałki.

– Kurwa mać! – ryknął, podbiegł do resztek fotela i zaczął wściekle je kopać.

– Eddie, przestań! – krzyknęła Nina, podchodząc do niego. – Proszę, przestań! Proszę!

Mężczyzna opadł na kolana pomiędzy połamanymi meblami.

– O Boże – szepnął drżącym głosem. Łzy popłynęły mu po policzkach.

Nina przykucnęła i objęła męża.

– Jestem tu, jestem przy tobie. Wszystko dobrze. Wszystko będzie dobrze.

– Nie jest. I wcale, kurwa, nie będzie! – Odsunął się od niej i wstał, roztrzucając resztki mebli. – Wiesz, jakie były jedne z ostatnich słów babci tuż przed śmiercią? Pytała, gdzie jestem. Dlaczego nie przy niej, razem z resztą rodziny. Powinienem być z nią zostać, ale nie mogłem przez twoje pieprzone figurki!

Nina drgnęła, zszokowana faktem, że mąż skierował swoją wściekłość przeciwko niej. Niezasłużone oskarżenie znów rozbudziło w niej tłumiony gniew.

– Jesteś niesprawiedliwy!

– Czyżby? Gdyby nie twoje poszukiwania, Mac nie przyjechałby do Ameryki Południowej, a ja mogłbym zostać w Anglii z babcią.

– Musieliśmy odnaleźć figurki. To jedno z zadań Agencji – pilnowanie, żeby takie rzeczy nie wpadły w ręce nieodpowiednich osób.

– A Stikes jest, kurwa, odpowiedni? – wrzasnął. – Gdybyśmy dali sobie spokój, wszystko byłoby w porządku. Mieliśmy dwie figurki, Callas olał pierwszą połowę trzeciej, a drugiej połowy nikt by nigdy nie znalazł. Co nam to dało, poza mnóstwem trupów?

Nina rozpaczliwie starała się pohamować wściekłość. Wiedziała, że mężem targają wyjątkowo silne emocje.

– Eddie, już o tym rozmawialiśmy po śmierci Mitzi, podczas poszukiwań Excalibura. Pamiętasz?

– Jasne, kurwa, że pamiętam. Wiesz, kto mi wtedy pomógł przez to przejść? Mac! Kto mi pomoże tym razem?

– Ja.

– Ale to ty jesteś, kurwa wszystkiemu winna!

Nina poczuła się, jakby dał jej w twarz.

– Nie wierzę, że to powiedziałaś...

Eddie przez chwilę wyglądał, jakby sam się zorientował, że zabrnął za daleko... ale po chwili spojrzął na coś za plecami żony.

– Czego? – spytał.

Nina odwróciła się i zobaczyła wystraszoną pokojówkę stojącą w drzwiach z zapasową słuchawką telefonu bezprzewodowego w ręce.

– Przepraszam, ale... jest kolejny telefon. Do doktor Wilde.

– Każ im spierdalać – warknął Eddie.

– Ale... to prezydent Peru!

– I co z tego? Każ mu spierdalać!

Młoda kobieta z trudem powstrzymywała łzy. Nina posłała Eddiemu wściekle spojrzenie i podeszła do niej.

– Odbiorę – powiedziała.

– W końcu praca zawsze jest dla ciebie najważniejsza, prawda? – powiedział Eddie z goryczą. Nina powstrzymała się od ciętej riposty i wzięła słuchawkę.

Rozmowa była krótka i rzeczowa.

– Muszę jechać – niechętnie powiedziała do męża po jej zakończeniu. – Prezydent chce się ze mną spotkać.

– Teraz?

– Tak.

– Trzeba było się nie zgadzać.

– Nie byłam w stanie klócić się z dwiema osobami naraz. – Oddała słuchawkę pokojówce, która wyszła z salonu najszybciej, jak mogła. – Przyślą po mnie samochód. Wrócę tak szybko, jak się da. Wtedy będziemy mogli porozmawiać. O ile uda ci się uspokoić.

– W życiu nie byłem spokojniejszy – mruknął Eddie za odchodzącą żoną, stukając stopą w szczątki fotela.

Nad Limą zapadła ciemność, ale miasto skrzyło się światłami. Eddie siedział teraz na kanapie, tyłem do okien. Porozbijane meble wciąż były rozrzucone po podłodze. Pokojówka nie odważyła się przyjść, żeby je sprzątnąć.

Usłyszał kroki, podniósł głowę i zobaczył w drzwiach Macy.

– Eddie? Dlaczego siedzisz tu po ciemku? Jejku! – dodała, widząc szczątki mebli. – Co się stało?

– Pokłóciłem się z fotelem – krótko odpowiedział Eddie. Po wyjściu Niny udało mu się uspokoić, ale nadal wrzał w nim ból po stracie bliskich, gniew i poczucie zagubienia.

– Rozumiem. – Macy ostrożnie weszła do salonu. – Gdzie Nina?

– Zajęta – odpowiedział z goryczą. – Pojechała spotkać się z prezydentem.

Macy uniosła brwi.

– Stanów Zjednoczonych?

– Peru.

Kobieta opuściła brwi. Była już pod zdecydowanie mniejszym wrażeniem.

– Aha. – Podeszła do okna i przez chwilę pocierała o siebie palce, zanim odważyła się znów odezwać. – Ja... no... słyszałam, jak się klóćcie. A byłam wtedy pod prysznicem, więc musiało być naprawdę ostro.

– Można tak powiedzieć.

– O co poszło?

Macy nigdy nie wyróżniała się taktem i subtelnością, ale Eddie powstrzymał się od złości – kobieta wyglądała na naprawdę zaniepokojoną.

– Nieważne – odparł. – Zaczęło się od tego, że dostałem złe wieści.

– Jakie?

Wziął głęboki oddech.

– Moja babcia zmarła.

– Twoja babcia? Ojej! – wykrzyknęła Macy, kiedy uświadomiła sobie, że znała starszkę osobiście. Szybko podeszła do kanapy i usiadła obok Chase'a. – Bardzo mi przykro. To straszne. Była taka urocza!

– Owszem – potwierdził Eddie.

– Boże, naprawdę mi przykro. I to zaraz po tym, jak Mac... – Przycisnęła dłoń do ust przerażona własnym brakiem delikatności. – Przepraszam – wymamrotała. – Nie chciałam...

Eddie uśmiechnął się do niej smutno.

– Nie przejmuj się. Ten dzień był chujowy od początku do końca. Gorszy już być nie może.

– I tak przepraszam – powiedziała. – Czy mogłabym... Potrzebujesz czegoś?

– Odzyskać babcię. I Maca.

Macy nie wiedziała, jak zareagować, dopóki Eddie nie uspokoił jej kolejnym bladym uśmiechem.

– Pan McCrimmon naprawdę wiele dla ciebie znaczył, prawda? – spytała. – Jak długo go znałeś?

– Długo. Poznaliśmy się... – Obliczył to w pamięci. – Jezu, ponad szesnaście lat temu, kiedy zaciągnąłem się do SAS. Nie wiedzieć czemu, wziął mnie pod swoje skrzydła.

– Widocznie coś w tobie zobaczył – domyślała się Macy.

– Nie mam pojęcia, co. Ale faktycznie, wyprowadził mnie na ludzi. Kiedy byłem młodszy, był ze mnie niezły dupek. Zbuntowany, agresywny...

Macy zerknęła na zniszczony fotel.

– No co ty powiesz...

– Ej! Też chcesz się kłócić? – spytał, teraz jednak mówił żartobliwie, bez śladu gniewu. – Pomógł mi w wielu sprawach. Wielokrotnie uratował mi życie, nie tylko podczas służby w SAS. I nauczył mnie wszystkiego, co wiem. Nie mówię o wojsku, tylko o tym, jak być dobrym człowiekiem. Jak dokonywać właściwych wyborów.

– Tego się chyba nie da nauczyć – cicho powiedziała Macy. – Trzeba mieć to w sobie.

– Ale on to ze mnie wydobył. Pokazał mi, że nie wolno się poddawać. Jego życiowe motto brzmiało: „Walcz do końca”. To... – Przerwał, bo załamał mu się głos. – To były jego ostatnie słowa. – Zwiesił głowę. – Boże, nie powinienem był go tam zostawiać. W ogóle nie powinienem był pozwolić, żeby z nami jechał, ale... – Udręczony podniósł głowę. – Gdybym poszedł z Kitem go szukać, zamiast uganiać się za Stikesem, nadal by żył. Miałem kałacha, dałbym radę załatwić Pachaca, a Mac rozwaliłby helikopter, zanim by wystartował. Ale tego nie zrobiłem, Pachac zastrzelił Maca, zranił Kita, a Stikes uciekł. To wszystko moja wina.

– Wcale nie – zaprotestowała Macy. – Nie możesz się obwiniać. Poza tym to nie... – Przerwała i zmarszczyła brwi.

– Co takiego?

– Nie jestem pewna, ale... – Zamyśliła się, próbując przypomnieć sobie po kolei, co zaszło w opuszczonym mieście. – Pachac nie mógł do nich strzelać po tym, jak Stikes uciekł.

– Musiało tak być – odpowiedział Eddie. – Mac powiedział, że miał śmigłowiec Stikesa na celowniku, kiedy oberwał. Kit mówił to samo. Pachac ich zaskoczył.

Macy pokręciła głową.

– Nie, to się nie zgadza. Spotkałam Kita, kiedy helikopter wylatywał z jaskini, i nie był jeszcze wtedy ranny.

– Jesteś pewna? Może coś ci się pomieszało?

– Trudno przeoczyć lądowanie helikoptera – odparła kobieta z irytacją. – Na pewno był już w powietrzu, kiedy wpadłam na Kita. A on na pewno nie był jeszcze ranny. Ale powiedział... – Znow zrobiła zdezorientowaną minę.

– Co takiego?

– Powiedział, że Pachac i jego ludzie przed chwilą poszli do wieży – tam, gdzie znaleźliśmy jego i pana McCrimmona.

– Maca z nim nie było?

– Nie. Powiedział, że go nie widział.

– I to się działo po starcie helikoptera?

– Tak. Jestem absolutnie pewna.

Chase wychylił się do przodu i zaczął się zastanawiać. Ufał swojemu byłemu dowódcy bezgranicznie i był pewien, że dokładnie opisał on sytuację, nawet gdy umierał. Mac na pewno miał rację. A więc Macy musiała się mylić.

– To nie ma sensu – stwierdził. Zamierzał powiedzieć to spokojnie, ale wspomnienie zakrwawionej, wykrzywionej z bólu twarzy umierającego przyjaciela sprawiło, że odezwał się ostrym tonem.

Macy odsunęła się od niego.

– Nie kłamie! Wiem, co widziałam.

– Przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Nie twierdzę, że kłamiesz... – Urwał. Mac. Kit. Macy. Trzy różne wersje tych samych wydarzeń. Dwie z nich były sprzeczne i założył, że to Macy jest w błędzie.

A jeśli tak nie było?

Wersja przyjaciela była dla niego niepodważalnie prawdziwa. A pozostałe?

Zaczął od Macy. Widziała, jak helikopter startuje i wylatuje z jaskini, potem spotkała Kita, który powiedział, że szuka Maca. Kiedy znow go zobaczyła, Hindus był ranny. Podobnie jak Mac.

Kit twierdził, że był z Makiem, kiedy zaatakowali Pachac i jego ludzie, i postrzelili ich – jego w ramię, Szkota w plecy.

Ale Mac został postrzelony przed odlotem helikoptera.

Przed rozmową z Macy nie przyszło mu do głowy, że któreś z opowiadających mogło skłamać. Dlaczego mieliby to robić? To nie miało sensu.

Bez sensu była też rozbieżność pomiędzy ich wersjami. A Pachac twierdził, że nie zabił Maca. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej rozmawiał z Chasem... ale szczerze oburzył się, słysząc oskarżenie.

Poza tym przywódca partyzantów i jego ludzie zdążyli uciec z jaskini i dotrzeć do swoich samochodów, zanim Eddie ruszył za nimi – a od chwili, kiedy usłyszał strzały, do momentu znalezienia Maca minęło może pół minuty. Nawet biorąc pod uwagę czas, który Eddie spędził przy umierającym przyjacielu, Pachac nie mógł zyskać aż takiej przewagi tak szybko. Czyli musiał uciec wcześniej.

Nie mógł więc zabić Szkota.

Eddie poczuł dreszcze i ucisk w piersiach. Skoro to nie Pachac był zabójcą Maca, pozostawała tylko jedna możliwość.

Kit.

Mac został trafiony w plecy. A Kit znajdował się za nim. Hindus był ranny w ramię... w lewe ramię. Kit był praworęczny. Jego rana była powierzchowna, drasnęła go jedna kula. Mac dostał dwa śmiertelne trafienia.

W steyrze, którego zabrał Kitowi, zostało dziesięć z piętnastu kul. Wystrzelono pięć: jedną do draśnięcia, dwie jako kamuflaż... i pierwsze dwie, zanim Kit spotkał Macy, żeby zabić Maca.

To nie mogła być prawda. Dlaczego miałyby to zrobić? Jaki mógł mieć powód?

Eddie zaczął zastanawiać się nad kolejnymi kwestiami... i pojawiły się kolejne pytania. Stikes dwa razy oddzielił Kita od reszty grupy – za drugim razem pod bardzo błahym pretekstem. Przedtem zresztą sam się zastanawiał, dlaczego Hindus w ogóle pojechał na misję.

Dlaczego właściwie szef Wydziału ds. Przepływów Przeciwno Dobrom Kultury Interpolu

osobiście brał udział w ekspedycji archeologicznej? Był zainteresowany...

Figurkami.

To Kit zasugerował – a właściwie przeforsował – teorię o związku między odkryciem Niny w Glastonbury a Ameryką Południową i natychmiast zareagował na raport Agencji. To Kit zaproponował wspólną misję Agencji i Interpolu. To Kit koniecznie chciał towarzyszyć archeologom do El Dorado, mimo że sprawa przemytu została zamknięta. To Kit podczas wydarzeń w jaskini najpierw pomyślał o figurkach.

To Kit pojechał sprawdzić trop w sprawie skradzionych statuetek.

Skradzionych przez Aleksandra Stikesa.

– Figurki... – Eddie zerwał się na równe nogi, kiedy doznał olśnienia. – To te pieprzone figurki!

– Co takiego? – spytała zaskoczona Macy. – O co chodzi?

Zignorował ją. Nagle zrozumiał, jakie jest jedyne możliwe wytłumaczenie tego, co stało się w El Dorado.

Kit był w zмовie ze Stikesem.

Przywódca najemników już przedtem, zanim Nina zalała jaskinię, zapowiedział, że zabierze agenta Interpolu ze sobą, podając marne wymówki, które nie przekonały nawet Pachaca. Potem, kiedy Stikes zamierzał odlecieć hindem, a Mac próbował wysadzić śmigłowiec – Kit strzelił Skotowi w plecy, żeby ratować Stikesa i figurki.

Teraz... mieli znowu się spotkać.

Eddie wstał i wybiegł z pokoju. Zaskoczona Macy ruszyła za nim.

– Halo? – krzyknął mężczyzna. – Pani pokojówko, jest tu pani?

Przestraszona kobieta wyjrzała z jednego z bocznych pokoi.

– Tak?

– Przepraszam, że tak na panią nakrzyczałem. I proszę się nie przejmować fotelem, później wszystko posprzątam. Muszę tylko o coś panią zapytać. Czy wie pani, gdzie... – Usiłował przypomnieć sobie zasłyszaną rozmowę Kita. – San Barn, Bart... San Bartolo. Czy wie pani, gdzie leży San Bartolo?

Kobieta niepewnie pokiwała głową.

– To miasto nad morzem. Jakies trzydzieści, trzydzieści pięć kilometrów na południe od stolicy.

– Czy jest tam stacja kolejowa?

– Nie.

– W takim razie czy wie pani, co oznacza stacja czternasta? Co to za stacja?

– Stacja? Nie wiem, to... – Zamyśliła się na chwilę. – A, już wiem. Stacja od gazu.

– Benzynowa?

– Nie, nie. To nie benzyna... – Zasyczała. – To gaz, taki w rurach! Do gotowania!

Rurociąg gazowy?

– Tak, tak! Mój brat pracuje w gazociągu. Rury idą do Limy aż z dżungli. Są przy nich stacje, które pompują gaz.

– Wezwie mi pani taksówkę? – spytał. – Tylko żeby kierowca nie bał się łamać przepisów!

Pokojówka szybko się oddaliła.

– Eddie, co się dzieje?

Chase miał beznamiętny, zdeterminowany wyraz twarzy – jak wtedy, kiedy ruszał w pościg za Pachakiem.

– Jadę poszukać Kita. Jeśli moje przypuszczenia się potwierdzą... – Nie musiał kończyć zdania. Macy zdała sobie sprawę, że to groźba.

– Jadę z tobą.

Rzucił jej spojrzenie tak lodowate, że naprawdę się przeraziła, i powiedział tonem nieznośnym sprzeciwu:

– Nie jedziesz.

Odwrócił się, a zaskoczona Macy nagle uświadomiła sobie, że właśnie zobaczyła jego twarz

taką, jaką pokazywał wrogom – zanim ich zabił.

Stacja czternasta przy rurociągu gazu ziemnego biegnącym wzdłuż wybrzeża Pacyfiku w kierunku Limy była otoczona wysoką siatką, stosem ciemnoszarych stalowych zbiorników i dudniącymi pompami. Znajdowała się w odludnym miejscu, kilka kilometrów od San Bartolo, u podnóża Andów, i wydawała się opuszczona – jej praca była całkowicie zautomatyzowana. Pracę pomp monitorowano z Limy, a przepompownię obserwowały jedynie kamery telewizji przemysłowej.

Kit martwił się nie tylko kamerami, kiedy skręcił z autostrady panamerykańskiej i skierował wypożyczony przez Interpol samochód na drogę dojazdową. Gdyby został nagrany, mogłyby pojawić się pytania, na które wolał nie odpowiadać. Po chwili jednak zauważył, że łańcuch spinający bramę został przecięty, mimo że znajdowała się ona tuż pod okiem kamery. Stikes musiał w jakiś sposób unieszkodliwić monitoring.

Mimo wszystko, wysiadając z samochodu, Hindus opuścił głowę, by ukryć twarz. Z tak bliska słyszał nie tylko dudnienie maszyn, ale także niski, monotony szum – odgłos setek metrów sześciennych gazu przepływającego w każdej sekundzie przez wielki stalowy rurociąg. Zajrzał przez siatkę, szukając Stikesa. Najwyższe zbiorniki znajdowały się na północnym krańcu przepompowni, otaczał je pomost biegnący nad mnóstwem rur i zaworów w kierunku głównego rurociągu do budynku, w którym, jak się domyślił, znajdowała się stacja kontrolna. Z instalacją graniczyła od wschodu niska skarpa, z której wiodły w dół metalowe schody. Kit zrozumiał, dlaczego Stikes wybrał właśnie to miejsce na spotkanie – na płaskim szczycie wzgórza mogły lądować helikoptery.

Lądowisko nie było jednak przeznaczone dla hindu należącego do najemników, tylko dla osoby, którą miał wezwać oficer Interpolu... jeśli Stikes dotrzyma swojej części umowy.

Gdzie się podziewał Anglik? Kit przyjrzał się przepompowni. Była zautomatyzowana, więc oświetlenie było skąpe, zainstalowane na użytek kamer monitoringu, nie gości. Światło odbijało się od rur, ukazując w ciemności kontury stalowego labiryntu...

Zobaczył Stikesa wchodzącego po drabinie na główną kładkę. Mężczyzna niecierpliwym gestem kazał mu się zbliżyć. Kit nerwowo rzucił okiem w stronę najbliższej kamery, otworzył bramę i przeszedł po pylistej ziemi w kierunku przepompowni. Wszedł po drabinie, czując, jak metal pulsuje od drgania pomp.

Stikes był ubrany w ciemny wojskowy mundur, miał beret na głowie i jericho w kaburze przy pasie. Obok niego stała walizeczka, którą zabrał z El Dorado.

– Spóźniłeś się – zauważył.

– Musiałem zorganizować samochód – wyjaśnił Kit.

Najemnik przyjrzał się jego wozowi.

– Przyjechałeś sam?

– Oczywiście. A ty przyszedłeś sam?

– Oczywiście, że nie. – Anglik uśmiechnął się zimno. – Dwóch moich ludzi mierzy do ciebie z karabinów. Sprawdź, czy uda ci się ich znaleźć...

Kit obrócił się nerwowo, przyglądając się plątaninie rur. Można się tam było ukryć w wielu miejscach... ale snajper musiał wybrać wysoko położoną pozycję, aby stalowa konstrukcja nie zasłaniała mu celu. Hindus uniósł wzrok i w końcu wypatrzył jednego z mężczyzn: obok jednego z mniejszych zbiorników na gaz biegła drabinka prowadząca na niewielką platformę na jego szczycie. Ciemna sylwetka była ledwie widoczna na tle bezchmurnego nocnego nieba. Światła przepompowni odbijały się od lufy karabinu.

– Jeden na zbiorniku – powiedział i kontynuował poszukiwania. Po chwili był zmuszony przyznać się do porażki. – Drugiego nie widzę.

– Nie możesz go zobaczyć – wyjaśnił Stikes. – Gurow czeka za siatką. – Zerknął w stronę skarpy.

– Zastrzelą mnie?



– Jeśli nie dasz mi tego, po co przyjechałem. A zatem do rzeczy. – Stikes wyprostował się i położył ręce na biodrach. – Czy zostanę przedstawiony Grupie?

– Czy przywiozłeś figurki?

Stikes pchnął nogą walizeczkę. Kit przykucnął i ją otworzył. Wewnątrz znajdowały się statuetki: dwie w całości i obie połowy trzeciej. Podniósł jedną, zważył w dłoni kamień i przyjrzał się fakturze starożytnych rzeźbień. Posążki były autentyczne.

I nareszcie zebrane w jednym miejscu.

– I jak? Zadowolony? – zapytał Stikes.

– Tak – odpowiedział Kit, wstając.

– Dobrze. – Najemnik wyjął telefon satelitarny. – W takim razie dzwoń. Jestem pewien, że pamiętasz numer.

Spotkanie z prezydentem Peru było dość krótkie i, zdaniem Niny, zupełnie niepotrzebne. Wszystkie omawiane sprawy mogły spokojnie poczekać do jutra. Przywódca, pod pretekstem gratulacji z powodu odkrycia El Dorado, wyraźnie zaznaczył, że odnalezione miasto i ukryte w nim niewyobrażalne bogactwa stanowią własność Peru, a rola Agencji będzie ograniczana, jak tylko się da. Zender i peruwiańscy archeolodzy już zostali okrzyknięci bohaterami narodowymi, jako dzielni odkrywcy, którzy poświęcili życie, aby świat mógł dowiedzieć się o niezwykłym znalezisku.

Nina była zbyt zmęczona, żeby ostro zaprotestować, zresztą w gruncie rzeczy roszczenia ani jej nie zaskoczyły, ani nie przejęły. Podobnie było w przypadku jej poprzednich odkryć. Rząd Algierii przejął grobowiec Herkulesa, Egipcjanie – piramidę Ozyrysa, wraz z rozgłosem związanym z zabytkami. Nie liczyło się jednak przecież to, kto odnalazł zagubione skarby, tylko to, że w ogóle zostały odnalezione.

Rządowy samochód odwiózł ją do willi, gdzie spotkała schodzącego po schodach Osterhagena. Niemiec wyglądał na wycieńczonego. Musiał spać od chwili, kiedy znalazł się w swoim pokoju. Nadal miał na sobie te same wygniecione, postrzępione ubrania. Nie miał siły nawet się rozebrać przed położeniem się do łóżka.

– Nina – ziewnął. – Gdzie byłaś? – Kobieta opowiedziała mu o spotkaniu. – Ano tak – rzucił z lekkim rozbawieniem. – Mnie też się to zdarzało. To ryzyko zawodowe.

– I wielka niesprawiedliwość. – Do holu weszła Macy. Wyglądała na zaniepokojoną. – Cześć, Macy. Co tam?

– Chodzi o Eddiego. – Macy uśmiechnęła się przepaszająco do Osterhagena i odciągnęła Ninę na bok. Niemiec, który wzruszył ramionami i poszedł szukać kuchni. – Martwię się o niego.

– Ja też. Boję się, że minie sporo czasu, zanim pogodzi się ze wszystkim, co się dzisiaj stało.

– Problem w tym, że dzień się jeszcze nie skończył. A on wyjechał!

– Jak to? Dokąd?

– Do jakiegoś San Bartolo. Rozmawialiśmy, a Eddie nagle zaczął dziwnie się zachowywać i wypytywał pokojówkę, jak tam dotrzeć.

– Dziwnie, czyli jak?

– Był wkurzony. W taki przerażający sposób. Był wściekły, ale w ogóle tego po sobie nie pokazywał. Wiesz, o co mi chodzi?

Nina wiedziała. Widywała już u męża taką zimną furię – ostatni raz dziś rano – i nigdy nie wróżyło to dobrze.

– Dlaczego się wściekł? O czym rozmawialiście?

– O tym, co stało się w El Dorado. To miało coś wspólnego z Kitem. Opowiedziałam mu, co robiłam tuż przed tym, jak pan McCrimmon został postrzelony, a on się wkurzył i nakrzyczał na mnie, że wszystko pomieszałam. Potem milczał, jakby się nad czymś zastanawiał, po chwili zawołał pokojówkę i pytał, jak dojechać do San Bartolo. – Zawahała się. – Nie, nie do San Bartolo. Gdzieś w pobliżu, do przepompowni przy jakimś rurociągu gazowym. Mówił o stacji czternastej.

– Co to ma wspólnego z Kitem?

– Nie wiem. Ale wyglądał, jakby porównywał to, co ja mu powiedziałam, z tym, co powiedział mu Kit, potem wspomniął coś o figurkach i właśnie wtedy tak się wściekł. Pojechał taksówką. Figurki. Nina natychmiast zorientowała się w sytuacji.

– O Boże.

Eddie musiał w jakiś sposób odkryć to, co Kit próbował utrzymać w tajemnicy: fakt, że Interpol chciał dobić targu ze Stikesem, żeby odzyskać posążki. Ale Eddiego interesowała tylko zemsta – za jej tortury, za śmierć Maca – i chciał dopaść Stikesa.

A jeśli wściekł się, bo sądził, że Kit go zdradził, paktując z najemnikiem, albo, co gorsza, że działał w porozumieniu z nim...

– Kiedy wyjechał? – spytała.

– Nie wiem. Może z pół godziny temu. A co się stało?

– Myślę, że Eddie zamierza zrobić coś, czego będzie później żałował. Jak dojechać do tej przepompowni?

– To tutaj – wyjaśnił taksówkarz, wskazując kierunek.

Eddie zobaczył kilka świateł w ciemnościach otaczających autostradę panamerykańską. Za siatką znajdowały się zbiorniki na gaz i rury, za instalacją ciągnęło się niewielkie wzgórze. Przed bramą był zaparkowany samochód.

Mimo wściekłości, myślał analitycznie, oceniając miejsce z taktycznego punktu widzenia. Samochód musiał należeć do Kita. Jeśli on jest na miejscu, Stikes też tam będzie. Ale mało prawdopodobne, żeby przyjechał sam. Gdzie szukać pozostałych najemników?

W wysoko położonych miejscach, skąd mogli osłaniać szefa i obserwować drogę. Na zbiornikach, na wzgórzu. Nie wiadomo, ilu mogło ich być, ale ekipa Stikesa została zdziesiątkowana w El Dorado, a nie zdołałby zebrać dużo ludzi w tak krótkim czasie. Z jaskini wylecieli z nim tylko pilot hinda i jeszcze jeden mężczyzna...

Kierowca zaczął zwalniać przed skrzyżowaniem w piaszczystą drogę.

– Nie, proszę jechać dalej – powiedział Eddie. Spojrzał na autostradę i zobaczył światła samochodu znikające w oddali za zakrętem. – Proszę się zatrzymać, kiedy dotrzemy do następnego rogu.

Zaczął przypatrywać się nieregularnemu krajobrazowi. Kolczaste krzewy, małe drzewa. Dobra osłona. Pokonanie tego odcinka przy jej wykorzystaniu mogło mu zająć dziesięć, piętnaście minut.

Taksówka minęła przepompownię. Eddie obejrzał się, kiedy zobaczył w stacji ruch. Na wysokiej kładce stały dwie postacie. Nawet z tej odległości rozpoznał obu mężczyzn.

Stikes. I Kit.

Jego obawy się potwierdziły. Naprawdę byli ze sobą w zмовie.

Poczuł, jak ogarnia go furia.

Zapikał telefon satelitarny Stikesa. Najemnik odebrał go i uśmiechnął się do Kita.

– Do ciebie.

Hindus wziął słuchawkę, przez chwilę słuchał rozmówcy i się rozłączył.

– Helikopter już tu leci. Powinien dotrzeć za jakieś dwadzieścia minut.

Stikes spojrział na zegarek i skinął głową. Zauważył, że Kit zerka w stronę bramy.

– Coś nie tak?

– Kamery monitoringu. Jeśli spotkanie zostanie nagrane, trudno mi się będzie wytłumaczyć w Interpolu, a przedstawiciel Grupy też na pewno nie chce być widziany.

Stikes zacmokał.

– Masz mnie za amatora? Nagranie z kamery przy bramie jest zapętlone, a pozostałe nas nie zobaczą, jeśli będziemy się trzymać z daleka od pomp. – Wskazał na maszynię za plecami Kita. – Ja też nie mam ochoty wystąpić w „Ukrytej kamerze”.

– Rozumiem. – Hindus znów spojrział w stronę bramy i drogi za nią i zobaczył przejeżdżający samochód. Po chwili auto zniknęło za zakrętem.

– Mam tu zaczekać? – spytał taksówkarz.

– Nie trzeba – odpowiedział Eddie. Zapłacił mężczyźnie, dodając hojny napiwek, i wysiadł.

Kierowca wzruszył ramionami i odjechał.

Chase rozpoczął marsz przez zarośla w stronę skarpy.

Nina nie miała czasu na załatwianie samochodu od władz ani z ONZ. Razem z Macy poszły

za przykładem Eddiego i poprosiły pokojówkę o wezwanie taksówki. Samochód wiozł je przez południowe przedmieścia Limy w stronę autostrady panamerykańskiej.

– Ile zajmie nam dojazd do tej stacji? – spytała Nina. Macy powtórzyła pytanie taksówkarzowi po hiszpańsku.

– Około dwudziestu pięciu minut – przetłumaczyła odpowiedź. – I, zanim zapytasz, już mu powiedziałam, że nam się spieszy.

Nina postukała nogą w podłogę. Była zniecierpliwiona i zaniepokojona. Nie wiedziała, czy uda im się dotrzeć na miejsce, zanim Eddie zdąży popełnić nieodwracalny błąd.

Kit przestał przechadzać się tam i z powrotem po kładce i spojrzął na zegarek. Od telefonu minęło ponad dwadzieścia minut i wciąż nie było śladu helikoptera. Być może przedstawiciel Grupy chciał po prostu zachować ostrożność... ale mógł także uznać, że ryzyko jest zbyt duże, i zrezygnować ze spotkania.

I z dalszej współpracy z nim. Na samą myśl o tym ścisnął mu się żołądek. Zerknął w stronę zbiornika z gazem. Snajper nadal leżał na platformie. Hindus nie miał najmniejszych wątpliwości, że jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, Stikes każe go zabić.

Przez huk pomp przedarł się nowy odgłos – warkot wirnika. Nadlatywał helikopter.

Kit westchnął z ulgą i zaczął rozglądać się za źródłem hałasu. Zobaczył na zachodzie stroboskopowe reflektory.

Eddie także usłyszał zbliżający się śmigłowiec i ukrył się za jednym ze zbiorników. Stikes i Kit nie wyglądali na zaskoczonych ani zaniepokojonych, więc musieli spodziewać się maszyny. Kto był na jej pokładzie?

Na razie to było nieistotne. Liczył się fakt, że helikopter miał wylądować w ciągu dwóch minut. Tylko tyle czasu pozostało Chase'owi na wykonanie zadania.

Ruszył w dalszą drogę, kryjąc się w cieniach przepompowni. W końcu doszedł do drabinki prowadzącej na jeden ze zbiorników. Panował tam hałas – nieustanny huk pomp i syk gazu płynącego głównym rurociągiem, a także wibracje, które mogły zagłuszyć jego kroki.

Zaczął wspinać się po drabince. Zbiornik miał wysokość około dwunastu metrów. Kiedy Chase dotarł do górnej krawędzi, zatrzymał się i ostrożnie wyjrzał na platformę.

Leżał na niej mężczyzna ubrany na czarno, odwrócony do niego plecami.

Jeden z ludzi Stikesa, uzbrojony w karabin automatyczny SCAR z celownikiem laserowym. Nie patrzył jednak w celownik, a przyglądał się nadlatującemu helikopterowi.

Eddie czekał oparty o drabinkę. Gdyby wszedł wyżej, mężczyzna mógłby dostrzec go kątem oka i wszczać alarm. Do lądowania helikoptera została minuta.

„Odwróć się, do cholery!”

Po kilku ciągnących się w nieskończoność sekundach snajper znów spojrzął w celownik. Chase pokonał kilka ostatnich szczebli i przykucnął na platformie, tuż za mężczyzną...

Rzucił się na niego. Złapał najemnika za głowę, z całej siły szarpnął do tyłu i mocno zaciśnął ramię na jego szyi.

Snajper zacharczał, wypuścił z rąk broń i próbował wbić ręce w twarz napastnika. Eddie ścisnął mocniej, gwałtownie obrócił ręce. Usłyszał chrzęst, a potem trzask łamanych kości szyi mężczyzny. Najemnik opadł bezwładnie.

Eddie opuścił go na platformę i złapał za pasek karabin, który chwiał się na krawędzi. Położył się obok zabitego mężczyzny. Przypomniawszy sobie, że miał na nazwisko Voeker, i szybko sprawdził broń. Była naładowana pociskami kalibru .5.56 i wyposażona w wysokiej jakości celownik noktowizyjny.

Wymierzył w głowę Stikesa. Przywódca najemników nie zdawał sobie sprawy z jego obecności i stanowił łatwy cel. Wystarczyło nacisnąć spust...

Chase'a powstrzymała nie litość – zdecydował już, że Stikes musi umrzeć – a chęć sprawdzenia, o co chodzi w całej sprawie, i złapania wszystkich zamieszanych w nią ludzi. Helikopter przemknął mu nad głową i wylądował, wzbijając tumany kurzu. Stikes podniósł walizkę i wraz z Kitem skierowali się po kładce w stronę metalowych schodów.

Eddie spojrzął na helikopter przez celownik. Wysiadł z niego barczysty młody mężczyzna

w ciemnym garniturze. Czy to z nim mieli się spotkać? Nie. Ochroniarz pobiegł na drugą stronę helikoptera, żeby otworzyć drzwi drugiemu pasażerowi.

Pod kadłubem śmigłowca pokazały się stopy w czarnych szpilkach, po chwili zza maszyny wyłoniła się sylwetka gościa.

Zszokowany Chase omal nie wypuścił karabinu.

Znał osobę, z którą miał się spotkać Stikes, ale był pewien, że nie żyje.

Była to jego była żona Sophia.

Znam cię – powiedział Stikes, z podejrzliwą miną przyglądając się, jak Sophia Blackwood schodzi po schodach. Długi, czarny płaszcz kobiety powiewał w podmuchach powietrza z wirnika stojącego helikoptera. – Byłaś żoną Chase’a.

– Ja też cię kojarzę – dodał zaniepokojony Kit. – Próbowalaś odpalić bombę atomową w Nowym Jorku!

Stikes skrzywił się jeszcze bardziej.

– Poza tym, o ile dobrze pamiętam, powinnaś nie żyć.

Sophia uśmiechnęła się i stanęła w jasno oświetlonym miejscu u podstawy schodów. Mężczyźni zobaczyli, że jej piękną twarz szpeci głęboka, poszarpana blizna zaczynająca się pod lewym okiem i biegnąca przez policzek i szyję, gdzie zniknęła pod czarnym szalikiem. Kobieta była cała ubrana na czarno, na dłoniach miała drogie skórzane rękawiczki.

– Panowie, wszystko się zgadza. Ale w tej chwili liczy się fakt, że jestem osobą, z którą pan chciał się spotkać – powiedziała do Stikesa, po czym odwróciła się do Kita. I czy ci się to podoba, czy nie, twoją przełożoną. Czy możemy przejść do rzeczy?

– Jak pani sobie życzy, Lady Blackwood – powiedział Stikes. W słowach mężczyzny kryła się drwina. Rząd brytyjski pozbawił Sopię tytułu po nieudanym zamachu w Stanach Zjednoczonych. Kobieta spojrzała na niego zimno. – Zakładam, że Jindal poinformował panią, czego chcę w zamian za nie – dodał, podnosząc walizkę.

– Wiem, czego pan chce – odpowiedziała Sophia. – Ale ci, których reprezentuję, zastanawiają się, dlaczego właśnie na tym panu zależy.

– To bardzo proste. Kiedy pierwszy raz natknąłem się na Jindala w Wenezueli, wiedziałem, że coś nie gra. Szefowie wydziałów Interpolu nie pracują w terenie, a już na pewno nie nad sprawami prawie niezwiązanymi z ich specjalizacją. Wcisnął mi jakieś bajeczki o tym, że ekspedycja archeologiczna łączy się z dochodzeniem w sprawie przemytu, ale było jasne, że pojechał tam z innego powodu. Pogadałem z nim trochę i dowiedziałem się o waszej organizacji. O Grupie.

Sophia wbiła wzrok w Kita. Tym razem jej spojrzenie było wprost lodowate.

– To ciekawe. Jakoś zapomniał nas o tym poinformować.

– Torturował mnie! – zaprotestował Kit. – Zabiłby mnie, gdybym nic mu nie powiedział.

I nie zdradziłem mu, po co Grupa potrzebuje figurek. Nie mogłem tego zrobić – sam tego nie wiem!

– Najwyraźniej powiedziałaś mu wystarczająco dużo – stwierdziła Sophia i ponownie zwróciła się do Stikesa. – Ma pan więc mgliste pojęcie o celach Grupy. Czego pan od niej chce? Anulowania międzynarodowych listów gończych wysłanych za panem? Czy może pieniędzy?

– Nie bezpośrednio – wyjaśnił Anglik. – Chciałbym zaoferować Grupie swoje usługi.

Sophia uniosła brew.

– Doprawdy?

– Owszem. Byłbym cennym sprzymierzeńcem. Mam doświadczenie i powiązania, nie mam za to litości. Jeśli dobrze zrozumiałem Jindala, to, co zamierza zrobić Grupa, zmieni oblicze świata. Chcę mieć pewność, że znajdę się w tym gronie osób, które skorzystają na tej zmianie.

– Wszyscy na niej skorzystają. Przynajmniej tak mówią – oświadczyła Sophia. Ton jej głosu wskazywał, że sama jest innego zdania.

– I tak będzie – upierał się Kit. – Nie brałbym w tym udziału, gdybym nie wierzył, że Grupa pomoże światu.

Stikes zagrzechotał figurkami w walizce.

– Ale żeby to zrobić, potrzebują tych posążków, prawda?

Sophia zerknęła w stronę blondyna przyglądającego im się ze szczytu schodów.

– Rozważaliśmy pomysł – od razu zaznaczam, że nie mój – żeby odebrać wam je siłą.

Stikes uśmiechnął się do niej nieprzyjemnie.

– To nie byłby dobry pomysł.

– Wiem. Przed lądowaniem sprawdziliśmy to miejsce kamerą termowizyjną. Mikkel jest bardzo dobry, ale chyba nawet on nie dałby rady zdjąć wszystkich trzech pańskich ludzi, zanim by nas zlikwidowali.

– Miałby szczęście, gdyby udało mu się wyciągnąć... – Stikes nagle urwał. – Trzech ludzi? Sophia zauważyła jego nagły niepokój.

– O co chodzi?

– Mam tutaj tylko dwóch.

– W takim razie kim jest trzeci?

– Zgadnijcie! – zawołał głos z angielskim akcentem.

Cała trójka obróciła się i zobaczyła Eddiego wchodzącego na kładkę z karabinem w rękach. Mikkel wsunął rękę pod poję marynarki, żeby wyciągnąć pistolet, ale zanim zdążył to zrobić, Eddie wymierzył do niego i strzelił. Blondyn padł na ziemię z dwoma kulami w klatce piersiowej.

Chase skierował broń w stronę trojga ludzi na kładce.

– Cóż za spotkanie – powiedziała, podchodząc bliżej. – Mój były towarzysz broni, moja była żona i... – dodał, wbijając w Kita mordercza spojrzenie – ...mój były przyjaciel.

– Eddie, to nie tak, jak myślisz – powiedział Hindus, podnosząc ręce do góry. – Interpol upoważnił mnie do zawarcia układu ze Stikesem w sprawie...

– Zamknij się! – ryknął Chase. Kit drgnął. – Nie chcę słyszeć więcej twoich kłamstw. Byłeś z nim w zмовie od samego początku, bo chciałeś położyć łapę na tych pieprzonych figurkach. I zabiłeś dla nich Maca!

Zapadła cisza. Kit zamarł, na jego twarzy było widać szok i poczucie winy. W końcu odezwał się Stikes.

– McCrimmon nie żyje? Jaka szkoda.

Eddie gniewnie zacisnął usta i szybko wystrzelił z karabinu. Beret zdmuchnięty z głowy Stikesa sfrunął w dół. Najemnik zachwiał się na nogach, upuścił walizkę i chwycił za głowę. Po twarzy płynęła mu krew.

– Chybiłeś? – spytała Sophia, udając obojętność, żeby ukryć szok po wystrzale. – To do ciebie niepodobne, Eddie.

– Nie chybiam z takiej odległości – warknął Chase.

Stikes pomacał ranę. Kula wyżłobiła głęboką bruzdę w jego czaszce. Plama krwi szybko rozlewała się po jasnych włosach mężczyzny.

– To był błąd, Chase. Jeśli chciałeś mnie zabić, trzeba było to zrobić przed chwilą. Nie będziesz miał kolejnej szansy.

Wpatrzył się w przeciwnika, spodziewając się huku wystrzału i fontanny krwi...

Nic się nie stało.

– Co, czekasz, aż sprzątnie mnie jeden z twoich snajperów? – sarkastycznie spytał Eddie. Uniósł SCAR. – Zabrałem to z ciała tego kolesia na zbiorniku. A tego na wzgórzu załatwiłem po drodze. Stikes, zrobiłeś się niechlujny. Rozstawiasz ludzi w oczywistych miejscach. – Machnął karabinem. – No dobra. Rzućcie broń.

Stikes niechętnie wyciągnął jericho z kabury i rzucił je za plecy Eddiego. Pistolet z głuchym hukiem spadł pod kładkę, pomiędzy pompy. Eddie wymierzył w Kita.

– Nie jestem uzbrojony – powiedział Hindus.

Chase pokiwał głową. Agent Interpolu nie miał okazji zaopatrzyć się w broń. Przesunął lufę w stronę Sophii.

– Ja też nie – dodała kobieta.

Były mąż spojrział na nią z irytacją. Sophia westchnęła, sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyciągnęła matowoczarne glocka 36. Wyrzuciła broń za krawędź kładki. Eddie zauważył, że coś jest nie w porządku z jej lewą ręką. Część palców obciążonych skórzaną rękawiczką wydawała się nienaturalnie sztywna. Kiedy lepiej przyjrzał się kobiecie, zauważył, że, poza blizną, w jej twarzy zmieniło się coś jeszcze. Kości policzkowe były wydatniejsze, a nos zakrzywiony. Czyżby zrobiła sobie operację plastyczną?

– Co teraz, Eddie? – spytała. – Zabijesz nas?

– Jego? – powiedział Chase, wskazując Stikesa skinieniem głowy. – Tak. Za to, co zrobił Nienie. Co do ciebie, jeszcze się nie zdecydowałem. Już dwa razy myślałem, że nie żyjesz, może sprawdzę, czy do trzech razy sztuka, ale jak dla mnie, równie dobrze możesz wylądować w więzieniu. – Odwrócił się do Kita. – A ty... Ciebie też powinienem zabić. Ale najpierw muszę wiedzieć, dlaczego. Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego zastrzełeś Maca?

Mimo zimnego wiatru wiejącego od strony wzgórza, Hindus oblał się potem.

– Eddie, wierz mi, nie chciałem tego zrobić. Ale nie dał mi wyboru. Zamierzał zniszczyć helikopter razem z figurkami. – Zerknął w stronę upuszczonej walizki.

– Figurkami – cicho powtórzył Chase, po czym nagle zaczął krzyczeć. – Tymi pieprzonymi figurkami! Czy jestem tu jedyną osobą, dla której te głupie znaleźiska nie są ważniejsze niż ludzkie życie? Co jest takiego w tych pieprzonych figurkach? – Wymierzył z karabinu w walizkę. – Podaj mi jeden dobry powód, dla którego nie powinienem rozwalić ich teraz w drobny mak.

Zauważył, że Sophia zeszywniała. Ona najwyraźniej знаła taki powód. Ale pierwszy odezwał się Kit. Zrobił krok do przodu z szeroko rozłożonymi rękami, mówiąc niemal błagalnie:

– Ja... nie mogę ci powiedzieć, Eddie. Żałuję, ale nie mogę. Ale to zmieni świat. Figurki są nam potrzebne. Dla... dla dobra ludzkości.

Eddie przyglądał mu się przez chwilę... i zmrużył oczy.

– To za mało. – Zacisnął palec na spuście...

Padł na niego snop jaskrawego światła.

Obejrzał się. Obok auta Kita zatrzymywał się inny samochód...

Hindus wykorzystał tę chwilę nieuwagi. Skoczył na niego, jedną ręką chwycił lufę karabinu i odciągnął ją od walizki. Eddie wystrzelił. Kule odbiły się od rur. Stikes uskokoczył z linii ognia, Sophia szybko ukryła się za nim.

Eddie trzymał broń obiema rękami, więc nie zdążył osłonić się przed ciosem Hindusa. Pociemniało mu w oczach. Szarpał się z Kitem o karabin, chwając się na kładce. Okno wyrzutnika łusek było skierowane w stronę Hindusa. Eddie znów pociągnął za spust, zasypując rury kulami, a twarz i szyję przeciwnika rozgrzanymi łuskami.

Jindal wrzasnął i odskoczył do tyłu, nie przestał jednak szarpać za SCAR. Po kolejnym wystrzale łuski uderzyły go w rękę, którą próbował poderwać karabin. Eddie kopnął go w nogi, starając się go przewrócić...

Z rury poniżej dobiegł przeszywający pisk, potem rozległ się ogłuszający huk i ryk ognia.

Kule uszkodziły jedną z pomp, a przez dziurawy zawór zaczął wyciekać gaz... który zapalił się, kiedy przeszły przez niego kolejne rozgrzane pociski.

Nina i Macy wysiadły z taksówki i odskoczyły zszokowane, kiedy wybuch zatrzęsł samochodem, a nad przepompownią wzbijała się kula ognia. Płomień długi na ponad dziesięć metrów buchały z instalacji prawie poziomo, języki ognia lizały kolejne rury.

Stikes i Sophia odskoczyli od ognia. Walczący mężczyźni znajdowali się niemal dokładnie nad uszkodzonym zaworem, a buchający z niego płomień działał jak palnik, podgrzewając sąsiednią rurę.

– Czas się zbierać – stwierdziła Sophia. Wyciągnęła rękę po walizkę, ale Stikes był szybszy. Chwycił walizeczkę, otworzył ją i przechylił, jakby chciał zrzucić jej zawartość z kładki.

– Umowa stoi? – spytał. – Bo jeśli nie, wrzucam to do ognia i zabieram się stąd, zanim wszystko wyleci w powietrze!

Sophia spojrzała na niego z niechęcią i skinęła głową.

– Umowa stoi.

– Świetnie. W takim razie proszę o podwiezienie! – Stikes zerknął na helikopter. Pilot zauważył niebezpieczeństwo i już zaczął zwiększać obroty, przygotowując maszynę do startu.

– Cóż, wygląda na to, że zwolniło się jedno miejsce – powiedziała zrezygnowana Sophia i pobiegła w górę po schodach. Stikes ruszył za nią. Minęli ciało Mikkela, nawet się nie oglądając.

Nina wbiegła przez otwartą bramę i kątem oka zauważyła, jak ktoś wskazuje do helikoptera. Ogień oświetlił blondwłosego mężczyznę. Czyżby Stikes? Zniknął jej z oczu, zanim zdążyła się

upewnić.

Macy, która biegła za nią, rozejrzała się wokół przerażona.

– Widzisz Eddiego albo Kita?

– O, tak – rzuciła przerażona Nina.

– Gdzie?

Kobieta wskazała miejsce ponad płomieniami i przyspieszyła kroku.

– Zgadnij!

Wybuch zbił Eddiego i Kita z nóg. Hindus wylądował na przeciwniku. Jeszcze raz uderzył Chase'a, tłukąc jego głową o stalową kratkę pomostu. Eddie rozluźnił chwyt i Kit wyrwał mu karabin z jednej ręki. Znow uderzył go w twarz, rozcinając mu wargę, potem odturlał się i przykucnął, wyszarpując karabin.

Obrócił ciężką broń i wycelował ją w byłego przyjaciela...

Zawahał się na ułamek sekundy. Nie chciał tego robić, ale nie miał wyjścia. Eddie odgadł prawdę o tym, co stało się z Makiem, a potem zobaczył go ze Stikesem i Sophią Blackwood. Tylko w ten sposób mógł utrzymać przykrywkę w Interpolu i zapobiec wyciekowi informacji o swojej współpracy z Grupą.

„Tylko w ten sposób”, pomyślał. Położył palec na spuście...

Chase wypchnął nogę do przodu i kopnął karabin tuż przed wystrzałem. Dwa naboje przeleciały tuż nad jego głową, potem SCAR zaterkotał cicho – magazynek był pusty.

Eddie tego nie usłyszał – był ogłuszony hukami wystrzałów i oślepiony rozbłyskiem z lufy. Widział jednak na tyle dobrze, żeby drugą nogą trafić Kita w klatkę piersiową. Hindus runął w tył, uderzając głową o barierkę.

Chase splunął krwią i kopnął go jeszcze raz, potem uchwycił się poręczy i wstał. Od płomieni buchało gorąco jak z otwartego pieca.

Spojrzał na kładkę. Stikes i Sophia zniknęli, zabierając walizkę z figurkami. Śmigłowiec pracował już na pełnych obrotach i zaraz miał startować. Nie miał szans ich powstrzymać.

Pozostawał mu Kit.

Eddie chciał sam wymierzyć sprawiedliwość zabójcy Maca, ale wiedział, że musi pozostawić go przy życiu. Tylko dzięki Hindusowi mógł zrozumieć, co, do cholery, się dzieje i dlaczego Szkot musiał zginąć. Chwycił Kita za włosy, znow uderzył jego głową o barierkę i uniósł go do pionu...

Nagle, mimo przytępionego słuchu, usłyszał hałas – wycie przeciążonego metalu, pękającego pod wpływem wysokiej temperatury i ciśnienia...

Nina była już prawie na drabince prowadzącej na kładkę. Macy, biegnąca kilka metrów za nią, zatrzymała się gwałtownie, słysząc niepokojący odgłos.

– Wracaj! – krzyknęła, obróciła się i padła na ziemię...

Uszkodzona pompa eksplodowała.

Odłamki potrzaskanych rur wyleciały setki metrów w powietrze. Fontanna ognia wystrzeliła w górę jak wybuchający wulkan. Cała konstrukcja zatrzęsała się w posadach. Huk płonącego gazu przybierał na sile, w miarę jak ogień się rozprzestrzeniał. Wybuch był tak potężny, że zatrzęsł nawet odlatującym helikopterem.

Eddie znow zupełnie stracił słuch – ale było to najmniejsze z jego zmartwień. Gejzer płomieni buchał kilkanaście metrów od niego, ale nie musiał go dotykać, żeby się poparzyć. Z rozrwanej rury poniżej ziało potworne gorąco. Czuł, jak piecze go odsłonięta skóra i topią mu się włosy.

Najgorsze było jednak dopiero przed nim. Kładka zachybotła się, mocowania puściły...

Świat nagle zawirował, kiedy cały odcinek pomostu złożył się, jakby wisiał na gigantycznych zawiasach. Chase zaczął spadać. Po drodze uderzył w poręcz, która pękła. Pod sobą miał już tylko płonący gaz...

Zatrzymał się gwałtownie, kiedy jeden ze słupów podtrzymujących zarwany pomost o dwa-dzieścia centymetrów minął jego klatkę piersiową i przebił się przez klapę jego skórzaną kurtki, prawie wyrywając mu ramię ze stawu. Eddie przez chwilę bezradnie zwiślał kilka metrów nad linią



ognia... w końcu olbrzymim wysiłkiem obrócił się i palcami prawej dłoni wczepił się w kratę pomostu.

Kładka była przechylona pod kątem siedemdziesięciu stopni. Eddie podciągnął się wyżej, wysuwając lewą rękę z podartej kurtki, i mocno uchwycił się kraty lewą dłonią, potem strząsnął z siebie prawy rękaw i uwolnił się. Coś wypadło z kieszeni kurtki.

Wizytówka jego ojca, nadal zamknięta w torebce na materiały dowodowe, wylądowała w ogniu i natychmiast się spopieliała.

Eddie wiedział, że jeśli szybko się stamtąd nie wydostanie, spotka go to samo. Ignorując ból, gdy krata wrzynała mu się w palce, podciągał się do góry, by oprzeć stopy na filarze. Kiedy to zrobił, rozejrzał się wokół. Z jednej strony, w odległości dwóch metrów, miał ocalałą część kładki. Z drugiej...

Kit zwisał z krawędzi pomostu, niżej nad linią ognia niż przedtem Eddie. Próbował podciągnąć się w górę, ale nie mógł wystarczająco mocno się uchwycić.

Jego przerażone oczy napotkały wzrok Eddiego.

Anglik zawahał się przez chwilę, spojrzął na bezpieczny fragment pomostu... i poszedł w drugą stronę. Przeszedł na kolejny filar i zbliżył się do Kita.

Nina zignorowała dzwonienie w uszach i podniosła się z ziemi. Zobaczyła trzydziestometrowy słup ognia buchający w ciemne niebo. Mniejsze płomienie rozprzestrzeniały się po całej przepompowni, na ziemię spadały płonące szczątki.

Usłyszała krzyk. Obejrzała się i zobaczyła Macy trzymającą się za udo w miejscu, w które uderzył rozgrzany odłamek.

– Macy, uciekaj stąd! – krzyknęła, wskazując na bramę. Zobaczyła, że taksówka gwałtownie zawraca i odjeżdża.

– A co z Eddiem? Co z Kitem?

– Uciekaj! – Nina wstała, uchyliła się przed kolejnym fragmentem rury, który wbił się w ziemię obok niej, i ruszyła z powrotem w stronę drabinki.

Z przerażeniem zauważyła, że fragment kładki się zawałił i że ktoś zwisa z niego tuż nad ogniem. Kit. Na chwilę wpadła w panikę. Gdzie jest Eddie? Potem zobaczyła męża przez kratę zawałonego chodnika.

Chase posuwał się w stronę Kita. Zamierzał go uratować czy...

Zaczęła szybko wspinać się po drabince, uchylając się przed płomieniami. Zauważyła, że znajduje się w polu widzenia kamery monitoringu. Do tego momentu operatorzy ruociągu musieli zauważyć, że stało się coś złego i na pewno próbowali odciąć dopływ gazu.

Jeśli im się nie uda...

Ogień wciąż się rozprzestrzeniał. Był coraz bliżej zbiorników z gazem. Nina wiedziała, że jeśli jeden z nich eksploduje, pozostałe zrobią to samo, a wybuch zmiecie całą konstrukcję z powierzchni ziemi.

– Eddie! – krzyknęła. Mąż jej nie usłyszał. – Eddie!!!

Kit w końcu mocno wczepił się w kratę. Podciągnął się w górę i zaczął rozglądać za czymkolwiek, czego mógłby się uchwycić.

Po jednej stronie miał małą rurę łączącą ze sobą dwie większe, biegnące od pompy. Przesunął się w jej stronę. Znalazł punkt podparcia dla stopy – i coś jeszcze.

Pistolet Stikesa wciśnięty pomiędzy dwie główne rury. Miał go w zasięgu ręki.

Mimo niebezpieczeństwa, Hindus nie myślał tylko o ratowaniu życia. Wiedział, że musi chronić swoją przykrywkę. To z kolei oznaczało, że musiał rozprawić się z Eddiem...

Zobaczył nad sobą Chase'a stojącego na filarze.

Podjął decyzję... i chwycił broń.

Nina biegła po kładce, osłaniając twarz rękami przed nieznośnym gorącem. Piekły ją oczy. Potarła je, zamrugała i zobaczyła Eddiego stojącego nad Kitem.

Chase już miał podać rękę Kitowi, kiedy zauważył, że Hindus wyciąga dłoń, by chwycić jakiś przedmiot leżący pod kładką. Niklowana lufa zalsniła na stalowych rurach.

Kit trzymał w ręce jericho Stikesa. Wygiął nadgarstek, wymierzył pistolet w górę...

Eddie kopnął, mocno trafiając go w twarz. Z nosa Hindusa trysnęła krew, zamroczony mężczyzna rozluźnił uchwyt na kracie i spadł.

Wprost w ogień.

Przez ułamek sekundy Eddie widział w płomieniach jego twarz i malujące się na niej ból, przerażenie i wściekłość. Potem Kit zniknął w płomieniach. Pistolet poleciał za nim.

Chase odwrócił się, ruszył w stronę ocalałej części pomostu i zobaczył na nim Ninę wpatrującą się w niego z niedowierzaniem.

Mimo gorąca Ninie nagle zrobiło się zimno. Nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą zobaczyła. To po prostu nie mogło się stać!

A jednak się stało. Eddie wspiął się do zwisającego bezradnie Kita... i stracił go w płomieniu.

Chase zbliżył się do niej. Filary chwiały się pod jego ciężarem.

– Pomóż mi! – krzyknął, kiedy dotarł do końca zawalonego fragmentu i próbował wspiąć się w górę. Jego żona nawet nie drgnęła. – Nina!

Kobieta otrząsnęła się z osłupienia.

– Boże! Coś ty zrobił? Coś ty zrobił?!

– Musimy uciekać! – krzyknął, patrząc na rozprzestrzeniające się płomienie. – Biegnij! – Popchnął ją do przodu i ruszył po kładce. Kamera monitoringu przyglądała mu się szklanym okiem.

Nina dotarła do drabinki i szybko zeszła do połowy jej wysokości. Stamtąd zeskoczyła na ziemię. Eddie poszedł w jej ślady. Pobiegli w stronę bramy. Poza hukiem ognia słyszeli skrzypienie i jęk wyginającego się metalu. Zbiorniki z gazem zaczęły się odkształcać.

Wypadli za bramę. Zobaczyli Macy biegnącą przed siebie w stronę autostrady. Hałas był coraz głośniejszy...

Jeden z zbiorników eksplodował białą kulą ognia, kolejne zrobiły to samo. Fala uderzeniowa wzbijała w górę ścianę pyłu i powaliła Ninę i Eddiego na ziemię. W niebo wzniósł się grzyb, na odległość wielu mil wskazując miejsce, w którym niegdyś znajdowała się stacja czternasta.

Nina dopiero po dłuższym czasie doszła do siebie na tyle, by móc mówić czy chociaż myśleć. Jak przez mgłę pamiętała, że Eddie niósł ją piaszczystą drogą, Macy przybiegła im na pomoc, a potem siedziała przy autostradzie, starając się otrząsnąć z szoku.

Bardzo dokładnie pamiętała, co się stało na pomoście. Wciąż miała przed oczami ten widok: Kita zwisającego z kładki na jednej ręce, drugą usiłującego złapać się rury. Kopniaka Eddiego. Przerażoną twarz Kita spadającego w ogień...

Eddie sam wymierzył sprawiedliwość i dokonał zemsty, jak Jerry Rosenthal w Nowym Jorku. Tym razem jednak nie chodziło o abstrakcyjny temat dyskusji, który doprowadził do kłótni, a o coś, co jej mąż zrobił na jej oczach.

Ktoś usiadł obok niej. Eddie. W świetle płonącego rurociągu widać było, że ma zwęglone ubrania i zaczerwienioną skórę.

– Hej – powiedział, obejmując ją ramieniem.

Odsunęła się.

Wyglądał na zdziwionego, potem na urażonego.

– Co się stało? Nic ci nie jest?

– Nie – oschle odparła Nina, podnosząc się. W oddali zauważyła migające światła „kogutów” na autostradzie.

Chase także wstał.

– W takim razie o co chodzi?

– O co chodzi?! – krzyknęła. – Zamordowałeś Kita, o to chodzi!

Siedząca nieopodal Macy krzyknęła z niedowierzaniem. Eddie był równie zaskoczony.

– Co takiego?

– Eddie, stałam tuż obok. Kit zwisał z pomostu, a ty... kopnąłeś go i straciłeś w ogień! – Kiedy wymawiała te słowa, znów poczuła szok.

– On chciał mnie zabić! – zaprotestował Eddie. – Trzymał w ręku pieprzony pistolet!

Nina pokręciła głową.

– Nie był uzbrojony.  
– Był! Jak mogłaś tego nie zauważyć? Stałaś blisko, musiałaś go widzieć!  
– Nie był uzbrojony! – powtórzyła Nina z naciskiem. – A poza tym, niby dlaczego chciałby cię zabić?  
– Bo był w zмовie ze Stikesem – odpowiedział Chase, czując, jak wzbiera w nim gniew. – Od samego początku. Przez cały czas chodziło im tylko o te figurki. Kit zabił Maca, żeby je ochronić, potem próbował zabić mnie, bo to odkryłem.  
Tym razem Nina nie mogła uwierzyć własnym uszom. Kit zabił Maca? Taka teoria była niewiarygodna. Więcej, była...  
Szalona? Kiedy przyszła jej do głowy ta myśl, wstrząsnęły nią dreszcze. Czy śmierć Maca i babci mogły aż tak bardzo wpłynąć na Eddiego?  
– Dlaczego? – zapytała.  
– Skąd mam, kurwa, wiedzieć? Nie udało mi się dowiedzieć, co planują. Ale był tu ktoś, kto wiedział. Sophia.  
Nina wpatrywała się w męża z niedowierzaniem.  
– Sophia? – powtórzyła po dłuższej chwili. – Sophia, twoja była żona?  
– Tak. To ona chciała przejąć figurki.  
– Mówisz o Sophii Blackwood? – spytała osłupiała Macy. – Tej terrorystce? Myślałam, że nie żyje.  
– Bo nie żyje – odpowiedziała jej Nina. – Eddie wie najlepiej – sam zrzucił ją ze skały!  
Sfrustrowany Chase spoglądał to na jedną, to na drugą kobietę. Ryk syren było słychać coraz bliżej.  
– Ona tu była. Odleciała helikopterem razem ze Stikesem. Nie mów mi, że tego też nie widziałaś!  
– Widziałam Stikesa. Chyba. – Nina zerknęła na puste lądowisko. – Ale poza nim tylko ciebie... i Kita.  
– No widzisz! Kit i Stikes byli w zмовie, tak jak mówiłem! Dlatego trzymał całe spotkanie w tajemnicy!  
– Mnie o nim powiedział. – Eddie był w szoku po słowach żony. – Stikes zaproponował Interpolowi układ – nietykalność w zamian za figurki. Kit ci nie powiedział, bo wiedział, jak źle się czujesz po śmierci Maca, i bał się, że źle zareagujesz na wiadomość, że kontaktował się ze Stikesem. – Nina zaśmiała się z goryczą. – Trzeba przyznać, miał rację!  
– Nie, to nie tak! Było inaczej! – protestował Chase coraz bardziej rozpaczliwie. Kit nie negocjował żadnej umowy. Działal w zмовie ze Stikesem i Sophią!  
– Stikes i Sophia – powtórzyła Nina. – Ludzie, których nienawidzisz najbardziej na świecie, oboje uwikłani w spisek mający zatuszować morderstwo Maca? Popelnione przez Kita? Eddie, to wszystko brzmi jak... jak... – Nie chciała kończyć zdania.  
Jej mąż dokładnie jednak wiedział, co miała na myśli.  
– Nie zwariowałem, do kurwy nędzy, i to nie były żadne pieprzone halucynacje. – Złapał ją za przedramię. – Kit zabił Maca! Mnie też by zabił, gdybym nie załatwił go pierwszy!  
Odsunęła się, sycząc z bólu, kiedy ścisnął jej ramię.  
– Eddie, puść – powiedziała. Pierwszy raz w życiu mąż zadał jej fizyczny ból. – Puść mnie! Chase otworzył dłoń, a kobieta odskoczyła i zaczęła się cofać, omal się nie przewracając.  
– Jezus Maria, Eddie! Zabiłeś policjanta! Zamordowałeś przyjaciela!  
– To nie tak! – krzyknął i ruszył za nią.  
– Nie dotykaj mnie! – Nina uniosła ręce, zaciskając je w pięści. Chase zatrzymał się, jego żona nadal się cofała. – Odsuń się ode mnie! Ja... ja chyba wcale cię nie znam! Coś ty zrobił?  
Zszokowany Eddie zastygł w bezruchu. Na piaszczystą drogę wjechały pierwsze pojazdy. Kolumnę otwierał van z logo firmy gazowniczej, który przemknął obok nich i skierował się w stronę ruin przepompowni. Za nim jechał radiowóz, który z piskiem opon zatrzymał się na poboczu. Wyskoczyło z niego dwóch policjantów, którzy podbiegli do grupy ocalałych, wyciągnęli broń i zaczęli krzyczeć po hiszpańsku.

– Co się, kurwa, dzieje? – spytał Eddie, podnosząc ręce do góry. Mężczyźni wymierzili w niego broń.

Macy przetłumaczyła ich słowa.

– Boże, Eddie, oni chcą cię aresztować za zabójstwo! – Podbiegła do policjantów i pospiesznie zaczęła zadawać im pytania po hiszpańsku. Odpowiadali krótko.

– Pracownicy gazowni widzieli ciebie i Kita na nagraniu monitoringu!

Jeden z policjantów zbliżył się do Eddiego i gestem nakazał mu wyciągnąć ręce przed siebie do skucia kajdankami. Drugi stał z tyłu z podejrzliwą miną, niepewny, co zrobić z Niną i Macy. Zerkał to na mężczyznę, to na kobiety.

– Nie zabiłem go – powiedział Eddie. Do Niny, nie do policjantów. – To on próbował mnie zabić. Musisz mi uwierzyć.

– Nie wiem, czy dam radę – wyszeptala.

Pierwszy z policjantów niecierpliwie machnął pistoletem. Eddie rzucił Ninie długie, smutne spojrzenie i wyciągnął ręce przed siebie. Policjant zaczął odpinać kajdanki. Spojrzał w dół, kiedy zahaczyły o jego pasek...

I runął do tyłu w chwili, gdy Eddie jedną ręką uderzył go w szczękę, a drugą wyrwał mu pistolet.

Drugi mężczyzna szybko uniósł broń, ale jego partner znalazł się między nim a niedoszłym aresztantem. Zawahał się przez chwilę, potem niezdarnie zrobił kilka kroków w bok, żeby mieć czysty strzał...

Rozległ się pojedynczy wystrzał i broń drugiego policjanta z trzaskiem wyleciała do góry. Mężczyzna krzyknął i chwycił się za rękę. Kula Eddiego roztrzaskała się przy zderzeniu z twardą stalą pistoletu, odłamki metalu wbiły się w dłoń policjanta.

– Każ im się nie ruszać – warknął Eddie do Macy. Okrążył dwóch mężczyzn, mierząc w nich z dymiącej lufy, i skierował się w stronę radiowozu.

– Chyba sami się domyślili – odpowiedziała zszokowana kobieta.

Nina była oszołomiona całą sytuacją.

– Eddie, co ty wyprawiasz, do cholery?

– Kit zabił Maca i próbował zabić mnie – powiedział Chase, pochodząc do samochodu. Silnik wciąż pracował. – Był w zмовie ze Stikesem i z Sophią. Zamierzam to udowodnić. Jeszcze nie mam, kurwa, pojęcia, jak to zrobić, ale ci to udowodnię. – Nie opuszczając broni, usiadł za kierownicą. – Tylko że nie mógłbym tego zrobić, siedząc w peruwiańskim więzieniu. To by było na tyle. – Wrzucił bieg i sięgnął do klamki. Zanim zamknął drzwi, odezwał się jeszcze raz. – Kocham cię.

Ruszył, przejechał na przeciwny pas ruchu i pomknął z powrotem na północ. Oszołomiona Nina odprowadziła go wzrokiem.

## Epilog

### *Anglia*

Kiedy Eddie ostatnio widział kanał La Manche, woda była pięknie błękitna, a niebo słoneczne. Tego dnia morze za wejściem do portu miało kolor ołowiu, podobnie jak wiszące nad nim grube chmury, a porywisty wiatr uderzał w fale.

Patrzył, jak łódź powoli zbliża się do brzegu. Biała motorówka wyruszyła z Poole Harbour godzinę wcześniej i wypłynęła kilka mil w głąb morza. Teraz na wstecznym biegu przybiła do przystani, jeden z członków załogi szybko ją zacumował i rzucił trap, żeby pasażerowie mogli zejść na ląd.

Eddie naliczył dwanaścioro ubranych na czarno żałobników. Większość widział pierwszy raz w życiu. Byli to starsi ludzie, przyjaciele babci. Rozpoznał czworo: siostrę, siostrzenicę... i ojca z Julie.

Rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt nie zwraca na niego uwagi, wyszedł z przejścia, w którym czekał, i zszedł na przystań, na spotkanie grupy. Holly zobaczyła go pierwsza i krzyknęła zszokowana i zdumiona.

– Wujek Eddie!

Mimo upływu kilku dni, twarz Chase'a wciąż nosiła ślady walk, które stoczył w Ameryce Południowej.

– Cześć, Holly – odpowiedział. – Lizzie. Julie. – Celowo pominął ojca. Na razie.

Elizabeth była równie zbita z tropu, jak jej córka, i znacznie mniej uradowana.

– Eddie, co ty tu robisz, do cholery? Była u nas policja, kazali zgłosić, jeśli się odezwiesz. Mówili, że kogoś zabiłeś!

– Przyjechałem pożegnać się z babcią. – Elizabeth trzymała w rękach pustą urnę. Rodzina, zgodnie z życzeniem staruszki, rozsypała jej prochy do morza. – Pogrzeb był ładny?

– O ile pogrzeb może być ładny – oschle odpowiedziała Elizabeth.

– Przykro mi – powiedział Eddie. – Żałuję, że nie mogłem się z nią zobaczyć, przed... no, przedtem. Wiesz, o co mi chodzi. – Zapłakana Holly zdusiła szloch i znów zaszkliły jej się oczy. – Powinienem być przyjechać. Ale...

– Byłeś zajęty – dokończył Larry. – Miałeś ważniejsze rzeczy do roboty – dodał z ironią. – Zapewne ratowałeś świat.

Eddie rzucił się na niego, zaciskając pięści.

– Nie. Patrzyłem, jak umiera mój przyjaciel. – Spojrzał na Elizabeth i Holly. – Mac. Jim McCrimmon. Pamiętacie go? – Obie wyglądały na zasmucone wiadomością. – Zabito go strzałem w plecy. – Znów zwrócił się do Larry'ego, mówiąc z coraz większym gniewem. – Przez ciebie!

– Co takiego? – zdziwił się starszy Chase. – O czym ty mówisz?

– Po naszym spotkaniu w Kolumbii zadzwoniłeś do Stikesa, prawda?

– No... tak. Ale to mój klient. Miałem pełne prawo to zrobić. Nie rozumiem, co...

– Powiedziałeś Stikesowi, że Nina pojechała do Peru szukać El Dorado. I wyobraź sobie, że pojawił się tam z helikopterem pełnym najemników i całą ciężarówką terrorystów! Zginęło mnóstwo ludzi. I to wszystko twoja wina!

Larry zjeżył się z wściekłości.

– To ty mi powiedziałeś, czym zajmuje się Nina. Doprawdy, trudno mnie o cokolwiek winić. – Zacisnął usta w oskarżycielskim grymasie. – Przykro mi z powodu twojego przyjaciela, ale sam jesteś sobie winien.

Eddie wpatrzył się w niego... i stracił panowanie nad sobą. Zanim zorientował się, co robi, zamachnął się z całej siły i uderzył ojca w twarz. Larry runął w tył i upadł na mokre nabrzeże. Julie zaczęła krzyczeć.

Chase podszedł do ojca i chciał kopniakiem strącić go do wody, ale Holly podbiegła do dziadka i z niedowierzaniem spojrzała na wujka.

– Nie! Zostaw go w spokoju!

– Edwardzie! – krzyknęła Elizabeth. – Co ty robisz? – Ludzie stojący na nabrzeżu obrócili się w poszukiwaniu źródła hałasu. Jeden z żałobników wyjął telefon i szybko wybrał numer alarmowy.

Larry przyłożył rękę do twarzy, sztywno poruszył szczęką i otarł krew z ust.

– Niezłe uderzenie – syknął. Julie uklękła, żeby pomóc mu wstać.

Atak furii minął, kiedy Eddie zauważył przerażenie na twarzach Elizabeth i Holly. Spojrzał na ojca.

– Ja... – zaczął, ale nie był w stanie się przemóc, żeby dokończyć przeprosiny.

– Powinieneś już iść – zimno powiedziała Elizabeth, przyciskając urnę do piersi, jakby chciała ją przed czymś ochronić. – Zanim zrobisz jeszcze coś, za co babcia musiałaby się wstydzić.

Eddie spojrział na twarze żałobników wpatrzonych w niego z przerażeniem, niedowierzaniem i niesmakiem, i odszedł, znikając w labiryncie wąskich portowych uliczek.

Kolejny dzień, kolejny pogrzeb.

Eddie, ukryty w zaułku naprzeciwko niewielkiego kościoła, patrzył, jak grabarze wkładają trumnę Maca do karawanu. Znał kilkoro żałobników – Angelę, była swojego przyjaciela, i kilku dawnych kolegów z wojska. Na obrzeżach grupy trzymał się człowiek, co do którego Chase miał zdecydowanie mieszane uczucia – Peter Alderley. Opadające wąsy oficera MI6 nadawały mu wyjątkowo ponury, nawet jak na tę okazję, wygląd. Kiedy Eddie mu się przyglądał, Alderley drgnął, odsunął się od pozostałych i wyjął z marynarki wibrujący telefon. Po krótkiej rozmowie wszedł do kościoła.

Eddie pokręcił głową, oburzony takim brakiem szacunku, i znów zaczął przyglądać się załadunkowi trumny do karawanu. Angela porozmawiała chwilę z żałobnikami, potem wraz z kilkoma innymi osobami wsiadła do rolls-royce'a, który powoli ruszył za karawanem przez zakorkowane ulice Londynu. Chase odprowadził orszak wzrokiem do chwili, gdy samochody zniknęły mu z oczu.

– Walcz do końca – wyszeptał.

– Walcz do końca – powtórzył głos za jego plecami.

Eddie odwrócił się i zobaczył w zaułku Alderleya. Mężczyzna był zdyszany. Najwyraźniej przebiegł całą drogę z kościoła.

– Patrzcie, kto przyszedł – rzucił Chase, próbując ukryć zdziwienie faktem, że agentowi MI6 udało się niepostrzeżenie do niego podkraść. – James Błąd.

– Czekałem na ciebie, Chase – powiedział Alderley. – Spodziewałem się ciebie tutaj po tym, jak pojawiłeś się w Anglii, żeby przyłożyć ojcu. Wypatrywało cię kilku moich ludzi.

– Doprawdy? Wydawało mi się, że akcje krajowe to działka MI5. – Eddie wyjrzał na ulicę, ale nie zobaczył nikogo idącego w ich stronę.

– Zazwyczaj tak jest. Ale tą sprawą byłem osobiście zainteresowany. – Zerknął w kierunku, w którym odjechał karawan. – Trzymam swoich ludzi w ryzach. Jak na razie. Chciałem najpierw z tobą porozmawiać.

– O czym?

– O kilku sprawach. Po pierwsze, jak udało ci się wrócić z Peru do Anglii, skoro Interpol poszukuje cię za zabójstwo?

Eddie wzruszył ramionami.

– Znam paru ludzi.

– Na przykład Blueeya Jacksona? – Alderley uśmiechnął się półgębkiem, widząc zmieszanie Chase'a. Wiedział, że ścigany skontaktował się z Australijczykiem, nie po raz pierwszy zresztą, prosząc o wyrobienie fałszywych dokumentów, które Jackson później przesłał kurierem do Limy. – Tak myślałem. Kiedyś w końcu będziemy musieli poinformować Australijczyków o jego fabryczce fałszywych paszportów. Ale... – znów uśmiechnął się bez śladu wesołości – ...nie dzisiaj.

– Coś jeszcze? – spytał Eddie. Nie był pewien, dokąd zmierza rozmowa. Alderley mógł go

już dawno aresztować – i nadal mógł to zrobić w każdej chwili – ale najwyraźniej miał inne priorytety.

– Jak to było z Makiem?

– Co ci powiedzieli?

– Że został zastrzelony przez peruwiańskich rewolucjonistów, którzy zranili także oficera Interpolu – tego, którego ty później zabiłeś.

– Wszyscy myślą, że tak właśnie było. Nawet Nina. – Chase nie potrafił ukryć rozgoryczenia.

Alderley zauważył ton jego głosu, ale nie skomentował go.

– A ty wiesz swoje? – zapytał.

– Tak. To Kit – Ankit Jindal, ten agent Interpolu – go zabił. Strzelił mu w plecy, potem sam się drasnął, żeby wszystko wyglądało na robotę partyzantów.

– Dlaczego?

– Wiesz, że Aleksander Stikes też był zamieszany w tę sprawę?

Alderley skinął głową.

– Czytałem wszystkie zeznania dla Interpolu, w tym złożone przez Ninę. Powtórzyła to, co jej powiedziałeś.

– Stikes siedział w startującym śmigłowcu, miał ze sobą te figurki, na których wszystkim tak cholernie zależy. Mac mierzył w helikopter z granatnika. Kit zastrzelił go, żeby ochronić Stikesa i figurki. Działali w zмовie. Nie wiem, czy od samego początku, ale wtedy, kiedy spotkali się w przepompowni, na pewno tak. To nie wszystko. Na spotkaniu pojawiła się Sophia.

Alderley uniósł brwi.

– Sophia Blackwood? Myślałem, że nie żyje.

– Ja też. Obaj się myliliśmy. Nie wiem, co planuje ani do czego potrzebuje figurek, ale uciekli ze Stikesem, zabierając je, a Kit próbował mnie zabić, żeby zatrzeć ślady. Gdybym nie zrobił tego, co zrobiłem, byłbym teraz pieprzoną kupką popiołu.

Zamyślony Alderley zaczął kiwać się na piętach.

– Co zamierzasz z tym zrobić?

– Przede wszystkim znaleźć i zabić Stikesa. Nie bardzo zastanawiałem się nad tym, co dalej... – Chase urwał, kiedy zrozumiał podtekst zawarty w pytaniu. – Jak to: co ja zamierzam z tym zrobić?

– Ja nie mogę wykonać żadnego ruchu – przynajmniej oficjalnie – dopóki nie dostanę jakichś przekonujących dowodów. Na razie mam tylko twoje słowo, a jesteś poszukiwanym zbiegiem. Twoje akcje nie stoją najwyżej. Gdybyś jednak zdobył dla mnie dowody...

Eddie spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Chcesz mnie wypuścić? Dlaczego? Przecież mnie nie cierpisz!

– Nie lubię cię, ale to nie znaczy, że ci nie ufam. Świętej pamięci Mac zawsze w ciebie wierzył i popierał cię w stu procentach. A ja zawsze wierzyłem w Maca. – Jego smutna mina stała się jeszcze bardziej ponura. – Nie ty jeden straciłeś przyjaciela, Chase. Twierdzisz, że Mac został zabity, bo próbował udaremnić jakiś spisek? Wierzę ci na słowo. Chcę poznać odpowiedź, tak samo jak ty. Znajdź ją dla mnie. Dorwij Stikesa, on powinien doprowadzić cię dalej.

– Ja mam pracować dla MI6? – spytał Chase z powątpiewaniem. – Jezu, a już przedtem myślałem, że jestem w ciemnej dupie!

– Widzę, że poczucie humoru dalej masz żenujące – zauważył Alderley, wzdychając ze zniecierpliwieniem. – Lepiej już idź, zanim zjawią się tu moi ludzie.

– Zamierzasz mi jakoś pomóc? Dasz mi astona martina, który zmienia się w helikopter?

– Niestety, dostaniesz tylko przewagę na starcie. Biegnij w prawo. Moi ludzie czekają w samochodzie zaparkowanym po lewej. – Alderley wziął głęboki oddech i szeroko rozstawił nogi. – Postaraj się, żeby to wyglądało przekonująco. Tylko nie złam mi znowu nosa. Aha... i spróbuj nie mieć z tego za dużej frajdy.

Eddie uśmiechnął się blado.

– Zrobię, co w mojej mocy.

Drugi raz w ciągu dwóch dni uderzył dobrego znajomego. Alderley padł na ziemię, a Chase wybiegł z zaułka. Rozpoczął się pościg.



<sup>1</sup> Miliard brytyjski wynosił dawniej milion milionów (1.000.000.000.000), powszechnie przyjęto jednak miliard amerykański, wynoszący tysiąc milionów (1.000.000.000) (przyp. tłum.).

<sup>2</sup> Organizacje charytatywne zajmujące się wspieraniem weteranów armii brytyjskiej (przyp. tłum.).